

BIBLIOTEKA WYŻSZEJ SZKOŁY HANDLOWEJ

EUGENJUSZ BÖHM-BAWERK

KAPITAŁ I ZYSK Z KAPITAŁU

DZIAŁ PIERWSZY

HISTORIA I KRYTYKA TEORJI ZYSKU Z KAPITAŁU

TŁUMACZENIE Z TRZECIEGO WYDANIA NIEMIECKIEGO

POD REDAKCJĄ

WŁADYSŁAWA ZAWADZKIEGO

I



NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA—KRAKÓW—LUBLIN—ŁÓDŹ
POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

Komputer

BIBLIOTEKA GŁÓWNA
Uniwersytetu w Białymstoku



FUW0079032



148106/1

SKŁADY GŁÓWNE:

THE POLISH BOOK IMPORTING CO. INC. NEW YORK
»KSIĘGARNIA POLSKA NA ŚLĄSKU, SP. AKC.« KATOWICE

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI
1924

D-160/83

PRZEDMOWA TŁUMACZA

Książka, której przekład oddajemy w ręce polskiego czytelnika, ukazała się po raz pierwszy blisko czterdzieści lat temu w r. 1884. Nie straciła ona jednak dotychczas nic ze swego znaczenia, jest w najlepszym tego słowa znaczeniu książką istotnie współczesną, czego dowodem była potrzeba nowego, już w trakcie przygotowywania niniejszego przekładu do druku, dokonanego wydania niemieckiego. Trwałość swej wartości zawdzięcza dzieło Böhm-Bawerka nie tylko temu, że autor przez lat trzydzieści stale je dopełniał i doskonalił, uwzględniając dalszy rozwój nauki, nie tylko wciąż trwalej żywotności samego przedmiotu, ale przede wszystkim wielkiej kulturze naukowej, której jest dowodem, zdolności autora prawidłowego ujmowania zagadnień, dostrzegania natychmiast gdzie jest zagadnienie i na czym jego istota polega, przenikliwości, z jaką tropi błąd w najrozmaitszych jego formach, subtelności w chwytności odcieni i precyzowaniu myśli. Książka Böhm-Bawerka nie da się streścić ani sparafrazować: znaczenie jej nie ogranicza się do pewnej ilości niewątpliwie ważnych i oryginalnych odkryć i twierdzeń: sam bieg rozumowania uczy myśleć teoretycznie, poznawać, krytykować i oceniać teorie. Obok wielkiej wartości naukowej posiada »Kapitał i zysk z kapitału« olbrzymią wartość dydaktyczną. Względy powyższe przemawiały za tem, aby z wielkiej ilości dzieł obcych, oczekujących na przyswojenie ich polskiej literaturze ekonomicznej jedno z pierwszych miejsc udzielić dziełu Böhm-Bawerka.

Wł. Zawadzki.

TREŚĆ.

Strona

I. Zagadnienie zysku z kapitału.

Treść teoretycznego zagadnienia zysku. Różnice zachodzące pomiędzy niem, a zagadnieniem zysku społeczno-politycznem. Niebezpieczeństwa, grożące przy ich połączeniu. — Tymczasowe wyjaśnienie pewnych podstawowych pojęć 1

II. Zwalczanie procentu ze strony starożytnych filozofów i kanonistów.

Zysk przy pożyczce, jako pierwszy i przez długi czas jedyny obiekt teorii zysku. Stosunek do procentu na niższych stopniach kultury. Prawne zakazy pobierania procentu w starożytności. Starożytni filozofowie. Arystoteles. Kościół chrześcijański wznawia zakazy pobierania procentu. Teoretyczne podstawy nauki kanonicznej 10

III. Obrońcy procentu od XVI do XVIII wieku. Upadek nauki kanonicznej.

Opór życia praktycznego przeciw kanonicznym zakazom pobierania procentu. Wyłomy, dokonane w zakazie przez liczne wyjatki. Początek zasadniczej opozycji. Kalwin. Molinaeus. Ich pierwsi zwolennicy. Besold. Bacon. Rozpowszechnienie przychylnego procentowi nauki w Niderlandach. Hugo Grotius i Salmasius. Nauka ostatniego. — Stopniowe przenikanie przychylnego procentowi kierunku do innych krajów. Charakter rozwoju w Niemczech. Justi, Sonnenfels. W Anglii: Locke, Steuart, Hume, Bentham. Zacołanie krajów romańskich. Włochy. Galliani, Beccaria. Francja. Uparte przytrzymywanie się nauki kanonicznej w prawodawstwie i literaturze. Pothier, Mirabeau. Ostateczne zwycięstwo Turgota. — Rekapitulacja 23

IV. Teoria fruktyfikacji Turgota.

Okres przed Turgotem, niepomysłny dla badań nad pochodzeniem zysku z kapitału. Przyczyny tego zjawiska. Pierwsi fizjokraci nie podejmują ich również. Turgot tworzy pierwszą ogólną teorię zysku. Jej charakter. Jej błędy. 61

V. Zagadnienie zysku u Adama Smitha. Rzut oka na dalszy rozwój.

Brak jasno wyrażonej teorii u Smitha. Sprzeczne uwagi. Zawierają one zarodki najważniejszych późniejszych teorii. Smith pozostaje neutralnym teoretycznie i społeczno-politycznie. — Wzrastające praktyczne znaczenie zagadnienia zysku. Dodaje ono bodźca do żywszej pracy nad jego teoretycznym opracowaniem. Niejednołitość literatury po Smithie. Pięć głównych kierunków. 70

VI. Teorie bezbarwne.

Teorie »bezbarwne« specjalnie liczne w starszej niemieckiej literaturze. Soden, Lotz, Jacob, Fulda, Eiselen, Rau i inni. Angielska literatura. Ricardo, Torrens, Mc. Culloch, Mc. Leod i inni. Stosunkowo rzadko spotykamy teorie »bezbarwne« w literaturze francuskiej. Przyczyny. P. Garnier, Canard, Droz. 79

VII. Teorie produktywności.

1 poddział. Uwagi wstępne.

Wieloznaczność wyrażenia »produkcyjność kapitału«. Jego cztery różne znaczenia. Różnica pomiędzy produktywnością »fizyczną« a »wartościową«. Niebezpieczne skutki ich pomieszania — Rodzaj teoretycznego zadania, które wypływa z teorii produktywności. Formy, w których zadanie to mogłoby być rozwiązane. Schemat możliwych teorii produktywności; formy rzeczywiście istniejących. Plan dalszych rozważań. 108

2 poddział. Naiwne teorie produktywności.

Twórcą ich jest J.-B. Say. Jego nauka. Jego naśladowcy w Niemczech. Schön, Riedel, Roscher, Kleinwächter i inni. We Francji. We Włoszech. Sciajola. — Krytyka naiwnych teorii produktywności. Przedewszystkiem pierwszej ich odmiany. Przyjęcie bezpośrednio i dosłownie »wartościotwórczej« mocy kapitału nie daje się utrzymać, gdyż z jednej strony pozostaje niesprawdzo-

nem, z drugiej sprzecznem z istotą wartości i produktywności. Bliższe wyjaśnienia. Również nie do utrzymania jest i druga odmiana. Wytwór fizycznej produktywności, zwiększenie się produktu nie jest bynajmniej niezbędne i samo przez się związane ze zwiększeniem się wartości. Ogólne ujęcie. 117

3. poddział. Motywowane teorie produktywności.

Ogólna charakterystyka. Konieczność specjalnego rozważania poszczególnych sformułowań. Lauderdale, Malthus, Carey, Peshine Smith, Thünen, Glaser, Roesler, Strasburger. Wynik ostateczny. 142

VIII. Teorie usług kapitału.

Ogólna charakterystyka.

1-szy poddział.

Przedstawienie rozwoju doktryny.

Twórcą nauki jest J.-B. Say. Pierwsi jego zwolennicy. Storch, Nebenius, Marlo. Ukształtowanie nauki przez Hermann'a. Zarys jego teorii. Sąd o niej. Zwolennicy Hermann'a. Bernhardi, Mangoldt, Mithoff, Schäffle, Knies. Najwyższe ukształtowanie teorii usług kapitału przez Mengera. Przedstawienie jego nauki. 199

2 poddział. Krytyka.

Ustalenie spornych punktów. Krytyka pojęcia »usług« kierunku Say'a i Hermann'a. Istnieją zapewne usługi dóbr mające pewną samodzielność. Bliższe ich rozpatrzenie. Teoria użyteczności dóbr. Usługi dóbr. Nie są one identyczne z »usługą«, jak ją rozumieją teoretycy. Usługi kapitału. Ostatnie pojęcie zupełnie nie jest realne — jest jedynie wynikiem niemożliwej fikcji. Dalsze wyjaśnienia. Wszystkie podawane na korzyść tak rozumianej »usługi« wyjaśnienia są nieprawdziwe, dzięki wplątanemu tu błędowi, czy nieporozumieniu. Wykazanie tego u Say'a, Schäffle, Hermann'a i Knies'a. Wewnętrzne sprzeczności, wynikające niezbędnie z przyjęcia tak rozumianej samodzielnej usługi. Odkrycie historycznego pochodzenia fikcji. Fikcja, stworzona dla praktycznych prawnych celów i dozwolona w tym zakresie, po przeniesieniu na grunt ekonomii, przyjęta tam błędnie za dobrą monetę. Ocena walki pomiędzy Salmasiusem i kanonistami. Rzeczywista istota pożyczki. — Krytyka Mengerowskiego pojęcia usługi. — Teoria usług kapitału jest niewystarczająca niezależnie od braków samego pojęcia usługi. Przyczyny, dla których nie jest ona w stanie doprowadzić do zadowalniającego rozwiązania kwestji. 226

IX. Teorja wstrzemięzliwości.

Stan angielskiej literatury o zysku przed Seniozem. Pierwsze ziarna teorii abstynencji u Smitha i Ricardo, wyraźniejsze u Nebeniusa i Scrope'a. Senior jako istotny twórca teorii abstynencji. Jego nauka. Krytyka jej. Jego zwolennicy. Szczególniej Bastiat. Nauka jego jest gorszą kopją teorii abstynencji Seniora 278

X. Teorje pracy.

A. Grupa angielska. Rozważa zysk, jako zapłatę za tę pracę, która wytworzyła same dobra, będące kapitałem. James Mill i Mc. Culloch. B. Grupa francuska. Rozważa zysk, jako zapłatę za »zaoszczędzoną pracę«. Courcelle-Seneuil, Cauvès i inni. C. Grupa niemiecka. Rozważa zysk, jako wynagrodzenie gospodarczej funkcji. Zarodki tego ujęcia u Rodbertusa. Opracowują je Schäffle i Wagner. Krytyka. Może ono służyć, jako społeczno-polityczne usprawiedliwienie, ale nie jako teoretyczne wytłumaczenie zysku od kapitału. 302

XI. John Rae.

Rae jest pisarzem o wartości zbyt późno ocenionej. Wykład jego nauki. Krytyka jej. 319

ROZDZIAŁ I.

Zagadnienie zysku z kapitału.

Każdy posiadacz pewnego kapitału jest w zasadzie w stanie uzyskać zeń jakiś stały czysty dochód, który w nauce nosi miano renty od kapitału, lub zysku z kapitału w najszerszym znaczeniu słowa. Dochód ten wyróżnia się niektórymi ciekawymi właściwościami.

Powstaje on niezależnie od osobistej pracy kapitalisty; dostaje mu się nawet, jeśli palcem nie kiwnie dla jego zdobycia, i zdaje się w pewnym sensie pochodzić od kapitału, albo — według odwiecznego porównania — być przez kapitał zrodzonym. Może być uzyskany od każdego kapitału, niezależnie od tego, z jakich dóbr się ten składa: owocnych, czy bezpłodnych, przemijających, czy trwałych, możliwych do zastąpienia, czy niezastąpionych, z pieniędzy, czy rzeczy. Nareszcie, zysk dopływa, nie uszczuplając bynajmniej kapitału, od którego pochodzi, nieograniczony w trwaniu swym żadnym terminem: jest wiecznotrwały, jeśli wolno użyć tego wyrażenia w stosunku do rzeczy ziemskich.

Tak więc w całości swej, zjawisko zysku daje zadziwiający obraz stałego i nieprzerwanego tworzenia dóbr przez martwy kapitał. A zadziwiające to zjawisko powtarza się w życiu gospodarczym z taką regularnością, iż nierzadko opierano na niem samo pojęcie kapitału. Tak Hermann w swoich »Staatswirtschaftliche Untersuchungen« określa kapitał, jako »majątek, który ofiarowuje stale popytowi swe usługi, jakby zawsze nowe dobra, nie zmniejszając przez to swojej wartości wymiennej«¹⁾.

¹⁾ 2-e wydanie, str. 111.
Kapitał.

Skąd i dlaczego otrzymuje kapitalista ten stały i żadnego trudu nie wymagający dopływ dóbr? W słowach tych mieści się teoretyczne zagadnienie zysku z kapitału. Zostanie ono rozwiązane, gdy naszkicowany tu fakt stosunku zysku do kapitału ze wszelkimi jego odrębnymi cechami będzie wyczerpująco wyjaśniony. Wyczerpująco tak pod względem zakresu, jak i głębi; wyczerpująco pod względem zakresu, gdy wszystkie formy i odmiany pojęcia zysku znajdą wyjaśnienie; wyczerpująco pod względem głębi, gdy wyjaśnienie to bez luk i błędów doprowadzone zostanie aż do granic ekonomicznych rozstrząsań; innemi słowy, gdy wyjaśnienie doprowadzone zostanie do tych ostatecznych, prostych i znanych faktów, na których się zwykle ekonomiczne wyjaśnienie kończy, na których się nauka ekonomji opiera, już ich nie dowodząc, a których dalsze tłumaczenie, jeśli ma być prowadzone, przypada w udziale sąsiednim gałęziom wiedzy, głównie psychologii i naukom przyrodniczym.

Spółeczno-polityczne zagadnienie zysku różni się bardzo wyraźnie od teoretycznego. Gdy zagadnienie teoretyczne pyta, dlaczego istnieje zysk z kapitału, społeczno-polityczne zapytuje, czy zysk z kapitału istnieć powinien; czy jest on sprawiedliwy, słuszny, użyteczny, dobry, i czy wobec tego należy go zatrzymać, przekształcić, czy usunąć. Gdy zagadnienie teoretyczne interesuje się wyłącznie przyczynami istnienia zysku z kapitału, zagadnienie społeczno-polityczne interesuje się głównie jego skutkami. Gdy teoretyczne zagadnienie troszczy się tylko o prawdę, społeczno-polityczne dba przede wszystkim o celowość.

Jak różna jest natura obu zagadnień, tak też różnym jest i charakter argumentów, które w każdym z nich znajdują zastosowanie, oraz ścisłość w przeprowadzaniu badań. Tu wybijają się na czoło argumenty, oparte na prawdzie, tam — głównie argumenty oportunistyczne. Gdy na pytanie, dlaczego istnieje zysk? można znaleźć tylko jedną prawdziwą odpowiedź, którą każdy może otrzymać przy poprawnem zastosowaniu prawideł myślenia, decyzja o tem, czy zysk jest sprawiedliwy, słuszny i użyteczny, z konieczności pozostaje w znacznym stopniu kwestją poglądów; najpoważniejsza argumentacja może wprawdzie przekonać wielu inaczej myślących, ale nigdy — nawrócić wszystkich.

Jeżeli ktoś np. za pomocą najpoważniejszych dowodów potrafi uczynić prawdopodobnem, iż zniesienie zysku z kapitału nieodwołalnie pociągnie za sobą spadek materialnego dobrobytu ludów, to nie zyska jeszcze przez to przewagi nad człowiekiem, który osobiście przekonany jest o znikomości materialnego dobrobytu, wobec tego, iż życie ziemskie jest tylko krótką chwilą wobec wieczności, a materialne bogactwo, podtrzymywane przez zysk z kapitału, raczej zawadza, niż pomaga w osiągnięciu wiekuistego celu.

To też rozważa nakazuje koniecznie wyraźne rozdzielenie tych dwu tak różnych zagadnień w zakresie badań naukowych. Oczywiście i niezaprzeczenie znajdują się one ze sobą w bliskiej styczności. Szczególniej zdaje mi się, iż nic tak nie podtrzyma prawidłowego wyroku w kwestji, czy zysk jest dobrym, czy też nie, jak prawidłowe rozpatrzenie przyczyn, które istnienie jego wywołały. Ale ten związek uprawnia jedynie do porównania rezultatów, ale nigdy dołączenia w jedno badań.

Postępowanie takie byłoby niebezpieczne dla prawidłowego rozwiązania obu zagadnień, a to dla wielu powodów. Z jednej strony w zagadnieniu społeczno-politycznem wchodzi w grę przeróżne życzenia, skłonności i namietności, które, przy jednoczesnem rozstrząsaniu obu kwestyj, nader łatwo znalazłyby dostęp i do teoretycznej części badań, i tu, dzięki swemu znaczeniu, zaciążyłyby na jednej szali, może tej właśnie, która, przy ważeniu przyczyn jedynie, pozostałaby lżejszą. Łatwo uwierzyć w to, w co się chce wierzyć, powiada stare, mądre przysłowie. Ale jeśli wyrok w teoretycznem zagadnieniu zysku wypadnie fałszywie, to odbije się to znów naturalnie na prawidłowości odpowiedzi praktycznej.

Dalej postępowanie to kryje w sobie stałe niebezpieczeństwo nieprawidłowego użycia prawidłowych argumentów. Ten, kto płacze ze sobą te dwa zagadnienia, czy zgoda jedno zmienia w drugie, i wydaje o nich jedno orzeczenie, osiągnięte zapomocą jednej metody, może też łatwo pomieścić obie grupy argumentów i każdemu z nich przypisać wpływ na całe orzeczenie. To znaczy, że może on orzeczenie swoje o pochodzeniu zjawiska zysku oprzeć w części na dowodach jego celowości, co jest bezwzględnie szkodliwe, a orzeczenie o tem, czy dobrem jest istnienie zysku z kapitału, może w części oprzeć bezpośrednio na wyłącznie teore-

tycznych rozważaniach, co w każdym razie może być szkodziące. Może się np. łatwo zdarzyć przy połączeniu obu zagadnień, że ktoś, dlatego, iż istnienie zysku z kapitału jest użyteczne dla wyniku narodowej wytwórczości, okaże się skłonny potakiwać teorii pochodzenia zysku z produkcyjnej siły kapitału; albo też ktoś, hołdujący teoretycznemu pogładowi, że zysk z kapitału powstał z uszczuplenia dochodu pracy, istniejącego dzięki stosunkom współzawodnictwa między kapitałem a pracą, może z tego powodu potępić bez dalszego zastanowienia istnienie zysku i pragnąć jego zniesienia. Jedno jest równie nieodpowiednie, jak drugie. Kwestja, czy istnienie zysku pociąga za sobą dodatnie, czy ujemne skutki dla wytwórczości ekonomicznej, niema zupełnie nic wspólnego z pytaniem, dlaczego zysk istnieje; a poznanie źródła powstania zysku z kapitału nie powinno znów absolutnie wpływać na kwestję utrzymania czy zniesienia zysku z kapitału. Niezależnie od tego, jakim jest to źródło zysku, a choćby nawet było bardzo mętne, wtedy tylko można się zdecydować na zniesienie zysku z kapitału, jeśli będzie to z korzyścią dobrobytu narodowego.

Wielu pisarzy nie zwraca uwagi na ten konieczny środek ostrożności rozdzielania owych dwu różnych zagadnień w naukowem rozważaniu. I chociaż okoliczność ta stała się źródłem wielu błędów, nieporozumień i przedwczesnych wyroków, nie mamy prawa bardzo się na nią skarżyć, gdyż praktyczne zagadnienie zysku było tym holownikiem, który wprowadził do nauki zagadnienie teoretyczne. Dzięki temu połączeniu, co prawda, teoretyczne zagadnienie musiało być opracowywane w okolicznościach, nie sprzyjających osiągnięciu prawdy; ale bez niego nie byłoby weale opracowywane przez wielu znakomych pisarzy. Tem ważniejsze jest wyciągnięcie z tych doświadczeń przeszłości nauki na przyszłość.

Zupełnie świadomie ograniczyłem swoje zadanie do skreślenia na kartkach poniższych krytycznej historii teoretycznego zagadnienia zysku. Będę się starał przedstawić w historycznym rozwoju naukowe wysiłki, dotyczące badań nad istotą i pochodzeniem zysku z kapitału, i poddać krytycznemu sprawdzeniu słuszność różnych poglądów, wypowiadanych w tej sprawie. Przeciwnie, sądy o słuszności, prawidłowości i użyteczności zysku o tyle tylko będę wciąż

gał w zakres mego wykładu, o ile się to okaże niezbędne dla wydobycia zawartego w nich teoretycznego ziarna.

Pomimo tego samoograniczenia nie potrzebuje się troszczyć o materiał do mojej historii krytycznej, zarówno do samej historii, jak i do krytyki. Temat bowiem zysku z kapitału zgromadził literaturę, której co do rozmiarów dorównują tylko nieliczne, a co do różnorodności wypowiedzanych zdań — żadna z pojedynczych gałęzi literatury ekonomicznej. Nie jedna, dwie, lub trzy, lecz cały tuzin teoryj zysku służy za dowód zapалу, z jakim ekonomiści oddawali się badaniom tego godnego uwagi zagadnienia.

Można z pewną słuszością podać w wątpliwość, czy to zajęcie się było równie szczęśliwe, jak pełne zapалу; faktem jest, iż wśród licznych poglądów na istotę i pochodzenie zysku niema ani jednego, któryby mógł uzyskać bezwarunkową aprobatę. Chociaż każdy z nich znajdował zupełne uznanie w bardziej lub mniej licznej gronie zwolenników, to jednak każdy pozostawiał tyle wątpliwości, aby nie dopuścić do zupełnego zwycięstwa. Nawet i te teorie, które skupiły koło siebie tylko słabe mniejszości, okazały się dość wytrzymałe, by nie dać się zgnieść całkowicie. Tak więc przy obecnym swym stanie¹⁾, teoria zysku z kapitału przedstawia wielobarwną kartę próbek najróżnorodniejszych poglądów, z których żadna nie jest w stanie zwyciężyć i żadna nie zgadza się uznać siebie za zwyciężoną, ale których sama liczba wykazuje bestronnnemu badaczowi, jakie mnóstwo błędów musi się w nich znajdować.

Może będzie mi danem w pracy niniejszej choć o kilka kroków przybliżyć to jedyne rozwiązanie, które dziś jeszcze zdaje się tak oddalonym.

Zanim zwrócę się do mego właściwego zadania, muszę się z czytelnikami w krótkości porozumieć co do pewnych pojęć i rozróżnień, któremi się w dalszym ciągu nieraz będziemy musieli posługiwać.

Z pośród wielu znaczeń, przypisywanych słowu »kapitał« w tak, niestety, niejednolitej terminologii naszej nauki, będę się w zakresie tych badań trzymał tego, według którego

¹⁾ Pisane w r. 1884.

kapitał oznacza kompleks wytworzonych środków produkcji, t. j. kompleks dóbr, poprzednio wytworzonych, i przeznaczonych nie do bezpośredniego spożycia, lecz do służenia dalszemu wytwarzaniu nowych dóbr. Poza pojęciem kapitału zostaną więc dla nas z jednej strony przedmioty bezpośredniego spożycia, a z drugiej całość (niewytworzonego) gruntu, ziemi.

Przyznanie pierwszeństwa temu właśnie znaczeniu uzasadnię tymczasem tylko paru względami celowości. Najpierw więc pozostaje w zgodzie z terminologią przynajmniej względnej większości pisarzy, których poglądy mam przedstawiać; powtóre zaś, takie ograniczenie pojęcia kapitału odpowiada też najlepiej zakresowi kwestji, którą mamy się zajmować. Mamy przecież zamiar badać nie teorię renty grunтовой, lecz tylko teoretyczne wyjaśnienie tego dochodu, który wynika z innych, poza ziemią, kompleksów dóbr. — Głębsze rozwinięcie pojęcia kapitału pozostawiam na później, do drugiej, dogmatycznej części tego dzieła.

W ogólnem pojęciu kapitału należy jeszcze, jak wiadomo, rozróżniać dwa odcienia: społeczno-gospodarcze pojęcie kapitału, obejmujące środki, zapomocą których wytwarza się jedynie społeczny dochód; i indywidualnie gospodarcze pojęcie kapitału, obejmujące środki, zapomocą których zdobywa się indywidualny dochód, t. j. dobra, zapomocą których jednostka zdobywa sobie inne dobra, niezależnie od tego, czy pierwsze są w znaczeniu całej społecznej gospodarki środkami produkcji, czy spożycia, dobrami wytwórcami, czy spożywczymi. Tak np. książki z wypożyczalni wejdą w pojęcie kapitału indywidualnie-gospodarczego, a nie społecznie gospodarczego. W zakres tego ostatniego wejdą — jeśli pominiemy nieliczne, wypożyczone za wynagrodzeniem zagranicę, przedmioty bezpośredniego spożycia — wytworzone środki produkcji danego kraju. Teoria zysku ma do czynienia z obydwojma odcieniami pojęcia kapitału. Właściwie, wobec tego, iż zysk przedstawia jedną z form indywidualnie gospodarczego dochodu, powinna by ona być głównie związana z indywidualnie-gospodarczym pojęciem kapitału. Ale specjalne okoliczności spowodowały, iż w licznych rozważaniach teorii zysku właśnie społeczno-gospodarcze pojęcie kapitału występuje na plan pierwszy. To też

przeważnie to ostatnie będziemy mieli na myśli, używając w dalszym ciągu słowa kapitał.

Dochód wypływający z kapitału będę nazywał rentą kapitału, lub częściej zyskiem z kapitału, używając ostatniego słowa w szerszem jego znaczeniu.

Zysk z kapitału występuje znowu w rozlicznych formach i kształtach.

Przedewszystkiem należy rozróżniać ogólny zysk z kapitału (zysk brutto) i czysty (zysk netto). Pierwszy przedstawia całe mnóstwo najróżnorodniejszych dochodów, które tylko zewnętrznie tworzą jedną całość. Obejmuje on dochód brutto z używania kapitału, w którym się zwykle znajduje oprócz prawdziwego zysku z kapitału częściowy zwrot wydatkowanego kapitału i wszelkich bieżących kosztów, wydatków na reperacje, premij za ryzyko i t. p. Zysk z wynajmu, który pobiera właściciel domu za wynajęte mieszkania, jest zyskiem, brutto, z którego trzeba odtrącić pewną sumę na bieżące koszty utrzymania i częściową odbudowę niszczonego się z biegiem czasu domu, by odnaleźć znajdujący się w nim prawdziwy dochód z kapitału. — Czysty zysk jest, przeciwnie, właśnie tym prawdziwym dochodem z kapitału, takim, jak się przedstawia po usunięciu owych różnorodnych pierwiastków z zysku brutto. Teoria zysku zajmuje się oczywiście wyjaśnieniem czystego zysku z kapitału.

Następnie odróżniać też trzeba pierwotny zysk z kapitału, od umownego zysku, czyli procentu.

Użytkowanie kapitału w rękach tego, kto używa go do produkcji, wyróżnia się mianowicie przez to, że całość produktów, odtworzonych za pomocą kapitału, z zasady posiada większą wartość, niż całość dóbr, zużytych na koszt produkcji. Nadwyżka wartości tworzy dochód z kapitału, albo, jak będziemy go nazywali, pierwotny zysk z kapitału.

Posiadacz kapitałów wyrzeka się jednak często samodzielnego osiągnięcia pierwotnego zysku z kapitału, a chętniej odstępuje prawo czasowego korzystania z kapitału komu innemu, wzamian za określoną zapłatę. Zapłata ta w popularnej terminologii nosi wiele imion. Nazywa się czynszem, albo dzierżawą, jeśli odstąpiony kapitał przedstawia dobra trwałe. Nazywa się zyskiem lub odsetkiem, gdy kapitał składa się z dóbr, ulegających zniszczeniu lub zamianie. Wszystkie te

odmiany dają się doskonale objąć jednolitą nazwą umownego zysku z kapitału, czyli procentu.

Pojęcie procentu jest zupełnie proste, pojęcie pierwotnego zysku z kapitału wymaga jeszcze bliższego określenia. Może mianowicie z pewną słuszością powstać pytanie, czy całkowity dochód, który przedsiębiorca wydobywa z produkcji, może być zapisany na rachunek jego kapitału. Oczywiście, nie dzieje się to w wypadku, gdy przedsiębiorca jednocześnie spełnia we własnym swoim przedsiębiorstwie funkcje jednego z robotników; wtedy bez żadnej kwestji część »dochodu« jest poprostu wynagrodzeniem pracy przedsiębiorcy. Ale nawet, jeżeli nie bierze on udziału osobiście w procesie produkcji, to w każdym razie wydatkuje pewną ilość osobistej pracy w zakresie ogólnego kierunku, tworzenia planów dla dalszego prowadzenia zakładu, a przynajmniej w zakresie świadomej woli użytkowania swoich środków produkcji w określonym przedsiębiorstwie. Powstaje więc pytanie, czy wobec tego w ogólnym dochodzie, wpływającym z danego przedsiębiorstwa, nie należy rozróżniać dwóch kwot, jednej, ujmowanej, jako wynik wydatkowanego kapitału, jako dochód z kapitału, i drugiej, ujmowanej, jako wynik działalności przedsiębiorcy?

Zdania w kwestji tej są podzielone. Większość ekonomistów przyjmuje takie rozróżnienie i z ogólnego dochodu wytwórczego przedsiębiorstwa wydziela część, jako dochód z kapitału, i część, jako dochód przedsiębiorcy. Naturalnie, nie daje się określić z matematyczną ścisłością, ile w każdym pojedyńczym wypadku wnosi do ogólnego dochodu czynnik rzeczowy — kapitał, a ile czynnik osobisty — działalność przedsiębiorcy. By jednak móc obie części przedstawić cyfrowo, robi się obliczenie na podstawie innych okoliczności. Bada się mianowicie, ile naogół przynosi kapitał określonej wielkości. To przedstawia się poprostu w stopie procentowej, której się używa w danym kraju przy umieszczaniu kapitałów w zupełnie pewnej pożyczce. Przypisuje się więc z ogólnego dochodu przedsiębiorstwa umieszczonego w nim kapitałowi tyle, ile odpowiada wysokości powszechnie spotykanego oprocentowania, resztę zaś zalicza się na »dochód przedsiębiorcy«. Jeśli np. przedsiębiorstwo, w którym ulokowano kapitał 100.000 fl., daje dochodu rocznego 9.000 fl., a powszechnie spotykana stopa procentowa jest 5%,

to 5.000 fl. będą uważane za dochód z kapitału, a pozostałe 4.000 fl. za dochód przedsiębiorcy.

Pewna ilość ekonomistów, przeciwnie, jest tego zdania, że takie rozróżnianie jest bezpodstawne, i że tak zwany dochód przedsiębiorcy jest jednorodnym z dochodem z kapitału¹⁾.

Rozróżnienie, który z tych poglądów jest prawidłowym, jest przedmiotem samodzielnego, o niemałej trudności problemu, problemu zysku przedsiębiorcy.

Trudności, otaczające nasz specjalny przedmiot, zagadnienie zysku, są tak znaczne, iż nie jest wskazane komplikowanie ich jeszcze przez wtrącanie drugiego trudnego zagadnienia. To też świadomie nie będę wchodził w rozpatrywanie i rozstrzyganie problemu zysku przedsiębiorcy: będę traktował, jako zysk z kapitału to tylko, co przez wszystkie kierunki jest zgodnie za takowy uważane, mianowicie umowny zysk z kapitału²⁾ w całości, a z »pierwotnego« zysku przedsiębiorstwa tyle, ile odpowiada powszechnie spotykanemu oprocentowaniu kapitału przedsiębiorstwa. Kwestję zaś, czy t. zw. dochód przedsiębiorstwa jest, czy nie jest dochodem z kapitału, świadomie pozostawię otwartą. Na szczęście stosunki tak się układają, iż mogę to uczynić bez szkody dla naszych badań, gdyż zjawiska, których charakter zysku jest ustalony, tak dalece stanowią przeważającą masę i charakterystyczne jądro zjawisk zysku, że na nich można spokojnie badać jego istotę i pochodzenie, bez poprzedniego rozwiązywania sporu o granice.

Nie potrzebuję osobno podnosić, iż nie uważam, aby powyższe krótkie uwagi dawały wyczerpujący, a nawet zupełnie poprawny wykład zasadniczych pojęć teorii kapitału: chodziło mi tylko o możliwie bezzwłoczne ustalenie zdanej do użytku i niedwuznacznej terminologii, na podstawie której będziemy mogli się porozumieć w krytyczno-historycznej części pracy niniejszej.

¹⁾ Porównać dla całego zagadnienia pomiędzy innymi Pierstorffa, Die Lehre vom Unternehmervergewinn, Berlin, 1875. W ostatnich czasach rozwój »teorii zaliczania (Zurechnungstheorie)« stał się pierwszorzędym przyczynkiem do rozwiązania starej spornej kwestji.

²⁾ Naturalnie, o ile jest on wogóle czystym zyskiem.

ROZDZIAŁ II.

Zwalczanie procentu ze strony starożytnych filozofów i kanonistów.

Zwykłem jest zjawiskiem, iż stopniowo rozwijają się nie tylko wiadomości nasze o rzeczach będących przedmiotem badania, ale i same pytania, które co do nich stawiamy. Wyjątkowo tylko zdarza się, że odrazu, przy pierwszym zwróceniu uwagi na pewne zjawisko, zostaje ono ujęte w całym swoim zakresie, w całej pełni wewnętrznie przynależnych do niego poszczególnych wypadków, i sprowadzone do treści jednego ogarniającego je pytania. Daleko częściej zwraca na siebie uwagę człowieka jakiś szczególnie jaskrawy pojedynczy wypadek, i dopiero stopniowo dochodzimy do rozpoznania wspólnego pochodzenia nawet najbardziej oddalonych ogniw tej samej grupy zjawisk i wciągnięcia ich do wciąż rosnącego problemu. Tak samo działo się i ze zjawiskiem zysku z kapitału. Z początku stało się ono dla człowieka treścią pytania tylko pod postacią procentu od pożyczki, i już przez całe 2.000 lat teoretyzowano nad istotą procentu, zanim uznano za potrzebne postawić pytania dlaczego? i skąd? także odnośnie do pierwotnego zysku z kapitału, i w ten sposób dano nareszcie zagadnieniu zysku z kapitału jego pełny, naturalny zakres.

Jest to zupełnie zrozumiałe. Tem, co przede wszystkim pobudza do myślenia w zjawisku zysku z kapitału, jest jego tworzenie się bez udziału pracy z zawsze równie płodnego macierzystego dobra. Te charakterystyczne cechy występują w zjawisku procentu tak jaskrawo, a specjalnie w zjawisku procentu od bezpłodnych z natury swojej sum pieniężnych, tak drastycznie, że musiały się narzucać i pobudzać do stawiania pytań, nie tylko prawidłowo myślącym umysłom, ale i całemu ogółowi. Przeciwnie, pierwotny zysk z kapitału zdobywany jest wprawdzie nie przez pracę, ale przy współdziałaniu pracy przedsiębiorcy-kapitalisty, co przy powierzchownej obserwacji łatwo może być pomieszane, a w każdym razie nie dość jaskrawo wyodrębnione, by można było łatwo odróżnić dziwny moment zarobku bez pracy i w pierwotnym zysku z kapitału. Aby mogło dojść do tego, aby zagadnienie zysku doznało istotnego posunięcia, musiał się najpierw

znacznie rozwinąć sam kapitał i zastosowanie jego w życiu gospodarczym, a przede wszystkim musiało się rozpocząć systematyczne badanie źródeł dochodu, nie zadawające się tem tylko, co rzuca się w oczy swą jaskrawością, ale umiające wyciągać na światło najprostsze i najskromniejsze formy zjawisk. Te warunki jednak zostały spełnione dopiero w parę tysiącleci po pierwszym zdumieniu wobec procentu, »wydobytego z bezpłodnych pieniędzy«.

To też historia zagadnienia zysku zaczyna się od bardzo długiej epoki, w której tylko procent, albo jeszcze ściślej ograniczony procent od pożyczki jest jedynym obiektem badań. Epoka ta zaczyna się w głębokiej starożytności i panuje aż do XVIII-go stulecia naszej ery. Wypełniona jest przez dwa, wzajem się zwalczające, poglądy: pierwszy, starszy, jest procentowi nieprzychylny, drugi, młodszy, występuje w jego obronie. Przebieg tego sporu jest wysoce interesujący z punktu widzenia historii kultury; wywarł też niezmiernie silny wpływ na praktyczny rozwój życia gospodarczego i prawnego, pozostawiając w nim po dziś dzień jeszcze ślady. Dla rozwoju teoretycznego zagadnienia zysku, była jednak ta epoka mało owocną, pomimo swej długotrwałości i niezliczonego mnóstwa czynnych w tym czasie pisarzy. Nie spierano się bowiem o jądro sprawy, ale, jak zobaczymy, o teoretycznie dość podrzędne kwestje przedwstępne do zagadnienia zysku. Teoria zajmowała też w stosunku do praktyki bardzo podrzędne stanowisko. Większości uczestników sporu chodziło nie tyle o zgłębienie istoty procentu dla niego samego, ile o posiadanie odpowiedniej teoretycznej pomocy do utrzymania poglądu mocno zakorzenionego z powodów religijnych, moralnych, lub gospodarczych o tem, czy zysk jest dobrym, czy też godnym potępienia. Ponieważ zaś okres rozkwitu tego sporu wypadł jednocześnie z okresem rozkwitu scholastyki, to łatwo się domysleć, iż poznanie istoty rzeczy, o którą się spierano, nie szło w parze z ilością argumentów i przeciwargumentów.

Będę się też bardzo krótko zajmował przedstawieniem tego najwcześniejszego okresu rozwoju naszego zagadnienia. Mogę sobie na to pozwolić tem łatwiej, iż posiadamy już liczne, a poczęści bardzo dobre opracowania tego okresu, w których czytelnik może znaleźć o wiele więcej szczegółów,

niz byłoby to potrzebne, lub tylko celowe przytaczać dla naszego zadania¹⁾. Zaczę od przedstawienia kierunku procentowi wrogiemu.

Jak słusznie zauważył Roscher, na najniższych stopniach kultury gospodarczej występuje stale silna odraza do pobierania procentu. Kredyt celowy, twórczy, jest wówczas mało rozwinięty, prawie wszystkie pożyczki zaciągane są w celach spożywczych, lub z nędzy. Wierzyciel jest zazwyczaj bogaty, dłużnik biedny, i pierwszy ukazuje się w zniechęconej postaci człowieka, zabierającego jako procent część tego mizernego dobytku biedaka, by dołączyć ją do swoich nadmiernych bogactw. Nic więc dziwnego, iż zarówno świat starożytny, który pomimo pewnego rozpędu gospodarczego, nie posiadał jednak silnie rozwiniętego pojęcia kredytu, jak i chrześcijańskie średniowiecze, cofnięte po upadku rzymskiej kultury w życiu gospodarczym, jak i w tylu innych rzeczach, do stanu całkiem prymitywnego, odnosiły się do procentu od pożyczek w najwyższym stopniu niechętnie. Niechęć ta pozostawiła po sobie pomniki w dziełach i aktach obu tych okresów. Wrogię procentowi wystąpienia świata starożytnego nie są właściwie nieliczne, lecz nie posiadają głębszego znaczenia dla rozwoju historii doktryn. Składa się na nie w części pewna ilość aktów prawodawczych, zabraniających pobierania procentu, wśród

¹⁾ Z bogatej literatury, dotyczącej zysku z kapitału i lichwy w dawniejszych czasach, podkreślam: Böhmér, *Jus ecclesiasticum Protestantium*, Halla, 1736, tom V, tytuł 19; Riży, *Ueber Zinstaxen und Wuchergesetze*, Wiedeń, 1859; Wiskemann, *Darstellung der in Deutschland zur Zeit der Reformation herrschenden nationalökonomischen Ansichten*, (Preisschriften der fürstl. Jablonowskischen Gesellschaft, tom X, Lipsk, 1861); Laspeyres, *Geschichte der volkswirtschaftlichen Ansichten der Niederländer* (tom XI tychże Preisschriften, Lipsk, 1863); Neumann, *Geschichte des Wuchers in Deutschland*, Halla, 1865; Funk, *Zins und Wucher*, Tubinga, 1868; Knies, *Der Credit*, część I-a, Berlin, 1876, str. 328 i nast.; a przedewszystkiem świetne prace Endemanna o ekonomicznej nauce kanonistów: *Die nationalökonomischen Grundsätze der kanonistischen Lehre*, Jena, 1863, oraz: *Studien in der romanisch-kanonistischen Wirtschafts- und Rechtslehre*, tom I, Berlin, 1874, tom II, 1883.

których są sięgające bardzo odległych czasów¹⁾; w części zaś z mniej lub więcej przypadkowych orzeczeń filozofów i filozofujących pisarzy.

Prawne zakazy pobierania procentu mogą być wprawdzie uważane za wyraz silnego i rozpowszechnionego przekonania o naganności pobierania procentu, nie są jednak wyraźnie oparte na teorii, a w każdym razie na nią się nie powołują. Filozofujący myśliciele znowu, jak Plato, Arystoteles, obaj Katonowie, Seneca, Cicero, Plautus i inni, dotykają zwykle problemu procentu tak pobieżnie, że pomijają teoretyczne umotywowanie swego wrogię procentowi wyroku, a ponadto zajmują się tą sprawą w taki sposób, że niewiadomo, czy niechętni są pobieraniu procentu ze względu na jakieś specjalne zawarte w nim zło, czy też ze względu na ogólny wynik — zwiększanie zniechęconego bogactwa²⁾.

¹⁾ Np. zakaz pobierania procentu w prawodawstwie Mojżesza, który zresztą dotyczył pobierania procentu pomiędzy Żydami, a mógł nie być obserwowany w stosunku do cudzoziemców: *Exodus*, 22, 25; *Leviticus*, 25, 35—37; *Deuteronomium*, 23, 19—20. — W Rzymie pierwotnie XII tablic pozwalały na uciarcum foenus. W Rzymie Genucia (322 przed Chr.) zupełnie zakazała pobierania procentu pomiędzy obywatelami rzymskimi, a zakaz ten później rozciągnięty został przez *lex Sempronia* i *lex Gabinia* także na socii i na stosunki z mieszkańcami prowincji. Porówn. Knies, op. cit. str. 328 i nast. i tamże cytowanych pisarzy.

²⁾ Zestawiam tu niektóre najczęściej cytowane wyjątki. Plato, *de legibus*, V, 742: »Nie należy pozostawiać pieniędzy w depozycie u kogoś, komu się nie ufa, ani też ich pożyczać na procent«. Arystoteles, *Nikom. Etyka* IV, 1: »...uprawiający rzemiosło, niegodne wolnego i ukształconego człowieka: kuplerzy i im podobni, lichwiarze, pożyczający drobne sumy na wysoki procent; bo ci wszyscy biorą ze źródeł, z których czerpać nie powinni, albo więcej, niżby powinni« (inny ustęp z Arystotelesa patrz niżej). Katon starszy u Cicerona, *de officiis*, II, na końcu: »Ex quo genere comparationis illud est Catonis senis: a quo cum quaereretur, quid maxime in re familiarum expediret, respondit: Bene pascere. Quid secundum? Satis bene pascere. Quid tertium? Male pascere. Quid quartum? Arare. Et cum ille, qui quaesierat, dixisset, Quid foenerari? Tum Caton, Quid hominem, inquit, occidere?« Katon młodszy, *de re rustica*, proem: »Majores nostri sic habuerunt, et ita in legibus posuerunt, furem dupli condemnare, foeneratorem quadrupli. Quanto pejorem civem existimant foeneratorem quam furem, hinc licet existimari«. Plautus, *Mostellaria*, akt III, scena pierwsza: »Videturne obse-

Jeden jedyny ustęp w starożytnej literaturze posiada, zdaniem mojem, bezpośrednią wartość dla historii doktryny, gdyż pozwala wyprowadzić określony pogląd autora na gospodarczą istotę zysku z kapitału: jest to wielokrotnie cytowany ustęp z pierwszej księgi arystotelesowskiej »Polityki«. Arystoteles mówi tam (III, 23): »Ponieważ ostatnia (działalność zarobkowa) ma, jak powiedziano, podwójny charakter, jedną stroną należąc do handlu, drugą do gospodarstwa domowego, przyczem ta ostatnia uważana jest za konieczną i godną pochwały, a tamta dotycząca handlu słusznie uznana za naganną (gdyż nie jest zgodną z naturą, lecz opartą na obustronnem oszustwie), więc rzemiosło lichwiarza z najzupełniejszą słusnością jest znienawidzone, ponieważ dochód wyciągany w niem jest z samych pieniędzy, nie używanych do tego, do czego zostały wynalezione. Wynalezione bowiem zostały dla wymiany towarów, a procent powiększa je, skąd też uzyskał swoją nazwę (τόκος); gdyż urodzeni podobni są rodzącym. Procent zaś (zysk) jest pieniądzem z pieniądza, tak, że ze wszystkich sposobów zarabkowania ten jest najprzeciwiejszym naturze«.

Dogmatyczne jądro tego sądu daje się ująć w krótkich słowach: pieniądz z natury swojej jest bezpłodny. — Zysk, który wierzyciel ciągnie ze swojej pożyczki, nie może być pochodzić z własnej gospodarczej siły pieniądza, tylko z oszukaństwa w stosunku do dłużnika (»ἐπ' ἀλλήλων ἐστίν«); procent jest więc godnym potępienia i nieprawidłowym dochodem, płynącym z oszukaństwa.

Że pisarze pogańskiej starożytności nie zajmowali się głębiej kwestją procentu, daje się najłatwiej wytłumaczyć przez to, iż kwestja ta w ich czasach nie miała praktycznego znaczenia. Władza państwowa z biegiem czasu pogodziła się znowu z pobieraniem procentu. W Attyce oddawna już pozostawiono co do tego swobodę. Imperium rzymskie, nie co-

cro hercle idoneus, Danista qui sit? genus quod improbisimum est... Nullum edepol hodie genus est hominum tetrus, nec minus bono cum jure quam Danisticum«. Seneca, de beneficiis VII, 10: »quid enim ista sunt, quid foenus et calendarium et usura, nisi humanae cupiditatis extra naturam quaesita nomina?... quid sunt istae tabellae, quid computationes et venale tempus et sanguinolentae centesimae? voluntaria mala ex constitutione nostra pendentia, in quibus nihil est, quod subici oculis, quod teneri manu possit, inanis avaritiae somnia«.

fajac formalnie surowych praw, całkowicie zabraniających pobierania procentu, tolerowało je jednak, a później formalnie sankcjonowało przez ustanowienie prawnych norm procentowych. Istotnie, stosunki gospodarcze zbyt się stały skomplikowane, by wystarczyć im mogły czysto bezinteresowne stosunki kredytowe, które z natury rzeczy muszą zawsze pozostać bardzo ograniczone. Ludzie, zajmujący się interesami i wogóle ludzie praktyki, wszyscy bez wyjątku wypowiadali się na korzyść procentu. Pisać, wypowiadając się za procentem, było w tych warunkach zbyt łatwe, przeciw niemu — beznadziejne, i doskonale odpowiada temu stanowi rzeczy fakt, że jedynym prawie miejscem, gdzie się schroniła zrezygnowana nagana pobierania procentu, są dzieła filozofów.

O wiele więcej racji do gruntownego zajmowania się kwestją procentu mieli pisarze chrześcijańskiego okresu.

Ciężkie czasy, które poprzedziły upadek cesarstwa rzymskiego i pozostały, jako jego skutek, odbiły się też i na sprawach gospodarczych, co znowu, jako skutek naturalny, pociągnęło za sobą wzmożenie się wrogiej procentowi tendencji wieku. W tym samym kierunku oddziaływał też i swoisty duch chrześcijaństwa: wyzyskiwanie biednych dłużników przez bogatych wierzycieli musiało się przedstawić w specjalnie nieprzychylnem świetle, gdyż religja z jednej strony nakazywała zaliczać łagodność i miłosierdzie do najważniejszych cnót, a z drugiej dobra ziemskie naogół nisko cenić.

Najważniejszym było jednak, iż w Piśmie św. Nowego Testamentu znalazły się pewne ustępy, które, przy wyjaśnieniu, powszechnie im dawanem, zdawały się zawierać bezpośredni boski zakaz pobierania procentu. Dotyczy to przede wszystkim głośnego ustępu Ewangelji św. Łukasza: »mutuum date nihil inde sperantes«¹⁾. Potężne poparcie, które wrogi procentowi duch czasu znalazł w wypowiedzeniu się boskiego autorytetu, umożliwiło mu raz jeszcze pociągnąć w swoim kierunku prawodawstwo. Kościół chrześcijański udzielił mu na to swych wpływów. Krok za krokiem potrafił wprowadzić zakaz pobierania procentu do prawodawstwa.

¹⁾ Ev. Luc. VI, 32 i nast. O istotnym sensie tego ustępu patrz Knies, op. cit., str. 333 i nast.

Z początku pobieranie procentu zostało zakazaniem tylko z punktu widzenia kościelnego i tylko duchownym; dalej wszystkim świeckim, ale zawsze jeszcze tylko kościelnie; narreszcie świeckie prawodawstwo poddało się wpływowi Kościoła i usuwając prawo rzymskie, przyłączyło się do surowego wyroku kościelnego¹⁾.

Kierunek ten dostarczył wrogiej procentowi literaturze bogatego pokarmu na półtora tysiąca lat. Starzy pogańscy filozofowie mogli posłać w świat swój wyrok potępiający bez wielkiego umotywowania, ponieważ ani potrzebowali, ani mogli dać mu jakieś dalsze praktyczne skutki: jako »platoniczne« orzeczenie idealistów, zbyt mało ważył wyrok ich w świecie praktycznym, by zostać w poważnej walce zaczepionym i domagać się równie poważnej obrony. Teraz zaś sprawa znowu nabrała praktycznego znaczenia. Przedewszystkiem chodziło o to, by słowu bożemu i na ziemi dopomóc do zwycięstwa, a gdy to zostało osiągnięte, trzeba było bronić sprawiedliwości nowych praw przeciw napaściom, które się natychmiast pojawiły. Zadanie to przypadło oczywiście w udziale teologicznej i prawnej literaturze Kościoła; i tak powstał ruch literacki na temat procentu, towarzyszący kanonicznemu zakazowi pobierania procentu od jego najpierwszych zarodków aż do ostatnich śladów, sięgających jeszcze głęboko w XVII-e stulecie.

Co do charakteru tej literatury, to dopiero XII wiek naszej ery przynosi godny uwagi punkt zwrotny. Przed tem stuleciem sprawa spoczywała przedewszystkiem w ręku teologów, i sposób jej prowadzenia był również wybitnie teologiczny: na dowód niesprawiedliwości pobierania procentu powoływano się na Boga i Objawienie, na ustępy Pisma Św., na przykazanie miłości bliźniego, sprawiedliwości i t. p.; rzadko tylko, i to w najogólniejszych wyrażeniach, na prawne i gospodarcze względy. Najgłębiej, chociaż też niezbyt głęboko, wypowiadają się w tej sprawie ojcowie Kościoła²⁾.

Począwszy zaś od XII wieku, dyskusja przenosi się powoli na coraz to szerszą naukową podstawę; do powołań się

¹⁾ O rozpowszechnieniu zakazu pobierania procentu patrz Endemann, Nationalökonomische Grundsätze, str. 8 i nast., Studien in der romanisch-kanonistischen Wirtschafts- und Rechtslehre, str. 10 i nast.

²⁾ Patrz niżej.

na autorytet Objawienia dołącza się także powoływanie się na autorytet ojców Kościoła, kanonistów i filozofów — również i pogańskich — na stare i nowe prawa, a także dedukcje z »jus divinum«, »jus humanum«, i — co dla nas specjalnie jest ważne, ponieważ dotyka gospodarczej strony rzeczy — z »jus naturale«. Jednocześnie obok teologów, biorą udział w ruchu coraz częściej prawnicy, najpierw kanoniści, później legiści.

Główną przyczyną tego coraz troskliwszego i szerszego zajęcia się tematem procentu było to, iż zakaz jego pobierania z biegiem czasu był coraz bardziej odczuwany jako ucisk i potrzebował silniejszej obrony wobec oporu uciśnionego handlu. Początkowo narzucony gospodarce, o tyle jeszcze mało rozwiniętej, że z łatwością znieść go mogła, rozporządzał ów zakaz w pierwszych wiekach swego istnienia jeszcze tak nieznacznymi środkami nacisku z zewnątrz, iż życie praktyczne, jeśli czuło się przezeń skrepowane, mogło bez wielkiego niebezpieczeństwa poprostu przejść nad nim do porządku. Później jednak wzmocniła się nie tylko gospodarka, której wzrastające zapotrzebowanie kredytu musiało być coraz bardziej zahamowane przez zakaz pobierania procentu, ale i sam ten zakaz wzmocnił się znacznie, w miarę rozpowszechnienia i wagi wykroczeń przeciw niemu. To też konflikty jego z gospodarką musiały się stać podwójnie częste i ostre; najnaturalniejsza jego podpora, powszechne przekonanie, które nie знаło pierwotnie wyjątków, zaczęło go odstępować, to też tem bardziej potrzebował podtrzymania teoretycznego, które też od rozwijającej się nauki otrzymał¹⁾.

Z dwu faz rozwoju literatury kanonicznej zysku, pierwsza nie posiada prawie żadnego znaczenia dla historii doktryny: jej teologizujące i moralizujące wywody nie wychodzą daleko poza proste wyrażenie wstępu do pobierania procentu i powoływanie się na autorytety²⁾.

¹⁾ Porówn. Endemann, Studien, str. 11—13, 15 i n.

²⁾ By dać czytelnikom pobieżne pojęcie o tonie, w którym ojcowie Kościoła rzecz traktowali, podaję tu wybór z najczęściej cytowanych ich wywodów: Lactantius, lib. 6, Divin. Inst. c. 18 mówi o człowieku sprawiedliwym: »Pecuniae, si quam crediderit, non accipiet usuram: ut et beneficium sit incolume quod succurat necessitati, et absteineat se prorsus alieno; in hoc enim officii debet suo esse contentus, quem oporteat alias ne



Większe znaczenie ma druga faza, chociaż nieproporcjonalne do ilości czynnych w niej pisarzy, ani do ilości, bardzo okazałej, wysuniętych przeciw procentowi argumentów¹⁾. — Po kilku autorach bowiem, rozumujących w sposób oryginalny, przychodzili inni, powtarzający za nimi jakby za panią matką pacierz, i zapas argumentów, przez przerwszych nagromadzony, przechodził, jakby nienaruszalny spadek, przez dzieła wszystkich następnych. Wśród argumentów przeważają powoływania się na autorytety, niektóre noszą charakter moralizujący, albo są bez znaczenia; tylko stosunkowo mała liczba — głównie dedukcje z »jus naturale« — mogą zwrócić na siebie uwagę z teoretycznego punktu widzenia. Jeśli niektóre z tych ostatnich wydadzą się współczesnemu czytelnikowi również mało przekonywujące, to nie należy zapominać, że i wówczas nie było ich udziałem przekonywanie. To, w co należało wierzyć, już przez to samo trzymało się mocno. Istotnie przekonywująco działającym dowodem było Słowo Boże, które, jak zakładano, potępiało zysk. Dowody rozumowe, które wynajdywano w tym samym celu, nie były niczem więcej, jak požądaniem dopełnieniem tego dowodu zasadniczego, i, nie dźwigając głównego ciężaru prze-

quidem parcere, ut bonum faciat; plus autem accipere, quam dederit, injustum est. Quod qui facit, insidiatur quodam modo, ut ex alterius necessitate praedetur». Ambrosius, de bono mortis, c. 12: »Si quis usuram acceperit, rapinem facit, vita non vivit«. Tenże, de Tobia, c. 3: »Talia sunt vestra, divites! beneficia. Minus datis, et plus exigitis. Talis humanitas, ut spolietis etiam dum subvenitis. Foecundus vobis etiam pauper est ad quaestum. Usurarius est egenus, cogentibus nobis, habet quod reddat: quod impendat, non habet«; tamże c. 14: »...Ideo audiant quid lex dicat. Neque usuram inquit, escarum accipies, neque omnium rerum«. Chrysostomus w cap. Matthaei 17. Homil. 56: »Noli mihi dicere, quaeso, quia gaudet et gratiam habet, quod sibi foenore pecuniam colloces: id enim crudelitate tua coactus fecit...« Augustinus w Psalmum 128: »Audent etiam foeneratores dicere, non habeo aliud unde vivam. Hoc mihi et latro diceret, deprehensus in fauce: hoc et cafferactor diceret... et leno... et maleficus...« Tenże (cytowany w Decret. Grat. c. 1 Causa XIV qu. III): »si plus quam dedisti expectas accipere foenerator es, et in hoc improbandus, non laudandus«.

¹⁾ Molinaeus w dziele, wydanem w 1546 roku, wspomina autora, który niedługo przedtem wysunął przeciw procentowi nie mniej, niż 25(!) Argumentów. (Tract. contract., Nr. 528).

konywania, nie potrzebowały być uzbrojonymi przeciw wszystkim ciosom¹⁾.

Te rozumowe dowody, które mogą być dla nas interesujące, przytoczę poniżej w krótkości, zaopatrując je w parę cytów z tych autorów, którzy im dali poważny i dobitny wyraz.

Przedewszystkiem natykamy się na arystotelesowski argument o bezpłodności pieniądza, z tą różnicą, że teoretycznie ważne ujęcie zysku, jako pasożyta na wyniku cudzej pracy, występuje u kanonistów o wiele ostrzej. A więc u Gonzales Tellez²⁾: »...Następnie dlatego, iż pieniądze nie płodzą pieniędzy; dlatego przeciwnem jest naturze branie czegoś ponad pożyczoną sumę; i słuszniej byłoby powiedzieć, iż wzięte to jest z trudu, niż z pieniędzy, które są bezpłodne, jak to już Arystoteles naucza... A jeszcze wyraźniej Covarruvias³⁾: »Czwarty powód... jest ten, że pieniądz sam z siebie żadnego owocu nie przynosi, ani rodzi: dlatego niedozwolonom i niesłusznem jest brać coś ponad rzecz pożyczoną za jej używanie, gdyż byłoby to wzięte nie tyle z pieniądza, który żadnych owoców nie daje, a o wiele więcej z cudzego trudu«.

Drugi dowód, oparty na »prawach naturalnych«, stanowiła używalność pieniędzy i innych dóbr pożyczanych. Ten argument był już bardzo gruntownie przeprowadzony przez św. Tomasza z Aquinu. Dowodzi on, że są przedmioty, których użytkowanie polega na samym ich zużyciu, np. chleb i wino. To też w takich przedmiotach nie można oddzielić użytkowania od samych rzeczy, i jeśli się pragnie przekazać komuś ich użytkowanie, to niezbędnie musi się mu przekazać i rzecz samą. Właśnie dlatego, przy pożyczaniu takich rzeczy, przenosi się też prawo ich posiadania. Byłoby poprostu niesłuszne, gdyby ktoś chciał sprzedawać wino i niezależnie od tego jeszcze prawo używania wina: w ten sposób bowiem albowy sprzedawał dwa razy tę samą rzecz, albo coś zgola nieistniejącego. Zupelnie tak samo niesłusznem jest pożyczanie takich rzeczy na procent. I tutaj także za jedną rzecz otrzymuje się dwie ceny: zwrot takiegoż przedmiotu i cenę za użytkowanie, zwaną procentem

¹⁾ Porówn. E n d e m a n n a, Grundsätze, str. 12, 18.

²⁾ Commentaria perpetua in singulos textus quinque librorum Decretalium Grigorii IX. Tom V, cap. 3 de usuris V. 19, Nr. 7.

³⁾ Variarum resolutionum liber III, cap. 1, Nr. 5.

(usura). Ponieważ zaś użytkowanie pieniędzy polega na ich zużywaniu, czy wydawaniu, więc i żądanie pewnej ceny za używanie pieniędzy, jest z tych samych przyczyn niedozwolone¹⁾. W myśl tej argumentacji, procent przedstawia się więc jako cena wyludzona, czy wymuszona, za rzecz naprawdę wcale nieistniejącą, za samodzielne »użytkowanie« zużywających się dóbr.

Do podobnego rezultatu dochodzi trzeci stereotypowo powracający się bieg rozumowania. Ponieważ pożyczone dobro przechodzi na własność dłużnika, więc używanie go, za które wierzyciel każe sobie płacić procent, jest używaniem cudzej już rzeczy, z której bez niesprawiedliwości nie wolno mu ciągnąć zysku. Tak Gonzales Tellez, l. c.: »Gdyż wierzyciel, który z cudzej rzeczy zysk ciągnie, wzbogaca się ze szkoda innego człowieka«. A jeszcze ostrzej Vacconius a Vacuna²⁾: »Kto więc z takich pieniędzy zbiera owoce, czy to będą sztuki złota, czy co innego, zbiera z rzeczy, która do niego nie należy, i jest to tak samo, jak gdyby je ukradł«.

Zgola oryginalny argument, który, jak sądzę, Tomasz z Aquinu pierwszy włączył do skarbca kanonicznych argumentów, rozpatruje procent, jako obłudnie wyludzoną zapłatę za dobro ogólne, za czas. Lichwiarze, którzy, pobierając procent, otrzymują więcej, niż dali, szukają wykrętu, któryby im pozwolił przedstawić zawarty układ, jako sprawiedliwy. Tym wykrętem jest dla nich czas. W czasie bowiem chcą oni widzieć kompensatę za ten nadmiar zysku, który otrzymują pod postacią procentu. Ten pogląd bierze początek w fakcie, iż pobierany procent wyższy jest, lub niższy, zależnie od tego, czy czas, na który przedmiot został pożyczony, był dłuższy, czy krótszy. Ale czas jest dobrem ogólnym, które do nikogo wyłącznie nie należy, ale dane zostało przez Boga wszystkim w równej mierze. Gdy więc lichwiarz chce

¹⁾ Summa totius theologiae, IV, 2 quaest. 78, art. 1. Podobnież Covarruvias, l. c.: »...accipere lucrum aliquod pro usu ipsius rei, et demum rem ipsam, iniquum est et prava commutatio, cum id quod non est pretio vendatur... aut enim creditor capit lucrum istud pro sorte, ergo bis capit ejus aestimationem, vel capit injustum sortis valorem. Si pro usu rei, is non potest seorsum a sorte aestimari, et sic bis sors ipsa venditur«.

²⁾ Lib. I. nov. declar., jus civ. 14; cytowany w Böhmer'a Jus eccles. Prot. Halae, 1736, p. 340.

uważać czas za zapłatę za otrzymane dobro, oszukuje bliźniego, do którego sprzedany czas należy równie dobrze, jak do niego, oraz Boga, za którego dary wymaga od innych zapłaty¹⁾.

Streszczając się: procent od pożyczki przedstawia się kanonistom, jako dochód, drogą oszustwa lub wymuszenia wyciągany przez wierzyciela z zasobów dłużnika. Pierwszy każe sobie w postaci procentu płacić za owoce, których bezpłodny pieniądz przynosić nie może; sprzedaje »użytkowanie«, które wcale nie istnieje; albo używanie, które i tak już jest własnem prawem dłużnika; sprzedaje wreszcie czas, który równie dobrze należy do dłużnika, jak do wierzyciela i wogóle do wszystkich ludzi. Jednem słowem, niezależnie od tego, z której strony na rzeczy patrzeć, zawsze przedstawia się procent jako dochód posożytniczy, wymuszony lub wyludzony od oszukanego dłużnika.

¹⁾ Tomasz z Aquinu w pisemku »De usuris« I. pars. cap. 4; autentyczność tego pisemka jest ostatnio kwestjonowana. Z nader ciekawej historycznej notatki, zamieszczonej przez teologa wiedeńskiego, pralata dr. Franciszka M. Schindlera w pracy »Über der Kapitalzinsproblem« w czasopiśmie »Die Kultur«, rok 1903, zeszyt 8, str. 594 i nast., czerpiemy, iż ten argument św. Tomasza już w prawnoteologicznej literaturze XVI-go i XVII-go w. był często dyskutowany i niejednokrotnie zwalczany, i że już wówczas w ustach przeciwników (między innymi wybitnego arcybiskupa Caramuela † 1682) zjawiało się oświadczenie, iż terazniejsze pieniądze większą mają wartość, niż przyszłe. Jako dowód wysuwali, według Schindlera, op. cit. str. 604, obrońcy tego poglądu zdanie, »iż zapomocą obecnych pieniędzy można zysk ciągnąć w roku bieżącym i następnych, a z przyszłorocznych pieniędzy, które się dopiero będzie miało, tylko w owym przyszłym roku, i że pieniądze pożyczone większemu podlegają niebezpieczeństwu, niż przechowane«. Wydaje mi się, iż przytoczone dowodzenie ze wszech miar znacznie obniża wartość samej formuły dla teorii zysku. Ryzyko bowiem może uzasadnić specjalne premium za ryzyko, ale nie właściwy zysk z kapitału, a powoływanie się na dochód, któryby można było zdobyć, wcześniej rozporządzając pewną sumą pieniężną, przedstawia możliwość takiego dochodu, a więc pierwotnego zysku z kapitału, jako fakt, nie wyjaśniając go w ten czy inny sposób. To też ten epizod kanonicznego sporu o procent zdaje mi się być znacznie bliższym omawianego w następnym dziale poglądu Salmasiusa i jego towarzyszy, niż współczesnej »teorii agia«, z którą łączy go Schindler.

Wyrok ten nie rozciągał się na zysk z kapitału wypływający z pożyczania dóbr trwałych, np. domów, mebli i t. p., jak również na dochód z kapitału, osiągnięty zapomocą własnej gospodarki. Że dochód ten różnił się od wynagrodzenia pracy przedsiębiorcy, nie zwracało jeszcze uwagi, szczególnie w początku okresu, a jeśli i zwracało do pewnego stopnia, to mało się nad tem zastanawiano. W każdym razie ten rodzaj dochodu z kapitału nie był zasadniczo potępiony. Tak np. kanonista Labarella¹⁾ ubolewa nad istnieniem procentu między innemi z tego powodu, iż rolnicy, szukając »pewnego dochodu«, skłonni są wkładać pieniądze swoje w pożyczanie na procent, a nie w produkcję, na czem cierpi zaopatrywanie w żywność ludności: przy takim biegu myśli, poprostu nie widzi się nic zdrożnego w lokowaniu kapitału w uprawie ziemi i ciągnięciu z niego dochodu. Nie wymagał nawet, by właściciel kapitału zarządzał nim osobiście, byle nie wypuszczał z ręki prawa własności. Tak więc dochód z kapitału, składającego się tylko z pieniężnego udziału w spółce, był przynajmniej niezakazany²⁾; i wypadek, w którym ktoś powierza innemu pewną sumę, zatrzymując jednak prawo własności, rozstrzygnięty jest przez surowego Tomasza z Aquinu w ten sposób, iż powierzający ma prawo bez żadnych skrupułów przywłaszczyć sobie płynący z sumy tej dochód. Posiada on do tego pełne prawo, »gdyż otrzymuje tak samo owoce z rzeczy własnej; nie jest to owoc, bezpośrednio z pieniędzy wynikający, zastrzega się przeto nie św. Tomasz, ale owoc z rzeczy, otrzymanej za te pieniądze przy sprawiedliwej wymianie³⁾.

Jeśli pomimo to, co się nierzadko zdarza, pada gdzieś niegdzie cień i na dochód z kapitału, osobiście zarządzanego, dotyczy to nietylko dochodu z kapitału, jako takiego, ile gorszących konkretnych form tego zarządzania, np. zbyt wyrażnie dbającego o zysk, lub zgola nieuczciwie prowadzonego handlu, albo zakazanego handlu pieniędzmi i t. p.

¹⁾ Secundo (usura est prohibita) ex fame, nam laborantes rustici praedia colentes libentius ponerent pecuniam ad usuras, quam in laboratione, cum sit tutius lucrum, et sic non curent homines seminare seu metere. Patrz Endemann, National-oekonomische Grundsätze, 20 str.

²⁾ Endemann, Studien I., str. 361.

³⁾ De usuris II., pars, cap. IV., qu. 1.

ROZDZIAŁ III.

Obrońcy procentu od XVI do XVIII wieku. Upadek nauki kanonistów.

Zewnętrzny szacunek dla nauki kanonistów o procencie osiągnął swój punkt szczytowy, zaczynając od XIII w. Zasady jej opanowały wtedy bezsprzecznie prawodawstwo, nietylko kościelne, ale i świeckie. Papież Klemens V mógł się w początku XIV wieku posunąć tak daleko, że na soborze we Vienne (1311 r.) groził ekskomuniką władzom świeckim, któreby prawa, przychylne procentowi, wydawały, lub wydanych w przeciagu trzech miesięcy nie odwołały¹⁾. Prawa, inspirowane przez naukę kanoniczną, nie zadawały się wyśiępowaniem przeciw procentowi w jego nagiej, nieosłoniętej postaci, ale dzięki bogatemu nakładowi subtelnej kazuistyki potrafiły też ścigać go na wielu, choć nie na wszystkich, bojących drogach, które wynajdywano, by móc obejść zakaz pobierania procentu²⁾. Nie mniej, niż prawodawstwo, opanowała nauka ta i literaturę, w której w ciągu stuleci nie można znaleźć ani śladu zasadniczej opozycji.

Jednego tylko przeciwnika nie zdołała poddać sobie w zupełności: praktyki gospodarczej. Pomimo wszystkich kar, które za to groziły w życiu przyszem i doczesnem, pobieranie procentu trwało dalej, częściowo otwarcie, częściowo pod różnemi postaciami, wymyślonemi przez wynalazcze umysły ludzi, zajmujących się interesami, by się w ten sposób na złość całej kazuistyce wrogich procentowi praw prześlizgnąć przez oko jej sieci. I im bardziej kwitnącym był stan gospodarczy jakiego kraju, tem silniej reagowała praktyka przeciw niepodzielnie jeszcze panującej teorii.

Zwycięstwo w tej walce przypadło stronie bardziej upartej, a tą była broniąca swych żywotnych interesów praktyka.

Pierwszy wynik, niezbyt imponujący zewnętrznie, lecz w istocie rzeczy pelen głębokiego znaczenia, osiągnęła ona jeszcze w czasie, gdy kanoniczna doktryna znajdowała się u szczytu zewnętrznego poważania. Za słabą, by wypowiedzieć otwartą walkę zasadzie bezprocentowości, potrafiła

¹⁾ Clem. c. un. de usuris, 5, 5.

²⁾ Porówn. Endemann a. Grundsätze, str. 9 i n., 21 i nast.

przynajmniej zapobiec stosowaniu jej przez prawodawstwo ze wszystkimi praktycznymi konsekwencjami, i przeprowadziła cały szereg bezpośrednich i pośrednich wyjątków od zakazu pobierania procentu.

Bezpośrednimi wyjątkami możemy nazwać między innymi przywileje t. zw. *Montes pietatis*, tolerowanie prowadzenia interesów przez inne banki, i daleko idącą pobłażliwość w stosunku do uprawiania lichwy przez żydów; pobłażliwość, która tu i tam, przynajmniej w świeckiem prawodawstwie, dochodziła do formalnego zezwolenia na pobieranie procentu¹⁾. Pośrednie wyjątki stanowiło wyzyskiwanie instytutu kupna renty, wymiany pieniędzy, spółek, głównie zaś możliwości wymagania od dłużnika zapłaty odsetków (*«interesse»*) za spóźnione uiszczenie długu, *damnum emergens* i *lucrum cessans*. W gruncie rzeczy wierzyciel miałby prawo wymagać otrzymania owego *interesse* tylko w wypadku spóźnienia z winy dłużnika, niewypelnienia przez niego zobowiązań, t. zw. *mora*; samo istnienie i wysokość tego *«interesse»* musiałyby być określone osobno na każdy wypadek. Ale tu przychodziło w pomoc, oczywiście nie bez protestu najsurowszych kanonistów, parę zastrzeżeń w układzie. Zapomocą jednego z tych zastrzeżeń dłużnik z góry zgadzał się na to, aby decyzja w sprawie jego *mora* pozostawioną była wierzycielowi; zapomocą innego zastrzeżenia zgadzano się zawczasu na określoną wysokość, w której *interesse* miało być wypłacane wierzycielowi. Praktycznie rzecz się tak miała, iż wprowadzie nominalnie pożyczka była udzielaną bezprocentowo, ale pod nazwą *«interesse»* za cały okres trwania pożyczki, na który wierzyciel sztucznie postawiony był w sytuację *«mora»*, pobierano prawidłowe procenty²⁾.

Po takich praktycznych zwycięstwach nastąpiły wreszcie i zasadnicze.

Uważni obserwatorzy ludzi i rzeczy musieli z biegiem czasu powziąć wątpliwość, czy stały i wciąż wzrastający sprzeciw praktyki miał istotnie swe źródło tylko w złości

¹⁾ Szeroko rozpowszechnione mniemanie, iż żydzi wogóle wylączeni byli z kościelnego zakazu uprawiania lichwy, według najnowszego wyczerpującego przedstawienia *Endemanna* (*Studien*, II, str. 383 i nast.), okazało się błędem.

²⁾ Porówn. *Endemanna*, *Studien*, II, str. 243 i n., 366 i n.

i zatwardziałości ludzkiej, jak sądzili kanoniści. Kto zadał sobie trud wniknąć głębiej w technikę interesów, musiał dojść do przekonania, że praktyka nie tylko nie chciała, ale prosto nie mogła pozwolić na odebranie sobie prawa pobierania procentu; że procent jest duszą kredytu; że jeśli ostatni ma się rozwinąć w pewnym szerszym zakresie, to i pierwszy nie może być zakazany; że prześladować procent, znaczy też prześladować i dziewięć dziesiątych interesów kredytowych; słowem, że w każdej napół rozwiniętej gospodarce procent jest organiczną koniecznością. Takie rozumienie, oddawna już powszednie u praktyków, musiało wreszcie przeniknąć i te koła, które miały pióro w rękę.

Działanie jego tutaj było rozmaite.

Część pisarzy nie dała się zachwiać w swem teoretycznem przekonaniu, iż procent jest dochodem pasożytniczym, który nie może znaleźć usprawiedliwienia przed surowym sędzią, ale zgadza się na praktyczny kompromis z niedoskonałością ludzką, której przypisywano winę w sprawie nie- możliwości usunięcia procentu. Z punktu widzenia idealnego porządku świata, procent rzeczywiście ostać się nie może; skoro jednak ludzie są już tak niedoskonalimi, niepodobna go zupełnie wykorzenić, i dlatego lepiej jest tolerować go w pewnym zakresie. Taki był punkt widzenia, przyjęty między innymi przez kilku wielkich reformatorów: tak się zapatruje na rzecz *Zwinglusz*¹⁾, tak *Luter* w późniejszych latach, gdyż poprzednio był niełitościwym przeciwnikiem lichwy procentowej²⁾; wreszcie *Melanchton*³⁾, choć z jeszcze większą rezerwą.

Fakt, iż ludzie tak wpływowi wypowiadali się za tolerancją w kwestji procentu, wywierał naturalnie znaczny wpływ na ukształtowanie się powszechnego sądu, a przez to pośrednio i na późniejszy rozwój prawa. Ale ponieważ powodowali się oni w swych wystąpieniach nie motywami zasadniczymi, lecz wyłącznie oportunistycznymi, kierunek ich

¹⁾ *Wiskemann*, *Darstellung der in Deutschland zur Zeit der Reformation herrschenden national-oekonomischen Ansichten*, *Preisschriften, der Jablonowski'scher Gesellschaft*, Tom X, str. 71.

²⁾ *Wiskemann*, op. cit., str. 54—56; *Neumann*, *Geschichte des Wuchers*, str. 480 i nast.

³⁾ *Wiskemann*, op. cit., str. 65.

nie ma żadnego głębszego znaczenia dla rozwoju doktryny, i nie będę się nad nim dłużej zatrzymywał.

Ale inna część ludzi myślących i obserwujących poszła dalej. Przekonani o niezbędności procentu, zaczęli też rewidować teoretyczne podstawy zakazu jego pobierania, uznali je za niewystarczające i rozpoczęli zasadniczą literacką opozycję przeciw kanonicznej nauce.

Opozycja ta zaczyna się około połowy XVI stulecia, w ciągu XVII szybko i potężnie wzbiera, a pod koniec wieku zdobywa tak wybitną przewagę, iż w ciągu w. XVIII walczy już tylko z pojedynczymi epigonami doktryny kanonicznej; ktoby zaś jeszcze w końcu XVIII w. próbował bronić doktryny kanonicznej i jej specyficznych argumentów, wydałby się oryginałem, którego nie można brać poważnie.

Pierwszymi pionierami nowego kierunku byli reformator Kalwin i prawnik francuski Dumoulin, (Carolus Molinaeus).

Kalwin wypowiedział się o obchodzącej nas kwestji w liście do przyjaciela swego Oekolampadiusa¹⁾. Traktuje ją niezbyt obszernie, ale w sposób stanowczy. Najpierw odrzuca powszechnie używaną, opartą na autorytetach, motywację zakazu pobierania procentu, starając się dowieść, iż ustępy pisma, na które się w tym celu zwykle powoływano, bądź winny być inaczej rozumiane, bądź utraciły znaczenie wskutek zupełnej zmiany warunków²⁾.

Rozprawiwszy się z dowodzeniem, opartem o autorytety, zwraca się Kalwin przeciw rozpowszechnionej racjonalnej motywacji zakazu pobierania procentu. Najważniejszy jej argument, wyprowadzony z przyrodzonej bezpłodności pieniądza (*Pecunia usu parit pecuniam*), uważa za argument »małej wagi«. Nie inaczej bowiem ma się rzecz z pieniądzem, niż z domem, lub polem. Podobnież dach i ściany domu nie są w stanie właściwie płodzić pieniędzy; ale gdy się wymienia używanie mieszkania na pieniądze, można

¹⁾Ep. 383 w zbiorze iego epistolae et responsa. Hanower, 1597.

²⁾»Ac primum nullo testimonio Scripturae mihi constat usuras omnino damnatas esse. Illa enim Christi sententia, quae maxime obvia et aperta haberi solet: Mutuum date nihil inde sperantes, male huc detorta est... Lex vero Mosis politica cum sit, non tenemur illa ultra quam aequitas ferat atque humanitas. Nostra conjunctio hodie per omnia non respondet...«

ciągnąć z domu zupełnie dozwolony dochód pieniężny. Tak samo i pieniądz może stać się płodnym. Gdy się za pieniądze kupi kawałek ziemi, to właśnie pieniądz będzie corocznie plodził sumy pieniężne, jako rentę z pierwszej sumy. Pieniądz próżnujący istotnie jest bezpłodny; ale dłużnik nie pozwala mu próżnować. To też dłużnik nie jest oszukany, jeśli musi płacić procenta, ale płaci je »ex proventu«, z tego, co za pomocą pieniądza wytwarza.

Że żądanie procentu przez wierzyciela może być w zupełności udowodnione w duchu słuszności, z którego to punktu widzenia pragnie Kalwin wogóle roztrząsać kwestję, wywodzi on to gruntownie z następującego przykładu.

Bogaty człowiek, dobrze zaopatrzony w ziemię i rentę, lecz nie posiadający większej gotówki, zwraca się do innego, o wiele mniej zasobnego w ziemię, lecz rozporządzającego większym zapasem gotówki, z prośbą o pożyczkę pieniężną: wierzyciel za te pieniądze mógłby sam kupić kawałek ziemi, albo mógłby wymagać, by kawałek ziemi, kupiony za jego pieniądze, został mu przyznany, jako hipoteka, aż do chwili spłacenia długu. Jeśli zamiast tego zadawała się procentem, jako owocem swoich pieniędzy, czyż można to uważać za godne potępienia, podczas gdy tamte, o wiele twardsze formy umowy, zupełnie są uprawnione? Znaczy to, jak się Kalwin potężnie wyraża, wieść z Bogiem dziecinną zabawę: »et quid aliud est quam puerorum instar ludere cum Deo, cum de rebus ex verbis nudis, ac non ex eo quod inest in re ipsa iudicatur?«.

Dochodzi wreszcie do wniosku, iż pobieranie procentu w żadnym razie nie może być powszechnie potępione. Istotnie jednak nie może być powszechnie dozwolone. Tylko dozwolone o tyle, o ile to nie sprzeciwia się słuszności i miłosierdziu. Wyprowadzenie tej zasady pociąga za sobą powstanie całego szeregu wyjątków, w których pobieranie procentu nie może być dozwolone. Najgodniejsze uwagi wśród nich są: że nie wolno wymagać procentu od ludzi, znajdujących się w wielkiej nędzy; że należy przywołać uwagę zwracać na »pauperes fratres«; że należy się oglądać na »pożytek państwa« i nie przekraczać normy procentu, ustanowionej przez prawa państwowe.

Jak Kalwin był pierwszym teologiem, tak Molinaeus pierwszym prawnikiem, który z głębszych powodów

sprzeciwił się kanonicznemu zakazowi pobierania procentu. Obaj ci autorowie spotykają się w argumentach, lecz różnią się w sposobie ich przedstawiania o tyle, o ile różnią się same ich zawody. Kalwin krótko i prosto idzie do tego, co uważa za jądro sprawy, nie troszcząc się bynajmniej o drugorzędne zarzuty przeciwników i ich repliki. Buduje przytem przekonanie swoje raczej na wrażeniach, niż na dyalektycznych rozumowaniach. Molinaeus, przeciwnie, niewyczerpany jest w rozróżnieniach i kazuistyce, i równie nieustrudzenie dąży za przeciwnikami we wszystkich ich scholastycznych kierunkach i zwrotach, troskliwie dbały o formalną, punkt za punktem zbijającą, odpowiedź na ich dowodzenia. Pozatem jest Molinaeus ostrożniejszy w wyrażeniach od bezwzględne Kalwina, ale też pełen szczerości i energicznej prawości.

Główną pracą Molinaeusa, dotyczącą naszego zagadnienia, jest wydany w r. 1546 *Tractatus contractuum et usurarum, reddituumque pecunia constitutorum*¹⁾. Początek jego wywodów wykazuje — może wypadkowo, znaczne podobieństwo z biegiem myśli Kalwina. Po kilku wstępnych rozważaniach zwraca się i on do badania *jus divinum* i znajduje, iż odnośne ustępy z Pisma Św. były fałszywie rozumiane. Nie zakazują one pobierania procentu wogóle, a tylko takiego pobierania procentu, któreby się sprzeciwiało zasadom miłosierdzia i miłości bliźniego. I znów podaje zużytkowany już przez Kalwina poważny przykład o bogaczu, kupującym pole za pożyczone pieniądze²⁾.

W dalszym ciągu jednak tok rozumowania o wiele jest bogatszy, niż u Kalwina. Autor przekonywująco dowodzi (Nr. 73), iż przy każdej pożyczce w grę wchodzi jakiś »interesse« wierzyciela, przyczyniona szkoda, lub stracona korzyść, której otrzymanie było sprawiedliwe i gospodarczo potrzebne; odszkodowanie jest właśnie tym »procentem«, »usura« w prawdziwym i właściwym sensie słowa. To też uprawnienie procentu z ograniczeniem jego rozmiarów przez

¹⁾ Poprzedzony był już (w tym samym roku), przez *Extratio labyrinthi de eo quod interest, gdzie kwestja »interesse«* była już potraktowana wolnomyślnie, ale gdzie jeszcze w stosunku do kwestji procentu nie zajęto zupełnie wyraźnego stanowiska. Porównaj *Endemanna*, *Studien I*, str. 63.

²⁾ *Tractatus*, Nr. 10.

prawa justynjańskie nie tylko nie było niesłuszne, lecz odpowiadało interesowi dłużników, którzy przy ograniczonych procentach mieli możność zdobywania większego dochodu (Nr. 76).

Dalej (Nr. 528 i nast.) odbywa Molinaeus przegląd głównych argumentów kanonistów przeciw pobieraniu procentu, i zaopatruje je w odpowiednie przeciwwargumenty.

Na stare dowodzenie Tomasza z Akwinu, iż pobierający procent wierzyciel, albo sprzedaje dwa razy to samo, albo coś nieistniejącego (patrz wyżej, str. 19), odpowiada Molinaeus, iż fakt użytkowania pieniędzy przynosi samodzielną korzyść, dodającą się do faktu istnienia kapitału pierwszego, i dlatego też samodzielnie może być sprzedawany. Nie należy tylko uważać jedynie pierwszego, natychmiastowego wydania pieniędzy za ich użytkowanie; po-lega ono też na następnej używaniu tych dóbr, które się za pożyczone pieniądze otrzymało, lub utrzymało w swym posiadaniu (Nr. 510 i 530). Dalej, na argument, iż wspólnie z pieniędzmi i prawo ich użytkowania staje się też prawną własnością dłużnika, że więc w postaci pobierania procentu sprzedaje mu się rzecz do niego należąca, odpowiada Molinaeus (Nr. 530), iż można też z całą słuszością sprzedać i rzecz należąca do kogoś innego, jeśli ten ostatni rzecz ową winien jest temu, kto sprzedaje; tak się zaś właśnie przedstawia sprawa z użytkowaniem pożyczonej sumy pieniężnej: »*usus pecuniae mihi pure a te debita est* ergo vel tibi vendere possum«. Na argument o przyrodzonej bezpłodności pieniądza wreszcie odpowiada Molinaeus (Nr. 530), iż codzienne doświadczenie wykazuje, że używanie znacznej sumy pieniędzy przynosi poważną korzyść, która w terminologii prawnej bywa też określona, jako »owoc« pieniądza. Że pieniądź sam przez się nie przynosi żadnych owoców, to nie ulega żadnej wątpliwości: przecież i pole nie przynosi nic samo przez się, bez wydatków, wysiłku i trudu człowieka. Zupełnie tak samo przy współudziale trudu człowieka przynosi pieniądź poważne owoce. — Pozostałe ustępy polemiki z kanonistami nie budzą z punktu widzenia teoretycznego większego zainteresowania.

Opierając się na tak wszechstronnem rozważaniu przedmiotu, wygłasza wreszcie Molinaeus (Nr. 535) formalnie swoją tezę: »Najpierw potrzebne jest i użyte-

czne, by utrzymanym i tolerowanym był w pewnym zakresie zwyczaj pobierania procentu...» Przeciwnie mniemanie, iż procent sam przez się jest bezwarunkowo godny potępienia, jest głupie, zgubne i przesądne (*stulta illa et non minus pernicioso quam superstitiosa opinio de usura de se absoluta mala*, Nr. 534).

W słowach powyższych przeciwstawia się *Molinaeus* jaknajostrzej teorii przyjętej przez Kościół. Aby przeciwstawność tę do pewnego stopnia zmiekczyć, co musiało się katolikowi wyraźnie już ze względów zewnętrznych narzucać, skłania się do pewnych ustępstw praktycznych, nie zmieniając jednak w zasadzie. Najważniejsze z nich polega na tem, iż z powodów oportunistycznych, ze względu na rozpowszechnione nadużycia, przyznaje słusność kościelnemu zakazowi pobierania procentu przy pożyczkach, które mogą być wypowiedziane, i pragnie tylko utrzymania go w najbardziej łagodnej i ludzkiej postaci nabywania renty, którą jednak słusnie uważa za »prawdziwą odmianę pobierania procentu«¹⁾.

Wystąpienia *Kalwina* i *Molinaeusa* przez czas jakiś pozostały jeszcze odosobnione. Dostyc to zrozumiałe. By uznać i ogłosić za słuszne coś, co Kościół, prawodawstwo i świat uczony jednogłośnie i przy pomocy zgromadzonego ze wszystkich dziedzin zapasu argumentów potępiały, trzeba było mieć nie tylko szczególnie niezależny umysł, ale i równie szczególną siłę charakteru, któraby się też nie ulękła potwarzy i prześladowań. Ze tych nie zabrakło, wykazał dostyc wyraźnie los pionierów. Już nie mówiąc o *Kalwinie*, który dał światu katolickiemu dużo innych przyczyn do

¹⁾ »Ea taxatio (związane z zasadniczym zezwoleniem na pobieranie procentu, ustalenie maximum zysku w prawach Justynjańskich) nunquam in se fuit iniqua. Sed ut tempore suo summa et absoluta, ita processu temporis propter abusum hominum nimis in quibusdam dissoluta et vaga inventa est, et omnino super fœnore negotiatio forma juris civilis incommoda et perniciose debitoribus apparuit. Unde merito abrogata fuit, et alia tutior et commodior forma inventa, videlicet per abalienationem sortis, servato debitori libera facultate luendi. Et haec forma nova, ut mitior et civilior, ita minus habet de ratione fœnoris propter alienationem sortis, quam forma juris civilis. Est tamen fœnus large sumptum, et vera species negotiationis fœnoratoriae...« (Nr. 356).

gniewu, ale i *Molinaeus* z dziełem swoim, choć tak umiarkowanym i przezornym, wiele musiał wycierpieć. On sam poszedł na wygnanie, książka jego na indeks. Pomimo to książka ta poszła swoją drogą, była czytana, cytowana, doczekała się wielu wydań, i w ten sposób rozsiewała ziarno, które kiedyś bujnie wzrósć miało¹⁾.

Z nieznacznej liczby ludzi, którzy jeszcze w XVI w. odważyli się wystąpić za uprawnieniem pobierania procentu z racji naukowych — pomijając bezpośrednich uczniów *Kalwina*, którzy naturalnie przyjmowali pogląd mistrza — wyróżnić specjalnie należy humanistę *Camerarius*a²⁾, *Bornitza*a³⁾ a przede wszystkim *Besolda*, który w swej dyssertacji, w r. 1598 wydanej, »*Quaestiones aliquot de usuris*«, otwierającej jego nader owocną karierę pisarską, wyczerpująco i zręcznie polemizuje z kanoniczną nauką o lichwie⁴⁾.

Besold upatruje początek procentu w fakcie uprawiania handlu i interesów (*negociationis et mercaturae*). W związku z niemi bowiem pieniądź nie jest już bezpłodny. Dlatego to, oraz ponieważ musi być dozwoloną dbałość o własną korzyść, o ile nie przyczynia ona szkody innym, naturalne pojęcie słusności nie może stać w sprzeczności z pobieraniem procentu. Jak przed nim *Molinaeus*, którego często, potakując mu, cytuje, podnosi on na korzyść procentu analogję, która zachodzi między oprocentowaną pożyczką, a płatnym wynajmem. Między pożyczką oprocentowaną, a nieoprocentowaną nie zachodzi żaden inny stosunek, niż między zupełnie dozwolonym płatnym wynajmem, a bezinteresownym użyczeniem (*commodatum*). Bardzo ładnie wykazuje, jak wysokość procentu odpowiadać musi zawsze wy-

¹⁾ Por. *Endemanna*, *Studien* I, str. 64 i nast. *Endemann* jednak nie docenia wpływu, który *Molinaeus* wywarł na rozwój późniejszy. Patrz niżej.

²⁾ W notatkach do *Polityki Arystotelesa*; patrz u *Roschera*, *Geschichte der Nationalökonomie in Deutschland*, str. 54.

³⁾ *Roscher*, op. cit., str. 188.

⁴⁾ *Besold* wcielił później swoją dyssertację, w postaci rozszerzonej i ulepszonej, jak sam mówi, od innej pracy »*Vitae et mortis Consideratio politica*« (1623), w której stanowi ona rozdział V-y I-ej księgi. Rozporządzałem tylko tą ostatnią pracą, i z niej też czerpane są następujące w tekście cytaty.

sokości pierwotnego zysku z kapitału, który jest przecie podstawą i źródłem procentu: powiada, iż w tych miejscowościach, gdzie używanie pieniędzy przynosi większy dochód, powinno być dozwolone pobieranie wyższego procentu (str. 32 i nast.). Wreszcie równie mało imponują mu ustępy z Pisma Św., traktowane, jako zakazy pobierania zysku, (str. 38 i nast.), jak i argumenty »filozofów«, które nieraz, jeśli tylko rzecz rozpatrywać z właściwego punktu widzenia, robią wrażenie niewystarczających i kruchych (str. 32).

Z tego krótkiego wyciągu widzimy, iż Besold jest szczerym i rozumnym zwolennikiem Molinaeusa, z którego, jak tego dowodzą liczne cytaty, zaczerpnął wyraźnie najlepszą część swej nauki¹⁾. Postępu, wyprzedzenia Molinaeusa jednak, w wywodach jego nie znajdujemy²⁾.

Jeszcze mniej dotyczy to wielkiego angielskiego filozofa, Bacona, który prawie równocześnie z Besoldem zajmował się kwestją procentu³⁾. Posiada on dosyć niezależny umysł i dosyć zrozumienia dla potrzeb życia gospodarczego, by nie dając się wprowadzić w błąd przez stare pojęcia o »nienaturalności« pobierania procentu, zważyć jego dobre i złe strony i uznać procent za gospodarczą konieczność; ale jest to właściwie tylko oportunistyczna tolerancja: »Skoro już ludzie koniecznie muszą sobie nawzajem pieniędzy pożyczać; skoro mają tak twarde serca (sintque tam duro corde), iż nie chcą ich pożyczać za darmo: nie pozostaje nic innego, jak dozwolnić na pobieranie procentu«.

Nierównie owocniejszym był rozwój nowej nauki w biegu XVII stulecia, i to przede wszystkim na gruncie holenderskim. Skupiły się tu warunki, szczególnie dla postępu teorii pomyślnie. W politycznym i religijnym zamęcie, w któ-

¹⁾ Szczegółową cytate znajdujemy już w I-ym rozdz. I-ej księgi (str. 6); w rozdz. V-ym cytaty są nader liczne.

²⁾ Zdaje mi się, iż Roscher (Geschichte der Nat.-Ök., str. 201, A. 2) za wiele czyni zaszczytu Besoldowi, gdy, porównując go z Salmasiusiem i Hugonem Grotiussem, jemu przyznaje zaszczytne miejsce poprzednika, od którego Salmasius bynajmniej dalej nie poszedł, a Grotius zgola w tyle pozostał. Roscher powinien był wymienić tu Molinaeusa, zamiast Besolda, który czerpał z drugiej ręki. Besold nie jest oryginalniejszy, a napewno jest mniej zręczny i uboższy umysłowo od Salmasiusa.

³⁾ Sermones fideles, Cap XXXIX (1597 r.).

rym narodziło się młode, samodzielne państwo, nauczono się z łatwością wyzwalać z kajdan niewolniczego poddawania się autorytetom. Do tego dodać trzeba, iż starzejaca się teoria Ojców Kościoła i scholastyków nigdzie nie stała w jaśkrawszym kontraście z potrzebami rzeczywistości, niż tu, gdzie wysoko rozwinięta gospodarka stworzyła sobie wykształcony kredyt i bankowość, gdzie wskutek tego stosunki procentowe były w powszechnym, regularnym użyciu, a ponadto świeckie prawodawstwo, ustępując naciskowi praktyki, oddawna zgodziło się na pobieranie procentu¹⁾. W takich warunkach dalsze istnienie teorii, która procent uważała za bezbożne oszukiwanie dłużnika, było czemś nienaturalnem, czemu groził niezawodnie szybki koniec.

Za pierwszego zwiastuna zmiany można uważać Hugona Grotiusa. W obchodzącej nas kwestji zajmuje on szczególne, podwójne stanowisko. Z jednej strony przyznaje zupełnie wyraźnie, iż nie daje się utrzymać dogmatyczne, na »prawach natury« oparte, motywowanie zakazu pobierania procentu takie, jakiem operują kanoniści. Nie uznaje dowodu o naturalnej bezpłodności pieniądza; gdyż »i domy i inne z przyrodzenia swego bezpłodne rzeczy sztuka ludzka uczyniła owocującami«; również i na argument, iż używanie pieniądza nie daje się odłączyć od samego pieniądza, jako polegające na jego zużyciu, i dlatego nie może być oddzielnie sprzedawane, znajduje wyborną odpowiedź, i naogół powody, które mają przedstawić procent, jako rzecz przeciwną naturze, nie należą jego zdaniem do takich, »któreby wymuszały uznanie« (»non talia ut assensum extorqueant«). Ale z drugiej strony uważa jednak ustępy z Pisma Św., zakazujące pobierania procentu za bezwarunkowo obowiązujące, tak, że w rezultacie pozostaje po stronie kanonistów, przynajmniej zasadniczo: praktycznie robi z zasady zakazu pobierania procentu znaczne ustępstwa, dzięki popularnej furcie, polegającej na tolerowaniu i usprawiedliwianiu wszelkiego »podobnego procentowi« odszkodowania za ryzyko, stratę korzyści, trud i szkodę wierzyciela²⁾.

¹⁾ Porówn. Grotiusa de jure pacis ac belli Lib. IV. Cap. XII, 22.

²⁾ De jure pacis ac belli, Lib. II. Cap. XII, 20—21.

Kapitał.

Stoi więc Grotius w chwiejnym środku pomiędzy starą a nową nauką¹⁾.

Niezdeterminowane jego stanowisko szybko zostało przekroczone. Już po kilku latach wyrzeczono się nie tylko racjonalistycznego umotywowania zakazu pobierania procentu, jak to uczynił Grotius, ale i samego zakazu. Jak gdyby nagle pękły lody długiego panowania nad sobą, wytrysnął w tych czasach potok pism, w których pobieranie procentu najzupełniej wyraźnie było uzasadniane; i potok ten nie zmniejszał się, aż póki zasada pobierania procentu nie odniosła — przynajmniej w Holandji — zwycięstwa. W wielkiej liczbie tych pism, tak ze względu na czas pojawienia się, jak i na jakość, pierwsze miejsce zajmują głośne prace Klaudjusza Salmasiusa. Najważniejsze z nich, które poczynawszy od 1638 r. w krótkich odstępach czasu kolejno po sobie następowały, są: *De usuris* (1638 r.), *de modo usurarium* (1639), *de foenore trapezítico* (1640); dołącza się do nich jeszcze krótsze polemiczne pismo, wydane pod pseudonimem Alexiusa a Massalia: *diatriba de mutuo, mutuum non esse alienationem* (1640)²⁾. Określiły one prawie wyłącznie kierunek i treść teorii procentu na więcej, niż sto lat, i nawet w dzisiejszej doktrynie, jak zobaczymy, odkryć się dają pewne wpływy Salmasiusowej nauki. Zasluguje więc ona na szczegółową ocenę.

Poglądy Salmasiusa na procent najdobitniej są ujęte w rozdziale VIII-ym książki jego *de usuris*. Zaczyna on od rozwinęcia własnej teorii procentu. Procent jest wy-

¹⁾ Nie wynika wcale z powyższego, iż Grotiusa należy uważać za odstępcę od przyjaznej procentowi teorii. Pogląd ten, podzielany m. in. przez Neumanna, *Geschichte des Wuchers in Deutschland*, str. 499, i Laspeyresa, *op. cit.*, str. 10 i 257, dokładnie sprostował Endemann, *Studien I*, str. 66 i n.

²⁾ Liczba pism, w których nasz ze wszechmiar płodny autor zajmuje się procentem, nie jest bynajmniej wyczerpaną przez wymienione w tekście prace. Tak np. istnieje z r. 1645 pewna *«disquisitio de mutuo quo probatur non esse alienationem»*, której autor ukrywa się pod inicjałami S. D. B.; te jednak, równie jak i cały sposób pisania, wyraźnie wskazują Salmasiusa (*Dijonicus Burgundus*). Dalej istnieje z tegoż roku anonimowa, ale bezwątpienia również Salmasiusowi przynależna *«Confutatio diatribae de mutuo tribus disputationibus ventilatae Auctore et praeside Jo. Jacobo Vissembachio»* etc. Wymienione w tekście pisma były jednak najwybitniejszymi.

nagrodzeniem za używanie pożyczonych sum pieniężnych. Pożyczka należy do tego rodzaju transakcyj prawnych, w których właściciel jakiejś rzeczy przekazuje komuś innemu prawo jej użytkowania. Jeśli to dotyczy przedmiotu nie zużywającego się, a przekazanie prawa użytkowania jest bezinteresowne, mamy do czynienia z transakcją prawną, zwaną *commodatum*; jeśli prawo użytkowania przekazane jest za opłatą, transakcja ta będzie *locatio conductio*. Jeśli to dotyczy rzeczy zużywającej się lub możliwej do zastąpienia, to przy bezinteresowności ma miejsce pożyczka bezprocentowa, *mutuum*, przy opłacie, pożyczka procentowa, *foenus*. Procentowa pożyczka znajduje się do bezprocentowej w zupełnie takim samym stosunku, jak wynajęcie do pożyczania, i również jest prawidłowa¹⁾.

Jedynym możliwym powodem odmiennego sądu o dopuszczalności zapłaty przy *commodatum* i przy *mutuum*, może być różnorodność natury rzeczy, którą przejawia użytkowanie z jednej strony przy *mutuum*, z drugiej przy *commodatum*. Przy pożyczce mianowicie użytkowanie polega na całkowitem zużyciu, i możnaby zwrócić uwagę, iż dlatego w tym wypadku użytkowanie nie może być odłączone od samej rzeczy. Ale uwagę tę odpiera Salmasius dwoma przeciwdowodami: najpierw argumentacja taka doprowadziłaby także do potępienia i zniszczenia bezprocentowej pożyczki, ponieważby się nie przekazywało rzeczy zużywających się wogóle, a więc danych nawet i bezinteresownie, komuś do »użytku«, którego istnienie zostało zakwestjonowane. A dalej, przeciwnie, w fakcie zużywania się dóbr pożyczanych leży jeden więcej powód do pobierania zapłaty za pożyczkę. Przy wynajmie bowiem może właściciel rzecz swoją w każdej chwili odebrać, ponieważ właśnie właścicielem pozostał; przy pożyczce jest to niemożliwe, ponieważ dana rzecz wskutek zużycia przestała istnieć. Pożyczający pieniądze cierpi wskutek tego, ponosi skutki opóźnień, kłopoty i szkody,

¹⁾ *«Quae res facit ex commodato locatum, eadem praestat ut pro mutuo sit foenus, nempe merces. Qui eam in commodato probant, cur in mutuo improbant, nescio, nec ullam hujus diversitatis rationem video. Locatio aedium, vestis, animalis, servi, agri, operae, operis, licita erit: non erit foeneratio quae proprie locatio est pecuniae, tritici, hordei, vini, et aliarum hujusmodi specierum, frugumque tam arentium quam humidarum?»*

wskutek których platność pożyczki w jeszcze większym stopniu odpowiada pojęciu słuszności, niż przy commodatum.

Po tym wykładzie własnego przekonania, przechodzi Salmasius do argumentów przeciwników, by je punkt po punkcie odeprzeć. Gdy się czyta te odpowiedzi, pojmuje się odrazu, że Salmasiusowi tak świetnie się udało to, czego przed stu laty nie mógł osiągnąć Molinaeus: przekonanie współczesnych. Odnośne rozważania pisane są w najwyższym stopniu zręcznie, prawdziwe okazy świetnej polemiki. Materiał do nich dostarczonym był coprawda w znacznej części już przez poprzedników, a głównie przez Molinaeusa¹⁾; ale Salmasius opracowuje ten materiał w tak szczęśliwy sposób i wzbogaca go o tyle świetnych pomysłów, iż polemika jego pozostawia daleko w tyle wszystko, co było przed nią.

Może niektórym z moich czytelników nie wyda się niemiłe poznanie paru drobnych próbek; w części, by dokładniej sobie przedstawić, jak w ciągu XVII i w dużej części XVIII stulecia ujmowano nasze zagadnienie, w części, by bliżej zapoznać się z pisarzem, którego się po dziś dzień często cy-

¹⁾ Dla ustalenia stosunku, w jakim się Salmasius znajdował do Molinaeusa, po wyraźnej wzmiance Endemanna, iż Salmasius Molinaeusa nie cytuje (Studien I, str. 65), nie wyda się zbędnym skonstatowanie, iż cytaty takie istnieją w dosyć znacznej liczbie. Dołączony do dzieł Salmasiusa spis autorów wskazuje dla książki »de usuris« — trzy, dla »de modo usurarum« dwanaście, a dla »foenore trapesitico« jedną cytata z Molinaeusa. Cytaty te pochodzą przeważnie z głównego jego dzieła w odnośnej sprawie, »tractatus contractuum et usurarum«; jedna z nich (de usuris, str. 221) znajduje się w centrum bardzo ważnych wywodów (tractatus Nr. 529: Nr. 528 i nast. zawierają przedstawienie i zbiecie argumentów starożytnych filozofów i kanonistów przeciw procentowi). Nie może więc ulegać wątpliwości, iż Salmasius dobrze znał pisma Mol., i prawie równie niewątpliwem się zdaje — co też pozwala przypuszczać jego faktyczne przytakiwanie — iż z nich czerpał. Jeśli z powyżej (str. 40) cytowanej Confutatio diatribae wogóle można wnioskować, (str. 290), iż Salmasius, w czasie, gdy pod pseudonimem Alexiusa a Massalia pisał diatriba de mutuo, nie znał jeszcze jednobrzmiących wywodów Molinaeusa w jego tractatus de usuris, to wniosek ten albo się odnosi do niezajomości tych zupełnie specjalnych ustępów Molinaeusa, w których ten protestuje przeciw ujmowaniu pożyczki, jako sprzedaży, albo też, według powyższego, jest poprostu nieprawidłowym.

tuje, lecz nadzwyczaj rzadko czytuje. Dlatego umieszczam w odsyłaczu parę fragmentów jego polemiki w dosłownem ich brzmieniu¹⁾.

¹⁾ Salmasius zaczyna od argumentu o niesłusznem wy-maganiu podwójnej zapłaty za jeden towar. Przeciwnicy twierdzili, iż jeśli ktoś bierze coś ponad przedmiot pożyczony, to bierze to albo za użytkowanie rzeczy, która już jest zużyta, a więc za nic, albo za sam pożyczony przedmiot, ale w takim razie tę samą rzecz sprzedaje dwa razy. Na to Salmasius odpowiada: »Quae ridicula sunt, et nullo negotio diffilari possunt. Non enim pro sorte usura exigitur, sed pro usu sortis. Usus autem ille non est nihilum nec pro nihilo datur. Quod haberet rationem, si alieni pecuniam mutuum darem, ea lege ut statim in flumen eam projiceret aut alio modo perderet sibi non profuturam. Sed qui pecuniam ab alio mutuum desiderat, ad necessarios sibi usus illam expetit. Aut enim aedes inde comparat, quas ipse habitet, ne in conducto diutius maneat, vel quas alii cum fructu et compendio locet: aut fundum ex ea pecunia emit salubri pretio, unde fructus et redditus magnos percipiat: aut servum, ex cuius operis locatis multum quaestus faciat: at ut denique alias merces praestinet, quas vili emptas pluris vendat« (str. 195). A po wykazaniu, iż wierzyciel równie mało potrzebuje wchodzić w to, czy dłużnik istotnie użytecznie użył pożyczonych pieniędzy, jak wynajmujący dom, ciągnie dalej: »Hoc non est sortem bis vendere, nec pro nihilo aliquid percipere. An pro nihilo computandum, quod tu dum meis nummis uteris, sive ad ea quae tuae postulant necessitates, sive ad tua compendia, ego interim his careo cum meo interdum damno et jactura? Et cum mutuum non in sola sit pecunia numerata, sed etiam in aliis rebus quae pondere et mensura continentur, ut in frugibus humiditate vel aridis, an, qui indigenti mutuum vinum aut triticum dederit, quod usurae nomine pro usu eorum consequetur, pro nihilo id capere existimabitur? Qui fructus meas in egestate sua consumpserit, quas care emere ad victum coatus esset, aut qui cas aliis care vendiderit, praeter ipam mensuram quam accepit, si aliqui vice mercedis propter usum admensus fuerit, an id injustum habebitur? Atqui poteram, si eas servassem, carius fortasse in foro vendere, et plus lucri ex illis venditis efficere, quam quantum possim percipere ex usuris quas mihi reddent« (str. 196 i nast.). — Szczególnie drastyczna jest jego odpowiedź na argument o bezpłodności pieniądza: »Facilis responsio: Nihil non sterile est, quod tibi sterile esse volueris. Ut contra nihil non fructuosum, quod cultura exercere, ut fructum ferat, institueris. Nec de agrorum fertilitate regeram, qui non essent feraces nisi humana industria redderet tales... Magis mirum de aëre, et hunc quaestuosum imperio factum. Qui ~~deputavit~~ imposuerunt vectigal singulis domibus Constantinopolitani imperatores, aërem sterilem esse pati non potuerunt. Sed haec minus cum foenore conveniunt. Nec mare hic sollicitandum, quod piscatoribus, urinatoribus ac nautis ad quaestum patet, ceteris sterilitate ocllusum est. Quid sterilis aegrotus? Nec ferre se, nec movere interdum potest.

To, co idzie dalej, posiada już mniejsze znaczenie dla rozwoju doktryny. Najpierw jest to długie, i, pomimo całej subtelności, nader słabe dowodzenie, iż pożyczka nie jest bynajmniej ustąpieniem (alienatio) pożyczanej rzeczy — tematowi temu poświęcona jest też cała diatriba de mutuo; dalej zwalczanie niektórych oportunistycznych i opierających się na sprawiedliwości naturalnej argumentów kanonistów: że niesłusznem jest obciążanie procentem dłużnika, na którego przechodzi ryzyko operowania otrzymaną sumą, a pozostawianie owocu pieniądza innemu, który ryzyka tego nie ponosi; i że lichwa działać będzie ze szkodą społeczności w kierunku zaniedbywania uprawy roli, handlu i innych, »bonae artes«. Zwalczanie ostatniego argumentu daje Salmasiusowi między innymi sposobność ocenienia użyteczności współzawodnictwa: im więcej będzie foeneratores, tem lepiej; rywalizując ze sobą, będą oni obniżali stopę procentową. Dalej — począwszy od rozdz. IX-go — następuje

Hunc tamen in reditu habet medicus. Una res est aegroto sterilior, nempe mortuus... Hic tamen sterilis non est pollinctoribus, neque sardapilonibus, neque vespillonibus, neque fossariis. Immo nec praeficiis olim, nec nunc sacerdotibus, qui eum ad sepulcrum cantando deducunt. Quae corpus alit corpore, etiamsi liberis non pariat, non tamen sibi infecunda est. Nec artem hic cogites; natura potius victum quaerit. Meretricem me dicere nemo non sentit... De pecunia quod ajunt, nihil ex se producere natura, cur non idem de ceteris rebus, et frugibus omne genus, quae mutuo dantur, asserunt? Sed triticum duplici modo frugiferum est, et cum in terram jacitur, et cum in foenus locatur. Utrobique foenus est. Nam et terra id reddit cum foenore. Cur natura aedium, quas mercede pacta locavero magis potest videri foecunda, quam nummorum quos foenore dederō? Si gratis eas commodavero, aequae ac si hos gratis mutuo dederō, tum steriles tam hi quam illae mihi evadent. Vis scribere igitur, quae pecunia proprie sterilis sit dicenda, immo et dicta sit? illa certe, quae foenore non erit occupata, quaequae nihil mihi pariet usurarum, quas et propterea. Graeci τὸζον nomine apellarunt (str. 198 i nast.). Również i trzeci główny argument przeciwników, — iż pożyczka nie może być oprocentowana, gdyż pożyczone rzeczy stanowią już własność dłużnika — uważa Salmasius za »śmieszny«: »At injustum est, ajunt, me tibi vendere quod tuum est, videlicet usum aeris tui. Potens sane argumentum. Atqui non fit tuum, nisi hac lege, ut pro eo, quod accepisti utendum, certam mihi praestes mercedem, usurae nomine, absque qua frustra tuum id esse ceperes. Non igitur tibi, quod tuum est, vendo, sed, quod meum est, ea conditione ad te transfero, ut pro usu ejus, quamdiu te uti patiar mihi, quod pactum inter nos est, persolvas«.

odparcie argumentu o »nienaturalności« procentu, pełne nie-powszedniego nakładu talentu i wiedzy, oraz licznych zwrotów wybitnie przekonujących, ale też nieskończenie roz-wlekłe. Na samym końcu (Cap. XX. De usuris) bada autor, czy procent, usprawiedliwiony przez jus naturale, odpowiada też jus divinum, i oczywiście rozstrzyga kwestję twierdząco.

Takie są najistotniejsze zarysy nauki Salmasiusa. Jest ona nietylko postępem, ale na czas dłuższy szczytem wszelkiego postępu. W przeciągu stu lat z górą dalszy rozwój polegał na tem tylko, iż coraz to szerzej ujmowało się naukę Salmasiusa, przedstawiało się z mniej lub więcej udanymi zmianami, a argumentom jego nadawało się bardziej współczesny pozór. W gruncie rzeczy dalej się nie posunięto, aż do czasu Smitha i Turgota.

W tym samym stopniu, w jakim wzrastała liczba zwolenników rozpowszechnionej przez Salmasiusa nauki, zmniejszała się liczba tych, którzy się jeszcze trzymali nauki kanonicznej. Zmniejszanie się to, z łatwo zrozumiałych przyczyn, szło szybciej w krajach reformowanych i w krajach o germańskim języku, niż w czysto katolickich i romańskich.

W Holandji, jak mówiliśmy wyżej, po dziełach Salmasiusa, prawie bezpośrednio nastąpił szereg prac o pokrewnym duchu. Jeszcze na r. 1640 przypadają dzieła Klop-penburga, Baxhorna, Maresiusa, Graswinkela¹⁾. Nieco później (od 1644 r.) tak zwany »spór o wekslarzy« (Tafelhalterstreit), dal pochodzący do gorącego literackiego sporu pomiędzy obu partjami, zakończono go praktycznym w r. 1658 zwycięstwem strony, przychylniej procentowi. W okresie następnym uwydatnia się wśród coraz to liczniejszych zwolenników tego kierunku znany i wpływowy prawnik, Gerhard Noodt, który w swoich libri tres de foenore et usuris, ujmuje całą kwestję procentu bardzo głęboko i z wielką znajomością samej rzeczy i literatury przedmiotu²⁾.

¹⁾ Laspeyres, op. cit., str. 257.

²⁾ Wyczerpująco opisany przez Laspeyresa, op. cit., str. 258.

³⁾ Noodt w literaturze naukowej XVIII st. szczególnie chętnie cytowany jest, jako autorytet; np. przez Boehmera, Pro-test. Kirchenrecht, V, 19 possim; Barbeyrac, wydawca licznych dzieł Hugona i Grotiusa, mówi, iż w sprawie procentu istnieje »opus absolutissimum et plenissimum« człowieka, »summi juris-consulti et non minus judicio, quam eruditione, insignis, Clariss. Noodtii« (De jure Belli ac Pacis Grotiusa, wydanie amsterdamskie, 1720, str. 384).

Jeszcze później, niechętnie procentowi wystąpienia, szczególnie w gronie specjalistów, stają się coraz rzadsze; ale, chociaż odosobnione, pojawiają się jednak jeszcze aż do drugiej połowy XVIII st.¹⁾

W Niemczech, gdzie nauka ekonomji w ciągu XVII a nawet XVIII st. mała miała znaczenie, rozpowszechnienie się nauki *Salmasiusa* szło powoli, bez ciekawszych momentów i bez jakiegokolwiek korzyści dla rozwoju przyjmowanej nauki. Na gruncie niemieckim wykazało się dobitnie, iż praktyka była tą potęgą, której naciskowi zawdzięczano przemianę, gdy teoria z trudnością ustępowała przed zmienionem przekonaniem powszechnem i prawodawstwem. Na pół wieku przedtem, zanim pierwszy prawnik niemiecki w osobie *Besolda* wypowiedział się na korzyść procentu, w niemieckich prawach partykularnych dozwolone było pobieranie procentu, albo przynajmniej wymaganie wyraźnego, zgóry określonego »interesse«, co praktycznie na jedno wychodziło²⁾; a gdy w 1654 r. niemieckie prawodawstwo państwowe poszło za tym przykładem³⁾, jeszcze niewielu teoretyków stanęło po stronie *Besolda* i *Salmasiusa*: *Adam Contzen* porafił jeszcze w 1629 r. żądać, by pożyczający na procent byli karani surowo, jak złodzieje, a wszyscy żydzi, jako »venenatae bestiae«, zostali wygnani z kraju⁴⁾. Dopiero z końcem XVII st. przekonanie o zasadniczej dopuszczalności procentu rozpowszechnia się i w teorii. Fakt, iż ludzie tak wybitni, jak *Pufendorf* i *Leibnitz*⁵⁾, wypowiedzieli się za nową nauką, zapewnili jej zwycięstwo, i w ciągu XVIII w. nareszcie uwolniła się ostatecznie ona od przeciwników.

W takim stanie znajdujemy ją u dwóch wielkich eko-

¹⁾ Laspeyres, op. cit., str. 269.

²⁾ Neumann, Geschichte des Wuchers in Deutschland, str. 546, podnosi istnienie w prawach partykularnych zezwoleń na pobieranie umówionego procentu począwszy od dwudziestych lat XVI-go stulecia. *Endemann* (Studien II, str. 316 i nast., 365 i n.), uważa te zezwolenia za odnoszące się jedynie do umówionego »interesse«, który, przynajmniej zasadniczo, różni się od właściwego procentu, usurae. W każdym razie praktycznie uzyskało przez to pobieranie procentu zgodę państwa.

³⁾ W ostatniej uchwale. Co do równie spornego wyjaśnienia odnośnych ustępów patrz Neumann, op. cit., str. 559 i nast.

⁴⁾ Roscher, op. cit., str. 205.

⁵⁾ Roscher, op. cit., str. 312 i n. i str. 338 i nast.

nomistów, stojących na końcu rozpatrywanego okresu, u *Justiego* i *Sonnenfelsa*. *Justiego* Staatswirtschaft¹⁾ nie zawiera już ani jednego wiersza o wielkiej kwestji, w której poprzednio zapisano tyle grubych tomów; wprowadzie nie ma tam wogóle ani jednego wiersza, któryby mógł być uważany za jakąś teorię zysku. Nie mówiąc o tem, uważa on za zrozumiałe samo przez się, iż za pożyczkę płaci się procent, a gdy w paru krótkich uwagach (I, § 268), zwraca się przeciw lichwie, to rozumie przez to, również nie mówiąc o tem wyraźnie, tylko przesadę w wymaganiu procentu.

Sonnenfels w sprawie procentu nie jest tak milczącym, jak *Justi*. Ale i on we wcześniejszych wydaniach swojej Handlungswissenschaft²⁾ ani jednym słowem nie porusza sporu o zasadniczą dopuszczalność procentu. W późniejszym wydaniu (piątym, z r. 1787), wspomina o nim wprawdzie, ale w takiej formie i takim tonem, jakie się stosuje do rzeczy już zupełnie przesądzonych. W prostej uwadze mianowicie (str. 496) potępia w kilku stanowczych słowach zakaz pobierania procentu kanonistów, wysmiewa ich absurdalne rozumowania i znajduje, iż niemądrze jest zakazywać pobierania 6% za pożyczone pieniądze, gdy przy umieszczeniu tych pieniędzy w towarach, można zarobić 100%.

Fakt, iż *Sonnenfels* tak stanowczo odrzuca doktrynę kanonistów, tem więcej należy cenić, iż pozatem bynajmniej przychylnie o procencie się nie wyraża. Pozostając pod wpływem *Forbonnaisa*, widzi pochodzenie procentu w hamowaniu obiegu pieniądza przez gromadzących pieniądze kapitalistów, z rąk których pieniądz można wyrwać tylko zapomocą ofiarowanego w postaci procentu wykupu³⁾. Przypisuje procentowi cały szereg szkodliwych następstw; że dzięki niemu drożeją towary, zmniejsza się dochód pracy, a natomiast bierze w nim udział posiadacz pieniędzy⁴⁾. W jednym ustępie określa kapitalistów, jako klasę tych, »co wcale nie pracują, a karmią się potem klas pracujących⁵⁾«.

Obok takich wyrażen przebija jednak przyswojona przez autora nauka *Salmasiusa*. Raz podaje *Sonnenfels*

¹⁾ Wydanie drugie, 1758 r.

²⁾ Tak np. w drugim wydaniu, Wiedeń, 1771.

³⁾ 2-gie wydanie, str. 419, 425 i nast.

⁴⁾ Tamże, str. 427.

⁵⁾ Op. cit., str. 430.

zupełnie w duchu *Salmasiusa*, jako przyczyny pobierania procentu przez kapitalistów, niemożność rozporządzania się przez nich własnymi pieniędzmi, niebezpieczeństwa, korzystać, którą mogli osiągnąć, kupując za te sumy jakieś rzeczy, przynoszące owoce¹⁾; gdzie indziej znów uznaje, iż obniżanie prawnie ustanowionej stopy procentowej nie jest wystarczającym środkiem dla powstrzymania klęski, jaką stanowią wysokie procenta²⁾; znów gdzie indziej znajduje, iż wobec zmienności wyżej wymienionych przyczyn powodujących pobieranie procentu, wogóle nieodpowiednią jest stała, prawna stopa procentowa; jest ona albo zbyt, albo szkodliwa³⁾.

Głębokie milczenie *Justiego* w związku z pełną sprzecznością wielomównością, którą na ten sam temat rozwija *Sonnenfels*, wydaje mi się charakterystycznym dowodem dla dwóch faktów: po pierwsze, iż za czasów tych ludzi nauka *Salmasiusa* do tego stopnia już była w Niemczech ugruntowana, iż nawet najniechętniej dla procentu usposobieni pisarze nie mogli myśleć o utrzymaniu surowego kanonicznego stanowiska; po drugie zaś, iż do tego czasu przyjęciu nauki nie towarzyszył wcale jej dalszy rozwój.

Zdaje się, że w Anglii odrzucenie nauki kanonicznej pociągnęło za sobą najmniej ożywienia w literaturze. Przez rozwój swego handlu i przemysłu dojrzała ona wcześniej do wymagań życia gospodarczego. *Henryk VIII*. już w r. 1545 zniósł zakaz pobierania procentu i zastąpił go przez prostą takse procentową. Następnie wprowadził zakaz ten został wznowiony przez *Edwarda VI*, ale już w 1571 zniósła go znowu królowa *Elżbieta I* i tym razem na zawsze⁴⁾.

Tak więc zasadnicza kwestja słuszności procentu została w Anglii praktycznie rozwiązana, zanim się tam rozwinęła teoretyczna ekonomiczna literatura, a gdy to wreszcie nastąpiło, przesądzona już kwestja procentu straciła wszelką aktualność. W tym większym stopniu zainteresowa-

¹⁾ Op. cit., str. 426.

²⁾ Op. cit., str. 432 i nast.

³⁾ 5-te wydanie, str. 497.

⁴⁾ Porówn. *Schanz*, *Englische Handelspolitik*, Lipsk, 1881, tom I, str. 552 i nast.

nie wzbudziła tam nowa sporna kwestja, którą wywołały zmiany w prawodawstwie: było to mianowicie pytanie, czy i w jakim stopniu powinny istnieć taksy procentowe.

Okoliczności te wycisnęły swoje piętno na angielskiej literaturze procentowej XVII i XVIII wieku. Z wielkim zapalem i w licznych pismach dyskutuje się nad wysokością procentu, nad jej dobremi i złemi stronami, nad tem, czy odpowiednim jest, czy też nie, prawne jej ograniczenie, ale rzadko tylko i to pobieżnie dotyka się kwestji słuszności procentu.

Podam tu w krótkości parę próbek rozwoju tych sporów.

O Baconie, który całkiem blisko jeszcze stał od czasów zakazu pobierania procentu i opowiedział się za procentem z obojętnych, czysto praktycznych powodów, mówiliśmy już wyżej¹⁾. W dwadzieścia lat później nawet gwałtowny przeciwnik procentu, *Thomas Culpeper*, nie odważył się wypowiadać kanonicznych argumentów przeciw procentowi we własnym imieniu, a omija sprawę w ten sposób, bardzo charakterystyczny, iż oświadcza, że teologom pozostawia dowodzenie niesprawiedliwości procentu, a sam pragnie ograniczyć się tylko do wykazania, ile szkody przynosi procent²⁾. W dalszym ciągu jednak zwraca się nie przeciw procentowi wogóle, a tylko przeciw wysokim procentom³⁾.

Inny, również niechętnie dla procentu usposobiony pisarz, *Josiah Child*, nie chce się więcej zatrzymywać nad kwestją słuszności procentu, a odsyła czytelnika, który czegoś bliższego chce się o tem dowiedzieć, do starego, anonimowego, jak się zdaje, pisma, które ukazało się w r. 1634 pod tytułem »the English usurer«⁴⁾. Dalej nazywa on procent częstokroć »ceną pieniądza«, co nie wykazuje głębszego wniesienia w istotę procentu, przelotnie wypowiada zdanie, iż dzięki niemu wierzyciel wzbogaca się kosztem dłużnika⁵⁾.

¹⁾ Patrz wyżej, str. 32.

²⁾ Tract against the high rate of usury 1621. Rozporządzałem tylko francuskim przekładem tego traktatu Amsterdam i Berlin, 1754. Cytowany w tekście ustęp znajduje się na str. 441-ej tego przekładu.

³⁾ Np. str. 447. gdzie tylko taki procent potępiany jest, jako niesłuszny, »qui ronge et qui détruit«; więc procent zbyt wysoki.

⁴⁾ Pisma tego, niestety, nie mogłem odszukać. Powyższa uwaga *Childa* znajduje się we wstępie jego Rozważań o handlu, str. 9 francuskiego przekładu z r. 1754.

⁵⁾ New discourse of trade, 1690. Miałem w ręku tylko ten

zadawała się jednak przemawianiem za zmniejszeniem prawnej taksy procentowej, a nie za zupełnem zniesieniem pobierania procentu. Przychylny procentowi przeciwnik jego North znowu, zupełnie na sposób Salmasiusa ujmuje procent jako »rent for stock«, równolegle do renty gruntowej; ale dla wyjaśnienia obydwu nie umie powiedzieć nic innego, jak tylko, że właściciele wynajmują nadmiar swego gruntu i kapitału tym, którzy ich potrzebują¹⁾.

Ciekawą myśl wprowadzili do dyskusji Petty i Vaughan, którzy w przelotnych wprowadzie, nierozwiniętych szerzej uwagach, przeprowadzili równoległą pomiędzy procentem, wypłaconym z zastrzeżeniem różnicy w czasie, a dodatkiem pieniężnym (agio) w stosunkach wekslowych wypłaconym z zastrzeżeniem różnicy w miejscu. Spotkamy tę samą myśl w sto lat później u Galianiego i Turgota, szerzej rozwiniętą, i może powinniśmy w niej widzieć najpierwszy przejaw idei, która znowu w sto lat później rozwinęła się w szeroko, systematycznie zbudowaną współczesną teorię procentu, tak zwaną »teorię agia«²⁾.

Na bardziej szczegółowe zajęcie zasługuje w tej grupie filozof John Locke.

Locke pozostawił bardzo ciekawe rozważania nad pochodzeniem procentu. Zaczyna je od kilku zdań, bardzo przypominających stanowisko kanonistów. »Pieniądz«, powiada³⁾, »jest rzeczą bezpłodną (barren thing) i żadnych owoców nie daje; przenosi tylko na podstawie umowy dochód, wynagradzający pracę jednego człowieka, do kieszeni drugiego«. Jednakże Locke uważa procent za uprawniony.

przekład francuski z r. 1754-go, z którego korzystał też Roscher w pracy swojej »Zur Geschichte der englischen Volkswirtschaftslehre« (Abhandlungen der königl. sächs. Ges. der Wissenschaften, tom III, 1857). Patrz Roscher, str. 59 i nast.

¹⁾ Roscher, op. cit., str. 89 i nast.

²⁾ O Pettym i Vaughanie, jak też wogóle o angielskiej literaturze procentu tego okresu, patrz też bogate i ciekawe wskazówki bibliograficzne u Cassela. Nature und necessity of interest, 1903, str. 9—16, szczególnie str. 14. W ocenie wartości prac tego okresu dla rozwoju teorii procentu nie mogę się jednak z Casselem zupełnie zgodzić.

³⁾ Considerations of the consequences of the lowering of interest and raising the value of money, 1691, str. 24. Cytuję według zupełnego wydania dzieł Locke'a, Londyn, 1777, tom II.

Jako dowód służy mu zupełna analogja, zachodząca pomiędzy procentem z jednej, a czynszem dzierżawnym za kawałek gruntu z drugiej strony. Najbliższą przyczyną obydwóch jest nierówny podział. Ponieważ jeden ma więcej, a drugi mniej pieniędzy, niż potrzebuje, pierwszy znajduje kogoś, pragnącego »wynająć jego pieniądze¹⁾, zupełnie tak samo, jak właściciel ziemski, dlatego, że posiada za wiele ziemi, gdy inny ma jej za mało, znajduje dzierżawcę dla swego gruntu. Dlaczego jednak pożyczający zgadza się płacić procent od pożyczonych pieniędzy? — Znów z tego samego powodu, z jakiego dzierżawca zgadza się płacić rentę za używanie kawałka ziemi. Ponieważ pieniądz, oczywiście tylko dzięki trudom pożyczającego, dodaje Locke wyraźnie, jest w stanie w handlu »przynieść« pożyczającemu więcej, niż 6%, tak samo, jak ziemia, »dzięki pracy dzierżawcy« jest w stanie dać więcej owoców, niż wynosi renta dzierżawna. Wprawdzie w myśl tego procent, pobierany przez kapitalistę, należy uważać za owoc pracy innego, ale dotyczy to procentu nie w stopniu wyższym, niż renty gruntowej. Przeciwnie, w mniejszym nawet. Bowiem renta gruntowa pozostawia zwykle dzierżawcy z owoców jego trudu znacznie mniej, niż pozostaje pożyczającemu pieniądze z wytworzonego przezeń dochodu po opłaceniu procentu. I tak dochodzi Locke do twierdzenia: »Nie tylko faktem jest, iż pożyczanie pieniędzy na procent staje się nieuniknionem z powodu wymagań życia gospodarczego i danej organizacji społeczeństwa dla niektórych ludzi; ale także samo otrzymywanie dochodu z pożyczania pieniędzy jest równie słuszne i uprawnione, jak pobieranie renty gruntowej, a przytem dla dłużnika łatwiejsze do zniesienia«...

Trudno twierdzić, iż teoria ta jest szczególnie udatną. Punkt wyjścia i wyniki końcowe stoją ze sobą w zbyt jaskrawej sprzeczności; jeśli prawdą jest, iż procent przenosi dobrze zapracowaną zapłatę za trud jednego człowieka do kieszeni drugiego, który sam nie pracuje, i którego pieniądze są w dodatku bezpłodne, to absolutnie nie zgadza się z tem twierdzenie, iż procent jest jednak »słuszny i uprawniony«. Fakt istnienia niezaprzeczonej analogji między procentem

¹⁾ Również w innych ustępach (np. op. cit., str. 4) nazywa Locke procent zapłatą za »wynajem pieniądza« (hire of money).

a renta dzierzawną mógłby w tym stanie rzeczy doprowadzić co najwyżej do poddania i renty gruntowej również potępiającemu wyrokowi. W teorii Locke'a nie zbrakłoby też punktu oparcia dla takiego rozszerzenia, ponieważ autor wyraźnie oświadcza, iż renta gruntowa również jest owocem cudzego trudu. Jej słuszność jednak wydaje się Locke'owi i wyższą ponad wszelkie wątpliwości.

Pomimo, iż teoria procentu Locke'a tak mało jest dawalająca, jedna okoliczność czyni ją nader ważną dla rozwoju teorii — wylania się ona bowiem na tle zdania, iż praca ludzka jest źródłem wszystkich dóbr. Zdanie to Locke nie tyle tu wypowiedział, co zastosował, i to zastosował niezupełnie szczęśliwie. W innym miejscu jednak nadał mu dobitniejszy wyraz, mówiąc: »Gdyż w istocie praca nadaje przedmiotom ich rozmaitą wartość«¹⁾. Zobaczymy, jak wielkie znaczenie zdanie to miało osiągnąć w znacznie późniejszym okresie dla rozwoju zagadnienia procentu²⁾.

Pewne pokrewieństwo z ujęciem procentu Locke'a wykazuje nieco później James Steuart. »Procent«, pisze on, »który się płaci od pożyczonych pieniędzy, jest nieznaczny, jeśli się go porówna z wartością, którą w istocie stwarza tylko dzięki zużytkowaniu swego czasu i zdolności«. »Może ktoś powiedzieć, iż jest to nieokreślone zdanie, nie poparte żadnym dowodem; na to odpowiem, że wartość pracy człowieka może być ocenioną zapomocą stosunku pomiędzy towarem, dostarczonym na rynek, a materiałem, z którego towar został zrobiony«³⁾. Podkreślone w druku słowa dowodzą, iż Steuart, zarówno jak Locke, uważał cały przy produkcji otrzymany przyrost wartości za wytwór pracy dłużnika, a w myśl tego i w procencie widział owoc tej pracy.

Pomimo, iż Locke i Steuart nie wyjaśnili sobie jeszcze wcale istoty tego, co dziś nazywamy pierwotnym zyskiem z kapitału dłużnika, dalecy byli od zapoznawania faktu, iż procent w dochodzie tym znajduje pochodzenie swe i usprawiedliwienie. Tak Steuart w innym miejscu pisze

¹⁾ Of civil government, księga VI, rozdz. V, § 40. Porówn. Roscher, op. cit., str. 95 i nast.

²⁾ Patrz niżej rozdział XII.

³⁾ Untersuchung der Grundsätze von der Staatswirtschaft. Übersetzt im Cottaschen Verlag, Tübingen, 1769—1772, IV, str. 50.

wyrażnie: »Zależnie od tego, jakie korzyści można mieć z pożyczonych pieniędzy, będą pożyczający ofiarowywali mniej, lub więcej za prawo ich używania«¹⁾.

Naogół angielska literatura procentu zadała sobie wiele trudu dla rozpatrywania związku pomiędzy procentem a dochodem z kapitału, przyczem nie prześcignęła wprawdzie nauki salmazjańskiej w zasadniczych wyjaśnieniach, lecz wzbogaciła ją przez rozszerzenie i zbadanie szczegółów. Szczególnie ulubionem było roztrząsanie, czy wysoki procent jest przyczyną, czy skutkiem wysokiego zysku. Hume rozstrzyga spór twierdzeniem, iż ma tu miejsce wzajemne oddziaływanie. »Zbytecznem jest«, powiada²⁾, »badać, która z tych dwóch okoliczności, mianowicie niski procent, czy niski zysk, jest przyczyną, a która skutkiem. Obie wynikają z rozwiniętego handlu i działają na siebie wzajemnie. Nikt się nie zadowoli niskim zyskiem, jeśli może mieć wysoki procent; i nikt nie zadowoli się niskim procentem tam, gdzie może mieć wysoki zysk«.

Więcej wartości, niż ten, niezbyt głęboki sąd, przedstawia inny nabytek wiedzy, związany z imieniem Hume'a. Rozróżnił on mianowicie zupełnie wyraźnie pojęcia pieniądza i kapitału i wykazał, iż wysokość stopy procentowej w danym kraju zależną jest nie od ilości posiadanej przezeń gotówki, ale od wielkości jego zapasu dóbr (riches, stocks)³⁾. Ważne to odkrycie dopiero znacznie później wyzyskane zostało dla określenia pochodzenia zysku z kapitału.

Jak obcą się stała Anglikom XVIII stulecia, nawykłym do prowadzenia interesów, niegdyś tak rozpowszechniona nauka kanoniczna, może jeszcze służyć dowodem sposób, w jaki Bentham potraktował temat pobierania procentu

¹⁾ Op. cit., str. 24.

²⁾ Of Interest; Essays and treatises on several subjects, Bazylea, 1793, tom II, str. 60.

³⁾ Op. cit. passim. Wybitnym poprzednikiem Hume'a w części tego poglądu był już Mikołaj Barbon, który określa procent, jako »rent of stock« i dodaje uwagę, iż procent uważany jest zwykle za zapłatę za pieniądze; jest to błędem, gdyż procent płacony jest właśnie raczej za kapitał (stock), ponieważ pożyczone pieniądze użyte zostały na zakup towarów. (A Discourse of trade, 1690, str. 31 i nast.; patrz Stefana Bauera artykuł o Barbonie w Conrads Jahrbüchern N. F., tom XXI (1890), str. 561 i nast., szczególnie 573).

w swojej »defence of usury«, wydanej coprawda dopiero w r. 1787. O poważnem potępieniu pobierania procentu niema już teraz mowy. Dowody starożytnych i kanonistów powtarzane są tylko po to, aby służyć za wdzięczne pole do żartobliwych uwag; Arystoteles, jako wynalazca dowodu o bezpłodności pieniądza, wydrwiony jest temi słowy: »nigdy nie potrafił odnaleźć w sztuce złota takich organów, któreby mogły służyć do płodzenia takich samych monet« i t. d. (Letter X)¹⁾.

Włochy znajdowały się bezpośrednio pod okiem Kościoła rzymskiego. Włochy jednak były najpierwszym krajem w Europie, który poznał bogaty rozkwit handlu i życia gospodarczego, najwcześniej też musiały odczuć nieznosny ucisk kanonicznego zakazu pobierania procentu. Stosunek do zagadnienia procentu potrafił uwzględnić obie okoliczności: nigdzie w Europie zakaz ten w rzeczywistości nie był tak mało znaczącym, ale też nigdzie w Europie nie wystąpili teoretycy później przeciw nakazowi Kościoła.

Robiono wszystko, co się tylko dało zrobić poza plecami formalnie obowiązującego zakazu pobierania procentu; i zdaje się, że dało się w ten sposób robić wszystko, czego praktyka potrzebowała. Najwygodniejszymi formami obejścia przepisów był z jednej strony obrót wekslowy, który właśnie we Włoszech najpierw się pojawił, z drugiej zastrzeżenia wypłacania procentów tytułem »odszkodowania«. Świeckie prawodawstwo służyło pomocą takim obejściom, gdyż wcześniej już zezwoliło na umieszczanie w kontraktach t. zw. »interesse« w postaci ściśle określonego odsetka od pożyczonego kapitału, ustalając tylko zgóry maximum tego odsetka, którego już obie strony przekroczyć nie miały prawa²⁾.

Natomiast, żaden pisarz włoski przed XVIII stuleciem nie podjął otwartej zasadniczej walki z nauką kanoniczną. Galiani w r. 1750 cytuje Salmasiusa, jako pierwszego, który dał wyczerpujące przedstawienia nauki o procencie w sensie procentowi przyjaznym, a z dotychczasowej włoskiej literatury wspomina tylko o sporze, który na temat

procentu wybuchł pomiędzy Marchese Maffei, a mnihem-kaznodzieją Fra Daniello Concino¹⁾. Również i inni wybitni pisarze tegoż okresu wspominają zwykle jako poważnych poprzedników przedewszystkiem Salmasiusa i innych cudzoziemców, jak Locke, Hume, Montesquieu i Forbonnais, a z rodaków nie cytują nikogo, z wyjątkiem Marchese Maffei²⁾. Tak więc widocznie nikt inny, tylko Salmasius, służył za podstawę dla przyjaznej procentowi literatury włoskiej.

Późne przyswojenie jego nauki we Włoszech nie jest związane ze szczególnem jej wzbogaceniem. Jeden tylko autor stanowi wyjątek: Galiani. Ten ujmuje kwestję istoty i słuszności procentu w sposób szczególnie swoisty. Gdyby procent, wywodzi on³⁾, był istotnie tem, za co się go zazwyczaj uważa, a mianowicie dochodem, lub korzyścią, którą udzielający pożyczkę ciągnie ze swoich pieniędzy, to w samej rzeczy byłby godnym potępienia: gdyż »każdy dochód, duży, czy mały, który daje bezpłodny z przyrodzenia swego pieniądź, godnym jest nagany; nie można też takiego dochodu nazwać owocem trudu, gdyż trud daje ten, co pożyczkę bierze, nie ten, co jej udziela« (str. 244). Ale procent nie jest prawdziwym dochodem, tylko dopełnieniem tego, czego brakuje dla zrównania usługi i jej wynagrodzenia. W gruncie rzeczy powinny one być jednakowe. Ponieważ wartość jest stosunkiem rzeczy do naszych zapotrzebowań, byłoby całkiem błędne szukać równoważności w jednostkowej wadze, ilości sztuk, albo jednakowym zewnętrznym wyglądem; przeciwnie, polega ona jedynie na jednakowej użyteczności. Z tem zastrzeżeniem obecne i przyszłe sumy pieniężne jednakowej wielkości, nie mają równej wartości, podobnie jak w stosunkach wekslowych sumy pieniężne jednakowej wielkości w różnych miejscach posiadają różną wartość. I podobnie jak dochód wekslowy (cambio), pomimo swej pozornej postaci nadwyżki (soprapriu), w istocie jest

¹⁾ Galiani, Della moneta (Scritt. Class. Ital., Parte mod. tom 4, str. 240 i nast.).

²⁾ Impiego del danaro 1744. Nie miałem sam tej książki w ręku. Jak mię jednak łaskawie pouczył zmarły prof. Luigi Cossa, treść jej w znacznej części przerobiona jest z rok wcześniej wydanego dzieła przyjaznego procentowi holenderskiego teologa Broedersena (De usuris licitis et illicitis, 1743).

³⁾ Op. cit. księga V, rozdz. I.

Kapitał.

¹⁾ O Benthamie, który jako pisarz należy do późniejszej, niż omawiana, epoki, będziemy też mówili w innym miejscu.

²⁾ Porówn. historyczną pracę Vasco, L'usura libra (Scrittori Classici Italiani, Parte moderna tom 34), str. 182 i nast., szczególnie 195, 198 i nast., 210 i n.

dopełnieniem, które dołączone jest raz do obecnych na miejscu, to znowu do oddalonych pieniędzy i odtwarza równość wewnętrznej wartości, tak też procent od pożyczki nie jest niczem innym, jak tylko wyrównaniem różnej wartości obecnych i oddalonych w czasie pieniędzy (str. 243 i nast.).

Temi ciekawymi myślami — które wszelako przelotnie poruszane były już przed nim¹⁾ — utworzył Galiani nową drogę rehabilitacji procentu, i dzięki niej uniknął między innymi pewnego błędnego rozumowania, bez którego obejść się nie mogli jego poprzednicy. Salmasius i jego zwolennicy musieli mianowicie, by uniknąć zarzutu naruszenia równości pomiędzy usługą i jej odpowiednikiem argumentować w ten sposób, że pojęcie trwałego używania może stosować się również i do rzeczy zużywających się, ewentualnie nawet istotnie zużytych z początkiem okresu pożyczki, i że za osobne udzielenie prawa takiego używania wymagane jest słuszenie osobne wynagrodzenie, procent. Dowodzenie to, zawsze nieco nieszczęśliwe, staje się, dzięki drodze Galianiego, zbyteczne.

Niestety, wniosek, który Galiani z myśli swojej wyciąga, jest bardzo mało zadawalający. Przyczynę, dla której obecne sumy z zasady więcej są warte, niż przyszłe, widzi on wyłącznie w rozmaitym stopniu ich bezpieczeństwa. Prezensja do przyszłej wypłaty pewnej sumy podlega różnym niebezpieczeństwom, z powodu których cenę się ją niżej, niż równej wielkości sumę obecną. Ponieważ procent jest wypłacany dla zrównoważenia tych niebezpieczeństw, nabiera on tu pozoru premji asekuracyjnej. Galiani ujęciu temu daje drastyczny wyraz, gdy raz uznaje »tak zwany owoc pieniądza« za zapłatę za »bicie serca« (prezzo del batticuore (str. 247), a gdzie indziej mówi wprost, iż to, co nazywamy owocem pieniądza, mogłoby być nazwane odpowiednią ceną zabezpieczenia (prezzo dell'assicurazione) (str. 252). W ten sposób najzupełniej zapoznaje on istotę procentu od pożyczki.

Mniej godnym uwagi jest sposób ujęcia zagadnienia procentu przez późniejszych włoskich pisarzy XVIII stulecia. Nawet najwybitniejsi wśród nich, — jak Genovesi²⁾

¹⁾ Przez Petty'ego i Vaughana; patrz wyżej, str. 44.

²⁾ Lezioni di Economia Civile, 1769 (Scritt. Cl. Ital. Part. mod., tom 9). Część II, rozdz. XIII.

i Beccaria¹⁾ — również jak ci, co kwestję procentu opracowywali monograficznie, jak Vasco²⁾, obracają się poważnie w zakresie tradycyjnej już od czasu Salmasiusa nauki.

Najgodniejszymi uwagi są jeszcze wywody Beccarii. Rozróżnia on wyraźnie »interesse« i procent (usura): pierwszy jest bezpośrednią użytecznością przedmiotu, procent zaś »użytecznością użyteczności« (l'utilità dell'utilità). Bezpośrednią użyteczność (interesse) posiadają wszystkie dobra. Specjalnie »interesse« pieniądza, który jest ogólną miarą wartości i przedstawicielem wartości wszystkich innych dóbr, polega na użyteczności, którą mieć mogą przedstawiane przez pieniądź dobra. Ponieważ każda suma pieniężna przedstawia, lub może przedstawiać pewien określony kawałek ziemi, to »interesse« danej sumy będzie przedstawiał roczny dochód z danego kawałka ziemi. Zmienia się on też stosownie do rozmiarów tego dochodu, i przeciętna stopa tego pieniężnego »interesse« będzie odpowiadała przeciętnemu dochodowi z ziemi (str. 116 i nast.).

Ponieważ w wyjaśnieniu tem słowo »interesse« oznacza wyraźnie to samo, co my będziemy nazywali pierwotnym zyskiem z kapitału, możemy w powyższym ustępie dopatrzyć się niezmiernie prymitywnej próby wytłumaczenia istnienia i wielkości pierwotnego zysku z kapitału przez możliwość kupienia gruntu. Jak to jednak zobaczymy później, ta sama myśl już o kilka lat wcześniej i znacznie lepiej rozwiniętą została przez innego pisarza.

Porusza też Beccaria podany przez Galianiego motyw wpływu czasu i analogji z procentem wekslowym, który stanowi »interesse« miejsca (str. 122); ale czyni to znacznie pobieżniej.

Katolicka Francja tymczasem w teorii i w praktyce pozostała w tyle. Państwowe jej prawa, dotyczące procentu, w ciągu stuleci zdobyły i utrzymały sławę najsurowszych w Europie. W czasie, gdy wszędzie jednogłośnie zgodzono się na dopuszczenie pobierania procentu, bądź całkiem otwarcie, bądź pod bardzo przejrzystą maską ustalonego zawczasu

¹⁾ Elementi di Economia Pubblica; napisane 1769—1771, wydane po raz pierwszy w zbiorze Scritt. Cl. Ital. part. mod., tom 11 i 12; szczególnie część IV, rozdz. 6 i 7.

²⁾ Usura libera; tom 34 powyższ. zbioru (parte mod.).

wody jego na temat procentu należą do najchaotyczniejszych wśród wszystkiego, co w tej materji było pisane. Fanatycznie sprzeciwia się on procentowi i niewyczerpanym jest w argumentach, które mają świadczyć przeciw niemu. Między innemi dowodzi on, iż nie istnieje ani jedna racjonalna podstawa do pożyczania pieniędzy niebezinteresownie. Przedewszystkiem pieniądz nie ma żadnego naturalnego użytku, jest tylko przedstawicielem. »Ciągnąć zysk z jego reprezentatywnego charakteru znaczy to samo, co szukać w lustrze postaci, którą ono odbija«. Dalej, nie usprawiedliwia, jego zdaniem, posiadaczy pieniędzy i ta racja, że muszą żyć z dochodu od swoich pieniędzy: można temu zaradzić przez wymienienie pieniędzy na inne dobra, aby żyć z tego, co przyniesie ich wynajęcie! Wreszcie pieniądze nie niszczą się wskutek użycia, jak domy, meble i t. p.; to też nie można ze słusnością pobierać opłaty za ich używanie¹⁾.

Już wyliczone dowody będą zapewne uznane za bardzo słabe. Ale Mirabeau w swym ślepym zapale posuwa się jeszcze dalej. Nie może on pominąć faktu, iż dłużnik z zastosowania pieniędzy, z ich »emploi«, może wyciągnąć środki na zapłacenie procentu od pożyczonych kapitałów. Ale i ten fakt zwraca przeciw procentowi! Dowodzi bowiem, iż pożyczający muszą tu zawsze ponosić stratę, ponieważ niemożliwe jest ustalenie równowagi pomiędzy »emploi« i procentem. Niewiadomo, ile przyniesie pożyczającemu rolnikowi gospodarka rolna, mogą zająć nieprzewidziane okoliczności, i dlatego(!) pożyczający zawsze(!) poniesie stratę²⁾.

Jeszcze więcej! Mirabeau z całkiem naturalnego faktu, iż każdy prywatny człowiek chętniej otrzymuje procent, niż go płaci, robi całkiem poważnie argument na korzyść dowodzenia, iż płacenie procentu jest szkodliwe dla dłużnika!³⁾.

Opierając się na takich dowodach, wydaje na procent pieniężny nader ostry wyrok potępiający. »Słowem« — mówi⁴⁾ — »procent pieniężny rujnuje społeczeństwo, skupiając dochody w rękach ludzi, którzy nie są ani właścicielami

¹⁾ Op. cit., str. 269 i nast.

²⁾ Str. 257—262.

³⁾ Str. 267.

⁴⁾ Str. 284.

ziemskimi, ani producentami, ani przemysłowcami, i którzy... mogą być uważani za trutni, żyjących z rabunku społecznego ula«.

A pomimo to, sam Mirabeau nie jest w stanie zaprzeczyć słusności pobierania procentu w pewnych wypadkach. Musi też, aczkolwiek bardzo niechętnie, złamać zasadę zakazu pobierania procentu przez niektóre wyjątki, których wybór uzależniony jest od zupełnie dowolnych i niewystarczających rozróżnień¹⁾.

Rzadko znaleźć można wdzięczniejsze zadanie, niż w połowie XVIII wieku opozycja przeciw nauce, dawno przeżytej, dawno rozsypującej się wewnątrz, przez jednych wzgardzonej, przez innych wyśmianej, sterczącej jeszcze, jak zmurzała ruina, i w dodatku zmuszonej szukać podtrzymania w tak pożałowania godnych naukowych oporach. To ze wszechmiar wdzięczne zadanie podjął Turgot, i rozwiązał je z równie wybitnym talentem, jak świetnym wynikiem. Jego *Mémoire sur les prêts d'argent*²⁾ jest godnym odpowiednikiem do Salmasiusa pism o lichwie. Zapewne dzisiejszy badacz znajdzie w rozumowaniach jego obok wielu dobrych dowodów, niemało też i gorszych. Ale tak dobre, jak złe racje, podane są z taką głębią i subtelnością, z tak wielką retoryczną i dialektyczną sztuką i w tak dobitnem ujęciu, że wpływ ich w danym okresie nie mógł nie być zwycięski.

Ponieważ urok pracy polega nietyle na samych wypowiadanych w niej myślach, które się w znacznej części pokrywają z powtarzaniem już argumentami poprzedników, ile w ich porywającym ujęciu, szczegółowe wejście w treść »Mémoire'u« byłoby wtedy tylko korzystnem, gdybym przytoczył tu w dosłownem brzmieniu znaczne jego ustępy, a tego, z powodu szczupłości ram zakreślonych, wyrzec się muszę. Zadowolimy się więc podniesieniem niektórych wybitnych rysów z wywodów Turgota.

Za najważniejszy dowód prawomocności procentu uważa on prawo własności wierzyciela w stosunku do jego pieniędzy. Dzięki niemu, ma on »niezaprzeczalne« prawo roz-

¹⁾ Patrz szczególnie str. 276, 290, 292 i n., 298 i n.

²⁾ Napisany w roku 1769-ym, wydany w 20 lat później, w 1789-ym. Cytuję według pełnego wydania dzieł Turgota przez Daire'a, Paryż, 1844, t. I, str. 106—152.

porządzać niemi, jak sam zechce, i przy wynajmowaniu ich i sprzedaży stawiać warunki, jakie uzna za stosowne, np. wymagać wypłaty procentu (§ 23 i n.). Jest to oczywiście bardzo śliski argument, zapomocą którego można równie dobrze usprawiedliwić pobieranie procentu wogóle, jak też procentu lichwiarskiego ponad 100%!

Argument o bezpłodności pieniądza odpiera Turgot na tej samej zasadzie, co i jego poprzednicy (§ 25).

Szczególnie troskliwie zajmuje się Turgot podaniem wyżej rozumowaniu Pothiera. Tezę Pothiera, iż usługa i wynagrodzenie z punktu widzenia sprawiedliwości muszą być sobie równe, czego niema przy oprocentowanej pożyczce, odpiera, dowodząc, iż przedmioty dobrowolnie, bez oszustwa i przymusu wymieniane jedno na drugie, w pewnym znaczeniu zawsze posiadają równą wartość. Na groźny argument, iż, gdy chodzi o rzeczy nietrwałe, nie daje się pomyśleć jeszcze pojęcie użytkowania, wyodrębnionego od samej rzeczy, odpowiada zarzucając prawniczą kazuistykę i niedopuszczalną metafizyczną abstrakcyjność, i przeprowadza oddawną ulubioną analogję pomiędzy wynajmem pieniędzy, a wynajmem jakiegoś trwałego przedmiotu, np. djamentu: »Jakto! za mizerną korzyść, którą mam z jakiegoś mebla, czy klejnotu, każdy może ode mnie wymagać zapłaty, a przestępstwem miałoby być, gdyby mi kazano coś płacić za olbrzymią korzyść, którą wyciągam z używania w ciągu tego samego czasu pewnej sumy pieniędzy? i to dlatego, iż subtelny umysł uczonego prawnika w jednym wypadku może odróżnić użytkowanie danej rzeczy od rzeczy samej, a w drugim nie może? W istocie, zbyt to jest śmieszne« (str. 128).

Niezależnie od tego nie pogardza wprawdzie i sam Turgot metafizyczną abstrakcyjnością i subtelnością prawniczą. Mianowicie, aby odeprzeć argument, iż dłużnik jest właścicielem pożyczonych pieniędzy, więc należy też do niego i użytkowanie, buduje prawo własności na wartość pieniądza i odróżnia je od prawa własności na sztuki złota: ostatnie niewątpliwie przechodzi na dłużnika, ale pierwsze pozostaje przy wierzycielu.

Zasługującami na baczną uwagę są wreszcie wywody, w których Turgot, wzorem Galianiego, podnosi wpływ czasu na ocenę dóbr. Najpierw przeprowadza znaną nam już analogję pomiędzy interesem wekslowym,

a pożyczką. Tak, jak przy wekslowym interesie daje się w jednym miejscu mniej pieniędzy, by otrzymać ich więcej w innym, przy udzielaniu pożyczki daje się mniej pieniędzy w pewnym czasie, by w innym otrzymać ich więcej. Przyczyna obu zjawisk leży w tem, że »różnica czasu, jak i miejsca, stanowi istotną różnicę w wartości pieniądza« (§ 23). W innym miejscu wskazuje na prawdziwą różnicę, zachodzącą w wartości sumy pieniężnej, posiadanej w danej chwili, i sumy, którą dopiero w pewnym określonym czasie ma się otrzymać (§ 27), a nieco później woła: »Jeśli ci panowie przypuszczają, iż suma 1.000 franków i obietnica 1.000 franków, posiadają tę samą wartość, to tem samem stawiają jeszcze bardziej absurdalną hipotezę; bo jeśli te dwie rzeczy posiadają równą wartość, to poco wogóle pożyczać pieniądze?«

Niestety, Turgot nie rozwinął dalej tego płodnego pomysłu. Jest on, że tak powiem, nieorganicznie wplątany w inne jego wywody i stoi z niemi właściwie w sprzeczności. Jeśli bowiem procent i zwrot kapitału razem dopiero stanowią odpowiednik pożyczonego kapitału, a więc procent jest częściowym odpowiednikiem całej sumy, to jak może on być wynagrodzeniem za odrębne użytkowanie tej sumy, jak to Turgot poprzednio z tak wielkim nakładem trudu dowodzi?

Spór Turgota z Pothierem możemy uważać za ostatni akt trzechsetletniej walki, którą prawo i ekonomja polityczna prowadziły z kanoniczną doktryną procentu. Od czasu Turgota w zakresie ekonomji politycznej doktryna ta przestaje istnieć. W teologii ciągnęła jeszcze pozorny żywot przez parę dziesiątków lat, aż nareszcie w XIX stuleciu i temu położono koniec. Z chwilą, gdy penitencjarja rzymska uznała stosunki procentowe za dozwolone nawet bez dodatkowych tytułów do wynagrodzenia, sam Kościół zgodził się na upadek swojej teorii¹⁾.

¹⁾ Funk, Zins u. Wucher, Tubinga, 1868, str. 116. O przyjęciu tej liberalnej decyzji Rzymu (z 18 sierpnia 1830) przez część francuskiego duchowieństwa, patrz Molinari Cours d'Economie politique, 2-e wyd., str. 333.

Zatrzymajmy się na chwilę, by raz jeszcze krytycznym okiem rzucić na okres rozpatrzony. Jakie przyniósł wyniki, i czy wiele mu nauka zawdzięcza w sprawie wyjaśnienia kwestji zysku?

Starożytni i kanoniści oświadczyli: procent jest niesprawiedliwym oszukiwaniem dłużnika przez wierzyciela; pieniądz bowiem jest bezpłodny i nie istnieje żadne odrębne »użytkowanie« pieniądza, któreby wierzyciel mógł ze słuszością sprzedawać za osobnem wynagrodzeniem. Nowa nauka głosi przeciwnie: procent jest usprawiedliwiony; po pierwsze bowiem pieniądz nie jest bezpłodnym, gdyż przy odpowiednich okolicznościach można z niego mieć dochód, którego wierzyciel wyrzeka się na korzyść dłużnika; powtóre, niezależnie od kapitału istnieje jego użytkowanie, które się też daje osobno sprzedawać.

Jeśli pominąć narazie punkt drugi, noszący raczej formalny charakter — spotkamy się z nim raz jeszcze później, w związku z innemi kwestjami — to punkt ciężkości nowego tłumaczenia polega na wskazaniu faktu, iż kapitał owocuje na korzyść tego, kto go używa. W gruncie rzeczy więc narodziła się w nowej nauce z ogromnym nakładem subtelności, dylektyki, polemiki i słów, ta sama myśl, którą nieco później Smith ze zwykłą sobie zadziwiającą prostotą ujął w kilka słów, któremi załatwił całą kwestję sprawiedliwości procentu: »as something can everywhere be made by the use of money, something ought everywhere to be paid for the use of it¹⁾. Przełożona na nasz język współczesny, ta sama myśl będzie brzmiała: Procent istnieje, ponieważ istnieje pierwotny zysk z kapitału.

Tak więc teoria Salmasiusa i jego zwolenników sprowadza się do wyjaśnienia zysku umownego, czyli procentu, zapomocą faktu istnienia pierwotnego zysku z kapitału.

Czy dużo zyskała na tem sprawa wyświeetlenia zagadnienia zysku? — Z pewnością niemało. Przemawia za tem już ta okoliczność, iż potrzeba było umysłowej pracy stuleci, by uzyskać wiarę dla nowej nauki wbrew sprzeciwiającym się jej wyrokom i naciskowi. Ale równie pewnem jest, iż to wyjaśnienie bynajmniej nie wyczerpało kwestji. Zagadnienie

¹⁾ Wealth of Nations, księga II, rozdz. IV.

procentu nie zostało rozwiązane, tylko odsunięte na plan dalszy. Na pytanie: dlaczego wierzyciel otrzymuje stały, a niezapracowany dochód z pożyczonego kapitału? odpowiadano: dlatego, że mógłby go otrzymać przy samodzielnem wyzyskiwaniu tegoż kapitału. — Ale dlaczego mógłby go otrzymać? — To pytanie, które dopiero właściwie odnosi się do prawdziwego źródła zysku, nietylko nie zostało w epoce naszej rozwiązane, ale nawet nie było postawione.

Wszystkie próby wyjaśnień doprowadzały do stwierdzenia faktu, iż ten, kto ma w rękę kapitał, może z niego mieć dochód, i tu się zatrzymywały. Przyjmowały to, jako fakt, nie czyniąc najmniejszego wysiłku, by go w dalszym ciągu wyjaśniać. Widzimy to u Molinaeusa, w jego zdaniu, iż pieniądz w połączeniu z wysiłkiem człowieka przynosi owoce, i w powołaniu się na codienne doświadczenie. Również i sam Salmasius, ze swoją wyszukaną obroną owocności pieniądza, powołuje się na ten fakt, lecz go nie wyjaśnia. To samo spotyka się jeszcze i u ostatnich, najpostępowszych ekonomistów całego okresu: u Locke'a, Lawa, Hume'a, Jamesa Steuarta, Justiego, Sonnenfelsa. Dawali oni nieraz ze wszechmiar jasne i przekonujące wyjaśnienia, jak konieczność istnienia procentu wypływa z możliwości osiągnięcia dochodu z kapitału, i jak rozmiary pierwszego normują się według rozmiarów drugiego¹⁾ — ale żaden nie dotknął pytania, dlaczego istnieje właśnie ten dochód z kapitału²⁾.

¹⁾ Np. Sonnenfels Handlung 5, str. 488, 497. Steuart, księga 4, część I, str. 24; Hume, op. cit., str. 60. Porówn. wyżej, str. 48 i 54.

²⁾ Niektórzy historycy doktryn, będący równocześnie zwolennikami omawianej niżej teorii produkcyjności, jak Roscher, Funk i Endemann, chętnie przypisują pisarzom omawianej epoki pewne »pojęcie«, albo zgola »zrozumienie« »produkcyjności kapitału« i przez to czynią z nich poprzedników teorii produkcyjności. Uważam to za nieporozumienie. Pisarze ci mówią istotnie o »owocności« pieniądza i przeróżnych innych rzeczach; ale wyrażenie to w ich ustach służy raczej dla nazwania faktu, iż pewne określone rzeczy przynoszą dochód, niż dla jego wyjaśnienia. Poprostu nazywają oni wszelkie rzeczy, przynoszące dochód, albo »owoc«, właśnie dlatego »owocnemi«, i nie przychodzą im nawet na myśl dać przez to formalne teoretyczne wyjaśnienie pochodzenia tego dochodu. Wynika to najwyraźniej z odnośnych wywodów Salmasiusa. Gdy Salmasius »owocnemi« nazywa: powietrze, chorobę, śmierć i prostytutkę (patrz

To, co Salmasius i jego epoka uczynili dla zagadnienia zysku, najlepiej się daje zilustrować przez przeprowadzenie analogii z zagadnieniem renty gruntowej. To co Salmasius — wprowadzie wśród bardzo trudnych okoliczności — podniósł w zagadnieniu zysku, to w problemacie renty gruntowej wcale nie potrzebuje być podnoszone, jako zrozumiałe samo przez się: mianowicie spostrzeżenie, iż dzierżawca wypłaca umówioną rentę dzierżawną, ponieważ przynoszą ją dobra wydzierżawione. Przeciwnie zaś, nie podniósł i nie starał się podnieść w zagadnieniu zysku tego, co w zakresie renty gruntowej jedynie wymaga zajęcia się naukowego: mianowicie wyjaśnienia, dlaczego nawet dobro, gdyby nie było wydzierżawione, przynosi właścicielowi swemu rentę.

Tak więc wszystko, co uczyniono w rozpatrzonym wyżej okresie, polegało niejako na odrzuceniu wysuniętego poststerunku na główną pozycję. Problem procentu badany jest aż do złania się z ogólnym problematem zysku z kapitału: jednak ta główna pozycja nie tylko nie została zdobyta, ale nawet zaatakowana, i jądro zagadnienia zysku w końcu naszej epoki zostaje właściwie nietknięte.

Jednakże epoka ta nie przechodzi całkiem bezużytecznie i dla rozwiązania głównego problemu: przygotowała przynajmniej przyszłe jego opracowanie, wydobywając przedmiot jego, pierwotny zysk z kapitału z niejasnej wyobraźni i umożliwiając dokładne jego rozpatrzenie. Fakt, iż każdy, pracujący z pewnym kapitałem, otrzymuje dochód, znany był od dawna. Ale bardzo długo zachowano niejasne pojęcie o naturze tego dochodu i skłonność do zapisywania całego dochodu na rachunek działalności przedsiębiorcy. L o c k e jeszcze uważa procenta, które dłużnik płaci wierzycielowi, za »owoc pracy innego człowieka«, i wyraźnie przypisuje trudom dłużnika to, że pożyczone pieniądze, włożone

wyżej str. 37 w odsylaczu), to jest to wyraźnie tylko stwierdzenie w drastycznej formie faktu, iż państwo, opodatkowujące powierze, lekarze, przedsiębiorcy pogrzebowi i prostytutki ciągną z wymienionych rzeczy dochód. Ale równie jasnym jest, że Salmasius nie myślał bynajmniej wyprowadzać poważnie wynagrodzenia przedsiębiorcy pogrzebowego z produkcyjnej siły, znajdującej się w śmierci. Nie należy też o wiele poważniej brać owocności pieniądza, którą Salmasius chciał stwierdzać właśnie przez porównanie z temi przykładami.

w jakiś interes, mogą przynieść owoce. Ponieważ dla usprawiedliwienia procentu istniała skłonność do silniejszego podnoszenia wpływu kapitału na powstawanie tego rodzaju dochodów, musiało nareszcie dojść do jasnego zrozumienia, iż część dochodu przedsiębiorcy jest specjalną gałęzią dochodu, zupełnie odrębną od zarobku pracy, właściwym dochodem z kapitału. Pogląd ten, którego wyraźne ślady znajdujemy już u Molinaeusa i Salmasiusa, pod koniec epoki występuje z całą jaskrawością w pismach Hume'a i innych. Gdy zaś już zwrócono uwagę na zjawisko pierwotnego zysku z kapitału, musiało wcześniej lub później dojść do zainteresowania się przyczynami tego zjawiska.

Z chwilą tą zagadnienie zysku z kapitału wstępuje w nowy okres.

ROZDZIAŁ IV.

Teoria fruktyfikacji Turgota.

Tak dalece, jak sięga znajomość moja literatury ekonomicznej, muszę uważać Turgota za pierwszego z tych, co podjęli pracę naukowego wyjaśnienia również i pierwotnego zysku z kapitału, który przez to postawił zagadnienie zysku z kapitału w jego pełnym zakresie.

Okres, poprzedzający Turgota, był zupełnie niepomyślny dla naukowego badania pierwotnego zysku z kapitału. Z jednej strony dopiero jeszcze dochodzono do wyraźnego uświadomienia sobie faktu, iż w grę tu wchodzi samodzielne i odrębne źródło dochodu. Z drugiej zaś — i to miało jeszcze większe znaczenie — brakło zewnętrznej podniety do poruszenia w dyskusji sprawy natury tego źródła. Problem procentu został tak wcześniej opracowany, ponieważ procent podlegał napaściom ze strony praktyki; a podlegał on napaściom tak wcześniej, ponieważ pomiędzy stronami biorącymi udział w stosunkach procentowych zawsze panowała wroga sprzeczność interesów. Z pierwotnym zyskiem z kapitału rzecz się miała zupełnie inaczej. Nie umiano jeszcze wyraźnie go odróżniać od osobistego zarobku przedsiębiorcy, i odnoszono się do niego obojętnie. Potęgą kapitału była jeszcze nieznaczna; przeciwstawność interesów pomiędzy nim, a pracą, jako stronami zainteresowanymi w pierwotnym zy-

sku z kapitału, nie była jeszcze rozwinięta, a w każdym razie nie zastrzyła się do żadnej przeciwstawności klasowej. Narazie więc nikt nie zwalczał tej formy dochodu z kapitału, a co za tem idzie, nikt też nie miał zewnętrznej podniety do bronienia jej, czy wogóle szczegółowszego jej badania. Gdyby w tych warunkach przyszło komu na myśl tem się zajmować, to musiałby to być teoretyk, twórca systemu, któremuby potrzeba teoretyczna zastępowała zewnętrzną podniętę: ale prawdziwych twórców systemu w ekonomii politycznej do tychczas jeszcze nie było.

Pierwsi fizjokraci przynieśli prawdziwy system. Ale i oni przez czas dłuższy nie zwracali uwagi na nasze zagadnienie. Założyciel szkoły, Quesnay, tak źle jeszcze rozumiał istotę pierwotnego zysku z kapitału, że widział w nim raczej jakiś zwrot kosztów, rodzaj rezerwy na wypadek straty, służącej do pokrywania kapitału w miarę jego zużycia się, lub w wypadku nieprzewidzianych szkód, niż czysty dochód kapitalisty¹⁾. Prawidłowiej uważał Mercier de la Rivière²⁾, iż kapitał daje czysty dochód; ale zwraca on tylko uwagę, iż dochód ten powinien zawsze istnieć w rolnictwie, aby ludzie nie porzucali rolnictwa na korzyść innych gałęzi przemysłu; do badania, dlaczego kapitał wogóle przynosi zysk, nie posuwa się wcale.

Równie mało zajmował się tem Mirabeau, który wprawdzie pisał na temat zysku z kapitału bardzo wiele, ale, jak wiemy, bardzo słabo³⁾.

Tak więc Turgot, największy z fizjokratów, był też wśród nich pierwszym, który szukał dalszych wyjaśnień

¹⁾ »Les intérêts des avances de l'établissement des cultivateurs doivent donc être compris dans leurs reprises annuelles. Ils servent à faire face à ces grands accidents et à l'entretien journalier des richesses d'exploitation, qui demandent à être réparées sans cesse«. (Analyse du Tableau Economique. Ed. Daire, str. 62). Porówn. też wyczerpujący wykład, bezpośrednio przed cytata.

²⁾ L'ordre naturel; ed. Daire, str. 459.

³⁾ O jego stosunku do procentu patrz wyżej, str. 62 i nast. Co się tyczy pierwotnego zysku z kapitału, to usprawiedliwia on ciągnięcie zysku z kapitału, włożonego w rolnictwo (Philosophie rurale, str. 82 i nast., dalej str. 295), ale bliżej go nie wyjaśnia; zysk, osiągnięty z handlu i przemysłu, określa, w chwiejnych wyrażeniach, raczej jako owoc działalności, »de la profession«, niż kapitału.

faktu pierwotnego zysku z kapitału. Sposób ujęcia zagadnienia jest u niego jeszcze dosyć naiwny i nieskomplikowany: wyczuwa się jasno, iż nie płomienny zapal dla wielkiego społecznego problemu włożył mu pióro do ręki, ale potrzeba porządnego skojarzenia myśli — potrzeba, która, z konieczności, skoro tylko znalazła znośną formę, zadawała się niezbyt głębokiem wyjaśnieniem.

W znanym nam już *Mémoire sur les prêts d'argent* Turgot porusza jedynie kwestję procentu; szersza jego teoria zysku rozwinięta jest, czyli ściślej mówiąc, nie tyle rozwinięta jest, ile mieści się w głównem jego dziele *Réflexions sur la formation et la distribution des richesses*¹⁾. Turgot bowiem nie stawia wcale formalnie kwestji pochodzenia zysku z kapitału; nie poświęca jej też jednolitego rozważania, a tylko w szeregu poszczególnych paragrafów (§§ 57, 58, 59, 61, 63, 68 i 71) rzuca pewną ilość uwag, z których musimy sobie dopiero odtworzyć jego teorię pochodzenia zysku z kapitału²⁾. Nazwałem teorię tę dla krótszego określenia teorią fruktyfikacji, ponieważ opiera całkowity zysk z kapitału na możliwości, przedstawiającej się właścicielowi, znalezienia dla swego kapitału innego sposobu wykorzystania tegoż w drodze kupna przynoszących rentę gruntów.

Bieg myśli przedstawia się tu jak następuje:

Posiadanie kawałka ziemi gwarantuje stały i bez własnej pracy zdobywany dochód w postaci renty gruntowej. Ponieważ dobra ruchome mogą być zużytkowane niezależnie od gruntów i posiadają samodzielną wartość, można wartości obu rodzajów dóbr porównywać pomiędzy sobą, kawałki ziemi oceniać w dobrach ruchomych i wymieniać na nie. Cena wymienna, jak dla wszystkich dóbr, tak i tutaj, zależy od stosunku podaży i popytu (§ 57). Z drugiej strony przedstawia się ona stale jako pewna wielokrotna rocznego dochodu kawałka ziemi, i częstokroć jest też przez ten stosu-

¹⁾ Napisane w 1766, wydane w 1769 (w »Ephémérides du Citoyen«). Cytuję według ogólnego wydania Daire'a dzieł Turgota, Paryż, 1844, t. I.

²⁾ Zewnętrzna bezkształtność wyjaśnienia kwestji zysku przez Turgota kazala przypuścić dobremu skądinąd badaczowi jego dzieł, iż Turgot wogóle kwestji zysku nie wyjaśnia (Sivers, Turgot's Stellung etc., Hildebrands Jahrbücher, tom 22, str. 175, 183 i n.). Jest to błąd. Wyjaśnienie jego, jak się okaże, jest tylko istotnie niezbyt głębokie.

nek określaną. Kawalek ziemi, powiadają, sprzedaje się na denier vingt, denier trente, denier quarante, jeśli cena kupna przenosi dwadzieścia, trzydzieci, czterdzieści razy wysokość rocznej renty. Wysokość mnożnika zależy znów od stosunku podaży i popytu, t. j. od tego, czy mniej, czy więcej ludzi chce dobra ziemskie kupować lub sprzedawać (§ 58).

W myśl tych stosunków, każda suma pieniężna i wogóle każdy kapitał, jest odpowiednikiem kawałka gruntu, przynoszącego dochód, równający się pewnemu określönemu procentowi od tego kapitału (§ 59).

Ponieważ w ten sposób właściciel kapitału może sobie z niego przez kupno kawałka ziemi zdobyć stały roczny dochód, nie będzie on skłonny do ulokowania swego kapitału w przedsiębiorstwie przemysłowym (§ 61), rolniczem (§ 63) lub handlowem (§ 68), jeśli i tutaj, niezależnie od wynagrodzenia za wszystkie inne koszty i trudy, nie otrzyma takiego dochodu z kapitału, jakiby miał w razie kupna ziemi. Dlatego też kapitał przemysłowy musi dawać dochód.

W ten sposób wyjaśnia się najpierw gospodarcza niezbędność pierwotnego zysku z kapitału. Procent daje się teraz z niego latwo wyprowadzić w ten sposób, że nieposiadający kapitału przedsiębiorca chętnie się zgadza, i z punktu widzenia gospodarczego zgodzić się może, ustąpić temu, kto mu powierza kapitał, część dochodu, który przynosi kapitał pożyczony (§ 71). — Tak więc ostatecznie wszystkie postaci zysku z kapitału dają się wytłumaczyć, jako konieczne następstwa tej okoliczności, iż kapitał można wymienić na przynoszący rentę kawałek ziemi.

Jak widzimy, opiera się Turgot na tym samym fakcie, na który powoływali się już chętnie od kilku stuleci obrońcy procentu z Kalwinem na czele. Ale Turgot robi z okoliczności tej zupełnie inny, o wiele dalej idący użytek. Poprzednicy jego używali jej pobieżnie i raczej, jako przykładu; Turgot czyni z niej ośrodek swego systemu. Tamci nie widzieli w niej jedynej przyczyny istnienia procentu, ale łączyli z nią możliwość ciągnięcia dochodu z kapitału w handlu, przemyśle, i t. d.: Turgot — ją tylko wysuwa na czoło. Tamci wreszcie posługiwali się nią tylko dla usprawiedliwienia procentu: Turgot na tej podstawie wyjaśnia całe zjawisko zysku z kapitału. Tak utworzył Turgot

ze starego materiału nową naukę, pierwszą ogólną teorię zysku z kapitału¹⁾.

Charakterystycznym dla naukowej wartości tej teorii jest los, który ją spotkał: nie przypominam sobie, bym kiedy czytał formalną opozycję przeciw niej, ale milcząco uznano ją ogólnie za niezadawalającą i w dalszym ciągu poszukiwano nowych wyjaśnień. Dla opozycji była ona zbyt prawdopodobną, dla zaspokojenia zbyt powierzchowną; pozostawiała wrażenie, że nie wyciąga jeszcze na światło najgłębszych korzeni zysku z kapitału, ale nie umiano sobie zdać sprawy, czego właściwie brakuje.

Jeszcze dzisiaj nie będzie zbyt cenne, sądzę, zdać sobie z tego dokładnie sprawę. Nie będzie to tylko częścią formalności, do której zmusza mnie przyrzeczenie napisania krytycznej historii doktryny, ale ufam, że wykazując, w czym i jak błędził Turgot, wyraźniej potrafię podnieść zarazem jądro zagadnienia, do którego dotrzeć musi każda poważna próba rozwiązania, a przez to ułatwię dalsze nasze zadanie. Przykład zresztą pewnego bardzo utalentowanego pisarza

¹⁾ Cassel. Nature and necessity of Interest, str. 24, uważa za stosowne w niezwykłe gorących wyrażeniach brać Turgota w obronę przed twierdzeniem, iż chciał dać wyjaśnienie zysku z kapitału zapomocą wyżej podanego biegu myśli. Uważam to za zupełnie niesłuszne. Przypisana Turgotowi »teoria fruktyfikacji« nietylko zupełnie jasno jest u niego wyrażona, jak to wykazują przytoczone ustępy tekstu z ich niezaprzeczonym związkiem wewnętrznym, ale też jest zupełnie w duchu nauki fizjokratów. Renta gruntowa, okreśłona, jako »pur don« przyrody, »dochód bez pracy« — przez samego Turgota tak scharakteryzowany w jego § 14 — jest swego rodzaju stałym archimedesowym punktem teorii podziału fizjokratów. Tego archimedesowego punktu szuka Turgot i znajduje go poprzez §§ 31 i 59; w pierwszym mówi o zysku z kapitału, jako o drugim rodzaju dochodu bez pracy, którego pochodzenie należy zbadać i zestawić z uprzednio naszkicowanym systemem podziału, podczas gdy § 59 przedstawia kupno przynoszących rentę gruntów, jako »pierwszą« użytkowanie kapitałów (premier emploi des capitaux); wszystkie poszczególne sposoby osiągania zysku z kapitału są, jak to już przedstawiłem w tekście, w sposób symetryczny związane logicznie za pomocą tego pośredniego ogniwa z możliwością zdobycia pierwotnej formy dochodu bez pracy w postaci renty gruntowej. Cassel, którego orzeczenia w zakresie historii doktryny zdają mi się zamać przez wybitny subiektywizm, nie zauważył bodaj wcale zachodzących tu związków.

naszych czasów wykazuje, iż bieg myśli Turgota i dziś nie tak jest nam daleki, jakby się zdawać mogło ¹⁾).

Turgotowskie wyjaśnienie zysku z kapitału jest niezadowolające, ponieważ stanowi błędne koło. Koło to zamaskowane jest tylko przez to, iż Turgot urywa swoje wyjaśnienie w tym punkcie, którego — nieodzowne — dalsze wyjaśnienie doprowadziłoby znowu do punktu wyjścia.

Sprawa tak się przedstawia. Turgot mówi: Określony kapitał musi przynosić określony zysk, ponieważ możnaby zań kupić także kawałek gruntu, dający określoną rentę. Weźmy przykład: kapitał 100.000 fr. musi dawać zysku 5.000 franków, ponieważ możnaby zań kupić kawałek gruntu, dający 5.000 fr. renty ²⁾. Ta możliwość kupna nie jest jeszcze ostatecznym, bezpośrednio obowiązującym faktem; to też musimy dalej pytać: dlaczego za kapitał 100.000 fr. można kupić kawałek ziemi wogóle, a w szczególności kawałek ziemi, przynoszący rentę 5.000 fr.? — Turgot również czuje, że pytanie to może i musi być postawione, gdyż stara się na nie odpowiedzieć. Powołuje się na stosunek podaży i popytu, który za każdym razem ustala stosunek ceny pomiędzy kapitałem, a ziemią ³⁾.

Ale czy mogą się na tem zatrzymać nasze pytania?

¹⁾ Patrz niżej (rozdział XIV) »nową teorię fruktyfikacji« Henryka George'a.

²⁾ Zazwyczaj renta danego kawałka ziemi jest nieco niższa, niż odpowiedni procent od ceny kupna. Ta okoliczność, wyczerpująco zresztą wyjaśniona i u Turgota, *Reflexions* § 88 i nast., nie wywiera jednak żadnego wpływu na samą zasadę, i możemy ją swobodnie pominąć.

³⁾ »Si quatre boisseaux de blé, produit net d'un arpent de terre, valaient six moutons, l'arpent lui-même qui les produisait aurait pu être donné pour une certaine valeur, plus grande à la vérité, mais toujours facile à déterminer de la même manière que le prix de toutes les autres marchandises, c'est à dire, d'abord par le débat entre les deux contractans, et ensuite d'après le prix courant établi par le concours de ceux qui veulent échanger des terres contre des bestiaux, et de ceux qui veulent donner des bestiaux pour avoir des terres« (§ 57). »Il est encore évident que ce prix ou ce denier doit varier suivant qu'il y a plus ou moins de gens qui veulent vendre ou acheter des terres, ainsi que le prix de toutes les autres marchandises varie à raison de la différente proportion entre l'offre et la demande« (§ 58).

Oczywiście nie. Jeśli bowiem ktoś na pytanie o przyczynę takiego a nie innego kształtowania się ceny odpowiada »popyt i podaż«, — daje nam lupinę zamiast ziarna. Może to być wystarczające w stu wypadkach, w których można przypuścić, że pytający ziarno to zna dokładnie i może je sam wykłuskać. Nie wystarcza to jednak, gdy chodzi o zadowolające wyjaśnienie zagadkowego zjawiska. Inaczej możnaby ostatecznie z całem zagadnieniem zysku, które się zawsze opiera na zjawiskach związanych z ceną — np. na fakcie, iż pożyczający płaci pewną cenę za »użytkowanie kapitału«, albo na fakcie, iż cena gotowych produktów wyższą jest, niż cena dóbr, stanowiących kosztą produkcji, i dlatego pozostaje przedsiębiorcy dochód z kapitału — załatwić się poprostu zapomocą formułki, że popyt i podaż tak regulują ceny wszystkich dóbr, że kapitałiście zawsze pozostaje pewien dochód. Ale nikt w tem nie uzna napewno wystarczającego wyjaśnienia.

Musimy też dalej pytać: Jakie głębsze przyczyny stoja poza »popytem i podażą« i tak kierują ich odchyleniami, iż z reguły kapitał 100.000 fr. można wogóle wymienić na obszar ziemi, przynoszący rentę, a w szczególności na kawałek ziemi, dający 5.000 fr. renty? — Na to pytanie nie daje Turgot odpowiedzi, jeśli nie uważać za nią mglistego początku § 57, który zresztą w żadnym razie nie może nas zaspokoić: »Ci, co posiadają liczne ruchome dobra, mogą ich użyć nietylko na zagospodarowanie kawałka gruntu, ale i umieścić w rozmaitych gałęziach przemysłu. Łatwość gromadzenia większych ilości takich dóbr i zużytkowania ich niezależnie od ziemi, oddziaływała w ten sposób, iż zaczęto oceniać same kawałki ziemi i wartość ich porównywać z wartością dóbr ruchomych«.

Jeśli teraz przeciągniemy tylko odrobinę dalej przedwcześnie przerwane przez Turgota wyjaśnienie, to odkryjemy, iż ten sam zysk z kapitału, który wytłumaczony miał być, jako skutek stosunków wymiennych pomiędzy kapitałem, a ziemią, w istocie jest sam przyczyną i źródłem tych stosunków. Fakt, że powinno się otrzymać, czy żąda się za pewien obszar ziemi dwadzieścia, trzydzieści lub czterdzieści razy więcej, niż wynosi jego renta roczna, zależy głównie od tego, jaki procent dałby przy innym interesie kapitał. Ten sam obszar ziemi, przynoszący 5.000 fr. renty, bę-

dzie wart 100.000 fr., ponieważ w danych warunkach zysk z kapitału wynosi 5% 50.000 w innych warunkach, jeśli wynosi 10%, a 200.000 fr., jeśli wynosi tylko 2½%. Tak więc nie istnienie i wysokość zysku z kapitału może być wyjaśnionem przez stosunek wymienny pomiędzy ziemią, a kapitałem, a przeciwnie, sam ten stosunek wyjaśniony być musi przez istnienie i wysokość zysku z kapitału. Ponieważ więc cały bieg rozumowania obraca się w błędnym kole, nie przyczynia się bynajmniej do wyjaśnienia zagadnienia zysku.

Śmiało zakończyłbym na tem swoje krytyczne uwagi o Turgocie, gdybym nie uważał za swój obowiązek szczególną ostrożność wszędzie tam, gdzie wchodzi w grę przy czynowy stosunek pomiędzy wzajemnie na siebie wpływającymi zjawiskami ekonomicznymi. Wiem dobrze, iż wobec zawłości zjawisk gospodarczych, szczególnie trudno z pewnością określić punkt wyjścia przyczynowego łańcucha działań i oddziaływań, i że takie rozróżnianie w najwyższym stopniu podlega niebezpieczeństwu błędów dialektycznych. Nie chciałbym więc narzucać czytelnikowi swego sądu, iż się Turgot w danym razie mylił, nie usunawszy przez ponowne sprawdzenie wszelkich skrupułów, tem bardziej, iż próba ta dostarczy nam pożądaną sposobność do lepszego oświecenia charakteru naszego zagadnienia.

Grunta, jeśli odrzucimy wszelkie przypadki nieprzewidziane, przynoszą rentę stale, przez szereg lat praktycznie nieskończony. Posiadanie ich zapewnia właścicielowi czy jego spadkobiercom sumę rocznych użytkowań nie na jakieś dwadzieścia czy czterdzieści, ale na kilkaset, prawie na nieskończoną ilość lat. Jeśli widzimy, że ten nieskończony szereg użytkowań, który w sumie przedstawia kolosalną całość wpływów, sprzedawany jest z reguły za nieznaczną ich część, za dwudziestą — a najwyżej czterdziestokrotną sumę użytkowań rocznych, to jest to fakt, który wymaga wyjaśnienia.

Nie wystarczy tu już proste wskazanie na stan podaży i popytu. Jeśli bowiem podaż i popyt zawsze znajdują się w takim stosunku, że występuje ten uderzający rezultat, to stan taki opierać się musi na głębszych przyczynach, które należy zbadać. — Pobieźmy tylko dotknąć hipotezy, która mogłaby komuś przyjść na myśl, iż niska cena kupna mogłaby opierać się na tem, że właściciel bierze pod uwagę tylko te

użytkowania, z których sam ma nadzieję korzystać, a wszystko, znajdujące się poza tem, lekceważy. Gdyby ta hipoteza była słuszną, to, wobec tego, iż przeciętny wiek ludzi, a więc i właścicieli ziemskich w czasach historycznych niezbyt się zmienił, i stosunek wartości gruntu do renty gruntowej byłby mniej więcej jednakowy. Tak wszelako nie jest: wielokrotnie widzimy, iż stosunek ten — w znanym związku z każdorazową stopą zysku z kapitału — waha się pomiędzy dziesięcio- i pięćdziesięciokrotną wysokością.

Uderzające to zjawisko musi więc mieć inną przyczynę. Sądzę, że uzyskam ogólną zgodę, określając jako prawdziwą przyczynę tę okoliczność, iż przy ocenie kawałka **ziemi** dyskontujemy jego przyszłą wartość. Dlatego oceniamy kilkusetletnie użytkowania kawałka ziemi tylko na dwudziestokrotne użytkowanie roczne przy 5% stopie, a tylko na dwudziestopięciokrotne użytkowanie roczne przy 4% stopie, że wprowadzamy do dzisiejszej oceny wartość przyszłych użytkowań tylko dyskontując je, to jest w sumie zmniejszonej pro rata temporis et usurarum; zupełnie na tej samej zasadzie, na jakiej określamy dzisiejszą wartość w kapitale pewnego prawa do renty, o określonej, czy wieczystej trwałości.

Jeśli tak jest w istocie — a nie sądzę, by ktoś mógł podać to w wątpliwość — to ocena w kapitale kawałków ziemi, na podstawie której Turgot chciał wyjaśnić fenomen zysku, jest sama niczem innem, jak tylko jedną z licznych postaci, w których fenomen ten spotykamy w życiu gospodarstwach. Posiada on mianowicie wiele postaci. Spotykamy go to pod formą wyraźnej opłaty procentu od pożyczki, to jako opłatę dzierżawną, która, po odjęciu sumy, należnej za zużycie, pozostawia właścicielowi jeszcze »czystą korzyść«; to jako różnicę ceny produktu i kosztów, przypadającą przedsiębiorcy, jako dochód z kapitału; to jako odliczenie z góry przez wierzyciela należnych procentów od pożyczonej sumy; to jako zwyżkę ceny przy opóźnionej wypłacie; to jako ograniczenie ceny za wymagania, prawa, korzyści, etc., których termin jeszcze nie nadszedł, to wreszcie — w postaci zbliżonej do poprzedniej i w istocie często z nią się zlewającej — jako obniżenie ceny zawartych w danym kawałku ziemi przyszłych użytkowań.

Sprowadzenie dochodu z kapitału w handlu i przemyśle do możliwości nabywania gruntów za określone sumy

kapitałów jest więc tylko zamianą jednej postaci zjawiska zysku z kapitału na drugą, niemniej od pierwszej potrzebującą wyjaśnienia. Dlaczego otrzymujemy zysk z kapitału? i dlaczego dyskontujemy wartość przyszłych wypłat i użytkowań? — są to najwyraźniej tylko dwa sformułowania tegoż pytania, zmierzające do rozwiązania tejże zagadki: A rozwiązanie tego nie osiągnie się zapomocą takiego biegu rozumowania, który podnosi pierwsze pytanie, by zatrzymać się przed drugim.

ROZDZIAŁ V.

Zagadnienie zysku u Adama Smitha. Rzut oka na dalszy rozwój.

Żadnemu twórcy systemu naukowego nie było danem przemysleć do końca wszystkich myśli, które się na jego system składają. Za mało na to sił i życia jednego człowieka. Wystarczy, jeśli te nieliczne myśli, które mają być głównymi filarami systemu, przemyśli aż do pewnych podstaw, a liczne ich rozgałęzienia i pokrzyżowania tychże — wyrazi. Wiele robi, jeśli równie starannie potraktuje jeszcze niektóre inne części systemu: zawsze jednak, nawet najwybitniejszy umysł, musi się pogodzić z koniecznością budowania wielu rzeczy na niepewnym gruncie i wprowadzania do systemu pobieżnie wypróbowanych myśli, których nie mógł już głębiej opracować.

Musimy sobie to uświadomić, by słusznie ocenić stanowisko, jakie Adam Smith zajął wobec naszego problemu.

Smith nie przeoczył problemu zysku z kapitału, ale go też nie opracował. Potraktował go tak, jak zwykle wielki myśliciel traktuje poważny materiał, którego nie ma czasu lub ochoty badać. Przygotował sobie pewne przybliżone, ale zarazem mgliste wyjaśnienie. Im bardziej jest nieokreślone, tem mniej krępuje go surową konsekwencją, a ponieważ, jako umysł wszechstronny, nie przeocza wśród rozlicznych okoliczności żadnego z punktów widzenia, zasadniczo dopuszczalnych przy badaniu zagadnienia, jednocześnie zaś pozbawiony jest kontroli, jaką daje ścisła teoria, wymykają

mu się nieraz chwiejne i sprzeczne zdania. Tem tłumaczy się to szczególne zjawisko, iż Smith nie dał wcale określonej teorii zysku z kapitału, a jednak w jego uwagach znajdujemy mniej lub więcej wyraźne ziarna prawie wszystkich późniejszych sprzecznych ze sobą teoryj — zjawisko, powtarzające się u Smitha w analogiczny sposób i co do wielu innych kwestyj.

To samo rozumowanie, które Smith zdaje się uważać za wyjaśnienie pierwotnego zysku z kapitału, powtarza się w bardzo podobnych zwrotach w VI-tym i VIII-ym rozdziale I-ej księgi »Bogactwa Narodów«. Wychodzi on w nim z tego założenia, że dochód z kapitału musi istnieć, ponieważ inaczej kapitalista nie widziałby żadnego interesu w używaniu swego kapitału na dostarczanie robotnikom produkcyjnego zająćia¹⁾.

Wywody te są ogólnikowe, pozbawione głębszego wyjaśnienia ogniów pośrednich pomiędzy psychologicznym czynnikiem — interesem kapitalisty, a ostatecznem ustaleniem ceny rynkowej, na skutek którego powstaje różnica pomiędzy kosztami produkcji, a sumą, uzyskaną ze sprzedaży, a więc zysk kapitału. To też nie mogą rościć pretensji do tego, by je uważano za skończoną teoreję²⁾. W połączeniu jednak z innym, późniejszym ustępem, w którym³⁾ Smith jaskrawo przeciwstawia sobie »przyszły dochód«, będący wynagrodzeniem za decyzję kapitalizacji i »obecną przyjemność« z bez-

¹⁾ »In exchanging the complete manufacture either for money, for labour, or for other goods, over and above what may be sufficient to pay the price of the materials and the wages of the workmen, something must be given for the profits of the undertaker of the work, who hazards his stock in this adventure... He could have no interest to employ them, unless he expected from the sale of their work something more than what was sufficient to replace his stock to him; and he could have no interest to employ a great stock rather than a small one, unless his profits were to bear some proportion to the extent of his stock«. (Wydanie Mc. Cullocha z r. 1863, str. 22). Drugi ustęp (str. 30) brzmi: »...and who would have no interest to employ him, unless he was to share in the produce of his labour, or unless his stock was to be replaced to him with a profit«.

²⁾ Porówn. też Pierstorffa Lehre vom Unternehmergewinn, Berlin, 1875, str. 6 i Plattera Der Kapitalgewinn bei Adam Smith (Hildebrandsche Jahrbücher tom 25, str. 317 i n.).

³⁾ Księga II, rozdz. I, (str. 123, wydania Mc. Cullocha).

pośredniego wydatkowania dóbr, można w nich dostrzec pierwsze kielki tej teorii, którą później Senior rozwinął pod nazwą teorii wstrzemięźliwości.

Tak samo, jak Smith pozostawia bez głębszego uzasadnienia postulowaną przez siebie konieczność zysku z kapitału, tak też nie wdaje się w systematyczne rozpatrzenie ważnego pytania; z jakiego źródła płynie otrzymywany przez przedsiębiorcę dochód z kapitału? i zadawała się dorywczy, pozbawionymi motywacji uwagami. Daje nawet w różnych ustępach dwie sprzeczne ze sobą wersje. Według jednej z nich dochód z kapitału pochodzi stąd, że, aby zadośćuczynić konieczności zysku dla kapitalisty, muszą się kupujący zgodzić na opłacanie towaru ponad tę wartość, którąby odpowiadała włożonej węg pracy. Źródłem zysku z kapitału byłaby więc pewna — bliżej nieokreślona — nadwyżka wartości produktu ponad wartość, nadaną mu przez pracę. Według drugiej wersji, wypływa zysk przeciwnie, z potrącenia, dokonanego na swą korzyść przez kapitalistę z zarobku pracy, tak, że robotnicy nie otrzymują całej wytworzonej przez siebie sumy wartości, a muszą dzielić ją z kapitalistą. Według tej wersji, źródło dochodu z kapitału leżałoby w zatrzymanej przez kapitalistę części wartości, wytworzonej przez pracę.

Obie wersje znajdują się w całym szeregu ustępów, które często w dziwny sposób ściśle są ze sobą powiązane. Tak jest mianowicie w VI-ym rozdziale I-ej księgi.

Smith mówi tam najpierw o mitycznym w istocie okresie, w którym ziemia nie była jeszcze prywatną własnością i kapitał nie zdążył wystąpić na arenę, i przytem robi uwagę, iż wówczas jedynym motywem oznaczenia takiej a nie innej ceny dóbr, była suma pracy, włożonej w ich wytworzenie. Następnie ciągnie dalej: »Po nagromadzeniu kapitałów w rękach oddzielnych jednostek, niektóre z nich natychmiast usiłują zastosować te kapitały przez zatrudnianie pracowników, którym dostarczają materiałów i żywności poto, by pobierać zyski na sprzedaży wytworów ich pracy, t. j. na tem, co praca dorzuca do wartości materiałów. Przy wymianie gotowego towaru czy to na pieniądze, czy na pracę, czy wreszcie na inne towary, musi być, oprócz ceny, wystarczającej dla opłacenia surowego materiału i płacy robotnika, dodane coś jeszcze, coby zapew-

nialo przedsiębiorcy dochód z ulokowanego w przedsiębiorstwie kapitału«.

Zdanie to, szczególnie w zestawieniu z końcową uwagą poprzedniego ustępu, iż w stanie pierwotnym praca była jedynym czynnikiem określającym cenę, mieści w sobie najwyraźniej przekonanie, iż pobieranie zysku przez kapitalistę wpływa na podniesienie cen produktów i z niego jest zaspakajane. Ale bezpośrednio po tem Smith powiada: »W takim wypadku więc wartość nadana przez robotnika materiałowi rozpada się na dwie części, z których jedna tworzy jego zapłatę, druga zaś stanowi wynagrodzenie pracodawcy za wyłożone przezeń materiały i place«. Tutaj znów cenę produktu rozważa autor, jako określoną wyłącznie przez wydatkowaną sumę pracy, a źródło zysku widzi w części wyniku pracy robotników.

Jeszcze jaskrawiej występuje znów to przeciwieństwo na następnej stronie. »W tych warunkach« mówi tam Smith, »cały wynik pracy nie zawsze należy do robotnika, który musi go zwykle dzielić z zatrudniającym go właścicielem kapitału«. — Jest to wyraźna parafraza drugiej wersji; ale bezpośrednio po niej znajdują się następujące słowa: »Ilość pracy, zużywanej pospolicie na zdobywanie lub wytworzenie danego towaru, również przestaje już stanowić jedyną podstawę dla określenia sumy, za którą można go kupić lub wymienić: przeciwnie, należy się oczywiście jeszcze coś więcej dla zapewnienia dochodu kapitałowi, który wypłacił place robotce i dostarczył surowego materiału«. Nie mógł Smith jaśniej wyrazić zwykłego działania prawa do zysku, które jednak nie powoduje obciążenia płacy robotce!

I dalej mamy kolejno: »Ponieważ w cywilizowanych krajach mało jest towarów, których wartość wytworzenia powstała tylko z pracy, gdyż renta gruntu i dochód z kapitału odgrywają dla większości znaczną rolę, to jednak roczny produkt pracy wystarcza zawsze etc.«¹⁾ (Pierwsza wersja).

»Takiemuż potrącaniu z dochodu podlega produkt prawie każdej innej pracy. Prawie we wszystkich rzemiosłach i przedsiębiorstwach fabrycznych większość robotników po-

¹⁾ Księga I, koniec rozdz. VI-go.

trzeba chlebobawcy, któryby im dostarczył potrzebnych do pracy materiałów, i aż do jej skończenia dawał płacę i utrzymanie. Przedsiębiorca bierze sobie część produktu ich pracy, lub wartości, dodanej przez nich do dostarczonego im materiału, i ta część stanowi jego dochód»¹⁾ (Druga wersja).

»Wysokie lub niskie płace i zyski są przyczynami wysokich lub niskich cen; wysoka lub niska renta jest ich skutkiem»²⁾ (Pierwsza wersja).

Takie przeciwieństwa u tak wybitnego myśliciela pozwalają przypuszczać tylko to jedno, że Smith zagadnienia zysku wogóle głębiej nie przemyślał; dlatego też, jak to się zwykle dzieje, gdy się ma do czynienia z niezbyt dobrze opanowanym przedmiotem, był niedość ścisły w wyborze wyrażen, i poddawał się przeróżnym wrażeniom, które rzecz sama mogła i musiała na niego wywierać.

Sam Smith więc nie daje kompletnej teorii zysku z kapitału³⁾. Ale rzucone przez niego uwagi upadły na grunt urodzajny. Jak pobieżna uwaga o niezbędności zysku rozwinięta została później w teorię wstrzemięźliwości, tak też obie wersje o źródle zysku z kapitału zostały podjęte przez jego następców, konsekwentnie opracowane i stały się w ten sposób podstawą samodzielnych teorii zysku. Z wersją, iż zysk wypłacany jest z przyrostu wartości, wywołanego przez użycie kapitału, wiązała się późniejsze teorie produktywności, z wersją, iż zysk wypłacany jest z produktu pracy, socjalistyczne teorie zysku z kapitału. W ten sposób mogą najważniejsze z późniejszych teorii wyprowadzać swoje pochodzenie od Adama Smitha.

¹⁾ Księga I, rozdz. VIII.

²⁾ Księga I, rozdz. XI.

³⁾ Gdy Platter we wspomnianej wyżej (str. 71 odsyłacz 2) pracy dochodzi do wniosku, iż »według ściśle smithowskiego systemu dochód z kapitału uważać należy za nieusprawiedliwiony«, to wytłumaczyć to można tylko w ten sposób, że Platter kładzie nacisk wyłącznie na jedną połowę wywodów Smitha, a pomija zupełnie drugą, jako sprzeczną z poprzednimi zasadami. Podobnie, jak Platter, wyrokuje też Cannan, w swej cennej »History of the theories of production and distribution« (London, 1894, str. 202), lecz subiektywnie jego ujęcie nie jest dla mnie przekonujące.

Stanowisko, które Adam Smith zajął wobec problemu zysku z kapitału, można nazwać zupełnie neutralnym. Neutralnym był Smith w teoretycznym wyjaśnieniu, gdyż stawiał obok siebie zarodki różnych teorii, nie przyznając żadnej wyraźnego pierwszeństwa. Neutralnym też był w praktycznym rozumowaniu, gdyż zachowuje tę samą rezerwę, albo raczej to samo pełne sprzeczności wahanie pomiędzy pochwałą i naganą zysku z kapitału, to sławiąc kapitalistów, jako dobroczyńców ludzkości i sprawców trwałej pomyślności¹⁾, to znowu przedstawiając ich jako klasę, żyjącą z ujmowania części produktów cudzej pracy, i dającą się wyraźnie porównać do ludzi, »którzy lubią zbierać tam, gdzie nic nie posieli«²⁾.

Panujący za czasów Smitha stosunek teorii do życia dopuszczał jeszcze taką neutralność. Następcy jego jednak wkrótce już nie mogli sobie na nią pozwolić. Zmienione okoliczności zmusiły — oczywiście z korzyścią dla nauki — do zajęcia określonego stanowiska i w kwestji zysku.

Własne potrzeby teorii nie dawały się już zaspokoić nieokreślonymi wyjaśnieniami. Smith życie całe użył na położenie fundamentów swego systemu. Następcom jego, którzy te fundamenty już zastali, starczyło czasu na zajęcie się pominiętymi dotąd pytaniami. Wciągnięcie do tych badań zagadnienia zysku niezwykle było ułatwione przez rozwój pokrewnych zagadnień renty gruntowej i płacy robotniczej: posiadano już podstawową teorię renty gruntowej i nie mniej podstawową teorię płacy robotniczej: cóż naturalniejszego, jak postawić nareszcie poważnie pytania: skąd? i dlaczego? odnośnie do trzeciej wielkiej gałęzi dochodu, dochodu z posiadania kapitału. Zaczęło też wreszcie i życie to pytanie zadawać. Kapitał powoli stał się potęgą. Maszyny wkroczyły na widownię i odniosły walne zwycięstwo; ułatwiły wszędzie rozszerzanie przedsiębiorstw i coraz więcej nadawały produkcji kapitalistyczny charakter. Ale właśnie wpro-

¹⁾ Księga II, rozdz. III.

²⁾ Księga I, rozdz. VI, str. 23. Zdanie to wprowadzie wypowiedziane było przedewszystkiem o właścicielach ziemskich, ale w całym rozdziale zysk z kapitału i renta gruntowa są traktowane równolegle w stosunku do płacy robotniczej.

wadzenie maszyn zaczęło odsłaniać istnienie sprzeczności, która w miarę rozwoju kapitału coraz głębiej przenikała życie gospodarcze i z dniem każdym zyskiwała na znaczeniu: sprzeczności pomiędzy kapitałem i pracą.

W rękodzielniach przedsiębiorcy i płatni robotnicy, majstrowie i czeladź, należeli nietylko do różnych klas społecznych, ile do różnych pokoleń. Pierwszy był tem, czem mógł i miał zostać drugi. Jeżeli nawet interesy ich były chwilowo sprzeczne, to naogół zawsze przeważało poczucie przynależności do tego samego stanu. W wielkiej produkcji kapitalistycznej rzecz się ma zgoła inaczej. Przedsiębiorca, wkładający w nią kapitał, rzadko, albo nigdy nie był robotnikiem, robotnik, wkładający w nią pracę rąk, rzadko, albo nigdy nie będzie przedsiębiorcą. Pracują obaj nad tem samym dziełem, jak majster i czeladnik, ale nie są to już przedstawiciele dwóch stopni, a niejako dwóch rodzajów. Należą do dwu różnych stanów, których interesy równie mało mają wspólnego, jak ich osoby. Przykład maszyn szczególnie wykazał, w jak ostrem przeciwieństwie stać mogą interesy kapitału i pracy: te same maszyny, które przyniosły przedsiębiorcy-kapitałisię złote góry, pojawieniem się swoim tysiące robotników pozbawiły chleba. I nawet, gdy te pierwsze klęski zostały przezwyciężone, przeciwstawność pozostała. Kapitałista i robotnik dzielą pomiędzy sobą produkt przedsiębiorstwa: ale dzielą tak, że robotnik otrzymuje zwykle mało, albo bardzo mało, a przedsiębiorca wiele. Niezadowolenie z małej części otrzymanej nie jest łagodzone, jak u dawnego czeladnika rzemieślniczego, nadzieją posiadania kiedyś także i lwiej części, gdyż nadziei takiej nie ma robotnik wielkiego przedsiębiorstwa; przeciwnie, niezadowolenie to zaostrza nawet świadomość, iż za tę mizerną zapłatę dać musi ciężką pracę, gdy przedsiębiorcy przypada bogata część wzamian za trud lżejszy, a często zgoła bez żadnego trudu. A gdy do tego kontrastu losów i interesów dołączyła się jeszcze myśl, że w gruncie rzeczy robotnicy wytworzyli produkty, z których przedsiębiorca ciągnie dochód — a myśl tę uwypuklił Smith niejednokrotnie w swym szeroko rozposzechnionym systemacie — rychło znaleźć się musiał obrońca »czwartego stanu«, któryby postawił odnośnie do pierwotnego zysku z kapitału to samo pytanie, które kilkadziesiąt lat wcześniej już stawiano na korzyść dłużnika odnośnie

do procentu: czy zysk z kapitału jest usprawiedliwiony? Czy sprawiedliwym jest, że przedsiębiorca-kapitałista, otrzymuje, nawet gdy palcem nie kiwnie, tytułem dochodu z kapitału znaczną część tego, co robotnicy pracą swoją wytworzyli, i czy nie im to raczej powinienby przypaść cały produkt?

Pytanie to w ciągu XVIII i XIX stulecia zaczęło stawiać z początku cicho, później coraz głośniej: a teoria zysku z kapitału zawdzięcza mu niezwykłą i trwałą swoją żywotność. Zagadnienie zysku, które mogło drzemać, gdy interesowało tylko teoretyków, podniesione zostało teraz do rzędu wielkich społecznych problemów, których pomijać nauka nie mogła i nie chciała. O ile nieliczne i mizerne były badania nad naturą pierwotnego zysku z kapitału przed Adamem Smithem, o tyle teraz stały się liczne i usilne.

Coprawda, były też niemniej mgliste, jak liczne. Przed Adamem Smithem naukowe przekonania wieku przedstawiała jedna tylko teoria. Po nim zdania rozpadły się na szeregi sprzecznych teorii i do dziś dnia z dziwną stałością pozostały sprzeczne. Zwykle nowe teorie zajmują miejsce dawnych, które ustępują z placu. W naszej kwestji jednak danem było nowym teorjom stanąć tylko obok dawnych, które potrafiły utrzymać swoje stanowisko. W takich warunkach dalszy rozwój teorii po Smithie przedstawiał obraz nietylko reformatorskiego rozwoju, ile schizmatycznego nagromadzenia teorii.

Sama natura rzeczy jasno zarysowuje nam nasze dalsze zadanie. Będzie ono polegało na badaniu wszystkich różniących się między sobą poglądów, powstania ich rozwoju aż po chwilę obecną i na usiłowaniu wyrobienia sobie krytycznego sądu o ich wartościowości lub bezwartościowości. Ponieważ od tego czasu rozwój teorii biegnie równocześnie kilku torami, uważam za celowe porzucić dotychczasowy chronologiczny porządek wykładu i grupować materiał według poszczególnych teorii.

W tym celu postaram się najpierw ogarnąć jednym porządkującym rzutem oka całość literatury, która nas będzie zajmowała. Uda się to nam najłatwiej, jeśli w punkcie środkowym postawimy charakterystyczne, zasadnicze pytanie problemu. Zobaczymy wtedy, że się w nim teoria rozkłada w wielobarwną różnorodność, jak światło w pryzmacie.

Przedmiotem wyjaśnienia jest fakt, iż przy produkcyjnym użyciu kapitału w ręku przedsiębiorcy pozostaje z reguły pewien, proporcjonalny do wielkości użytego kapitału, nadmiar, umożliwiony przez to, że wartość wytworzonych z pomocą kapitału dóbr z reguły jest większą, niż wartość dóbr, wydanych na ich wytworzenie. Pytanie tedy brzmi: Dlaczego istnieje taki stały nadmiar wartości, czyli nadwartość?

Na to pytanie Turgot odpowiedział: Nadmiar ten musi istnieć, bo inaczej kapitaliści używaliby swoich kapitałów na kupno gruntów. Smith odpowiedział: Nadwartość musi istnieć, bo inaczej nie leżałoby w interesie kapitalisty produkcyjne używanie kapitału.

Określiliśmy już obie te odpowiedzi, jako niewystarczające. — Cóż więc odpowiadać późniejsi?

Odpowiedzi ich zdają mi się przedewszystkiem rozchodzić w pięciu zasadniczych kierunkach.

Część pewna zadowala się odpowiedziami Turgota i Smitha i przy nich pozostaje. Kierunek ten, bardzo jeszcze często spotykany w początku XIX w., ale od tego czasu coraz bardziej porzucany, obejmę nazwą bezbarwnych teoryj.

Inna część mówi: kapitał wytwarza nadmiar. Kierunek ten, bogato w literaturze przedstawiony, określić można wspólnem imieniem »teorji produkcyjności«. — Już tutaj chcę zaznaczyć, że w dalszym swym rozwoju teorie produkcyjności rozgałęziają się znowu w dalsze odmiany: w teorie produkcyjności w ściślejszem znaczeniu, przyjmujące bezpośrednie wytwarzanie nadmiaru przez kapitał, i w »teorie usług kapitału«, które wyprowadzają powstawanie nadwartości pośrednio, z faktu, iż produkcyjna usługa kapitału tworzy osobny pierwiastek kosztów produkcji, wymagający zwrotu, narówni z innemi składowemi częściami kosztów produkcji.

Trzecia część odpowiada: Nadwartość jest odpowiednikiem pewnej, wchodzącej do ceny, części składowej kosztów produkcji, »wstrzeмиężliwości«. Gdy bowiem kapitalista obraca kapitał swój na produkcję, musi się wyrzec natychmiastowego korzystania z niego. Ta niemożność korzystania, ta »abstynencja«, jest ofiarą, i jako taka jest wymagającą zwrotu częścią

składową kosztów produkcji. — Ten kierunek nazwę teorią wstrzeмиężliwości, lub abstynencji.

Czwarta część upatruje w nadwartości płacę za pewną, wykonaną przez kapitalistę, pracę. Ten, obfitujący w poszczególne rozgałęzienia, kierunek, będę określał nazwą teorii pracy.

Piąta część wreszcie — należąca przeważnie do partii socjalistycznej — odpowiada: Nadwartość nie odpowiada żadnemu naturalnemu nadmiarowi, a powstaje tylko drogą zmniejszania sprawiedliwego wynagrodzenia robotnika. Określę tę teorię, jako teorię wyzysku.

Takie są kierunki zasadnicze. Już one są dosyć liczne. Nie wyrażają jednak bynajmniej całej różnorodności, w którą rozwinęła się teoria zysku z kapitału. Zobaczmy nawet, iż niektóre kierunki zasadnicze rozgałęziły się znowu w pewną ilość wybitnie różniących się typów; że nieraz pierwiastki kilku teoryj wiążą się w nową samodzielną kombinację; że nieraz wreszcie wewnątrz tego samego teoretycznego typu różnice w sformułowaniu ogólnej podstawowej myśli są tak znaczne i charakterystyczne, iż dopuszczalne jest przyznawanie poszczególnym odcieniom charakteru samodzielnych teoryj. Fakt, iż wybitni myśliciele szukali prawdy na tylu różnych drogach, służyć może za wymowny dowód, iż odkrycie tej prawdy równie trudnem jest jak ważnem.

Zacniemy od rzutu oka na teorie bezbarwne.

ROZDZIAŁ VI.

Teorie bezbarwne.

Zwrot, opisany w końcu poprzedniego rozdziału, który uczynił z długo lekceważonej kwestji zysku z kapitału problem społeczny pierwszorzędного znaczenia, nie dokonał się nagle, i jeszcze po Adamie Smithie znalazł się szereg pisarzy, którzy uznali za wystarczające nieco patryarchalne ujęcie materjału przez Turgota i Smitha. I mylił się, koby przypuszczał, że wśród tych spóźnionych znajdując się tylko umysły niesamodzielne, drugo- i trzecio-

rzędne siły. Zapewne, należą do nich prawie bez wyjątku ci mało samodzielni pisarze, którzy zawsze licznie się pojawiają po wystąpieniu torującego drogę geniusza i zajmują się poprostu rozpowszechnieniem nowej nauki; obok nich jednak spotykamy niejednego wybitnego myśliciela, który, wychodząc z podobnych, jak u Smitha, przesłanek, sam zbliża się do naszego zagadnienia.

Łatwo zrozumieć, że zdania, wypowiedziane przez tych pisarzy »bezbarnych«, w sprawie zysku z kapitału, naogół nieznaczny wpływ wywarły na rozwój doktryny. Okoliczność ta usprawiedliwi to, że rezygnuję ze szczegółowego opisu większości tych pisarzy. Zajmiemy się tylko tą mniejszością, która zwraca uwagę czy to osobistością swoją, czy odrębnościami nauki.

Każdy, kto zna bliżej charakter niemieckiej ekonomii politycznej z końca XVIII i początku XIX stulecia nie zdziwi się, znajdując wśród jej przedstawicieli szczególnie wielką ilość »bezbarnych pisarzy«.

Obojętność ich nie pozbawiona jest pewnego rodzaju różnorodności. Jedni, którzy wogóle przywykli wiernie trzymać się Smitha, przepisują prawie dosłownie jego niewyraźne oświadczenia w sprawie zysku, szczególnieję tę uwagę, że gdyby zysk nie istniał, kapitaliści nie byłiby zainteresowani w produkcyjnym używaniu kapitału. Tak się rzecz ma u Sartoriusa¹⁾, Luedera²⁾ i Krausa³⁾. Inni ten sam motyw traktują swobodniej, z pewnymi odmianami, jak Hufeland⁴⁾ i Sentter⁵⁾. Jeszcze inni uważają zysk za zrozumiały sam przez się, i nie tłumaczą go ani jednym słowem,

¹⁾ Handbuch der Staatswirtschaft, Berlin, 1796; szczególnie § 8 i 23. Również i późniejsze jego »Abhandlungen die Elemente des Nationalreichthums und die Staatswirtschaft betreffend« (Göttingen, 1806) nie są w naszej kwestji oryginalniejsze.

²⁾ Ueber Nationalindustrie und Staatswirtschaft, 1800—1804; patrz szczeg. str. 82, 142 i t. d.

³⁾ Staatswirtschaft, wydana przez Auerswalda, 1807 do 1811; szczeg. patrz t. I, str. 24, 150 i n. i bardzo naiwne wywody t. III, str. 126 i nast.

⁴⁾ Neue Grundlegung, Wiedeń, 1815, str. 221.

⁵⁾ Die Nationalökonomie, Ulm, 1823, str. 145. Porównaj też str. 164, gdzie zapomocą odwrócenia związku przyczynowego pierwotny zysk z kapitału wyprowadzony jest z procentu.

wem, jak Pölitz¹⁾, a nieco później Murhard²⁾. Inni znów podają wprawdzie własne motywowania, ale tak słabe i nie posiadające znaczenia, że nie mogą rościć sobie praw do zaszczytnego miana teorji. Więc Schmalz, który istnienie pierwotnego zysku z kapitału wyjaśnia, obracając się w mało subtelnym błędnem kole, możliwością pożyczania kapitału na procent³⁾.

Szczególnie naiwnem jest wyjaśnienie sprawy, podane przez hr. Cancrini. Krótki ustęp tej osobliwości podam tu prawie dosłownie. »Każdy wie«, powiada autor⁴⁾, »iż pieniądz przynosi zyski, ale dlaczego? Gdy dwaj posiadacze pewnych kapitałów, złożonych z różnych dóbr, chcą wymienić swoje produkty, to każdy z nich, za trud przechowania i jako dochód, ma prawo wymagać tyle ponad właściwą wartość swego produktu, ile mu drugi zgadza się przyznać; potrzeba zmusza obu do zejścia się w środku z obopólnych wymagań. Ale pieniądz przedstawia kapitał rzeczowy; można z niego mieć dochód i stąd procenty«. Podkreślone w druku słowa mają wytłumaczyć istnienie pierwotnego zysku z kapitału, a reszta istnienie procentu; i autor uważa to wyjaśnienie za tak wyczerpujące, iż w dalszym ustępie z zadowoleniem doń powraca: »Wyjaśniłem już powyżej, dlaczego kapitał przynosi zyski, przy wartościach pieniężnych w postaci określonych procentów, przy rzeczowym kapitale w postaci cen przedmiotów« (str. 103).

Godniejszymi uwagi są ci pisarze, którzy silny nacisk kładą na tę część wywodów Smitha, według której dochód z kapitału jest częścią wyniku pracy, przechodzącą na własność kapitalisty.

¹⁾ Staatswissenschaften im Lichte unserer Zeit, część II, (Lipsk, 1823), str. 90. Pölitz stara się tu tylko dowieść, że przysięty już, jako istniejący, dochód z kapitału przypaść musi właścicielowi kapitału.

²⁾ Theorie des Handels, Getynga, 1831.

³⁾ Handbuch der Staatswirtschaft, Berlin, 1808, § 110 i 120. Porówn. też § 128, gdzie umowne »renty« same nie są wcale wyjaśnione, a poprostu stwierdzone, jako fakty. Inne pisma Schmalza równie ubogie są w treść.

⁴⁾ Die Oekonomie der menschlichen Gesellschaften und das Finanzwesen, Stuttgart, 1845, str. 19.

Miedzy innymi hr. Soden ostro przeciwstawia kapital, jako surowy material, który obrabia »sila produkcyjna«, tej wlasnie sile¹⁾. Dochod z kapitalu wyprowadza stąd, iż posiadacz »materji kapitalu« jest w stanie »cudzą silę wprawic w ruch dla siebie, a więc dzielic się z odosobnionym wytworcą, płatnym robotnikiem dochod z tej sily (I, str. 65). Fakt, iż podzial taki może się dokonac, uważa Soden za skutek, zrozumialy sam przez się, stosunków współzawodnictwa. Nie zadając sobie trudu podjęcia formalnego wyjaśnienia, wielokrotnie napomyka, iż mala w porównaniu z ilością robotników ilość kapitalistów, pozwala ostatnim kupować pracę za cenę, która im jeszcze pozostawia pewną rentę (str. 61, 138). Pochwala też to w zupełności (np. str. 65 i nast.) i odradza uzyskiwania wyższych plac zapomocą taks na placę: »bo jeśli posiadacz materji na skutek tej regulacji nie będzie mógł ciagnąć dochodu z cudzej pracy, to skaże na zagladę całą materję, której nie będzie w stanie sam obrobic« (str. 40). Soden pragnie tylko, by »cena« pracy byla sprowadzona do jej »istotnej wartosci«. Kwestja, jaka wysokość plac odpowiada tej »istotnej wartosci«, pozostaje jednak dosyć ciemną pomimo, że autor przeprowadza głębokie badania sprawy wartosci sily produkcyjnej: pewnem jest tylko, że według jego zdania nawet wtedy, gdy sila produkcyjna wynagrodzona jest stosownie do całkowitej swej wartosci, pozostac jeszcze musi pewna renta dla kapitalisty²⁾.

W rezultacie ma się wrażenie, iż pierwsza część tych rozumowań, w której zysk określony jest, jako dochod z cudzej sily, każe oczekiwac całkiem innych wniosków, niż te, które podaje część druga, a także, że umotywowanie tej zmiany frontu jest zbyt mgliste, aby mogło nas zadowolic.

Podobne uwagi nasuwa też Lotz.

Ten subtelny pisarz w swoim »Handbuch der Staatswirtschaftslehre (1821) wypowiada się wyczerpująco w kwestji zysku z kapitalu. Polemizuje stanowczo z wypowiedzianą w tym czasie przez S a y'a teorią, iż kapitaly posiadają samodzielną silę produkcyjną: »Wszystkie kapitaly same przez się są martwe«, i »samodzielną ich praca bezwarunkowo nie

¹⁾ Die Nationalöconomie (Lipsk, 1805—1808, przedruk z tego Wiednia, 1815; cytuję według wydania ostatniego.

²⁾ Wynioskowane na podstawie str. 140 § 3 i 5.

istnieje«; przeciwnie, są zawsze tylko wytworami ludzkiej pracy (str. 65 i nast., tom I). Ten punkt widzenia dalej, w nadmier godnym uwagi ustępie użyty jest dla potępienia renty z kapitalu.

Ponieważ mianowicie kapitaly są tylko środkami pomocniczymi pracy, a same żadnej pracy nie spełniają, uważa Lotz, że kapitalista, »nie może nic więcej wymagać z wyniku pracy i zdobyczej, albo wytwarzanej przez nią masy dóbr, ponad zwrot wydatku dóbr, wywołanego przez dane przedsięwzięcie, czyli wyraźniej: zwrot kosztów utrzymania robotnika, zwrot za dostarczony mu surowy material i zwrot za zużyte przez robotnika w czasie pracy narzędzia we właściwym słowa znaczeniu...« toby było właściwie, ściśle biorąc, stosowną rentą z kapitalu, której kapitalista może wymagać od robotnika, który dla niego pracuje; i dalej, to jest właściwie słuszną sumą, która może się pierwszemu należeć z ogólnej masy dóbr, wytworzonych przez robotnika lub wydartych przyrodzie. O dochodzie z kapitalu we właściwym znaczeniu, t. j. o takiej placy kapitalisty za jego przedsięwzięcia, która mu zapewnia pewien nadmiar ponad niezbędną przy tem wydatek dóbr, nie może więc tu być mowy. Jeśli praca przynosi więcej, niż trzeba, by pokryć ten wydatek, to dochod ten i całe płynące z niego bogactwo przynależy właściwie tylko robotnikowi, jako wynagrodzenie za jego pracę; w istocie bowiem nie kapitalista jest sprawcą wytworów robotnika, ale wszystko, co robotnik z pomocą ofiar kapitalisty wytwarza, czy jest w stanie wydrzeć naturze, należy do niego, albo, jeśli uważać silę, która się objawia w robotniku przy pracy, za zasób naturalny, przynależny wszystkim ludziom razem, jest wspólną własnością ludzkości« (str. 487).

Przez te równie ostre, jak zdumiewające wywody, zbliżył się Lotz bardzo do późniejszej teorii wyzysku socjalistów. Ale nagle urywa ten bieg myśli i wpada w stary, bezbarwny sposób wyjaśnienia Smitha, mówiąc: »Gdyby jednak kapitalistę ograniczono tylko do takiego zwrotu tego, co ofiarował robotnikowi dla ułatwienia jego pracy z nagromadzonej przez siebie masy dóbr, — gdyby kapitalistę tak

surowo traktowano, — to niełatwoby się on zdecydował na ofiarowanie robotnikowi czegoś ze swego zapasu dóbr dla ułatwienia mu pracy. Możeby się nawet wcale zgola nie zdecydował na gromadzenie kapitałów; istotnie bowiem wiele kapitałów nie byłoby wcale zgromadzonych, gdyby gromadzący nie miał przed oczami w przewidywanym zysku i pewnej zapłaty za ten trud gromadzenia. Jeśli więc robotnik, któremu brak tak niezbędnych dla wykorzystania jego siły narzędzi i warunków, chce, by posiadacz kapitału zgodził się na takie ofiary i umożliwił mu lub ułatwił korzystanie z mieszczącej się w nim siły produkcyjnej, to musi się nieodzownie pogodzić z oddawaniem kapitałście części produktu swojej pracy.

Dalej rozwija Lotz jeszcze trochę tę mglistą formułkę wyjaśnienia, podnosząc dla usprawiedliwienia wymagań kapitalisty okoliczność, iż robotnik ten bez pomocy kapitału, albo wcale nie mógłby wykonać pracy, zapewniającej dany produkt, albo też wykonałby ją znacznie gorzej. Z tych względów wyprowadza miarę »prawdziwej słusznej stopy« renty z kapitału: powinna być ona mianowicie obliczona w stosunku do poparcia, którego doznał robotnik, używając przy pracy kapitału. Uprzystępniając na kilku przykładach sposób obrachowywania, wykazuje Lotz, jak blisko mogą się zejść ostateczności: wyjaśniwszy mianowicie o kilka stron wcześniej, iż cały »dochód pracy i płynące z niego bogactwo należy się właściwie tylko robotnikowi, jako wynagrodzenie za jego pracę«, wywodzi teraz, iż w odpowiednich okolicznościach właściciel oszczędzającej pracę maszyny może ze słusnością wymagać dla siebie aż dziewięciu części produktu pracy! Jak widzimy, rozdzwięk pomiędzy punktem wyjścia i zakończeniem jest jeszcze głębszy, niż u Sodeña, a sposób wytłumaczenia równie ubogi. W gruncie rzeczy, nie mówi on nic ponad to, iż kapitałści chcą otrzymywać zysk, a robotnicy zgadzają się na odciąganie go ze swoich dochodów: ale porównanie z zagadnieniem renty gruntowej wykazuje jaskrawo, jak dalekiem jest takie »wyjaśnienie« od prawdziwej teorii zysku z kapitału. Dla zagadnienia zysku uczyniło ono dokładnie tyleż, co by dla kwestji renty gruntowej uczyniło stwierdzenie, iż właściciele gruntów muszą otrzymywać rentę gruntową, ponieważ inaczej pozwoliliby ziemi swojej leżeć odłogiem, i że robotnicy

rolni zgadzają się na odciąganie renty gruntowej, bo bez współdziałania ziemi nie mogliby wytworzyć produktu do podziału, albo uczyniliby to gorzej! — Jak się zdaje, Lotz nie zauważył, iż takie wyjaśnienie nie dotyka nawet istoty zagadnienia ¹⁾.

Ostatnia grupa bezbarwnych pisarzy wreszcie stanęła pomiędzy poglądami Smitha, a opracowaną w międzyczasie przez Say'a teorią produktyjności, przejmując od obu kierunków poszczególne rysy, ale bez utworzenia z nich jakiegś całkowitej teorii. Autorowie ci zapożyczają zwykle u Say'a uznanie kapitału za samodzielny czynnik produkcji, a w każdym razie ten lub inny, wygrywający »produkcyjną siłę« kapitału, sposób wyrażania się, a u Smitha powoływanie się na motyw interesu kapitalisty, ale naogół omijają ściśle sformułowanie problemu zysku.

Spotykamy wśród nich między innymi Jacoba ¹⁾, który uznaje za ostateczne źródło wszystkich użytecznych rzeczy jedynie przyrodę i pracę (§ 49) i sprowadza dochód z kapitału do nadmiaru produktu, wytworzonego przez pracę (§ 275, 280); to znów określa, jako dochód z kapitału to, »co wytworzone jest przez kapitał ponad jego wartość własną« (§ 277), a kapitał śladem Say'a nazywa »produkcyjnym narzędziem« (§ 770) i niejednokrotnie rozpatruje posiadaczy kapitału, jako bezpośrednich wytwórców, którzy powołani są do wzięcia udziału w pierwotnym

¹⁾ Już w dawniejszym dziele Lotza, w *Revision der Grundbegriffe* (1811—1814), znajdujemy ciekawe do pewnego stopnia, ale równie sprzeczne uwagi na omawiany temat; między innymi ostra odprawa, dana teorjom produktyjności (III, str. 190 i nast); wyjaśnienie zysku, jako »dowolnego dodatku do sumy niezbędnych kosztów produkcji« i jako »dodatek, wymuszony na spożywcach przez egoizm kapitalisty« (str. 338); dodatek ten uważa autor wprawdzie za niekonieczny, ale »bardzo słuszny« (str. 339). W innym ustępie uważa Lotz wprost za »oszukiwanie« kapitalisty przez robotnika, jeśli pierwszy w postaci zysku z kapitału otrzymuje nie tyle, ileby miał prawo wymagać ze względu na wpływ, który wywarły używane przez robotnika narzędzia na jego przemysł i surowy produkt pracy. — Ciekawe, iż Lotz w przedostatnim z cytowanych ustępów nakłada ciężar zysku z kapitału na barki spożywcy, a w ostatnim na robotnika; naśladuje w tem wahania, znajdujące się w tej samej sprawie u Adama Smitha.

²⁾ *Grundsätze der Nationalökonomie*, Halla, 1805, 3-ie wydanie, Halla, 1825. Cytuję według wydania ostatniego.

podziale produktu, z powodu bezpośredniego udziału, który wzięli w procesie wytwarzania dóbr przez udzielenie kapitału¹⁾. Dalej spotykamy Fuldę²⁾, który rozpatruje kapitał, jako odrębne, chociaż nie bezpośrednie źródło dóbr, a zatem jeszcze porównuje go z maszyną, »która przez celowe użycie nie tylko jest utrzymaną w sprawności, ale może przysporzyć coś jeszcze«, nie szukając dla tego bliższych wyjaśnień (§ 135); dalej Eiselen³⁾, którego niejasności dowodzi chociażby to jedno, iż najpierw uznaje tylko dwa ostateczne źródła powstawania dóbr, przyrodę i pracę (str. 11), a dalej uważa pracę, przyrodę i kapitał, za »podstawowe siły produkcji«, z których wspólnego działania wynika wartość wszystkich produktów (§ 372); dalej widzi rolę kapitału w zwiększaniu produktu pracy i sił przyrody (§ 497 i częścię), ale dla wyjaśnienia zysku z kapitału ostatecznie nie znajduje nic innego, jak to, że zysk jest potrzebny, bo służy za bodziec do gromadzenia kapitałów (§ 491); podobnie § 517, 555 i częścię). W tej samej grupie spotykamy też starego mistrza Raua.

Rzecz ciekawa, iż Rau, aż do końca swej długiej pracy naukowej, w ciągu której widział przecież powstanie szeregu wybitnych teorii zysku z kapitału, trzymał się stale tych mętnych wyjaśnień, które rozpowszechnione były za czasów jego młodości. Jeszcze w ósmym i ostatnim wydaniu swojej »Volkswirtschaftslehre«, które się zjawiało w r. 1868, zbywa zagadnienie zysku kilku pobieżnymi uwagami, które w istocie swej zawierają stary, przez Adama Smitha wprowadzony motyw interesu. »Jeśli ma on (kapitalista) zdecydować się na oszczędzanie, gromadzenie i kapitalizowanie dóbr, to musi znajdować w tem inną korzyść, a mianowicie otrzymywać roczny dochód, któryby trwał tak długo, jak i jego kapitał. W ten sposób posiadanie kapitału stanie się dla jednostki... źródłem dochodu, zwanego rentą z kapitału, rentą z funduszu, lub rentą procentową«⁴⁾.

Bogaty rozwój literatury o zysku, który się odbył przed

¹⁾ § 211, 711, 765 i szczególnie wyrażnie w § 769.

²⁾ Grundsätze der oekonomisch-politischen oder Kameralwissenschaften, 2-e wydanie, Tybinga, 1820.

³⁾ Die Lehre von der Volkswirtschaften, Halla, 1843.

⁴⁾ Volkswirtschaftslehre, t. I, § 222. Podobnie, tylko bardziej ogólnikowo t. I, § 138.

r. 1868, nie pozostawił w dziele Raua prawie żadnych słów. Z teorii produkcyjności Sa'y'a wziął tylko tyle, iż podobnie, jak Sa'y, uważa kapitał za samodzielne źródło dóbr: ale natychmiast osłabia to ustępstwo, odrzucając, jako nie stosowne, wyrażenie, użyte przez Sa'y'a dla określenia współdziałania tego źródła dóbr: »usługa produkcyjna«, i kapitały, w przeciwieństwie do sił wartościotwórczych, zalicza do »martwych środków pomocniczych« (t. I, § 84). Raz też cytuje w odsyłaczu teorię wstrzemięźliwości Seniora, lecz nie dołącza do niej ani słowa pochwały, lub nagany (I, § 228).

Jeśli teraz zwrócimy się do Anglii, to przedewszystkiem zwróci na siebie uwagę naszą Ricardo.

U wybitnego tego myśliciela powtarza się to samo zjawisko, któreśmy już obserwowali u Smitha: nie podaje on sam własnej teorii zysku, lecz wywiera głęboki wpływ na jej dalszy rozwój. Ricarda zaliczyć muszę do bezbarwnych pisarzy, bo choć zajmuje się w dostatecznym zakresie tematem zysku z kapitału, traktuje go tylko, jako zjawisko, rozumiejące się samo przez się, lub prawie takie, a pochodzenie jego zbywa kilku przelotnymi uwagami, by się tem wydatniej zająć wszelakimi konkretnymi szczegółowymi pytaniami; a i te rozpatruje wprawdzie w najwyższym stopniu gruntownie i rozumnie, tak jednak, że nie rzuca przez to żadnego światła na zasadniczą kwestję teoretyczną. I u niego jak u Smitha, znajdujemy sporo zdań, na których możnaby zbudować samodzielne teorie, gdyby je tylko rozwinąć we wszystkich konsekwencjach; zbudowano je też później w istocie, a niemałe oparcie znalazły one w autorytecie Ricarda, na którego się chętnie powoływano, jako na ich autora.

Wywody, w których Ricardo zastanawia się nad zyskiem z kapitału, są nader liczne. Znajdują się one, niezależnie od rozsianych luźnych uwag, głównie w rozdziałach I-ym, VI-ym, VII-ym i XXI-ym jego Zasad ekonomji politycznej i podatowania¹⁾. Treść ich najłatwiej dla naszego celu ogarnąć, rozróżniając trzy grupy. Do pierwszej grupy wciągniemy bezpośrednie uwagi Ricarda o pochodzeniu zysku z kapitału, do drugiej poglądy jego na przyczyny wy-

¹⁾ Londyn, 1817, 3-e wyd. 1821. Cytuję według przedruku 3-go wydania, znajdującego się w zbiorowym wydaniu Dziel Ricarda, Londyn, 1871.

sokości zysku, do trzeciej poglądy na zależność wzajemną między zyskiem z kapitału i wartością dóbr. Na wstępie zaś trzeba zauważyć, że Ricardo, jak większość Anglików, nie czyni różnicy pomiędzy zyskiem z kapitału, a dochodem przedsiębiorcy, a oba te pojęcia obejmuje wspólną nazwą »profit«.

Pierwsza grupa przedstawia się bardzo skromnie. Zawiera ona tylko kilka, przy sposobności zrobionych, uwag tej treści, że zysk z kapitału istnieć musi, bo inaczej kapitaliści nie mieliby żadnej racji gromadzenia kapitałów¹⁾. Uwagi te pokrywają się najwyraźniej ze znanymi analogicznymi wywodami Adama Smitha, i do nich też można zastosować ogólny sąd dotyczący tych ostatnich. Można w nich z pewną słuszością upatrywać pierwsze ziarna, z których się później rozwinęła teoria wstrzemięźliwości; same jednak nie przedstawiają jeszcze żadnej teorii.

To samo odnosi się do innej uwagi Ricarda, którą tu należy wspomnieć. Ricardo raz oświadcza, iż wartość dóbr, których wytworzenie wymaga długotrwałego używania kapitału, musi być większą, niż wartość dóbr, które wymagały takiej samej ilości pracy, ale krócej trwającego użycia kapitału, i kończy: »Różnica wartości... jest tylko słusznym odszkodowaniem za czas, w którym dochód był zatrzymany«²⁾.

Przy dobrej woli można w tych słowach odnaleźć jeszcze bardziej bezpośrednie podobieństwo do teorii wstrzemięźliwości: ale skończonej teorii one nie zawierają.

Bardzo pociągające przez oryginalność swą i skończo-

¹⁾ Najbardziej wyczerpująca z tych uwag brzmi: »...Bo żaden człowiek nie zbiera sobie kapitałów inaczej, jak w celu czerpania z nich dochodu, a właśnie przy takim użyciu działają one w ten sposób, że dają zyski. Bez tego motywu nie byłoby żadnego gromadzenia kapitałów, a co za tem idzie, takiego poziomu cen (któreby nie pozostawiło kapitalistom żadnego dochodu). Dzierżawca i fabrykant tak samo nie mogą żyć bez dochodu, jak robotnik bez płacy. Ich chęć gromadzenia kapitałów z każdym zmniejszeniem dochodu będzie się zmniejszała, aż ostatecznie zniknie, gdy zyski ich będą tak małe, że nie zapewnią im wystarczającego zwrotu za poniesiony trud i ryzyko, które są nieodłączne od produkcyjnego użytkowania kapitału« (Rozdz. VI, str. 68, podobnie w tymże rozdziale, str. 67, rozdz. XXI, str. 175 i inne).

²⁾ Rozdz. I, część V, str. 25.

ność są poglądy Ricarda na wysokość dochodu z kapitału (głównie w rozdziałach VI-ym i XXI-ym). Wynikają one z jego teorii renty gruntowej, którą musimy się zająć na chwilę.

Według Ricarda ludzie przedewszystkiem zajęli grunta najbardziej urodzajne. Dopóki grunta »pierwszej jakości« znajdują się w nadmiarze, właściciel ziemi nie otrzymuje żadnej renty gruntowej, i cały produkt przypada temu, kto ziemię obrabia, jako płaca robocza i dochód z kapitału.

Później, w miarę wzrostu ludności i zapotrzebowania na ziemiopłody, uprawa ziemi musi się rozszerzyć; dzieje się to częściowo przez obrabianie pomijanych dotychczas gruntów o gorszej jakości, częściowo przez intensywniejsze obrabianie już poprzednio wziętych pod uprawę gruntów pierwszej jakości, przez większe wkłady kapitału i pracy. W obu wypadkach — przy niezmienionej technice rolniczej — przyrost ziemiopłodów otrzymany może być tylko pod warunkiem zwiększenia kosztów, a dzięki temu nowo włożone ilości kapitału i pracy mniej są wydajne, a mianowicie w tym stopniu, w jakim wyczerpują się stopniowo bardziej korzystne możliwości uprawy, a trzeba przechodzić do mniej pożądaných.

Nierówny produkt, otrzymywany przy pomocy mniej lub więcej szczęśliwie ulokowanych kapitałów, nie może być na stałe związany z kapitałem, jako takim; współzawodnictwo kapitalistów natychmiast postawi na jednym poziomie stopę zysku ze wszystkich zatrudnionych w rolnictwie kapitałów; przytem linja zrównania odpowiada dochodowi najmniej wydajnych, a cała nadwyżka, dawana przez lepiej ulokowane kapitały dzięki wyższej jakości użytkowanych gruntów, przypada ich właścicielom w postaci renty gruntowej.

Rozmiary dochodu z kapitału i płacy roboczej, razem wziętych, określane więc są stale przez produkt najgorzej ulokowanego, najmniej wydajnego kapitału; ten produkt bowiem nie płaci żadnej renty gruntowej i cały dzieli się na dochód z kapitału i płacę roboczą.

Jeden z tych czynników, płaca robocza, poddany jest surowym prawom. Ustala się ona bowiem z koniecznością z biegiem czasu na wysokości sumy niezbędnych kosztów utrzymania robotnika. Płaca robocza jest więc wysoka, jeśli wysoka jest wartość środków utrzymania; zniża się, jeśli

wartość środków utrzymania jest niższa. Ponieważ zaś kapitalista otrzymuje to, co pozostaje, więc i dochód z kapitału znajduje decydującą przyczynę swej własnej wysokości w każdorazowej wysokości płacy robotczej. W tej wzajemnej zawisłości pomiędzy zyskiem i płacą upatruje Ricardo istotne prawo zysku z kapitału, które też niejednokrotnie z emfazą podnosi i przeciwstawia starememu, bronionemu przez Smitha pogładowi, iż rozmiary dochodu z kapitału określa ilość i współzawodnictwo kapitałów.

W myśl tego prawa Ricardo dochodzi dalej do wniosku, iż dochód z kapitału musi mieć tendencję do stałego zniżania się w miarę rozszerzania się uprawy roli. Ponieważ bowiem dla wyżywienia wciąż wzrastającej ludności trzeba użytkować coraz to mniej urodzajne i mniej nadające się do uprawy grunty, zmniejszony produkt, po odciążeniu płacy robotczej, coraz to mniej pozostawia dochodowi z kapitału. W istocie wartość zmniejszającego się w masie swej produktu nie obniża się. Wartość bowiem produktu według znanego prawa wartości Ricarda zawsze kieruje się masą włożonej w jego wytworzenie pracy. Jeśli więc w pewnym okresie czasu praca roczna dziesięciu ludzi przynosi 150 korcy pszenicy, gdy dawniej przynosiła 180 korcy, to obecne 150 korcy będą miały dokładnie tę samą wartość, co dawne 180, gdyż zawierają tę samą ilość pracy, a mianowicie roczną pracę dziesięciu ludzi. Naturalnie, wartość każdego korca pszenicy musi teraz wzrosnąć. Jednocześnie musi też wzrosnąć suma wartości, której potrzebuje robotnik dla utrzymania się przy życiu, a co za tem idzie, musi też wzrosnąć i jego płaca robotcza. Ale jeżeli z tej samej sumy wartości, którą przedstawia zmniejszona masa produktu, wypłacona będzie wyższa płaca robotcza, to naturalnie pozostanie mniejsza suma dla pokrycia dochodu z kapitału.

Jeśli by się nareszcie wzięło pod uprawę tak nieurodzajne grunty, że wciąż zmniejszający się produkt całyby iść musiał na utrzymanie robotnika, to dochód z kapitału spadłby do zera. Taki stan rzeczy jednak jest niemożliwy, gdyż nadzieja na dochód jest jedyną pobudką do gromadzenia kapitałów, a ze stałym obniżaniem się korzyści pobudka ta słabnie, i jeszcze przed osiągnięciem tego punktu zatrzyma-

łoby się dalsze gromadzenie kapitałów, a z nim przyrost bogactw i ludności.

Współzawodnictwo kapitałów, do którego tak wielką wagę przywiązuje Smith, może, według Ricarda, tylko przejściowo obniżyć dochód z kapitału, wówczas mianowicie¹⁾, gdy przy wzrastającej masie kapitałów wznosi się początkowo płaca zarobkowa, ale bardzo szybko w związku z wzrastającym popytem na pracę zwiększy się ludność robotnicza, a przez to płaca ciąży do dawnego poziomu, a dochód z kapitału do wzniesienia się. Dochód z kapitału obniżyć się może w sposób trwały tylko dzięki temu, że środki utrzymania dla zwiększonej ludności zdobywać trzeba przez kosztowniejszą uprawę mniej wydajnych gruntów, a więc wówczas, gdy zmniejszony produkt pozostawia szczuplejszą nadwyżkę ponad niezbędną płacę robotczą: nie wskutek współzawodnictwa, a wskutek konieczności przejścia do mało wydajnej produkcji. Tylko od czasu do czasu tendencja dochodu z kapitału do spadania w miarę postępów rozwoju gospodarczego, zahamowaną zostaje przez posunięcie się techniki rolniczej, które pozwala otrzymywać tę samą masę produktu przy pomocy mniejszej pracy, niż dotychczas.

Jądrem tej teorii jest więc, że Ricardo wyprowadza wysokość dochodu z kapitału z wysokości płacy robotczej: ta jest przyczyną, a wysokość dochodu skutkiem²⁾.

Krytyka dosięgnąć może tę teorię z różnych stron. Nie może się ona naturalnie utrzymać wobec tego, kto już teorię renty Ricarda uważa zaasudniczo za fałszywą³⁾. Dalej część rozumowania, opierająca się na teorii funduszu płac zarobkowych, podlega tym wszystkim zarzutom, które się stawia tej teorii. Zostawiam na stronie wszystkie za-

¹⁾ Według znanej »teorii funduszu płac zarobkowych«

²⁾ Ten zasadniczy stosunek podkreśla Ricardo jaskrawo na innym miejscu, gdy w początku części IV-ej rozdz. I-go wymienia wysokość »wartości pracy«, jako drugą przyczynę wartości dóbr obok masy zużytej przy produkcji pracy, i ma przez to na myśli wpływ, który wywierają na wartość dóbr pretensje do dochodu kapitalistów. Wysokość dochodu tego ma jednak dla niego tylko znaczenie niesamodzielnej pośredniej przyczyny, chętnie ją też zastępuje przez ostateczną przyczynę całego stosunku, którą upatruje w zmiennej wysokości płacy robotczej.

³⁾ Jak np. Pierstorf, Lehre vom Unternehmerrgewinn, str. 12 i nast.

rzuty, odnoszące się do zewnętrznych podstaw tej teorii zysku, i będę krytykował jedynie ją samą. Zapytuję więc: Czy teoria Ricarda, jeśli przyjmiemy, słuszność teorii renty i teorii funduszu płac zarobkowych, tłumaczy istotnie wysokość dochodu z kapitału, albo chociażby samo jego istnienie?

Odpowiedź brzmieć musi: Nie! i właśnie dlatego nie, że Ricardo błędnie uznał proste dodatkowe okoliczności, towarzyszące wyjaśnianemu zjawisku, za jego przyczynę. — Rzecz się ma w ten sposób:

Zupełnie prawidłowem jest, że płaca robocza, dochód i wynik produkcji — po odciążeniu pewnej renty gruntowej — są bardzo ściśle i mocno związane. Zupełnie prawidłowem jest, że dochód z kapitału nie może wynosić mniej ani więcej, niż różnica produktu mniej płacy. Ale fałszywem jest takie przedstawianie tego związku, według którego wysokość produktu i płacy miałyby określać, a wysokość dochodu jedynie być określaną. Równie dobrze, jak uzależnić wysokość dochodu od wysokości płacy, mógłby Ricardo odwrotnie uczynić wysokość płacy skutkiem wysokości dochodu. Nie uczynił tego, ponieważ słusznie uznawał, iż wysokość płacy roboczej opiera się na samodzielnych, charakterystycznych dla czynnika pracy, przyczynach. Ale to, co uznał dla płacy roboczej, przeoczył dla dochodu z kapitału. Dochód z kapitału również ma przyczyny, określające jego wysokość, które wynikają z jego odrębnych warunków. Dochód z kapitału nie bierze tylko poprostu tego, co pozostaje, ale umie wymusić sobie stosowną część. Prawdziwe wyjaśnienie dochodu z kapitału winnoby podnieść właśnie te momenty, które zachodzą ze strony czynnika »kapitału« i równie przekonywująco przeciwstawiają się pochłonięciu dochodu z kapitału przez płacę roboczą, jak naprzykład względ na niezbędne środki utrzymania przeciwstawia się pochłonięciu płacy roboczej przez dochód z kapitału. Ricardo jednak w zupełności pomija te specjalne przyczyny, określające wysokość zysku z kapitału.

W jednym jedynym tylko wypadku przyjmuje on pod uwagę istnienie takich przyczyn: mianowicie wtedy, gdy zwraca uwagę, iż dochód z kapitału nie może spaść do zera, bo w takim razie przestałaby istnieć pobudka do gromadze-

nia kapitałów, a więc i to gromadzenie¹⁾. Nie zajmuje się jednak bliżej tą myślą, która przy konsekwentnem rozwinięciu mogłaby dostarczyć materiału do dojrzałej teorii zysku, a w dalszym ciągu szuka przyczyn, określających wysokość dochodu z kapitału jedynie wśród współdziałających czynników, wskazując nieznużenie to na wysokość płacy roboczej, to na stopień produktywności najmniej wydajnej pracy, to wreszcie, z lekko fizjokratycznym zabarwieniem, ale zgodnie z całą rozwiniętą przed chwilą teorią, na przyrodzoną urodzajność gleby, jako na główne przyczyny, określające wysokość dochodu²⁾.

Mogłoby się wydawać, że moja krytyka Ricarda sama podlega łatwemu zarzutowi. Jeśli bowiem, jak w całym biegu rozumowania przyjęliśmy z Ricardem, płaca robocza podlega zupełnie określonej mierze — sumie niezbędnych kosztów utrzymania, — to zdawałoby się, że przez to i suma, pozostająca dla dochodu z kapitału, tak ściśle jest też określona, iż nie pozostaje zupełnie miejsca dla oddziaływania samodzielnych motywów ze strony dochodu z kapitału. Przyjmijmy naprzykład, że dany do podziału wynik produkcji wynosi 100 korcy. Jeżeli zajęci przy niej robotnicy potrzebują 80 korcy, to suma 20-tu korcy z góry już jest określona dla dochodu z kapitału, i nie mogą jej zmienić żadne, ze strony ostatniego zachodzące, przyczyny.

Ten przypuszczalny kontrargument nie daje się jednak utrzymać. Wynik bowiem najmniej wydajnej pracy — utrzymujemy całkowicie sposób myślenia Ricarda — nie jest wcale czemś ściśle określonym, przeciwnie, jest on elastyczny i podlegający wpływowi nieodpartych roszczeń kapitału i pracy. Jak roszczenia robotników mogą niedopuszczyć i faktycznie nie dopuszczają do doprowadzenia uprawy aż do tego punktu, w którym praca nie jest w stanie pokryć nawet własnych niezbędnych kosztów utrzymania, tak też i roszczenia kapitału mogą się przeciwstawić i istotnie się przeciwstawiają nadmiernemu rozszerzeniu granic uprawy. Jeśli np. te przyczyny, którym zysk wogóle zawdzięcza swoje istnienie, a które Ricardo, niestety, tak mało wyjaśnia, wymagają dla kapitału pewnych rozmiarów części dochodu,

¹⁾ Rozdz. VI, str. 67 i inne.

²⁾ Koniec rozdziału VI-go (str. 70).

wynoszącej 30 korcy, a robotnicy, pracujący przy pomocy tego kapitału, potrzebują razem 80-u korcy dla swego żywienia, to uprawa roli zatrzymać się musi właśnie w tym punkcie, w którym praca tylu ludzi, ilu może się utrzymać z 80-u korcy, daje jeszcze 110 korcy. Jeśli te »motives of accumulation« wymagają tylko dochodu 10-u korcy, to uprawa rozciągniętą być może tak dalece, by najmniej wydajna praca przynosiła jeszcze 90 korcy. Ale w każdym wypadku uprawa jeszcze mniej wydajnych gruntów będzie ekonomicznie niemożliwą, a przez to osiągną się granice dalszego wzrastania ludności¹⁾.

Ricardo, jak widzieliśmy, uznaje takie ograniczone oddziaływanie roszczeń kapitału dla tego ostatecznego wypadku, w którym dochód z kapitału grozi zupełnym wygaśnięciem. Oczywiście jednak, stosunki, którym dochód z kapitału wogóle zawdzięcza swoje istnienie, działają nietylko w ostatecznych wypadkach, ale stale; sprzeciwiają się nie tylko zupełnemu zanikowi dochodu, ale podtrzymują go w każdej chwili w walce z innymi czynnikami i pomagają w ustaleniu wysokości, do której on dąży, tak, iż dochód z kapitału opiera się na równie samodzielnych podstawach, jak płaca robocza. Najważniejszym błędem Ricardo jest właśnie przecoczenie tych samodzielnych podstaw.

Charakterystyczny ten błąd wyjaśnia też najnaturalniej to uderzające zjawisko, iż tak szeroko zakreślone badania, poświęcone przez tak wybitnego, jak Ricardo, myśliciela kwestji wysokości dochodu z kapitału, zupełnie nic nie przyniosły dla wyjaśnienia zasadniczej kwestji przyczyn istnienia dochodu.

Trzecia wreszcie grupa uwag, dotyczących dochodu z kapitału, zawiera poglądy Ricardo na wartość dóbr. Jest

¹⁾ Uważny czytelnik z łatwością się przekona, iż rezultat pozostanie ten sam, jeśli, zmieniając formę rozważania, weźmiemy pod uwagę nie masę produktu i płacy roboczej, a ich wartość. Wtedy wartość produktu występuje jako wielkość stała, (porówn. wyżej, str. 90), płaca robocza zaś przeciwnie, jako wielkość elastyczna; i wypowiedziane w tekście zdanie, zmienione w słowach tylko, nie w treści, będzie brzmiało: uprawa musi zatrzymać się w tym punkcie, w którym płaca robocza, zwiększona wskutek wzrastających kosztów uprawy, nie zostawi kapitaliście z wartości produktu części potrzebnej dla zaspokojenia jego roszczeń do dochodu.

to temat, dający naogół pisarzom sposobność do wypowiedzenia się, pośrednio, czy bezpośrednio, w sprawie pochodzenia dochodu z kapitału. Czy wartość wymienna dóbr zwiększy się z powodu wymagania dochodu ze strony kapitalistów, czy też nie? W pierwszym wypadku dochód z kapitału wynikałby z pewnej specjalnej »nadwartości«, bez krzywdy posiadaczy współdziałających sił produkcyjnych, w szczególności bez krzywdy robotnika najemnego, w drugim zachodziłby koszt innych współpracowników.

Ricardo również nie pomija tej okazji, i wypowiada się na korzyść wywołanego przez użycie kapitału dodatku do wartości dóbr; zachowuje w tem jednak pewną rezerwę.

Rozróżnia mianowicie dwie różne epoki w rozwoju społeczeństwa. W pierwszej, epoce prymitywnej, — dopóki kapitałów jest jeszcze niezmiernie mało, a własność prywatna ziemi nie istnieje wcale — wartość zamienna dóbr określona jest wyłącznie przez ilość zawartą w nich pracy¹⁾. W drugiej epoce, do której należy społeczna gospodarka współczesna, wchodzi w grę pewna zmiana, wywołana zastosowaniem kapitału. Przedsiębiorcy-kapitaliści wymagają dla swego, ulokowanego w produkcji, kapitału zwykłej stopy zysku, określonej według wielkości kapitału i długości czasu jego użytkowania. Ale ta wielkość, długość czasu użytkowania, a za niemi wymagany dochód, w różnych gałęziach produkcji są różne, gdyż jedne wymagają więcej obrotowego kapitału, który się szybko daje odtworzyć w wartości produktu, inne więcej kapitału stałego, o większej lub mniejszej trwałości, która znów znajduje się w odwrotnym stosunku do szybkości odtworzenia kapitału w wartości produktu. Różna wysokość wymagania dochodu ze strony kapitalistów to mają tylko wspólnego, że dla dóbr, których wytworzenie wymagało stosunkowo większego udziału kapitału, następuje większe podniesienie ich stosunkowej wartości zamiennej²⁾.

W tych wywodach, jak widzimy, skłania się Ricardo wyraźnie do poglądu, iż zysk z kapitału wynika ze szczególnej nadwartości. Ale niektóre inne ustępy znacznie osłabiają to wrażenie stanowczości: częściowo są to liczne ustępy,

¹⁾ Rozdz. I, część I.

²⁾ Rozdz. I, część IV i V.

w których Ricardo wiąże ze sobą dochód i płacę roboczą, i zwiększenie jednego czynnika wyprowadza ze zmniejszenia i krzywdy drugiego; częściowo poprzednie ustalenie odrębnej czystej »zasady pracy« dla pierwotnej epoki gospodarczej; w dodatku tę ostatnią zasadę uposaża autor w znacznie staranniejsze umotywowanie, niż jej kapitalistyczną modyfikację, co bezwiednie robi wrażenie, że ten pierwotny stan rzeczy uważa za naturalny. Istotnie też, późniejsi socjalistyczni pisarze przedstawili »zasadę pracy«, jako prawdziwy pogląd Ricarda, a przyjęcie modyfikacji kapitalistycznej, jako prostą niekonsekwencję¹⁾.

Tak więc widzimy, iż Ricardo waha się też i w kwestji pochodzenia dochodu z kapitału; nie jest to chwiejność tak jaskrawa, jak u jego mistrza Smitha, lecz dość wyraźna, by go zaliczyć do szeregu bezbarwnych teoryj²⁾.

Wielki współczesny Ricarda, Malthus, niewiele wyraźniej wypowiedział się w sprawie zysku z kapitału. W każdym razie jednak w pismach jego znajdują się ustępy, które go odróżniają od zupełnie bezbarwnych pisarzy i pozwalają zaliczyć do zwolenników teorii produkcyjności.

O wiele lepiej stosuje się określenie bezbarwności do Torrensa³⁾. Pisarz ten, pełen rozmachu, lecz krótkowzroczny, wypowiada w głównych zarysach swoje zdanie o zysku z kapitału w trakcie polemiki, skierowanej przeciw świeżo ogłoszonej teorii Malthusa, iż dochód z kapitału stanowi część składową kosztów produkcji, a przez to i naturalnej ceny dóbr. Torrens odpowiada na to z zupełną słusnością, ale też z niezmierną rozwlekłością, iż dochód stanowi nadwyżkę ponad koszt, a nie ich część. Sam jednak nie lepszego temu nie przeciwstawia.

¹⁾ Podobnie też Bernhardi »Kritik der Gründe etc.«, 1849, str. 310 i nast. Z przeciwników patrz Verriijn Stuart »Ricardo en Marx« Gravenhage, 1890, i moja recenzja tej pracy w Conrads Jahrbücher, III część, t. I, (1891), str. 877 i nast.

²⁾ Natoli w swej gruntownej i starannej pracy o »Il principio del valore«, Palermo, 1906, wyżej ocenia zasługi Ricarda dla zagadnienia zysku. Może jednak i w tej kwestji znajduje Natoli za wiele współczesnych poglądów u wielkich starych klasyków, tak samo, jak sądzi, że ich teoria wartości, opartej na pracy, zdolna jest, w odpowiedniej redakcji, pogodzić się ze współczesną teorią użyteczności krańcowej.

³⁾ An essay on the production of wealth, London, 1821.

Rozróżnia on cenę rynkową i cenę naturalną. Ceną rynkową jest to, co musimy dać, by wzamian otrzymać na rynku dane dobro; ceną naturalną jest to, co byśmy musieli dać, by otrzymać dane dobro »z wielkiego składu towarów natury«, albo, co znaczy to samo, jest to zwrot kosztów produkcji, pod którymi Torrens rozumie całość wydanego na cele produkcyjne kapitału¹⁾.

Cena rynkowa i cena naturalna wcale nie dążą, jak się to zwykle przypuszcza, do ustalenia się przeciętnie na tym samym poziomie; przeciwnie, ponieważ dochód nie jest wcale pierwiastkiem kosztów produkcji, a więc nie jest też pierwiastkiem ceny naturalnej, a cena rynkowa, jeśli przedsiębiorstwo ma istnieć, musi przedsiębiorcy przynieść zwykły dochód, cena rynkowa musi zasadniczo i stale wyższą być od ceny naturalnej, i właśnie wyższą o wysokość przyjętej powszechnie stopy z zysku²⁾.

Tak więc Torrens wyeliminował dochód z kapitału z przyczyn, ustalających cenę naturalną, a wprowadził go pomiędzy przyczyny, ustalające cenę rynkową. Zmiana ta, jak łatwo zauważyć, jest czysto formalną; opiera się jedynie na zastosowaniu odmiennej terminologii.

Krytykownicy przezeń ekonomiści przypuszczali, iż dochód z kapitału stanowi przyczynę ustalającą wysokość przeciętnej ceny dóbr, i nazwali tę przeciętną, czy stałą cenę — ceną naturalną. Torrens myśli zupełnie tak samo, tylko stałe ceny nazywa cenami rynkowymi, a nazwę ceny naturalnej zachowuje dla czegoś, co wcale nie jest ceną, mianowicie dla wydatku kapitału na cele produkcyjne.

Dla rozwiązania rzeczowego, zasadniczego zadania: dlaczego faktyczne ceny dóbr, czy się je nazywa cenami naturalnymi, czy rynkowymi, pozostawiają pewien dochód z kapitału? nie robi Torrens właściwie nic. Uważa on dochód z kapitału poprostu za coś tak samo przez się zrozumiałego, że szczegółowe jego wyjaśnienie jest rzeczą całkiem zbyteczną, i zadowala się paru bardzo mało znaczącymi formułkami, które w dodatku pozostają ze sobą w sprzeczności, ponieważ należą do całkiem różnych biegów rozumowania.

¹⁾ Str. 34: »the amount of capital or the quantity of accumulated labour expended in production«.

²⁾ Str. 50 i nast.

Kapitał.

Jedną formułą jest często powtarzająca się uwaga, iż kapitalista musi mieć dochód, ponieważ inaczej nie miałby żadnej podniety do gromadzenia kapitałów, albo do ich lokowania w produkcyjnych przedsiębiorstwach¹⁾; drugą formułą, i to należąca do całkiem innego kierunku, jest wyjaśnienie, iż dochód z kapitału jest »nowym tworem«, zrodzonym przez zastosowanie kapitału²⁾.

Kwestja zaś, jak wytworzony został dochód z kapitału, pozostaje zupełnie ciemną; pozostaje formułka — teorii brak.

Nikt jednak w całej angielskiej szkole nie potraktował zysku z kapitału tak niezgrabnie i nieszczęśliwie, jak M. C. Culloch³⁾. Zbliżył się on do całego szeregu różnych poglądów. Zagłębia się w każdym dosyć znacznie, by wpadać na rażącą sprzeczność z samym sobą, ale żadnego nie rozwija tak, by utworzyć do pewnego stopnia kompletną teorię zysku z kapitału. Raz tylko jeden robi wyjątek: ale teoria, którą przeprowadza, jest najbezsensowniejszą, na jaką tylko mógł wpaść jakiś myśliciel, i w późniejszych wydaniach swego dzieła sam ją usuwa — pozostawiając jednak po niej ślady, które sprzeczne są tak z rzeczywistością, jak i z własnym otoczeniem. Tak więc wywody M. C. Cullocha na temat zysku z kapitału są szczytem połowiczności, braku zdania i sprzeczności.

Ponieważ jednak, pomimo to, poglądy M. C. Cullocha osiągnęły znaczne rozpowszechnienie i pewne uznanie, muszę się podjąć dosyć niemilej czynności umotywowania mego powyższego sądu.

Przedewszystkiem oświadcza M. C. Culloch, iż praca jest jedynym źródłem bogactw. Wartość dóbr określona jest przez ilość pracy, niezbędnej do ich wytworzenia. Odnosi się to nie tylko do stanu pierwotnego, ale i do współczesnego życia gospodarczego, w którym oprócz bezpośredniej pracy zastosowany też jest w produkcji i kapitał; kapitał bowiem jest również tylko wytworem dawniejszej pracy. Trzeba tylko

¹⁾ Str. 53 i 392.

²⁾ »a new creation brought into existence in consequence of this expense« (str. 51); »they create it... It is essentially a surplus, a new creation« (str. 54).

³⁾ Principles of Political Economy, 1-e wyd. Edynburg, 1825; 5-e wyd., 1854.

doliczyć do pracy bezpośrednio zużytkowanej pracę, zawartą w kapitale: suma ich określa i obecnie wartość wszelkich wytworów¹⁾, a zgodnie z tem sama praca i obecnie składa się na całość kosztów produkcji²⁾.

Ale parę wierszy przed oświadczeniem, iż kosztą są »identyczne z sumą pracy«, zalicza M. C. Culloch do kosztów obok pracy i dochód z kapitału³⁾; a prawie bezpośrednio po oświadczeniu, iż jedynie suma pracy określa wartość, przechodzi do wyjaśnienia, jak wzrost wynagrodzenia pracy w związku ze spadkiem dochodu z kapitału zmienia wartość dóbr, podnosząc wartość tych dóbr, przy produkcji których zastosowany jest kapitał o mniej niż przeciętnej trwałości, a zmniejszając wartość tych, przy produkcji których zastosowany jest kapitał o więcej niż przeciętnej trwałości⁴⁾.

I znów bez żadnego skrupułu określa M. C. Culloch dochód z kapitału jako pewien »excess of produce«, jako »surplus«, jako »the portion of the produce of industry, accruing to the capitalist after all the produce expended by them in production is fully replaced«: jednym słowem, jako czystą nadwyżkę, pomimo, iż niedawno określił go, jako część składową kosztów produkcji. Prawie tyleż sprzeczności, co zdań!

Pomimo to, przynajmniej w pierwszym wydaniu swoich »Principles«, zadaje sobie M. C. Culloch wiele trudu, by być konsekwentnym. Środkiem do tego służy mu teoria, zapomocą której sprowadza dochód z kapitału do pracy. Na stronie 291-ej pierwszego wydania umieszcza rozstawionym drukiem oświadczenie, iż dochód z kapitału jest tylko inną

¹⁾ Str. 61, 215, 289 i nast. pierwszego wyd., str. 6 i 275 piętego wydania.

²⁾ The cost of producing commodities is, as will be afterwards shewn, identical with the quantity of labour required to produce them and bring them to market (1-e wyd. str. 250). Prawie dosłownie w 5-em wyd., także str. 250: The cost, or real value of commodities is, as already seen, determined by the quantity of labour etc.

³⁾ But is quite obvious, that if any commodity were brought to market and exchanged for a greater amount either of other commodities or of money, than was required to defray the cost of its production; including, in that cost, the common and average rate of net profit at the time... etc. 1-e wyd. str. 249. Dosłownie prawie w 5-em wyd., str. 250.

⁴⁾ 1-e wydanie, str. 298 i nast., 5-e wyd., str. 283 i n.

nazwą »wynagrodzenia całości zużytej pracy«. To wyjaśnienie pozwala mu nagiąć do swej zasady, iż wszelka wartość dóbr określona jest tylko przez pracę, i te wypadki, w których dochód z kapitału wywiera wpływ na wartość dóbr. Ale jak wygląda przeprowadzenie tego wyjaśnienia!

»Jeśli«¹⁾, powiada Mc. Culloch, »beczka nowego wina, warta 50 funtów, złożona zostanie w piwnicy i po upływie dwunastu miesięcy warta będzie 55 funtów, to powstaje pytanie: Czy dodany tu przyrost wartości 5-u funtów winien być uważany za wynagrodzenie za czas, podczas którego zamknięty był kapitał 50-u funtów, czy też należy go uważać za wartość dodatkowej pracy, faktycznie wydatkowanej na wytworzenie tego wina?« Mc. Culloch skłania się na stronę ostatniego poglądu; a to dlatego, że przyrost wartości występuje tylko u niedojrzałego wina, w którym musi więc jeszcze zajść pewna zmiana, pewne działanie, a nie u wina, które już osiągnęło zapelną dojrzałość. Wydaje mu się to mianowicie »nieodpartym« dowodem, iż przyrost wartości nie jest wynagrodzeniem za czas, lecz za działanie, czy zmianę, która w niem jeszcze zajść musi. Ponieważ »czas sam ze siebie nic nie może przynieść, daje on tylko zakres, w którym czynne być mogą istotne przyczyny, a więc jasnem jest, że nie ma on nic do czynienia z wartością«.

Temi słowy ze zdumiewającą naiwnością zamyka Mc. Culloch swoje dowodzenie. Zdaje się zupełnie nie dostrzegać, iż pomiędzy tem, czego miał dowieść, a tem, czego dowiódł, zachodzi ogromna różnica. Chciał dowieść, że przyrost wartości wywołany jest przez dodatek pracy, działalności ludzkiej; dowiódł zaś w najlepszym wypadku, że na przyrost wartości nie oddziałuje czas, a jakaś »zmiana«, zachodząca w winie. Nie dowodzi to wcale, a nawet po prostu wykluczone jest przez samą hipotezę danego wypadku, iż zmiana ta wprowadzona jest przez dodatek pracy: wino przez cały czas leżało przecie nietknięte w piwnicy.

Do pewnego stopnia odczuwa autor słabość tego dowodzenia; podaje bowiem, »by to zdanie jeszcze lepiej zilustrować«, szereg dalszych przykładów, które, im bliżej chcą tęzę wyjaśnić, tem większe zawierają dziwolagi.

¹⁾ 1-e wyd., str. 313.

W następnym przykładzie¹⁾ przypuszcza, iż pewien osobnik posiada dwa kapitały, »jeden w postaci nowego wina, wartości 1.000 funtów, drugi w postaci skóry, wartości 900 funtów i pieniędzy, wartości 100 funtów. Przypuśćmy, iż wino złożone zostało w piwnicy, a 100 funtów dano szewcowi, który ma ze skóry uszyć buty. Po upływie roku kapitalista będzie posiadał dwie równe wartości: wartość powiedzmy 1100 funtów w winie i wartość 1100 funtów w butach«. W rezultacie, kończy Mc. Culloch, oba wypadki są równoległe, i buty i wino są wynikiem takiej samej ilości pracy.

Bez wątpienia! Ale czy to dowodzi, jak dowieść miało, iż przyrost wartości jest skutkiem wydatkowanej ludzkiej pracy? — Bynajmniej. Oba wypadki są równoległe; ale równoległe są również w tem, iż każdy zawiera niewyjaśniony przez Mc. Cullocha przyrost wartości wysokości 100 funtów. Skóra warta była 900 funtów, 100 funtów pieniędzy wymieniono na pracę o takiejże wartości, która — jak należałoby przypuścić, — dodaje też surowemu materiałowi 100 funtowy przyrost wartości; więc produkt wspólny, buty, powinienby być też wart 1.000 funtów. Tymczasem wart jest 1.100 funtów. Skąd ta nadwyżka wartości? Przecież nie z pracy szewca? W takim bowiem wypadku ten ostatni, otrzymawszy wynagrodzenie 100 funtów, dodałby skórze nadwyżkę wartości wysokości 200 funtów, a kapitalista miałby tutaj całych 100 %, co jest sprzeczne z hipotezą. Skąd więc ta nadwyżka wartości? — Tego w przykładzie o skórze nie wyjaśnia Mc. Culloch, a przykład o winie tem mniej może służyć za wyjaśnienie, ponieważ sam tylko przez tę analogję miał być wytłumaczonym.

Ale Mc. Culloch zadaje sobie jeszcze więcej trudu. »Budulec daje jeszcze lepszy przykład«.

»Jeśli wiemy, iż drzewo, warte obecnie 25 lub 30 funtów, posadzone zostało przed stu laty kosztem jednego szylinga, to łatwo wykazać, iż obecną wartość drzewa całkowicie zawdzięczamy sumie włożonej w nie pracy. Drzewo jest zarazem budulcem (timber) i maszyną do tworzenia budulca; i pomimo, iż pierwotne koszta zrobienia tej maszyny były bardzo małe, włożony w nią kapitał, po upływie długiego czasu, jeśli ona nie ulegnie zniszczeniu, przyniesie

¹⁾ 1-e wyd., str. 314.

znaczny dochód, albo, innemi słowy, stworzy znaczną wartość. Jeśli przypuścimy, iż maszyna, kosztująca szylinga, została wynaleziona już przed stu laty; że ta maszyna była niezniszczalną, więc nie wymagała reperacji; że przez cały czas tkala daną ilość przędzy, darmo dostarczoną przez naturę, i że dopiero teraz zakończyła pracę, to materiał utkany może być wart 25 czy 30 funtów; ale, niezależnie od tego, jaką wartość będzie posiadał, jasne (!) jest, że zależy ona w całości od wciąż powtarzanej działalności maszyny, albo, innemi słowy, od zużytej na jej wytworzenie sumy pracy¹⁾.

Tak więc: drzewo kosztuje parę godzin pracy, która warta jest jednego jedyne go szylinga. Teraz to samo drzewo, które w międzyczasie nie wymagało innej pracy ludzkiej, warte jest nie jednego szylinga, ale 25 do 30 funtów. I to wysuwa Mc. Culloch nie dla zwalczania, ale dla podtrzymania zdania, iż wartość dóbr bez wyjątku określa się w stosunku do sumy pracy, zużytej na ich wytworzenie. Dalesze komentarze są już chyba zbyteczne²⁾.

W późniejszych wydaniach swoich »Principles«³⁾, po-

¹⁾ 1-e wydanie, str. 317.

²⁾ Do pewnego stopnia moglibyśmy złagodzić swój wyrok, jeśli byśmy przyjęli, że Mc. Culloch w powyższych rozważaniach używa słowa »praca« w tem mglistem i niewyraźnem znaczeniu, w którym później (Dodatek I w wydaniu dzieł Smitha, Edyburg, 1863, str. 435 i n.), pod słowem »praca« rozumie »wszelką czynność«, wykonywaną równie dobrze przez ludzi, jak i przez zwierzęta, maszyny i siły przyrody. Wprawdzie jego teoria wartości przez takie rozwodnienie jej zasadniczego pojęcia byłaby pozbawiona wszelkiego samodzielnego charakteru i sprowadzoną do nic nieznaczącego igrania ze słowami; ale przynajmniej można by mu oszczędzić zarzutu nonsensu logicznego. Ale i to skromne złagodzenie jest niedopuszczalne. Mc. Culloch bowiem za często i za wyraźnie stwierdza, iż zysk pochodzi z zużytej na wytworzenie kapitału pracy ludzkiej. Tak np. w dodatku I-ym, str. 22-iej wyżej wzmiankowanego wydania Smitha, gdzie Mc. Culloch oświadcza, iż zysk jest »wynagrodzeniem pracy, pierwotnie zużytej na wytworzenie kapitału«, a stanowczo nie można rozumieć pod tem »pracy« samej maszyny; a prócz tego, gdy (5-e wyd. »Principles«, str. 292—294); odnośnie do przykładu o winie, wyraźnie oświadcza, iż nadwyżka wartości jego nie jest wytworzona przez siły natury, które działają bezinteresownie.

³⁾ Rozporządzałem tylko 5-em wydaniem, ale z doskonałej »History of the theories of production and distribution« Can-

rzucił Mc. Culloch całą swą olbrzymią, szczegółową teorię o dochodzie z kapitału jako wynagrodzeniu pracy. W odpowiednim miejscu książki (w wyd. 5-tem, str. 292—294) podaje wprawdzie tak samo przykład o winie, który mu sprawia pewien kłopot; ale zadowala się prostym przeczącem oświadczeniem, iż nadwyżka wartości nie jest wytworzona przez siły natury, które działają bezinteresownie. W sensie twierdzącym mówi tylko, iż przyrost wartości jest skutkiem dochodu, który powiększa kapitał, potrzebny dla przeprowadzenia danego procesu — ale dalej natury tego dochodu nie wyjaśnia. Na str. 227-iej zaś pozostało niezmiennione zdanie, iż dochód z kapitału jest tylko inną nazwą »wynagrodzenia poprzedniej pracy« (wages of prior labour)!

By w zupełności scharakteryzować teoretyczne nieumiarkowanie Mc. Cullocha, rozpatrzmy jeszcze dwa punkty.

Podje muje on też raz, jakby dla zwiększenia chaosu niepowiązanych myśli, znany, przez Adama Smith'a wprowadzony, motyw interesu¹⁾; a jakby niedość było pomieszczenia pojęć, panującego w jego teorii zysku z kapitału, i jakby chciał w nią jeszcze wplątać znośnie wytłumaczoną teorię płacy roboczej, określa też robotnika samego, jako kapitał, maszynę, a płacę jego, jako dochód z kapitału w połączeniu z dodatkiem za używanie »maszyny, zwanej człowiekiem«²⁾.

Pomijamy szereg pisarzy, którzy, jak Whately, Chalmers i Jones nie dali nic, coby nas z naszego punktu widzenia zainteresować mogło, i przechodzimy do Mac Leoda³⁾.

Ekscentryczny ten uczony wyróżnia się przez zaciągającą naiwność, z jaką w pięćdziesiątych, a nawet w siedemdziesiątych latach XIX stulecia, traktuje tak potężnie już wówczas rozrośnięte zagadnienie zysku. Wogóle zagadnienie nie istnieje tu dla niego wcale; »dochód« (profit)

nana (Londyn, 1894, str. 212, odsyłacz 2-gi), czerpię informacje, iż zmiana ta przeprowadzona została już w 2-em wydaniu z roku 1830-go.

¹⁾ 1-e wyd., str. 221 w odsyłaczu i całkiem podobnie 5-e wyd., str. 240 na końcu.

²⁾ 1-e wyd., str. 319, 5-e wyd. 294 i 295.

³⁾ Elements of Political Economy, Londyn, 1858; Principles of Economical Philosophy, 2-e wyd. Londyn, 1872.

jest dla niego poprostu zupełnie zrozumiałym i niezbędnym faktem. Cena sprzedanych towarów, czynsz dzierżawny za wynajęte kawałki ziemi, procent od pożyczonych pieniędzy, »muszą« oprócz kosztów, amortyzacji i zabezpieczenia za ryzyko, zawierać jeszcze »niezbędny« dochód¹⁾. Dlaczego tak jest? nie bada autor, chociażby najpowierzchniej.

Gdy Mac Leod opisuje powstanie procentu, to umyślnie tak układa szczegóły i okoliczności podawanego przykładu, że uzyskiwanie pewnego przyrostu (increase) z pożyczonego kapitału wydaje się rzeczą naturalną i oczywistą: każe n. p. kapitalistom pożyczać zboże na siew i owce²⁾; ale pojawienie się tego »przyrostu« wydaje mu się równie zrozumiałem, gdy chodzi o kapitał, nie wyrażony w przedmiotach z natury swojej płodnych. I pomimo szerokiego już naówczas rozpowszechnienia idei socjalistycznych, nie bierze zupełnie pod uwagę, że można nie uważać dochodu z kapitału za tak zrozumiałą, a nawet podawać w wątpliwość jego słuszność; »najzupełniej jasnem« jest dla niego, iż człowiek, który zastawia swój kapitał we własnym przedsiębiorstwie, ma prawo zatrzymać dla siebie cały płynący z tego przedsiębiorstwa dochód, czy wynosi on 20%, czy 100%, czy 1000%; a jeśli ktoś, co wynalazł użyteczną maszynę, używa swego kapitału na wytwarzanie takich maszyn, ciągnie stąd »olbrzymi dochód« i gromadzi »świetny majątek«, to nikt z ludzi »będących przy zdrowych zmysłach« nie będzie mu tego miał za złe³⁾.

Wobec cudzych teoryj zysku odgrywa Mac Leod rolę surowego krytyka; odrzuca naukę, iż dochód jest częścią składową kosztów produkcji⁴⁾; polemizuje z nauką Ricarda, iż wysokość dochodu uzależniona jest od stanu płacy roboczej⁵⁾; gani zarówno szczególną teorię pracy McCullocha, jak subtelną teorię wstrzemięźliwości Seniora⁶⁾.

Dwie cechy szczególne jego nauki są, jak mi się zdaje, przyczyną, iż pomimo tych krytycznych ocen, nie dał się

¹⁾ Porówn. *Eléments*, str. 76, 77, 81, 202, 226 i inne.

²⁾ *Elements*, str. 62 i nast.

³⁾ *Elements*, str. 216.

⁴⁾ *Economical Philosophy I*, str. 638.

⁵⁾ *Elements*, str. 145.

⁶⁾ *Principles of Ec. Phil. I*, str. 634 i II, str. 62.

Mac Leod popchnąć do zastąpienia zwalczanych przekonań własną pozytywną teorią. Pierwsza polega na niezwyklej mglistości pojęcia kapitału, który w pierwszym i pierwotnym sensie miał znaczyć tyle, co zdolność obiegowa (circulating power), a tylko w »sensie dalszym i przenośnym« określać dobra (commodities), później jednak obejmować miał tak rozmaite rzeczy, jak narzędzia i towary, zdolności, talenta, wychowanie, ziemię i dobry charakter¹⁾; wielostronność, która istotnie utrudnia sprowadzenie do jednego mianownika dochodów, płynących z tak różnorodnych rzeczy, i wyjaśnić je zapomocą wyraźnej teorii. Drugą cechą szczególną jest wygórowane zdanie o teoretycznej wartości formułki podaży i popytu dla wyjaśnienia różnych zjawisk ceny. Jeśli mu się tylko udaje sprowadzić jakieś zjawisko wartości do stosunku podaży i popytu, albo, jak się sam chętnie wyraża w swojej terminologii, do stosunku pomiędzy »intensywnością okazanej usługi i siłą sprzedającego wobec kupującego« — uważa, że zrobił wszystko, co zrobić należało. To też możliwe, że uważał za wystarczające i w stosunku do dochodu z kapitału to, co w swoim czasie oświadczył: »Wszelka wartość wynika jedynie z popytu; a wszelki dochód wynika stąd, iż wartość danego dobra przewyższa kosztą jego produkcji¹⁾.

Gdy w Niemczech i Anglii mamy licznych wybitnych pisarzy, którzy stosunkowo długo zachowują wobec zagadnienia zysku niezdecydowane stanowisko, w literaturze francuskiej możemy zanotować niewielu tylko bezbarwnych pisarzy. Przyczyna owej różnicy leży głównie w tej okoliczności, że we Francji jeden z pierwszych popularyzatorów nauki Smitha, J. B. Say, podał wyraźną i całkowitą teorię zysku, która się rozpowszechniła jednocześnie z nauką Smitha, gdy w Anglii przez czas dłuższy rozwojem literatury kierował sam Smith, a następnie Ricardo, którzy, jak wiemy, zagadnienie zysku pomijali.

We francuskiej literaturze więc mamy do rozpatrzenia tylko trzech pisarzy, z których dwaj poprzedzają wystąpienie Saya; są to: Germain Garnier, Canard i Droz. Garnier²⁾, nawpół zależny jeszcze od fizjokratów.

¹⁾ *Elements*, str. 66, dalej 69 i nast.

²⁾ *Principles of Ec. Phil. II*, str. 66.

³⁾ *Abrégé élémentaire des principes de l'Economie Politique*, Paris, 1796.

idąc za ich śladem, oświadcza, iż ziemia jest źródłem wszelkich bogactw, a praca — środkiem, zapomocą którego ludzie z tego źródła czerpią (str. 9 i nast.). Kapitał identyfikuje z zaliczkami (*avances*), których musi udzielać przedsiębiorca, a dochód z kapitału określa jako odszkodowanie za te zaliczki (str. 35). W innem miejscu określa go jeszcze bardziej znacząco, jako »odszkodowanie za przykrość pozbawienia się danego kapitału i za ryzyko« (*indemnité d'une privation et d'un risque*, str. 27); głębszego wnikięcia w rzecz nigdzie jednak nie spotykamy.

Dla przedstawienia roztrząsań Canarda zagadnienia kapitału, muszę w paru słowach określić ogólne zasady jego nauki.

Canard w pracy człowieka widzi środek jego utrzymania i rozwoju. Część pracy ludzkiej musi być użytą wprost na utrzymanie człowieka; — Canard nazywa ją »pracą niezbędną«. Na szczęście jednak nie cała praca ludzka musi być na ten cel poświęcona: reszta, »praca zbyteczna« może być obrócona na wytwarzanie dóbr, które przekraczają pojęcie rzeczy bezpośrednio niezbędnych, i dają swemu twórcy prawo rozporządzania w drodze wymiany taką ilością pracy, jaka była potrzebna do ich wytworzenia. Praca więc jest źródłem wszelkiej wartości zamiennej; dobra, posiadające wartość zamienną, nie są niczem innem, jak nagromadzoną zbyteczną pracą (*accumulation de travail superflu*).

Tej możliwości gromadzenia zbytecznej pracy zawdzięcza człowiek wszelkie swoje gospodarcze postępy. Dzięki nagromadzonej zbytecznej pracy sposobi się do uprawy gruntu, buduje się maszyny i naogół zdobywa się te tysiączne środki, które służą do zwiększenia produktu pracy ludzkiej.

Nagromadzona zbyteczna praca jest więc też źródłem wszystkich rent. Przynosi je ona trzema drogami. Po pierwsze przez uprawę i meljorację gruntów; czysty dochód, wynikający z tego, stanowi rentę gruntową (*rente foncière*). Po drugie, przez nabycie pewnych zdolności, wyuczenie się jakiejś sztuki, czy rzemiosła; przychodząca do skutku dzięki takim wydatkom »praca wyuczona« (*travail appris*) musi, oprócz wynagrodzenia »naturalnej« pracy, przynieść jeszcze pewną rentę od kapitału, ofiarowanego na zdobycie danej umiejętności. Wreszcie wszystkie produkty pracy, wynikające z dwu pierwszych »źródeł renty«, muszą zostać odpowiednio

rozdzielone, by poszczególne jednostki mogły je używać na zaspokojenie swoich potrzeb. Wymaga to utworzenia trzeciej klasy posiadaczy »zbytecznej pracy« w postaci kupców. I ta nagromadzona praca musi też przynosić rentę, »la rente mobilière«, zwaną zwykle zyskiem pieniężnym.

Dlaczego jednak nagromadzona praca przynosi te trzy postacie renty? na to nie znajdujemy u Canarda prawie wcale odpowiedzi. Rentę gruntową przyjmuje on, jako fakt naturalny, nie potrzebujący bliższego wyjaśnienia¹⁾; tak samo traktuje rentę pracy — la rente industrielle, odnośnie do której zadowala się oświadczeniem, iż »praca wyuczona« musi przynieść rentę od kapitału, ofiarowanego na nabycie danej umiejętności (str. 10). Co się tyczy t. zw. rente mobilière, naszego zysku z kapitału, to upiększa zdanie partykułami, które mają ułatwić wyjaśnienie, wcale wyjaśnienia nie zawierające. »Handel więc przypuszcza, jak i dwa pierwsze źródła renty, nagromadzenie zbytecznej pracy, która skutkiem tego musi przynosić rentę («*qui doit par conséquent produire une rente*», str. 12). »Par conséquent?« — Ależ nie doszliśmy jeszcze do niczego, co by upoważniało to »skutkiem tego«, chyba, że Canard uważa za wystarczającą przyczynę do ciągnięcia renty samą okoliczność, iż praca jest nagromadzona — ale i to nigdzie nie jest wyraźnie powiedziane: powiedział wprawdzie, iż wszelką rentę wyprowadzać należy z nagromadzonej pracy, ale nie twierdził, że każda nagromadzona praca musi przynosić rentę; a to są w każdym razie dwie rzeczy różne i wymagające nie tylko stwierdzenia, lecz udowodnienia.

Jeśli wziąć jeszcze pod uwagę dalsze (str. 12 i nast.) dowodzenie, iż wszystkie trzy gatunki renty muszą zachować w stosunku do siebie pewną równowagę, to można zbudować pewne umotywowanie zysku z kapitału, którego zresztą Canard nigdzie wyraźnie nie podał; umotywowanie, w istocie swej zbliżone do teorii fruktyfikacji Turgota. Jeśli mianowicie zupełnie naturalnym faktem jest, iż kapitał, ulokowany w ziemi, przynosi rentę, to i wszystkie

¹⁾ »Ziemia dlatego tylko jest uprawiana, że produkt jej jest w stanie nie tylko zwrócić roczną pracę, potrzebną do uprawy, ale też i wynagrodzić tę ilość pracy, która została włożona w pierwsze przygotowanie jej do uprawy. Ten nadmiar (*superflu*) tworzy rentę gruntową« (str. 5).

inaczej ulokowane kapitały muszą rentę przynosić, gdyż inaczej wszyscy by wybierali lokatę kapitału w ziemi. Już w stosunku do Turgo¹⁾ ta omówiliśmy niewystarczalność tego jedynego wyjaśnienia, które się daje wyczytać u Canarda, przynajmniej pomiędzy wierszami.

Droz¹⁾, który pisze o parę dziesiątków lat później, ma do wyboru angielski punkt widzenia, według którego praca jest jedyną siłą produkcyjną, i teorię Say'a, według której kapitał przedstawia samodzielną siłę produkcyjną. Znajduje on coś do dodania do każdego z tych dwu poglądów, przez stworzenie nowej siły produkcyjnej »oszczędności«; nie przyjmuje żadnego, a podaje sam trzeci, w którym zamiast kapitału podnosi oszczędność (l'épargne) do stanowiska pierwiastkowej siły produkcyjnej. Rozróżnia on trzy siły produkcyjne: pracę przyrody, pracę człowieka i oszczędność, którą tworzy kapitały (str. 69 i n.).

Gdyby Droz myślał tę, należącą przedewszystkiem do nauki o wytwarzaniu dóbr, przeniósł też na grunt nauki o podziale i użył do bliższego zbadania istoty dochodu z kapitału, doszedłby zapewne do zbudowania własnej teorii zysku. Do tego jednak nie doszło. W swej teorii podziału bogactw zwraca głównie uwagę na umowny procent od pożyczek, który nie wymaga wielkich wyjaśnień, a pierwotny zysk z kapitału, który należałoby właśnie gruntownie wytłumaczyć, zbywa paru słowami, unikając głębszego badania jego istoty: rozważa go mianowicie, jako procent od pożyczki, który przedsiębiorca sam sobie wypłaca (str. 267 i n.). Pomimo więc oryginalnego punktu wyjścia, wywołanego przez stworzenie nowej siły produkcyjnej »oszczędności«, musi być Droz zaliczony do rzędu pisarzy bezbarwnych.

ROZDZIAŁ VII.

Teorie produkcyjności.

PODDZIAŁ PIERWSZY.

Uwagi wstępne.

Niektórzy bliscy następcy Adama Smitha zaczęli wyjaśniać zysk z kapitału produkcyjnością kapitału. Pierwszy zrobił to J. B. Say w r. 1803, w następnym

¹⁾ Economie politique, Paris, 1829.

roku zaś, niezależnie od niego, Lord Lauderdale. Nowe to wyjaśnienie znalazło oddźwięk. Przyjmowało się coraz to szerzej i coraz staranniej było rozwijane, dzieląc się przytem na kilka, dosyć różnych jedna od drugiej gałęzi. Pomimo, że »teoria produkcyjności« była nieraz atakowana, szczególnie ze strony socjalistycznej, potrafiła się ona jednak utrzymać, i dzisiaj¹⁾ hołduje jej większość pisarzy, nie usposobionych bezwzględnie wrogo do zysku z kapitału.

Myśl, iż kapitał sam produkuje swój zysk — słuszną, czy fałszywą — jest przynajmniej jasną i prostą. Można by więc oczekiwać, że teorie, zbudowane na tej podstawie, odznaczać się będą szczególną określonością i przejrzystością biegu rozumowania. Oczekiwanie to jednak okaże się zupełnie zawodnem. Na nieszczęście najważniejsze pojęcia, któremi operuje teoria produkcyjności, cierpią w znacznym stopniu na niejasność i dwuznaczność, które są przebogatem źródłem wszelkiego rodzaju zaciemnień, nieporozumień, błędów i fałszywych wniosków. Teorie produkcyjności tyle ich zawierają, że nie mogą się zgodzić na przystąpienie do ich wykładu bez żadnego przygotowania i na szukanie wytycznych dopiero w trakcie wykładu poszczególnych poglądów. Proszę więc czytelnika o przebaczenie, że przedewszystkiem za pomocą kilku uwag ograniczę i rozjaśnię pole myśli, w którym poruszać się musi wykład i krytyka teorii produkcyjności.

Dwie rzeczy wymagają szczególnie, jak mi się zdaje, wyjaśnienia: znaczenie, albo raczej wielka liczba znaczeń określenia »produkcyjność kapitału«; a następnie istota teoretycznej roli, wyznaczonej produkcyjności kapitału w teoriach produkcyjności.

Przedewszystkiem, co ma oznaczać wyrażenie: »kapitał jest produkcyjny?»

W najogólniejszym i najmniej określonym sensie wyrażenie to może oznaczać to tylko, iż kapitał wogóle służy do wytwarzania dóbr — w przeciwieństwie do bezpośredniego zaspokajania potrzeb. Określenie »produkcyjny« daneby było kapitałowi w takim razie w tym tylko sensie, w jakim naogół, dzieląc dobra na kategorie, odróżnia się »dobra produkcyjne« od »dóbr, przeznaczonych na spożycie«; i już najniższy stopień działania produkcyjnego, nawet je-

¹⁾ Pisane w 1884 roku.

śli produkt nie osiąga wartości użytego kapitału, uprawnia do użycia tego określenia. — Jasnym jest więc, iż produkcyjność tak rozumiana nie może być wystarczającą przyczyną powstania zysku z kapitału.

Zwolennicy teorii produkcyjności przypisują też produkcyjności kapitału wyraźniejsze znaczenie. Słowo to rozumieją oni — bardziej lub mniej explicite w ten sposób, że z pomocą kapitału wytwarza się więcej, że kapitał jest przyczyną pewnego specjalnego powiększenia rezultatu produkcji.

Ale i to znaczenie ma znów swoje odmiany. »Wytwarzać więcej«, »powiększenie rezultatu produkcji« — są to wyrażenia, które mogą mieć sens dwojaki: albo wytwarza się więcej dóbr, albo większą wartość, co wcale nie jest identyczne. Ażebymy tych dwóch różnych rzeczy nie łączyć także nazwą, będąc określał zdolność wytwarzania większej ilości dóbr, jako fizyczną, albo techniczną produkcyjność kapitału, a zdolność wytwarzania większej ilości wartości, jako produkcyjność wartości. — Może nie będzie zbyt wąską uwagą, iż pozostawiam narazie zupełnie otwartą kwestję, czy kapitał istotnie posiada takie zdolności, czy też nie; ograniczam się tylko do zanotowania różnych znaczeń, które mogą być i są przypisywane wyrażeniu: »kapitał jest produkcyjny«.

Fizyczna produkcyjność uzewnętrznia się w zwiększonej ilości wytworów, albo też w ulepszonej ich jakości. Zilustruję to znanym, przez Roschera podanym przykładem połowu ryb: »Wyobraźmy sobie plemię rybackie, nieznające własności prywatnej i kapitału, które chodzi nago, mieszka w jaskiniach, a żywi się rybami morskimi, pozostawiając w kałużach po odpływie i łowionymi poprostu ręką, bez żadnych pomocniczych narzędzi. Wszyscy robotnicy mogą tu być równi — każdy może dziennie złapać i zjeść 3 ryby. Pewien rozumny człowiek ogranicza w ciągu stu dni swoje spożycie do dwu ryb, i używa w ten sposób zgromadzonego zapasu stu ryb w ten sposób, że w ciągu pięćdziesięciu dni cały swój czas i siły poświęca budowie łódki i związaniu sieci rybackiej. Z pomocą tego kapitału łowić teraz będzie trzydzieści ryb dziennie¹⁾.

¹⁾ Roscher, Grundlagen der Nationalökonomie, wyd. 10, § 189.

Fizyczna produkcyjność kapitału uwidacznia się tu w ten sposób, że rybak z jego pomocą łowi więcej ryb, niż łowił dotychczas, a mianowicie trzydzieści zamiast trzech. Albo, ściślej biorąc, nieco mniej, niż trzydzieści zamiast trzech. Trzydzieści ryb bowiem, łowionych obecnie w ciągu jednego dnia, są dorobkiem nie jednego tylko dnia roboczego. Jeśli chcemy prawidłowo rachować, musimy do pracy połowu doliczyć jeszcze pewną część pracy, wydatkowanej na zrobienie łódki i sieci. Jeśli np. łódź i sieć trwają sto dni, a wymagały dla swego sporządzenia pięćdziesiąt dni pracy, to złowiono w ciągu tych stu dni trzy tysiące ryb są dorobkiem stu pięćdziesięciu dni roboczych. Zwiększenie dorobku, które się zawdzięcza zastosowaniu kapitału, przedstawia się więc dla całego okresu, jako $3.000 - 450 = 2.550$ ryb, dla pojedynczego dnia $20 - 3 = 17$ ryb. W tem zwiększeniu dorobku wyraża się fizyczna produkcyjność kapitału.

A jak się uwidoczni wytwarzanie »większej wartości«? — To wyrażenie jest znowu wieloznaczne, ponieważ to »więcej« odnosić się może do różnych przedmiotów. Może ono znaczyć, iż z pomocą kapitału wytwarza się sumę wartości, większą, niż ta, którąby się mogło wytworzyć bez jego pomocy; zastosowane do naszego przykładu oznaczałoby, że złowione w ciągu jednego dnia z pomocą kapitału 20 ryb więcej są warte, niż łowione bez zastosowania kapitału trzy ryby. — Wyrażenie to może jednak też oznaczać, że się z pomocą kapitału wytwarza sumę wartości, większą, niż wartość samego kapitału; innymi słowy, że kapitał daje wynik produkcyjny, większy, niż jego własna wartość, tak, że pozostaje pewna nadwartość ponad wydatkowaną w produkcji wartość kapitału. W zastosowaniu do naszego przykładu przedstawiałoby się to w ten sposób, iż 2.700 ryb, o które rybak, zaopatrzony w łódź i sieć, w ciągu stu dni łowi więcej, niż łowił bez łodzi i sieci, a które więc są dochodem (brutto) z zastosowanego tu kapitału, więcej są warte, niż sama łódź i sieć, tak, że gdy te się zniszczą, pozostanie jednak jeszcze pewien nadmiar wartości.

Pisarze, przypisujący kapitałowi produkcyjność wartości, zwykle myślą o tem drugim z obu możliwych znaczeń. I ja więc także, używając bez dalszych dodatków wyrażenia »produkcyjność wartości«, będę stale rozumiał pod

niem zdolność kapitału do przynoszenia nadwartości, wykraczającej poza jego wartość własną.

Więc dla pozornie tak prostego zdania: »kapitał jest produkcyjny«, znaleźliśmy niemniej jak cztery rozmaite znaczenia, które dla lepszego zapamiętania raz jeszcze powtórzę. Zdanie to może znaczyć — albo:

Kapitał wogóle posiada zdolność służenia do wytwarzania dóbr; albo: kapitał posiada zdolność służenia do wytwarzania większej ilości dóbr, niżby się bez tego wytworzyć mogło; albo: kapitał posiada zdolność służenia do wytwarzania większej wartości, niżby się bez niego było w stanie wytworzyć; albo wreszcie

kapitał posiada zdolność służenia do wytwarzania wartości, większej, niż ta, którą sam posiada¹⁾.

Powinnoby się samo przez się rozumieć, że tak różnych myśli, chociaż przypadkowo objęte są jedną nazwą, nie na-

¹⁾ Łatwoby mi było przedłużyć jeszcze wykaz powyższy. Tak, w pojęciu »fizycznej produktywności« odróżnić można jeszcze dwa odcienie. Pierwszy, jedynie wskazany w tekście, spotykamy wtedy, gdy do wytwarzania większej ilości dóbr doprowadza całkowity kapitalistyczny proces produkcji, t. j. wytworzenie samego kapitału i dalsza produkcja z jego pomocą. Może się jednak też zdarzyć, że pierwsza faza całkowitego procesu, tworzenie kapitału, pociąga za sobą tak poważny deficyt, iż całkowity proces kapitalistyczny przynosi stratę, pomimo, że druga faza, wytwarzanie z pomocą kapitału, rozważana sama przez się, przynosi nadwyżkę wytwarzanych dóbr. Jeśli np. łódź i sieci, trwające 100 dni, wymagają pracy 2.000 dni, to w ciągu 2.100 dni roboczych, licząc w to dni, użyte na ślabrykowanie łodzi i sieci, można złapać tylko $100 \times 30 = 3.000$ ryb, gdy bez pomocy tych narzędzi, ręką, w ciągu tegoż czasu można ich złapać $2.100 \times 3 = 6.300$ ryb. Jeśli zaś będziemy rozpatrywali drugą fazę osobno, to istniejący już kapitał będzie się jednak wydawał »produkcyjnym«, gdyż z jego pomocą w ciągu 100 dni można złowić 3.000 ryb, a bez niej tylko 300. Nie jest też niesłusznym, jeśli się z tego powodu mówi — co w istocie ma miejsce — o powiększeniu rezultatu produkcji i o produktywności kapitału; tylko wyrażeniom tym przypisuje się zupełnie inne i o wiele słabsze znaczenie. — Następnie, z uznaniem produktywności kapitału łączy się często przekonanie, iż kapitał jest samodzielną siłą produkcyjną; nie tylko drugorzędna, pośrednia przyczyna produkcyjnego działania, która ostatecznie sprowadza się do pracy, tworzącej kapitał, ale zupełnie samodzielny, obok pracy istniejącym, pierwiastkiem. — Nie zajmowałem się temi odcieniami w tekście, ponieważ nie chcę obciążać czytelnika różniczeniami, z których, przynajmniej obecnie, nie mam zamiaru robić użytku.

leży utożsamiać, a tem bardziej w toku rozumowania przedstawiać jedną zamiast drugiej. Powinnoby się np. samo przez się rozumieć, iż gdy się dowodzi zdolności kapitału do wytwarzania dóbr wogóle, albo do wytwarzania większej ilości dóbr, to nie jest się jeszcze przez to uprawnionym do uważania, iż dowiedzioną jest zdolność kapitału do wytwarzania większej ilości wartości, niżby można było wytworzyć bez niego, albo zgola do wytwarzania wartości, większej, niż jego własna. Podsuwanie ostatnich pojęć na miejsce pierwszych w trakcie rozumowania, nosiłoby poprostu cechy przemycania niedowiedzionych myśli. Pomimo zrozumiałości tego przypomnienia, muszę je jednak wyraźnie podkreślić, ponieważ, jak zobaczymy, teoretycy produktywności niezmiernie często dopuszczają się dowolnego pomieszania tych pojęć.

Zwracam się teraz do drugiego punktu, którego wyjaśnienie na tem naczelnem miejscu leży mi na sercu: do istoty teoretycznego zadania, które spełnić ma »produkcyjność kapitału« w teorjach produktywności.

Zadanie to daje się określić poprostu w następujący sposób: Teorje produktywności mają i chcą wyjaśnić zysk z kapitału przez produktywność kapitału. W tych prostych słowach zawiera się wszystko, co zasługuje na bliższe rozpatrzenie.

Przedmiotem wyjaśnienia jest zysk z kapitału. Widzieliśmy, że umowny zysk z kapitału (procent), oparty jest z natury na zysku pierwotnym, łatwo może być wyjaśnionym przez dodatkowe rozumowanie, jeśli ten ostatni został zadowolająco wytłumaczonym; wobec tego przedmiot badania da się ściślej ograniczyć do wyjaśnienia pierwotnego zysku z kapitału. Stan rzeczy, który jest jego podstawą, tak się daje pokrótce opisać:

Doświadczenie wykazuje, że tam, gdzie kapitał stale zastosowany jest do produkcji, w zwykłym przebiegu rzeczy dochód, albo część dochodu, przyniesiona przez kapitał swemu właścicielowi, posiada większą wartość, niż zużyte na jej otrzymanie części kapitału.

Zjawisko to spotyka się równie dobrze w tych rzadkich wypadkach, w których tylko kapitał bierze udział w otrzymaniu pewnego dochodu (np. gdy młode wino dzięki przechowaniu zmienia się w lepsze, stare, jak i w tych, o wiele

częstszych, gdy kapitał współdziała z innymi czynnikami produkcji — ziemią i pracą. Gospodarstwo czynne jednostki są skłonnione przez poważne względy, których tu nie będziemy rozpatrywali, do zaliczania na dobro każdego z tych czynników poszczególnych części całkowitego produktu, aczkolwiek powstał on z nierozdzielnej współdziałalności tych czynników. Jedną część przypisywana jest kapitałowi, jako specyficzny dochód z kapitału, drugą naturze, jako dochód z ziemi, dochód górniczy i t. d., trzecią wreszcie współdziałającej pracy, jako dochód pracy¹⁾. Doświadczenie wykazuje, że przypadająca kapitałowi część całkowitego produktu, z zasady posiada większą wartość, niż wydatek kapitału, obrócony na jej otrzymanie. Stąd pozostaje pewien nadmiar wartości, pewna »nadwartość«, pozostająca w ręku właściciela kapitału, i tworzy pierwotny zysk z jego kapitału.

Jeśli więc chcemy wyjaśnić zysk z kapitału, musimy wyjaśnić pojawienie się »nadwartości«. Bliżej określone zagadnienie będzie więc tak brzmiało: dlaczego dochód brutto z kapitału z reguły posiada większą wartość, niż zużytkowane dla jego wytworzenia części kapitału? albo jeszcze innymi słowy: dlaczego istniejąca stała różnica wartości pomiędzy wydatkowanym kapitałem, a jego dochodem?²⁾ — Idźmy dalej.

Tę różnicę wartości teorie produktywności mają i chcą wyjaśnić produktywnością kapitału.

¹⁾ Czy w praktycznym życiu gospodarzem części, przypisywane poszczególnym czynnikom produkcji, pokrywają się dokładnie z temi ilościami, które każdy z nich wniósł do całości otrzymanego produktu? Jest to kwestja sporna, której tu przysądzać nie mogę. Dlatego wybrałem ten prosty, niedwuznaczny sposób wyrażania się, którego używam w tekście. W dodatku zauważyć należy, że zjawisko nadwartości zachodzi nie tylko w stosunku pomiędzy zaliczoną na dobro jednego czynnika częścią dochodu i odpowiadającym jej źródłem dochodu, ale też w stosunku pomiędzy całością wytworzonych i wytwarzających dóbr. Całość włożonych w produkt środków produkcji, pracy, kapitałów i sił naturalnych z zasady posiada mniejszą wartość zamienną, niż ją ma później wykończony produkt; — okoliczność ta utrudnia sprowadzenie zjawiska »nadwartości« do pewnego sposobu podziału produktu i takiego lub innego zaliczenia jego części na dobro poszczególnych czynników.

²⁾ Co do postawienia zagadnienia porównaj też moje »Rechte und Verhältnisse«, Innsbruck, 1881, str. 107 i nast.

Wyjaśnić, to znaczy odkryć jej zupełnie wystarczającą przyczynę, nie tylko wskazać jeden warunek obok innych niewytłumaczonych. Nie znaczy to jeszcze wytłumaczyć nadwartość przez produktywność kapitału, jeśli się dowiedzie tylko, że nadwartość nie mogłaby istnieć bez takiej produktywności, tak samo, jak nie wystarcza dla tłumaczenia renty gruntowej dowieść, iż nie mogłaby ona istnieć bez płodności ziemi, a dla wytłumaczenia deszczu dowieść, iż woda nie mogłaby spadać na ziemię, gdyby nie była ciężką.

Jeśli nadwartość ma być wytłumaczoną przez produktywność kapitału, to trzeba dowieść lub uwidocznic taką produktywną siłę kapitału, któraby była w stanie dać całkowitą wystarczającą przyczynę powstawania nadwartości, czy to sama, czy w związku z innymi czynnikami, wciągniętemi do wyjaśnienia.

Stosunek taki mógłby się przedstawiać pod trzema następującymi postaciami:

1. Jeśliby było dowiedzionem lub uwidocznionem, że kapitał posiada siłę, która właśnie skierowana jest do tworzenia wartości, siłę, dzięki której kapitał byłby w stanie w dobra, w których fizycznym wytworzeniu brał udział, tchnąć wartość, jakby duszę gospodarczą. (Produkcyjność wartości w najbardziej literalnym i najdoskonalszym sensie).

2. Jeśliby było dowiedzionem, lub uwidocznionem, iż kapitał dzięki swym usługom pomaga do wytworzenia większej ilości, albo lepszych dóbr i gdyby jednocześnie było bezpośrednio oczywistem, iż te liczniejsze i lepsze dobra muszą też posiadać większą wartość, niż zużyty na ich wytworzenie kapitał. (Fizyczna produktywność z powstaniem nadwartości, jako oczywistem następstwem).

3. Jeśliby było dowiedzionem lub uwidocznionem, iż kapitał służy jako pomoc do wytwarzania większej ilości, albo lepszych dóbr i jednocześnie wyraźnie dowiedzionem zostało, że te liczniejsze i lepsze dobra muszą też posiadać większą wartość, niż zużyty na ich wytworzenie kapitał, i dlaczego tak się dzieje. (Fizyczna produktywność z wyraźną motywacją skutku nadwartości).

Są to, moim zdaniem, jedyne formy, w których produktywność kapitału może wystąpić, jako wytwarzająca przyczynę powstawania nadwartości. Powoływanie się na pro-

dukcyjność kapitału poza temi jej formami, nie może przeto mieć żadnych własności wyjaśniających. Jeśli się np. powołuje na fizyczną produktyjność kapitału, nie uzasadniając dowodowo, ani nie przyjmując jako zrozumiałe samo przez się, iż zwiększonej ilości dóbr odpowiada też pewna »nadwartość«, to taka produktyjność nie jest prosto odpowiednią przyczyną dla skutku, który trzeba wyjaśnić.

Historyczny rozwój rzeczywistych teorii produktyjności nie pozostał pod względem bogactwa odmian w tyle za abstrakcyjnym schematem odmian możliwych: każdy z możliwych typów wyjaśnienia z naszego schematu znalazł w historycznym rozwoju teorii swoje miejsce. Znaczne różnice wewnętrzne, zachodzące pomiędzy pojedynczymi typami kierunkami, nasuwają podział teorii produktyjności na grupy przy wykładzie ich i ocenie. Podział ten opierać się będzie o nasz schemat, nie wzorując się na nim jednak w zupełności. Teorie produktyjności, przedstawiające dwa pierwsze typy, mają tyle wspólnego, że dla historyka najwygodniejsze jest połączenie ich w jedno; wewnątrz trzeciego typu zaś spotykamy tak znaczne różnice, że niezbędnym okazuje się dalszy podział.

1. Te teorie produktyjności, które przypuszczają prostą wartościotwórczą siłę kapitału (typ pierwszy), jak i te, które wychodzą wprawdzie z fizycznej produktyjności kapitału, ale uważają, że zjawisko nadwartości niezbędnie i oczywiście jest z nią związane (typ drugi), mają to ze sobą wspólne, że od produktyjności do »nadwartości« przechodzą bezpośrednio, bez ogniów łącznych. Przypuszczają prosto, iż kapitał jest produktyjny, podają co najwyżej, i to bardzo pobieżnie, obraz jego produkcyjnego działania, i kończą bardzo szybko zaliczeniem nadwartości na rachunek przypuszczalnej produktyjności kapitału. Te teorie obejmę nazwą »naiwnych teorii produktyjności«. Ubóstwo motywacji, do którego się one z natury swojej skłaniają, jest nieraz tak wielkie, że trudno jest rozpoznać, czy autor należy do pierwszego, czy też do drugiego typu; jedna racja więcej, by dwa tak zbliżone kierunki złączyć też i w historii doktryny.

2. Teorie, których punkt wyjścia znajduje się w fizycznej produktyjności kapitału, ale które nie uważają za oczywiste, iż zwiększona ilość otrzymywanych produktów związana jest też z »nadwartością«, i wskutek tego

uważają za niezbędne przeniesienie swego wyjaśnienia także na grunt zagadnienia wartości, będą nazywał »umotywowanymi teorjami produktyjności«. Wyróżniają się one przez to, iż, oprócz stwierdzenia i opisu produktyjności kapitału, podają jeszcze mniej lub więcej udane rozumowanie, mające na celu wykazanie, że produkcyjna siła kapitału musi doprowadzić do istnienia przypadającej kapitaliście nadwartości, i wyjaśnienie, dlaczego właśnie tak się dzieje.

3. Wśród umotywowanych teorii produktyjności wyróżnia się wreszcie grupa teorii, która wychodzi wprawdzie, jak i one, z fizycznej produktyjności kapitału, ale główny nacisk kładzie na samodzielne istnienie zdolności skutecznego działania i fakt poświęcania usług kapitału. Nazwę te teorie teorjami usług kapitału. Ponieważ w produktyjności kapitału widzę okoliczność sprzyjającą, a nie główną przyczynę powstawania nadwartości, nie zasługują one całkowicie na nazwę teorii produktyjności. To też postanowiłem oddzielić je również i zewnętrznie, i poświęcić im osobny rozdział.

PODDZIAŁ DRUGI.

Naiwne teorie produktyjności.

Początek swój mają one w dziełach J. B. S a y'a. Przedstawienie poglądów S a y'a na źródło zysku z kapitału jest jednym z najmniej przyjemniejszych zadań, jakie przypadają w udziale historykowi doktryny. Pisarz ten bowiem umie zapomocą gładkich, okrągłych słów, w których używaniu jest mistrzem, nadać swemu pogładowi zewnętrzny pozór jasności, gdy w istocie brak mu zupełnie wyraźnego wypowiedzenia tego, co myśli, a liczne uwagi, w których rozsiał swoją teorię zysku, odznaczają się niejednokrotnie ostrą sprzecznością. Po sumiennem zbadaniu ich, uważam za niemożliwe tłumaczyć je, jako wynik jednej, powstałej w umyśle autora, teorii. S a y waha się pomiędzy dwiema teorjami, z których żadnej zupełnie jasno nie przeprowadza, które jednak należy odróżniać. Jedna z nich z istoty swojej jest naiwną teorią produktyjności; druga zawiera pierwsze zarodki teorii usług kapitału. Tak więc S a y, pomimo niejasności swoich poglądów, zajmuje wybitne stanowisko w historii rozwoju dok-

tryny. Jest on rodzajem punktu wyjścia, z którego biorą początek dwa bardzo ważne teoretyczne kierunki.

Jako główne źródło dla przedstawienia poglądów S a y'a musi służyć prawie wyłącznie pierwsze z jego dwu zasadniczych dzieł: *Traité d'Economie politique*¹⁾, nie zaś *Cours complet d'Economie politique*²⁾. *Cours complet* bowiem unika prawie zupełnie wszelkich wyraźniejszych wypowiedzi.

Według S a y'a dobra powstają przez współdziałanie trzech czynników: przyrody (*agents naturels*), kapitału i ludzkiej zdolności roboczej (*faculté industrielle*). Czynniki te występują, jako »produkcyjne źródła«, (*fonds*), z którego biorą początek wszystkie dobra danego narodu, i które tworzą jego podstawowe bogactwo (*fortune*)³⁾. Dobra jednak nie powstają bezpośrednio z tych źródeł. Źródła wytwarzają najpierw »usługi produkcyjne« (*services productifs*), i z tych dopiero wynikają właściwe produkty.

Usługi produkcyjne mogą być działaniem (*action*), lub pracą (*travail*) źródła. T. zw. *fonds industriel* dostarcza usługi w postaci pracy wytwarzających ludzi; przyroda — przez działanie sił naturalnych, przez pracę ziemi, powietrza, wody, słońca i t. p.⁴⁾; jak się wreszcie przedstawiają produkcyjne usługi kapitału, nie jest tak wyraźnie powiedziane. S a y mówi raz w swoim *Traité* zupełnie mgliście: »One (kapitały) muszą, że tak powiem, współdziałać z działalnością ludzką, i to współdziałanie nazywam produkcyjną usługą kapitałów« (*c'est ce concours que je nomme le service productif des capitaux*⁵⁾). Odkłada przytem coprawda na później bliższe wyjaśnienie produkcyjnego działania kapitału, ale przy wypełnieniu tej obietnicy ogranicza się do opisanie przemian (*transformations*), którym podlegają kapitały w produkcji. Mówi prosto, że kapitał pracuje, gdy się go zastosowuje w produkcyjnych operacjach (*On fait travailler un capital, lorsqu'on l'emploie dans des opérations productives*; I, str. 239). Tylko pośrednio, z często powtarzających się zestawień, dowiadujemy się, iż S a y przedstawia sobie pracę ka-

¹⁾ Wydane w 1803; cytuję według 7-go wyd., Paris, Guillaumie et Cie, 1861.

²⁾ Paris, 1828 i 1829.

³⁾ *Cours* I, str. 234 i nast.

⁴⁾ *Traité*, str. 68 i nast.

⁵⁾ Księga pierwsza, koniec rozdz. III-go.

pitału zupełnie tak samo, jak pracę człowieka i sił naturalnych. — Zobaczymy jeszcze, jak gorzkie owoce przyniosła nieokreśloność, jaką S a y pozostawia wieloznacznemu wyrażeniu »service« w zastosowaniu do współdziałania kapitału.

Część »agents naturels« nie należy do nikogo i udziela usług swych za darmo: morze, wiatr, fizyczne i chemiczne wzajemne oddziaływanie materjałów i t. p. Usługi zaś innych czynników, będących własnością prywatną (głównie ziemi), muszą przeciwnie przynieść pewne wynagrodzenie swoim właścicielom. Wynagrodzenie płynie z wartości dóbr, wytworzonych z pomocą tych usług. Wartość ta podzielona zostaje pomiędzy tych, którzy, ofiarowując pewne »services productifs« z posiadanego źródła, wzięli udział w wytwarzaniu. W jakim stosunku? — o tem decyduje ostatecznie stosunek podaży i popytu na różne rodzaje usług. Jako organ podaży występuje przedsiębiorca, który kupuje i opłaca po rynkowej cenie niezbędne dla produkcji usługi. W ten sposób »services productifs« nabywają wartość, którą należy odróżniać od wartości samego źródła, z którego one pochodzą¹⁾. »Usługi« tworzą też prawdziwy dochód (*revenu*) swoich właścicieli. Są tem, co dane źródło w istocie przynosi swemu właścicielowi. Gdy on je sprzedaje, lub w drodze produkcji »wymienia« na produkty, to jest to tylko przemianą formy, której dochód podlega.

Wszelki dochód jednak, odpowiednio do trojakich usług produkcyjnych, może być trzech rodzajów: częściowo jest to dochód pracy (*profit de l'industrie*), częściowo renta gruntowa (*profit du fonds de terre*), częściowo dochód kapitału (*profit lub revenu du capital*). Pomiedzy temi trzema gałęziami panuje tak samo zupełna analogja, jak pomiedzy różnemi rodzajami samych »services productifs«²⁾; wszystkie przedstawiają cenę usługi produkcyjnej, którą posługiwał się przedsiębiorca dla wytworzenia produktu.

W ten sposób daje S a y pozornie bardzo gładkie wyjaśnienie dochodu z kapitału. Kapitał udziela usług produkcyjnych; za te musi właściciel otrzymać wynagrodzenie: wy-

¹⁾ *Traité*, str. 72, 343 i nast.

²⁾ *Cours*, IV, str. 64.

nagrodzenie to jest dochodem z kapitału. Prawdopodobieństwo tego rozumowania zwiększa się jeszcze znacznie przez stałe szukanie oparcia o zupełnie zrozumiałe zjawisko, leżące u podstawy płacy roboczej. Kapitał pracuje, podobnie jak i człowiek, praca jego musi być wynagradzana, podobnie, jak praca ludzka; zysk z kapitału jest wiernem odbiciem płacy roboczej.

W miarę jednak zagłębiania się w jądro sprawy mnożą się trudności, a z niemi i sprzeczności S a y'a.

Jeśli usługi produkcyjne kapitału wynagrodzone być mają zapomocą pewnej sumy wartości, którą trzeba zaczerpnąć z wartości produktu, to przedewszystkiem trzeba mieć do rozporządzenia w tym celu taką sumę wartości. Nasuwa się więc łatwo pytanie, na które teoria zysku obowiązana jest odpowiedzieć: dlaczego się taka sama wartość zawsze znajduje? Mówiąc konkretniej: dlaczego produkty, w których wytwarzaniu współdziałał kapitał, posiadają z reguły tak wysoką wartość, że po wynagrodzeniu według zwykłej ceny rynkowej innych współdziałających *services productifs*, pracy i użytku ziemi, pozostaje jeszcze coś na opłacenie usług kapitału? i właśnie tyle pozostaje, aby usługi te opłacić dokładnie w stosunku do wielkości zastosowanego kapitału i długości czasu jego użytkowania? Dlaczego np. dobro, na którego wytworzenie poszło pracy i usług gruntu na 1.000 fr., i którego wytworzenie trwa tyle czasu, że obrócony na kupno tych usług 1.000-frankowy kapitał zwraca się po upływie roku, warte jest nie 1.000 fr., a więcej, np. 1.050 franków? I dlaczego inne dobro, które kosztowało dokładnie tyleż pracy i korzystania z ziemi, ale którego wytwarzanie trwa dwa razy dłużej, warte jest nie 1.000 franków albo 1.050 fr., ale 1.100 franków, co umożliwia stosowne opłacenie dwuletnich *services productifs* kapitału 1.000 franków?¹⁾ Łatwo dostrzec, że jest to sformułowanie pytania o »nadwartości«, stanowiącego rdzeń zagadnienia zysku, dostosowane do teorii S a y'a. Zagadnienie to nie jest jeszcze poruszone przez to, cośmy dotąd od S a y'a słyszeli, zbliżamy się dopiero do niego.

¹⁾ Nie podaję w przykładzie osobno kosztu zużytej substancji kapitału obok kosztu pracy i korzystania z ziemi, bo daje się on podług S a y'a całkowicie sprowadzić do kosztu elementarnych usług produkcyjnych.

S a y nie wypowiada się z pożądaną niedwuznacznością o przyczynie istnienia tej wartości. Wynurzenia jego dadzą się podzielić na dwie grupy, pomiędzy które zachodzi dosyć jaskrawy kontrast. W pierwszej grupie przypisuje S a y kapitałowi bezpośrednią zdolność wartościotwórczą: wartość istnieje, ponieważ kapitał ją stworzył, i produkcyjne usługi kapitału mogą być wynagradzane, ponieważ niezbędna nadwartość jest stworzona. Tu więc wynagrodzenie usług produkcyjnych kapitału jest skutkiem istnienia nadwartości.

W drugiej grupie wywodów, przeciwnie, odwraca S a y stosunek przyczynowości, przedstawiając wynagrodzenie usług kapitału, jako przyczynę, jako podstawę istnienia nadwartości. Produkty wogóle posiadają wartość dlatego, że właściciele tych *services productifs*, z których produkty powstają, wymagają wynagrodzenia, i specjalnie posiadają wartość dosyć wysoką, by pozostawał dochód z kapitału, ponieważ współdziałania kapitału nie można mieć za darmo.

Do pierwszej grupy, niezależnie od licznych wynurzeń, w których S a y mówi wogóle o »*faculté productive*« i »*pouvoir productif*«, wchodzi też polemiczna uwaga w rozdziale IV-ym książki I-ej jego »*Traité*« (str. 71, odsył. 2). S a y polemizuje tu ze Smithem, który zapoznał produkcyjną zdolność kapitału, przypisując pracy wartość, wytworzoną z pomocą kapitału, dzięki której wytworzony został sam kapitał, np. młyn do oliwy. »Smith myli się; produkt tej poprzedniej pracy jest, jeśli się chce, wartością samego młynu; ale wartość, codziennie przez młyn wytwarzana, jest inną, zupełnie nową wartością, tak, jak użytkowanie dzierżawne danego kawałka ziemi jest inną wartością, niż sam kawałek ziemi, wartością, którą można wydatkować, nie zmniejszając przez to wartości kawałka ziemi«. I dalej ciągnie S a y: »Gdyby kapitał sam przez się nie posiadał siły produkcyjnej, niezależnej od pracy, która go stworzyła (si un capital n'avait pas en lui-même une *faculté productive indépendante de celle du travail qui l'a créé*), jak mogłoby się zdarzać, iż kapitał przez całą wieczność przynosi dochód, niezależny od dochodu działalności pracy, która go używa?« Tak więc kapitał tworzy wartość, i zdolność ta jest przyczyną istnienia dochodu z kapitału. Podobnego

zwrotu używa Say i innym razem: »Le capital employé paie les services rendus, et les services rendus produisent la valeur qui remplace le capital employé«¹⁾.

Do drugiej grupy zaliczam przede wszystkim wynurzenie, które wprowadzić nie dotyczy bezpośrednio dochodu z kapitału, ale znajduje też i do niego zastosowanie. »Te siły naturalne«, mówi raz Say²⁾, »które podlegają zastosowaniu, stają się wartościotwórcami źródłami (deviennent des fonds productifs de valeur), ponieważ współdziałania swego udzielają niebezinteresownie«... W dalszym ciągu uzależnia on stale cenę produktów od wysokości wynagrodzenia tych services productifs, które współdziałały przy ich wytworzeniu: »Produkt będzie więc droższy nie tylko wtedy, jeśli na wytworzenie jego poszło więcej usług produkcyjnych, ale i wtedy, jeśli te usługi są wyżej wynagrodzone (plus fortement rétribués)«. »Cena więc będzie się tem więcej podnosiła, im większą potrzebę spożycia produktu czują spożywcy, im więcej posiadają środków na jego opłacenie, i im większego wynagrodzenia sprzedawcy są w stanie wymagać za usługi produkcyjne«³⁾.

Specjalnie do dochodu z kapitału odnosi się wreszcie godny uwagi ustęp rozdziału VIII-go II-ej księgi: »Nieemożność wytworzenia jakiegobądź produktu bez współdziałania kapitału zmusza spożywców do płacenia za każdy produkt ceny takiej, przy której przedsiębiorca, biorący na siebie wytworzenie, może nabyć usługi tego niezbędnego czynnika«. Jest to więc wręcz odwrotnie niż w wyżej cytowanym ustępie⁴⁾: gdy tam wynagrodzenie kapitalistów wyjaśnione jest przez istnienie »wytworzonej« nadwartości, tutaj istnienie nadwartości wyjaśnione jest przez konieczność wynagradzania kapitalistów. Temu ostatniemu ujęciu odpowiada też to, iż Say uważa dochód z kapitału za część składową kosztów produkcji⁵⁾.

Takie sprzeczności są najzupełniej naturalnym skutkiem niepewności, którą Say wykazuje w całej swojej teo-

¹⁾ Księga II, rozdz. VIII, § 2, str. 395, uwaga 1.

²⁾ Księga I, koniec rozdz. IV-go.

³⁾ Księga II, rozdz. I, str. 315 i nast.

⁴⁾ Traité, str. 71, uwaga 2.

⁵⁾ Traité, str. 395.

rii wartości, w której równie często polemizuje z przedstawianą przez Smitha i Ricarda teorię kosztów produkcji, jak i sam jej hołduje. Dowodem tej niepewności jest też między innymi to, iż Say z jednej strony w powyżej cytowanym ustępie (Traité, str. 315 i 316) wyprowadza wartość produktów z wartości ich services productifs, z drugiej strony, przeciwnie, wartość fonds productifs znów z wartości produktów, które z nich powstają: »leur valeur (des fonds productifs) vient donc de la valeur du produit qui peut en sortir!«¹⁾. — Ważny ustęp, do którego powrócę jeszcze w innych okolicznościach.

Po tem, co powiedziano, uważam, że nie czynię Say'owi krzywdy, przyjmując, iż nie wytworzył on sobie wyraźnego poglądu na ostateczną przyczynę istnienia zysku z kapitału, a waha się nie zdecydowanie pomiędzy dwoma poglądami: według jednego zysk z kapitału istnieje, ponieważ kapitał go wytwarza, według drugiego, ponieważ część składowa kosztów produkcji, określana, jako »services productifs kapitału«, wymaga wynagrodzenia.

Pomiędzy temi dwoma poglądami zachodzi znaczna wewnętrzna różnica, o wiele znaczniejsza, niżby się na pierwszy rzut oka mogło wydawać. Pierwszy ujmuje zjawisko zysku, jako zagadnienie produkcji, drugi, jako zagadnienie podziału. Pierwszy kończy swoje wyjaśnienie, powołując się prosto na fakt, istniejący w produkcji: kapitał wytwarza nadwartość, i dlatego ta ostatnia istnieje; wszelkie dalsze pytania są zbyteczne. Druga teoria tylko ubocznie opiera się o fakt współdziałania kapitału w produkcji, zaś to współdziałanie koniecznie jednak przypuszcza; punkt ciężkości swój znajduje jednak w motywach, pozostających w związku ze zjawiskami społecznego kształtowania się wartości i ceny. Jako przedstawiciel pierwszego poglądu, stoi Say w szeregu czystych teoretyków produkcyjności, jako przedstawiciel drugiego otwiera szereg nader ciekawych i posiadających duże znaczenie teoretyczne »teorij usług kapitału«²⁾.

¹⁾ Traité, str. 338.

²⁾ Cassel, którego sądy w dziedzinie historii doktryn, prawie zawsze są diametralnie przeciwne od moich, widzi u Say'a w tem, co mi się wydaje dwuznacznością i pełnem sprzeczności wahaniem w jego wyjaśnieniu, tylko godną pochwały wszechstronność i genialne pojmowanie idei »wzajemnych zale-

Stosownie do przyjętego planu pominiemy chwilowo teorię usług kapitału S a y'a, by dalej śledzić rozwój naiwnych teorii produktywności.

Ściśle rzecz biorąc, nie może tu być mowy o rozwoju. Ponieważ bowiem najwybitniejsza cecha naiwnych teorii produktywności polega na małomówności, z którą przesuwają się ponad kwestją przyczynowej zależności pomiędzy produktywnością kapitału i jej rzekomym skutkiem w postaci »nadwartości« produktu, brak jest, podłoża, na którymby się mógł ten rozwój dokonywać. To też historyczny bieg naiwnych teorii produktywności nie przedstawia nic ponad monotony nieco szereg warjacji na temat prostej myśli, iż kapitał produkuje nadwartość; prawdziwy rozwój zaś następuje dopiero na dalszym stopniu, w zakresie umotywowanych teorii produktywności.

Naiwna teoria produktywności największą liczbę zwolenników znalazła w Niemczech, następnie we Francji i we Włoszech, podczas gdy nie znają jej zupełnie Anglicy, których umysłowość wydaje się nieprzychylną dla teorii produktywności wogóle, i którzy zresztą już od czasów lorda L a u d e r d a l e posiadali umotywowaną teorię produktywności.

W Niemczech szybko przyjęto rzucone przez S a y'a hasło »produktywności kapitału«. Chociaż początkowo nie opierano na tem jeszcze wykończonej teorii zysku, to jednak prędko zaczęto uznawać kapitał za trzeci samodzielny czynnik produkcji obok przyrody i pracy, i wiązać ze sobą potrójność gałęzi dochodu — rentę gruntową, płacę roboczą i rentę z kapitału — z potrójnością czynników produkcji.

zności« zjawisk ekonomicznych (Nature and necessity of interest, str. 21 i n., dalej 55 i nast., szczególnie 60). Co do ostatniej kwestji, wypowiedziałem się już równie wyczerpująco, jak wyraźnie w artykule p. t. »Wert, Kosten und Grenznutzen«, zamieszczonym w Conrads Jahrbüchern, zbiór 3, t. 3, (r. 1892), str. 359 i nast., a ostatnio w Notatce VIII-ej 3-go wydania mojej »Positive Theorie«, str. 235 i nast. Poza tem zresztą zdaje mi się, że dwie sprzeczne połowy nie mogą tworzyć całości. Cassel jednak — co do pewnego stopnia jest zupełnie naturalnem — ma zwyczaj wydawać wyroki historyczno-krytyczne zależnie od stosunku rozważanej nauki do jego własnych poglądów, i dlatego nie zatrzymuje się na błędach, które — przynajmniej w mojem rozumieniu — są też błędami jego własnej teorii; patrz w tej sprawie Notatkę XIII, str. 438 i nast.

Kilku pisarzy, którzy to robili w niezdecydowany jeszcze sposób, mieszając z tem wyobrażenie innych źródeł zysku z kapitału, umieściłem w poprzednim rozdziale pomiędzy »bezbarnymi« teoretykami.

Wkrótce jednak zaczęto myśl S a y'a wyraźniej stosować do tłumaczenia zysku z kapitału. Stało się to przede wszystkim dzięki S c h ö n o w i¹⁾.

Wyjaśnienie to przeprowadza on jeszcze bardzo krótko. Przedewszystkiem przyznaje on kapitałowi, w dosyć ostrożnych słowach, własności »trzeciego, odrębnego, choć pośredniego źródła dóbr« (str. 47). Z tych założeń wynika dla niego, jako rzecz zupełnie wyraźna i dowiedziona, iż kapitał musi przynosić rentę. »Dochód« bowiem »należy pierwotnie do tych, którzy współdziałali w jego wytwarzaniu« (str. 82), i »jasnem jest, iż dochód ogólny (narodowy) musi być podzielony na tyle poszczególnych rent, ile jest kategorii sił i środków produkcyjnych« (str. 87). Dalsza argumentacja uważana jest za zbytę, co jest bardzo charakterystyczne. Nawet polemika, którą S c h ö n prowadzi ze S m i t h e m, nie wywołuje porządnego umotywowania jego własnego poglądu. S c h ö n zadowala się tem, że gani w najogólniejszych zwrotach S m i t h'a za to, iż uważa tylko bezpośrednich robotników za uczestników produkcji, a przeocza produkcyjny charakter kapitału i ziemi, przez co dochodzi do błędnego mniemania, iż renta kapitału pochodzi z nieprawnego zmniejszenia płacy roboczej (str. 85 i nast.).

Wyraźniej i bardziej wyczerpująco traktuje nową naukę R i e d e l²⁾. Poświęca przedstawieniu jej osobny paragraf, zatytułowany »Produkcyjność kapitału« i między innemi tak się tam wyraża: »P r o d u k c y j n o ś ć, która wogóle cechuje kapitał w jego zastosowaniu, jest uwidocznioną dzięki doświadczeniu, iż wartości rzeczowe, zastosowane przy pewnej produkcji dla pomocy naturze i pracy, z reguły nietylko same się odtwarzają, ale też pomagają do wytworzenia nadwyżki rzeczowych wartości, któreby bez nich powstać nie mogły... Produktem nakładu kapitału jest każdorazowy wynik zastosowania kapitału do wytwarzania rzeczowych

¹⁾ Neue Untersuchung der Nationaloeconomie, Stuttgart u. Tübingen, 1835.

²⁾ Nationaloekonomie oder Volkswirtschaft, Berlin, 1838.

wartości po odliczeniu wartości pomocy, użytej przez przyrodę i pracę przy zastosowaniu kapitału... W każdym razie niesłuszne jest zapisywanie produktu kapitału na rachunek współdziałających sił roboczych czy naturalnych, których kapitał potrzebuje, by mógł być zastosowany. Kapitał jest tak samo samodzielną wielkością, jak one, i potrzebuje ich naogół nie więcej, niż one jego (I, § 366).

Wysoce charakterystycznym jest, iż Riedel »dostrzega« produkcyjność kapitału w zjawisku nadwyżki wartości. Nadwartość i produkcyjność zdają mu się tak nierozłączne i tak bezsprzecznie ze sobą związane, że fakt istnienia nadwartości wystarcza mu, do uznania produkcyjności kapitału, jako jedynie możliwej przyczyny tego faktu. Przy takim stanie rzeczy nie możemy się dziwić, iż i Riedel uważa kwestję przyczyny istnienia pierwotnego zysku z kapitału za zupełnie rozwiązana przez samo wygłoszenie nazwy »produkcyjność kapitału«, i nigdzie już nie wraca do szczegółowszej motywacji.

Najwięcej jednak przyczynił się do rozpowszechnienia teorii produkcyjności w Niemczech Wilhelm Roscher. Wybitny ten uczony, którego istotne zasługi w gruncie rzeczy nie leżą w zakresie badań ściśle teoretycznych, nie dołożył, niestety, starań dla teoretycznie prawidłowego ujęcia nauki o zysku z kapitału. Wykazują to już zewnętrznymi licznymi spotykane u niego nieporozumienia i błędy. Tak np. w § 179 głównego swego dzieła¹⁾, określa zysk z kapitału, jako cenę usług kapitału, chociaż określenie to odpowiada tylko umownej, a nie »naturalnej« rencie kapitału, którą przecie Roscher w tym samym paragrafie wymienia, jako rodzaj zysku z kapitału. W § 148 oświadcza, iż wysokość pierwotnego dochodu we wszelkich gałęziach »najwidoczniej« określa wysokość umownego ich dochodu, a więc wysokość naturalnej renty z kapitału określa wysokość umownej. Pomimo to w § 183 rozstrzyga kwestję wysokości stopy zysku nie według miarodajnej pierwotnej renty z kapitału, a według niemiarodajnego procentu. Uważa, iż cena usług kapitału zależy od podaży i popytu »przedewszystkiem na obie-

gowe kapitały«; popyt znowu »od ilości i zdolności płatniczej żądających, przedewszystkiem niekapitalistów, a więc posiadaczy ziemi i robotników«; tak, że z wykładu Roschera wynika, iż wysokość renty kapitału określoną jest przedewszystkiem przez stosunki, panujące na rynku pożyczkowym dla umownego zysku, a dopiero później — według prawa równowagi renty we wszystkich odmianach — przenosi się to na pierwotny zysk z kapitału, gdy w istocie zachodzi właśnie stosunek odwrotny. Wreszcie najważniejszej kwestji przyczyny istnienia zysku z kapitału nie porusza Roscher w teoretycznej części swoich badań wcale, a dotyka jej tylko powierzchownie w praktycznym dodatku o polityce zysku, w związku z kwestją sprawiedliwości zysku z kapitału.

W treści wyłożonych tam uwag jest Roscher eklektykiem. Pogląd swój tworzy z połączenia naiwnej teorii produkcyjności z teorią abstynencji Seniora. W tekście § 189 przypisuje kapitalowi »prawdziwą produkcyjność«, a w odsyłaczu chwali wyrażenie Greków, którzy nazywali zysk z kapitału *τόκος*, »urodzone«, jako »bardzo odpowiednie«. W późniejszym odsyłaczu gorąco polemizuje z Marxem i jego »świeżym powrotem do dawnej błędnej nauki o nieprodukcyjności kapitału«. Między innymi wysuwa, jako przekonujący dowód za produkcyjnością kapitału, przyrost wartości cygar, wina, sera, wogóle dóbr, »które bez najmniejszego nowego dodatku pracy, przez proste odsunięcie spożycia nabierają znacznie wyższej (użytkowej i zamiennej) wartości«. W tekście tegoż paragrafu obrazuje to na znanym przykładzie rybaka, który początkowo ręką łowi trzy ryby dziennie, a później, gdy dzięki oszczędności gromadzi zapas stu ryb i w czasie ich spożywania przygotowuje łódź i sieć, łowi z ich pomocą trzydzieści ryb dziennie.

Ponieważ pogląd Roschera we wszystkich tych przykładach wyraźnie skłania się do uznania, iż kapitał dzięki swej szczególnej sile produkcyjnej bezpośrednio wytwarza nadwartość, i autor nie zadaje sobie trudu wyszukania bardziej złożonego wyjaśnienia dla jej powstania, muszę go zaliczyć do naiwnego kierunku teorii produkcyjności.

Jak już zaznaczyłem, nie trzymał się on wyłącznie tego kierunku, a łączył go formalnie i materialnie z teorią abstynencji. Jako drugą »niewątpliwą« podstawę zysku z kapitału

¹⁾ Grundlagen der Nationalökonomie, 10-e wyd., Stuttgart, 1873.

wymienia »prawdziwą ofiarę, leżącą w powstrzymaniu się od spożywania swego kapitału«; podnosi przytem, iż przy ustalaniu ceny za użytkowanie łodzi rybackiej poważnym motywem będzie wzgląd na sto pięćdziesięciodniową wstrzemięźliwość oszczędzającego, oraz, że zysk z kapitału w ten sam sposób można nazwać wynagrodzeniem wstrzemięźliwości, jak płacę roboczą wynagrodzeniem trudu. I poza tem nie brak źle zamaskowanych sprzeczności. Pomiedzy innemi bardzo źle odpowiada oświadczenie przyjętej przez Roschera a samodzielnej produktyjności kapitałów, ze zdaniem § 183, że »wartość użytkowa kapitałów jest w większości wypadków równoznaczną z uzdolnieniem robotników i bogactwem sił naturalnych«, które z temi kapitałami współdziałają.

Powaga, którą się cieszy znakomite imię Roschera wśród niemieckich ekonomistów, wyszła też na dobre jego teorii zysku. Bo, chociaż zgodnie z tem, cośmy powiedzieli, w bardzo słabym stopniu odpowiada ona najważniejszym teoretycznym wymaganiom jedności, konsekwencji i głębokości ujęcia, znalazła jednak wielu zwolenników i naśladowców.

Pomijam dosyć znaczną liczbę pisarzy, którzy poprostu powtarzali za Roscherem naukę o produktyjności kapitału, nie wzbogacając jej wcale¹⁾, i w niemieckiej literaturze zajmę się tylko jednym jeszcze autorem, który teorię tę opracowywał wprawdzie niezbyt szczęśliwie, ale gruntownie i starannie: Fryderykiem Kleinwaechterem.

Kleinwaechter wypowiedział się w tej sprawie kilkakrotnie; najpierw wyczerpująco w samodzielnej pracy »Beitrag zur Lehre vom Kapital«²⁾, później przelotnie tylko w Podręczniku ekonomii politycznej Schönberga.

W samodzielnej pracy zaczyna Kleinwaechter od tego, iż z początku ustala kilka ważniejszych pojęć wstępnych, i określa produkcję, jako »tworzenie wartości«,

¹⁾ Pomiedzy nimi znajduje się też Schulze-Delitzsch. Teorię jego, która, podobnie do teorii Roschera, jest dosyć eklektyczną i niepozbawioną sprzeczności, znaleźć można w dziełku »Kapitel zu einem deutschen Arbeiterkatechismus«, Lipsk, 1863, str. 24.

²⁾ Hildebrand'sche Jahrbücher, t. 9 (1867), str. 310—326 i 369—421.

a to znów — identyfikując wartość z użytecznością — jako »wytwarzanie środków zaspokojenia ludzkich potrzeb« (str. 322). Zdolność produkowania albo produktyjność, nie jest wyłącznym przywilejem człowieka, gdyż zwierzęta i rośliny, równie, jak martwa natura, mogą wytwarzać produkty, które posiadają zdolność zaspokojenia tej lub innej ludzkiej potrzeby. Tak np. koń produkuje siłę(!), krowa mleko, owca wełnę i t. p. (str. 325). Wskutek tego kapitał również posiada produktyjność. Zdolność produkcyjna jest nawet zdaniem Kleinwaechtera tak wybitną cechą kapitału, iż buduje na niej całe jego określenie: »Jeśli się więc przyjmie, że niemożliwem jest wytwarzanie nowych materiałów (t. j. materiałów pierwiastkowych w znaczeniu chemicznym), że cała nasza produkcja jest tylko wytwarzaniem wartości, a zdolność wytwarzania wartości właściwą jest nie tylko człowiekowi, ale i całej naturze, tak martwej, jak zwierzętom i roślinom, które podobnie jak człowiek, mogą wytwarzać wartości — to kapitał sam przez się określa się, jako bogactwo, wytwarzające wartość« (strona 372).

W określeniu tem, jak to Kleinwaechter wyraźnie podkreśla w odsyłaczu (str. 373, odsyłacz 2-gi), »dla uniknięcia nieporozumienia«, wartość oznacza jeszcze zawsze »zdolność danego przedmiotu zaspakajania ludzkich potrzeb. W dotychczasowem znaczeniu więc produktyjność wartości danego kapitału, np. maszyny lub surowego materiału, nie oznacza nic więcej, jak tylko, że z jego pomocą można wytworzyć przedmioty użytku, np. sukno lub ubranie. Tak, jak dotychczas jest ujęta produktyjność wartości, niema żadnej wzmianki o tem, że wytworzone przedmioty muszą mieć większą wartość, niż kapitał, który je wytworzył, i szczególniej, iż muszą mieć wyższą wartość zamienną, krótko mówiąc, niema wzmianki o tem, że produkt musi dawać pewien nadmiar wartości zawiennej.

To też bardzo dziwnem się wydaje, iż Kleinwaechter, nie zmieniając w swoich określeniach pojęć, wprowadza jednak rentę z kapitału wprost z jego produktyjności wartości. »Pod rentą w ogólności«, powiada na str. 382, »rozumiemy stały dochód, płynący ze stałego źródła. Ponieważ kapitał określiliśmy, jako bogactwo, wytwarzające war-

tość, wynika stąd, iż renta kapitału składa się z wytworzonych przez kapitał wartości.

Jasnym jest, iż Kleinwächter końcowym słowem »wytworzonych przez kapitał wartości« przypisuje znaczenie, którego one dotychczas nie posiadały. Gdyby użył ich w dotychczasowym sensie, to »wytworzone przez kapitał wartości« byłyby jednoznaczne ze wszystkimi wypływającymi z kapitałów dobrami, stosownie do ich wartości użytkowej (= użyteczności). Byłby to jednak dochód brutto z kapitału, a nie jego renta. Aby ujmować »wytworzone przez kapitał wartości«, jako rentę, jak to teraz ma miejsce, trzeba zmienić dotychczasowe znaczenie tych słów. Przedewszystkiem należy wartość ujmować, jako wartość zamienną, a nie jako »wartość użytkową«; bowiem wartość użytkową według Kleinwächtera mają też wolne dobra, jak powietrze, woda i t. p., które przecież stanowczo nie mogą stanowić renty kapitału; następnie wytwarzanie wartości należy ujmować, jako wytwarzanie »nadwartości«, przynoszenie nadwyżki wartości; nie cały produkt kapitału bowiem tworzy rentę, a tylko nadwyżka wartości.

Jeśli teoria Kleinwächtera dzięki szczegółowszemu wywodom o »produkcyjności wartości« wniosła się ponad poziom »naiwnych« teoryj produkcyjności, to odkrycie powyższego nieporozumienia straciło ją tam napowrót. Taka bowiem »produkcyjność wartości«, jaką operuje Kleinwächter, stanowczo nie wystarcza dla wytłumaczenia powstawania nadwartości, a niema u niego takiej, któraby wytłumaczyć to była w stanie; nie pozostaje więc nic, prócz prostego przypuszczenia, iż kapitał wytwarza swoją rentę.

W podręczniku Schönberga porusza autor nasz ten przedmiot zbyt powierzchownie, by dokładnie dać zbadać stan późniejszy swoich poglądów. »Kwestja produkcyjności kapitału«, mówi z pewną rezerwą, »jest kwestją, czy kapitał czynnie współdziała przy wytwarzaniu dóbr rzeczowych. Na pytanie to odpowiedzieć można twierdząco, o ile kapitał jest instrumentem pracy (narzędziem produkcji). Jako narzędzie produkcji, kapitał jest produkcyjnym, ponieważ przy produkcji dóbr rzeczowych podwójnie wspomaga pracę. Działa w następujący sposób: 1) człowiek przy pomocy narzędzi produkcji może przy tym samym wydatku sił wytworzyć

więcej dóbr, niżby to mógł bez nich uczynić (produkcyjność kapitału w znaczeniu ilościowym); 2) człowiek przy pomocy narzędzi może wytwarzać dobra, którychby bez tych instrumentów pracy wytwarzać nie mógł (produkcyjność kapitału w znaczeniu jakościowym)«.

W słowach tych niema już mowy o zdolności kapitału do bezpośredniego »stwarzania wartości«. W każdym jednak razie sprowadza Kleinwächter jeszcze rentę kapitału do produkcyjności kapitału. »Oba te czynniki, kapitał i praca, są istotnymi i uprawnionymi źródłami dochodu, ponieważ tylko przez ich współdziałanie powstają produkty, więc i wynik produkcji powinien być dzielony pomiędzy oba czynniki«¹⁾.

We Francji teoria produkcyjności Say'a zdobyła sobie niemięjszą popularność, niż w Niemczech. Stała się tam poprostu modną, i rozpowszechnieniu jej mało przeszkadzały namiętne napaści, skierowane przeciw niej przez socjalistów z Proudhonem na czele. Szczególnem jest jednak, iż francuscy pisarze rzadko zachowują teorię produkcyjności w całkowitej czystości; prawie wszyscy, którzy ją podejmowali, mieszały z nią eklektycznie pierwiastki, wyjęte z jednej lub kilku innych teoryj; postępowali tak, że wymienię tylko najwybitniejszych pisarzy, Rossi, Molinari, Joseph Garnier, a w czasach nowszych Cauwès i Leroy-Beaulieu.

Ponieważ teoria produkcyjności w ręku tych uczonych nie nabrała zmian istotnych, nie potrzebuje wdawać się w szczegółowe przedstawianie ich nauk; tembardziej, iż najwybitniejszych z pośród nich spotkamy w dalszym rozdziale, pomiędzy eklektykami.

Wspomnę tylko jedno szczególniej drastyczne wywniesienie ostatniego z wymienionych pisarzy, na dowód, jak pomimo wszystkich socjalistycznych krytyk, silną jest dziś jeszcze teoria produkcyjności w nauce francuskiej. W swoim »Essai sur la répartition des richesses«, najwybitniejszej monografii

¹⁾ Handbuch der politischen Oekonomie, wydawnictwo Schönberga, Tybinga, 1882, t. I, str. 179 i nast. Z jeszcze większą rezerwą wyraża się Kleinwächter w późniejszych wydaniach podręcznika Schönberga, i w później wydanej pracy »das Einkommen und seine Verteilung«, Lipsk, 1896.

²⁾ Pisane w r. 1884!

francuskiej w przedmiocie podziału dóbr, która w ciągu dwóch lat uzyskała dwa wydania, pisze Leroy-Beaulieu: »Kapitał płodzi (engendre) kapitał, jest to bezsprzeczne«. A trochę dalej zastrzega się przeciw ujęciu, według którego kapitał płodzi procenta (engendre un intérêt) tylko w sensie prawnym i dzięki przychylności prawa: »dzieje się to znacznie naturalniej i prawdziwiej: prawa naśladowały tu tylko naturę (c'est naturellement, matériellement; les lois n'ont fait ici que copier la nature)¹⁾.

Z włoskiej literatury naszego kierunku wreszcie wspomnę wśród wielu pisarzy tylko jednego, bardzo poczytnego Sciajole²⁾, którego sposób ujmowania rzeczy — połączenie prostoty formy z zaciemnioną treścią — może być uważany za typowy dla naiwnych teorii produkcyjności.

Pisarz ten wyobraża sobie, iż czynniki produkcji, do których też zalicza kapitał (str. 39) udzielają swoim produktom, lub przenoszą na nie, swoją wartość »potencjalną«, opierającą się na ich zdolności do produkcji; a dalej, iż udział, który każdy czynnik produkcji przyjął w tworzeniu wartości, miarodajnym jest też dla podziału produktu pomiędzy czynniki współdziałające, tak, iż każdy czynnik przy podziale otrzymuje tyle wartości, ile jej wytworzył, chociaż udział ten nie daje się a priori ustalić w cyfrach (str. 100). Zgodnie z tem wyobrażeniem wyjaśnia później specjalnie zysk z kapitału, jako tę »porcję« całkowitego dochodu przedsiębiorcy, która przedstawia produkcyjne działanie kapitału podczas trwania produkcji« (str. 125).

Przejdźmy teraz od przedstawienia do krytyki. W tym celu muszę znów rozdzielić dwie gałęzie naiwnej teorii produkcyjności, które w historycznym zarysie połączyłem w jedno. Wszystkie wymieniane teorie mają w każdym razie to wspólne, iż nadwartość wyprowadzają bez dalszego pośredniego uzasadnienia, z produkcyjnej siły kapitału. Podstawą jednak tego jednakowego sformułowania mogą być, jak wykazałem wyżej w uwagach wstępnych, dwie zasadniczo różniące się myśli. Albo się rozumie wzmiankowaną siłę pro-

¹⁾ Essai sur la répartition des richesses, wyd. 2-e, Paryż, 1883, str. 234 i 239.

²⁾ Principi della Economia sociale, Napoli, 1840.

dukcyjną kapitału w dosłownym sensie, jako produkującą wartość, jako zdolność bezpośredniego tworzenia wartości, którą posiadał kapitał, albo też rozumie się ją przedewszystkiem tylko, jako produkcyjność fizyczną, jako zdolność kapitału wytwarzania szczególnie licznych lub szczególnie użytecznych dóbr, dalsze zaś uzasadnienie powstawania nadwartości pomija się dlatego, iż uważa się za całkiem jasne, iż te szczególnie liczne i użyteczne dobra muszą zawierać też pewien nadmiar wartości.

Większość zwolenników naiwnej teorii produkcyjności jest tak skąpa w słowa przy wykładzie swoich poglądów, iż łatwiej jest ustalić, co mogli myśleć, niż co istotnie myśleli, i często musimy się poprostu domyślać, który z dwóch możliwych sposobów pojmowania przyjął ten lub inny wśród nich. Tak np. »produkcyjna siła« Say'a pozwala równie dobrze na oba tłumaczenia; podobnie »produkcyjność« Riedela; Sciajola i Kleinwaechter natomiast zdają się skłaniać raczej do pierwszego, Roscher ze swoim przykładem wydajnego rybołówstwa do drugiego wyobrażenia. Ścisłe ustalenie tego stosunku nie jest zresztą tak ważne; bo gdy poddamy krytyce każdy z dwu możliwych poglądów, to oba osądzimy jednakowo.

Zdaje mi się, iż naiwna teoria produkcyjności w obu swych odmianach daleką jest od zadośćuczynienia wymaganiom, które mamy prawo stawiać naukowemu wyjaśnieniu zysku z kapitału.

Od czasu ostrych krytycznych napaści, skierowanych przeciw teorii produkcyjności przez szkołę socjalistyczną i szkołę »polityki społecznej«, uważa się ją powszechnie, przynajmniej w niemieckiej literaturze, za niewystarczającą, tak, że szczegółowe uzasadnienie powyższego wyroku może się wydać wywalaniem otwartych drzwi. Pomimo to nie będę tego zaniedbywał. Poczęści dlatego, iż właśnie w omawianym kręgu myśli tyle się grzeszyło dzięki powierzchowności i pośpiesznemu przyjmowaniu poglądów, a nie powinienem jako krytyk wpadać w te same błędy; po części i głównie dlatego, iż mam zamiar skierować przeciw naiwnej teorii produkcyjności argumenty, zasadniczo różniące się od argumentów krytyki socjalistycznej, a które, mojem zdaniem, bardziej zbliżają się do jądra sprawy.

Zacznijmy od pierwszej odmiany.

Jeśli nasuwa się nam przekonanie, iż zysk z kapitału zawdzięcza swoje istnienie szczególnej, skierowanej ku tworzeniu wartości, sile kapitału, to przede wszystkim postawić sobie musimy pytanie, jakie też mamy dowody na to, iż kapitał siłę tę rzeczywiście posiada? Nieuzasadnione zapewnienie nie mogłoby przecież służyć za wystarczającą podstawę poważnej naukowej teorii.

Przeglądając pisma przedstawicieli naiwnych teorii produkcyjności, znajdujemy wprowadzić pewne dowody dla fizycznej produkcyjności, ale niema tam nic zupełnie, coby dało się ująć, jako próba dowodu istnienia bezpośredniej, wartościotwórczej siły kapitału. Wszyscy przypuszczają jej istnienie, ale nie troszczą się wcale o to, by je dowieść, z wyjątkiem jednego jedynego biegu myśli, w którym fakt, iż regularnem następstwem produkcyjnego zastosowania kapitału jest powstanie pewnego nadmiaru wartości, ujęty jest jako rodzaj dowodu doświadczalnego produkcyjności wartości, którą posiada kapitał. I ta myśl zresztą tylko przelotnie jest zaznaczona. Stosunkowo najwyraźniej spotykamy ją u Say'a, który w cytowanym wyżej (str. 145) ustępie pyta, jak kapitał mógłby przez całą wieczność przynosić samodzielny dochód, gdyby nie posiadał samodzielnej produkcyjności, i u Riedela, który »dostrzega« produkcyjność kapitału w powstawaniu nadmiaru wartości¹⁾.

Jakież jest jednak znaczenie tego, opartego na doświadczeniu dowodu? Czy fakt, iż zastosowanie kapitału z reguły pociąga za sobą powstanie nadwyżki wartości, istotnie stanowi zupełny dowód na to, iż kapitał posiada siłę wartościotwórczą?

Napewno nie. Podobnie, jak fakt, iż w górach opady śniegu w ciągu lata z reguły pociągają za sobą podniesienie się barometru, nie jest zupełnie wystarczającym dowodem na to, iż śnieg letni posiada magiczną zdolność popychania w górę słupka rtęci — naiwna teoria, którą często można spotkać w ustach górali. Błąd naukowy, zachodzący

tutaj, widać jasno, jak na dłoni. Proste hipotezy traktuje się tak, jak dowiedzione fakty. W obu wypadkach zachodzi przede wszystkim pewien empiryczny związek pomiędzy dwoma faktami, którego przyczyna jest jeszcze nieznana i ma być dopiero odkryta. A priori w obu wypadkach możliwe są liczne przyczyny skutku, który należy wytłumaczyć. W obu wypadkach więc można było i można dotąd stawiać bardzo wiele hipotez prawdziwej przyczyny; i jeśli przyczynę podnoszenia się barometru upatrujemy w specjalnej sile letniego śniegu, a przyczynę nadwartości produktu kapitału w specjalnej wartościotwórczej sile kapitału, to jest to tylko jedna z wielu możliwych hipotez. Jest to tylko hipotezą tem bardziej, iż naogół nic nie wiemy o istnieniu »sił«, na które się powołujemy, a przypuszczamy ich istnienie tylko dlatego, że może to nam być przydatnem dla wyjaśnienia rozważanych wypadków.

Porównane przez nas wypadki podobne są do siebie nie tylko przez to, iż przedstawiają przykład na niczem nie opartych hipotez, ale też przez to, że są przykładami hipotez złych. Wiarogodność danej hipotezy zależy od tego, czy znajduje ona podtrzymanie i poza stanem rzeczy, w którym została przedstawiona, a także od tego, czy przemawiają za nią dowody wewnętrznego prawdopodobieństwa. Wiadomo, że nie jest tak w wypadku naiwnej hipotezy górali, to też żaden wykształcony człowiek nie wierzy w bajeczkę, iż podnoszenie się rtęci spowodowane jest przez mistyczną siłę letniego śniegu. Ale hipoteza o wartościotwórczej sile kapitału w nielepszych znajduje się warunkach: z jednej strony nie podtrzymuje jej ani jeden dalszy fakt — jest hipotezą zupełnie niedowiedzianą, a z drugiej znajduje się w sprzeczności z naturą rzeczy — jest hipotezą niemożliwą.

Przypisywać kapitałowi siłę dosłownie wartościotwórczą, znaczy to z gruntu błędnie rozumieć istotę wartości w jednej strony, a istotę produkcji z drugiej. Wartość wogóle nie jest wytwarzaną, nie może być wytwarzaną. Wytwarzane są zawsze tylko kształty, postacie, kombinacje materiałów, więc rzeczy, dobra. Mogą one być dobrami wartościowemi, ale nie przynoszą wartości stałej i gotowej, jako czegoś, mieszczącego się w produkcji, tylko otrzymują ją zawsze z zewnątrz — od potrzeb i wielkości zaoferowania spotykanych

¹⁾ Próba Kleinwaechtera dokładnego wykazania »stworzenia wartości« przez kapitał, nie należy do rozważanych tutaj, ponieważ Kleinwaechter w swojej odrębnej terminologii rozumie pod tem wyrażeniem tylko wytwarzanie użytecznych dóbr.

w życiu gospodarczym. Wartość bierze początek nie w przeszłości dóbr, lecz w ich przyszłości; nie pochodzi z warsztatów, w których powstały dobra, lecz z potrzeb, którym one jeszcze będą służyć. Wartość nie może być ukuta, jak młot, ani utkana, jak płótno; gdyby tak było, oszczędzałoby to naszym gospodarkom tych strasznych wstrząśnień, które nazywamy przesileniami, i które początek biorą z tej właśnie przyczyny, że masy produktów, przy których tworzeniu nie zaniehdano żadnych przepisów sztuki, nie mogą posiadać spodziewanej wartości. Produkcja nie może dać nic więcej, tylko wytwarzanie dóbr, co do których można mieć nadzieję, iż według przypuszczalnych stosunków zapotrzebowania i zaoferowania, będą posiadały wartość. Podobna jest w tem w pewnym stopniu do blecharza. Jak ten wystawia swe płótno na słońce, tak produkcja zwraca działalność swoją do rzeczy i miejsc, w których może się spodziewać, że jej wyniki będą miały wartość. Tak samo jednak nie tworzy wartości, jak blecharz promieni słonecznych.

Nie uważam za potrzebne w dalszym ciągu gromadzić pozytywne dowody dla tego twierdzenia: zdaje mi się zbyt zrozumiałem, by tego wymagać. Nie będzie może zato zbyt uczynne obronić je przed pewnemi wątpliwościami, które się mogą nasunąć przy powierzchownem rozważaniu, ale tylko o przy takim.

Tak znany fakt, iż wartość dóbr znajduje się w pewnym, choć niezbyt wyraźnym, związku z kosztami ich produkcji, może wywołać wrażenie, iż skutek tego wartość dóbr zależną jest od stosunków produkcji. Nie należy jednak zapominać, że ten związek spotyka się tylko przy określonych hipotezach, z których jedną wypowiada się wyraźnie przy formułowaniu prawa o zależności wartości od kosztów, drugą przyjmuje się milcząco, a obie nie mają nic wspólnego z produkcją: pierwsza hipoteza głosi, że wytworzone dobra są także użyteczne, druga, że w stosunku do zapotrzebowania są i pozostają rzadkie.

Że właśnie te dwie okoliczności, które tak wyraźnie stoją poza prawem kosztów, a nie same koszty są istotnie kierującami przyczynami wartości, wynika najprościej z odwrotnego doświadczenia: dopóki się łoży koszt na wytwarzanie przedmiotów, odpowiednio użytecznych i rzadkich, dopóki więc same koszty znajdują się w harmonii z użyte-

cznością i rzadkością dóbr, znajdują się też w harmonii z wartością, i wydaje się, że nią rządzą. Jeśli się przeciwnie łoży koszt na wytwarzanie rzeczy nie dość użytecznych i rzadkich, np. na wytwarzanie zegarków, które nie idą, albo budulca w okolicy z natury posiadającej nadmiar drzewa, albo nadmiernej ilości dobrych zegarków, wartość już nie pokrywa kosztów i ginie też pozór czerpania przez rzeczy wartości z warunków produkcji.

Druga wątpliwość. Może być, że wytwarzamy narazie tylko dobra. Ale ponieważ bez wytwarzania dóbr nie istniałyby i ich wartość, więc przez wytwarzanie dóbr puszczaemy w świat jednocześnie ich wartość. Gdy ktoś wytworzył dobra wartości miliona guldenów, to oczywiście wywołał powstanie wartości miliona guldenów, któraby nie istniała bez tej wytwórczości; wydaje się to namacalnym dowodem słuszności zdania, iż wartość również powstaje przez wytwarzanie.

Oczywiście, zdanie to jest prawidłowe, tylko w zupełnie innym sensie, niż ten, o który chodzi w danym sporze. Słuszne jest w tym sensie, iż produkcja jest jedną z przyczyn powstawania wartości; nie jest słuszne w tym sensie, iż produkcja jest przyczyną powstawania wartości, t. j., iż zupełny wystarczający kompleks przyczyn powstawania wartości leży w warunkach produkcji.

Pomiędzy temi znaczeniami zachodzi ogromna różnica, którą jeszcze lepiej zobrazuje następujący przykład. Jeśli się orze pole pługiem parowym, to bezsprzecznie plug parowy jest jedną z przyczyn istnienia wytworzonego zboża, a przez to i wartości tego zboża. Ale równie bezsprzecznie jest także, iż powstanie wartości zboża nie jest jeszcze zupełnie wyjaśnione, gdy się powie: wytworzył ją plug parowy. Jedną z przyczyn powstania zboża, a za niem jego wartości, było też światło słoneczne; ale któż na pytanie: dlaczego miara zboża posiada wartość 5-u fl.? odpowie, że wartość tę wytworzyło światło słoneczne?! Albo też w znanym sporze o to, czy talent jest cechą wrodzoną, czy też nabytą, któż będzie się starał udawadniać pierwsze twierdzenie argumentem, że gdyby człowiek się nie urodził, to nie istniałyby też i jego talenta, a więc urodzenie jest przyczyną istnienia talentu!

A teraz zastosujmy powyższe uwagi do wyjaśnienia naszych wątpliwości. Nasi teoretycy produkcyjności mylą

się, ponieważ chcą mieć zbyt bezwzględnie słuszość. Gdyby się zadowolnili w sprawie wartościotwórczej siły kapitału twierdzeniem, iż kapitał jest jedną z przyczyn powstawania wartości, to niktby temu nie miał nic do zarzucenia. Wprawdzie dla wyjaśnienia zjawiska nadwartości nie miałyby to jeszcze żadnego znaczenia; byłoby to tylko wyraźnym wskazaniem rzeczy i bez tego zrozumiałych i naturalnie wymagałoby w dalszym ciągu wyjaśnienia innych, mniej zrozumiałych współprzyczyn tworzenia się nadwartości. Teoretycy ci zaś, przeciwnie, uważają, że znaleźli jedną przyczynę powstawania wartości. Przypisują słowom: »kapitał, dzięki swojej produkcyjności, stworzył wartość albo nadwartość« znaczenie tak całkowicie wyjaśniające istnienie wartości, iż wszelkie bliższe tłumaczenie ma być zbyteczne: i przez to właśnie wpadli w poważne błędy.

Powyższe wywody mają jeszcze i drugie, ważne zastosowanie, o którym tu mówię, chociaż ostrze jego nie zwraca się przeciw teorii produkcyjności. Jeśli coś jest słusznym w jednym wypadku, to musi nim być i w każdym innym; jeśli więc kapitał nie może posiadać siły wartościotwórczej, ponieważ wartość wogóle nie jest »stworzona«, to również nie może posiadać podobnego przywileju żaden inny pierwiastek produkcji, zarówno ziemia, jak i praca ludzka. Przeczył to ten szeroko rozpowszechniony kierunek, który zwraca ostrze najsurowszej krytyki przeciwko przyjęciu wartościotwórczej siły ziemi i kapitału, by z większym jeszcze naciskiem taką właśnie siłą obdarzyć pracę¹⁾.

Zdaje mi się, że krytycy ci stracili jednego bożka tylko poto, by natychmiast wznieść drugiego. Zwalczali szerszy przesąd, by zastąpić go innym, bardziej ciasnym. Praca ludzka, jak i każdy inny czynnik produkcji, nie cieszy się przywilejem tworzenia wartości. To, co ona wytwarza, to są także dobra, i tylko dobra, które mają otrzymać i otrzymują wartość tylko od układu stosunków gospodarczych, którym mają służyć. Fakt istnienia — bynajmniej nie zupełnie prawidłowego — związku pomiędzy ilością pracy a wartością wytworu pochodzi od rzeczy zupełnie innych, niż »wartościotwórcza« siła pracy — tej niema i być nie może; o rze-

¹⁾ Pogląd ten rozpowszechniony jest nie tylko wśród prawdziwych socjalistów. Patrz np. Pierstorfa Lehre vom Unternehmerge Winn, str. 22 i nast.

czach tych wspomniałem już wyżej, bardzo zresztą powierzchownie, mówiąc o przypadkowej zależności pomiędzy kosztami i wartością.

Wszystkie te przesady były fatalną przeszkodą w rozwoju teorii. Zachęcały do bardzo powierzchownego i łatwego załatwiania się z najtrudniejszymi zagadnieniami nauki. Gdy chodziło o wyjaśnienie zjawiska powstawania wartości, badano tylko kilka, często bardzo mało stopni kolejnych przyczynowości, by się zadowolić fałszywym i niepoważnym twierdzeniem: kapitał albo praca stworzyła wartość. Inne przyczyny lekceważono i nie badano zagadnienia na tej głębokości, na której się znajdują jego właściwe trudności.

Zwróćmy się teraz do drugiej postaci, którą może przyjąć nauka teoretyków produkcyjności. Według niej siła produkcyjna, przypisywana kapitałowi, rozumiana ma być przede wszystkim tylko jako produkcyjność techniczna albo fizyczna, t. j. zdolność kapitału przyczynienia się do wytwarzania większej ilości albo lepszych dóbr, niżby to bez jego pomocy było możliwe; przypuszcza się jednak, jako rzecz, zupełnie oczywistą, iż zwiększony produkt, oprócz zwrotu wyłożonych przez kapitał kosztów, powinien też zawierać pewną nadwartość. O ile więc bardziej przekonującą jest taka odmiana?

Przyjmuje bez zastrzeżeń, iż kapitał istotnie posiada przypisywaną sobie fizyczną produkcyjność, t. j., że z jego pomocą istotnie można wytworzyć więcej dóbr, niż bez niej¹⁾. Pragnę też przyjąć — pomimo, iż związek nie jest tu już tak wyraźny — iż liczniejsze, z pomocą kapitału wytworzone dobra posiadają większą wartość, niż mniej liczne, które możnaby wytworzyć bez jego pomocy. Ale ani jedna cecha całego zjawiska nie wskazuje na to, że te liczniejsze dobra muszą też mieć większą wartość, niż zużyta na ich wytworzenie materia kapitału — a w tem właśnie zawiera się wyjaśnianie zjawisko nadwartości.

¹⁾ Świadomie pomijam tu badanie, czy przyjęta fizyczna produkcyjność kapitału jest jego oryginalną zdolnością, czy też wywołane przez kapitał produkcyjne wyniki powinny być raczej położone na karb tych sił produkcyjnych, dzięki którym powstał sam kapitał, więc na karb wytwarzającej kapitał pracy. Pomijam to świadomie, by rozwiązywania sporu nie wyprowadzać z zakresu, w którym jedynie, moim zdaniem, może być rozwiązane zagadnienie zysku: z zakresu teorii wartości.

Wracam, by być zrozumialszym, do znanego przykładu Roschera. Chętnie przyjmuję i rozumiem, że z pomocą łódki i sieci można złowić dziennie 30 ryb, gdy bez tego kapitału łowiło się zaledwie trzy. Chętnie przyjmuję i rozumiem, iż te 30 ryb mają większą wartość, niż poprzednio miały trzy. Ale przyjęcie, iż 30 ryb musi mieć większą wartość, niż zużyta dla ich złowienia część wartości łodzi i sieci, nie jest przez poprzedzające okoliczności w najmniejszym stopniu przygotowane i nasunięte, a tem bardziej narzucone. Gdybyśmy z doświadczenia nie wiedzieli, że wartość wytworu kapitału jest z reguły większa, niż wartość samej zużytej materji kapitału — to teoria naszych zwolenników naiwnej produktyjności nie dałaby nam ani jednego punktu oparcia dla uznania tego stosunku za niezbędną. Mogłoby doskonale być zupełnie inaczej. Dłaczego np. dobra-kapitały, dające duży dochód, nie miałyby być ze względu na niego same ocenione wysoko, tak wysoko, by wartość kapitału dorównała wartości wypływającego zeń bogatego produktu? Dłaczego np. łódka i sieć, które w ciągu swego trwania przysporzyły ponad dawny produkt 2.700 ryb, nie miałyby dorównać w wartości tym właśnie 2.700 rybom, których zdobycie ułatwiły? W takim razie jednak — pomimo całej fizycznej produktyjności — nie byłoby żadnej nadwartości.

Rzecz szczególna, że u niektórych najwybitniejszych zwolenników naiwnej teorii produktyjności spotykamy wyrażenia, z których wynikałoby, iż właśnie ostatnie zjawisko, t. j. brak nadwartości, jest zupełnie naturalnem. Liczni autorowie twierdzą mianowicie w tej kwestji, że wartość dóbr, stanowiących kapitał, ma tendencję dostosowania się do wartości wynikającego z nich produktu. Tak Say pisze (Traité, str. 338), iż wartość t. zw. fonds productifs opiera się na wartości produktu, który z nich bierze początek; Riedel w § 91 swojej Nationaloekonomie rozwija szczegółowo zdanie, iż »wartość środków produkcji« — a więc i poszczególnych kapitałów — polega głównie »na ich potędze produkcyjnej, albo na nadanej im przez niewzruszone prawa, rządzące produkcją, zdolności dopomagania w mniejszym lub większym stopniu przy wytwarzaniu rzeczowych wartości«; Roscher zaś w § 149 swoich »Grundlagen« mówi: »Zresztą ziemia ma to wspólne z innymi środkami produkcji, iż ce-

na jej zostaje zasadniczo w zależności od ceny jej produktów«.

Ale co będzie, jeśli stosownie do tych poglądów wartość dóbr, stanowiących kapitał, uzgodni się w zupełności z wartością produktów, kompletnie się z nią zrówna? A dlaczego nie ma tak być? Gdzieżby się jednak mieściła w takim razie nadwartość? ¹⁾

Choćby więc nadwartość była faktycznie związana z fizyczną produktyjnością kapitału, nie znaczy to, aby ten związek był zrozumiałym sam przez się, i teoria, przyjmująca go bez słowa wyjaśnienia za oczywisty skutek, nie może wywiązać się z zadania.

Rekapitulujemy.

Naiwna teoria produktyjności okazuje się niewystarczającą w obu interpretacjach, które można zastosować przy wyjaśnianiu przyjętej produktyjności kapitału. Jeśli przypuszcza istnienie bezpośrednio wartościotwórczej siły kapitału, to przypuszcza rzecz niemożliwą. Nie istnieje taki element produkcji, któryby miał władzę bezpośrednio lub niezbędnie nadawać produktom swoim wartość. Czynniki produkcji nie może być ostatecznem źródłem wartości. Przeciwnie, wszędzie, gdzie wartość występuje, ostateczną jej przyczyną są stosunki pomiędzy potrzebami ludzkimi i ich zaspokojeniem. Możliwe do utrzymania wyjaśnienie zysku z kapitału musi cofnąć się aż do tego ostatecznego źródła. Hipoteza zaś o istnieniu siły wartościotwórczej stara się zapomocą całkiem niewytrzymałego krytyki przypuszczenia ominąć tę ostatnią i najtrudniejszą część wyjaśnienia.

Ale jeśli omawiany kierunek rozumie wzmiankowaną produktyjność tylko jako produktyjność fizyczną, to myli się, traktując nadwartość, jako zjawisko zrozumiałe samo przez się i towarzyszące jej. Nie poświęcając tej rzekomej zrozumiałości ani słowa więcej w dalszym uzasadnieniu, pozostawia znów na stronie najważniejszą i najtrudniejszą część wyjaśnienia.

Pomimo tych braków zupełnie zrozumiałem jest powódzenie, które zdobyła sobie naiwna teoria produktyjności. Nie daje się bowiem zaprzeczyć, że na pierwszy rzut oka

¹⁾ Porówn. tu moje wywody w »Rechte und Verhältnisse vom Standpunkte der volkswirtschaftlichen Güterlehre«, Innsbruck, 1881, str. 104 i nast., szczególnie 107—109.

zawiera ona w sobie coś niezmiernie pociągającego. Kapitał bezsprzecznie dopomaga do wytwarzania i bezsprzecznie dopomaga »więcej« wytwarzać. Odrzuca można zauważyć, że w końcu każdej produkcji, w której zastosowano kapitał, pozostaje przedsiębiorcy pewna nadwyżka, stosunku do wielkości zastosowanego kapitału i do długości czasu tego zastosowania. W takich warunkach niema nic łatwiejszego, jak związać istnienie tej »nadwartości« z zawartą w kapitale siłą produkcyjną. Byłoby prawie cudem, gdyby teoria produkcyjności nie była wcale powstała. Długość jej panowania zależy od jednej okoliczności: od tego, kiedy się zaczyna krytycznie zastanawiać nad sensem słowa »produkcyjny«. Dopóki się nad tem nie zastanawia, teoria wydaje się odbiciem rzeczywistości; możnaby powiedzieć słowami Leroy-Beaulieu, że teoria »n'a fait ici que copier la nature«. Jeśli się jednak zastanowić, to ta sama teoria przedstawia się, jako splot dialektycznych pułapek, wywołanych przez nadużycie wieloznacznego wyrażenia »produkcyjnej nadwyżki« kapitału.

Dlatego też mogę twierdzić, iż naiwna teoria produkcyjności jest naturalną teorią zysku w prymitywnym i napół tylko dojrzałym stanie wiedzy. Przeznaczonem jej jest zniknąć, z chwilą, gdy nauka przestaje być »naiwną«; i fakt, że po dziś dzień¹⁾ posiada ona jeszcze tak szerokie rozpowszechnienie, nie może być przedmiotem dumy dla nauki ekonomji.

PODDZIAŁ TRZECI.

Motywowane teorie produkcyjności.

Motywowane teorie produkcyjności mają to wspólne z naiwnymi, że również widzą ostateczną przyczynę istnienia zysku z kapitału w produkcyjnej sile kapitału. Ale w opracowaniu tej podstawowej myśli wykazują podwójny postęp. Przedewszystkiem wolne są od mistycznej wiary w »wartościotwórcze« siły, oraz pozostają stale na gruncie faktów i rozumieją produkcyjność kapitału zawsze tylko jako produkcyjność fizyczną. Następnie zaś nie uważają już za oczywiste, że za wydajnością fizyczną iść też musi stwarzanie nadmiaru wartości. Wprowadzają więc do swo-

¹⁾ Pisane w roku 1884.

ich wywodów charakterystyczny ustęp, którego specjalnem zadaniem jest wyjaśnić, dla czego zwiększona masa produktu musi też prowadzić do tworzenia nadmiaru wartości.

Naturalnie naukowa wartość wszystkich tych teoryj zależy od tego, czy owa motywacja wytrzymuje krytykę, czy też nie. Ponieważ różni się ona dosyć znacznie u różnych autorów naszej grupy, będę musiał wykład i krytykę poszczególnych teoryj w tym dziale o wiele indywidualniej poszegregować, niż przy rozważaniu prawie identycznych »naiwnych« teoryj. Sprawię tem wprowadzić sobie i czytelnikowi wcale poważną trudność; ale nie mógłbym tego uniknąć inaczej, jak wyrzekając się jednocześnie poważnej i uczciwej krytyki. Jeśli ktoś ma coś odrębnego do powiedzenia, to uczciwy krytyk musi mu pozwolić wypowiedzieć się, oddzielić i dać na to wypowiedzenie się oddzielną odpowiedź, a nie zbywać tych rzeczy odrębnych ogólnikowym frazesem.

Początek motywowanym teorjom produkcji daje Lord Lauderdale¹⁾.

Lauderdale jest ważną osobistością dla historii doktryny zysku z kapitału. Wyraźniej, niż ktokolwiek z jego poprzedników, widzi on wielkość zagadnienia, które ma rozwiązać. Pierwszy stawia to zagadnienie formalnie i dobitnie, pytając: »Jaką jest natura dochodu z kapitału, i w jaki sposób ten dochód powstaje?« Poddaje przemysłanej krytyce prace nielicznych pisarzy, którzy się przed nim zajmowali sprawą pierwotnego zysku z kapitału, a wreszcie jest pierwszym, który zewnętrznej formie wykładu, zamiast rozproszonych uwag, nadaje charakter powiązanej, zamkniętej teorii.

Zaczyna on swoją teorię zysku od tego, że, w przeciwieństwie do Smitha, uważa kapitał za trzecie zasadnicze źródło bogactwa obok ziemi i pracy (str. 121). Dalej poddaje gruntownemu zbadaniu sposób działania kapitału, jako źródła bogactwa (str. 154—206), i tu w godnym uwagi ustępie znajduje sposobność do formalnego postawienia zagadnienia zysku, którego wagę i trudność doskonale pojmuje²⁾.

¹⁾ An Inquiry into the nature and origin of public wealth. Edynburg, 1804.

²⁾ »By what means Capital or Stock contributes towards wealth is not so apparent (niż dla ziemi i pracy).

Poglądy, wypowiedziane przez poprzedników, nie mogą zadowolić, odrzuca stanowczo zarówno naukę Lockę'a i Smith'a, skłonnych do wyprowadzania zysku z przyrostu wartości, dodanego do dóbr-kapitałów przez pracę robotnika, jak i naukę Turgota, który znów — zbyt powierzchownie — usiłuje związać zysk z możliwością stworzenia sobie renty przez kupno ziemi.

Lauderdale przeciwstawia temu swoją teorię, którą formułuje w ten sposób, że »w każdym wypadku zastosowania kapitału w sposób, dający dochód, dochód ten zależy od okoliczności wynika albo z tego, że kapitał zastępuje (supplant) pewną ilość pracy, którąby inaczej musiał wykonać człowiek, albo też wykonywa pewną ilość pracy, której wykonanie wychodzi poza granice umiejętności ludzkiej« (str. 161).

Uznając zdolność zastępczą kapitału w stosunku do pracy za źródło dochodu z kapitału, Lauderdale powołuje się na ten sam fakt, inaczej tylko nazwany, który określiliśmy jako fizyczną produktyjność kapitału. W istocie Lauderdale sam niejednokrotnie i z naciskiem nazywa kapitał »produkcyjnym« i »produkującym«¹⁾.

Ale staje jeszcze główne pytanie: w jaki sposób dochód z kapitału wynika z jego zdolności zastępowania pracy? — Podług wyjaśnień, których Lauderdale udziela, wynika stąd, iż właściciel kapitału może policzyć na swój rachunek w całości lub przynajmniej w części płace robotników, których ten kapitał zastępuje.

»Przypuśćmy np. taki wypadek, powiada Lauderdale w jednym z licznych przykładów, któremi stara się podtrzymać swoją teorię²⁾, »że ktoś z pomocą maszyny poń-

What is the nature of the profit of stock? and how does it originate? are questions the answers to which do not immediately suggest themselves. They are, indeed, questions that have seldom been discussed by those who have treated on political economy; and important as they are, they seem nowhere to have received a satisfactory solution« (str. 155). Muszę tu zwrócić uwagę, iż Lauderdale, podobnie, jak Smith i Ricardo, nie odróżnia właściwego zysku z kapitału od dochodu przedsiębiorcy, a obejmuje oba nazwą »profit«.

¹⁾ Inquiry, str. 172, 177, 205.

²⁾ Lauderdale bardzo gruntownie i z wielką cierpliwością przeprowadza swoją teorię dla wszelkich sposobów zastoso-

zozosniczej jest w stanie zrobić dziennie trzy pary pończoch, a na to, by tę samą pracę wykonać równie dokładnie w ciągu takiego samego czasu, potrzeba sześciu robotników, pracujących ręcznie. Jasnym jest, że właściciel maszyny za zrobienie swoich trzech par pończoch może żądać i otrzymać wynagrodzenie pięciu ręcznych pracowników, gdyż spożywcza odda mu pierwszeństwo, mogąc w ten sposób zaoszczędzić wynagrodzenie jednego robotnika (str. 165).

Natychmiast też stara się Lauderdale zbić nasuwającą się wątpliwość. »Nieznaczny w porównaniu z wynagrodzeniem zastąpionej przez maszynę pracy dochód, którym się zwykle właściciele maszyn zadowalają, może podać w wątpliwość słusność tego mniemania. Niektóre pompy np. mogą dziennie wypompować z kopalni węgla o wiele więcej wody, niżby jej wyniosło na plecach 300 ludzi;... przeto pompa wykonywa swoją czynność za cenę niewątpliwie niższą, niż wynagrodzenie tych, których pracę zastępuje. Tak się rzecz ma istotnie ze wszystkimi maszynami«.

Zjawisko to jednak, jak wyjaśnia Lauderdale, nie powinno nas w błąd wprowadzać. Pochodzi ono poprostu stąd, iż dochód, który się wyciąga z użytkowania maszyny, podlega też ogólnemu regulatorowi, stosunkowi podaży i popytu. »Wypadek patentu albo wyłącznego przywileju na wykonywanie pewnej maszyny... wyjaśni to lepiej«.

»Jeśli taki przywilej zostanie wydany za wynalezienie maszyny, która przy pracy jednego człowieka wykonywa rzecz, która inaczej wymaga pracy czterech ludzi, to — wobec tego, iż posiadanie wyłącznego przywileju usuwa wszelkie współzawodnictwo w wytwarzaniu danego przedmiotu, oprócz ręcznej pracy tych czterech ludzi — to, dopóki trwa patent, wynagrodzenie tych ostatnich będzie wielkością, normującą wymaganie (charge) właściciela patentu; to znaczy, że na to, by zapewnić sobie pierwszeństwo, musi on tylko żądać odrobinę mniej, niż wynosi wynagrodzenie pracy, za-

wania kapitału, których zna pięć: budowa i zastosowanie maszyn, zastosowanie kapitału w handlu wewnętrznym, w handlu zagranicznym, w gospodarce rolnej i w »cyrkulacji«, czyli w obiegu krajowym. Przykład, cytowany w tekście, należy do pierwszej z tych pięciu części badań. Wybrałem go, ponieważ w nim właśnie najwyraźniej przedstawia się sposób, w jaki Lauderdale przedstawia sobie związek pomiędzy dochodem z kapitału a jego zdolnością zastępczą w stosunku do pracy.

stąpionej przez maszynę. Ale z chwilą, gdy patent wygasa, zaczynają współzawodniczyć inne maszyny tego samego rodzaju; a wtedy wymagania jego muszą się kierować tą samą zasadą, co wszystko inne, a mianowicie rzadkością maszyn, albo (co na jedno wychodzi), łatwością ich zdobycia w stosunku do ich zapotrzebowania.

Lauderdale uważa to za zupełnie wystarczające uwidocznienie, że w istocie przyczyna i źródło dochodu z kapitału znajduje się w zaoszczędzeniu pracy, względnie płacy roboczej.

Czy rzeczywiście udało mu się to uwidocznić? Czy istotnie powyższe dowodzenia Lauderdale'a wyjaśniały powstawanie dochodu z kapitału? — Uważne zbadanie jego argumentów pozwoli nam bardzo szybko odpowiedzieć przecząco na to pytanie.

Punkt wyjścia, przyjęty przez Lauderdale'a dla jego argumentacji, jest wprawdzie bez zarzutu. Może być zupełnie słuszne — trzymamy się przybranego przez autora przykładu — że człowiek, posiadający maszynę pończoszniczą, w ciągu jednego dnia jest w stanie zrobić tyleż par pończoch, co sześciu ludzi, pracujących ręcznie. Również słusznem jest, że właściciel maszyny, jeśli posiada na nią monopol, może z łatwością za jej dzienną pracę »policzyć sobie« wynagrodzenie pięciu robotników, (w razie nieograniczonego współzawodnictwa naturalnie znacznie mniej), z którego, po odciążeniu płacy człowieka, który maszynę obsługuje, zostaje dla niego co dzień płaca czterech ludzi (przy wolnem współzawodnictwie znowu znacznie mniej, ale w każdym razie coś). Dowodzi to faktycznie istnienia udziału kapitalisty w wytworzonej wartości.

Ale ten rzeczywiście dowiedziony udział kapitalisty nie jest czystym zyskiem z kapitału (»profit«), o który rzecz idzie, ale tylko dochodem brutto z użytkowania kapitału. Pięć wynagrodzeń, które sobie wylicza kapitalista, bądź cztery, które mu pozostają po opłaceniu robotnika, obsługującego maszynę, są ogólnym dochodem, który mu przynosi maszyna. Na to, by otrzymać zawierający się w nim czysty dochód, należy oczywiście przedtem odciągnąć koszt zużycia maszyny. Lauderdale, który w całym swym biegu myśli używa tylko wyrażenia »profit«, musiał to albo przeoczyć — więc pomieszał zysk brutto z czy-

stym — albo też uważać za zrozumiałe samo przez się, że po odciążeniu z zysku brutto kosztu zużycia musi coś jeszcze jako czysty zysk pozostać. Pierwszy wypadek byłby poprostu błędem, drugi przyjęciem bez dowodów właśnie tego punktu, który najtrudniej, czy nawet jedynie trudno, jest wytłumaczyć; fakt, że z dochodu brutto kapitału po odciążeniu jego własnego kosztu pozostaje jeszcze pewna nadwartość oraz pytanie, dlaczego to się dzieje? stanowią właśnie wielki znak zapytania w zagadnieniu zysku.

Aby jak najlepiej oświecić cyfrowym przykładem punkt, który nas obchodzi, przyjmijmy, iż płaca dzienna robotnika wynosi 1 fl., a maszyna aż do całkowitego zużycia trwa jeden rok. Korzyść brutto z maszyny wyniesie więc w ciągu roku 4×365 , t. j. 1.460 fl.; i aby oddzielić zawierający się bądź co bądź w tej sumie czysty zysk, należy poprostu odjąć całą wartość kapitału, t. j. maszyny, która się w ciągu roku całkowicie zużywa. Jaką wysokość osiągnie ta wartość kapitału? Tu właśnie jest rozstrzygający moment. Jeżeli wartość kapitału jest niższa, niż 1.460 fl., pozostaje pewien czysty zysk, jeśli równa się tej sumie, lub ją przewyższa, nie może być żadnego dochodu.

Tego decydującego punktu nie wciągnął Lauderdale do swego dowodzenia, ani nawet wziął go pod uwagę. Ani jedno słowo w jego teorii nie zwalcza przypuszczenia, że wartość kapitału maszyny osiąga całkowicie 1.460 fl. Przeciwnie, jeśli śladem Lauderdale'a przyjmujemy, że maszyna jest przedmiotem monopolu, to mamy pewne prawo przypuszczać, iż cena jej jest bardzo wysoka. Doświadczenie wprawdzie uczy nas, że maszyny i wogóle jednostki kapitału, chociażby ich cena monopolowa była bardzo wysoka, nigdy nie kosztują dokładnie tyleż, ile przynoszą. Ale mówi nam to właśnie tylko doświadczenie, a nie Lauderdale, i, co najważniejsza, Lauderdale ani słowem nie tłumaczy nam tego znanego z doświadczenia faktu; a przez to pozostawia zupełnie nietkniętym jądro zagadnienia zysku.

W tej odmianie przykładu, w której Lauderdale przyjmuje istnienie całkowitego wolnego współzawodnictwa, moglibyśmy wprawdzie, przynajmniej stosunkowo, określić wartość maszyny na podstawie sumy kosztów jej wytworzenia. Ale przez to chwieje się znów drugi decydujący czynnik,

suma korzyści brutto. Jeżeli np. poniesione koszty, a co za tem idzie, przypuszczalna wartość kapitału maszyny wynosi 100 fl., to istnienie czystego zysku będzie zależało od tego, czy dzienna korzyść brutto, dawana przez maszynę przekracza, czy też nie 100/365 fl. Czy przekroczy ona tę sumę? *Lauderdale* mówi nam o tem tylko tyle, że wymagania kapitalistów »muszą się kierować tą samą zasadą, co wszystko inne«, t. j. stosunkiem podaży i popytu. Znaczy to tyleż, co nic.

A jednak bardzo byłoby wskazaniem powiedzieć coś o tej sprawie, a także wyjaśnić jeszcze to, co się powiedziało. Nie jest bowiem wcale oczywiście, że korzyść brutto jest wyższą, niż sprowadzona przez wolne współzawodnictwo do poziomu poniesionych kosztów wartość kapitału maszyny. Właśnie wtedy, gdy w użytkowaniu maszyny panuje wolne współzawodnictwo, obniża ono wartość produktów kapitału, w naszym wypadku pończoch, a przez to obniża dochód brutto, który daje maszyna. Dopóki maszyna przynosi więcej, niż kosztowała, przedsiębiorcy pozostaje pewien dochód, i istnienie tego dochodu, powinno, zdawałoby się, tak długo służyć za podniecie do zwiększania liczby maszyn, aż wzrastające współzawodnictwo zniszczy nareszcie całkowicie ten zbyteczny dochód. Dlaczego współzawodnictwo musi zatrzymać się wcześniej? Dlaczego np. musi się już zatrzymać z chwilą, kiedy korzyść brutto z maszyny, kosztującej 100 fl., spadnie na 110 albo 105 fl., i w ten sposób zapewnia 10% albo 5% czystego zysku? Pytania te wymagają zupełnego i poważnego wyjaśnienia, którego *Lauderdale* w najmniejszym stopniu nie daje.

Tłumaczenie *Lauderdale'a* nie osiągnęło więc celu. Tłumaczy rzeczywiście to tylko, co tłumaczenia nie potrzebuje: mianowicie fakt, że kapitał przynosi pewien zysk, czy dochód brutto. To zaś, co by właśnie musiało być wyjaśnione, to jest powstawanie w tym zysku brutto pewnego czystego zysku, pozostaje tak ciemne, jak na początku.

Nie zmienia tego sądu i próba, zapomocą której *Lauderdale* chce potwierdzić słuszność swojej teorii przez rozumowanie à contrario i do której przywiązuje wielką wagę. Wykazuje on, iż we wszystkich wypadkach, w których maszyna nie zaoszczędza pracy, np. gdy maszyna potrzebuje trzy dni na zrobienie pary pończoch, kiedy pracownik ręczny może wykonać tę samą pracę we dwa dni, nie istnieje też

t. zw. przez niego »profit«. Jest to, zdaniem autora, wyraźny dowód na to, że »profit« istotnie pochodzi ze zdolności kapitału do zastąpienia pracy (str. 164 i nast.).

Ta próba jest słaba. Dowodzi ona, zapewne, że zdolność maszyny do zastąpienia pracy jest niezbędnym warunkiem istnienia zysku — ale to jest i bez tego dosyć zrozumiałe, gdyż bez tej właściwości maszyna nie byłaby wcale użyteczną i nie byłaby zgoła dobrem. Nie dowodzi natomiast bynajmniej, że zdolność ta całkowicie wyjaśnia istnienie zysku. Zapomocą podobnego rozumowania a contrario mógłby *Lauderdale* dowodzić prawdziwości teorii zupełnie przeciwnej, głoszącej, że dochód z kapitału wynika z działalności robotnika, który maszynę obsługuje. Jeśli bowiem maszyny nikt nie obsługuje, to musi ona stać bezczynną, a jeśli jest bezczynną, to nie daje żadnego zysku. Z tego wynika, że robotnik stworzył dochód z kapitału?

Umyślnie oświeiliłem możliwie najdokładniej błędne ścieżki, do których prowadzi *Lauderdale'owskie* wyjaśnienie, krytyka ta bowiem nietylko jego dotyczy, lecz zarazem wszystkich tych, co, starając się wyprowadzić zysk z kapitału z produktywności kapitału, wpadli w te same błędy. Jak zobaczymy, liczba uczonych, z góry już poddanych tej krytyce, nie jest małą i zawiera kilka wybitnych nazwisk.

Pierwszym znakomitym, lecz wcale nie zdecydowanym następcą *Lauderdale'a* był *Malthus*¹⁾.

Znane zamiłowanie *Malthusa* do ścisłych określeń doprowadza go do starannego ustalenia istoty dochodu z kapitału: »Dochód z kapitału przedstawia różnicę pomiędzy wartością nakładu, potrzebnego do wytworzenia pewnego dobra, i wartością gotowego wytworu« (str. 293).

»Stopa dochodu« ciągnie dalej bardziej ściśle, niż dźwięcznie »jest to stosunek, w którym się znajduje różnica pomiędzy wartością nakładu (advances) a wartością gotowego wytworu, do wartości nakładu, i zmienia się w miarę zmian wartości nakładu w stosunku do wartości wytworu« (str. 294).

Po takich słowach nasuwałoby się pytanie, dlaczego wogóle ma istnieć taka różnica wartości pomiędzy nakładem

¹⁾ Principles of Political Economy, Londyn, 1820.

a wartością wytworu? Niestety Malthus pytania tego wyraźnie nie stawia. Wszystkie wysiłki i starania poświęca badaniom nad wysokością zysku z kapitału, i dla kwestji jego pochodzenia znajduje tylko parę skąpych uwag.

W najszczegółowszych pomiędzy niemi wskazuje Malthus, jak przed nim Lauderdale, na produkcyjność kapitału.

Pomoc kapitału w postaci warsztatów, narzędzi, środków utrzymania i surowców, pozwala robotnikowi wytwarzać ośm- lub dziesięćkroć więcej, niżby to bez niej mógł zrobić. Na pierwszy rzut oka zdaje się to upoważniać kapitalistę do zabierania sobie całej różnicy pomiędzy wydajnością popartej i niepopartej przez kapitał pracy. Ale zwiększona wydajność pracy pociąga za sobą wzmożoną podaż wytworów, a ta znowu — spadek ich ceny. Wskutek tego i to, co otrzymuje kapitał, musi się obniżyć, aż do tej miary, »która, przy obecnym stanie społeczeństwa jest niezbędną dla sprowadzenia na rynek przedmiotów, w których wytwarzaniu kapitał bierze udział«. Wynagrodzenie robotników pozostanie mniej więcej to samo, ponieważ pilność ich, ani zrzeczność nie są o wiele większe, niż przy pracy bez pomocy kapitału. »Wobec tego«, ciągnie dalej Malthus, podkreślając swoje stanowisko polemicznym zwrotem, »nie jest zupełnie słuszne przedstawiać dochód z kapitału, jako ujmowanie z wytworu pracy, jak to czyni Adam Smith. Jest to tylko sprawiedliwy zwrot części, którą kapitalista włożył w produkcję«¹⁾.

Łatwo w tem rozumowaniu odnaleźć główne myśli Lauderdale'owskiej teorii produkcyjności, przedstawione tylko z pewnemi modyfikacjami i nieco mniej dokładnie. Jedyn tylko rys przybiera inny kierunek: jest to mianowicie, niezbyt wprawdzie dobitne, napomknienie, iż nacisk współzawodnictwa musi jednak pozostawić pewną część kapitaliście, »tyle, ile jest niezbędne dla sprowadzenia na rynek przedmiotów, w których wytwarzaniu kapitał bierze udział«. Wprawdzie Malthus ani słowa nie poświęcił umotywowaniu tego odcienia. Ale już w tem, że go wogóle zaznaczył, mieści się przypuszczenie, iż w tworzeniu się do-

¹⁾ Principles, str. 80 i nast.

chodu z kapitału brać musi udział coś jeszcze, oprócz produkcyjności kapitału.

Silniej się ta myśl uwydatnia przez to, iż Malthus dochód z kapitału uważa wprost za część składową kosztów produkcji¹⁾.

Formalne wypowiedzenie tego twierdzenia, do którego skłaniali się już, nie wypowiadając go wyraźnie, Smith i Ricardo²⁾, stało się wydarzeniem naukowym wielkiej wagi. Dalo ono początek ożywionej dyskusji, najpierw w angielskiej, później i w innych literaturach, prowadzonej przez kilka dziesiątków lat z wielkiem zainteresowaniem i pośrednio bardzo dobrze wpłynęło na rozwój teorii zysku. Gdy się z zapalem dyskutowało nad tem, czy dochód z kapitału należy, czy też nie, do kosztów produkcji, musiano się też czasem zdobyć na głębsze zbadanie jego natury i pochodzenia.

Teoretyk inaczej będzie sądził zdanie, że zysk z kapitału jest częścią składową kosztów produkcji, niż historyk doktryn. Pierwszy uzna je za gruby błąd, jak to wśród współczesnych Malthusa uczynił Torrens³⁾, a niedawno i to w ostrych, zbyt ostrych mojem zdaniem, słowach, Piersdorff⁴⁾: gdyż dochód z kapitału nie jest ofiarą, której produkcja wymaga, lecz udziałem w jej owocach. Uważanie go za ofiarę możliwem było tylko przy dosyć znacznem pomniejszeniu punktu widzenia ogólnej gospodarki ze stanowiskiem gospodarki indywidualnej w osobie poszczególnego przedsiębiorcy, który wypłatę procentów za pożyczone jego przedsiębiorstwu kapitały traktuje mniej więcej, jak ofiarę.

Ale w tej nieszczęśliwej formie mieści się jednak poważna myśl, która idzie dalej, niż niewystarczająca teoria produkcyjności, i ją właśnie Malthus miał na uwadze: myśl

¹⁾ Principles, str. 84 i inne; Definitions in Political Economy, Nr. 40 i 41.

²⁾ Pewien odsyłacz znajdujący się w końcu części VI-ej I-go rozdziału »Principles« Ricarda (str. 30 wyd. z 1871 r.), powodował często przypuszczenie, że już Ricardo zdanie powyższe wyraźnie wypowiedział. W istocie tak nie jest. Ricardo wkłada to zdanie w usta Malthusa, który je — rzeczywiście wypowiedział. Porówn. Wollemborg, *Intorno al costo relativo di produzione*, Bologna, 1882, str. 26 i nast.

³⁾ Patrz wyżej, str. 96 i nast.

⁴⁾ Lehre vom Unternehmervergewinn, str. 24.

mianowicie, że ofiary produkcji nie kończą się na pracy, która częściowo bezpośrednio, w części zaś pośrednio, wcielona w dobra-kapitały, jest na nią poświęcona, ale że oprócz tego kapitalista składa specjalną ofiarę, również wymagającą wynagrodzenia. Malthus nie był jeszcze w stanie bliżej określić rodzaju tej ofiary. W każdym bądź razie historyk doktryny w nieco dziwnym określeniu dochodu z kapitału, jako części składowej kosztów produkcji, odnaleźć może ciekawe ogniwo, łączące pierwsze domysły Adama Smitha, że kapitalista musi mieć dochód, bo inaczej nie będzie leżało w jego interesie gromadzenie kapitału z bardziej dokładnymi teorjami takiego Say'a, Hermanna, a przede wszystkim Seniora, którzy uważają za wymagającą wynagrodzenia ofiarę kapitalisty i część składową kosztów produkcji, — pierwszy swoje »services productifs«, drugi — »usługę kapitału«, trzeci zaś »wstrzemięźliwość« kapitalisty. Początki tych teorii zbyt jeszcze słabe są u Malthusa, by zagłuszyć bardziej pierwotne wyjaśnienie, wyprowadzone śladem Lauderdale'a z produktywności kapitału.

Że jednak Malthus nie przejął się całkowicie żadnym z tych wyjaśnień, tego dowodzą jego rozważania o wysokości dochodu z kapitału (str. 294 i nast.). Zamiast wyprowadzać każdorazową wysokość zysku z kapitału z gry tych samych sił, które wogóle powodują istnienie zysku, co było zupełnie naturalnem, wyjaśnia on ją przez zupełnie odrębne wpływy, przez wysokość płacy roboczej z jednej, a cenę produktów, stanowiących produkt kapitału, z drugiej strony.

Rozumuje w ten sposób: Dochód jest to różnica pomiędzy wartością poniesionych kosztów i wartością produktu. Stopa dochodu będzie więc tem większą, im większa jest wartość produktu, a mniejszemi poniesione koszty. Ponieważ zaś największą i najważniejszą część kosztów stanowią płace robocze, dwoma najbardziej miarodajnymi czynnikami, normującymi stopę dochodu, stają się z jednej strony wysokość plac roboczych, a z drugiej cena wytworów.

Jakkolwiek dowodzenie to wydaje się logicznem, łatwo wykazać, że nie sięga bynajmniej istoty rzeczy. Pozwolę sobie użyć tu porównania. Przypuśćmy, że chodzi o znalezienie przyczyny, która powoduje większą lub mniejszą odle-

głość pomiędzy balonem, a jego koszem. Na pierwszy rzut oka jasne jest, że przyczyny tej należy szukać w długości liny, która łączy balon z koszem. Cóżby jednak można było powiedzieć, gdyby ktoś zjawisko to wyjaśniał w ten sposób: »Odległość równa się różnicy pomiędzy absolutną wysokością balonu i kosza; powiększoną jest przez wszystko, co powiększa absolutną wysokość balonu i mniejsza absolutną wysokość kosza, a zmniejszoną przez wszystko, co zmniejsza absolutną wysokość balonu i powiększa absolutną wysokość kosza«. I dalej wciągał do wyjaśnienia wszelkie zjawiska, wpływające na absolutną wysokość balonu i kosza — gęstość atmosfery, wagę kosza i samego balonu, ilość znajdujących się w koszu osób, rzadkość gazu, napęniającego balon i t. d. — wszystko, z wyjątkiem długości liny!

Właśnie takie jest rozumowanie Malthusa. W wielostronowych roztrząsaniach bada on, dlaczego płaca robocza jest wysoką lub niską; z nieznużoną wytrwałością polemizuje z Ricardem, twierdząc, że łatwość lub trudność produkcji rolnej nie jest jedyną przyczyną podniesienia się lub obniżenia płacy roboczej, lecz, że wpływa na nią także i wielkość kapitału, który w danym momencie jest przeznaczony na zakup pracy; również gorliwie zapewnia, że stosunek podaży i popytu na produkt jest przyczyną zwiększenia się lub obniżenia dochodu z kapitału, zależnie od tego, czy cena produktów jest wyższą, czy też niższą — ale zapomina postawić najprostsze pytanie, do którego wszystko się sprowadza: jaka siła nie dopuszcza do zrównania się plac roboczych i cen produktów tak, że niezależnie od absolutnego poziomu jednych i drugich, pozostawiają zawsze pomiędzy sobą przestrzeń, którą wypełnia dochód z kapitału?

Bardzo lekko, jeszcze pobieżniej, niż w podobnej okoliczności Ricardo, napomyka Malthus o istnieniu takiej siły, robiąc uwagę, że stale zmniejszanie dochodu doprowadziłoby wreszcie do zupełnego zaniku »zdolności i chęci kapitalizowania«¹⁾. Ale, również jak i Ricardo, nie umie wyzyskać tego pierwiastku dla wyjaśnienia wysokości dochodu.

Zupełnie bezsilnem jest wreszcie wyjaśnienie Mal-

¹⁾ Op. cit., str. 303; podobnie str. 299 i inne.

thus'a dlatego, że dla wysokości jednego z dwu uznanych za miarodajne czynników, mianowicie wysokości cen na produkty, nie umie znaleźć głębszego wytłumaczenia, jak stosunek podaży i popytu¹⁾. Wyjaśnienie to jest wprawdzie niezaprzeczalnie prawidłowe, ale też nic nie wyjaśnia. Jest oczywiście przeciwieństwem, że stosunek popytu i podaży na pewne dobra wpływa na wysokość zysku, skoro zysk ten sam jest ceną, albo różnicą cen²⁾.

Po Malthusie teorię produkcyjności kapitału zajmował się w Anglii jeszcze Read³⁾, ale połączył ją z innymi, tak, że zajmujemy się nim później, mówiąc o eklektykach. Bardzo podobne poglądy spotykamy natomiast nieco później u pisarzy północno-amerykańskich: Henryka Carey i Peshine Smith.

Carey⁴⁾, w historii naszego tak pełnego zamieszania przedmiotu, służyć może jako przykład najrozpaczliwszego pomieszania. Wszystko, co mówi o zysku z kapitału, stanowi szereg płytkich i nieprzemyślanych błędów, które w niepojęty jakiś sposób zyskały sobie poważanie w świecie naukowym. Nie wydalbym tak ostrego wyroku, gdyby teoria zysku Carey'a dziś jeszcze⁵⁾ nie była przez wielu ceniona. Jest to jedna z tych teorii, które dyskredytują, mojem zdaniem, nie tylko swego autora, ale i całą naukę, która je bezkrytycznie przyjmuje, nie dlatego, że są błędne, lecz dlatego, że błędy te są nieprzebaczalne. Czytelnik może się sam z poniższego przekonać, czy sędzę za surowo.

Carey nie dał abstrakcyjnego sformułowania swoich poglądów na pochodzenie zysku z kapitału. Naogół lubi on wyciągać wyjaśnienie zjawisk gospodarczych, przytacza-

¹⁾ (Str. 335) »...the latter case... shews at once how much profits depend upon the prices of commodities and upon the cause which determines these prices, namely the supply compared with the demand«.

²⁾ Opuszczam szczegóły długiej i bezowocnej polemiki, którą Malthus prowadzi przeciw teorii zysku Ricarda. Przedstawia ona wiele słabych punktów. Bliższa i szczegółowsza krytykę znaleźć można u Pierstorff'a, op. cit., str. 23 i n.

³⁾ An inquiry into the naturale grounds of right to vendible property or wealth. Edinburgh, 1829.

⁴⁾ Główną jego pracą są Principles of social science, 1858. Cytuję według niemieckiego przekładu Adlera »Grundlagen der Sozialwissenschaft«, München, 1863.

⁵⁾ Pisane w r. 1884.

jąc elementarnie proste sytuacje z życia Robinsona, i tu więc zadowala się opisem powstania zysku z kapitału; zdanie zaś swoje o przyczynach tego zjawiska daje poznać tylko z charakterystycznych rysów, w które przebieg jego wypozaża. Z takich opisów musimy wyczytywać teorię Carey'a.

Carey tematem naszym zajmuje się ex professo w 41-ym rozdziale swoich »Principles«, zatytułowanym: »Placa, dochód i zysk«. Po kilku słowach wstępnych znajdujemy w § 1-ym następujący opis:

»Piętaszek nie miał łodzi i nie posiadał też niezbędego dla wytworzenia takiego przedmiotu kapitału umysłowego. Gdyby Robinson łódź posiadał, i Piętaszek chciał ją od niego pożyczyć, to pierwszy mógłby odpowiedzieć: »W pewnej odległości od wybrzeża jest mnóstwo ryb, zaś w naszym bezpośrednim sąsiedztwie są one rzadkością. Pracując bez pomocy mojej łodzi, przy całej swej pracowitości nie byłbyś pewnie w stanie zdobyć sobie niezbędnej dla utrzymania się przy życiu żywności; z pomocą łodzi w przeciągu czasu o połowę krótszego możesz złowić tyle ryb, ile ich potrzebujemy obaj. Daj mi trzy czwarte wszystkiego, co złowisz, a resztę zatrzymasz za swoją pracę. Będziesz miał w ten sposób obfity zapas żywności, a w dodatku pozostanie ci jeszcze znaczna ilość wolnego czasu, który możesz użyć na przygotowanie sobie lepszego mieszkania i odzieży«. Warunki te mogą się wydać twarde, lecz Piętaszek przyjąłby tę propozycję i ciągnął dochód z kapitału Robinsona, pomimo wysokiej zapłaty za jego używanie¹⁾.

Jak dotąd widzimy, teoria Carey'a jest dosyć wierną kopją teorii Lauderdale'a. Tak, jak ostatni, przyjmuje i Carey za punkt wyjścia, że kapitał jest przyczyną istnienia produkcyjnego nadmiaru. Okoliczność ta jest powodem, dla którego kapitalista pobiera zapłatę za używanie przedmiotów, stanowiących jego kapitał, a tę zapłatę — jak wynika z wielu ustępów — tak Lauderdale jak i Carey bez dalszych wahań identyfikują z omawianym zyskiem z kapitału, pomimo, że jest to poprostu tylko korzyść brutto z kapitału. To, że Carey, odstępując tu od Lauderdale'a, nie uważa kapitału za samodzielny czynnik produkcji, a tyl-

¹⁾ III, str. 128; podobnież I, str. 193.

ko za jej narzędzie¹⁾, nie zmienia wcale postaci rzeczy: pozostaje ten rys zasadniczy, że nadwyżka produkcji, wiążąca się z zastosowaniem kapitału, przedstawiona jest jako przyczyna istnienia zysku z kapitału.

Ale gdy na sumieniu Lauderdale'a ciąży tylko jedno pomieszczenie korzyści brutto i netto, Carey żongluje całym szeregiem pojęć. Płaci nie tylko korzyść brutto i czystą, ale te dwa pojęcia z pojęciem samego przedmiotu, stanowiącego kapitał; i to nie tylko przypadkowo, ale zasadniczo, ponieważ zupełnie świadomie identyfikuje przyczyn wyższego, lub niższego zysku z kapitału z przyczynami wyższej lub niższej wartości przedmiotów, stanowiących kapitał, i wprost wyprowadza wysokość stopy zysku z wysokości wartości przedmiotów, stanowiących kapitał!

To niepojęte pomieszanie pojęć ciągnie się poprzez wszystkie ustępy, w których Carey zajmuje się zyskiem z kapitału. Dla wyłożenia biegu jego myśli posługiwać się będę rozdziałami: VI (o Wartości) i XLI (o Płacy, Dochodzie i Zysku), w których najbardziej jednolicie mówi o rzeczach, które nas obchodzą.

Według znanej teorii wartości Carey'a wartość dóbr mierzy się wysokością kosztu ich odtworzenia. Wzrastający rozwój gospodarczy, który polega na wzrastającym opanowaniu przyrody przez człowieka, pozwala mu wciąż mniejszym kosztem odtwarzać zużyte dobra. Dotyczy to między innymi i tych narzędzi, które stanowią kapitał człowieka; kapitał więc wykazuje tendencję tracenia na wartości w miarę wzrostu kultury. »Ilość pracy, niezbędna dla odtworzenia istniejącego kapitału i dla dalszego zwiększenia jego ilości, zmniejsza się w każdym stadium postępu. Poprzednie zapasy stale tracą na wartości, i równie stale w porównaniu z niemi wzrasta wartość pracy«²⁾.

Jako zjawisko towarzyszące i skutek spadku wartości kapitału występuje też spadek ceny, płaconej za jego używanie. Zdania tego Carey właściwie nie motywuje — uważa je po prostu za zbyt oczywiste, czem też jest ono istotnie, jeśli je prawidłowo rozumieć — lecz wprowadza je po-

prostu w trybie oznajmującym do opisu gospodarczego rozwoju Robinsona. Opowiada, jak posiadacz pierwszej siekiery mógł wymagać za jej wypożyczenie więcej, niż połowę narąbanego drzewa, gdy później, z pojawieniem się lepszych i tańszych siekier, zaczęto za ich używanie płacić stosunkowo niższą cenę¹⁾.

Na tych przygotowawczych faktach buduje Carey następnie swoje wielkie prawo zysku z kapitału. Głosi ono, że z rozwojem kultury stopa dochodu z kapitału, to jest stopa zysku, spada, podczas gdy bezwzględna wielkość dochodu z kapitału wzrasta. Sposób, w jaki Carey do prawa tego dochodzi, wtedy tylko można będzie odpowiednio ocenić, jeśli dosłownie przytoczymy odnośne rozważania. Niech więc czytelnik wybaczy nieco przydługą dosłowną cytata, którą podaję poniżej:

»Aczkolwiek kamienna siekiera wykonywała tylko względnie małą ilość pracy, usługi były bardzo cenne dla jej właściciela. To też jasnym było dla niego, że człowiek, któremu ją pożyczał, musiał płacić wysoką cenę za jej używanie. Ten również, jak to łatwo zrozumieć, chętnie tę cenę płacił. Ponieważ z pomocą siekiery mógł w ciągu dnia narąbać drzewa więcej, niż bez niej w ciągu miesiąca, miał zawsze korzyść z używania jej, choćby mu pozostawiono tylko dziesiątą część produktu jego pracy. Z chwilą, gdy mu się pozwala zatrzymać czwartą część, wynagrodzenie jego znacznie się zwiększa, niezależnie od pokażnej sumy, którą zabiera jego sąsiad-kapitalista, jako dochód«.

»Siekiera z brązu, do której się następnie dochodzi, okazuje się o wiele użyteczniejszą, a posiadacz jej, gdy ktoś żąda od niego prawa korzystania z tego przedmiotu, musi wziąć pod uwagę okoliczność, że obecnie nie tylko znacznie wzrosła produktywność pracy, ale że jednocześnie mocno spadła ilość pracy, potrzebnej na wytworzenie siekiery, że więc potęgą kapitału w stosunku do pracy spadła, a zdolność pracy do odtworzenia kapitału wzrosła. Dlatego wymaga nie więcej, jak dwie trzecie części ceny użyteczniejszego narzędzia. ... Po zawarciu tego

¹⁾ III, str. 47, 78 i inne.

²⁾ III, str. 130. Podobnie t. I, rozdz. VI passim.

¹⁾ I, str. 193. Podobnie gdzie indziej.

układu znaczenie dawnego podziału w porównaniu z nowym tak się przedstawi:

	Całkowity dochód	Udział robotnika	Udział kapitalisty
Pierwszy podział	4	1	3
Drugi »	8	2.66	5.33

»Gdy wejdzie w grę siekiera żelazna, niezbędnym się stanie nowy podział, gdyż koszt odtworzenia znów się obniża, a udział pracy w porównaniu z kapitałem wzrasta. Nowe narzędzie rąbie dwa razy tyle drzewa, ile siekiera z brązu; a jednak posiadacz jej jest zmuszony zadowolić się połową produktu. Następujące liczby dają porównawczy rzut oka na różne rodzaje podziału:

	Całkowity dochód	Robotnik	Kapitalista
Pierwszy podział	4	1	3
Drugi »	9	2.66	5.33
Trzeci »	16	8	8

»Następna siekiera z żelaza i stali znów podwaja wynik pracy, przy dalszym zmniejszeniu kosztów odtworzenia; kapitalista musi się zadowolić sumą mniejszą, niż robotnik, i podział tak się przedstawi.

Czwarty podział 32 19,20. 12,80«.

»Udział robotnika się zwiększył: a ponieważ zwiększyła się też znacznie całość dochodu, zwiększenie ilości, przezeń otrzymywanej, jest bardzo poważne. Udział kapitalisty wprawdzie stosunkowo się zmniejszył, ale ponieważ dochód tak bardzo się zwiększył, ta zniżka proporcji łączy się ze znacznym zwiększeniem otrzymywanej ilości. Obaj więc ciągną duże korzyści z wprowadzonych ulepszeń. Z każdym dalszym krokiem w tym kierunku powtórzą się te same rezultaty: udział robotnika wzrasta w miarę wzrostu produktywności pracy, stopa udziału kapitalisty zmniejsza się równie prawidłowo, przy stałym zwiększeniu się ilości otrzymywanej i równie stałej tendencji do równości pomiędzy różnymi częściami społeczeństwa«.

»Tak brzmi wielkie prawo, podług którego dokonywa się podział produktów pracy. Ze wszystkich, zapisanych w księdze nauki, jest ono może najpiękniejszym, gdyż stwier-

dza zupełnie harmonię rzeczywistych i prawdziwych interesów różnych klas społeczeństwa¹⁾.

Proszę czytelnika, by na chwilę zatrzymał się na tym punkcie cytaty i dokładnie uprzytomnił sobie, co dotychczas Carey przypuszcza, i jeśli ściśle nie dowodzi, to w każdym razie podkreśla i uwypatnia. Przedmiotem, o który autorowi chodzi, jest cena, płacona za zezwolenie używania siekiery, a więc jej czynsz najemny. Wysokość tego czynszu porównywana jest z wysokością całkowitego dochodu, który robotnik może z pomocą siekiery uzyskać. Wynikiem przeprowadzonego porównania było stwierdzenie, że ze wzrostem kultury, czynsz najemny, płacony za przedmiot stanowiący kapitał, stanowi coraz mniejszą część całkowitego dochodu. To właśnie jest treścią prawa, które Carey dotychczas rozwijał i udowadniał, i które w skróceniu chętnie wyraża słowami: »udział kapitalisty się zmniejsza«.

Posłuchajmy, co mówi dalej:

»Po pewnym namyśle zrozumie czytelnik z łatwością, że prawo, ustalone odnośnie do dochodu z kapitału, ułożonego w siekierach, słusznem jest też odnośnie do kapitałów wszelkiego innego rodzaju«. Wykazuje najpierw działanie prawa na spadaniu czynszu najemnego w starych domach — o tem nie mamy nic szczególnego do nadmienienia — i ciągnie dalej: »To samo dzieje się z pieniędzmi. Brutus brał blisko pięćdziesiąt procent za korzystanie z nich, a za czasów Henryka VIII-go wolno było pożyczającemu pobierać tylko dziesięcioprocentową stopę. Od tego czasu stopa ta obniżyła się znacznie, i 4% stał się w Anglii tak powszechną stałą stopą procentową, że majątek ocenia się zawsze, jako dwudziestopięcioletnia renta; pomimo to wzrost potęgi ludzkiej jest tak znaczny, że współczesny posiadacz dwudziestej piątej części może za nią otrzymać większą sumę wygody i komfortu, niż dawniej posiadacz dziesięciny. W tem obniżaniu się sumy, pobieranej za usługi kapitału, widzimy najpoważniejszy dowód lepszego położenia człowieka«.

(t. III, str. 135).

Temi słowy dokonał Carey nagle śmiałego zwrotu.

¹⁾ III, str. 131—133.

Zajmuje takie stanowisko, jak gdyby podany poprzednio przykład odnosił się do stopy zysku (procentowej), i w dalszym ciągu stale uważa za rzecz dowiedzioną, że zmniejszanie się wartości kapitału oddziałuje na zmniejszenie się stopy zysku¹⁾.

To odwrócenie rzeczy opiera się na przekręceniu tak ordynarnem, że trudno sobie gorsze wyobrazić. W całym poprzednim toku dowodzenia stopa zysku nie została nawet wspomniana, a tem bardziej nie była przedmiotem żadnego uzasadnienia. Aby swą argumentację przenieść na stopę zysku, musi się Carey uciec do podwójnej zmiany znaczenia; najpierw pojęcie »usługa«, następnie pojęcie »stopa«, »stopa udziału«.

W toku dowodzenia używał zawsze słów usługa lub korzystanie z kapitału w sensie »korzyści brutto«. Wypożyczyć siekiere znaczy sprzedać wynikającą z niej korzyść brutto; cena, za to otrzymana, jest czynszem dzierżawnym albo zyskiem brutto. Teraz zaś używa słowa usługa w znaczeniu czystej korzyści, odpowiadającej czystemu (pieniężnemu) zyskowi. Podczas gdy dowiedzionem było, że zysk brutto wykazuje tendencję do stosunkowego obniżania się, Carey tłumaczy wynik dowodzenia w taki sposób, jakby ta tendencja dowiedzioną była dla czystego zysku.

Drugie podstawienie pojęć jest jeszcze gorsze.

W toku dowodzenia słowo »stopa«, »stopa udziału«, odnosiło się zawsze do stosunku sumy zysku do całości dochodu z pracy, wykonanej z pomocą kapitału. Teraz, przy zastosowywaniu wyniku dowodzenia, Carey tak tłumaczy słowo »stopa«, jakby ono miało wyrażać stosunek całkowitej korzyści do wartości kapitału, innemi słowy: stopę zysku. Mówi o »stopie, wynoszącej 10%«, mając przytem na myśli nie 10% wypracowanego z pomocą kapitału dochodu, ale 10% samego kapitału; a w zniżce stopy zysku z 10% na 4%, »w tem obniżeniu stopy, pobieranej za użytkowanie kapitału«, widzi poprostu zastosowanie dowiedzonego poprzednio prawa o obniżaniu »stopy«, nie zważy-

¹⁾ Nprz. t. III, str. 141: »Udział kapitalisty (= dochód, albo zysk, jak wskazuje dalsza część ustępu) zmniejsza się..., wskutek wielkiej oszczędności pracy«; str. 149 w końcu: »Zmniejszenie się kosztów reprodukcji i stąd wynikające zmniejszenie się stopy zysku« i t. d.

jąc na to, że dawniej słowo »stopa« znaczyło coś zupełnie innego, niż obecnie.

Aby przekonać czytelnika, że zarzut ten nie jest tylko grą subtelności, proszę go o rozważenie poniższego konkretnego przykładu, który możliwie najdokładniej dostosowuje do biegu myśli Carey'a.

Przypuśćmy, że zapomocą stalowej siekiery robotnik może obrobić w ciągu roku 1000 pni. Jeśli istnieje tylko jedna taka siekiera, i niema możności zrobienia drugiej, właściciel jej wzamian za pozwolenie jej używania może wymagać i otrzymać poważną część całkowitej zdobyczy, np. połowę. Wartość kapitału, którą ta jedyna siekiera może w tych warunkach osiągnąć, może wobec tego monopolu być dosyć wysoką, może np. odpowiadać wartości tylu pni, ile ich można zrybać w ciągu dwóch lat, więc 2000 pni. Cena 500 pni, płacona za roczne korzystanie z siekiery, przedstawia się więc jako stopa 50% rocznego dochodu, ale tylko jako stopa 25% wartości kapitału. Już to jedno dowodzi, że te dwie stopy nie są wcale identyczne. — Ale idźmy dalej.

Z biegiem czasu zjawia się umiejętność wytwarzania stalowych siekier w dowolnej ilości. Wartość kapitału, przedstawiana przez nie, spada do rozmiarów obecnych kosztów reprodukcji. Jeśli wynoszą one naprzykład 18 dni roboczych, to stalowa siekiera będzie kosztowała w przybliżeniu 50 pni, których odrobienie wymaga właśnie 18 dni roboczych. Naturalnie właściciel siekiery będzie się musiał teraz i przy jej wypożyczaniu zadowolić znacznie mniejszym udziałem w tyśiącu pni, które nią można zrybać w ciągu roku; zamiast połowy, jak dawniej, otrzymuje on mniej więcej 20-tą część, więc 50 pni. Tych 50 pni przedstawia z jednej strony pięć procent całkowitego dochodu, a z drugiej sto procent wartości kapitału siekiery.

Cóż więc widzimy? Stopa, wynosząca 50% całkowitego dochodu przedstawiała tylko 25% wartości kapitału siekiery; teraz stopa niższa, przedstawiająca 5% całkowitego dochodu, stanowi 100% wartości kapitału. Innemi więc słowy, podczas gdy stopa udziału w całkowitym dochodzie z niej szła się dziesięciokrotnie w porównaniu z poprzednim podziałem, stopa zysku przedstawiona przez tenże udział, mogła czterokrotnie wzrosnąć.

Tak więc »stopy«, tak łatwo przez Carey'a utożsa-

mione, nie są sobie nawet równoległe, a prawo Carey'a o »obniżaniu się udziału kapitalisty« wcale nie jest dowiedzionem dla stopy zysku, jak to autor chce, w nas wmówić!

Zdaje się, że nie potrzebuję już powtarzać, jak zupełnie bezwartościowymi są wywody Carey'a dla wyjaśnienia zysku z kapitału.

Właściwy problemat, kwestja, dlaczego część dochodu, przypadająca kapitaliście, więcej jest warta, niż wydany dla jej zdobycia kapitał, wcale nie jest poruszony, a płytkie pozorne rozwiązanie, które Carey podaje, nie może zadowolić najskromniejszych wymagań. Fakt, iż to pozorne rozwiązanie uzyskało jednak prawo wstępu do prac najpoważniejszych naszych i obcych pisarzy, jest tylko dowodem, jak mało sumienności i przenikliwości stosuje się niestety przy opracowywaniu zajmującego nas przedmiotu.

Niewiele, lub nawet wcale nie ściślej od Carey'a, jest uczeń jego E. Peshine Smith, którego *Manual of Political Economy* (1853) od niedawna rozpowszechnił się w Niemczech dzięki przekładowi Stöckla¹⁾.

Peshine Smith wprowadza dochód z kapitału z umowy spółkowej pomiędzy robotnikami a kapitalistami. Celem spółki jest »zmienić postać udzielonych przez kapitalistów towarów i zwiększyć ich wartość zapomocą nowego nakładu pracy«. Wynik, »nowo wytworzony przedmiot«, podzielony zostaje tak, że kapitalista otrzymuje więcej, niż zwrot udzielonego kapitału, a więc ciągnie dochód. Że tak ma być właśnie, uważa Smith poprostu za zrozumiałe samo przez się. Nie podejmując trudu formalnego wyjaśnienia, zadowala się on zupełnie ogólnikowym zapewnieniem, że tranzakcja musi »mieć na oku interesa obydwu«, i że »zarówno kapitalista, jak robotnik, oczekują odpowiedniego udziału w dochodzie ze swojej spółki handlowej«²⁾.

Dalej jednak powołuje się tylko na fakt: »i istotnie dochód ten mają«, powiada, »niezależnie od liczby przemian i wymian przebytych, zanim przychodzi do działu« (str. 99).

¹⁾ Handbuch der politischen Oekonomie von E. Peshine Smith, deutsch von Stöckel, Berlin, 1878. Na tym przekładzie opierałem się w mem przedstawieniu.

²⁾ Wyrażenie to jest poprzedzone przez »a więc«, tak mało umotywowane przez ustępy poprzedzające, że można myśleć o wypaczeniu ustępu przez niemieckiego tłumacza Smitha.

Formalną tylko różnicę wprowadza okoliczność, że na mocy umowy spółki ryzyko bierze na siebie raz kapitalista, to znowu robotnik. W pierwszym wypadku »udział robotnika w produkcji nazwać można płacą, a różnicę wartości pomiędzy materiałami, które robotnik dostaje, jakoteż i zużyciem zastosowanych narzędzi z jednej strony, a wykończonym produktem z drugiej, nazwiemy dochodem. Jeśli robotnik przyjmuje ryzyko, to udział, wypłacony kapitaliście ponad zwrot pożyczonego kapitału, nazywa się rentą« (str. 101).

Powierzchnowość, z jaką P. Smith traktuje ten ustęp, w którym przecież wprowadza dochód z kapitału do swego systemu i uchyla się od głębszego wyjaśnienia zjawiska, wykazuje wyraźnie, że nie ogarnął całości zagadnienia. Bądź co bądź, dotychczasowe jego wywody, choć ubogie w treść, są jednak prawidłowe.

Dalszy ciąg jednak nie może się pochłubić nawet tą skromną zaletą.

Smith przechodzi tu mianowicie do zbadania tego, jak oddziaływa zwrot kapitału na wysokość dochodu z kapitału, i powtarza przytem wiernie nietylko metodę wykładu i ostateczne wyniki, do których dochodzi Carey, ale też wszystkie jego błędy i przeoczenia.

Badanie jego tak się rozwija:

Najpierw, zupełnie na sposób Carey'a, podaje Smith parę obrazków gospodarczych ze stanu pierwotnego. Dzikie dochodzi do posiadania kamiennej siekiery i otrzymuje pozwolenie używania jej, pod warunkiem zbudowania łodzi dla siebie i drugiej dla jej właściciela. Następne pokolenie wprowadza już bronzowe siekiery, zapomocą których można zrobić trzy razy więcej, niż zapomocą siekiery kamiennej. Z sześciu łódek, które może teraz w ciągu tegoż czasu zbudować, robotnik zatrzymuje dla siebie cztery, podczas gdy kapitalista wymaga dwóch. Udział robotnika powiększył się, tak względnie, jak bezwzględnie, udział kapitalisty zwiększył się bezwzględnie, lecz względnie się obniżył: spadł z połowy do jednej trzeciej produktu. W okresie jeszcze późniejszym wchodzi w użycie doskonale amerykańskie siekiery dzisiejsze. Można nimi zrobić znów trzy razy więcej, niż bronzowymi siekierami, i z osiemnastu łodzi, czy innych produktów, które teraz przygotować może pożycz-

jący siekiere, zapłaci cztery za prawo jej używania, a czternaście zostanie mu, jako udział jego pracy. W ten sposób udział robotnika stosunkowo wzrasta, a udział kapitalisty się zmniejsza.

Doszedłszy do tego, zaczyna Smith zastosowywać zdobyte prawidła do współczesnego życia gospodarczego i jego form.

Najpierw forma transakcyj dzikich zastąpioną zostaje przez współczesne stosunki pożyczkowe.

»Podane wyżej przykłady przedstawiają kapitalistę, skłonnego do płacenia robotnikowi pewnego stałego wynagrodzenia, czerpanego z wspólnego produktu kapitału, który mu powierza, oraz jego (robotnika) mechanicznej siły. Rzykuje przytem, że robotnik nie wyteży wszystkich sił, i że pozostająca po wypłaceniu wynagrodzenia reszta, od której zależy jego dochód, będzie mniejszą, niż to z obliczeń jego wypadło. W celu zapobieżenia tej możliwości, stara się on naturalnie płacić wynagrodzenie niższe, niżby mu uczciwy i pilny wysiłek robotnika pozwolił płacić bez zmniejszenia oczekiwanego dochodu. Ale robotnik, który wie, czego może dokazać, a nie chce poddać się zniżce płacy, woli zapewnić dochód, którego pragnie kapitalista i sam przyjmuje ryzyko, czy produkt da dochód, wystarczający na pokrycie płacy tej wysokości, przed którą wzdraga się kapitalista. Tak powstaje stosunek pożyczkowy.

Uważny czytelnik spostrzeże, że w tym ustępie nietylko stare formy układu zastąpione są nowymi, przeciwko czemu nic nie mamy do zarzucenia, ale też zamiast dawniej wspomianej opłaty za użytkowanie, która była zyskiem brutto, mamy do czynienia z »dochodem« (czystym zyskiem), czemu dużo można zarzucić.

Ale Smith idzie jeszcze dalej. Zastępuje bez namysłu stopę udziału w produkcji przez stopę kapitału, czyli stopę zysku. Carey popełnił ten sam błąd na ślepo; Smith, co dziwniejsze i trudniejsze do wytłumaczenia, czyni to po głębokiej rozwadze. »Ludzie obliczają swój dochód zapomocą porównania dawnego majątku z jego przyrostem. Kapitalista oblicza korzyść swoją nie według swojej części produktu, otrzymywanej na mocy układu z pracą, a tylko w stosunku do wzrostu dawnego swego kapitału. Powiada, że wziął tyle to procentów za swój kapitał; pożycza

go na taki procent rocznie. Różnica leży nie w rzeczy samej, tylko w arytmetycznym określeniu. Jeśli udział jego w produkcji, składającym się z pierwotnego kapitału i z przyrostu, jest mały, to i stosunek przyrostu będzie nieznaczny« (str. 107).

A więc mały udział w produkcji i niska stopa procentowa mają być materialnie identycznymi, a różnicę stanowią tylko arytmetyczne określenia tego stanu rzeczy! Aby ocenić tę przedziwną doktrynę, dosyć mi będzie przypomnieć czytelnikowi wysunięty wyżej przeciw Carey'owi przykład. Widzieliśmy, że połowa produktu może stanowić 25% kapitału, dwudziesta część 100%. Jest to chyba coś więcej ponad zwykłe różnice w matematycznych określeniach.

Opierając się o takie przedstawienie pojęć, może Smith wreszcie ogłosić »wielkie prawo« Carey'a, że ze wzrostem kultury zmniejsza się udział kapitalisty, t. j. stopa zysku, sprawdzić to zapomocą historycznego faktu, że w bogatych krajach stopa zysku się obniża (str. 108) i dać przez to przykład, jak można dosyć słuszny wniosek wyciągnąć z zupełnie błędnego dowodzenia.

Skromny, lecz sumienny i głęboko przemysłany sposób, w jaki ujmuje nasze zagadnienie niemiecki badacz v. Thünen¹⁾, stanowi przyjemny kontrast z lekkomyślną metodą wymienionych przed chwilą amerykańskich pisarzy.

Thünen, również jak i Carey, bada powstanie zysku z kapitału genetycznie. Cofa się do najprymitywniejszych stosunków gospodarczych, śledzi pierwsze początki tworzenia kapitału, i bada, w jaki sposób i w jakich warunkach powstaje tam zysk z kapitału, oraz według jakich praw dalej się rozwija. Przed rozpoczęciem właściwych badań usiłuje z drobiazgową ścisłością ustalić wszystkie faktyczne hipotezy, które mają mu służyć za punkt wyjścia, oraz terminologję, którą ma zamiar się posługiwać (str. 74—90); — ostrożność ta jest dla nas rysem charakterystycznym sumiennej gruntowności Thünen'a, dla niego zaś cennym środkiem samokontroli.

¹⁾ Der isolierte Staat. 2 wyd. Rostock, 1842—1863. Cytowane w tekście liczby stronic odnoszą się do 1 działu II-ej części (1850).

Z tego wstępu dowiadujemy się, że Thünen przypuszcza istnienie szczepu, zaopatrzonego we wszelkie umiejętności, wiadomości i zdobycze cywilizacji, ale zupełnie nieznającego kapitału, szczepu, który żyje w najurodzajniejszej podzwrotnikowej strefie, nie stykając się z innymi ludami, tak, że tworzenie się kapitału nastąpić musi zupełnie samorzutnie, bez żadnego zewnętrznego wpływu. Ziemia nie posiada jeszcze żadnej wartości zamiennej, wszyscy członkowie szczepu są w tym samym położeniu, równie zręczni i oszczędni, i pracą zdobywający środki do życia. Za miarę wartości przyjmuje Thünen dla swego doświadczenia środki utrzymania robotnika, a jako jednostkę setną część środków utrzymania, których robotnik potrzebuje w ciągu jednego roku. Roczne spożycie oznacza literą S, $\frac{1}{100}$ część literą c, tak, że $S = 100c$.

»Jeżeli« zaczyna Thünen swoje dowodzenie (str. 90) »pracowity i oszczędny robotnik może pracą rąk swoich wytworzyć o 10% więcej, niż potrzebuje na swoje utrzymanie, t. j. 1,1 S, albo 110 c rocznie, to po odliczeniu tego, co mu jest niezbędne do utrzymania się przy życiu, pozostanie mu 110 c — 100 c = 10 c«.

»Tak więc w ciągu 10-u lat może on zgromadzić zapas, któryby mu pozwolił przez rok jeden żyć nie pracując, albo też pracę caloroczną obrócić na przygotowanie potrzebnych narzędzi, a więc na tworzenie kapitału«.

»Przyjrzyjmy mu się przy tej wytwarzającej kapitał pracy«.

»Zapomocą odłamka krzemienia wyrabia z drzewa łuk i strzałę; ość rybia służy tej strzale za ostrze. Z włókna kory drzewnej lub opony kokosowego orzecha robi jakby sznury i nici, a z nich cięciwę do łuku oraz sieć rybacką«.

»W następnym roku powraca znów do wytwarzania środków utrzymania; ale teraz zaopatrzony jest w łuk, strzały i sieci, praca jego z pomocą tych narzędzi będzie o wiele wydawniejsza, wynik jej o wiele większy«.

»Jeżeli wynik jego pracy — po odliczeniu tego, co musi być zużyte na utrzymanie w dobrym stanie narzędzi — wzniesie się przez to ze 110 c do 150 c, to w ciągu roku może zaoszczędzić 50 c, i nadal tylko dwa lata poświęcać zdobywaniu środków utrzymania, by znów przez cały rok wyrabiać tylko łuki i sieci«.

»Sam już teraz nie potrzebuje ich używać, bo wystarczą mu te narzędzia, które przygotował sobie w ciągu lat ubiegłych; ale może je pożyczyć robotnikowi, który dotąd pracował bez kapitału«.

»Ten drugi robotnik wytwarzał dotychczas 110 c; gdy wypożyczy kapitał, na wytworzenie którego pierwszy robotnik poświęcił caloroczną pracę, to, jeśli otrzyma i zwróci narzędzie o identycznej wartości¹⁾, wynik jego pracy będzie się równał 150 c. Przyrost, zdobyty dzięki zastosowaniu kapitału, wyniesie 40 c«.

»Robotnik ten może więc za wypożyczony kapitał płać rentę wysokości 40 c, którą robotnik, wytwarzający kapitał, stale pobiera za swą jednoroczną pracę«.

»Natykamy się tu na pochodzenie i przyczynę istnienia zysku, oraz na jego stosunek do kapitału. Kapitał i zysk znajdują się w takim samym stosunku wzajemnym, jak płaca robocza i wysokość renty, którą tworzy ta sama praca, użyta na wytwarzanie kapitału«.

»W wypadku powyższym wynagrodzenie za 1 rok pracy = 110 c; renta, którą daje kapitał, wytworzony przez jednoroczną pracę, wynosi 40 c«.

»Stosunek więc jest jak 110 c i 40 c = 100 : 36, 4, stopa zysku = 36, 4%«.

Dalszy ciąg odnosi się nietylko do pochodzenia zysku, ile do jego wysokości. Zaznajomimy się więc tylko w krótkości z paru zasadniczymi myślami, które mogą w dalszym ciągu zobrazować sposób ujęcia zagadnienia przez Thünera.

Thünen uważa, że z wzrostem kapitału zmniejsza się jego znaczenie produkcyjne, w ten sposób, że każdy nowy

¹⁾ »Ale w jaki sposób pożyczony przedmiot może być otrzymany i zwrócony w tym samym stanie i o identycznej wartości? Zapewne, jest to niemożliwe, o ile dotyczy poszczególnych przedmiotów, ale zupełnie swobodnie może nastąpić, gdy chodzi o całość przedmiotów, wypożyczanych przez pewien naród. Jeśli np. ktoś wynajmuje 100 budynków, o stuletniej trwałości, pod warunkiem, że wynajmujący co rok wznosić będzie po jednym nowym budynku, to pomimo corocznego zużywania, budynki te zachowają tę samą wartość. W badaniu naszym musimy bezwzględnie brać pod uwagę całość i jeśli przedstawiliśmy tu tylko dwie działające osoby, to jest to poprostu przenośnia, której zadaniem jest uwidocznić zjawisko zachodzące w tym czasie w całym narodzie«. (Odsyłacz Thünera).

przyrost kapitału w mniejszym stopniu zwiększa wynik pracy ludzkiej, niż to uczynił poprzedni. Jeśli np. pierwszy kapitał zwiększył wynik pracy o 40 c, t. j. doprowadził go ze 110 c do 150 c, to następny, dołączony do niego, kapitał wywoła powiększenie o 36 c, trzeci tylko o 32, 4 c i t. d. A to z dwóch przyczyn:

«1. Z chwilą, gdy najważniejsze narzędzia, maszyny i t. p., z których się kapitał składa, znajdują się już w wytwarzającej ilości, to dalsze wytwarzanie kapitału musi być spowodowane do wytwarzania narzędzi mniej niezbędnych.

2. W rolnictwie przyrost kapitału, jeśli ma on wszędzie znaleźć zastosowanie, prowadzi do uprawy mniej urodzajnych, gorzej położonych gruntów, albo do intensywniejszej, więc z większymi kosztami związanej gospodarki — a w tych wypadkach ostatnio włożony kapitał daje mniejszą rentę, niż kapitały, włożone poprzednio¹⁾.

W tym samym stopniu, co wywołany przez działanie kapitału przyrost, zmniejsza się naturalnie cena, która może być i jest płaconą za pozwolenie używania kapitału, a ponieważ nie mogą istnieć obok siebie dwie odmienne stopy zysku dla kapitałów, wcześniej i później włożonych, zysk całego kapitału ustala się zależnie od »użyteczności ostatniej włożonej części kapitału« (str. 100). Na skutek tego stosunku stopa zysku wykazuje tendencję do zniżania w miarę wzrostu kapitału, a wynikające stąd zmniejszenie renty wychodzi na dobre robotnikowi, ponieważ zwiększa wynagrodzenie jego pracy (str. 101).

Jak widzimy, punktem wyjścia Thünera jest najwyraźniej produkcyjne działanie kapitału: nie jest ono dla niego tylko ogólnikową przyczyną powstawania zysku z kapitału, ale każdorazowy jego stopień określa też ściśle wysokość stopy zysku.

Wartość tej teorii zależy całkowicie od tego, w jaki sposób przedstawiony będzie związek pomiędzy większą wydajnością wspomaganej przez kapitał pracy i otrzymywaniem przez właściciela kapitału nadwyżki wartości.

Thüner szczęśliwie omija dwie niebezpieczne rafy: nie snuje fantazji na temat wartościotwórczej zdolności ka-

¹⁾ Str. 195. Szczegółowiej, str. 93 i nast.

pitału, a przyznaje mu tylko to, co w istocie się spotyka, a mianowicie zdolność współdziałania przy wytwarzaniu większej ilości produktów, albo, innymi słowy, produkcyjność fizyczną. Następnie uniknął też Thünera szczególnie fatalnego splątania zysku brutto i czystego: to, co nazywa on czystym zyskiem, owe 40 c, 36 c, 32, 4 c etc., które otrzymuje kapitalista, są istotnie tym czystym zyskiem, gdyż zgodnie z wyraźnie sformułowanym przypuszczeniem (strona 91, wiersze końcowe), dłużnik pozatem jeszcze zwraca całkowitą wartość przedmiotu, stanowiącego kapitał.

Ale właśnie przez to przypuszczenie stworzył Thüner z innej strony słaby punkt w swej teorii.

Etapy myślowe, wiodące w teorii Thünera od fizycznej produkcyjności kapitału do otrzymywania nadwartości²⁾ przez kapitalistę, tak się dają uwydatnić:

1. Praca, wspomagana przez kapitał, może wytworzyć większą masę produktów. — Ta hipoteza jest bezsprzecznie słuszną.

2. Przrost, wywołany przez zastosowanie kapitału, daje się w przykładzie Thünera rozłożyć na dwa składniki: najpierw owe 40 c, 36 c lub 32, 4 c, które kapitalista otrzymuje w postaci środków utrzymania, a następnie odtworzenie samego dobra-kapitału zużytego przy produkcji. Dopiero oba te składniki razem wzięte stanowią dochód brutto, wynikający z zastosowania kapitału. — Na dowód, że to ważne, a niedość wyraźnie przez Thünera podkreślone twierdzenie istotnie mieści się w teorii tego autora, pozwolę sobie wstawić tu małe obliczenie.

Według Thünera rok pracy, nie wspomaganej przez kapitał, przynosi 110 c. Rok pracy, wspomaganej przez kapitał, wystarcza nie tylko na odnowienie kapitału, o ile został zużyty, ale ponadto na wytworzenie 150 c. Różnica wyników tych dwu sposobów wytwarzania, którą wyraża spowodowany przez zastosowanie kapitału przyrost, przedstawia więc w istocie rzeczy 40 c plus odtworzenie samego kapitału. Można by tu zwrócić uwagę, że Thüner nie zbyt jasno podkreślił istnienie drugiego składnika, ponieważ poza dwoma ustępami str. 90-ej nie wspomina go wcale i nawet pomija go przy układaniu dalszych tablic (str. 98, 110 i t. d.). Ścisłość ich jest nawet poważnie zachwiana wskutek tego,

gdyż łatwo sobie wyobrazić, że jeżeli zastosowane są kapitały, kosztujące 6 lub 10 lat pracy, to praca, używana corocznie na ich odtworzenie musi pochłaniać poważną część całej siły roboczej.

3. Wywołany przez zastosowanie kapitału przyrost produktu¹⁾ (odtworzenie + 40 c, bądź 36 c, lub 32, 4 c) przypada w udziale kapitaliście, jako takiemu. — Ta hipoteza Thünera jest, moim zdaniem, naogół zupełnie prawidłowa, pomimo że walka cen może w pojedynczych wypadkach zmieniać udział kapitalisty.

4. Ten, przypadający kapitaliście, dochód brutto z kapitału posiada z reguły większą wartość, niż zużyta dla wytworzenia go część kapitału, tak, że pozostaje zawsze pewien czysty dochód, pewna nadwartość, pewien czysty zysk z kapitału. — Zdanie to stanowi ogniwo zamykające naturalnie poprzedzający łańcuch rozważań. Thüner nie sformułował go tak samo jak i poprzednich tez w postaci ogólnego twierdzenia. Wypowiada je tylko w ten sposób, że w końcu jego przykładu znajduje się fakt istnienia prawidłowej nadwyżki wartości tego, co kapitalista otrzymuje nad tem, co daje; ponieważ zaś wybrany przez autora przykład ma być typowym, odpowiada to merytorycznie wyraźnemu sformułowaniu twierdzenia, tem bardziej, że Thüner musi wyjaśniać i motywować istnienie stałej nadwyżki wartości produktu kapitału ponad wydatek kapitału, gdyż chce wyjaśnić zysk z kapitału, właśnie z tej nadwyżki powstający.

Dotarliśmy tu do ostatniego decydującego etapu prawidłowego w ogólnych zarysach biegu myśli Thünera. Ale właśnie w tym decydującym punkcie teoria jego okazuje się słabą.

Na pytanie: w jaki sposób motywuje i wyjaśnia Thüner istnienie nadwyżki wartości? musimy odpowiedzieć: nie wyjaśnia jej wcale, zgóry ją przypuszcza. I właśnie to decydujące przypuszczenie spotykamy w miejscu, bardzo

¹⁾ Dla uniknięcia nieporozumień podkreślam wyraźnie, że Thüner uważa przyrost produktu, wywołany przez ostatnią włożoną część kapitału za miarodajny dla całej masy kapitału.

mało zwracającą uwagę, w którym Thüner mówi, iż posiadanie kapitału umożliwia robotnikowi, po odciągnięciu tego, co jest niezbędne dla utrzymania kapitału »w równie dobrym stanie« i »w tej samej wartości«, wytwarzać jeszcze nadwyżkę produktu, wynoszącą 40 c, 36 c i t. d. Rozpatrzmy uważniej treść tego tak niewinnego pozornie zdania, a zobaczymy, że zawiera ono przypuszczenie, iż kapitał posiada zdolność: 1-o odtwarzać siebie i swoją wartość, 2-o wytwarzać coś jeszcze ponadto. Jeżeli, jak się tu przypuszcza, produkt kapitału jest zawsze sumą, w której pierwsza dodajna równa się już całemu wydatkowi kapitału, to naturalnie zrozumiałem jest samo przez się, że cała suma musi być większą, niż ten wydatek, i Thüner ma zupełną słuszość nie zatrzymując się przy dłuższem wyjaśnieniu tego stosunku. Ale powstaje pytanie, czy Thüner był uprawniony do przypuszczania z góry takiego skutku działania kapitału.

Zdaje mi się, że odpowiedź musi być stanowczo przecząca. Wprawdzie w konkretnej sytuacji, w którą nas wprowadza Thüner na początku swojej hipotezy, może się nam to przypuszczenie wydać zupełnie możliwym. Nie znajdziemy nic niemożliwego w przyjęciu, iż myśliwy, zaopatrzony w łuk i strzały, jest w stanie nie tylko zabić w ciągu roku o 40 sztuk zwierzyny więcej, niż bez tej broni, ale też znaleźć dosyć czasu na utrzymanie łuku i strzał w dobrym stanie, względnie na ich odnowienie, tak, by w końcu roku odtworzony jego kapitał posiadał tę samą wartość, co w początku. Ale czy można stawiać podobne hipotezy, gdy chodzi o bardziej skomplikowany stan gospodarczy? taki stan mianowicie, w którym kapitał zbyt jest różnorodny, a podział pracy zbyt rozwinięty, by robotnik, korzystający z kapitału, mógł sam go odtworzyć? A jeżeli robotnik musi zapłacić za odtworzenie kapitału, to czy jest zrozumiałe samo przez się, że nadwyżka produktu, wyworzona z pomocą kapitału wyniesie więcej, niż koszt odtworzenia, względnie wartość zużytych części kapitału?

Napewno nie. Przeciwnie, istnieją dwie możliwości, które byłyby w stanie tę nadwyżkę unicestwić. Najpierw możliwe jest, że wskutek wielkiej produkcyjnej korzyści, którą zapewnia posiadanie przedmiotu, stanowiącego kapitał, szacunek jego wartości wzrośnie tak bardzo, że wartość

jego zrówna się z wartością oczekiwanego produktu; np. luk i strzały, które w ciągu całego swego istnienia ułatwiły zabicie 100-u sztuk zwierzyny więcej, niżby to było możliwe bez nich, otrzymają wartość tych samych 100-u sztuk zwierzyny. W takim razie myśliwy musiałby oddać wytwórcy broni, jako zwrot za narzędzie zużyte, całą nadwyżkę, t. j. 100 sztuk zwierzyny, bądź ich wartość, i nie pozostałoby mu nic na wypłacenie właścicielowi broni, który mu jej pożyczył, pewnej nadwyżki, pewnego zysku z kapitału.

Albo też, współzawodnictwo przy wytwarzaniu broni jest tak silne, że obniża cenę w stosunku tego najwyższego szacunku wartości. Ale czy to samo współzawodnictwo nie obniży też roszczeń kapitalisty, stawianych przy wypożyczeniu broni? Lauderdale przypuścił istnienie takiego nacisku, Carey również, a doświadczenie życia gospodarczego nie pozostawia co do niego żadnej wątpliwości. Żadamy tu pytanie w ten sposób, jakieśmy je stawiali, gdy chodziło o Lauderdale'a: dlaczego nacisk współzawodnictwa na udział kapitalisty nie miałby być tak silnym, by obniżyć wartość tego udziału do wartości przedmiotu, stanowiącego kapitał? Dlaczego nie miałyby się wytwarzać i zastosowywać tylu egzemplarzy pewnego rodzaju kapitału, że to zastosowanie nie przynosiłoby nic ponad proste odtworzenie (zastąpienie) przedmiotu, stanowiącego kapitał? Z chwilą, z którąby się to stało, usuniętaby została nadwartość, a z nią i zysk.

Krótko mówiąc, widzę trzy możliwości co do stosunku wartości produktu kapitału do wartości wytwarzającego się kapitału. Albo wartość produktu wznosi i zbliża ku sobie wartość przedmiotu, stanowiącego kapitał; albo wartość przedmiotu, stanowiącego kapitał, dzięki współzawodnictwu obniża i zbliża ku sobie wartość dochodu kapitału; albo wreszcie część produktu, należna kapitałowi pozostaje wyższą, niż wartość przedmiotu stanowiącego kapitał. Thünen przypuszcza trzeci wypadek, nie dowodząc jego słuszności, ani też go — i to stanowi błąd najważniejszy — wyjaśniając; ale przez to przypuścił też, zamiast je wyjaśnić, całe zjawisko, o którego wyjaśnienie chodziło, a mianowicie zysk z kapitału.

Ostateczny więc wyrok nasz sformułujemy w ten sposób: Thünen dał odmianę teorii produktywności subtel-

niejszą, głębszą i bardziej przemyślaną, niż inne, wcześniejsze, ale i on się zachwiał w punkcie najniebezpieczniejszym: tam, gdzie chodzi o wyprowadzenie z fizycznej produktywności kapitału, z nadwyżki w produktach, nadwartości, wprowadził do hipotezy to, co winno być wytłumaczeniem¹⁾.

¹⁾ Nie chcę obciążać wykładu jeszcze subtelniejszymi rozumowaniami, niż te, któremi już musiałem czytelnika zajmować, więc w odsyłaczu umieszczam niektóre dopełnienia do powyższej krytyki. Praca Thünera posiada dwa punkty, które możnaby uważać za próby usprawiedliwienia owego wprowadzenia, więc za przyczynki do prawdziwego wyjaśnienia zysku. Pierwszy przyczynek znajduje się w często (np. str. 111 i 149) powtarzanej uwadze, że najwyższa suma renty kapitału występuje przy pewnej określonej wysokości wkładu i opada po przekroczeniu tej granicy, tak, że dalsze wytwarzanie kapitałów nie leży już w interesie ich wytwórców. Możliwość to zdanie traktować, jako wyjaśnienie faktu, że podaż przedmiotów, stanowiących kapitał, nie mogłaby się tak wznieść, by aż sprowadzić do zera czysty zysk. Ale ten взгляд na całość korzyści stanu kapitalistów nie wywiera żadnego przymusu, a nawet żadnego wpływu na sposób postępowania poszczególnego kapitalisty, więc nie może powstrzymać dalszego wzrostu kapitału. Każdy, słusznie zresztą, przypisuje nieskończenie mały wpływ na wysokość krajowej stopy zysku, swemu, dzięki osobistej oszczędności, osiągniętemu przyrostowi kapitału. Przeciwnie zaś, przypisuje wpływ bardzo poważny na zwiększenie swego własnego dochodu — i dlatego każdy, kto ma ochotę i możność oszczędzania, będzie bezwarunkowo oszczędzał; tak samo, jak każdy posiadacz ziemi przeprowadza meliorację gruntów i ulepsza system gospodarki, jak może, nawet jeśli teoretycznie wie, iż gdyby wszyscy posiadacze ziemi to robili, to przy niezmiennym stanie zaludnienia wywołałoby to spadek cen na produkty i, pomimo zmniejszonych kosztów, spadek renty gruntowej. — Drugi możnaby odnaleźć w przedrukowanym wyżej (str. 199) odsyłaczu Thünera do tego ustępu, w którym mówi o odtworzeniu kapitału przez dłużnika. Thünen powołuje się tam na to, że »w badaniu tem należy brać pod uwagę całość«. Możliwość tę wzmiankę uważać za próbę dowodzenia, iż przyjęte w tekście zjawisko odtwarzania przedmiotu, stanowiącego kapitał, przez pracę tego, kto się nim posługuje niezależnie od wytworzonej przezeń nadwyżki produktu zachowuje znaczenie swoje we wszelkich warunkach gospodarczych, o ile się zastąpi poszczególną jednostkę przez całość narodu; nawet gdyby poszczególna jednostka nie była w stanie odtworzyć własną pracą zużyty przez siebie kapitał, to jednak wśród całego narodu mogłyby nastąpić takie stosunki, przy których ludzie, korzystając z kapitału, byłiby w stanie wytworzyć pewną nadwyżkę produktu i ponadto — zapomocą części zaoszczędzonej pracy — odtworzyć kapitał zużyty. W ta-

Metoda Thünera jest punktem szczytowym dokładnego i głęboko przemyślanego badania. Niestety, wskazana przezeń wyżyna opuszczona została wkrótce i przez niemiecką literaturę. Już najbliższy jego następca w omawianym kierunku, Glaser¹⁾, przy całej dobrej woli przedstawia wyraźne cofnięcie się pod względem głębokości ujęcia i subtelności w przeprowadzaniu rozumowań.

Kapitał, który ujmuje zupełnie prawidłowo, jako »zastosowanie pośrednio użytej pracy«, wydaje mu się niewątpliwie produkcyjnym. Zarzut, iż kapitał jest martwym narzędziem, które tylko przez zastosowanie pracy ożywia się i robi owocującym, odpięra, twierdząc, że z taką samą słuszością można by powiedzieć rzecz przeciwną, t. j., że »praca jest martwą, i tylko kapitał ją ożywia«²⁾. Podobnie pewnym jest dla niego, że przyczyną istnienia dochodu z kapitału jest produkcyjność kapitału. »Dochód z kapitału« powiada, »pochodzi stąd, że kapitał doprowadza do skutku część produ-

kiem rozumowaniu zdawałoby się, znaleźćby można argumenty, osłabiające zrobione przeze mnie hipotezie Thünera zarzut, że słuszną jest tylko dla stosunków gospodarczych najprostszymi, a dla stosunków bardziej skomplikowanych niewystarczającą. Nie sądzę, aby ta wzmianka o braniu pod uwagę całości w ten sposób była przez autora rozumiana. Ale gdyby nawet tak było, nie osłabia ona w niczem moich zarzutów. W zagadnieniach bowiem, dotyczących podziału — a zagadnienie zysku z kapitału do takich właśnie należy, — właśnie nie należy we wszelkich warunkach brać pod uwagę »całości«. Z tego, że społeczeństwo, jako całość, jest wstanie z pomocą kapitału wytworzyć więcej produktów i ponadto sam kapitał odtworzyć, nie wynika wcale, by miał istnieć zysk z kapitału, gdyż ta nadwyżka mogłaby równie dobrze być użyta na zwiększenie płacy robotników, którzy przecież dla jej wytworzenia niemniej od kapitału byli niezbędni, jak na wypłatę zysku kapitalistom. Zysk z kapitału, jako nadwyżka wartości indywidualnego produktu nad wartością indywidualnego nakładu kapitału, zależy raczej od tego, że poszczególne jednostki stale otrzymuje przedmioty, stanowiące kapitał, za cenę niższą od wartości otrzymanej z ich pomocą nadwyżki produktu. Nie jest to jednak zagwarantowane przez omawiany wyżej stosunek, zachodzący w całokształcie gospodarki, a w każdym razie nie jest zrozumiałe samo przez się. Gdyby tak było, to doprawdy nie byłoby tyle teoryj w sprawie tak zupełnie oczywistej!

¹⁾ Die allgemeine Wirtschaftslehre oder Nationalökonomie, Berlin, 1858.

²⁾ Str. 59 i 203. Dalsze przytoczone w tekście wyciągi z Glaser'a znajdują się w op. cit., str. 203 i nast.

kcji; dochód ten jest tylko zapłatą za to współdziałanie«. Przytakuje wyraźnie Say'owi, który już to samo utrzymywał, zarzuca mu tylko całkiem słusznie, że nie mógł wykazać »rodzaju współdziałania kapitału«.

Podje muje się więc Glaser sam rozwiązywania tego zadania, które uważa za niezbyt trudne. Niestety, czyni to w sposób, niekorzystnie świadczący o subtelności jego teoretycznych rozumowań.

Glaser wychodzi z tego założenia, że wszelki kapitał jest owocem pracy, że wartość kapitału, jak i wartość wszelkich dóbr, daje się mierzyć ilością pracy, niezbędnej dla jego wytworzenia, i że zastosowanie kapitału traktować należy, jako zastosowanie pośrednio użytej pracy. »Zupełnie obojętnem jest dla sprawy, czy zatrudniam w ciągu roku stu robotników, czy zastosowuję produkt, przez tych stu robotników wytworzony«. Kapitalista więc całkiem słusznie wymaga udzielenia mu takiej części otrzymanego produktu, jak gdyby zatrudnił w produkcji robotników, którzy wytworzyli jego kapitał. Jeśli np. kapitałem jest maszyna, posiadająca wartość całorocznej pracy 100 robotników, a wytworzenie pewnego określonego produktu wymaga jeszcze całorocznej pracy 500 robotników, to produkt należy uważać za wynik rocznej pracy 600 robotników; kapitalista miałby w takim razie prawo żądać dla siebie wynagrodzenia 100 robotników, a więc szóstej części całego produktu.

Jak dotąd, niema powodu do opozycji przeciw rozumowaniom Glaser'a, ale też trudno zrozumieć, skąd wśród uczynionych przypuszczeń ma się wziąć dochód kapitalisty. Sam Glaser zapytuje: »Jeśli produkt posiada właśnie wartość 600 robotników (?), to skąd może tu jeszcze wyrósć dochód kapitalisty?«.

Rozwiązanie tej zagadki znajduje w tem, że przy zastosowaniu kapitału więcej się wytwarza, niż bez niego. Z tego gromadzi się pewien zapas, umożliwiający wynagrodzenie usług kapitału. Zapas ten w części tylko przypada kapitaliście, pozostałość dostaje się robotnikom, których położenie również się polepsza, dzięki zastosowaniu kapitału; zresztą całe społeczeństwo korzysta z nadwyżki produktu. Podział następuje w myśl zasady, że kapitał należy uważać za pośrednio użytą pracę, która otrzymuje takie samo wynagrodzenie, jak praca bezpośrednia. »Jeśli np. robotnicy, którzy

wytworzyli kapitał, stanowią szóstą część wszystkich robotników, to z całości produktu przypadnie kapitaliście szоста część — (przypuszczamy, że całość kapitału została przy zastosowaniu do produkcji zniszczoną).

»Ta szosta część« kończy Glaser swoje wywody »będzie wynosiła więcej, niżby potrzeba dla odtworzenia kapitału, i ta nadwyżka będzie właśnie tworzyła dochód z kapitału«.

To końcowe zdanie zawiera zupełnie nieumotywowane przypuszczenie. Glaser przyjmuje tu, jako pewne, że szosta część, należąca kapitaliście, wyniesie więcej, niż potrzeba dla odtworzenia kapitału. Nie dowodzi jednak tego ani jednym słowem, gdy twierdzenie to stoi w wyraźnej sprzeczności ze wszystkimi przesłankami: ze wszystkiego, co było powiedziane, wynika właśnie, że cała szosta część, należąca kapitaliście, potrzebna jest dla odtworzenia kapitału, i że dochód zostawiać wcale nie może. Łatwo tego dowieść.

Nieprawdopodobne jest i według hipotezy wyraźnie wykluczone, by robotnicy, którzy wytworzyli kapitał, byli gorzej opłacani, niż robotnicy bezpośredni; a jeśli płaca pośredników robotników jest równie wysoka, jak płaca bezpośrednich, a ci, pięciokrotnie liczniejsi, otrzymują $\frac{1}{5}$ całości produktu, to pośredni robotnicy muszą otrzymać piątą część ich płacy, to jest szóstą część całości produktu; w ten sposób cały produkt podzielony zostaje pomiędzy robotników, i dla kapitalisty nie zostaje — nic. Możemy to uwiarygodnić w liczbach: Przypuśćmy, że stu robotników buduje maszynę, a 500 innych wytwarza z jej pomocą roczny produkt wartości 300.000 fl.; według klucza Glasera przy podziale $\frac{1}{5} = 250.000$ fl., przypada 500 bezpośrednim robotnikom, z których każdy otrzymuje roczną płacę 500 fl., a szóstą część = 50.000 fl. otrzymuje kapitalista, który dostarczył maszynę. Ale maszyna, jak przyjęliśmy, w ciągu roku zostaje zniszczoną, i kapitalista musi ją zastąpić przez nową z otrzymanego dochodu. Ile kosztuje go to zastąpienie? Oczywiście nie mniej 50.000 fl., gdyż dla odtworzenia maszyny musi w ciągu roku zatrudnić 100 ludzi, których płaca roczna wynosi 500 fl.; wydatek więc wynosi 50.000 fl., które pochla-

niają otrzymane przezeń 50.000 fl., i o żadnym dochodzie nie może być mowy.

Nie jest to jedyna sprzeczność, pomiędzy powziętem z powietrza twierdzeniem Glasera a jego przesłankami. Tak więc poprzednio już autor wyraźnie przyjął, że wartość wszystkich dóbr, więc i kapitału, określa się za pomocą ilości pracy, potrzebnej do ich wytworzenia. Jeśli całość produktu, podlegającego podziałowi, posiada wartość 600 lat pracy, to szosta część, przypadająca z tego kapitaliście, musi, rzecz jasna, posiadać wartość, odpowiadającą 100-letniej pracy. Ponieważ zaś odtworzenie kapitału kosztowało właśnie 100 lat pracy, to sam kapitał i wynik jego pracy posiadają równą wartość, więc dochód jest niemożliwy.

Glaser nie zatrzymał się na tych nasuwających się uwagach i ślepo podążył za zwodnemi ułatwieniami, wynikającymi z dwuznacznego słowa »nadwyżka«; czytelnik, który zechce zadać sobie trud przeczytania całości jego wywodów, nie bez uciechy prześledzić może, jak ta »nadwyżka«, z początku oznaczająca całkiem prawidłowo »nadwyżkę produktów«, później w sposób już dwuznaczny, lecz jeszcze dopuszczalny, przechodzi w »nadwyżkę przychodu«, dalej w »korzyść«, następnie w »dochód«, aż wreszcie w decydującym końcowym ustępie oznacza już poprostu nadwartość i odnosi się do dochodu z kapitału.

Jeżeli już Glasera ganimy za niedostateczną ostrożność w używaniu dwuznacznych pojęć, to Roesler przedstawia pożałowania godny nawrót do lekkomyślnego żonglowania niejasnemi pojęciami, używania ich to w jednym, to w drugim znaczeniu, jeśli to autorowi na rękę, i wymuszania w ten sposób na cierpliwem słowie, zgodności której niema w rzeczy samej.

Ponieważ ten sposób ujmowania grzeszy głównie nadużywaniem słów, trudno jest umotywować sąd swój o nim, nie przytaczając tekstu w dosłownem brzmieniu; będę więc musiał cytować autora obszerniej, niżbym chciał to robić. Może mi to czytelnik łatwiej wybaczy, gdy się przekona, jak rzecz ta jest pouczająca: Roesler jest wysoce cennym przykładem tego, jak liczne zasadzki spotyka logiczne myślenie w naszym powszechnie przyjętem naukowem słownictwie, i jak niezbędną — a rzadko stosowaną, niestety! — jest wielka czujność krytyczna, jeśli nie chcemy się zablą-

kać wśród sprzecznych frazesów przy badaniu naszego trudnego zagadnienia.

W trzech swoich najważniejszych pracach z zakresu gospodarki społecznej daje Roesler trzy dosyć znacznie różniące się odmiany teorii pochodzenia zysku z kapitału. W pierwszej, zatytułowanej »Kritik der Lehre vom Arbeitslohn« (1861) daje mało oryginalną kombinację teorii produktywności, usług kapitału i wstrzemięźliwości, którą z czystym sumieniem możemy pominąć¹⁾. Najszczegółowiej i w sposób najbardziej pouczający porusza autor nasz temat w drugim swem dziele: »Grundsätze der Volkswirtschaftslehre« (1864).

Roesler przedstawia tu (str. 104) produktywność kapitału w następujących słowach:

»Produkcyjność kapitału polega na jego właściwościach, które mogą być zastosowywane dla celów produkcyjnych; właściwości te są, jak widzieliśmy, bardzo różnorodne. Każdy kapitał, tak samo, jak przyroda i praca, zawiera określoną ilość sił, których wykorzystanie ma, jako skutek, produkt kapitału. Kapitał albo dostarcza materiałów do pracy, albo też ułatwia czy skraca w znacznym stopniu czynności robotników. Wszystko, co się w jakiejś czynności produkcyjnej zawdzięcza współdziałaniu kapitału, należy rozważać, jako produkt kapitału. Jeśli np. ktoś łapie ryby ręką, pływając w wodzie, to złapane ryby są tylko produktem przyrody i pracy, o ile woda i ryby nie zostały sztucznie wytworzone; jeżeli się jednak przy tem posługuje łodzią, siecią lub wędką, to współdziała już siła kapitału i wszystko, co się przytem wygrywa na łatwości, szybkości lub większej ilości złapanej jest skutkiem działania tej właśnie siły produkcyjnej.

Kapitał jest więc samodzielnym źródłem dóbr, jak i dwa inne, ale zasadniczo musi być w mniejszym lub większym stopniu — zależne od rodzaju produkcji — związana z niemi, by działalność swoją rozwijać. Niektóre kapitały jednak mogą też same przez się rozwijać dzia-

¹⁾ Najważniejsze ustępy znajdzie czytelnik na 1, 4, 7, 8 i 39 str. wyżej wymienionej pracy.

łalność produkcyjną; tak np. można wino pozostawić w butelkach na przeciąg lat całych bez współdziału pracy, i wszystko, co wino nabędzie w smaku i mocy wskutek dłuższego fermentowania, jest wyłącznie produktem kapitału.

W tem rozumowaniu, jak widzimy, przypisuje Roesler kapitałowi samodzielną produktywność, którą narazie rozumie, jako produktywność fizyczną, opierając się na fakcie, iż z pomocą kapitału można wytwarzać więcej, lepiej i prędzej, niż bez niego. Już tutaj mógłbym zwrócić uwagę czytelnika na to, iż Roesler używa wyrażenia »produkt kapitału« w sensie dosyć nieokreślonym. Tak w zdaniu »wszystko, co się przy jakiejś produkcyjnej czynności zawdzięcza współdziałaniu kapitału, należy rozważać jako produkt kapitału«, ostatnie słowa oznaczają całość otrzymanego przy zastosowaniu kapitału produktu, więc dochód brutto kapitału; w przykładzie zaś z winem mowa jest tylko o tem, co wino zyskało na smaku i mocy, a więc o dochodzie netto kapitału, jako o produkcie kapitału. Zobaczymy później, jak ważną usługę ma oddać teorii Roeslera podwójne znaczenie tego słowa.

»Siłom natury i pracy« powiada Roesler (str. 135), »od niepamiętnych czasów przypisywano właściwość produktywności; nie tak się działo z kapitałem. Dopiero w końcu średniowiecza zaświtały prawidłowsze poglądy na produkcyjne znaczenie kapitału.

...Ale jeszcze Adam Smith i liczni jego zwolennicy odmawiali faktycznie kapitałowi tej właściwości, ponieważ sądzili, że renta kapitału, otrzymywana przez kapitalistę za współdziałanie jego kapitału w produkcji brana jest z dochodu pracy. Błądność tego poglądu odrazu rzuca się w oczy; bez pomocy kapitału bowiem każdy robotnik wytwarzałby mniej, gorzej albo wolniej, i to, co się w ten sposób zyskuje na ilości, jakości produktu, albo czasie, jest istotną korzyścią, którą zawdzięczamy jedynie współdziałaniu kapitału, i bez której środki zaspokojenia naszych potrzeb bezwarunkowo mniej byłyby udoskonalone.

Podtrzymuje tu Roesler wyżej wypowiedziane twierdzenie o samodzielnej produktywności kapitału i zarazem daje do zrozumienia, iż uważa ją za niewątpliwie źródło renty kapitału, która, jak mówi gdzieindziej (str. 471), »nie-

jest wytworzona przez przedsiębiorcę czy kapitalistę», lecz »bez pracy osiąganym skutkiem zawartej w samym kapitale produktywności«.

W jaki sposób jednak wypływa renta z produktywności kapitału? Dowieść tego mają poniższe zadziwiające wywody (str. 448), które najlepiej będzie przytoczyć kolejnymi zdaniem i zaopatrywać w komentarze.

»Wszystko, co przynosi zastosowanie kapitału w produkcji, jest produktem, czyli przychodem kapitału«.

Przychód kapitału użyty tu jest najwidoczniej w sensie przychodu brutto.

»Ten wynik zastosowania kapitału polega, jak i przy pracy ludzkiej, na wytworzeniu pewnego dobra lub użyteczności, których istnienie zawdzięcza się wyłącznie współdziałaniu kapitału, i które należy w myśli wyraźnie odróżniać od tych części całokształtu wyników produkcji, które powstają dzięki pracy ludzkiej lub swobodnym siłom przyrody«.

Należy tu zwrócić uwagę, że Roesler skutek zastosowania kapitału widzi w wytworzeniu pewnego dobra lub użyteczności; o wytwarzaniu wartości nie wspomina ani teraz, ani poprzednio.

»Jeżeli więc chodzi o określenie wartości pewnego danego produktu, np. miary zboża, to, ponieważ swobodne siły przyrody wartości nie posiadają »część jej idzie na rachunek kapitału, a część na rachunek wykonanej pracy, i dokładnie w tym stosunku, w jakim współdziałał kapitał przy wytworzeniu produktu, będzie część wartości tego produktu określona, biorąc pod uwagę kapitał, czyli rozważana, jako skutek działalności zastosowanego przy produkcji kapitału«.

Czyż »wartość« stała się naraz jednoznaczna z »dobrem«, że wytwarzanie wartości tak podzielonem zostało pomiędzy różne czynniki, jak w poprzednim zdaniu wytwarzanie dobra, i że nagle »jego«, (t. j. produktu, w danym wypadku miary zboża), »wartość« ma być skutkiem działalności kapitału, a nie, jak dotychczas, pewne dobro, albo użyteczność. — Ale słuchamy dalej.

»Niektóre wytwory mogą też w pewnym danym okresie czasu, być przyjęte wyłącznie za skutek działalności kapitału«.

Tutaj skutek działalności kapitału składa się znowu z wytworów albo dóbr.

»Jeśli się np. złoży młode wino do piwnicy i doliczy pracę złożenia jako dodatek wartości do wartości wina, beczek i piwnicy, to po upływie roku wywołane przez to leżenie ulepszenie jakości wina stanowi produkt kapitału, którego wartość ujawni się w różnicy pomiędzy ceną wina świeżego i wystalego«.

Co tu jest produktem kapitału?

»Ulepszenie«. To mówi dwie rzeczy: »ulepszenie« oznacza zwiększoną użyteczność a nie zwiększoną wartość; »ulepszenie« dalej oznacza nie cały skutek zastosowania kapitału, jak wyżej, a tylko to, co się dostało ponad dotychczasową użyteczność kapitału w postaci świeżego wina. A więc »czysty dochód« w użyteczności. Ale natychmiast w słowach »którego wartość ujawnia się w różnicy pomiędzy ceną świeżego i wystalego wina«, czysty dochód w użyteczności zmienia się w czysty dochód w wartości.

I tu wyciąga Roesler swój wniosek w końcowych słowach: »dochód ten jest rentą«.

Jaki dochód? ma się ochotę zapytać; dochód brutto w dobrach, który oznaczało słowo »dochód kapitału« w początku ustępu? czy czysty dochód w wartości, który oznaczało w końcu? albo może dochód brutto w wartości lub czysty dochód w użyteczności, które kolejno oznaczało w środku? — Istotnie trudno było określić, do jakiego przedmiotu odnosi się właściwie całe dowodzenie, gdyby się poprzednio nie wiedziało, iż renta jest nadwyżką wartości. To więc chciał Roesler wytłumaczyć.

Czy istotnie wytłumaczył? Nie wiedziałbym kiedy i jak.

Utrzymuje on, że »renta jest osiąganym bez pracy skutkiem znajdującej się w samym kapitale siły produktywnej«. Dla dowiedzenia tego twierdzenia winien wyjaśnić, w jaki sposób produktywność kapitału prowadzi do tego, iż wartość produktu przewyższa wartość samego kapitału. Gdzie dostarczył tego wyjaśnienia? — Napewno nie w pierwszych cytatach, w których maluje istotę siły produkcyjnej kapitału, gdyż tu twierdzi tylko, że z pomocą kapitału wytwarza się więcej produktów i użyteczności, niż bez niej; omawia tam produktywność, wywołującą »większą, niż poprzednio, ilość

dóbr, a nie »więcej wartości, niż jej przedstawia sam kapitał«.

A w ostatniej cytacie, poświęconej wyjaśnieniu renty?— Kto uważnie cytate tę przeczyta, dostrzeże, że i tu powstawanie »nadwartości« z produktyjności kapitału nie jest wyjaśnione ani jednym słowem. Jest wprawdzie przeprowadzony pomiędzy nimi związek, ale tylko przez to, że Roesler w środku swoich wywodów zaczyna nagle mówić »wartość« tam, gdzie mówił »dobro«, i zachowuje się tak, jak gdyby pojęcia produktu i wartości, więcej produktu i więcej wartości, a w dodatku »więcej produktu, niż poprzednio« i »więcej wartości, niż jej przedstawia sam kapitał« były poprostu identyczne, i jak gdyby dowód na to, iż kapitał wytwarza więcej produktu, był zarazem dowodem, iż produktyjność kapitału jest źródłem, wydzielającym nadwartość. Ale nie tak jest w istocie. Kapitał dopomaga do wytworzenia większej ilości produktu, niżby się bez tego otrzymało: to jest jeden fakt. Te liczniejsze produkty posiadają większą wartość, niż zużyty na ich wytworzenie kapitał; to jest fakt drugi, od pierwszego zupełnie niezależny i wymagający osobnego wyjaśnienia. A tego wyjaśnienia Roesler nie dał — jak tytu jego poprzedników.

W poglądach, wypowiedzianych o wysokości zysku z kapitału, używa znów Roesler swego dotychczasowego systemu opierania fałszywych wniosków na używaniu dwuznacznych wyrażen. Oszczędziłbym chętnie czytelnikowi i sobie niewdzięcznego zadania śledzenia dialektycznych błędów Roeslera, ale właśnie ta część jego wywodów jest ze względów teoretycznych wysoce interesująca. Oświećta ona mianowicie jaskrawo kłopot, w który wpaść musi nie tylko Roesler, ale każda teoria produktyjności, gdy chodzi o uzgodnienie nauki o pochodzeniu zysku z kapitału z faktycznymi zjawiskami wysokości zysku.

Według teorii produktyjności przyczyna istnienia zysku z kapitału leży w produktyjności kapitału. Nie ulega wątpliwości, że ostatnia stale wzrasta z postępem rozwoju gospodarczego¹⁾. Można więc oczekiwać, że ze wzro-

¹⁾ »Dosyć rzutu oka na postępy techniki, by się przekonać, iż ta produktyjność wciąż wzrasta; proszę porównać łuk i strzałę z karabinem, udoskonalenia maszyny przędzalniczej a warsztaty tkackie, pługi dawne i teraźniejsze itd.« Roesler, op. cit. str. 460.

stem przyczyny wzrastać też będzie i skutek, więc że z postępem rozwoju gospodarczego zwiększać się będzie stopa zysku. Jak wiemy jednak, doświadczenie wykazuje rzecz przeciwną: stopa zysku nie zwiększa się, lecz spada w miarę postępu kultury gospodarczej. — Jakże się to da pogodzić z twierdzeniem, iż produktyjność kapitału jest istotną przyczyną istnienia zysku z kapitału. Roesler wyraźnie widział wynikający stąd kłopot, poddał słusznej krytyce i odrzucił, jako niewystarczające, próby, czynione przez niektórych poprzedników, np. Carey'a, i sam szukał drogi wyjścia¹⁾. Chciał ją znaleźć w dowodzeniu, że właśnie zwiększona produktyjność kapitału obniża zysk. »Im bardziej wydajnem jest zastosowanie kapitału, tem mniejszą wartość posiada otrzymany produkt. Obniżająca się stopa zysku jest skutkiem nie utrudnienia, lecz ułatwienia produkcji; nie jest skutkiem czy oznaką drożyzny, ale przeszkodą dla ostatniej«.

Dla uzasadnienia tych poglądów rozwija Roesler następującą teorię, którą znów przytaczać i krytykować będę kolejnymi zdaniem. »Wartość użytkowa kapitału polegać może tylko na wartości użytkowej jego produktu«.

Bez wątpienia, zupełnie słuszne. Należy zwrócić uwagę, że Roesler mówi tu o wartości i produkcie kapitału, a nie jego usługi. Produkt kapitału jest więc produktem brutto zastosowania kapitału.

»Musi się ona jednak obniżać w miarę tego, jak zastosowanie kapitału pozwalać będzie zaspokajać potrzeby łatwiej i taniej«.

To już jest fałszywe. Jeśli produkt zastosowania kapitału wzrasta, to zapewne, wartość użytkowa pojedynczej sztuki produktu się obniży, ale napewno nie cały produkt, o który właśnie chodzi. Jeśli przy tym samym wydatku kapitału nauczymy się wytwarzać najpierw 500, a potem 1.000 centnarów cukru, to w drugim wypadku wprawdzie pojedynczy centnar może mieć mniejszą wartość użytkową, niż dawniej, ale napewno całe 1.000 centnarów, obecny »produkt kapitału«, będzie miał większą wartość użytkową, niż miało całe 500 centnarów.

»Zdawałoby się słusznem tem więcej płacić za usługę siły produkcyjnej, im więcej można z jej pomocą wytwor-

¹⁾ Str. 458 i nast.

rzyć. Byłoby to jednak pomieszaniem wielkości i wartości produktu, a należy pamiętać, że masa i wartość znajdują się w zupełnej ze sobą sprzeczności.

Zdanie to nasuwa cały szereg uwag. Przedewszystkiem zastanawia fakt, iż Roesler nagle przeskakuje z kapitału na jego usługę. Następnie, zdanie, iż nie należy mieszać ze sobą wielkości i wartości wyniku pracy, jest zupełnie słuszne, i mogłoby być z korzyścią wzięte pod uwagę przez samego Roeslera w poprzednich jego roztrząsaniach (patrz wyżej str. 180 i nast.). Tak samo w pewnym sensie słusznym jest, iż masa i wartość znajdują się w zupełnej ze sobą sprzeczności — ale nie w tym sensie, który rzeczy nadaje Roesler. Słusznym jest mianowicie, że im więcej istnieje egzemplarzy pewnego rodzaju dóbr, tem mniej — *caeteris paribus* — wart jest pojedynczy egzemplarz; niesłusznym jest jednak, że im więcej istnieje egzemplarzy pewnego rodzaju dóbr, tem mniej są one warte wszystkie razem. Jeśli urodzaj daje 10 milionów korcy zboża zamiast 5 milionów, to przyznam chętnie, że jeden korzec zboża mniej będzie wart, niż poprzednio. Ale wątpię, czy 10 milionów korcy razem będą mniej warte, niż dawne 5 milionów, przynajmniej co do wartości użytkowej, o której przecież Roesler mówi.

Ale pomińmy wszystkie te wątpliwości, a przyjmijmy z Roeslerem, że prawdą jest, iż im więcej produktów kapitał wytwarza, tem mniejszą wartość posiada suma tych produktów. Czy ma to jakiegokolwiek bądź znaczenie dla obniżenia stopy zysku?

Nie widzę tego zupełnie. Roesler sam powiedział, że wartość użytkowa kapitału polega na wartości użytkowej jego produktu. Jeśli więc produkt posiada mniejszą wartość, to naturalnym tego skutkiem będzie też obniżenie się wartości kapitału; innemi słowy, obniży się wartość kapitału różnych środków produkcji, fabryk, maszyn, surowców i t. p. W najmniejszym stopniu jednak nie jest dowiedzionem, że obniżyć się przytem musi stopa zysku. Kwestja polega na tem — i tu możnaby zwrócić przeciw Roeslerowi własne jego, do Carey'a skierowane słowa: »trzeba odpowiedzieć nie na pytanie, dlaczego za używanie maszyny, która kosztowała dawniej 100, a teraz 80, płaci się zysku 4 za-

miast 5, ale na pytanie, dlaczego zysk od wartości 100 — (dawniej wynosił 5, a teraz 4).

Zmniejszenie wartości »produktu kapitału« wtedy tylko mogłoby mieć znaczenie dla stopy zysku, gdyby się znów produkt kapitału ujmowało w innym sensie, a mianowicie jako czysty produkt kapitału. Rozmiary tego produktu znajdują się niewątpliwie w bezpośrednim związku ze stopą zysku. Istotnie zdaje się, iż Roesler, dzięki swej ulubionej chwiejności pojęć, w tem rozumowaniu — jak nieraz już poprzednio — znowu ujmuje produkt kapitału, jako produkt czysty¹⁾.

Ale tutaj odkrywa znów Roesler inną słabą stronę. Popelnia on mianowicie duży błąd, uważając nadwyżkę otrzymaną przy produkcji za hermetycznie zamkniętą wielkość, której wartość określa się samodzielnie liczbą i użytecznością zawartych w niej jednostek: w ten sposób, że nadwyżka jest wielką, jeżeli i ponieważ zawarte w niej jednostki są rzadkie, a więc wartościowe, i odwrotnie, jest małą, jeżeli i ponieważ zawarte w niej jednostki są liczne, a więc mało-wartościowe.

Takie ujęcie z gruntu zapoznaje istotę owej nadwyżki. Nadwyżka jest najmniej samodzielną rzeczą na świecie, o której wartości, a nawet istnieniu, decydują czynniki, wcale w niej samej nie leżące. Istnienie i wysokość wartości nadwyżki zależy przedewszystkiem od dwóch rzeczy: z jednej strony od całkowitej wartości produktu brutto kapitału w danem zastosowaniu, a z drugiej od wartości zniszczonych przy tem części kapitału. Jeżeli pierwsza sama większa jest od drugiej, to nadwyżka istnieje i to tem większa, im więcej przeważa pierwsza suma. To samo również określa, ile jednostek i jakiej wartości przypada na tą nadwyżkę. W żadnym razie jednak rzecz się nie ma odwrotnie: ilość

¹⁾ Wynika to mianowicie z następującego ustępu na stronie 462: »Zysk nie może spaść do zera, gdyż znikłaby w takim razie produkcyjność kapitału, albowiem takby wzrosła, że produkty kapitału nie posiadałyby żadnej wartości. Zero zysku kapitału byłoby osiągnięte z chwilą, gdy wartość nadwyżki produktów równałaby się zeru, a nie wtedy, gdy równałaby się zeru całość produktu kapitału, gdyż to oznaczałoby stratę całego kapitału.

i wartość przypadających na nadmiar jednostek nie decyduje o wielkości nadmiaru. Przypisywać ilości i ogólnej wartości zawartych w nadwyżce jednostek decydujący wpływ na istnienie i wielkość nadwyżki, znaczyłoby to na pytanie: Dlaczego coś jeszcze pozostało? odpowiadać: dlatego, że coś jeszcze pozostało; a na pytanie: Dlaczego pozostało dużo? — dlatego, że pozostało dużo.

Tak więc teoria Roeslera odslania krytyce jedno słabe miejsce po drugim. Od początku do końca niezadowolająca, nie umie też znośnie pogodzić sprzeczności, wytworzonej przez obniżającą się stopę zysku i wzrastającą produktyjność kapitału, a sprzeczność ta poważnie świadczy przeciw prawidłowości wszystkich teorii, które uważają zysk za czysty owoc produktyjności kapitału.

W późniejszym wydawnictwie, »Vorlesungen über Volkswirtschaft«, które się ukazało w r. 1878, wykazał Roesler dosyć znaczną zmianę poglądów, nie zbliżając się przez to do możliwego rozwiązania zagadnienia.

Kapitał (posiadanie) zdaje mu się teraz nie tylko produktyjnym, ale jedynie produktyjnym, podczas gdy praca »siła służąca znajdującemu się w kapitale posiadaniu« sama przez się produktyjna nie jest¹⁾. Produktyjność jego polega na panowaniu nad siłami natury, które stanowi jego istotę i uskutecznione jest za pośrednictwem usług podporządkowanej mu pracy²⁾. Wartość uważa Roesler za »miarę produkcyjnej siły posiadania«³⁾. Ponieważ ostatnia stale wzrasta, wykazuje też i wartość tendencję wznoszenia się⁴⁾, podobnie, jak i cena wszystkich dóbr, która »opłaca wartość dóbr«⁵⁾. Zupełnie błędem jest sprowadzać ogólną zwyżkę cen do spadku wartości szlachetnych kruszców, których wartość również raczej się stale podnosi⁶⁾. Renta kapitału wszędzie traktowana jest jako naturalny owoc produktyjności kapitału; kwestja jej pochodzenia nie jest wyraźnie postawiona. Obniżenie się stopy zysku wreszcie wyja-

¹⁾ Porówn. str. 141, 143, 148, 219, 295, 426, 431 etc.

²⁾ Patrz str. 75, 76, 127, 131, 148 etc.

³⁾ Str. 222, 223, 224 etc.

⁴⁾ Str. 224.

⁵⁾ Str. 239 i nast.

⁶⁾ Str. 292.

śnione jest w nader dziwny sposób przez twierdzenie, iż przy wzrastającej produktyjności zwiększają się wszystkie wartości, więc i »kapitał, jako suma wartości, idzie w górę«, z czego rzekomo ma wynikać, że i wzrastający dochód kapitału przedstawiać musi mniejszą część samego kapitału. »Udział kapitału, jak i udział pracy musi się znajdować w związku ze wzrostem produkcyjnej usługi; ale ponieważ jednocześnie z nią idzie w górę sam kapitał, jako suma wartości, to wynika stąd konieczność stosunkowego obniżenia się renty kapitału. Gdy renta wzrasta z 5-u do 10-u, a wartość ziemi albo kapitału ze 100 do 300, to nowy dochód kapitału określa się w stosunku 10 do 300; obliczona w procentach, stopa zysku spadłaby przytem z 5 na $3\frac{1}{3}\%$ « (str. 437). Można by tu spytać, czy »udział kapitału« nie mógłby z równem powodzeniem wzrosnąć z 5 do 15, przyczem wartość samego kapitału wzrosłaby tylko ze 100 do 200. O tem, żeby w miarę wzrostu produktyjności wartość samego kapitału miała wzrastać w znaczniejszym stopniu, niż renta, nie wspomina wszak Roesler ani jednym słowem, nie mówiąc już o wyjaśnieniu, albo udowodnieniu takiego zjawiska. Ale w tym wypadku stopa zysku by się nie obniżyła, a wzrosła z 5 do $7\frac{1}{2}\%$!

Krótki ten wyciąg wystarcza, by dowieść, że Roesler w ostatniej odmianie swej teorii jeszcze bardziej, jeśli to możliwe, oddalony jest od zadowolającego ujęcia naszego zagadnienia.

Teorie produktyjności stały się przedmiotem poważnych i energicznych zarzutów. Rodbertus w spokojnej, rzeczowej krytyce zarzucił im, że mieszając ze sobą zagadnienia podziału i produkcji i przyjmując, iż część produktu, przypadająca na dochód kapitału, jest odrębnym produktem tego kapitału, popełniają *petitio principii*; że przeciwnie praca jest jedynym źródłem wszystkich dóbr. Lassalle i Marx dali następnie każdy na swój sposób warjacje na ten temat — pierwszy potraktował rzecz namiętnie i drwiąco, drugi ze swą szorstką bezwzględnością.

Zarzuty te wywołały w obozie teoretyków produktyjności odpowiedź, której rozpatrzeniem chcę zakończyć ten przydługi rozdział. Pomimo, że wyszła z pod pióra bardzo młodego uczonego, zasługuje na pełną naszą uwagę: w części z powodu stanowiska autora, który jako członek semi-

narjum nauk społecznych w Jenie znajdował się w bliskich naukowych stosunkach z ówczesnymi kierownikami historycznej szkoły niemieckiej, więc mógł być uważany za przedstawiciela poglądów w tej szkole panujących; w części z racji przyczyny jej powstania. Ponieważ bowiem pisana była z zupełną znajomością ciężkich zarzutów, które właśnie Marx skierował przeciw teorii produkcyjności w swoim »Kapitale«, i w celu ich odparcia, możemy więc oczekiwać, że zawiera wszystko najlepsze i najbardziej przekonujące, co autor po dojrzałym krytycznym zbadaniu mógł powiedzieć w obronie teorii produkcyjności.

Odpowiedź ta znajduje się w dwóch pracach, które K. Strasburger w roku 1871 umieścił w »Hildebrands Jahrbüchern für Nationalökonomie und Statistik« pod tytułem »Zur Kritik der Lehre Marx' vom Kapitale« i »Kritik der Lehre vom Arbeitslohn«¹⁾.

Jądro swojej teorii ujął Strasburger w drugiej z tych prac²⁾ w słowach następujących: »Kapitał umożliwia korzystanie z sił przyrody, które wprowadzić dla każdego są dostępne, ale często tylko z pomocą kapitału mogą być zastosowane przy danej produkcji. Nie każdy posiada środki, niezbędne dla opanowania sił przyrody; ten, kto pracuje z małym kapitałem, musi liczyć na własne siły przy wykonaniu czynności, które siły przyrody spełniają dla innych, bogaciej uposażonych w kapitał. To też usługa sił przyrody, jeśli dostarczone są przy współudziale kapitału, nie jest darem przyrody; przy wymianie doliczone są one do rachunku, i kto nie posiada kapitału, musi odstąpić kapitaliście produkt swej pracy w zamian za korzystanie z usług sił przyrody. Kapitał wytwarza więc wartości, ale rola jego w produkcji zupełnie różna jest od roli pracy«.

Nieco później³⁾ zaś mówi: »Z powyższego już można poznać, w jaki sposób rozumiemy produkcyjność kapitału. Kapitał wytwarza wartości, narzucając siłom przyrody pracę, którą inaczej czło-

¹⁾ Tom 16, str. 93 i nast.; tom 17, str. 298 i nast.

²⁾ Jahrbücher t. 17, str. 325 w końcu.

³⁾ Str. 329.

wiek samby musiał wykonać. Produkcyjność kapitału polega więc na tem, że różni się od żywej pracy, o ile idzie o jego działalność w produkcji. Mówiliśmy, że usługa sił przyrody przy wymianie uważana jest za odpowiednik pracy ludzkiej. Marx przypuszcza rzecz przeciwną. Jeśli pewien robotnik więcej od innych wspomagany jest przy pracy przez siły przyrody, to, zdaniem Marxa, stwarza więcej wartości użytkowej, suma wytworów będzie większa, ale usługa sił przyrody nie podnosi wartości zamiennej wytworzonych przez niego towarów. Dla odparcia tego zdania wystarczy przypomnieć to, cośmy już wyżej wspominali, a mianowicie, że nie każdy posiada te same środki do opanowania sił przyrody; ludzie, nie posiadający kapitału, muszą kupować jego usługi w zamian za własną pracę, albo, jeśli pracują z pomocą cudzego kapitału, muszą jego właścicielowi pozostawiać część wytworzonej wartości. Ta część nowowytworzonej wartości jest zyskiem kapitału; uzyskiwanie przez kapitalistę pewnego dochodu oparte jest na samej naturze kapitału«.

Jeżeli ze słów tych wydobędziemy zasadnicze myśli w jeszcze zwięźlejszej formie, to otrzymamy następujący bieg rozumowania.

Siły przyrody są wprowadzić same przez się swobodne, ale wyzyskanie ich możliwem jest często tylko przy pomocy kapitału. Ponieważ zaś kapitał istnieje tylko w ograniczonej ilości, posiadacze kapitałów mogą uzyskiwać pewną zapłatę za współdziałanie uzyskanych zapomocą kapitału sił przyrody. Ta zapłata, to zysk z kapitału. Ostatni jest więc wyjaśniony przez konieczność opłacania za współdziałanie sił przyrody na korzyść kapitalisty.

Co tłumaczy nam ta teoria? Nie będę się targował o zgodę na przesłanki, z których wywodzi Strasburger. Przyjmę odrazu, że wiele sił naturalnych może być wykorzystane tylko dzięki pośrednictwu kapitału, i że wskutek ograniczonej ilości kapitałów, właściciele ostatnich mogą być w stanie kazać sobie zapłacić za to współdziałanie sił natury. Ale, aby z tych przesłanek miało coś wynikać dla powstania zysku z kapitału, tego w żaden sposób znaleźć nie mogę. Wyprowadzanie zysku z kapitału z tych przesłanek jest przedwczesnem i nieumotywowanem przypuszczeniem Strasburgera; skutki ich ujawniają

się, zgodnie z ich istotą, w zupełnie innych zjawiskach gospodarczych.

Mam nadzieję bez większego trudu odkryć błąd *Strasburgera*.

Z dwóch rzeczy jedna tylko jest możliwa: albo kapitał istnieje w tak ograniczonej ilości, że kapitaliści mogą wymagać wynagrodzenia za pośrednictwo przy korzystaniu z sił przyrody, albo też tak nie jest. Teoria *Strasburgera* przypuszcza istnienie pierwszego wypadku, więc i my przyjmiemy go, jako dany.

Zbadajmy więc, dzięki jakiemu zjawisku gospodarczemu kapitalista otrzymuje wynagrodzenie za siły przyrody?

Odpowiedzieć: dzięki zatrzymaniu sobie części jako dochodu z kapitału, byłoby to popełnić pośpieszne *petitio principii*. Krótkie zastanowienie wyjaśni, że, jeśli zysk z kapitału wogóle wynika z wynagrodzenia sił przyrody, to może wypłynąć tylko jako drugorzędny skutek ze skomplikowanych procesów gospodarczych. Ponieważ mianowicie siły przyrody związane są z kapitałem, to mogą być sprzedane tylko jednocześnie ze sprzedażą usług kapitału. Dalej, ponieważ kapitał powstał dzięki wydatkowi pracy, a przy użyciu albo od razu jest zniszczony, albo też powoli się zużywa, jasne jest, że przy sprzedaży usług kapitału musi być też wynagrodzona zawarta w tym kapitale praca. Tak więc wynagrodzenie za siły przyrody może kapitalista otrzymywać, jako część składową pewnego dochodu brutto, który oprócz tego zawiera jeszcze drugie wynagrodzenie za wydatek pracy.

Ścisłe biorąc, zjawiskiem gospodarczym, dzięki któremu kapitalista otrzymuje wynagrodzenie za swoje siły przyrody, jest sprzedaż usług jego kapitału za cenę wyższą, niż ta, któraby odpowiadała wydatkowi pracy, obróconemu na wytworzenie odpowiednich kapitałów. Jeśli np. maszyna, trwająca rok jeden, wybudowana została przy wydatku 365 dni pracy i płacy dziennej 1 fl., to sprzedaż usług jej za 1 florena dziennie tylko dokładnie wynagrodziłaby pracę, w maszynie zawartą, a nicby nie zostawiła dla sił przyrody, których wykorzystanie umożliwia. Wynagrodzenie ich ustali się tylko wtedy, jeśli usługi maszyny wynagradzane będą więcej niż jednym florenem dziennie, np. sumą 1 fl. 10 kr.

Ogólny ten proces przejawiać się może w licznych poszczególnych formach.

Jedna z nich występuje wtedy, gdy właściciel kapitału używa go sam, jako przedsiębiorca. Wtedy wynagrodzenie całości usług kapitału przedstawia się przedewszystkiem jako ta część produktu, która pozostaje po odtrąceniu reszty wydatków na produkcję, a więc wydatków na korzystanie z gruntu i bezpośrednią pracę, i stanowi »dochód brutto kapitału«. Jeśli ten ostatni wynosi 1 fl. 10 kr. dziennie, a na wynagrodzenie pracy, która wytworzyła zużyty w ciągu dnia kapitał, potrzeba jednego florena, to nadmiar 10 kr. dziennie przedstawia wynagrodzenie sił przyrody. — Nie znaczy to wcale, że ten nadmiar jest dochodem kapitału; różnicę wykażemy nieco później.

W innej formie i w bardziej bezpośredni sposób, mogą usługi kapitału otrzymać wynagrodzenie przez wynajem. Jeśli nasza maszyna uzyskuje dziennie opłatę za wynajem w wysokości 1 fl. 10 kr., to zupełnie tak samo część równa 1 fl. będzie wynagrodzeniem pracy użytej na zbudowanie maszyny, a pozostałość równa 10 kr. — wynagrodzeniem sił przyrody.

Jest jednak trzeci sposób sprzedania usług kapitału: mianowicie sprzedaż samego przedmiotu, stanowiącego kapitał, co gospodarczo odpowiada zbiorowej sprzedaży wszystkich usług, które przedmiot, stanowiący kapitał, może wyświadczyć¹⁾. Czy przy tej postaci sprzedaży kapitalista zadowolili się zwrotem wartości pracy, włożonej w maszynę, czy też będzie jeszcze wymagał zwrotu wartości sił przyrody, których wykorzystywanie ułatwia? — Bez wątplenia to drugie. Niema zupełnie żadnej przyczyny, dla której przy stopniowej sprzedaży usług maszyny siły natury miałyby być opłacane, a przy jednorazowej sprzedaży — nie, skoro przyjeśliśmy ze *Strasburgerem*, że suma istniejącego kapitału jest tak ograniczoną, że może on wymagać takiego wynagrodzenia.

W jakiej formie przejawia się więc tu wynagrodzenie sił przyrody? — Najnaturalniej w tem, że cena kupna maszyny przekroczy sumę, odpowiadającą przyjętemu wyn-

¹⁾ Porówn. *Knies a der Kredit*, część II, str. 34 i nast., dalej str. 77 i nast. Patrz też niżej Rozdział VIII.

grodzieniu za pracę zużytą na wytworzenie maszyny; jeśli maszyna kosztowała 365 dni pracy po 1 fl. dzień, cena kupna będzie wynosiła więcej, niż 365 fl. Ponieważ zaś niema żadnej przyczyny, dla której przy jednorazowej swej sprzedaży usług kapitału siły przyrody miałyby być taniej sprzedane, niż przy stopniowej, możemy, stosownie do naszego poprzedniego przypuszczenia, przyjąć i tu wynagrodzenie sił przyrody w wysokości 10% wynagrodzenia pracy. W ten sposób cena kupna maszyny ustaliłaby się na $365 + 36,5 = 401,5$ florenów.

Jakże się przedstawia wobec tych hipotez zysk z kapitału? — Łatwo się przekonać. Właściciel maszyny, którą ją zastosowuje we własnym przedsiębiorstwie, albo też wynajmuje, uzyskuje z jej usług w ciągu roku jej trwania 1 fl. 10 kr. dziennie. Daje to ogólny dochód $365 \times 1 \text{ fl. } 10 \text{ kr.} = 401,5 \text{ fl.}$ Ale ponieważ w przeciągu roku używania sama maszyna zużyła się i przestała istnieć, a jej wartość jako kapitał wynosiła całe 401,5 fl., na rachunek nadmiaru, czystego zysku z kapitału — nie zostaje nic. Pomimo więc, że kapitalista kazał sobie zapłacić za usługi sił przyrody, nie istnieje wcale zysk z kapitału — wyraźny dowód, że przyczyna istnienia zysku z kapitału leży w czemś innym, nie w wynagrodzeniu sił przyrody.

Przygotowany jestem na to, że mi w tem miejscu czytelnik zrobi pewien zarzut. Powie mi mianowicie, że niemożliwe jest, by wartość przedmiotów, stanowiących kapitał, miała być tak wysoka, by wytwarzający je przy cenie sprzedażnej otrzymywali jeszcze pewne premjum za siły przyrody: wytwarzanie kapitału byłoby w takich warunkach zbyt korzystne i wywołałoby współzawodnictwo, któreby wreszcie obniżyło wartość przedmiotów, stanowiących kapitał, do wartości zużytej na ich wytworzenie pracy. Gdyby np. maszyna, kosztująca 365 dni pracy, dzięki wynagrodzeniu sił przyrody, które uprzystępnia, dosięgła ceny 401,5 fl., to — przy stałej pracy roboczej 1 fl. dziennie — skierowana do wytwarzania takich maszyn praca byłaby popłatniejsza od każdej innej; wskutek tego zwróconoby się masowo do tej gałęzi produkcji i dopóty mnożonoby wytwarzanie takich maszyn, dopóki by wzrastające współzawodnictwo nie zniżyło ceny jej do 365 fl. za sztukę i nie sprowadziło przez to uzyskiwanego przytem zarobku pracy do normal-

nego poziomu. — Zgadzam się odrazu na możliwość takiego wypadku. Ale zapytuję ze swojej strony: Jeśli maszyny stały się tak liczne, że wskutek wzmoczonego współzawodnictwa wytwórca przy sprzedaży musi się zadowolić ścisłym zwrotem wartości swej pracy, a za siły przyrody, których wykorzystanie umożliwia, nic dorachować nie może, jak może on wymagać czegoś dla sił przyrody przy wynajmie albo własnem użyciu? Albo — albo! Albo maszyny są dostatecznie rzadkie, by możliwem było doliczanie za siły przyrody, — a w takim razie rzadkość ta będzie miała znaczenie zarówno przy wynajmie, jak przy sprzedaży, a wartość kapitału wzrasta aż do pochłonięcia zysku brutto, o ile jej nic innego w tym wzroście nie powstrzyma. Albo też maszyny są tak liczne, że nacisk współzawodnictwa uniemożliwia doliczanie za siły przyrody; w takim razie będzie to się działo zarówno przy wynajmie, jak przy sprzedaży, i zysk brutto spada aż do pochłonięcia go przez amortyzację, o ile znów coś innego nie przeszkodzi zrównać się tym dwu wielkościom, coś co niema nic do czynienia w wynagrodzeniem sił przyrody.

Szczególnym zbiegiem okoliczności motywowane teorie produkcyjności po siedemdziesięcioletnim blisko rozwoju kończą się na tym samym punkcie, z którego wyszły. Strassburger w roku 1871 mówi prawie dokładnie to samo, czego nauczał Lauderdale w roku 1804. »Zdolność kapitału zastąpienia pracy«, która wskutek swojej rzadkości i w miarę tej rzadkości dopomaga kapitaliście do uzyskania wynagrodzenia, tylko nazwą różni się od sił przyrody, których usługi uprzystępnia posiadanie kapitału, i które podobnie stosownie do rzadkości kapitału są wynagradzane. I tu i tam mamy to samo pomieszanie zysku brutto i wartości kapitału z jednej i czystego zysku z drugiej strony, to samo fałszywe pojmowanie prawdziwych wyników z przyjętych przesłanek, to samo niezrozumienie prawdziwych przyczyn zjawiska, które trzeba wyjaśnić.

Powrót do punktu wyjścia wykazuje całą bezowocność przebytego rozwoju. Bezowocność ta nie była wypadkowa. Nietylko nieszczęśliwemu wypadkowi należy przypisać, iż nikt nie odnalazł zbawczego słowa, któreby potrafiło odkryć tajemnicze powstawanie zysku z kapitału z tego kapitału produkcyjności. Zbawcze słowo nie mogło być znalezione,

gdyż fałszywym był punkt wyjścia obrany na drodze do prawdy. Od pierwszej chwili dążenie do zupełnego wytłumaczenia zysku zapomocą produkcyjnej siły kapitału było beznadziejnym trudem. Gdybyż istniała siła, któraby tak bezpośrednio rodziła »nadwartość«, jak ziemia pszenicę! Ale takiej siły nie ma. Co może dać siła produkcyjna, to wytworzenie wielkiej ilości produktu, a więc wielkiej ilości wartości, ale nie większej ilości wartości. Zysk z kapitału jest nadwyżką, resztą, która pozostaje z odjemnej: »produktu kapitału« po odciągnięciu odjemnika: »wartości zniszczonego przedmiotu, stanowiącego kapitał«. Produkcyjna siła kapitału może okazać swoją działalność, zwiększając odjemną. Ale dopóki to od niej tylko zależy, nie może tego uczynić bez jednoczesnego takiegoż zwiększenia odjemnika. Jest bowiem niezaprzeczenie przyczyną i miarą wartości samego przedmiotu, stanowiącego kapitał, w którym się znajduje. Jeśli zapomocą pewnego, stanowiącego kapitał, przedmiotu, nie można nic wytwarzać, to i on sam nie posiada żadnej wartości. Jeśli można z jego pomocą niewiele wytwarzać, to i on sam posiada niewielką wartość; jeśli można z jego pomocą wytwarzać dużo, to i on sam wart jest dużo, i to tem więcej, im więcej można z jego pomocą wytworzyć, im większa jest wartość jego produktu. Jeśli siła produkcyjna kapitału zostaje przytem tak wielką, to może wprawdzie ogromnie podnieść odjemną, ale, dopóki to od niej zależy, odjemnik wznosić się będzie równie wysoko, i reszty — nadmiaru — nie pozostaje wcale.

Pozwolę sobie na zakończenie jeszcze na jedno porównanie. Jeśli do płynącej wody spuścimy pływającą zastawę, to poziom wody poniżej zastawy będzie niższy, niż powyżej. Jeśli będziemy szukali przyczyny, dlaczego woda powyżej zastawy ma wyższy poziom, a poniżej niższy, to czy ktoś będzie jej szukał w obfitości wody w danej rzece? Napewno nie! Bo pomimo, iż obfitość wody jest przyczyną wysokiego poziomu wody powyżej zastawy, to jednocześnie wykazuje tendencję — o ile to od niej zależy — utrzymania wody poniżej zastawy również na wysokim poziomie. Jest ona przyczyną »wysokiego« poziomu, ale przyczyną poziomu »niższego« jest już nie ona, tylko zastawa.

Czem jest dla różnicy poziomu wody jej obfitość, tem dla nadwartości produkcyjność kapitału. Może ona być ku-

pełnie wystarczającą przyczyną, iż wartość produktu kapitału jest wysoka, ale nie może być wystarczającą przyczyną tego, że wartość ta jest wyższa od wartości samego przedmiotu, stanowiącego kapitał, której poziom podtrzymuje i podnosi tak samo, jak poziom wartości produktu. Istotną przyczyną »nadwartości« jest i tu zastawa, niewymieniona wcale przez właściwe teorie produkcyjności, przez inne zaś teorie wynajdywana w postaci przeróżnych rzeczy — to jako ofiara usługi, to jako ofiara wstrzemięźliwości, to jako ofiara pracy przy tworzeniu kapitału, to poprostu jako nacisk wyzysku kapitalisty w stosunku do robotnika — ale której istota i działanie dotychczas wogóle nie zostały zbadane w sposób zadowalający¹⁾.

¹⁾ Niejeden z moich czytelników zdziwi się zapewne, że, będąc tak wyraźnym przeciwnikiem teorii produkcyjności, nie posługiwałem się ani jednym słowem z tego potężnego arsenału, którego tak hojnie używa przeciw tej teorii krytyka socjalistyczna; innemi słowy, dlaczego nie zwalczałem teorii produkcyjności tym argumentem, że sam kapitał jest wytworem pracy, więc wszelka jego produkcyjność nie może być własną, tylko pożyczoną. Argument ten pominąłem poprostu dlatego, że przypisuję mu tylko drugorzędne znaczenie dla teoretycznego wyjaśnienia zysku z kapitału. Rzecz cała przedstawia mi się w sposób następujący. Nie ulega wątpliwości, że kapitał, skoro jest wytworzony, okazuje pewne produkcyjne działanie; że np. maszyna parowa jest w każdym razie przyczyną pewnego produkcyjnego działania. Pierwsze teoretyczne pytanie, które wywołuje taki stan rzeczy, będzie brzmiało: »czy ta produkcyjna zdolność istniejącego kapitału jest zupełną przyczyną zysku z kapitału?« Jeśli na to pytanie damy odpowiedź twierdzącą, to nasuwa się następne: czy siła produkcyjna kapitału jest jego samodzielną siłą, czy też wpływa z pracy, włożonej w wytworzenie kapitału? Innemi słowy: czy nie należy uważać, że za pośrednictwem kapitału praca ludzka jest prawdziwym źródłem zysku z kapitału? Ponieważ jednak ja na pierwsze pytanie odpowiedziałem przecząco, nie miałem żadnej racji zatrzymywać się nad ewentualnem pytaniem, czy siła produkcyjna kapitału jest pierwotną czy pochodną. — Zresztą w jednym z dalszych rozdziałów (XII), będę miał sposobność zająć stanowisko wobec tego drugiego pytania.

Od czasu ukazania się pierwszego wydania dzieła niniejszego, uczyniono liczne próby pojęcia teorii produkcyjności w tej czy innej odmianie. Najbardziej godne uwagi próby omówione będą jeszcze w dodatku, odnoszącym się do współczesnej literatury o zysku.

ROZDZIAŁ VIII.

Teorie usług kapitału.

(Nutzungstheorien¹⁾).

Teorie usług kapitału są odgałęzieniem teorii produkcyjności, które szybko rozwinęło się w zupełnie samodzielną odmianę.

Nawiązują one właśnie do tych myśli, które doprowadziły właściwe teorie produkcyjności do upadku: do stwierdzenia istnienia ścisłego przyczynowego związku pomiędzy wartością produktu i wartością środków jego produkcji. Jeśli, jak przyjmowano, wartość każdego produktu jest zasadniczo identyczną z wartością włożonych weń środ-

¹⁾ Na przetłumaczenie niemieckiego terminu *Nutzung*, którym się Autor posługuje, użyłem po dłuższym namyśle polskiego słowa »usługa«, zamiast »użytkowanie«, które się narazie nasuwa. Niewątpliwie »usługa« nie oddaje wszystkich odcieni, które posiada »Nutzung«; na to jednak, aby ściśle oddać zawarte w *Nutzung* pojęcie, mowa polska, tak jak i francuska zresztą, nie posiada terminu. Zrezygnować więc musi tłumaczenie z oddania niektórych (wprawdzie drugo- i trzeciordernego znaczenia) subtelności rozumowań, (z zakresu zresztą niemieckiej wyłącznie literatury) i to niezależnie od tego, jakim terminem się przetłumaczy *Nutzung*. Z dwóch możliwych polskich terminów — »użytkowanie« i »usługa«, ten drugi wydaje mi się stanowczo lepszym. Po pierwsze, jest jednoznaczny z francuskim »Service«, który u Say'a oznacza dokładnie to samo pojęcie co »Nutzung« u niemieckich pisarzy.

(Nadmienie tu jednak dla ścisłości, że francuski tłumacz Böhma przeważnie nie używa terminu *service* dla oddania *Nutzung*). Przez to upoważnia poniekąd do odwrotnego tłumaczenia *Nutzung* przez *usługa*. Ważniejszym jest jednak drugi wzgląd. Słowo *Nutzung*, jak to świetnie wyjaśnia Böhm (patrz niżej, str. 229), zawiera dwa odcienie — jeden subiektywny, i temu odpowiada polskie »użytkowanie«, francuskie »utilisation«; drugi obiektywny i temu odpowiada polskie »usługa«, francuskie »service«. Otóż, jak w dalszym ciągu autor wyjaśnia, tylko to ostatnie znaczenie ma jakiś sens dla rozważanej w tym rozdziale teorii, i w tym tylko sensie, poza drobnymi odchyleniami u Hermanna i Schäfflego, było tylko używane. Wobec tego uważam za wykluczony termin »użytkowanie«, termin zaś »usługa« za dopuszczalny, aczkolwiek nie oddaje on całkowicie, jak wyżej zazaczyłem, znaczenia *Nutzung*, a może jeszcze wprowadza pewien obcy mu pierwiastek. (Przyp. Wł. Zaw.).

ków produkcji, to każde wyjaśnienie »nadwartości« zapożyczoną produkcyjności kapitału musiałoby być błędne; im wyżej bowiem podnosi produkcyjność kapitału wartość produktu, tem wyżej musiałaby też podnosić — zasadniczo identyczną — wartość własną kapitału; jedna musiałaby się wzorować na drugiej z wiernością cienia, i nie mogłoby być pomiędzy nimi najmniejszej próżni.

Próżnia ta jednak istnieje. Dlaczego?

Rozwinięty wyżej bieg myśli daje prawie sam przez się nowy sposób wyjaśnienia.

Jeśli mianowicie z jednej strony prawdą jest, że wartość każdego produktu jest identyczną z wartością zużytych środków produkcji, a z drugiej strony przyjmujemy, jako prawdę, iż jednak wartość produktu kapitału jest z zasady większą, niż wartość zużytych przy jego wytworzeniu dóbr kapitałów, to prawie sama z siebie nasuwa się myśl, że może dobra kapitały nie wyczerpują całkowitej ofiary zrobionej dla zdobycia produktu kapitału; że może obok nich w grę wchodzi jeszcze coś innego, co również musi być w produkcji zastosowane i pochłania pewną część wartości produktu — właśnie ową zagadkową »nadwartość«.

Szukano tego czegoś i znaleziono je. Więcej nawet, niż jedno. Rozwinęły się na temat istoty tego czegoś trzy poglądy, a z wspólnej myśli zasadniczej wyrosły trzy teorie: teoria usług kapitału, teoria abstynencji i teoria pracy. Teoria usług kapitału pozostała w nich najbliższą teorjom produkcyjności a nawet początkowo robiła wrażenie tylko jednej z ich gałęzi.

Opiera się ona na następujących zasadniczych ideach:

Obok substancji kapitału przedmiotem o odrębnej indywidualności i odrębnej wartości jest też użytek kapitału, albo jego usługa. Aby otrzymać pewien dochód z kapitału, nie wystarcza ofiarować tylko substancję kapitału, trzeba też na czas trwania produkcji ofiarować »usługę« włożonego w nią kapitału. Ponieważ zaś zasadniczo wartość produktu równa się sumie wartości zużytych przy jego wytwarzaniu środków produkcji, a stosownie do tego zdania dopiero substancja kapitału, oraz jego usługa razem wzięte, odpowiadają wartości »produktu kapitału«, to ta ostatnia musi być oczywiście większą od wartości samej substancji kapitału. W ten sposób tłumaczy się zjawi-

sko nadwartości, która nie jest niczem innem, jak udziałem wartości »usługi kapitału«.

Teorja ta wprawdzie przypuszcza, że kapitał jest produkcyjny, ale bez większego nacisku i w sensie zupełnie prostym; uważa mianowicie, że dodanie kapitału do pewnej danej masy pracy pociąga za sobą otrzymanie większego (ilościowo) produktu, niż ten, któryby dała praca, nie wspomóżona przez kapitał. Nie znaczy to, by kapitalistyczny proces produkcji w całości, obejmujący tworzenie i wykorzystywanie kapitału, miał być korzystniejszy¹⁾. Jeśli n. p. w ciągu 100 dni pracy zrobić sieci, a następnie, z ich pomocą, w ciągu dalszych 100 dni trwania sieci złowić 500 ryb, gdy bez nich złowiloby się dziennie trzy ryby, to cały proces wyraźnie stał się mniej korzystnym. Pomimo zastosowania kapitału złowiono w ciągu 200 dni pracy tylko 500 ryb, gdy bez kapitału złowionoby ich 600. Pomimo to, według teorji usług kapitału — i tak też jest w rzeczywistości — wytworzone raz sieci dźwigać na sobie muszą ciężar zysku z kapitału. Skoro bowiem są już wytworzone, umożliwiają złowienie większej ilości ryb, niżby można było złowić bez sieci, i tego dosyć, by wywołać przypisanie im otrzymanej nadwyżki wyniku pracy — 200 ryb. Przypisanie to jednak dotyczy kapitału łącznie z jego usługą. Tak więc część otrzymanej sumy, chociażby 190 ryb, względnie ich wartość, przypisana będzie substancji sieci, reszta zaś ich usłudze, co dopuszcza powstanie nadwartości i zysku z kapitału.

Skoro tak skromny stopień fizycznej produktyjności kapitału wystarcza według teorji usług kapitału dla powstawania nadwartości, to samo przez się rozumie się, że nie przypuszcza ona istnienia bezpośredniej wartościowej produktyjności; nawet, ściśle biorąc, zasadniczo je wyklucza.

Stosunek teorji usług kapitału do jego produktyjności nie jest wprawdzie tak jasno wyrażony w samych pismach teoretyków usług kapitału, jak ja go tutaj wyraziłem. Raczej przeciwnie. Powoływania się na produktyjność kapitału przez długi czas idą równolegle z rozwojem właściwej teorji usług, a nieraz występują w tonie, pozwalającym zastanawiać się, czy autor przy tłumaczeniu zjawiska nadwar-

¹⁾ Porówn. wyżej, str. 113, odsył.

tości opiera się więcej na produktyjności kapitału, czy też na odrębnej argumentacji teorji usług. Stopniowo tylko uwolniły się teorje usług kapitału od pomieszania z teorją produktyjności i wystąpiły w zupełnie samodzielnej postaci¹⁾.

Będę się starał przedewszystkiem dać historyczny obraz rozwoju teorji usług kapitału. Krytykę zaś podzielę na dwie części. Te uwagi krytyczne, które odnoszą się do indywidualnych braków poszczególnych teorji, będę wcielał od razu do historycznego opisu. Krytyczną ocenę całego kierunku poddam wkońcu osobnemu jednolitemu roztrząsaniu.

PODDZIAŁ PIERWSZY.

Rys historyczny.

Rozwój teorji usług kapitału wiąże się głównie z trzema nazwiskami: J. B. S a y'a, który dał do niej pierwszy pochop, H e r m a n n a, który przez szczegółową naukę o naturze i istocie usług postawił ją na pewnych podstawach, i M e n g e r a, który postawił ją na najwyższym szczeblu, jaki wogóle, zdaniem mojem, zdolna jest osiągnąć. Wszystkie opracowania, pomiędzy temi trzema leżące, zbliżają się do jednego z nich, i, pomimo, że niektóre mają poważne zasługi, mniej są od nich ważne. Spis autorów, którzy się za teorją usług wypowiadali, daje powód do dwóch szczególnych spostrzeżeń. Po pierwsze, jeśli pominąć jedyne S a y'a, rozbudowę swą teorja usług zawdzięcza wyłącznie nauce niemieckiej. Powtóre zaś, teorja usług potrafiła zdobyć sobie szczególną sympatię najprzenikliwszych i najgłębszych niemieckich myślicieli: spotykamy tu w znacznej liczbie najlepsze nazwiska niemieckiej nauki.

Naukę S a y'a, który zapoczątkował ten kierunek,

¹⁾ Chwiejny sposób wyrażania się wielu teoretyków usług kapitału w znacznym stopniu zawinił w tem, że tak mało dotychczas zwracano uwagi na istnienie samodzielnych »teorji usług kapitału«. Poprostu sprowadza się do jednego mianownika jej zwolenników z właściwymi teoretykami produktyjności i, zbijając dowodzenia ostatnich, uważa się i pierwszych za zwyciężonych. Jak widzimy z tekstu, jest to zupełnie fałszywe — dwie te grupy teorji opierają się o zasadniczo różne podstawy.

przedstawiłem już szczegółowo wyżej¹⁾. Teoria produkcyjności i usług kapitału są w niej jeszcze najzupełniej pomieszczone; tak zupełnie, że żadna z nich nie przeważa, i historykowi doktryny nie pozostaje nic innego, jak zaliczyć S a y'a do teoretyków o b u kierunków. Streszczę tu w krótkich słowach bieg tych myśli, które odnoszą się do teorii usług, jako podstawę dla dalszego ciągu.

Kapitał, t. zw. fonds productif, oddaje produkcyjne usługi. Posiadają one samodzielność ekonomiczną i są przedmiotem odrębnego oszacowania i sprzedaży. Ponieważ z jednej strony są one przy produkcji niezbędne, a z drugiej nie można ich od właścicieli dostać bez odszkodowania, cena wszelkich produktów kapitału — na skutek stosunku podaży i popytu — musi się tak ustalić, by oprócz odszkodowania dla innych czynników produkcji, zawierać jeszcze zwykłe wynagrodzenie dla usług kapitału. Tak więc »nadwartość« produktu kapitału i zysk z kapitału powstają z konieczności osobnego wynagrodzenia osobnej ofiary produkcyjnej »usług kapitału«.

Najwyraźniej słabym punktem tej nauki — jeśli pominąć stale przecinanie jej przez sprzeczne z nią wywody, zaczerpnięte z naiwnej teorii produkcyjności — jest nieokreśloność, w jakiej S a y pozostawia pojęcie usług produkcyjnych. Jeśli się bierze za punkt wyjścia swojej teorii zysku istnienie i wynagrodzenie usług produkcyjnych kapitału, to obowiązującym się jest do wyraźnego określenia, co się pod tą nazwą rozumie. Tymczasem, jak to już wykazałem wyżej, S a y nie tylko tego nie czyni, ale nawet nieliczne punkty oparcia, które daje, zwracają się w fałszywym kierunku.

Z często powtarzanej analogji, którą S a y przeprowadza pomiędzy usługami kapitału z jednej, a pracą ludzką, oraz czynnością sił naturalnych z drugiej strony, możnaby wnosić, że S a y pod pierwszemi rozumiał czynności sił naturalnych, zawartych w dobrach-kapitałach; np. fizyczne czynności, wykonywane przez zwierzęta pociągowe, lub maszyny, działalność siły ogrzewającej, zawartej w węglu i t. p. Jeśli jednak tak jest, to cały tok dowodzenia znajduje się na fałszywej drodze. Czynności te bowiem nie są niczem innym, jak tem, co nazwałem gdzie indziej »uży-

tecznym efektem« (»Nutzleistungen«) dóbr¹⁾; jest to to samo, co w panującym, mało określonym i niejasnym niestety słownictwie nauki niemieckiej określa się wprawdzie jako usługa, ale usługa brutto kapitału, i co jest wynagradzaniem przez całkowitą sumę brutto, otrzymywaną jako czynsz, czy opłatę dzierżawną za przedmioty, stanowiące kapitał: chodzi tu jednym słowem o substrat zysku brutto, a nie czystego zysku z kapitału. Jeśli istotnie S a y to rozumiał pod wyrażeniem swoim »services productifs«, to cała jego teoria chybiła celu, ponieważ z konieczności wynagradzania tych services productifs wynika tylko istnienie surowego zysku, a wcale nie istnienie zysku czystego, który jest przedmiotem wyjaśnienia. Jeśli zaś pod wyrażeniem »services productifs« rozumiał coś innego, to pozostawił nas w zupełnej nieświadomości co do natury tego czegoś innego — co zbudowaną na istnieniu tegoż teorię czyni przynajmniej niekompletną.

W każdym wypadku więc teoria S a y'a jest niezadowalającą. Tem niemniej wskazała ona nową drogę, na której, przy odpowiednim rozwinięciu, znacznie bardziej można się zbliżyć do jądra zagadnienia zysku, niż przez bezowocną właściwą teorię produkcyjności.

Dwaj pierwsi zwolennicy S a y'a nie przynieśli wprawdzie jeszcze takiego rozwinięcia. Jeden z nich, S t o r c h, zeszedł nawet jeszcze z tej nieznacznej wysokości, zakreślonej przez teorię S a y'a.

S t o r c h¹⁾ opiera się wyłącznie na S a y'u, którego niezmienne często cytuje, ale nie korzysta wcale z dowodów, któremi S a y wzbogacał swoje wnioski, choć sam brakowi ich nie zapobiega.

Charakterystyczną oznaką nieszczęśliwego i bezowocnego ujęcia naszego przedmiotu jest, że S t o r c h wyjaśnia nie procent uzyskiwany przy pożyczkach zapomocą pierwotnego zysku z kapitału, ale odwrotnie — ostatni zapomocą pierwszego.

Wychodzi on z tego założenia, że obok dwóch pierwszorzędných źródeł dóbr, przyrody i pracy, kapitał jest trze-

¹⁾ Porówn. moje »Rechte und Verhältnisse«, str. 57 i nast. Szczegóły o tem niżej.

²⁾ Cours d'Economie politique, t. I, Paris, 1823.

¹⁾ Patrz str. 118 i nast.

ciem, drugorzędnem, »źródłem produkcji« (str. 212). Źródła produkcji są też źródłami dochodu, przez to, że często należą do różnych osób, i tylko w drodze wypożyczania dostają się do rozporządzenia tych, którzy je gromadzą w celu produkcyjnego współdziałania. Otrzymują przytem wynagrodzenie, które staje się dochodem pożyczającego. »Cena wypożyczonego kawałka ziemi nazywa się dzierżawą; cena wypożyczonej pracy — płacą roboczą; cena wypożyczonego kapitału — zyskiem lub czynszem«¹⁾.

Dając do zrozumienia, że wypożyczenie sił produkcyjnych jest prawidłową drogą do zdobycia dochodu, dodaje Storch, że można też otrzymać dochód, wyzyskując osobie swoje siły produkcyjne.

»Człowiek, uprawiający własnym kosztem własny ogród, łączy w swych rękach grunt, pracę i kapitał. Pomimo to (słowo to jest charakterystyczne dla ujęcia Storcha!) z pierwszego uzyskuje rentę gruntową, z drugiej utrzymuje płacę, z trzeciego — rentę z kapitału«. Sprzedaż bowiem produktów jego pracy musi przynosić mu wartość, przynajmniej równającą się wynagrodzeniu, któreby mógł otrzymać przy wynajęciu swego gruntu, pracy i kapitału: inaczej przestałby uprawiać ogród i przeszedł do wynajmowania swych sił produkcyjnych²⁾.

Dlaczego jednak możliwym jest otrzymywanie wynagrodzenia za wypożyczone siły produkcyjne, wogóle, a za wypożyczony kapitał w szczególności? — Storch nie zadaje sobie wiele trudu, aby dać odpowiedź na to pytanie. »Ponieważ człowiek« powiada on na str. 266, »spożywać musi jeszcze zanim uzyska jakiś produkt, biedny znajduje się w zupełnej zależności od bogatego, i nie może żyć, ani pracować, jeśli nie uzyska od niego najniezbędniejszych dla życia środków żywności, które obiecuje zwrócić po wykoń-

¹⁾ Ostatnie słowa są cytata z Say'a.

²⁾ Przy kwestji wysokości renty z kapitału powraca znów wypaczenie stosunku pomiędzy pierwotnym zyskiem a procentem. Na str. 285 wskazuje Storch, że zysk z kapitału określa się na podstawie stosunku pomiędzy podażą kapitalistów, którzy mają kapitały do wynajęcia, a popytem przedsiębiorców, którzy pragną je wynająć. A na str. 286 powiada, że wysokość dochodu osób, które same wykorzystują swoje siły produkcyjne przystosowuje się do stopy, określonej przez podaż i popyt na wypożyczone siły produkcyjne.

czeniu swego produktu. Pożyczka taka nie może być bezinteresowna, gdyż korzyść z niej pozostawałaby wyłącznie po stronie ubogiego, gdy bogaty nie widziałby w niej żadnego dla siebie interesu. Aby uzyskać jego zgodę na tę pożyczkę, musiano się zgodzić, by posiadacz nagromadzonego nadmiaru czyli kapitału otrzymywał rentę, czyli zysk w stosunku do wysokości udzielanej zaliczki«. Wyjaśnienie, pozostawiające pod względem ścisłości naukowej prawie wszystko do życzenia.

O drugim zwolenniku Say'a przynajmniej nie można powiedzieć, by jego teorię zepsuł. Zwolennikiem tym jest Nebenius.

Nebenius w doskonałym dziele swoim o kredycie publicznym¹⁾ poświęca też krótkie rozważanie naszemu przedmiotowi, i podaje nieco eklektyczne wyjaśnienie zysku z kapitału. W głównych zarysach zgadza się z teorią usług kapitału Say'a. Przyjął jego kategorię produkcyjnych usług kapitału²⁾ i opiera zysk z kapitału na tej okoliczności, że usługi te posiadają wartość zamienną. Dla umotywowania go wyciąga jednak, jako nowy moment, wzgląd na »bolesne wysiłki i wyrzeczenia się«, których wymaga tworzenie kapitału³⁾. Nie brak wreszcie oddźwięków teorii produkcyjności. Tak, raz zwraca autor uwagę, że czynsz, który dłużnik ma uiścić za pożyczony, produkcyjnie umieszczony, kapitał, można rozpatrywać, jako owoc samego tego kapitału (str. 21); w innym miejscu podkreśla, że »we wzajemnej ocenie, z której wynika oznaczenie czynszu, głównym momentem jest siła produkcyjna kapitału« (str. 22).

¹⁾ Cytuję według 2-go wyd. 1829 r.

²⁾ Patrz np. str. 19 i 20.

³⁾ »Potrzeba i użyteczność kapitałów przy produkcji w najrozmaitszych wypadkach i okolicznościach z jednej strony, a trudności i wyrzeczenia się, którym się dostarczenie ich zawdzięcza, z drugiej, stanowią podstawy wartości zamiennej usług, przez nie oddawanych. Wynagrodzenie swe znajdują one dzięki udziałowi w wartości produktów, wytworzonych przy ich współdziałaniu« (str. 19). »Usługi kapitałów i przemysłu muszą niezbędnym posiadać wartość zamienną; pierwszych, ponieważ kapitały zdobywane są tylko dzięki mniej lub więcej bolesnym wyrzeczeniom się i wysiłkom, do znoszenia których skłonić może tylko spodziewana korzyść...« (str. 22).

Na szczegółowsze rozwinięcie swojej teorii zysku nie zdobył się jednak *Nebenius*; nie daje też analizy istoty produkcyjnych usług kapitału, które poprostu przejmuje od *Sa y'a*, jako gotową kategorię.

Wspomnę tu jeszcze trzeciego pisarza, który wprowadził pisał znacznie później, już po *Hermannie*, ale pozostał bardzo bliskim punktowi widzenia *Sa y'a*. Pisarzem tym jest *Marlo* w swoim »System der Weltoekonomie«¹⁾.

„Szeroka skala, na którą dzieło to zostało zakrojone i wielkie znaczenie, które ze względu na swe tendencje powinny mieć dla niego właśnie zagadnienie zysku, znajdując się w jaskrawej sprzeczności z ubogiem i niewystarczającym opracowaniem tego zagadnienia. Napróżno szukamy w imponujących tomach jakichś jednolitych i głębiej pomyślanych badań nad pochodzeniem zysku z kapitału, jakiejs prawdziwej teorii zysku. Gdyby *Marlo* nie dał do pewnego stopnia poznać swego punktu widzenia w polemicznych zwrotach przeciw inaczej myślącym, głównie przeciw nauce o pracy, jako jedynemu źródle wartości²⁾, to pozytywne jego wynurzenia nie byłyby w stanie najpowszechniej zorientować czytelnika w jego przekonaniach, nie mówiąc już o zapoznaniu niewtajemniczonych w istotę zagadnienia.

Przekonania *Marlo* są powstałe pod wpływem *Sa y'a* mieszaniną teorii usług kapitału i teorii produkcyjności. Uznaje on, kładąc szczególny nacisk na konieczność ich współdziałania, dwa źródła powstawania dóbr, siłę przyrody i siłę pracy, przyczem ujmuje kapitał, jako »wykształconą siłę przyrody«³⁾. Odpowiednio do dwóch źródeł powstawania dóbr podaje też dwa rodzaje dochodu: zysk i płacę roboczą. »Zysk jest odszkodowaniem za produkcyjne albo konsumcyjne używanie nagromadzonych bogactw«.

»Jeśli używamy części bogactw, jako środków pomocniczych przy pracy, to biorą one udział w produkcji i przez to oddają nam usługi; jeśli używamy je do celów spożycia, to spożywamy nie tylko same dobra, ale też i usługi, które mogłyby one oddać przy produkcyjnym zastosowaniu.

¹⁾ Cassel, 1850—57.

²⁾ Tom I, część II, str. 246 i nast., oraz gdzie indziej.

³⁾ T. II, str. 214 i inne, str. 255.

Jeśli używamy części cudzych bogactw, to musimy ich właścicielom zwrócić odpowiednik usługi, którą one oddać mogły. Zwrot ten to właśnie zysk, zwany też czynszem, procentem, rentą z kapitału. Jeśli używamy własne dobra, to sami pobieramy zysk, który one przynoszą¹⁾. Zaiste, smętny wyciąg ze starej *Sa y'o*wskiej nauki!

Jeszcze dziwniejszą się wydało nędzne powtarzanie dawno powiedzianych rzeczy, gdy przypomnimy sobie, że rozwój teorii usług kapitału posunął się w tym czasie o wiele naprzód, głównie dzięki »*Staatswirtschaftliche Untersuchungen*« *Hermann*a, które ukazały się w roku 1832.

Dzieło to jest drugim etapem w rozwoju teorii usług kapitału. Na podstawie skąpych i sprzecznych wzmianek *Sa y'a*, które przyjął z pełnym pochwale uznaniem²⁾, potrafił *Hermann* zbudować wspaniałą teorię, o równie starannie opracowanych podstawach i szczegółach. I ta doskonale zbudowana teoria przesiąknęła go całego. Przenika ona całe obszerne dzieło nazewną i wewnątrz: niema rozdziału, w którymby nie miało pokąźnego miejsca jej przedstawienie lub zastosowanie, i w żadnym ustępie nie pozwala sobie autor na odstępianie od poglądów, do utrzymania których zobowiązuje go teoria usług kapitału.

Poniżej rozwinę w streszczeniu główne myśli teorii *Hermann*a, która zasługuje na to, by się z nią bliżej zaznajomić. Trzymam się przytem głównie drugiego wydania książki, które się ukazało blisko czterdzieści lat po pierwszym, ponieważ istota teorii pozostała w niem niezmienną, a podana jest w formie subtelniejszej i dokładniejszej³⁾.

Podstawę nauki *Hermann*a stanowi jego pojęcie samodzielnych usług, świadczonych przez dobra. W przeciwieństwie do *Sa y'a*, który zbywa określenie natury swych *services productifs* paru analogjami i metaforycznymi zwrotami, zajmuje się *Hermann* z najbaczniejszą troskliwością wyjaśnieniem swego zasadniczego pojęcia.

Wprowadza je najpierw w naukę o dobrach, mówiąc o różnych rodzajach użyteczności dóbr. »Użyteczność może

¹⁾ T. III, str. 633, 660.

²⁾ Patrz wyd. I-e, str. 270 w uwagach.

³⁾ Drugie wydanie ukazało się w r. 1870, niezmiennym przedruk w r. 1874. Cytuję według ostatniego.

być przemijająca, albo trwała. Miarodajnym jest tu po części rodzaj dobra, po części rodzaj użytku. Przemijającą, często chwilowo, jest użyteczność świeżo przygotowanych potraw, niektórych napojów; usługa osobista może mieć tylko chwilową wartość użytkową, ale również może wywierać trwały skutek: dzieje się to np. przy nauczaniu, przy poradzie lekarskiej. Kawalki ziemi, budynki, sprzęty, książki, pieniądze, mają trwałą wartość użytkową. Użytkowanie, przy którym przedmioty używane trwają, nazywamy ich usługą; ostatnia może być ujęta, jako odrębne dobro, osiągające własną wartość zamienną, zwaną zyskiem.

Ale nietylko trwale, lecz i przemijające, zużywające się dobra, są w stanie oddawania trwałych usług. Ponieważ zdanie to posiada pierwszorzędne znaczenie dla teorii Hermanna, przytoczę wyjaśnienie jego dosłownie.

»Technika jest ... w stanie zachować w postaci niezmniejszonej sumę wartości zamiennych dóbr przy przetwarzaniu i połączeniach ich użyteczności, tak, że dobra, występując w różnych postaciach, zachowują tę samą wartość. Ruda żelazna, węgiel i praca, w surowcu żelaznym uzyskują łączną użyteczność, do której każde z nich wnosi chemiczne i mechaniczne pierwiastki; ponieważ więc surowiec posiada wartość zamienną trzech użytych tu dóbr, to suma istniejących poprzednio dóbr trwa w nowej użyteczności jako połączenie jakościowe, w wartości zamiennej jako suma ilościowa«.

»Dobrom materialnym przemijającym używa technika gospodarczej stałości i trwałości właśnie przez ich przetworzenie. Ta trwałość użyteczności i wartości zamiennej dóbr przemijających uzyskiwana zapomocą technicznego przetwarzania, posiada dla gospodarki ogromne znaczenie. ... Suma dóbr o trwałej użyteczności znacznie się przez to zwiększa; nawet dobra, materialnie przemijające i prosto czasowo użyteczne, tak się dają stopić, dzięki odpowiedniej przeróbce przy niezmiennionej wartości zamiennej, że uzyskują cechę trwałości w ich użytkowaniu. Użytkowanie to dla dóbr, zmieniających jakościowo swą postać przy niezmiennionej wartości zamiennej, jak i dla dóbr trwa-

łych, daje się ująć, jako dobro odrębne, jako usługa, która sama uzyskać może wartość zamienną¹⁾. — Powrócę jeszcze później do tego ciekawego ustępu.

Hermann korzysta z tego rozumowania, by zaraz wprowadzić swoje pojęcie kapitału, opierające się całkowicie na pojęciu usługi: »Stale, czyli trwale dobra i zmienne, utrzymujące swą wartość dzięki przemianie formy, można tedy objąć jednym pojęciem: są one stałą podstawą usługi, posiadającej wartość zamienną. Takie dobra nazywamy kapitałami«²⁾.

Przejsieć od tego wstępnego ustalenia pojąć do właściwej teorii zysku Hermanna stanowi zdanie, że usługi kapitału w życiu gospodarczym istotnie prawidłowo posiadają tę wartość zamienną, która im przypada, jako odrębnym jednostkom. Hermann nie wypowiada tego zdania z naciskiem, odpowiadającym jego znaczeniu. Pomimo, iż w całym dalszym ciągu na niem się opiera, nie nadaje mu uroczystej formy i nie zaopatruje w szczegółową motywację. Ta ostatnia wprawdzie istnieje, ale raczej między wierszami, niż w nich samych. Wypływa ona stąd, że usługi posiadają wartość zamienną, gdyż są dobrami gospodarczymi; informacja wprawdzie dosyć zwężała, ale ostatecznie wystarczająca bez dalszych komentarzy³⁾.

¹⁾ Str. 109 i nast.

²⁾ Str. 111. — Hermann nie zostaje jednak zupełnie wiernym rozwiniętemu tu pojęciu kapitału. Gdy tu nazywa kapitałami same dobra, będące podstawą trwałej usługi, dalej chętnie przedstawia kapitał, jako coś od dóbr różnego, niejako unoszącego się nad nimi; tak np. gdy mówi na str. 605: »Przedewszystkiem musimy odróżniać przedmiot przedstawiający kapitał, od samego kapitału. Kapitał jest podstawą trwałej usługi, posiadającej określoną wartość zamienną; zostaje nietknięty, dopóki usługa zachowuje tę wartość, i zupełnie jest przytem obojętne, czy dobra, tworzące kapitał, użyteczne są tylko jako kapitał, czy też i inaczej, wogóle obojętną jest forma, którą kapitał przybiera«. Jeślibyśmy tu pytali, czym więc jest kapitał, jeśli nie jest sumą dóbr, których postać przybiera, to uczciwa, nie igrająca ze słowami odpowiedź, byłaby dosyć utrudniona.

³⁾ Hermann widocznie uważa wartość zamienną usług za coś zbyt oczywistego, by to potrzebowało formalnego wyjaśnienia. Przytoczone w tekście nadzwyczaj zwężłe wyjaśnienie daje zazwyczaj tylko pośrednio, ale najzupełniej wyraźnie; więc gdy na str. 507 mówi: »Wytwarzający zboże nie może otrzymać w ce-

Dalsze wyjaśnianie zysku z kapitału idzie następującą drogą.

Usługi kapitału, obdarzone wartością zamienną, prawie we wszystkich gałęziach produkcji stanowią niezbędną część kosztów produkcji. Ostatnie składają się z trzech części: 1) z wydatku przedsiębiorcy, t. j. z nakładu poprzednio już istniejących wartości, np. zasadniczych, drugorzędnych i pomocniczych materiałów, własnej i cudzej pracy, zużycia budynków i sprzętów fabrycznych i t. p.; 2) z wysiłków inteligencji i uwagi przedsiębiorcy przy puszczeniu w ruch i prowadzeniu przedsiębiorstwa i 3) z usług niezbędnych dla produkcji stałych i obrotowych kapitałów w czasie ich zastosowania aż do chwili sprzedaży produktu¹⁾.

Poniedaż zaś cena produktu z punktu widzenia gospodarczego musi pokrywać całość kosztów produkcji, to musi być dosyć wysoka, »by obok zwrotu wydatków jednocześnie« wynagrodzić »ofiary z usług kapitału przez przedsiębiorcę ponoszone, a następnie inteligencję jego i uwagę«; albo, według zwykłego wyrażenia, oprócz zwrotu kosztów, musi jeszcze dawać zysk (zysk kapitału i zysk przedsiębiorcy). Zysk ten, jak jeszcze dokładniej uzupełnia Hermann myśl swoją, nie jest wcale »tylko korzyścią przypadkowo trafiającą się w walce o ceny«. Jest on, przeciwnie, »tak samo zwrotem prawdziwie włożonych w produkt dóbr, obdarzonych wartością zamienną, jak zwrot nakładów. Różnica polega tylko na tem, że ostatnie robi przedsiębiorca na dostarczanie i połączenie w produkcie pierwiastków wartości zamiennej, już istniejących gdzieindziej; usługi zaś włożonych kapitałów i własne kierownictwo interesem wkłada sam w produkt w czasie wytwarzania, jako coś nowego. Korzysta z nakładów, by uzyskać możliwie największe wynagrodzenie za ten swój nowy dodatek; wynagrodzenie to jest właśnie zyskiem« (str. 314).

Do zakończenia tego wyjaśnienia zysku z kapitału brak tylko jednego, a mianowicie wykazania, jak się dzieje, że produkcja wymaga oprócz włożenia samego kapitału jeszcze ofiarowania jego usług? — Wyjaśnienie to daje Hermann

nie żadnego wynagrodzenia za usługę ziemi, dopóki każdy może z niej korzystać, jako z wolnego dobra w dowolnej ilości«.

¹⁾ Str. 312 i nast., 412 i nast.

bardzo rozwlekłe na innem miejscu, gdzie jednocześnie dowodzi, że wszystkie produkty dają się ostatecznie sprowadzić do czynności, wykonanych przez pracę i usług kapitału. Ponieważ Hermann daje przytem ciekawe informacje o charakterze »usług dóbr«, takich, jak je pojmuje, przeto-czę dosłownie i ten jeszcze ustęp.

Hermann analizuje ofiary, których wymaga produkcja solonych ryb. Wylicza: praca połowu, używanie i zużywanie narzędzi, statków; praca zdobywania soli i znów usługi wszelakich narzędzi, beczek i t. p.; następnie rozkłada statek na drzewo, żelazo, liny, pracę i usługi narzędzi pracy; drzewo znowu na usługę lasu i pracę, żelazo na usługę kopalni i t. p. »Ten szereg usług i prac nie wyczerpuje jednak sumy ofiar, potrzebnych dla dostarczenia ryb solonych. Należy jeszcze mianowicie wziąć w rachubę okres czasu, w ciągu którego każdy pierwiastek wartości zamiennej wcielonym jest do produktu. Z chwilą, gdy dana praca, czy usługa zmienia się w produkt, wszelkie inne rozporządzanie się niemi przestaje istnieć; zamiast korzystać z nich samych, współdziała się tylko za ich pośrednictwem w wytworzeniu produktu i dostarczeniu go spożywczy. By wytworzyć sobie prawidłowy pogląd na ich znaczenie, należy zwrócić uwagę, że prace i usługi, z chwilą, gdy są zastosowane do wytworzenia produktu, wchodzą ilościowo jako część składowa do obrotowego kapitału, z wartością zamienną, którą posiadały w chwili zastosowania. Więc wartości stają się kapitałem obrotowym. Ale jest to właśnie ta suma wartości, której użytkowania we wszelki inny sposób trzeba się wyrzec, aż do chwili opłacenia produktu ze strony kupującego. Z jednej strony przy wydobywaniu, obrabianiu, przechowywaniu, przesyłce, kapitał obrotowy wzrasta za każdym razem dzięki wciąż nowym pracom i usługom, które się weń wciela; z drugiej jest on sam bogactwem, którego usługi, oddawane za każdym razem, kiedy następuje powiększenie wartości aż do chwili dostarczenia go ostatniemu odbiorcy, są przekazywane spożywczy. I nie jest to tylko wyrzeczenie się własnego użytkowania, za które on musi płacić; nie, przekazuje mu się wraz z samem bogactwem prawdziwą, nową, odrębną usługę; zgromadzenie i utrzy-

manie w całości, przechowanie i utrzymanie w gotowości wszystkich technicznych pierwiastków produkcji, począwszy od zdobycia pierwszej jego podstawy przyrodzonej, poprzez wszystkie techniczne wędrówki i handlowe przejścia aż do dostarczenia produktu na wskazane miejsce, w określonym czasie i pożądanej ilości. To utrzymywanie w całości technicznych pierwiastków produktu jest właśnie usługą, obiektywnym użytkowaniem obrotowego kapitału¹⁾.

Porównyując postać, którą Hermann nadaje teorii usług kapitału, z nauką Say'a, znajdujemy rzeczywiście identyczność w najogólniejszych ich zarysach. Obie uznają istnienie samodzielnych usług, świadczonych przez kapitał, obie w użytkowaniu ich dla celów produkcji widzą odrębną ofiarę obok wydatku substancji kapitału i obie tłumaczą zysk, jako — niezbędne — odszkodowanie za tę samodzielną ofiarę. Nauka Hermanna wykazuje jednak w porównaniu do sayowskiej istotny krok naprzód. Say bowiem dał tylko zarysy teorii, wewnątrz której najważniejsze rzeczy pozostały niewyjaśnione; jego services productifs są tylko wieloznaczna nazwa, a tak ważna rzecz, jak zbadanie, w jaki sposób ofiarowanie ich stanowi obok ofiarowanej substancji kapitału samodzielną ofiarę produkcji, pozostawione jest mniej więcej fantazji czytelnika. Ponieważ zaś Hermann z iście niemiecką sumiennością starał się wyjaśnić te dwa zasadnicze punkty, dopiero on wypełnił przejęte od Say'a zarysy poważną treścią i przez to wprowadził całość do rzędu solidnych teorii. — Negatywną zasługą, której nie należy lekceważyć, jest też, iż Hermann ściśle wystrzega się tak rażących u Say'a równoległych wyjaśnień za pośrednictwem produktywności kapitału; używa on wprawdzie czasem tego wyrażenia, ale zawsze w sensie, jeśli nie zupełnie szczęśliwym, to w każdym razie niedwuznacznym²⁾.

Co prawda nie udało się Hermannowi ustrzec zupełnie sformułowania swej teorii usług kapitału od wszelkiej sprzeczności. Szczególniej niepewnem pozostaje i u niego, w jakim związku pozostaje wartość zamienna usług kapitału z ceną jego produktu. Czy cena produktu jest wysoką

¹⁾ Str. 286 i nast.

²⁾ Patrz niżej.

dlatego, że wysoką jest wartość zamienna usług? Czy odwrotnie, wartość zamienna usług jest wysoką dlatego, że wysoką jest cena produktu? — Kwestja ta, z racji której Say płacze się w najjaskrawszych sprzecznościach¹⁾, nie jest też zupełnie wyraźną u Hermanna. W przytoczonym przez nas ustępie, oraz w wielu innych, skłania się on wyraźnie do pierwszego poglądu, więc przedstawia cenę produktu, jako ulegającą wpływowi wartości usług kapitału²⁾, ale nie brak też zdań, przypuszczających wręcz odwrotny stan rzeczy. Raz (str. 296) zwraca Hermann uwagę, że wysokość cen produktów »sama dopiero oddziaływa na ceny prac i usług«, gdzie indziej zaś (str. 559) podobnie przypisuje wpływ na ceny półfabrykatów nie składowym częściom kosztów ich produkcji, a produktowi ostatecznemu. — Dopiero Mengerowi sędzone było wyświetlić zupełnie tę trudną kwestję.

Mieliśmy dotychczas na oku jedynie teorię pochodzenia zysku z kapitału Hermanna. Nie należy jednak zapominać o zupełnie oryginalnych poglądach jego na przyczyny wysokości stopy zysku.

Hermann za punkt wyjścia przyjmuje poprzednio dowiedzione zdanie, że »całość produktu«, rozłożona na proste swoje części składowe, przedstawia »sumę prac i usług«. Jeśli się tego trzymać, to przedewszystkiem jasnem się staje, że wszelkie akta wymiany polegają na wymianie prac i usług kapitału (bezpośrednich lub wcielonych w produkt) jednych osób na prace i usługi (bezpośrednie lub wcielone w produkt) innych. Ta ilość cudzych prac i usług, którą się przytem otrzymuje za własną pracę, jest wartość zamienną pracy, lub płacą roboczą; a »ta ilość cudzych prac i usług kapitału, którą się otrzymuje od innych za ustąpione usługi własnego kapitału, jest podstawą ich wartości zamiennej, czyli zyskiem kapitału«. Płaca robocza i zysk kapitału wyczerpują więc całkowitą sumę wszystkich napływających na rynek produktów³⁾.

Od czegoż więc zależy poziom zysku kapitału, albo, co na jedno wychodzi, poziom wartości zamiennej usług ka-

¹⁾ Patrz wyżej, str. 121.

²⁾ Patrz też str. 560: »Usługi kapitału są więc jedną z podstaw określenia ceny«.

³⁾ Hermann ziemię pojmuje też, jako kapitał.

pitalu? — Przedewszystkiem naturalnie od ilości cudzych prac i usług, które się za nie otrzymuje. Ilość ta znowu zależy głównie od stosunku, w jakim obaj mający udział w całości produktu t. j. prace i usługi, są jedne wzamian za drugie pożądane i zaofiarowane. Każde zwiększenie podaży pracy dąży do obniżenia płacy roboczej i zwiększenia dochodu kapitału, a każde zwiększenie zaofiarowania usług — do zwiększenia płacy roboczej i obniżenia dochodu kapitału. Podaż każdego z tych dwóch czynników może być zwiększoną przez dwie okoliczności: zwiększenie ilości, w jakiej dany czynnik istnieje, albo też większa jego wydajność. Wpływ tych okoliczności przejawia się w następujący sposób.

»W miarę zwiększania się ilości kapitałów, zwiększa się ilość wystawionych na sprzedaż usług i poszukiwanych wzamian za nie równoważników. Równoważniki te mogą być tylko pracą lub usługami. O ile wzamian za pomnożone usługi kapitału żąda się innych podobnych, ma się istotnie większą sumę równoważników do rozporządzenia; ponieważ więc zaofiarowanie i zapotrzebowanie jednakowo się zwiększyły, wartość zamienna usług nie może ulec zmianie. Ale jeśli, jak tu jest przyjęte, suma prac, jako całość, się nie zwiększyła, posiadacze kapitału znajdują tylko dawną, więc niewystarczającą ilość równoważników wzamian za większą ilość usług, które pragną wymienić na pracę; wartość zamienna usług w stosunku do pracy spadnie, albo też robotnik zapomocą mniejszego wysiłku będzie w stanie nabyć tę samą usługę. Przy wymianie usługi na usługę otrzymują kapitaliści równoważnik poprzedni, przy wymianie usługi na pracę — mniejszy; wysokość zysku w stosunku do kapitału, czyli stopa zysku, musi się obniżyć. Suma wytworzonych dóbr wprawdzie się zwiększyła, ale przyrost ten podzielony został pomiędzy kapitalistami a robotnikami.

»Jeśli zwiększa się wydajność kapitału, czyli, jeśli dostarcza on w tym samym przeciągu czasu więcej środków zaspokojenia potrzeb, to kapitaliści zaofiarowują więcej dóbr użytkowych, niż poprzednio, więc wymagają więcej równoważników. Otrzymują je, o ile wzamian za swoje pomnożone usługi poszukują innych usług. Podaż wzrosła tu wraz z zapotrzebowaniem; wartość zamienna więc musi pozostać niezmienną, t. j. na siebie muszą być wymieniane usługi tych samych kapitałów w tym samym

przeciągu czasu; ale zawarta w usłudze użyteczność wyższą jest, niż poprzednio. Jeśli jednak przypuścić, że ilość pracy się nie zwiększyła, to wszystkie usługi, za które się chce nabyć pracę, nie mogą znaleźć swego równoważnika; dla zachowania równowagi, wartość pracy musi wzrosnąć, a wartość zamienna usług w stosunku do pracy — spaść. Robotnicy wzamian za dawny wysiłek otrzymują więcej usług, znajdują się więc w lepszym położeniu; posiadacze kapitałów nie mogą korzystać sami z całego owocu zwiększonej wydajności kapitału, lecz muszą go dzielić z robotnikami. Zniżka wartości zamiennej usług nie przynosi im jednak straty, gdyż obejmuje ona więcej dóbr, niż dawna wyższa wartość.

Opierając się na analogicznych podstawach, których już niema potrzeby przytaczać, wykazuje Hermann, że stopa zysku ulega wyższości, jeśli zwiększa się ilość, lub wydajność pracy.

Najwydatniejszym rysem tej teorii jest, że Hermann we wzroście produktywności kapitału widzi przyczynę obniżenia się zysku z kapitału. Znajduje się przez to w wyraźnej sprzeczności z jedną stroną z Ricardem i jego szkołą, która widziała główną przyczynę obniżania się stopy zysku w zmniejszaniu się wydajności kapitałów, zastosowanych przy uprawie gorszych gruntów; z drugiej zaś z teoretykami produktywności, którzy już z samej natury swojej teorii musieli przyjmować istnienie prostej proporcji pomiędzy stopniem produktywności i stopą zysku¹⁾.

Pominiemy narazie pytanie, czy jądro teorii usług kapitału Hermanna daje się utrzymać. Ale, że to zastosowanie, które mu Hermann daje przy wyjaśnieniu poziomu stopy zysku, nie jest prawidłowe, mogę wykazać już w obecnym stadium naszych badań.

Zdaje mi się mianowicie, że Hermann w tej części swojej nauki zbyt mało rozróżniał dwie wielkości, które wymagają bardzo ścisłego rozróżnienia: stosunek całkowitego zysku do całkowitej płacy roboczej i stosunek wielkości zysku do wielko-

¹⁾ Np. Roscher w § 183. Wyjątek stanowi tylko Poesler, który skłania się ku poglądom Hermanna, aczkolwiek z nieco inną motywacją. Patrz wyżej, str. 216 i n.

ści przynoszącego go kapitału, czyli stopę zysku. To, co Hermann mówi, wystarcza doskonale dla wyjaśnienia i udowodnienia obniżenia albo zwiększenia się całkowitego zysku w stosunku do płacy roboczej, ale nic nie wyjaśnia i niczego nie dowodzi w sprawie wysokości stopy zysku.

Źródłem błędu jest przeniesienie usprawiedliwionej zresztą abstrakcji, pozwalającej autorowi widzieć w produktach tylko prace i usługi, z których one powstały do dziedziny, w której się nie nadaje, mianowicie do dziedziny wartości zamiennnej. Przyzwyczajony do uważania usług i prac za przedstawicieli wszelkich dóbr, uważał Hermann, że wystarczy też oglądać się na tych przedstawicieli tylko, gdy chodzi o to, czy dana wielkość posiada wysoką czy też niską wartość zamienną. Rozumuje on: prace i usługi przedstawiają wszelkie dobra. Jeśli więc pewna usługa kupuje tyleż usług, co poprzednio, a mniej pracy, to jej wartość zamienna jest prosto mniejsza. Jest to fałszywe. Wartość zamienna danego, dobra (w znaczeniu zdolności nabywczej, w którym Hermann stale używa tego wyrażenia) mierzyć się daje nie tylko ilościami paru określonych gatunków dóbr, na które można je wymienić, ale przeciętną wszystkich dóbr, do których się zalicza wszystkie produkty, przyczem każde z nich równoznaczne jest z dobrem »pracą« i dobrem »usługą kapitału«. Tak pojmowana jest wartość zamienna w życiu i w nauce, i tak pojmuję ją sam Hermann, wyraźnie oświadczając na str. 432: »Przy takiej rozmaitości dóbr, w których się wyrażają ceny, niemożliwe jest ustalenie pewnej ceny przeciętnej, takiej, jak ją wymagaliśmy dla określenia wartości zamiennnej; nie wyklucza to jednak możności ujęcia wartości zamiennnej. Otrzymuje się je przez porównanie wszystkich cen przeciętnych, płaconych na tym samym rynku we wszelkich dobrach, służących do wyrażania cen za pewne dane dobro; przegląd ten daje szereg porównań danego dobra z wielu innymi dobrami. Tak określoną wartość zamienną danego dobra nazwiemy jego realną wartością (Sachwert) dla odróżnienia od sumy przeciętnej cen pieniężnych, czyli wartości pieniężnej«.

Latwo wykazać, że zdolność nabywcza usług kapitału

w stosunku do produktów inaczej się układa, niż ich zdolność nabywcza w stosunku do innych usług i prac. Jeśli np. wydajność wszelkich usług i prac wzrasta dokładnie tak samo w dwójnasób, to zdolność nabywcza jednych usług i prac w stosunku do drugich nie ulegnie żadnej zmianie; zdolność ich nabywcza w stosunku do produktów, które za nie zdobyć można, przeciwnie, zmieni się bardzo znacznie, bo zwiększy się w dwójnasób.

W zagadnieniu stopy zysku chodzi więc prosto o stosunek zdolności nabywczej usług kapitału do zdolności nabywczej zupełnie określonego gatunku produktu, a mianowicie przedmiotu, stanowiącego kapitał, który wyświadcza daną »usługę«. Jeśli zdolność nabywcza usługi maszyny jest dwadzieścia razy mniejsza od zdolności nabywczej dobra maszyny; jeśli usługa maszyny »kupuje« 100 fl., gdy wzamian za samą maszynę otrzymuje się 2.000 fl., to stosunek ten odpowiada 5%-wej stopie zysku. Jeśli zaś zdolność nabywcza usługi maszyny jest tylko dziesięć razy mniejszą od zdolności nabywczej produktu — maszyny, jeśli pierwsza kupuje 200 fl., druga — 2.000 fl., to stosunek ten odpowiada 10%-wej stopie zysku.

Ponieważ więc nie mamy żadnego powodu przypuszczać, iż wartość zamienna dóbr-kapitałów określa się inaczej, niż wartość zamienna innych produktów, a, jak widzieliśmy, wartość zamienna produktów wobec wartości zamiennnej usług zmienia się naogół w innym stosunku, niż wartość zamienna usług i prac wymienianych pomiędzy sobą, to stąd wynika, iż stosunek pomiędzy zdolnościami nabywczymi usług kapitału i przedmiotów, stanowiących kapitał, innemi słowy stopa zysku, może się zmieniać inaczej, niż stosunek wartości zamiennnej usług i prac. Prawidło Hermanna nie jest więc dostatecznie uzasadnione¹⁾.

¹⁾ Nie będzie może zbyteczne poprzeć przez konkretny przykład bardzo abstrakcyjny bieg rozumowania tekstu. Przypuśćmy, że przy pewnym danym stanie gospodarki społecznej stopa zysku wynosi 5%. Maszyna wartości 2.000 fl. daje więc usługę wartości 100 fl. Nagle wydajność wszystkich kapitałów, więc i naszej maszyny, oraz wszystkich czynności, wykonywanych przez pracę, wzrasta w dwójnasób. Naturalnie, każda usługa i każda praca będzie teraz mogła kupić dwa razy więcej produktów, niż poprzednio, podczas gdy ich wzajemny stosunek zmienny pozostanie

Na zakończenie jeszcze parę słów o stanowisku, jakie zajmuje Hermann wobec »produkcyjności kapitału«. Wspomniałem już, że używa on stale tego wyrażenia, ale bynajmniej nie w sensie teorii produkcyjności; tak dalekim jest od zdania, że kapitał bezpośrednio produkuje zysk z kapitału, że, przeciwnie, uważa wysoką produkcyjność za przyczynę niżki zysku. Zastrzega się też wyraźnie (str. 542) przeciwko temu, by dochód kapitału uważać za odszkodowanie za »martwą usługę«; przeciwnie, kapitał, wymaga dla swego zapłodnienia »planu, troszczenia się, rozwagi, wogóle duchowej działalności«. Nie wiąże zresztą Hermann szczególnie jasnego pojęcia z wyrażeniem »produkcyjność«. Określa je słowami: »Całokształt wszystkich sposobów zastosowania i stosunek produktu do nakładu stanowi to, co nazywamy produkcyjnością kapitału«¹⁾. Czy ma tu na myśli stosunek wartości produktu do wartości nakładu? W takim razie wysoka produkcyjność

bez zmiany. Jeśli przyjmiemy, że produkt »pieniądz« obniżył się w wartości zamiennej w tym samym stosunku, co i inne produkty, to rezultat możemy liczbowo przedstawić w ten sposób, że usługa maszyny wartości 2.000 fl. (wartość maszyny, porównywana z pieniądzem, nie ulega zmianie, ponieważ wytworzenie maszyny, tak jak i pieniądza, oraz wszelkich innych produktów, kosztuje teraz dwa razy taniej) kupuje na 200 fl. produktów, co odpowiada podniesieniu się stopy zysku z 5% na 10%. Według teorii Hermann'a zaś, — ponieważ zdolność nabywczą usług i prac, wymienianych pomiędzy sobą, nie uległa zmianie, stopa zysku musiałaby pozostać 5%-ową! — Rezultat taki mógłby istnieć tylko w dwóch wypadkach: albo, jeśli przyjmiemy, że wartość pieniężna maszyny również wzrosła z 2.000 fl. na 4.000 fl., ale dany stan rzeczy nie daje do tego żadnej podstawy; albo, jeśli przyjmiemy, że zwiększenie liczby (istotnie) tańszych obecnie maszyn obniżyło przez zwiększoną podaż wartość zamienną ich usług w stosunku do innych produktów, tak, by usługa maszyny wartości 2.000 fl. kupowała tylko za 100 fl. produktów. Ale zwracam uwagę, że i ten wynik wchodzi w sprzeczność z teorią Hermann'a, gdyż przy takim stanie rzeczy zwiększyła się nie tylko wydajność, lecz i suma kapitałów istniejących. Ponieważ zaś tylko pierwszej z tych dwóch okoliczności odpowiada jednocześnie zwiększenie się wydajności pracy, to według teorii Hermann'a musiałoby tu powstać zmniejszenie się wartości zamiennej usług kapitału wobec pracy, a przez to obniżenie się stopy zysku, co znowu nie odpowiada niezmiennionej pięcioprocentowej stopie zysku.

¹⁾ Str. 541. Dosłownie tak samo w 1-szem wyd., str. 212.

istniałby tylko przy wysokim zysku, gdy właśnie wywołuje zysk niski. Albo stosunek wielkości produktu do wielkości nakładu? Ale wielkość — masa wogóle — nie gra roli w życiu gospodarczym. Albo stosunek wielkości produktu do wartości zastosowania? Ale ilość z jednej, a wartość z drugiej strony — są to rzeczy niewspółmierne. Jednym słowem, określenia tego wogóle dokładnie wytłumaczyć nie można. Musiał Hermann mieć na myśli mniej więcej jakiś rodzaj fizycznej produkcyjności.

Teoria usług kapitału Hermann'a znalazła przyjęcie i staranne rozwinięcie u wielu wybitnych uczonych niemieckich.

Bardzo światłym zwolennikiem Hermann'a jest Bernhardi¹⁾. Nie rozwija on dalej teorii usług, zadowala się wyrażeniem swojej zgody na cytowaną z uznaniem teorię Hermann'a²⁾ — a wykazuje oryginalność swą i głębokość myśli w szeregu pięknych krytyk, skierowanych głównie przeciwko szkole angielskiej³⁾. Ma zresztą słowa nagany i dla biegunowo odmiennych ślepych teoretyków produkcyjności, gdy zarzuca im »dziwną sprzeczność«, zawartą w przypisywaniu martwemu narzędziu samodzielnej żywej działalności (str. 307).

Na gruncie Hermann'a stoi też Mangoldt⁴⁾, w nieznacznych tylko szczegółach od Hermann'a odbiegający. Różni się więc tem, że jeszcze dalej odsuwa wpływ »produkcyjności kapitału« na tworzenie się zysku, wyrażenie to nazywa nieprawidłowym, używając go, co prawda, »dla uniknięcia rozwlekłości«⁵⁾; dalej, tem, że gdy Herman stawia wysokość zysku w stosunku odwrotnej proporcji do produkcyjności kapitału, on stawia ją w stosunku prostym do produkcyjności, i to stosując formułę Thünen'a, »ostatniej zastosowanej części kapitału«. — Podobnie i Mithoff w swoim przedstawieniu społeczne-

¹⁾ Versuch einer Kritik der Gründe, die für grosses und kleines Grundeigentum angeführt werden. St. Petersburg, 1849.

²⁾ Str. 236 i nast.

³⁾ Str. 306 i nast.

⁴⁾ Volkswirtschaftslehre, Stuttgart, 1868, głównie str. 121 i nast., 137, 333, następnie 445 i t. d.

⁵⁾ Str. 122 i 432.

go podziału dóbr w podręczniku z Schönberga idzie za Hermannem we wszystkich rysach zasadniczych¹⁾.

Odrębne stanowisko w stosunku do teorii usług zajmuje Schäffle. Schäffle — jeden z najwybitniejszych wodzów owego krytycznego kierunku, który rozwinął się z chwilą ukazania się naukowego socjalizmu, przeszedł jeden z pierwszych ten ferment w poglądach, jaki pociąga za sobą spotkanie się dwóch tak różnorodnych sposobów ujmowania zjawisk. Ferment ten zostawił bardzo charakterystyczne ślady w jego wypowiedzeniach się o zysku. Wykaże później, że w pismach Schäfflego znaleźć można niemniej jak trzy wyraźnie różniące się pomiędzy sobą sposoby wyjaśnienia zysku; jeden z nich należy jeszcze do starej szkoły, dwa — do nowej »krytycznej«. Pierwsze to wyjaśnienie daje się zaliczyć do grupy teorii usług kapitału.

W jednym z dawniejszych swoich dzieł »Das Gesellschaftliche System der menschlichen Wirtschaft«²⁾ opiera jeszcze Schäffle całą swą teorię zysku na terminologii teorii usług kapitału; zysk kapitału jest dla niego zyskiem z »usługi kapitału«, procent — ceną usługi, której wysokość zależy od zaofiarowanych i zażądanych ilości usług kapitałów pożyczonych; usługi stanowią samodzielny pierwiastek kosztów produkcji i t. p. Ale mamy tu już wyraźne oznaki, że autor wkrótce porzuci teorię, której zewnętrzną formą tylko się posługuje. Nadaje on często słowu »usługa« znaczenie, dalekie od tego, jakie Hermann z niem wiązał. Uważa on usługę kapitału za działanie podmiotu gospodarczego zapomocą bogactwa, za »użycie« bogactwa dla owocniejszej produkcji, za »przeznaczenie«, »zastosowanie« pewnego bogactwa, za pewien czyn, wysiłek (Leistung) przedsiębiorcy³⁾: wyrażenia te każą widzieć w usłudze raczej osobisty, od przedsiębiorcy wychodzący niż rzeczowy, wychodzący z kapitału, pierwiastek produkcji. Ujęcie to wzmacnia jeszcze fakt, że Schäffle niejednokrotnie określa dochód z kapitału jako nagrodę za wykonywanie pewnego gospodarczego zawodu. Dalej wyraźnie polemizuje Schäffle z poglądem, uważającym zysk kapitału

za produkt włożonej w proces produkcji usługi kapitału (II, 389), zarówno jak z Hermannem, któremu zarzuca, iż teorię swą zanadto zabarwił pojęciem samodzielnej produkcyjności kapitału (II, 459). Ale na innych stronicach znów używa słowa »usługa« tak, że można mu nadać tylko obiektywne, a więc znaczenie Hermann'a, np. gdy mówi o podaży i popycie na usługi pożyczonych kapitałów; raz nawet robi wyraźne ustępstwo, przyznając, iż usługa oprócz osobistego zawiera też pierwiastek rzeczowy, a mianowicie »użycie kapitału« (II, 458). Zresztą, pomimo zwróconego przeciw Hermannowi zarzutu, nie może się sam ustrzec czasem od przypisywania usłudze kapitału »płodności« (I, 268). W ten sposób ani pozostaje na gruncie teorii usług kapitału, ani go porzuca.

I w późniejszym dającym jego system dziele Schäfflego »Bau und Leben des sozialen Körpers«, nie są jego poglądy dosyć wyraźne, by mogły utworzyć zupełnie jednolitą teorię. W jednym kierunku oddalił się autor od starej teorii usług, ale w innym zbliżył się do niej. I teraz mianowicie rozpatruje faktyczny zysk z kapitału, z formalnego punktu widzenia, jako »dochód usługi kapitału«, która stale zachowuje pewną wartość gospodarczą. Porzuca przytem subiektywną interpretację usługi i traktuje ją teraz niedwuznacznie jako czysto obiektywny, przedstawiony przez dobrą pierwiastek, określając jednocześnie usługi, jako »funkcje dóbr«, »odpowiedniki żywej pracy, zawarte w użytecznych materiałach«, jako »żywą energję bezosobowej substancji społecznej«. Nawet w państwie socjalistycznym zachowywałaby ta obiektywna usługa swą samodzielną wartość, a wraz z nią zdolność wytwarzania pewnego zysku z kapitału: zysk ten przez to tylko mógłby przestać istnieć, że w państwie socjalistycznym zbiorowość, będąca posiadaczką kapitałów, mogłaby bezinteresownie dostarczać wartościowej usługi kapitału, tak, by jej dochód przypadł całemu ciału społecznemu (III, 491 i nast.). — Odwrotnie, odstępuje Schäffle od starej teorii usług kapitału, sprowadzając wszystkie koszty produkcji do jednej tylko pracy, a nie uznając usługi kapitału za ostateczny, samodzielny pierwiastek produkcji (III, 273 i 274). Wybiera przez to kierunek, który w innem miejscu szczegółowo będą rozpatrywał.

Podczas gdy dotychczas wymienieni zwolennicy Her-

¹⁾ Schönbergs, Handbuch, I wyd, t. I, str. 437, 484 i n.

²⁾ Wyd. 3-e, Tübingen, 1873.

³⁾ Ges. System, wyd. 3-e, I, str. 266 i n., II, str. 458.

man n a nie tyle rozwinęli jego teorię, ile ją rozpowszechnili, Knies może się poszczycić, iż wprowadził do niej nieporównanie ulepszenia. Wprawdzie w zasadniczych ideach zmian żadnych nie wprowadził, ale nadal im o wiele czystsza i bardziej niedwuznaczna formę, niż sam Hermann. Liczne nieporozumienia, zawarte w teorii Hermann a, dowodzą, iż bardzo potrzebowała ona takich poprawek. Wyżej już zwróciłem uwagę, że np. Sch äffle uważa Hermann a za teoretyka produktywności. Jeszcze charakterystyczniejsza jest, że sam Knies widział w Hermann i e nie poprzednika, lecz przeciwnika ¹⁾.

Knies nie odrazu stał się teoretykiem usług kapitału. W wydanych w r. 1859 »Erörterungen über den Kredit« ²⁾, rozpatruje interesa kredytowe, jako interesa wymiany, względnie kupna, »w których to, co daje jeden, przypada na teraźniejszość, a równoważnik tego ze strony drugiego — na przyszłość« (str. 568). Dalszą konsekwencją tego ujęcia byłoby uważanie zysku z kapitału nie za równoważnik wypożyczonej usługi, ale, jak to już dawno uczynił Galliani ³⁾, za częściowy równoważnik samego kapitału wypożyczonego. Później jednak Knies ujęcie to stanowczo cofnął, gdyż nie nie zmuszało do wprowadzenia owych nowych poglądów, a przeciwnie, wiele rzeczy usilnie przemawiało przeciwko temu ⁴⁾; nieco później jeszcze w obszernych polemicznych wywodach zupełnie wyraźnie oświadczył, że aczkolwiek względ na różną wartość, którą z powodu większego nacisku natychmiastowego zapotrzebowania mieć mogą obecne i przyszłe dobra tegoż gatunku z powodu, iż obecne potrzeby są odczuwane jako bardziej pilne, »nie jest bez znaczenia«, stanowczo nie wystarcza on dla wyjaśnienia istoty zjawiska zysku ⁵⁾.

¹⁾ Knies, Geld und Kredit, II, część 2-a, str. 35. Porówn. sprawozdanie Nasse'a w t. 35-ym Jahrbücher für Nationalökonomie und Statistik (1880), str. 94.

²⁾ Zeitschrift für die gesammte Staatswissenschaft, t. 15, str. 559 i nast.

³⁾ Patrz wyżej, str. 57 i nast.

⁴⁾ Der Kredit, Część I, str. 11.

⁵⁾ Der Kredit, część II, str. 38 i nast. Może nie będzie zarozumiałością z mej strony wypowiedzenie przypuszczenia, iż szanownego badacza do polemiki powyższej skłoniła treść pracy, którą napisałem parę lat wcześniej, pracując w jego seminarjum

Zamiast tego, rozwija Knies niezwykle jasną i gruntownie przemyślaną teorię usług kapitału, zawartą w jego obszernem dziele: »Geld und Kredit« ¹⁾. Pomimo, że zgodnie z zakreślonym planem dzieła, miał badać tylko umowny zysk z kapitału, przeprowadza to badanie, wychodząc z tak ogólnego punktu widzenia, że z tego, co mówi o umownym zysku z kapitału, łatwo daje się wyprowadzić zdanie jego o zysku pierwotnym.

W zasadniczych myślach spotyka się z Hermannem. Podobnie jak ostatni, ujmuje on usługę, jako »trwającą przez pewien przeciąg czasu i dającą się ograniczyć przez określone jednostki czasu użytkowanie« danego dobra, odrębne od samego dobra, »nosiciela usługi« i zdolne do gospodarczej samodzielności. Ważnej dla teorii usług kapitału kwestji, czy samodzielna usługa i jej przenoszenie jest do po-myślenia i przeprowadzenia także i odnośnie do dóbr przemijających, poświęca szczegółowe badanie, zakończone odpowiedzią stanowczo twierdzącą ²⁾. Drugim zasadniczym pytaniem teorii usług jest kwestja, czy i dlaczego samodzielna usługa kapitału ma posiadać wartość wymienną i otrzymywać zapłatę, która staje się zyskiem z kapitału? — Jak wiemy, Hermann nie pozostawił pytania tego bez odpowiedzi; ale uczynił to bez nacisku i w tak bladej formie, że nietrudno odpowiedź tę całkowicie »przeoczyć« ³⁾. Knies natomiast wśród szczegółowej motywacji oświadcza, iż »samo zjawisko i uprawnienie gospodarcze pewnej ceny usługi w postaci zysku opiera się na tych samych stosunkach, na których opierają się ceny dóbr rzeczowych«: usługa jest równie dobrze, jak dobro rzeczowe, środkiem zaspokojenia potrzeb ludzkich, »przedmiotem cenionym i posiadającym wartość gospodarczą« ⁴⁾. Jeśli dodamy jeszcze, że Knies uniknąć potrafił nie tylko cofnięcia się do teorii produktywności, ale nawet jego cienia, i że do teorii swojej do-

ekonomicznem, przedstawiając w niej właśnie omawiane tu i zwalczane przez Knies'a poglądy.

¹⁾ I. Abt. Das Geld, Berlin, 1873, II. Abt. Der Kredit, cz. I, 1876, cz. II, 1879.

²⁾ Das Geld, str. 61 i nast., 71 i nast. Powrócę jeszcze szczegółowiej do badań, przy krytyce całości teorii usług kapitału.

³⁾ Porówn. wyżej, str. 207 i nast.

⁴⁾ Kredit II. Hälfte, str. 33 i nast. i gdzie indziej.

łączył parę krytyk, zupełnie godnych uwagi (specjalnie krytykę socjalistycznych teorii zysku) — będziemy mieli, sądzę, pełny obraz istotnych zasług, które położył przy rozwijaniu teorii Hermanna ten myśliciel, wyróżniający się przenikliwością i naukowością badania.

Doszliliśmy obecnie do pisarza, który nadał teorii usług najdoskonalszą formę, do jakiej jest wogóle zdolną: do Karola Mengera w jego »Grundsätze der Volkswirtschaftslehre«¹⁾.

Menger przewyższa wszystkich swoich poprzedników przez to, że swą teorię zysku buduje na znacznie doskonalszej teorii wartości, dającej szczególnie wyczerpującą i zadowalającą odpowiedź w trudnej kwestji stosunku wzajemnego wartości produktu i wartości środków, niezbędnych dla jego produkcji. Czy wartość produktu zależy od wartości środków produkcji, czy przeciwnie, wartość środków produkcji od wartości produktu? — Przed Mengerem poruszano się w tej kwestji poomacku. Wielu pisarzy wzmiankowało wprawdzie dorywczo, że wartość środków produkcji jest uwarunkowaną przez wartość spodziewanego produktu (np. Say, Riedel, Hermann, Roscher)²⁾. Ale wzmianki te nie występowały w formie ogólnego prawa, a tem bardziej nie opierały się na ścisłym i mającem powszechną wartość, uzasadnieniu. Zresztą, jakeśmy się już przekonali, spotkać można u tych samych pisarzy inne wzmianki, wskazujące na zupełnie odmienny kierunek wyprowadzania wartości; ten drugi pogląd przyjmuje ostatecznie większa część ekonomistów, którzy twierdzenie, iż kosztą dóbr określają ich wartość, uznali za podstawowe prawo wartości.

Dopóki zaś to wstępne pytanie nie było dostatecznie wyjaśnione, ujęcie samego zagadnienia zysku nie mogło wznieść się nad poziom niepewnego poszukiwania poomacku. Jak bowiem wyjaśnić w zdecydowany sposób różnicę wartości pomiędzy dwiema wielkościami — wydatkiem kapitału i produktem kapitału — jeśli nie jest jasnem, która strona stosunku jest przyczyną, a która — skutkiem?

Mengerowi przypada wielka zasługa stanowczego

¹⁾ Wien, 1871.

²⁾ Porówn. wyżej, str. 168 i 248 i nast.

rozwiązania tej zasadniczej kwestji i, co za tem idzie, ustalenia raz na zawsze kierunku i punktu, w którym rozwiązać należy zagadnienie zysku. Rozwiązuje on tę kwestję w ten sposób, że wartość środków produkcji (według terminologii Mengera — »dóbr wyższego rzędu«) zawsze i bez wyjątku uzależniona jest od wartości ich produktów (»dóbr niższego rzędu«) — a nie odwrotnie. Dochodzi do tego następującą drogą¹⁾:

Wartością wogóle jest »znaczenie, jakie uzyskują dla nas pewne konkretne dobra lub części dóbr podzielnych przez to, że jesteśmy świadomi, iż zaspokojenie naszych potrzeb zależne jest od możliwości rozporządzania się temi dobrami«. Wysokość wartości pewnego dobra zależy od znaczenia potrzeby, której zaspokojenie uwarunkowane jest przez możliwość rozporządzania się danem dobrem. Ponieważ dobra »wyższego rzędu« (środki produkcji) służą nam głównie za pośrednictwem dóbr »niższego rzędu« (produktów), które z nich powstały, to jasnem jest, że pierwsze o tyle tylko mogą mieć znaczenie dla stopnia zaspokajania naszych potrzeb, o ile mają je drugie: środki produkcji, których jedyną użyteczność polegałaby na wytwarzaniu dóbr bezwartościowych, nie mogłyby dla nas mieć żadnej wartości. Dalej, ponieważ pomiędzy potrzebami, które zaspokaja pewien produkt, a potrzebami, które zaspokaja suma środków, niezbędnych dla jego produkcji, zachodzi wyraźna identyczność, to zarówno dany produkt, jak jego środki produkcji muszą zasadniczo posiadać ten sam stopień znaczenia dla zaspokojenia naszych potrzeb.

Z tych powodów przewidywana wartość produktu miarodajną jest nie tylko dla istnienia, ale i dla wysokości wartości jego środków produkcji. Ponieważ wreszcie wartość

¹⁾ Muszę sobie niestety, odmówić przytoczenia tu czegoś więcej, niż najprostszego schematu mengerowskiej teorii wartości, wskutek czego zalety jej — które zaliczam do najpiękniejszych i najdoskonalszych zdobyczy współczesnej ekonomji — nie otrzymają odpowiedniej oceny. Dopiero w tomie II-im będę miał sposobność zbliżyć się do tego przedmiotu. Tymczasem odsyłam czytelnika, ciekawego bliższego uzasadnienia tak bardzo streszczonych w tekście zdań, do nadzwyczaj jasnego i przekonującego wykładu samego Mengera w »Grundsätze« passim, szczególnie str. 77 i n.

(subiektywna) dóbr jest również podstawą ich ceny, to stosunkowi powyższemu podporządkowują się także i ceny, bądź tak zwana (przez innych) »gospodarcza wartość« dóbr.

Na tej podstawie zagadnienie zysku staje w następujący sposób: Pewien kapitał jest niczem innym, jak sumą »dopełniających się« dóbr wyższego rzędu. Jeśli więc wartość tej sumy wyprowadza się z wartości jej przypuszczalnego produktu, jak się to dzieje, że suma nie osiąga ostatniej wartości całkowicie, a pozostaje niższą o pewną określoną część całości? Inaczej: jeżeli przypuszczalna wartość produktu jest źródłem i miarą wartości jego środków produkcji, dlaczego nie ocenia się dóbr-kapitałów równie wysoko, jak ich produktu?

Menger daje na to następującą, świetnie pomyślaną, odpowiedź¹⁾:

Przemiana środków produkcji w produkt, czyli produkcja, wymaga pewnego, dłuższego lub krótszego, czasu. Dla celów produkcji niezbędnym jest, by się dobra produkcyjne miało do rozporządzenia nie tylko w ciągu jakiegoś pojedynczego momentu, jakiejś chwili tego czasu, ale by się je w ciągu całego tego czasu w rozporządzeniu swoim zachowało i związało je w procesie produkcji. Do szeregu warunków produkcji dołącza się więc możność rozporządzania pewną ilością dóbr-kapitałów w ciągu określonego czasu. W rozporządzeniu tem umieszcza Menger istotę usług kapitału.

Tak utworzone usługi kapitału lub możność rozporządzania kapitałem, o ile tylko w wystarczającej ilości nie istnieją i nie są zaofiarowane, mogą uzyskać wartość, albo, innymi słowy, stać się gospodarczym dobrem. Jeśli to spotykamy — a to w zasadzie stale występuje — to oprócz innych środków, zastosowanych przy jakiejś konkretnej produkcji, więc oprócz surowców, środków pomocniczych, prac wykonywanych i t. p., w sumie wartości, którą przedstawia ma przypuszczalny produkt, posiada udział również i niezbędna dla produkcji możność rozporządzania temi dobrami, czyli usługą kapitału, a że skutek tego musi coś z tej sumy wartości przypaść na rzecz gospodarczego dobra »usługi kapitału«, pozostałe środki produkcji nie mogą wy-

(¹ Str. 133—138.

nosić całkowitej sumy wartości przyszłego produktu. Jest to źródłem różnicy wartości, włożonych w produkcję dóbr-kapitałów i produktu, a zarazem źródłem zysku z kapitału¹⁾.

W nauce Mengera osiągnęła wreszcie teoria usług całkowitą swą czystość i dojrzałość teoretyczną. Przy niej nie ma mowy nie tylko o żadnym istotnym cofnięciu się do starej teorii produkcyjności, lecz nawet przelotnej reminiscencji o tej ostatniej, i dzięki niej zagadnienie zysku jest ostatecznie przekształcone z zagadnienia produkcji, którym nie jest, w zagadnienie wartości, którym jest rzeczywiście. Zagadnienie wartości jest przytem tak jasno i dobitnie postawione i tak szczęśliwie dopełnione przez rozważania o stosunku wartości produktu do wartości środków produkcji, że nie tylko stanowi wyższość Mengera nad wszystkimi jego poprzednikami w teorii usług kapitału, lecz stwarza trwałą podstawę, na której opierać się muszą odtąd wszystkie poważne poczynania w zakresie wyjaśnienia zagadnienia zysku.

Zadanie krytyka innym też jest zupełnie wobec Mengera, niż wobec jego poprzedników. Badałem dotychczas doktryny ostatnich, pomijając narazie kwestję prawidłowości zasadniczej idei teorii usług kapitału, z tego tylko punktu widzenia, czy przedstawiają one tą zasadniczą ideę mniej czy więcej dokładnie, z mniejszą czy większą wewnętrzną konsekwencją i wyrazistością; porównywałem dotychczas, że tak się wyrażę, konkretne teorie usług z idealną, ale nie idealną teorię usług z prawdą. Wobec Mengera chodzi raczej o to drugie. Wobec niego postawić należy jedno tylko, ale najważniejsze pytanie krytyczne: Czy teoria usług jest wogóle w stanie dać nam zadowalające wyjaśnienie zagadnienia zysku?

Rozpatrzenie tego pytania poprowadzę w ten sposób, że nie będzie ono tylko specjalną krytyką mengerowskiego sformułowania, ale pozwoli wyrobić sąd o całym teoretycznym kierunku, dosięgającym w nim swego szczytu.

Przystępując do tego badania, zdaję sobie sprawę, iż podejmuję jedno z najtrudniejszych zadań krytyki. Trudnem

¹⁾ Do Mengera przyłącza się w zasadniczych punktach Mataja w pięknej pracy swojej »Unternehmergewinn« (Wien, 1884); porówn. szczeg. str. 124, 127, 129 i nast., 168 ms. 2, 186 i nast., 192 i nast., 196 i nast.

czyni je już sam charakter przedmiotu, materiał, który od wielu dziesiątków lat stanowił kamień probierczy wysiłków najwybitniejszych umysłów; utrudnia je szczególnie fakt, iż będę musiał walczyć z poglądami, do których najlepsi myśliciele naszego narodu doszli po sumiennem badaniu, i które uzasadniali z zadziwiającą subtelnością; utrudnia je wreszcie fakt, iż będę musiał zwalczać wyobrażenia, raz już za dawnych czasów zaciekle zwalczane, które wówczas nad przeciwnikami swymi odniosły świetne zwycięstwo i odtąd uznane są niejako za dogmat. Proszę więc czytelnika o użyczenie mi przy tych rozważaniach szczególnej uwagi i cierpliwości.

PODDZIAŁ DRUGI.

Krytyka.

Wszystkie teorie usług kapitału opierają się na przypuszczeniu, iż obok samych dóbr-kapitałów istnieje też ich »usługa«, jako samodzielne gospodarcze dobro o samodzielnej wartości, i że ta jej wartość łącznie z wartością dóbr-kapitałów stanowi właśnie wartość produktu kapitału.

W przeciwstawieniu do tego twierdzą:

I. Taka samodzielna »usługa kapitału«, jak ją sobie wyobrażają teoretycy usług kapitału, nie istnieje, a więc nie może też posiadać samodzielnej wartości, ani wywoływać przez samo swoje wystąpienie »zjawiska nadwartości«. Przeciwnie, przyjęcie jej istnienia jest wytworem bezpodstawnej, sprzecznej z rzeczywistością fikcji¹⁾.

II. Gdyby nawet usługa kapitału istniała w postaci, przypisywanej jej przez teoretyków usług kapitału, to nie dawałaby jednak zadowalającego wyjaśnienia istotnych zjawisk zysku. Teorie usług opierają się więc na hipotezie, sprzecznej z rzeczywistością,

¹⁾ Dla zapobieżenia zgóry niemiłemu nieporozumieniu, zwracam wyraźnie uwagę, że nie mam wcale zamiaru zaprzeczać wogóle istnienia »usług kapitału«. Muszę jednak zaprzeczyć istnieniu tego czegoś odrębnego, co teoretycy usług kapitału określają, jako usługę kapitału, obdarzając ją różnemi cechami, które, moim zdaniem, sprzeczne są z naturą rzeczy. Szczegóły patrz niżej.

i jednocześnie niewystarczającej dla osiągnięcia zamierzonego celu.

Z dwu tych tez, uzasadnianie pierwszej muszę zacząć w bardzo niekorzystnej dla pisarza sytuacji. Spór o drugą tezę rozegrywać się będzie na gruncie dziewiczym, nieniekniętym jeszcze w sporach naukowych; w pierwszej dotykam takiej res judicata, która dawno już przebyła wszystkie instancje, i dawno też i stanowczo przeciwko mnie rozstrzygnięta została. W gruncie chodzi tu o rzecz tę samą, o którą śpierali się w minionych stuleciach kanoniści z obrońcami procentu. Kanoniści twierdzili: Posiadanie danego przedmiotu obejmuje też wszystkie usługi, które on oddać może; nie może więc istnieć żadna odrębna usługa, stojąca poza danem dobrem, którąby obok niego można wypożyczać. A zwolennicy procentu twierdzili: Tak! a jednak istnieje taka samodzielna usługa! I potrafili, z Salmasiusem na czele, poprzec swoje zdanie tak potężnemi argumentami, że wówczas już świat naukowy otwarcie je przyjął, i że dziś jeszcze znajdujemy conajwyżej uśmiech dla »krótkowzrocznej pedanterji« starych kanonistów.

Ja zaś, z całą świadomością, iż ściągam na siebie zarzut uganiania za oryginalnością, twierdzę, iż w tym wypadku okrzyczona teoria kanonistów miała jednak słusność; ta sporna samodzielna usługa kapitału rzeczywiście nie istnieje. I mam nadzieję, że uda mi się dowieść, iż wyrok pierwszych instancji w tym naukowym procesie był istotnie fałszywy, pomimo, że zapadł był jednogłośnie.

I. Teza.

Usługa kapitału w tej formie, w jakiej ją ujmują zwolennicy teorii usług kapitału, nie istnieje wcale.

Przedewszystkiem naturalnie idzie o ustalenie przedmiotu sporu. Czem więc jest ta usługa, której samodzielnemu istnieniu zaprzeczam wbrew twierdzeniom zwolenników teorii usług kapitału?

Pośród nich samych niema zupełnej zgody co do natury usługi. Szczególniej Menger daje zupełnie inne określenie tego pojęcia, niż jego poprzednicy. Z tego powodu widzę się zmuszonym podzielić badanie moje na dwie przynajmniej gałęzie, z których pierwsza zajmie się pojęciem

usługi kierunku Say'a i Hermanna, a druga pojęciem usługi Mengera.

a) Krytyka pojęcia usługi kierunku
Say'a — Hermanna.

Wewnątrz kierunku Say'a-Hermanna również nie panuje zupełna zgodność w opisie i określeniu pojęcia »usługi«. Różnice te, zdaniem mojem, sprowadzają się nietylko do prawdziwej różnicy poglądów na przedmiot, ile do powszechnie panującego, niedosć jasnego, przedstawienia sobie jego istoty: chwiejne określenia wynikają nie dlatego, że się ma na myśli rozmaite przedmioty, lecz dlatego, że się ma niejasne wyobrażenie o tym samym przedmiocie, który wszyscy mają na myśli. Dowodem tego służyć może fakt, iż poe-dyńczy teoretycy usługi równie często wpadają w sprzeczność z własnymi określeniami usługi, jak z określeniami kolegów. Porównajmy tymczasem najważniejsze z tych określeń.

Say mówi o usługach produkcyjnych, services productifs kapitału i ujmuje je jako »pracę«, wykonywaną przez kapitał. Hermann określa usługę dóbr raz (str. 109), jako ich użytkowanie; powtarza tę myśl na str. 111-ej, gdzie mówi, iż użytkowanie dóbr przemijających materialnie, daje się ująć, jako dobro samodzielne, jako »usługa«. Gdy tu użytkowanie i usługa są zidentyfikowane, to na str. 125 rzecz przedstawia się inaczej, gdyż tam Hermann mówi, iż użytkowanie jest zastosowaniem usługi. Na str. 287-ej wreszcie oświadcza Hermann, że »utrzymywanie w całości technicznych pierwiastków produktu« jest usługą, »objektywną usługą obrotowego kapitału«. Knies podobnie utożsamia użytkowanie z usługą¹⁾. Schäffle raz określa usługę, jako »zastosowanie« dóbr (patrz System, Cz. 3, str. 143); podobnie na str. 266, jako »zastosowanie zdobytego bogactwa«; na str. 267, jako »działanie podmiotu gospodarczego za pośrednictwem bogactwa, zużytkowanie bogactwa w owocnej produkcji«; na tej samej stronicy, jako »przeznaczenie« bogactwa na cele produkcyjne, co niezbyt się zgadza z tem, że na następnej stronicy Schäffle

¹⁾ Geld, str. 61. Usługa = użytkowaniu z danego dobra, trwającemu przez pewien przeciąg czasu i dającemu się ograniczyć przez jednostki czasu.

mówi o przeznaczeniu usługi kapitału, a więc o przeznaczeniu »przeznaczenia«. W dziele swoim »Bau und Leben« wreszcie nazywa Schäffle usługi raz (III, 258) »funkcjami dóbr«, nieco później (str. 259) »odpowiednikami żywej pracy, zawartymi w użytecznych materiałach«, a na str. 260 określa usługę, jako »wyzwolenie użyteczności dóbr rzeczowych«.

Jeśli uważniej rozpatrzmy się w tym dosyć różnorodnym szeregu określeń i wyjaśnień, to zauważymy, że wyrażają one dwa znaczenia pojęcia usługi: obiektywne i subiektywne. Dwa te znaczenia odpowiadają dosyć dokładnie podwójnemu sensowi, w jakim słowo »usługa«¹⁾ żyje naogół w mowie potocznej. Z jednej strony maluje ono czynność »posługującego się« i znaczy wtedy tyleż, co »korzystanie«, lub »używanie« w sensie subiektywnym tego również wieloznacznego słowa, albo, jeszcze dokładniej »czynność używania«. Z drugiej zaś strony oznacza obiektywną funkcję używanego dobra, wypływającą z tego dobra usługę. Znaczenie subiektywne przebiega zlekka u Hermanna w utożsamieniu usługi i użytkowania, bardzo silnie w starszych dziełach Schäffle'go. Znaczenie obiektywne panuje stanowczo u Say'a, prawie równie stanowczo u Hermanna, który raz nawet wyraźnie mówi o »objektywnej usłudze« kapitału, do tego też znaczenia powraca Schäffle w dziełach późniejszych, tłumacząc już usługę, jako »funkcję dóbr«.

Łatwo zauważyć, iż z dwu tych znaczeń jedynie obiektywne odpowiada charakterowi teorii usług kapitału. Absolutnie jest bowiem niemożliwe, że wspomnę tylko rzeczy najbliższe, nadać subiektywne znaczenie usługom kapitału, które dłużnik kupuje od wierzyciela i płaci za nie procentem od pożyczki. Nie mogą być czynnością użytkowania wierzyciela, gdyż ten żadnej takiej czynności nie wykonuje; nie mogą też być czynnością użytkowania dłużnika, gdyż ten wprowadzie czynność taką podejmuje, ale oczywiście nie potrzebuje jej, jako własnej swojej czynności odkupywać od wierzyciela. Mówić rozsądnie o przeniesieniu usług kapitału przy pożyczce można tylko wtedy, jeśli się pod temi słowami ro-

¹⁾ Dotyczy to tylko niemieckiego terminu Nutzung. Por. wyżej przypisek mój do str. 196. (Przyp. W. Z.).

zumie jakiekolwiek bądź obiektywne pierwiastki użyteczności. Sądę też, że mam pełne prawo pominąć subiektywne ujmowanie usługi, które się sporadycznie spotyka u poszczególnych jej teoretyków, jako niekonsekwentne i stojące w sprzeczności z duchem właściwej teorii, a trzymać się wyłącznie znaczenia obiektywnego, które jest przeważającym, a z chwilą ostatniego zwrotu Schöffle'go staje się panującym.

Jako usługę w sensie kierunku Say'a-Hermann'a musimy więc sobie wyobrazić obiektywny pierwiastek użyteczności, wypływający z dóbr, który uzyskuje samodzielne gospodarcze istnienie oraz samodzielną gospodarczą wartość.

Niema nic bardziej niewątpliwego niż istnienie pewnych obiektywnych usług dóbr, które uzyskują samodzielność gospodarczą i mogą być też trafnie określone nazwą »usług« (Nutzungen). Zajmowałem się już niemi raz szczegółowo na innym miejscu¹⁾ i usiłowałem tam przedstawić prawdziwą ich istotę możliwie najgruntowniej i najdokładniej. Dziwnym trafem próba ta jest prawie jedyną w literaturze ekonomicznej. Mówię: »dziwnym trafem« zupełnie świadomie: nie jestże dziwnem w najwyższym stopniu, że nauka, od początku do końca obracająca się dokoła zagaśnień zaspokajania potrzeb przez dobra, dokoła stosunku użytku, zachodzącego pomiędzy człowiekiem a dobrem, nie sprobowała nawet zbadać technicznej budowy użyteczności dóbr? albo, że w tej samej nauce, w której każdemu innemu pojęciu poświęcono stronice, rozdziały, ba, monografie całe, to podstawowe pojęcie »użytek« danego dobra, nie jest określone, ani wyjaśnione w paru wierszach chociażby, lecz wcielone zostało do teoretycznych badań, w całość błędnej niejasności i wieloznaczności, w jakiej żyje w mowie potocznej?

Ponieważ dla obecnego naszego zdania wszystko sprzeczne się do tego, by uzyskać dokładne wyobrażenie o użytecznych funkcjach dóbr, muszę znów szczegółowiej wejść w tę sprawę, i proszę czytelnika, by wywody poniższe ze-

¹⁾ Patrz moje »Rechte und Verhältnisse vom Standpunkte der volkswirtschaftlichen Güterlehre«, Innsbruck, 1881, str. 51 i n.

chciał uważać nie za odstępstwo od tematu, lecz za najciszej z nim związane rozważania¹⁾.

Wszystkie dobra rzeczowe służą człowiekowi przez zatrudnienie spoczywających w nich sił naturalnych. Są one częścią świata materialnego, to też wszelkie ich działanie, a więc i działanie użyteczne, posiadać musi charakter, który wogóle posiada każde działanie w świecie materialnym: jest to działanie sił naturalnych według praw natury. Jedyną okolicznością, różniącą działanie dóbr rzeczowych od działania innych, obojętnych lub szkodliwych przedmiotów naturalnych, jest fakt, iż działania pierwszych, odbywając się według praw natury, pozwalają na pokierowanie siebie ku korzyści człowieka. Wprawdzie wszystkie przedmioty są obdarzone działającymi siłami natury; doświadczenie wykazuje jednak, że te siły pozwalają na pokierowanie siebie do pewnego określonego użytecznego celu tylko w takim razie, jeśli obdarzony niem materiał przybierze pewną określoną postać, sprzyjającą takiemu pokierowaniu jego sił. Siła ciężenia np. znajduje się w każdym przedmiocie materialnym bez wyjątku: ale podczas gdy siły ciężenia jakieś góry ludzie wyzyskać nie są w stanie, to ta sama siła ciężenia staje się im użyteczną, jeśli obdarzona nią materja przybierze postać wahadła u zegara, ciężarka od wagi, lub młota. Podobnież siły naturalne, zawierające się w pierwiastku węgla, identyczne są dla każdej cząsteczki tego materiału. Ale bezpośrednio działanie gospodarcze tych sił dla nas powstaje dopiero wtedy, gdy pierwiastek węgla przybierze np. postać drzewa lub węgla, a nie wtedy, gdy stanowi część składową otaczającego nas powietrza. — Możemy więc w ten sposób określić istotę dóbr rzeczowych w przeciwstawieniu do nieużytecznych przedmiotów materialnych, że są one takim i szczególnym kształtowaniem materji, które pozwalają na skierowanie zawartych w nich sił natury ku korzyści człowieka.

Wynikają z powyższego dwie ważne konsekwencje, z których jedna dotyczy charakteru użytecznych funkcji dóbr rzeczowych, druga zaś — charakteru używania dóbr.

¹⁾ Pozwalam sobie wyzyskać, częściowo w dosłownem powtórzeniu wywody moje z »Rechte und Verhältnisse«, które już wówczas formułowałem licząc na ich dzisiejsze zastosowanie.

Funkcja dóbr polegać może tylko na dostarczaniu przejawiań się, lub wyników prac sił natury. Ze strony naturalnej przedstawia ona zupełną analogję z charakterem użytecznej funkcji rękodzielnika: jak tragarz lub kopacz użyteczni są dzięki zatrudnieniu zawartych w ich ciałach sił naturalnych w formie dostarczania wyników użytecznych wysiłków, tak i ze strony wszelkich dóbr rzeczowych zawsze istnieje konkretne zatrudnienie zawartych w nich, a możliwych do pokierowania, sił naturalnych, czyli prawdziwa praca sił, dzięki której użyteczność dóbr rzeczowych przypada człowiekowi.

Używanie dobra dokonywa się w ten sposób, że człowiek w odpowiedniej chwili wywołuje, »wyzwala« szczególne prace sił zawartych w dobre, o które mu chodzi — o ile one już same przez się bezustannie z dobra tego nie wypływają — a następnie wprowadza je w celowy związek z przedmiotem, w którym przejawiać się ma oczekiwany efekt użyteczny. Aby np. zużytkować lokomotywę, człowiek przez napelnienie wodą i ogrzewanie wywołuje z jej strony czynność poruszania się, poczem wprowadza ją w związek z wagonami, w których mieszczą się osoby i przedmioty, potrzebujące przetransportowania. Z książki, lub domu, z których bezustannie wypływają obrazy świetlne, czy też czynności ochraniań, wydobywa człowiek ich usługi za pomocą oka lub całej swej osoby. Używanie dóbr rzeczowych, nie polegające na odbieraniu użytecznych usług sił od używanych dóbr rzeczowych, jest zupełnie nie do pomyślenia.

Zdaje mi się, iż nie potrzebuje się obawiać naukowej opozycji dla rozwijanych dotychczas tez. Z jednej strony uzewnętrznione w nich ujęcie nie jest już obcem literaturze ekonomicznej¹⁾, z drugiej zaś — przyjęcie ich stało się przy obecnym stanie nauk przyrodniczych nieodpartą koniecznością. Jeśliby mi ktoś chciał zarzucić, że ujęcie to jest raczej przyrodnicze, niż gospodarcze, to odpowiem, że w tych za-

¹⁾ Szczególniej Sch äffle w III tomie swego »Bau und Leben« bardzo pięknie bronił tego punktu widzenia. Stanowi on wogóle chwalebny wyjątek, nie poddający się napiętnowanemu wyżej zwyczajowi pomijania pierwiastków działania dóbr. Wspomnieć należy jeszcze z tego samego kierunku Johna Rae (patrz niżej rozdz. XI), a ostatnio Irvinga Fischera.

gadnieniach właśnie nauki ekonomiczne ustąpić muszą głosu przyrodniczemu. Wymaga tego zasada jedności wszystkich nauk. Nauka gospodarcza, jak i wszystkie inne gałęzie wiedzy, nie wyjaśnia faktów, leżących w jej zakresie, aż do końca, lecz rozwiązuje tylko część związku przyczynowego, łączącego zjawiska, a dalszy ciąg wyjaśnienia pozostawia innym naukom. Zakres wyjaśnień nauki gospodarczej mieści się pomiędzy zakresem psychologii z jednej strony, a zakresem nauk przyrodniczych z drugiej — że zamilczymy o innych graniczących gałęziach wiedzy. Weźmy przykład konkretny: wyjaśnienie faktu, iż chleb posiada wartość zamienną, nauka ekonomji prowadzi aż do chwili, gdy dowiedzie, iż chleb może zaspokoić potrzebę pożywienia, i że ludzie wykazują dążenie do zapewnienia sobie zaspokojenia swych potrzeb, chociażby kosztem pewnych ofiar. Że dążenie takie istnieje w człowieku, i dlaczego istnieje, dowodzi już nie nauka ekonomji, lecz psychologia; wyjaśnienie faktu, że ludzie odczuwają potrzebę pożywienia, należy już do fizjologii; fakt wreszcie, że chleb jest w stanie potrzebę tą zaspokoić, przypada znowu zakresowi fizjologii, która jednak nie może zjawiska tego wyjaśnić zupełnie samodzielnie, lecz udaje się o pomoc do innych, ogólniejszych nauk przyrodniczych.

Jasnym jest tedy, iż wyjaśnienia, dawane przez ekonomję, posiadają wartość o tyle tylko, o ile sąsiednie gałęzie wiedzy mogą dostarczyć im dalszego rozwinięcia. Nie wolno jej w wyjaśnieniach swych opierać się na niczem, coby sąsiednie gałęzie wiedzy uznać musiały za nieścisłe lub niemożliwe: inaczej niż wyjaśnień odrazu się przerywa. W zakresach graniczących musi więc utrzymywać z innemi naukami ścisły kontakt — a takim graniczącym obszarem jest właśnie kwestja działania dóbr materialnych.

Jedyną okolicznością, na którą może powinienemby zwrócić uwagę, jest fakt, iż zastosowanie tego przyrodniczego ujęcia do pewnej mniejszości dóbr rzeczowych, głównie do t. zw. »dóbr idealnych«¹⁾, może się na pierwszy rzut oka wydać nieco dziwnem w rozumieniu niejednego czytelnika. Istotnie, przynaję chętnie, szczególnie wydać się może na

¹⁾ Dobra idealne w znaczeniu autora nie należy mieszać z dobrami niematerialnemi. (Przyp. Wł. Z.).

pierwszy rzut oka twierdzenie, iż dom niezamieszkały, tom poezji lub obraz Rafaela mogą nam być użyteczne dzięki zatrudnieniu sił przyrody. Pewne zastanowienie jednak uciszy i te skrupuły, które są raczej skrupułami uczuciowymi niż rozumowymi.

Wszystkie wymienione przedmioty w gruncie rzeczy wchodzą w stosunek, który je czyni dobrami tylko dzięki szczególnym i w szczególnie sposób ułożonym siłom natury, które posiadają. Dom osłania nas i grzeje dzięki działaniu sił ciężenia, spoistości i oporu, dzięki nieprzenikliwości drzewa i temu, że jest ono złym przewodnikiem ciepła. Myśli i uczucia poety odtwarzają się w nas w zupełnie fizyczny sposób dzięki światłu, farbie i kształtom czczonek, a ta fizyczna część odbywającego się przy czytaniu przekazywania nam treści czytanej jest właśnie pracą i usługą książki. Oczywiście, umysł poetycki musiał zbudzić myśli i uczucia; drugi raz zbudzić się one mogą także w czyimś umyśle tylko i dzięki umysłowym siłom; ale droga od umysłu do umysłu wiedzie przez świat przyrody, i na tym jej odcinku umysłowość posługiwać się musi, niby wozem, siłami natury. Takim wozem naturalnym jest książka, obraz lub słowo mówione; wydzielają one fizyczną tylko podniętę, nic więcej; pierwiastków umysłowych dostarczamy my, sami z siebie, przyjmując tę podniętę; a jeśli nie jesteśmy przygotowani do owocnego jej przyjęcia, jeśli nie możemy czytać, albo, czytając, nie jesteśmy w stanie rozumieć, ani odczuwać, pozostaje tylko prosta podnięta fizyczna.

Zdaje mi się, że po tem szczegółowem rozpatrzeniu mogę uważać za fakt niewątpliwy, iż dobra materialne przejawiają swą użyteczność gospodarczą przez zatrudnienie zawartych sił przyrody.

Proponuję nazwać poszczególne, uzyskiwane od dóbr rzeczowych, działania użyteczne zawartych w nich sił przyrody — »użytkowymi wynikami«¹⁾ dóbr rzeczowych²⁾. Wyrażenie »usługa« nie byłoby wprawdzie też

¹⁾ I tu znowu, jak i przy terminie »Nutzung«, brak nam po polsku słowa dla dokładnego oddania terminu »Nutzleistung«. I tu znowu niektóre odcienie rozumowań autora nie dadzą się oddać, lub będą mało zrozumiałe w tłumaczeniu. (Przyp. W. Z.).

²⁾ Wprowadziłem tę nazwę również w moich »Rechte und Verhältnisse«; jeszcze wcześniej użyłem jej w pracy, napisanej

nieodpowiedniem. Ale z jednej strony obciążałoby to pojęcie naszą całą niejasnością, przywiązaną, niestety, do dwuznacznej nazwy »usługi«; a z drugiej strony istotnie nazwa »użytkowych wyników« jest, zdaje mi się, szczególnie dobitną¹⁾: są to rzeczywiście użyteczne wyniki pracy sił w najściślejsem znaczeniu tego słowa, wypływające z dóbr rzeczowych²⁾.

Pojęcie »użytkowych wyników« rzeczy powinno stać się, mojem zdaniem, jednym z najważniejszych elementarnych pojęć ekonomji. Nie ustępuje w ważności pojęciu »dobra«. Niestety, dotychczas mało zwracano na nie uwagi i mało je opracowywano. Zadanie nasze wymaga stanowczo, byśmy częściowo zaniedbanie to wynagrodzili i rozwinęli szerzej najważniejsze stosunki, w których wyniki użytkowe wchodzi w życie gospodarcze.

Przedewszystkiem jasnem jest, że każdy przedmiot, pretendujący do nazwy »dobra« musi móc dawać wyniki użytkowe i że z wyczerpaniem się tej zdolności przestaje być dobrem: wraca do rzędu prostych przedmiotów. Wyczerpanie się tej zdolności możliwe jest nie jako wygaśnięcie zdolności dostarczania pracy sił przyrody wogóle — wszelkie zawarte w materji siły są, tak, jak ona, nieprzemijające i bezustannie działają i wykonywują swoją pracę; ale te bezustannie trwające prace sił i ich wyniki mogą przestać być wynikami użytecznymi, gdy dane dobro w ciągu dostarczania tych prac podlega takiej zmianie, takiemu rozdzieleniu, rozsypaniu swych części i połączeniu ich z innymi ciałami, że w tej zmienionej postaci nie nadaje się już do skierowania dalszych prac sił swoich do celów użyteczności, wskazywanych przez człowieka. Skoro np. węgiel ze spalonego

w r. 1876, ale niewydanej wcale. Knies posługuje się nią parokrotnie w II-iej części swego »Kredytu«, ale, niestety, w tym samym dwuznacznym sensie, w którym wogóle używa słowa »usługa«.

¹⁾ Stosuje się to oczywiście w najlepszym razie tylko do niemieckiego terminu. (Przyp. W. Z.).

²⁾ Sayowski pojęcie: »services productifs« w znacznym stopniu dlatego było zwalczane, że obraz, przenośnię, czynić chciał zasadniczem pojęciem naukowem. Tylko osoba może oddawać właściwie »usługi«, nigdy rzecz. Po wszystkich, zawartych w tekście, wywodach, nie potrzebuję chyba obawiać się tego zarzutu dla mojej kategorii użytkowych wyników.

w piecu fabrycznym drzewa w procesie spalania połączył się z tlenem, niemożliwym jest już ponowne zastosowanie jego bezustannie trwających i z natury swej dalej działających sił do topienia rudy żelaznej. Złamane wahadło zachowuje swą siłę ciężenia, której działanie trwa, jak trwało poprzednio, ale utrata kształtu wahadła uniemożliwia skierowanie tej siły przyrody do regulowania zegara. — Wywołane przez użytkowanie dóbr wyczerpanie ich zdolności dawania wyników użytkowych nazywamy ich *zużyciem* lub *spozyciem*.

Wszystkie dobra są i muszą być jednakie w tem, że dają one wyniki użytkowe, ale różnią się znacznie pomiędzy sobą co do ilości wyników użytkowych, które dać mogą. Na tem opiera się znane rozróżnienie dóbr zużywających się i niezużywających się, lub trwałych¹⁾. Wiele dóbr tak jest urządzonych, że, by wydobyć ze siebie swą odrębną użyteczność, muszą całą swą zdolność użyteczności wydać od razu, w jednym mniej lub więcej intensywnym wyniku użytkowym, tak, że pierwsze ich użycie wyczerpuje zupełnie ich zdolność do dawania wyników użytkowych i zużywa je całkowicie. To są tak zwane dobra zużywające się, jak środki żywności, proch, materiały wybuchowe i t. d. Inne znów dobra przystosowane są przez naturę do dawania wielu wyników użytkowych w ten sposób, że mogą je wydawać jeden po drugim w ciągu dłuższego lub krótszego czasu, tak, że po pierwszym i po wielu innych aktach użycia, zachowują swą zdolność dawania wyników użytkowych, a co za tem idzie, swój charakter dóbr. To są dobra trwałe, jak np. ubrania, domy, narzędzia, drogie kamienie, kawałki gruntu i t. p.

Większa ilość wyników użytkowych może się przejawiać w dwojaki sposób: albo następujące po sobie wyniki użytkowe w zewnętrznych swych przejawach przyjmują postać wyraźnie oznaczonych poszczególnych aktów, tak, że można je łatwo rozróżnić, rozgraniczyć i porachować, np. poszczególne uderzenia młota, albo czynności automatycznej maszyny drukarskiej wielkiego dziennika; albo też użyteczne

¹⁾ Nawet i t. zw. »niezużywające się« dobra zużywają się, chociaż powoli. Określenie zaś »trwałe« robi mniejszy nacisk na przeciwieństwo z szybkim spożyciem dóbr przez użycie, niż na przeciwieństwo z szybkim zniszczeniem ich niezależnie od użycia.

prace sił przyrody wypływają z danego dobra w nieprzerwanym, jednostajnym szeregu, jak np. bezgłośna a długotrwała czynność osłaniania, wykonywana przez dom mieszkalny. Jeśli chcemy tę ciągłą masę wyników użytkowych rozróżnić jednak i dzielić na części — a potrzeby życia praktycznego nieraz tego wymagają — to mamy sposób wyjścia, zwykle używany przy podziale wielkości ciągłych: jednostkę podziałową, której brak w samem zjawisku, danem do podziału, zapożyczamy od jakiegokolwiek bądź innego zjawiska, np. upatrujemy ją w przejściu określonego przeciągu czasu i, powiedzmy, pozwalamy dzierżawcy domu korzystać z wyników użytkowych tego domu w ciągu jednego roku.

Drugim zasadniczym rysem, który spotykamy przy analizie wyników użytkowych, jest ich zdolność do osiągnięcia całkowitej samodzielności gospodarczej. Przyczyna tego zjawiska leży w tem, iż często, a nawet w większości wypadków dla zaspokojenia konkretnej potrzeby ludzkiej nie jest niezbędne wyczerpanie całego zapasu użyteczności danego dobra, a tylko uzyskanie jednego poszczególnego wyniku użytkowego. — W ten sposób wynik taki uzyskuje przy zaspokojeniu naszych potrzeb charakter samodzielności, który uznany zostaje również przez całe życie gospodarcze. Uznanie to okazujemy z jednej strony, oceniając oddzielnie poszczególne wyniki użytkowe, z drugiej strony podnosząc je do godności samodzielnych przedmiotów transakcji. Dzieje się to wtedy, gdy sprzedajemy lub wymieniamy poszczególne wyniki użytkowe, albo całe ich grupy oddzielnie od dóbr, z których one wypływają. Praktyka gospodarcza i prawo stworzyły cały szereg form, w których może to być urzeczywistnione; jako najważniejsze, wymienię stosunki dzierżawy, najmu i wypożyczenia (*commodatum*¹⁾), dalej instytucje służebności, wieczystej dzierżawy i wieczystego czynszu (*emphyteusis* i *superficies*). Łatwo się przekonać, że w istocie wszystkie te ukształtowania stosunków sprowadzają się do tego, iż część wyników użytkowych, do których dane dobro jest zdolne, samodzielnie i oddzielnie zostaje przeniesiona na inną osobę, gdy

¹⁾ Nie zwykłej pożyczki; patrz niżej.

reszta — większa lub mniejsza — przewidywanych wyników użytkowych wraz z posiadaniem samego dobra pozo- staje przy dotychczasowym właścicielu danej rzeczy¹⁾.

Wielkie znaczenie teoretyczne ma wreszcie ustalenie stosunku, jaki zachodzi pomiędzy wynikami użytkowymi z jednej, a dobrami, od których one pochodzą, z drugiej strony. Dają się tu zastosować trzy zasadnicze twierdzenia, które wydają mi się tak jasne, że mogą się tu obejść bez szczegółowszego uzasadnienia, które zresztą podałem już na innym miejscu²⁾.

Po pierwsze: jasnem mi się wydaje, że cenimy dobra i pożądamy ich wyłącznie ze względu na wyniki użytkowe, których od nich oczekujemy. Wyniki użytkowe stanowią jakby jądro gospodarcze, o które nam idzie, dobra zaś — tylko miąższ, który je otacza. — Stąd wynika — i, zdaje mi się, równie jest niewątpliwe — że

po drugie: w wypadkach uzyskiwania i przekazywania całych dóbr, jądro gospodarcze tych transakcyj, leży w uzyskaniu i przekazaniu wyników użytkowych, i to całości wyników użytkowych, do których zdolne są owe dobra, a przekazanie ich samych stanowi zbliżoną z natury rzeczy, ale wtórną i mającą znaczenie skrótu postać zjawiska: kupno pewnego dobra w znaczeniu gospodarczem oznacza kupno wszystkich jego wyników użytkowych³⁾. — Z tego wreszcie wynika

po trzecie, najważniejsza konsekwencja, że wartość i cena danego dobra jest poprostu złączonemi w jedną sumę (masową) wartością i ceną wszystkich jego wyników użytkowych, więc wartość i cena każdego poszczególnego wyniku

¹⁾ Porówn. moje »Rechte und Verhältnisse«, str. 70 i n.

²⁾ Patrz moje »Rechte und Verhältnisse«, str. 60 i nast., w szczególności wyłożyłem: charakter wyniku użytkowego, jako zasadniczego pierwiastku w prowadzeniu naszej gospodarki i wywód wartości dóbr od wartości wyników użytkowych.

³⁾ Myśl ta, ujęta w mniej dobitne słowa, znajduje się wyraźnie u Kniesa »Der Kredit«, cz. II, str. 34 i nast., dalej str. 77 i 78. Nazywa on tam wyraźnie cenę sprzedażną domu ceną stałego użytkowania domu w przeciwieństwie do ceny dzierżawnej, która jest ceną czasowego użytkowania tego samego dobra. Porówn. tegoż »Geld«, str. 86 i nast.; następnie Schöfflego (Bau und Leben, wyd. 2, t. III), który określa dobra, jako »zapasy skoncentrowanych użytecznych sił« (Vorräte nutzbarer Spannkraften). (Str. 258).

użytkowego stanowi część składową wartości i ceny samego dobra¹⁾.

Zanim pójdziemy dalej, zobrazujmy na konkretnym przykładzie te trzy zasadnicze zdania. Sądę, iż wszyscy czytelnicy zgodzą się ze mną, gdy przypuszczę, iż fabrykant sukna właściwie dlatego tylko ceni i pragnie posiadać warsztaty tkackie, że chce osiągnąć przez nie pewne szczególne wyniki użytkowe; że ma na celu osiągnięcie wyników użytkowych tego warsztatu nie tylko wtedy, gdy go wynajmuje, ale i wtedy, gdy go kupuje, a towarzyszące temu nabycie własności samej maszyny służy tylko dla większego zabezpieczenia osiągania wyników użytkowych, i pomimo, że prawnie zajmuje pierwsze miejsce, gospodarczo ma tylko drugorzędne znaczenie; że wreszcie korzyść, przynoszona przez całą maszynę nie jest w rzeczywistości niczem innem, jak tylko łączną korzyścią, płynącą ze wszystkich, dawanych przez nią, wyników użytkowych, podobnie, jak wartość i cena całej maszyny nie jest i nie może być niczem innem, jak łączną wartością i ceną wszystkich jej wyników użytkowych.

Teraz, gdyśmy wystarczająco wyjaśnili istotę i strukturę użyteczności dóbr, wróćmy do naszego głównego tematu, do krytycznego zbadania pojęcia usługi u zwolenników teorii usług kapitału. Spytajmy przedewszystkiem: Czy »usługi« teorii usług Say'a i Hermanna nie są równoznaczne z istniejącymi bezsprzecznie »wynikami użytkowymi« dóbr? — Nie podlega żadnej wątpliwości, że równoznaczne nie są. To, co zwolennicy teorii usług nazywają usługą, ma być podstawą i odpowiednikiem czystego zysku z kapitału. Wyniki zaś użytkowe są albo — gdy chodzi o dobra trwale podstawą zysku brutto, który zawiera zysk czysty i część samej wartości kapitału, albo, gdy chodzi o dobra przemijające, podstawą całej wartości kapitału. Jeśli nabywam wyniki użytkowe domu mieszkalnego, to za wyniki użytkowe, uzyskiwane w ciągu jednego roku, płacę roczny czynsz, który jest zyskiem brutto. Jeśli nabywam wyniki użytkowe centnaru węgla, to za wynik użytkowy, uzyskany w ciągu jednej godziny, w której węgiel spali się na popiół,

¹⁾ Szczegółowiej patrz moje »Rechte und Verhältnisse«, str. 64 i nast.

zapłacę całkowitą wartość kapitału, jaki przedstawia węgiel. Rzecz zaś, zwana przez zwolenników teorii usług usługą, opłacana jest zupełnie inaczej. Usługa, oddawana przez centnar węgla w ciągu całego roku, nie może uzyskać ceny wyższej, niż jakaś dwudziesta część wartości kapitału: »usługa« i »wynik użytkowy« muszą więc być dwiema zupełnie różnymi wielkościami. — Jasnym więc jest, w jakim błędzie byli pisarze, którzy, określając nasze wyniki użytkowe i dowodząc ich istnienia, sądzą, iż określają i dowodzą istnienia podstawy czystego zysku z kapitału. Wyrok ten dotyczy przede wszystkim *services productifs* Say'a i najwcześniejszych określeń usługi Schöfflego.

Dochodzimy do wyraźnego pytania: Jeśli usługi zwolenników teorii usług nie są »wynikami użytkowymi« dóbr, to czy mogą wogóle istnieć, jako coś realnego? Czy można sobie wystawić, że poza wynikami użytkowymi uzyskujemy z dóbr jeszcze inne korzyści, równoległe do tych wyników, wytryskujące z pomiędzy nich lub zgola w nich zawarte.

Nie mogę znaleźć innej odpowiedzi na to pytanie, niż najbardziej stanowcze »nie«, i sądzą, że odpowiedź taką dać musi każdy, kto przyjmie, że dobra rzeczowe są przedmiotami świata materialnego, że działania materialne nie mogą się dokonywać inaczej, niż przez uzewnętrznienie sił przyrody, i że »użyteczność« jest też takim działaniem: w zakresie tych przesłanek, z których żadna chyba nie może podlegać wątpliwości, nie mogę sobie stanowczo wyobrazić innego rodzaju użyteczności dóbr rzeczowych oprócz zatrudnienia właściwych im sił naturalnych, czyli dawania wyników użytkowych. — Nie potrzebuję tu wcale odwoływać się do logiki nauk przyrodniczych. Odwołuję się po prostu do wyobraźni czytelnika. Uprzytomnijmy sobie na paru przykładach, w jaki sposób dobra są dla nas użyteczne. Użyteczność gospodarcza młocarni parowej np. zawiera się bezsprzecznie w ułatwieniu czynności młócenia zboża. W jaki sposób przynosi ona tę korzyść, jak może ją przynosić? Nie inaczej, niż przez mechaniczne prace sił, wykonywane jedna po drugiej, aż do chwili, gdy zużyty mechanizm dalszemu ich wykonywaniu się sprzeciwi. Czy może czytelnik wyobrazić sobie udział młocarni w oddzielaniu ziarna od słomy

w innej postaci, niż mechaniczne usługi sił? Czy może sobie wyobrazić choćby atom użyteczności młocarni, oddany przez maszynę nie jako wynik działania sił, lecz jako inną szczególną »usługę«? Wątpię bardzo: albo młocarnia młóci za pośrednictwem fizycznych sił, albo nie młóci wcale.

Dla utworzenia jakiejś szczególnej usługi nie można wskazywać na różne pośrednie korzyści, które można ciągnąć z młocarni. Wymłócone ziarno np. posiada oczywiście większą wartość, niż posiadało niewymłócone, i ten przyrost wartości jest korzyścią, której nam dostarcza maszyna. Ale łatwo dostrzec, że nie jest to jakaś korzyść, pojawiająca się obok wyników użytkowych maszyny, ale właśnie dzięki nim istniejąca, ich własna korzyść. Zupełnie tak samo, jakgdyby mi ofiarowano 500 fl., za którebym kupił wierzchowca. Nie otrzymałem przez to dwóch odrębnych podarków, 500 fl. i wierzchowca, i tak samo nie można uważać pośrednich korzyści, płynących z wyników użytkowych, za jakąś odrębną, drugą usługę użyteczną dóbr¹⁾.

A wreszcie zużywające się dobra. Co mogę mieć z centnara węgla? Wytwarzające ciepło prace sił, w nim zawartych, oddawane w czasie procesu spalania się, i opłacane przeze mnie ceną kapitału węgla, a pozatem nic, nic zupełnie! A użytkowanie węgla polega na tem, że te wyniki użytkowe węgla łączę z przedmiotem, w którym chcę zapomocą ciepła wywołać zmiany; użytkowanie trwa przytem tak długo, jak długo palący się węgiel daje wyniki użytkowe. — A co uzyskuje dłużnik z centnara węgla, który mu na przeciąg roku pożyczam? Tak samo, pracę sił, rodzącą ciepło, którą węgiel w ciągu paru godzin wykonywa, a pozatem nic, zupełnie nic. Użytek węgla kończy się dla niego również po paru godzinach. A czy nie może on dzięki umowie pożyczkowej używać i zyskiwać węgla w ciągu całego roku? — spyta może ktokolwiek. Właściciel nie ma wprawdzie nic przeciw temu, ale sprzeciwia się temu sama natura rzeczy. Wymaga ona stanowczo, by użytkowanie i korzyść skoń-

¹⁾ Dowcipni przeciwnicy mogliby jeszcze może wskazywać na to, że posiadanie dobrych maszyn może dopomóc fabrykantowi do uzyskania szerokiego kredytu, dobrej opinii, dobrej klienteli i t. p. Uważny czytelnik z łatwością sam odeprze takie zarzuty. Do tej samej kategorii należy też »użytkowanie przez wymianę«.

czyły się w ciągu paru godzin. Umowa zachowuje moc swą o tyle, że dłużnik dopiero po upływie roku obowiązany jest zwrócić inny centnar węgla. Bardzo dziwnem pomieszanem pojęć jest tłumaczenie faktu, iż ktoś dopiero po upływie roku obowiązany jest zwrócić zamiast spalonego centnara węgla inny centnar węgla, w ten sposób, że spalony centnar węgla zachowuje w ciągu całego roku zdolność do oddawania pewnej obiektywnej usługi.

Tak więc, dla »usługi« dóbr, odmiennej od ich naturalnych wyników użytkowych, niema miejsca ani w świecie rzeczywistym, ani w świecie logicznego myślenia.

Mam nadzieję, że niejeden czytelnik uzna już dotychczasowe rozważania za zupełnie wystarczające. Ale rzecz jest zbyt poważna, a przeciwne mniemanie zbyt głęboko zakorzenione, bym mógł się do uwag tych ograniczyć; postaram się więc przytoczyć jeszcze kilka dowodów przeciw istnieniu usługi takiej, jak ją pojmują zwolennicy teorii usług. Negatywność, która jest istotą mego przedmiotu nie pozwala wprawdzie na użycie dowodów namacalnych: nie mogę tak umysłowi uprzytomnić nieistnienie pewnego przedmiotu, jakbym to mógł zrobić, gdyby chodziło o istnienie czegoś. Nie brak jednak dobitnych środków przekonywania, i przeciwnicy to właśnie mi ich dostarczają, a to w sposób następujący: Sprawdzianem słusznego twierdzenia jest fakt, że oparte jest na prawidłowym dowodzeniu i prowadzi do prawidłowych konsekwencji. Postaram się tedy dowieść, że pojęcie samodzielnej usługi, wystawiane przez moich przeciwników, żadnemu z tych warunków nie odpowiada. Do starczę na to dwóch dowodów:

1^o, że we wszystkich rozumowaniach, które w pojęciu zwolenników teorii usług mają dowodzić istnienia przyjętej przez nich usługi, kryje się błąd, lub nieporozumienie, oraz

2^o, że przyjęcie istnienia samodzielnej usługi prowadzi nieodzownie do nie dających się utrzymać konsekwencji.

Jeśli mi się to dowodzenie uda, to w połączeniu z poprzednim przedstawieniem, że obok wyników użytkowych niema miejsca dla usługi, uzyskam najpełniejszy wykład mojej tezy, na jaki mogę się zdobyć.

Wśród wybitnych zwolenników teorii usług dwaj, Hermann i Knies, szczególnie starali się dowieść istnienia samodzielnej usługi. Ich też dowodzenia będą przede wszystkim stanowiły przedmiot moich badań krytycznych. Oprócz tego zasługuje też na uwagę to, co wniesli do zagadnienia, nestor teorii usług, Say i Schäffle. Zaczynam od tych dwu pisarzy, gdyż nieporozumienie, którego padli ofiarą, można wykazać w niewielu słowach.

Say przypisuje kapitałowi zdolność oddawania produkcyjnych usług, albo, jak częściej się wyraża, zdolność wykonywania »pracy«; praca ta jest, jego zdaniem, podstawą zysku z kapitału. Trudno wprawdzie pochwalić wyrażenia usługi i praca, które odpowiednie są raczej dla określenia czynności osób, nie zaś nieosobowych dóbr-kapitałów: w istocie jednak Say ma bezwzględnie słusność, gdyż kapitał wykonywa »pracę«. Ale zdaje mi się, że również niewątpliwie praca ta, którą kapitał istotnie wykonywa, polega na tem, co określiłem, jako »wyniki użytkowe« dóbr, i co stanowi podstawę bądź zysku brutto, bądź wartości dóbr jako kapitału. Say zdaje się wprawdzie milcząco przyjmować, iż kapitał oddaje też usługi, różniące się od wyników użytkowych, któreby mogły być odrębną podstawą dla czystego zysku, ale nie daje na to najmniejszego dowodu, — może dlatego, że nie zauważył wcale dwuznaczności swojego pojęcia services productifs.

To samo stało się z Schäffle m. Pomijam subiektywne interpretacje z jego najstarszego dzieła, które wogóle nie odpowiadają charakterowi teorii usług, i które on sam w ostatnim wydaniu »Bau und Leben« niejako odwołał. W ostatnim swem dziele nazywa on dobra »zapasami sił użytecznych« (III, 258), a usługi »funkcjami dóbr«, »odpowiednikami żywej pracy, zawartemi w użytecznych materiałach« (III, 258, 259), »żywemi energjami nieosobowej substancji społecznej« (313). Wszystko to jest zupełnie słuszne, tylko funkcje dóbr, wydatek, czerpany z zapasu sił użytecznych, są znowuż naszymi wynikami użytkowymi, znajdującymi swój odpowiednik nie w czystym zysku z kapitału, jak przyjmuje Schäffle, ale w zysku brutto, względnie w wartości zużywających się dóbr-kapitałów. Tak więc Say i Schäffle dzięki nieporozumieniu chybiają celu w swoich dowodzeniach.

Psychologicznie ciekawą jest droga, którą Hermann dochodzi do swej samodzielnej »usługi«.

Pojęcie usługi wkracza poraz pierwszy pod znakiem usługi dóbr trwałych. »Kawalki ziemi, sprzęty, książki, pieniądze mają trwałą wartość użytkową. Użytkowanie ich, podczas którego nie przestają one istnieć, nazywamy ich usługą, którą można ujmować, jako osobne dobro, uzyskujące swoją własną wartość wymienną, zwaną zyskiem¹⁾.

Nie podaje tu autor właściwego dowodu istnienia samodzielnej usługi o samodzielnej wartości, i nie jest to potrzebne, gdyż każdy wie, że istotnie użytkowanie kawalka gruntu, czy też domu, może być osobno ocenione i sprzedane. Ale — i to trzeba wyraźnie podkreślić — czytelnik będzie tu sobie wyobrażał i powinien sobie wyobrażać, jako usługę, usługę brutto dóbr trwałych, substrat czynszu dzierżawnego, gdy chodzi o grunta, komornego, gdy chodzi o domy; albo to, co wyżej określiłem, jako wyniki użytkowe dóbr. Dalej, samodzielne istnienie »usługi« obok jej dostarczyciela występuje tak jasno dlatego i tylko dlatego, że usługi, o którą nam chodzi, nie wyczerpuje samego dobra; musimy przyznać, że usługa jest czemś od dobra odrębnem, samodzielnem, gdyż dobro istnieje obok niej w dalszym ciągu z nietkniętą częścią swej użytecznej zawartości.

Drugi krok, który Hermann stawia, polega na tem, że przeprowadza analogję pomiędzy dobrami trwałymi i zużywającymi się i stara się dowieść istnienia samodzielnej usługi o samodzielnej wartości i u tych ostatnich. Oświadcza mianowicie²⁾, że i zużywające się dobra zachowują swą użyteczność dzięki przekształceniu technicznemu, i, choć w zmienionej postaci, mogą »uzyskać stałość w użytkowaniu«. Ruda żelazna, węgiel i praca na przykład, gdy zostają przetworzone w surowiec, wnoszą właściwe sobie, chemiczne i mechaniczne pierwiastki do pewnej nowej, złożonej użyteczności; »a ponieważ surowe żelazo posiada wartość zamienną trzech, zużytych przy jego wytwarzaniu, dóbr wymiennych, poprzednia suma dóbr pozostaje w nowej użyteczności jakościowo związana, a w wartości zamiennej ilościowo zsumowana«. Jeśli zaś dobra zużywające się są

¹⁾ Staatswirtschaftliche Untersuchungen, 2 wyd., str. 109.

²⁾ Str. 110 i n.; patrz wyżej cytate, str. 206.

również zdolne do trwałego użytku, to, ciągnie Hermann, zarówno w dobrach trwałych jak i w tych, które zmieniają jakościowo swą postać przy zachowaniu wartości zamiennej, »użytek ten można ujmować jako dobro odrębne, jako usługę, która sama uzyskać może wartość zamienną«.

W ten sposób dochodzi Hermann bezwątpienia do pożądanego celu, do dowodu istnienia użytku, odrębnego od dobra również i u dóbr zużywających się. Przyjrzyjmy się bliżej przytoczonym dowodzeniom.

Przedewszystkiem należy ustalić, że jedyną podstawą dla tego dowodu jest wniosek, oparty na analogji. Istnienia samodzielnego użytku dóbr zużywających się nie może zaświadczyć ani rozumowe postrzeganie, ani też praktyczne doświadczenie gospodarcze, jak to widzimy dla usługi dóbr trwałych. Nikt nie widział, by samodzielny użytek oddzielał się od zużywającego się dobra, a jeśli komuś się zdaje, że to widział, ponieważ przy każdej pożyczce przekazywany jest użytek zużywającego się dobra, to jest on w błędzie: nie widzi i tu żadnego samodzielnego użytku, a przypuszcza jego istnienie. Widzi tylko, że A otrzymuje 100 fl., by po upływie roku zwrócić 105 fl. Twierdzenie, iż 100 fl. daje się za sumę pożyczoną, a 5 fl. za jej użytek, jest wyjaśnieniem rzeczy postrzeżonej, nie bezpośredniem, zmysłowym spostrzeganiem. W każdym razie, jeśli wogóle zakwestjonować istnienie samodzielnego użytku dóbr zużywających się, to nie należy powoływać się na wypadek pożyczki, gdyż dopóki zakwestjonowaną jest sprawa jego istnienia, dopóty naturalnie temu samemu losowi podlega prawo wykładania aktu pożyczania, jako przekazywania użytku; dowódzenie więc jednego za pomocą drugiego, byłoby wyraźnem przesądzaniem samego tematu dowodzenia.

Jeśli więc istnienie samodzielnej usługi dóbr zużywających się ma być czemś więcej, niż niedowiedzionem przypuszczeniem, to tylko dzięki dowodowi, opartemu na analogji, takiemu, jaki, nie w formie wprawdzie, lecz w treści, podaje Hermann w cytowanym powyżej ustępie. Sposób przekonywania jest przytem następujący: Dobra trwałe, jak wiadomo, są zdolne do oddawania samodzielných usług, niezależnie od samego dobra; dobra zużywające się, jeśli uważnie im się przyjrzyć, pozwalają na równie trwałe użytki jak i trwałe: a więc zużywające się dobra również mogą

i muszą być zdolne do oddawania samodzielnych usług, niezależnie od samego dobra.

Ten wniosek, oparty na analogji, jest fałszywy, bo, jak to zaraz wykaże, w zasadniczym punkcie niema właśnie żadnej analogji.

Przyjmuję bez dalszych zastrzeżeń, że zużywające się dobra dzięki technicznemu przekształceniu istotnie zdolne są do trwałego użytku. Przyjmuję, że węgiel i ruda żelazna po raz pierwszy użyte są do wytworzenia żelaza; przyjmuję, że użytek, który się wówczas ma z żelaza, jest tylko dalszem działaniem sił tych pierwszych przedmiotów, które w ten sposób w żelazie użyte są po raz drugi, dalej w gwoździu, z tego surowca zrobionym, po raz trzeci, w domu, w który gwoździe został wbity, po raz czwarty, więc naogół trwałe. Ale trzeba zwrócić baczną uwagę na to, że trwałość opiera się tutaj na zupełnie innej podstawie i posiada zupełnie inny charakter, niż u dóbr trwałych. Ostatnich używa się niejednokrotnie, i przy każdym akcie użytkowania wyczerpuje się tylko część ich użyteczności, poczem pozostaje inna część, nietknięta, dla przyszłych aktów użytkowania. Tamtych zaś używa się kilkakrotnie, wyczerpując kilkakrotnie tę samą całość, wyczerpując za każdym razem całą użyteczność pewnej postaci dobra, ale ponieważ ta użyteczność prowadzi do utworzenia nowej postaci dobra, powtarza się na niej znowu ten sam użytek wyczerpujący użyteczność. Oba rodzaje użytkowania różnią się pomiędzy sobą, jak nieustanne wylewanie się wody z rezerwoaru różni się od równie nieustannego przelewania wody z jednego naczynia do drugiego i z powrotem, albo, że przytoczę przykład ze świata gospodarczego, jak uzyskanie wielokrotnego dochodu przy kolejnej sprzedaży poszczególnych części kawałka ziemi różni się od uzyskania wielokrotnego dochodu dzięki temu, że się cenę sprzedażną całego kawałka ziemi używa na nowe kupno, kupiony przedmiot znowu się sprzedaje i t. d.

Jeszcze kilka słów, aby jaskrawiej scharakteryzować braki hermannowskiego zestawienia. — Rzeczywiście w dobrach trwałych istnieje coś zupełnie analogicznego do »trwałego użytku«, którego obecności u dóbr zużywających się chce dowieść Hermann; tylko Hermann nie to umieścił w swoim zestawieniu, a coś zupełnie innego. Mamy tu

do czynienia z jednym z tych punktów, w których mści się na nauce lekceważenie, którem zgrzeszyła wobec pojęcia »użytku dóbr«. Gdyby Hermann uważniej zbadał pojęcie użytku, spostrzegłby, że się pod tą nazwą łączy dwie dosyć odmienne rzeczy, które, w braku lepszego określenia, będę odróżniał, jako użytek dóbr pośredni i bezpośredni. Użytek bezpośredni (który może jedynie miały prawo do tej nazwy) polega na uzyskaniu wyników użytkowych, dostarczanych przez pewne dobro; użytek pośredni (który może słuszniejby było wcale »użytkiem« nie nazywać) polega na uzyskaniu wyników użytkowych, pewnych innych dóbr, które powstają dopiero dzięki wynikom użytkowemu dobra narazie »użytego«, dalej tych dóbr, które znowu powstają dzięki wynikom użytkowemu pierwszych i t. d. Innemi słowy, »użytek pośredni« polega na uzyskaniu najdalszych — możliwie aż do dnia sądnego sięgających — ogniw tego łańcucha przyczyn i skutków, któremu pierwsze bezpośrednie użytkowanie dało początek.

Nie mam bynajmniej zamiaru utrzymywać, że zupełnie fałszywym jest określać użytek tego dalekiego skutku pewnego dobra, jako użytek samego tego dobra; w każdym razie jednak oba te rodzaje użytkowania różnią się dosyć znacznie między sobą. Można wprawdzie twierdzić, że jazda konna jest użytkowaniem trawy, zjedzonej przez konia — w każdym razie jednak nie ulega kwestji, iż ten rodzaj użytkowania różni się najzupełniej od bezpośredniego użytkowania trawy, i że zasadnicze jego cechy występują w zupełnie innych warunkach.

Jeśli się więc chce przeprowadzić analogję pomiędzy dwoma dobrami, czy gatunkami dóbr odnośnie do ich użytku, to należy brać pod uwagę tylko jednakoowe rodzaje użytkowania: można porównywać bezpośrednio, albo pośrednio użytki dwóch dóbr, ale nie bezpośredni użytek jednego dobra, z pośrednim użytkowaniem drugiego, szczególnie, jeśli się ma zamiar wyprowadzać z tego zestawienia dalsze naukowe wnioski. Tutaj Hermann zblądził. Zarówno trwałe, jak zużywające się dobra dopuszczają oba rodzaje użytkowania. Węgiel, dobro zużywające się, ma użytek bezpośredni — spalanie się i pośredni, jak to Hermann zupełnie prawidłowo wykazał, — użytek żelaza, które pomaga wytwarzać. Ale podobnie i każde trwałe dobro, np. każda

maszyna przędzalnicza, obok swego bezpośredniego użytku, — który polega na wytwarzaniu przędzy — posiada pośredni, polegający na użytku przędzy w wyrobie sukna, na użytku sukna w wyrobie odzieży, na użytku odzieży i t. d. Prawidłowem byłoby więc oczywiście przeprowadzenie analogji pomiędzy bezpośrednim użytkowaniem dóbr trwałych i momentalnym zużyciem dóbr zużywających się¹⁾, a znów trwały pośredni użytek dóbr zużywających się porównać z równie trwałym pośrednim użytkowaniem dóbr trwałych. Hermann pomylił się przy układaniu tych par, przeprowadzając analogję pomiędzy bezpośrednim użytkowaniem dóbr trwałych, a nie z nim nie mającym wspólnego pośrednim użytkowaniem dóbr zużywających się; zwiodła go okoliczność, iż oba rodzaje użytku są »trwale«, a przeoczył fakt, iż ta »trwałość« właśnie spoczywa na zupełnie różnych podstawach.

Rozważania powyższe wykazują, sędzę, że przeprowadzona przez Hermann'a analogja co do »trwałości« użytku dóbr trwałych i zużywających się nie jest zupełną. Łatwo dowieść, że brak podobieństwa zachodzi właśnie w najważniejszym punkcie. Dlaczego w dobrach trwałych można sobie wyobrazić obok samego dobra odrębne, samodzielne użytkowanie o samodzielnej wartości? — Nie dlatego, że to użytkowanie jest stałe, ale dlatego, że zawsze pozostawia ono coś z dobra i jego wartości; dlatego, że zużyte i nie zużyte jeszcze części bezpośrednio, zawartej w przedmiocie, użyteczności są to dwie różne rzeczy, istniejące obok siebie, i mogące jednocześnie posiadać wartość gospodarczą. Wszystko to jednak w dobrach zużywających się przedstawia się wprost odwrotnie. Każdorazowe użytkowanie wyczerpuje tu zupełnie użyteczność, zawartą w każdorazowej postaci dobra, i wartość tego użytku jest zawsze identyczna z całkowitą wartością samego dobra. Nie mamy tu nigdy dwóch przedmiotów wartościowych obok siebie, tylko ten sam przedmiot wartościowy przedstawia się nam dwa razy raz po raz. Używając węgla i rudę żelazną do przygotowania że-

¹⁾ Aby się przekonać o trafności tej analogji, wystarczy wyobrazić sobie tylko poszczególne stopnie przejść, wiodących od najtrwalszych dóbr, jak kawałki ziemi, drogie kamienie, etc., poprzez dobra, coraz mniej trwałe, — budowle, meble, odzież, bieliznę, świece, papierowe kołnierzyki i t. p. — aż do dóbr zupełnie się zużywających — zapalek, potraw, napojów, etc.

laza, zużywa się je; płaci się za ten użytek całkowitą wartość kapitału, który stanowią te dobra, i po tem zużyciu nie pozostaje z nich najmniejsza cząsteczka o samodzielnej wartości. Rzecz się przedstawia tak samo, gdy się żelazo używa do wytwarzania gwoździ. Zużywa się je, płaci się za to całkowitą wartość kapitału, przedstawianego przez żelazo, i znowu najmniejsza cząsteczka po niem nie pozostaje. Nie widzimy tu w tej samej chwili rzeczy oraz jej użytkowania jednocześnie, tylko rzeczy: »węgiel i rudę«, »żelazo« i »gwoździe« — jedno po drugim, dzięki każdorazowemu ich użytkowaniu. Przy takim zaś stanie nie widzimy ani per analogiam, ani w żaden inny sposób, jak »użytek« zużywającego się dobra ma dojść do samodzielnego istnienia obok dobra i do samodzielnej wartości.

Wniosek Hermann'a, oparty na tej analogji, jest równie nieprawidłowy, jak wniosek, wyciągnięty z takiego rozumowania: W ciągu godziny mogę z dużego zbiornika wody wypompać 1 litr wody na sekundę. Każdy z 3.600 wylanych w ten sposób litrów wody posiada samodzielną egzystencję i jest przedmiotem zupełnie odrębnym, niezależnym zarówno od wody, poprzednio wylanej, jak i od wody, pozostawionej w zbiorniku. Jeśli posiadam tylko jeden litr wody, ale przelewam go stale z jednego naczynia w drugie, to mogę tak manewrować, że w ciągu godziny co sekunda lać się będzie jeden litr wody: A więc — i w tym wypadku istnieje 3.600 samodzielnych litrów, które możemy wylać ze swych naczyń.

Wreszcie podejmuje Hermann krok trzeci: dzieli użytkowanie dóbr trwałych na dwa pierwiastki; pierwszy z nich odpowiada nazwie użytkowania lub usługi, drugi zaś określa, jako »zużycie«. — Muszę się przyznać, że pomysł ten żywo mi przypomina znaną historyjkę Münchhausena, w której bohater spuszcza się na sznurze z księżycy, odcinając go wciąż nad głową, by te same końce w dole związać. Hermann z podobną logiką najpierw traktuje całkowitą usługę (brutto) dóbr trwałych, jako usługę, dopóki, zapomocą opar- tego na tym wniosku przez analogję, nie udaje mu się dowieść istnienia usługi i u dóbr zużywających się. Zaledwie to zostaje osiągnięte, przekreśla swe początkowe pojęcie usługi, nie trąszcząc się bynajmniej o to, że niszczy w ten sposób punkt oparcia, do którego przywiązał swe późniejsze

pojęcie samodzielnej usługi, tak, że zostaje ono poprostu zawieszane w powietrzu.

Nieco później zobaczymy, do jakich jeszcze niekonsekwencji prowadzi ten sposób rozumowania. Narazie zadowolimy się stwierdzeniem, iż tak pociągające na pierwszy rzut oka wywody Hermanna przy bliższem zbadaniu nie mogą wykazać lepszej podstawy, niż fałszywa analogja.

Krytyka moja byłaby bardzo niezupełna, gdybym jej nie poddał też gruntownych i sumiennych wysiłków, które Knies poświęcił naszemu przedmiotowi. Wywody tego zasłużonego badacza z dwóch względów przypominają teorię Hermanna: jak ona, wydają się na pierwszy rzut oka niezwykle przekonujące, i, jak ona, zawdzięczają tę zdolność przekonywania skutecznemu zastosowaniu analogji — które również będą zmuszony uznać za fałszywe.

Knies styka się z naszym tematem przy rozpatrywaniu zagadnienia gospodarczej istoty pożyczki. Holduje on pogładowi, że istota pożyczki leży w przekazaniu usługi sumy pożyczanej; starając się uzasadnić to ujęcie ze zwykłą troskliwością, musiał się też zająć kwestją istnienia czy też nieistnienia samodzielnej usługi u dóbr zużywających się.

We wstępnem rozważaniu wychodzi Knies z tego założenia, że istnieje gospodarcze »przekazywanie«, które się nie pokrywa z przekazywaniem praw własności. Jest to mianowicie przekazywanie prostego użytkowania dóbr albo ich usług. Następnie wzmiankuje o różnicy pomiędzy dobrami zużywającemi się i niezużywającemi się, a potem przechodzi do szczegółowego rozbioru przekazywania usług dóbr nie zużywających się — które, podobnie jak Hermannowi, służą mu za przejście do wyjaśnienia zjawisk usługi dóbr zużywających się. Między innemi, ustala różnicę, istniejącą pomiędzy »usługą«, jako »trwającą przez czas pewien i przez okresy czasu ograniczonem użytkowaniem dobra«, a samem dobrem, jako »podłożem (Träger) usługi«. Zasadą gospodarczą wchodzących w grę aktów przekazywania byłby fakt, iż u s ł u g a ma być przekazywana, a podłoże usługi nie. Z natury rzeczy wynika, iż przekazanie usługi dóbr każdorazowo pociąga za sobą udzielenie pewnych praw także i w stosunku do podłoża usługi. Właściciel wydzierżawionego pola, na przykład, musi je dzierżawcy fizycznie oddać, aby ten mógł je wyzyskać. Rozmiary tych praw i niebezpieczeństwo

straty, równie jak niszczenie podłoża usługi, które jest z tem związane, różnią się zależnie od rozmaitych przedmiotów i poszczególnych wypadków; przy najmie na przykład pewne niszczenie i zgoda na nie właściciela jest nawet konieczna¹⁾.

Dalej wyjaśnia jeszcze Knies znaczenie prawnych kategorii dóbr zamiennych i niezamiennych i wreszcie rzuca następujące pytanie (str. 71): »Czyż nie jest również faktycznie możliwe, a jako intencja pewnej transakcji zupełnie zrozumiałe, przekazanie usługi dobra, możliwego zamiennego, a nawet zużywającego się?«

W tem zdaniu zapytuje Knies *implicite*, czy istnieje samodzielna usługa dóbr zużywających się. — Odpowiada na to pytanie następującym wywodem, który dosłownie powtarzam:

»Centnar zboża jest takim dobrem zamiennem i zużywającym się. Właściciel w pewnych warunkach może nie chcieć ani sprzedać, ani odstąpić, ani wymienić takiego centnara zboża, chociażby dlatego, że po upływie sześciu miesięcy sam będzie chciał, czy musiał je zużyć. Ale do tego czasu nie potrzebuje go też wcale. Mógłby się więc z łatwością zgodzić na ustąpienie komu innemu użytkowania tego centnara zboża na przeciąg najbliższych sześciu miesięcy, byle po ich upływie otrzymał swą własność z powrotem. Jeśli zaś ktoś, kto pragnie posiadać centnar zboża, ale nie może go kupić, ani wymienić za nic innego, oświadczy, że nie może skorzystać z usługi centnara zboża, jako dobra zużywającego się, inaczej, jak przez zużycie samego zboża, na siew na przykład, ale zobowiązuje się zwrócić inny centnar ze zbiorów, uzyskanych dzięki zastosowaniu przekazanej usługi, to właściciel uzna to za zupełnie odpowiadające jego interesowi gospodarczemu, ponieważ idzie tu właśnie o dobro zamienne«.

»Najmniejsza częśćka myśli nie zawiera tu nic niemożliwego, wyszukanego, sztucznego. Taki wypadek, wzięty sam w sobie, t. j. przekazanie centnara zboża pod warunkiem zwrotu centnara zboża po upływie sześciu miesięcy — należy niezaprzeczenie do umów, zwanych »pożyczkami«... Wobec tego uważamy pożyczkę za przekazanie usługi,

¹⁾ Geld, str. 59 i nast.

mianowicie usługi dóbr zamiennych, które przekazane z prawem użytkowania przez właściciela, zwrócone być mają w takiej samej ilości. Naturalnie, właśnie gdy chodzi o pożyczkę, nadzwyczaj ważnem jest ściśle ustalenie, że niezależnie od rozmiaru praw udzielonych na podłoże usługi, nie w nich to wcale leży sedno rzeczy. Przeciwnie, prawa te są określone przez to, co jest konkretnie potrzebne do uzyskania usługi, i właśnie w stosunku do dóbr zużywających się rozciąga się aż do prawa całkowitego zużycia, które posiada właściciel dobra, pomimo to wszędzie — nawet w tym ostatnim wypadku — miarodajną jest tylko jedna myśl: przekazanie usługi. Tak więc w pożyczce przekazanie prawa własności jest zjawiskiem nieuniknionem — a jednak tylko wtórnem.

Zgadzam się najzupełniej, że wywody te mogą zrobić wrażenie całkiem przekonywujących na czytelnika, nie wglądającego w treść ich głębiej. Knies nietylko umie z niezwykłą zręcznością wykorzystać analogję pomiędzy dzierżawą i najmem z jednej, a pożyczką z drugiej strony, którą posługiwali się już starzy przeciwnicy kanonistów, lecz jeszcze bardzo poważnie dopełnia ją i wzbogaca. Wskazując bowiem na nieodzowne przy każdym przekazaniu usługi udzielenie pewnych praw w stosunku do jej podłoża, potrafił zmienić w dalszą podporę swej analogji właśnie ten moment, który dotąd wydawał się największym szkopułem dla przeprowadzenia analogji pomiędzy najmem, a pożyczką, t. j. całkowite przekazanie własności dóbr pożyczanych.

Ale jeśli nie damy się porwać tym świetnym analogjom i weźmiemy się do krytycznego ich rozbioru, łatwo zauważymy, że trwałość, a więc i siła dowodu tych analogij zależy od tego, czy odpowiemy twierdząco na jedno wstępne pytanie: czy dobra zużywające się wogóle posiadają samodzielną usługę, którąby przy pożyczce można przekazywać. Poczem trzeba zastanowić się, jakie też dowody przytacza Knies dla uzasadnienia twierdzącej odpowiedzi na to wstępne pytanie, będące przecież kluczem do całej jego teorii pożyczki. I tu zrobimy zdumiewające odkrycie: Knies najmniejszym słówkiem nie dowodzi istnienia, czy choćby możliwości istnienia samodzielnej usługi dóbr zużywających się, a omija tę główną rafę swojej teorii zapomocą gry dwu-

znaczników, której przedmiotem jest słowo »usługa«. — Spróbujmy odkryć ten błąd.

Knies utożsamia (str. 61) usługę z użytkowaniem dóbr. Dowodzi dalej, (patrz również str. 61) że nie może być innego użytkowania dóbr zużywających się, jak tylko zużycie. Musi więc też wiedzieć, że w dobrach zużywających się usługa pokrywa się z ich zużyciem. Z drugiej strony używa słowa »usługa« w postawieniu zagadnienia, oraz w zdaniu końcowem: »Wobec tego uważamy pożyczkę za przekazanie usługi i t. d.« wyrażnie w takim sensie, że nie pokrywa się ono z zużyciem, lecz oznacza stałą usługę. Do tego końcowego zdania dochodzi Knies, mieszając w wywodach swoich raz po raz usługę w pierwszym znaczeniu z usługą w drugim znaczeniu i ostatecznie, z szeregu zdań, które tylko w takim razie są prawidłowe, jeśli odnoszą się do usługi w pierwszym znaczeniu, wyciąga wniosek, że istnieje usługa w znaczeniu drugim.

Pierwsze zdanie brzmi: »Właściciel może w pewnych warunkach nie chcieć ani sprzedać, ani odstąpić, ani wymienić tego centnara zboża, chociażby dlatego, że po upływie sześciu miesięcy sam będzie chciał lub musiał je zużyć. Ale do czasu tego zużycia nie potrzebuje go wcale«.

W tem zdaniu zużycie dobra jest zupełnie prawidłowo określone, jako brany pod uwagę i z natury rzeczy jedynie możliwy do brania pod uwagę rodzaj usługi. — Następnie idzie drugie zdanie:

»Mógłby się więc z łatwością zgodzić na ustąpienie komu innemu użytkowania tego centnaru zboża na przeciąg najbliższych sześciu miesięcy, byle po ich upływie otrzymał swą własność z powrotem«.

Tu zaczyna się dwuznaczność. »Co oznacza tu »użytkowanie«? Czy słowo to oznacza »zużycie«? czy też oznacza trwający przez okres sześciomiesięczny rodzaj usługi. — Możliwem jest, oczywiście, tylko użytkowanie w sensie zużycia, ale słowa »użytkowanie w ciągu najbliższych sześciu miesięcy« chcą wywołać wyobrażenie trwałego użytkowania, i tu zaczyna się *qui pro quo*.

Następuje trzecie zdanie:

»Jeśli zaś ten inny, który pragnie posiadać centnar zboża, ale nie może go kupić, ani wymienić za nic innego, oświadczy, że nie może skorzystać z usługi centnara zboża,

jako dobra zużywającego się, inaczej, jak przez zużycie samego zboża, na siew naprzykład, ale zobowiązuje się zwrócić inny centnar ze zbiorów, uzyskanych dzięki zastosowaniu przekazanej usługi, to właściciel uzna to za zupełnie odpowiadające jego interesowi gospodarczemu, ponieważ chodzi tu właśnie o dobro zamienne».

To zdanie zawiera decydujące pomieszenie pojęć. Jednym tchem każe Knies oświadczać pożyczającemu, że usługa dóbr zużywających się musi niezbędnie pokrywać się z ich zużyciem, a sam używa słów »usługa« i »zużycie« w ten sposób, że oba te pojęcia są zupełnie rozdzielone i robią wrażenie wcale nie identycznych; w ten sposób niepostrzeżenie wprost dzięki swą dialektyką, wprowadza wyobrażenie trwałej usługi dóbr zużywających się. Następnie, gdy mowa o »zbiorach, uzyskanych dzięki zastosowaniu przekazanej usługi«, to prawidłowem byłoby znów uważa za czynnik, pomagający do uzyskania zbiorów, tylko takie użycie, które równa się zużyciu użyteczności zboża siewnego; ale, dzięki podobieństwu dźwiękowemu pomiędzy »przekazaną usługą«, a owem »przekazywaniem usługi«, o którym już od pewnego czasu słyszymy, a które stanowią przeciwstawienie »przekazywania« podłoża usługi, mimowoli skłonni jesteśmy myśleć o trwałej usłudze przez analogję do trwałej usługi dóbr trwałych. Tem trudniej zwątpić w istnienie takiej usługi, że jednocześnie mówi się o uzyskaniu zapomocą tej usługi zbiorów zboża, a więc czegoś w najwyższym stopniu rzeczywistego: stanowi to dowód istnienia »trwałej usługi«, który z łatwością przyjmie każdy czytelnik, raz uwikłany w to wielkie pomieszenie pojęć.

Następnie zbiera Knies owoce owego pomieszenia. Po oświadczeniu: »najmniejsza cząstka myśli nie zawiera tu nic niemożliwego, wyszukanego, sztucznego« — co jest tu wprawdzie zupełnie słuszne, ale nie pociąga za sobą żadnych dalszych konsekwencji dla jego tezy, skoro zamiast słów »użytkowanie« lub »usługa« wstawimy w miejscach dwuznacznych słowo »zużycie użyteczności« — wyciąga wniosek: A więc pożyczka jest przekazywaniem prostej usługi.

Wniosek ten jest poprostu błędny. Dowodu, o którego znalezienie chodziło, w rzeczywistości wcale niema; to, co

miało być dowiedzione, wprowadzone zostało niepostrzeżenie do rozumowania, jako rzecz przypuszczona, a o »usłudze« w sensie pożądanym mówiło się jako o dobrze znanym fakcie, nie wspominając ani słowem o możliwości jej istnienia — co właśnie dowieść należało. Dwie okoliczności utrudniają odkrycie tego podstawowego błędu. Popierwsze, płaszczyk usługi w sensie prawdziwym pokrywa też jej nieprawidłową imienniczkę; wahamy się protestować przeciwko istnieniu »usługi«, gdyż, dzięki zręcznym zwrotom dialektycznym nie możemy jej odróżnić od istniejącej bezwątpienia prawdziwej usługi; a podrugie, właśnie naiwność tej sugestji stanowi jej siłę. Zamiast tego, by choć w paru słowach zająć się istotnie kwestją, czy może istnieć trwała usługa dóbr zużywających się, każe Knies z pewnością siebie, która się mimowoli udziela czytelnikowi — właścicielowi i pożyczającemu układać się o przekazanie »usługi«, jakgdyby istnienie takich usług było rzeczą przesądzoną¹⁾.

Jeśli teraz rzucimy okiem na usiłowania poszczególnych pisarzy kierunku Say'a i Hermanna, podjęte w celu dowiedzenia istnienia własnej usługi kapitału, to przy wielkiej różnorodności szczegółów, zauważymy bardzo ciekawą zgodność w całości.

Wszyscy autorowie, od Say'a do Knies'a, gdy zaczynają mówić o usłudze kapitału, powołują się przede wszystkim na rzeczywiście istniejące wyniki użytkowe i pod ich płaszczykiem uzyskują zgodę czytelnika na twierdzenie, że »usługa kapitału« rzeczywiście istnieje, że istnieje, jako samodzielny pierwiastek gospodarczy, oraz że posiada samodzielną gospodarczą wartość. Pomija się przytem i zostawia na stronie takie fakty, jak to, że samodzielnność ta nie jest samodzielnnością odrębnej całości, istniejącej obok dobra, a tylko częścią zawartości dobra, zdolną do samodzielnego wyodrębnienia, z czem się dalej łączy fakt, iż oddzielenie wyniku użytkowego związane jest każdorazowo z obniżeniem wartości samego dobra, a wynagrodzenie wyniku użytkowego jest zyskiem brutto.

¹⁾ W pismach, które się ukazały po pierwszym wydaniu pracy niniejszej, usiłuje Knies bronić swego ujęcia sprawy przed moimi zarzutami. Na odpowiednim miejscu drugiej, pozytywnej części mojej pracy, wrócę jeszcze do tego usiłowania; patrz moją »Positive Theorie«, cz. 3, str. 489 i nast.

Natychmiast zaś po uzyskaniu uznania »samodzielnej usługi kapitału«, wynosi się wyimaginowaną usługę własnego wyrobu ponad rzeczywiste wyniki użytkowe, pod płaszczykiem których się je uzyskało, przypisuje się jej jakąś samodzielność wartości niezależnie od całkowitej wartości dobra, a na zakończenie niszczy się zupełnie prawdziwe usługi, które fałszywym służyły za podstawę. Say i Schäffle dają proces ten w pobieżnym skrócie, przerabiając pocichu substrat surowego zysku na substrat zysku czystego; ale Hermann i Knies rozwijają go nam przed oczami w całej rozciągłości. — Takie błędy wykazują, jak konieczne trzeba nareszcie zastosować ulubioną »rewizję zasadniczych pojęć« do niepozornych pojęć »użytku« i »usługi«. Usiłowałem dać tu dobry początek.

Zdaje mi się, że poprzedzające roztrząsania dostarczyły pożądanego dowodu, że »we wszystkich wnioskach, zapomocą których zwolennicy teorii usług kierunku Say'a-Hermann'a usiłują dowieść istnienia przypuszczanej przez siebie usługi, znajduje się błąd jakiś, lub nieporozumienie«.

Przyjęcie istnienia samodzielnego usług nie tylko nie jest wcale dowiedzionem, ale, jak tego zaraz dowiodę, prowadzi nieubłagane do sprzeczności wewnętrznych i niemożliwych konsekwencji.

W kole zwolenników teorii usług, a zresztą i gdzie indziej¹⁾, istnieje zwyczaj odróżniania usługi brutto,

¹⁾ Muszę wyraźnie zaznaczyć, że w polemice mej z pojęciem usługi, muszę walczyć nie tylko z właściwymi zwolennikami teorii usług, ale prawie z całą literaturą ekonomiczną. Ujęcie usługi kapitału, które tu zwalczam, jest od czasów Salmasia najbardziej rozpowszechnione. Nawet pisarze, którzy pochodzenie zysku z kapitału wyjaśniają za pomocą zupełnie innych teorii, np. zapomocą teorii produktywności, jak Roscher, teorii wstrzeźmielkości, jak Senior, teorii pracy, jak Courcelle-Seneuil albo Wagner, z zasady ujmują procent od pożyczek, jako wynagrodzenie za ustąpione użytkowanie czy usługę kapitału (use, usage), a nieraz nawet pierwotny zysk z kapitału jako owoc tej samej usługi kapitału. Różnica, zachodząca pomiędzy nimi, a właściwymi zwolennikami teorii usług, polega na tem, że pierwsi posługują się tem ujęciem naiwnie, używając jakby tylko popularnego wyrażenia z mowy potocznej, nie troszcząc się o dalsze jego przesłanki i konsekwencje, które nieraz stoją w sprzeczności z ich własnymi teorjami zysku, gdy drudzy właśnie na konsekwencjach tego ujęcia opierają swoją własną

która jest podstawą zysku brutto z dzierżawy, czy najmu, od usługi czystej, która jest podstawą czystego zysku z kapitału. I, rzecz dziwna, przywykliśmy wszyscy najszczerczej powtarzać to odróżnienie, i nikomu nie przychodzi na myśl, że zawiera ono nierozwiązalną zagadkę.

Usługa, jak jednogłośnie zapewniają zainteresowani, ma być jednoznaczna z użytkowiem, w obiektywnym sensie tego słowa. Jeśli istnieje usługa brutto i usługa czysta, to czy istnieją dwie usługi, dwa użytki tego samego dobra? I to wyraźnie nie kolejne, czy też alternatywne rodzaje użytkowania, lecz dwa użytki jednoczesne, połączone, które w najelementarniejszej czynności używania zawierają się w sobie nawzajem, lub też obok siebie?

Można sobie wyobrazić, że pewne dobro dopuszcza z kolei dwa użytki; możliwem jest również, że pozwala alternatywnie na dwa rodzaje użytkowania, np. drzewo na budulec i na opał; można nawet przyjąć, że dopuszcza jednocześnie dwa rodzaje użytkowania, jeden obok drugiego; każde z nich jest podstawą różnej użyteczności, dobro posiada więc podwójną, np. piękny most służy jednocześnie jako środek komunikacji i jako źródło estetycznego zadowolenia. Ale żebyśmy, wynajmując dom, czy mieszkanie, i używając go zapomocą zamieszkania w nim, przez te same czynności używania mieli dwa różne użytki, jeden szerszy, opłacany przez całe komorne, a drugi węższy, opłacany przez zawarty w komornem zysk czysty; — żebyśmy, przy każdym posunięciu pióra po papierze, przy każdym spojrzeniu, rzuconem na obraz, przy każdym cięciu nożem, jednym słowem, przy każdej najprostszej korzyści osiąganey z pewnego dobra, mieli dwa użytki w sobie nawzajem, albo obok siebie, się znajdujące: to przeczy naturze rzeczy i zdrowemu rozsądkowi. Jeśli przyglądam się obrazowi, lub zamieszkuję dom, to użytkuję te przedmioty w jeden sposób, a jeśli nazywam przytem dwie rzeczy użytkowiem, czy usługą, to jedna z nich niesłusznie nosi tę nazwę.

Która?

Co do tego istnieje też niezmiernie szczególny pogląd. Teoretycy, zajmujący się tym przedmiotem, do pewnego

teorję. Prawie powszechne rozpanoszenie się tego błędu, który usiłuję zwalczyć, usprawiedliwia rozmiary tej polemiki.

Kapitał.

stopnia zauważyli bodaj, jak niemożliwe jest faktyczne istnienie dwóch usług. Chociaż bowiem z zasady używają dla obu rzeczy nazwy usługi, jednocześnie uciekają się do takiego wybiegu, by jedną z nich usunąć: wyeliminowują usługę brutto, rozwiązując ją, jako czystą usługę + częściowe odtworzenie kapitału. Tak np. mówi Roscher, którego możemy cytować, jako przedstawiciela powszechnego mniemania¹⁾: »Nie należy mieszać usługi kapitału z jego częściowym odtworzeniem. Tak np. komorne, oprócz opłaty za użytkowanie domu zawierać musi jeszcze odpowiednią sumę na reperację domu, albo zgół na gromadzenie kapitału na nową budowlę«. A więc to, za co płacimy czysty zysk, jest w istocie użytkowaniem, a to, za co płacimy zysk brutto, nazywa się użytkowaniem tylko na skutek błędnej nieściśłości.

Zdaje mi się, że wprowadziłoby się zwolenników tego dziwnego poglądu w ogromny kłopot żądaniem określenia, co też rozumiemy pod słowem »użytek«. Czem może być użytek, jeśli nie otrzymaniem, albo, jeśli nadajemy mu znaczenie obiektywne, daniem wyników użytkowych, do których dane dobro jest zdolne? Albo, jeśli się ma cośkolwiek przeciw mojemu wyrażeniu »wyniki użytkowe«, można powiedzieć z Say'em »użyteczne usługi«, albo otrzymanie działań użytecznych, albo z Schäfflem »wydobycie użyteczności z dóbr rzeczowych«, albo jeszcze coś innego. Ale można określać użytkowanie, jak się komu podoba, a jedno będzie, mojem zdaniem, zawsze słuszne: jeśli się komuś ustępuje dom do czasowego zamieszkania, i ten ktoś w nim zamieszka, to ustąpiło mu się użytek tego domu, i on z tego użytku skorzystał; i jeśli zapłacił coś za to, to każda najmniejsza cząstka komornego jest opłatą za prawo korzystania z użytecznych właściwości i sił domu, innemi słowy, za jego użytek, i za nic innego.

Ale może jest to coś innego! Czy nie spożył on też cząstki wartości samego domu, czy więc nie ustąpiono mu obok użytkowania domu i cząstki wartości samego domu? — Jeśli ktoś to pomyśli, to weźmie w bardzo dziwny sposób dwie strony jednego zjawiska za dwa zjawiska odrębne. Rzecz się ma poprostu tak, że wynajmujący otrzy-

¹⁾ Grundlagen, wyd. 10, str. 401 i nast.

mał tylko użytek domu, ale skutek używania go zmniejszył wartość samego dobra; otrzymał prawo wydobycia niektórych »skoncentrowanych sił« z ogólnego zapasu, i nie zrolbil nic innego, jak tylko »wydobył« je, użytkował, ale naturalnie wartość pozostałych sił musiała się wskutek tego zmniejszyć. Wykładać to zjawisko tak, że wynajmujący otrzymał dwie odrębne rzeczy, użytek i częściową wartość kapitału, byłoby tak samo niesłusznem, jak upatrywać dwie odrębne rzeczy w nabyciu czwartego konia, odpowiedniego do trójki posiadanej, po pierwsze nabycie konia, a po drugie uzupełnienie czwórki, i dalej przypuszczać, że z 500 fl., zapłaconych za konia, część tylko, np. 250 fl. jest jego ceną, a pozostałe 250 fl. są ceną uzupełnienia czwórki! Albo twierdzić, że cieśla, ustawiający krzyż na wieży kościoła, i wykańczający w ten sposób wieżę, spełnia przytem dwie odrębne czynności: po pierwsze ustawienie krzyża, a po drugie wykończenie wieży, a jeśli pracował nad tem godzinę, to na umocnienie wieży, a jeśli pracował nad tem godzinę, to na umocnienie krzyża potrzebował najwyżej trzech kwadransów, gdyż część całego zużytego czasu, około kwadransa, przypada na drugą czynność, wykończenie wieży!

Jeśli ktoś pomimo to jeszcze chce szukać użytkowania nie w usłudze brutto, a w czemś nieznanem i nader trudnem do określenia, niech powie, na czem polega użytkowanie jakiegokolwiek potrawy. Na jedzeniu? — To niemożliwe, gdyż jest to usługa brutto, pochłaniająca całkowitą wartość kapitału, której nie można mieszać z prawdziwem »użytkowaniem«. Więc na czem? Na pewnej części składowej jedzenia? Czy na czemś całkiem innem? — Obowiązek dania odpowiedzi spada, szczęściem, nie na mnie, a na zwolenników teorii usług.

Skoro więc nie chcemy słowom »użytkowanie« i »usługa« nadać znaczenia, sprzecznego zarówno z mową, jak z życiem, zarówno z pojęciami nauki, jak z pojęciami życia praktycznego, to nie możemy odmówić usłudze brutto właściwości prawdziwej usługi. Jeśli zaś niema dwóch usług, jeśli usługa brutto przedstawia się zawsze, jako uprawnione podłoże pojęcia usługi, to sam ze siebie nasuwa się wniosek przeciw istnieniu czystej usługi zwolenników teorii usług.

Ale zostawmy to wszystko na stronie, a rozważmy tylko co następuje. Niezależnie od tego, czy usługa brutto jest prawdziwą, czy też nie, jest ona w każdym razie c z e m ś.

Zwolennicy teorii usług twierdzą, że czysta usługa także jest czemś. Jeśli obie te wielkości rzeczywiście istnieją, to muszą znajdować się do siebie w jakimś stosunku. Albo czysta usługa jest częścią usługi brutto, albo też nie: trzeciego wyjścia niema. Przyjrzyjmy się temu bliżej. Jeśli spojrzeć na dobra trwałe, czysta usługa robi wrażenie części usługi brutto; jeśli bowiem wynagrodzenie pierwszej, czysty zysk, stanowi część składową wynagrodzenia drugiej, zysku brutto, to i pierwszy przedmiot kupna musi się zawierać w drugim, być jego częścią składową; sami zwolennicy teorii usług są tego zdania, gdy przedstawiają usługę brutto w postaci sumy: czysta usługa + częściowe odtworzenie kapitału. Spójrzmy teraz na zużywające się dobra. Czystego zysku nie płacimy tutaj za zużycie: jeśli wzamian za cudze zużywające się dobro natychmiast zwracamy zastępujący go odpowiednik, to nie potrzebujemy płacić żadnego czynszu. Płacimy tu raczej za zwleknięcie zwrotu odpowiednika, więc za coś, co nie zawiera się w zużyciu, tej najintensywniejszej usłudze brutto, ale stoi zupełnie poza nią. Więc czysta usługa jednocześnie jest i nie jest częścią usługi brutto. Jak wytłumaczą zwolennicy teorii usług tę znowu sprzeczność?

Mógłbym jeszcze długo ciągnąć przytaczanie zagadek i sprzeczności, do których prowadzi przyjęcie istnienia samodzielnej czystej usługi. Mógłbym np. spytać zwolenników teorii usług, co mam rozumieć pod dziesięcioletnią usługą, albo dziesięcioletniem użytkowaniem butelki wina, którą wypilem w pierwszym dniu pierwszego roku? Musi ona przecież istnieć, skoro mocą opiewającej na dziesięć lat pożyczki, mogę ją kupować i sprzedawać? Mógłbym przytem dowieść, jak dziwnem i prawie śmiesznem jest przyjęcie faktu, iż w chwili, w której dane dobro, na skutek zupełnego wyczerpania jego użytku, faktycznie służyć przestaje, właśnie zaczyna oddawać trwałą, wieczystą usługę, albo, że dłużnik, który zwraca pożyczoną butelkę wina po upływie jednego roku, mniej spożył, niż ten, który opłaca swoją butelkę dopiero po upływie dziesięciu lat, wobec tego, że pierwszy spożył butelkę wina i jej jednoroczną usługę, a drugi butelkę wina i jej dziesięcioletnią usługę, kiedy jasne jest, jak na dłoni, że obaj wyciągnęli z butelki wina zupełnie tę samą korzyść, i że wcześniejszy, czy późniejszy obowiązek zwrotu innej butelki wina nie

ma zupełnie nic do czynienia z krótszem, czy dłuższem trwaniem obiektywnej usługi pierwszej butelki i t. d. i t. d. Ale sądzę, że powiedziałem już więcej, niż trzeba, by czytelnika przekonać.

Spójrzmy jeszcze na całość.

Sądzę, że dowiodłem trzech rzeczy.

Po pierwsze, sądzę, iż dowiodłem, że istota dóbr, jako materialnego podłoża użytecznych sił przyrody, wyklucza możliwość istnienia każdej »usługi«, nie polegającej na zatrudnieniu zawartych w nich użytecznych sił przyrody, a więc nie pokrywającej się z »wynikami użytkowymi« dóbr, które nie są podstawą zysku netto, lecz brutto, bądź, jak u rzeczy zużywających się, całej wartości kapitału, przedstawionego przez dobra.

Po drugie, sądzę, iż dowiodłem, że wszystkie próby, podjęte przez zwolenników teorii usług w celu wykazania istnienia lub możliwości istnienia różniącej się od wyników użytkowych »czystej usługi« są błędne, albo oparte na nieporozumieniu.

Po trzecie wreszcie, sądzę, iż dowiodłem, że przyjęcie istnienia czystej usługi, takiej, jaką chcą ją mieć zwolennicy teorii usług, prowadzi nieodwołalnie do absurdalnych i sprzecznych ze sobą konsekwencji.

Zdaje mi się tedy, że mam pełne prawo przypuścić, że ta czysta usługa, na której zwolennicy teorii usług kierunku *Sa'y'a-Hermana* opierają swoje wyjaśnienie zysku z kapitału, faktycznie nie istnieje wcale, a jest tylko wytworem błędnej i do błędu wiodącej fikcji.

Ale w jaki sposób mogła ta dziwna fikcja znaleźć wogóle miejsce w naszej nauce? I jak doszło do tego, że wzięto ją za prawdę? — Zajmę się jeszcze w krótkości tem historycznem zagadnieniem, i mam nadzieję zabić przytem ostatnie wątpliwości, a w szczególności sprowadzić do właściwej wartości to, co istotnie zostało przesądzone na skutek dawnego zwycięstwa teorii *Salmasiusa*.

Mamy tu do czynienia z jednym z tych niezbyt rzadkich faktów, w którym fikcja, powstała na gruncie prawnym i używana pierwotnie do praktycznych celów prawnych z całą świadomością jej fikcyjności, została przeniesiona na grunt gospodarczy, przyczem świadomość fikcyjności zatraciła się

w drodze. Prawo oddawien dawna bardzo potrzebowało fikcji. Musi ono często zapomocą fikcji upodabniać wypadki, z istoty swej różne od innych, ale w praktyce wymagające podobnego traktowania, aby stosunkowo nieliczne i niezłożone przepisy prawne objęły całą różnorodną rzeczywistość prawnego życia. Tak powstały formulae fictitiae rzymskiej procedury cywilnej, osoby prawne, »res incorporales« i tyle innych fikcyj nauki prawnej.

Nieraz się zdarzało, że stara fikcja zastęgała wreszcie w poważnie powtarzane prawo nauki: gdy w ciągu stuleci przywykało się w teorii i praktyce traktować pewien przedmiot, tak jakby rzeczywiście w istocie swej podobny był do innego, to przy sprzyjających okolicznościach, łatwo było zapomnieć, że się to niegdyś zmyśliło. Tak się rzecz miała, jak tego dowiodłem gdzie indziej, z »res incorporales« prawa rzymskiego, tak się też stało z samodzielną usługą dóbr zużywających się i jednocześnie zamiennych. Droga, na której miało miejsce to zastygnięcie fikcji w prawo nauki, możemy prześledzić krok za krokiem.

Są dobra, na których indywidualności nikomu nie zależy, które mają znaczenie tylko jako gatunek i masa, »quae pondere numero mensura consistunt«. Są to tak zwane zamienne rzeczy. Ponieważ nikomu nie zależy na ich indywidualności, dobra »zastępujące« zajmują doskonale miejsce »zastąpionych«, i dla pewnych celów praktycznego życia prawnego możnaby je zupełnie swobodnie traktować, jak identyczne. Szczególnie łatwo było tak postąpić w interesach prawnych, w których chodzi o danie i otrzymanie dóbr zamiennych. Łatwo było zwrot podobnej sumy zamiennych dóbr traktować jak zwrot tych samych dóbr; innemi słowy, zmyślić identyczność zwróconych i danych dóbr zamiennych.

O ile wiem, stare rzymskie źródła prawne nie postawiły tej fikcji formalnie: mówią zupełnie prawidłowo o tem, że przy pożyczce zwrot następuje »tantundem«, albo »idem genus« — nie poprostu »idem«; ale jest to już bardzo bliskie. Skoro np. tak zwane »depositum irregulare«, w którym przyjmujący depozyt używa dla siebie danych mu na przechowanie pieniędzy i zobowiązuje się zwrócić je w innych sztukach pieniędzy, traktowane jest jako »deposi-

tum«¹⁾, to konstrukcję tę można wytłumaczyć w ten tylko sposób, że udano się o pomoc do fikcyjnej identyczności zwróconych i danych na przechowanie sztuk pieniędzy. Współczesne prawo w niektórych wypadkach poszło dalej i mówi wprost o »prawnej identyczności« dóbr zamiennych²⁾.

Od tej pierwszej fikcji do drugiej był krok jeden tylko. Jeśli się raz spojrzano na rzecz tak, jak gdyby w pożyczce i pokrewnych interesach dłużnik zwracał te same dobra, które otrzymał, to trzeba już było konsekwentnie przejść do innego wyobrażenia, że dłużnik w ciągu całego okresu pożyczki otrzymane dobra zatrzymywał, bez przerwy posiadał i bez przerwy z nich korzystał; że użytkował je więc w sposób trwały i właśnie za to trwale użytkowanie płacił czynsz odpowiedni.

Prawnicy istotnie zrobili ten drugi fikcyjny krok. Z początku wiedzieli doskonale, że chodzi tu tylko o fikcję. Wiedzieli doskonale, że zwrócone dobra nie są identyczne z otrzymaniami; że dłużnik wcale nie zatrzymuje ich i nie używa w ciągu całego okresu pożyczki, że przeciwnie, jeśli chce osiągnąć cel tej pożyczki, musi się ich zasadniczo jak najprędzej pozbyć; wiedzieli wreszcie doskonale, że dłużnik nie użytkuje dóbr pożyczonych w sposób trwały; ale dla celów praktycznych i potrzeb stron obu jest to równoznaczne z takim właśnie przebiegiem sprawy, jaki się zmyśla, i dlatego prawnik może to zmyślić. Prawnicy w zakresie swojej nauki fikcję tę wyrażają w ten sposób (po uświęceniu niejako dla zysku, płynącego z pożyczki wyrażenia »usura«, pieniądza za użytek, które na podstawie tej fikcji uzyskało już było prawo obywatelstwa w mowie potocznej), że uczą, iż zysk ten pobierany jest za użytkowanie sumy pożyczzonej i budują pewien »ususfructus« i dla dóbr zużywających się: jest to wprawdzie tylko pozorny ususfructus, gdyż wiedzą doskonale, że operują fikcją; podkreślili to raz zupełnie wyraźnie, poprawiając akt prawodawczy, dający tej fikcji zbyt realistyczny wyraz³⁾.

¹⁾ Patrz l. 31, Dig. loc. 19, 2, i l. 25 § 1, Dig. dep. 16, 3.

²⁾ Goldschmidt, Handbuch des Handelsrechtes, wyd. 2-e (Stuttgart, 1883), t. II, zeszyt I, str. 26 w odsyłaczu.

³⁾ Ulpian cytuje, jak wiadomo, w l. de usufructu earum rerum quae usu consumuntur vel minuuntur Dig. 7, 5, senatus-

Po wielu stuleciach nauczania, iż »usura« jest pieniądzem za użytek, gdy w międzyczasie ulotniła się większa część żywego ducha prawa klasycznego, a zastąpiła ją tem większą czolobitnością przed odziedziczonymi formułkami, okazało się, że kanoniści mocno nadszarpnęli sprawiedliwość procentu. Najteższą ich bronią było właśnie odkrycie fikcji, którą się posługiwano przy rozważaniu ususy rzeczy zużywających się. Ówczesna ich argumentacja przedstawiała się tak przekonywująco, że procent zdawał się pogrzebanym, szczególnie, jeśli się im przyznało przesłankę, że samodzielne użytkowanie zużywających się rzeczy nie istnieje. W ten sposób fikcja ta odrazu zyskiwała takie znaczenie, jakiego nie miała nigdy przedtem. Wiara w rzeczywiste istnienie t. zw. usus była równoznaczną z usprawiedliwianiem zysku z kapitału; nie wierzyć w nią — oznaczało to samo, co potępiać zysk. W tej rozterce, dla uratowania zysku, nadawano formułce prawnej więcej znaczenia, niż na to zasługiwała, i Salmasius z towarzyszami usiłowali wynaleźć racje, któreby im pozwoliły uważać formułkę za rzeczywistość. Racje, które znaleźli, były najzupełniej wystarczające dla przekonania ludzi, którzy chcieli być przekonani, gdyż pozostały rzeczywiście wybitny tok rozumowania z góry już ich podbił i upewnił, że Salmasius ma na ogół słuszność; przeciwnikom zaś, którzy w ogóle się mylili, nie dowierzano i w tym wyjątkowym wypadku, gdy słuszność była po ich stronie. W ten sposób — nie pierwszy raz zresztą, i napewno nie ostatni — pod naciskiem praktycznych wymogów urodziła się błędna teoria, i starą fikcję prawników ogłoszono za prawdę.

consultus, który wprowadził legowanie ususfructus na dobrach zużywających się. Gaius dodaje przytem: »Quo senatus consulto non id effectum est, ut pecuniae usufructus proprie esset; nec enim naturalis ratio auctoritate Senatus commutari potuit: sed, remedio introducto, coepit quasi usufructus haberi«. Nie sędzę, tak, jak Knies (Geld, str. 75), że Gaius opierał się tylko na formalnym braku, że prawidłowy usufructus możliwy jest tylko na cudzej rzeczy, podczas gdy legatorjusz posiada legowane mu dobra zużywające się, jako res suae. Odwołanie się do naturalis ratio posłużyło nie do sprostowania naruszonego formalnego określenia tego ususfructus, a o wiele prawdopodobniej do zadośćuczynienia bardziej pokrzywdzonej prawdzie naturalnej.

Na tem też stało, przynajmniej w ekonomji politycznej. Prawo współczesne przeważnie się odsunęło od nauki salmazańskiej, ale współczesna ekonomja polityczna chętnie zatrzymała tą pozostałość starych prawnych formulek. Jak w XVII-em stuleciu służyły one za podstawę usprawiedliwieniu zysku, tak w XIX-em mogły być zastosowane przy teoretycznem jego wyjaśnianiu, które inaczej przedstawiałoby pewne trudności. Należało wyjaśnić ową zagadkową »nadwartość«, która zdaje się wisieć w powietrzu. Szuka się dla niej substratu. I tu jak najbardziej w porę nasuwa się stara fikcja prawników. Odpowiednio do wzrastających wymagań teoretycznych stroi się ją w przeróżne nowe dodatki, i tak, pod mianem »usługi« dochodzi ona do najwyższego punktu szacunku: staje się podstawą równie samodzielnej, jak wszechobejmującej teorii zysku z kapitału.

Może sędzono mojej pracy dopomóc do zejścia z manowca, na który nasz sposób ujmowania został wpędzony przez przyzwyczajenie wielu stuleci. Może »czysta usługa« kapitału znów wróci do tego kraju, którego nigdy nie powinna być opuszczać: do kraju fikcji, metafory i t. p., który, jak to Bastiat najsluszniej zauważył, za często sprowadza naukę z prawidłowej drogi. Trzeba wprowadzić na to wyrzec się niejednego głęboko zakorzonego poglądu; nie tylko teorii usług w wąskim i ścisłym słowa znaczeniu, która czyni z usługi główny filar wyjaśnienia zysku z kapitału, ale całego szeregu innych poglądów, rozpowszechnionych szeroko poza kołami zwolenników teorii usług, i tylko dorywczo tem pojęciem się posługujących; między innymi, wyrzec się trzeba ulubionego rozważania pożyczki, jako przekazywania usług, jako odpowiednika najmu i dzierżawy.

Czem to jednakże zastąpimy?

Ścisłe biorąc, odpowiedź na to pytanie nie jest rzeczą krytyki, która nas obecnie zajmuje, lecz pozytywnego wykładu, na który przeznaczam drugi tom tej książki. Ponieważ jednak czytelnicy słusznie mogą oczekiwać ode mnie przynajmniej wskazania wyjścia, sposobu uniknięcia zupełnie fałszywych wniosków nauki kanonistów, której bronię w najważniejszym jej punkcie, wypowiem tu, choć pobieżnie, pogląd swój na istotę pożyczki; naturalnie z zastrzeżeniem, że wróć do tego szczegółowiej w następnym tomie tego dzieła, i z prośbą, by czytelnicy wstrzymali się z osta-

tecznem swem zdaniem o mojej teorii pożyczki do chwili, kiedy będę mógł ją wyłożyć szczegółowiej i w związku z całością teorii zysku z kapitału.

Nawiążę najchętniej właśnie do starego kanonicznego sporu.

Moim zdaniem we wnioskach omylili się tylko kanoniści, w motywacji zaś wniosków obie strony; i dlatego kanoniści zostali w błędzie, że w dowodzeniu swem popelnili jeden tylko błąd, podczas gdy *Salmasius* popelnil ich dwa, z których drugi wyrównał szkody, spowodowano przez pierwszy, tak, że po bardzo chaotycznym przebiegu tok jego dowodzenia w rezultacie doprowadza do prawdy. A to w ten sposób:

Obie strony zgadzają się na jeden pewnik, a mianowicie, że sumą kapitału, zwrócona po upływie terminu układu pożyczkowego jest odpowiednikiem, i to dokładnym i pełnym odpowiednikiem pożyczonego kapitału. Przyjęcie tego pewnika jest tak błędne, że istotnie dziwić się trzeba, w jaki sposób nie zostało od dawna uznane za przesąd. Każdy ekonomista wie, że wartość dóbr zależy nie tylko poprostu od ich jakości fizycznej, ale też w wysokim stopniu od okoliczności, w jakich mogą zaspokajać ludzkie potrzeby. Wiadomo, że dobra tego samego rodzaju, np. zboże, posiadać może, zależnie od zmiennych warunków, bardzo rozmaitą wartość. Poza fizyczną jakością, czas i miejsce rozporządzania dobrami należą do najważniejszych okoliczności, wywierających wpływ na ich wartość. Dziwnemby było, gdyby dobra pewnego gatunku posiadały dokładnie tę samą wartość we wszystkich miejscach, w których mogłyby się znajdować; dziwnemby było na przykład, gdyby dziesięć sążni drzewa w lesie posiadało tę samą wartość, co dziesięć sążni drzewa na stacji kolei i dziesięć sążni drzewa na miejscu, gdzie mają służyć do palenia, i tak samo dziwnemby było, gdyby 100 fl., które rozporządzam w tej chwili, dokładnie odpowiadały 100 fl., które mam otrzymać za rok, za dwa, za dziesięć, czy zgola za sto lat. Przeciwnie, zupełnie jasnem jest, że jeśli ta sama ilość dóbr dostaje się jednostce gospodarczej w różnych okresach czasu, to wywiera z zasady rozmaity wpływ na jego położenie gospodarcze i wskutek tego posiada rozmaitą wartość. Nie można więc, jak to czynią kanoniści i *Salmasius*, przyjmować jako zasadę oczy-

wistą, iż pożyczonym dobrom obecnie istniejącym najzupełniej odpowiadają, równe im ilością i gatunkiem, dobra, zwracane w odległym czasie; przeciwnie, wypadek taki stanowi tylko rzadki wyjątek.

Źródło, z którego obie strony czerpały to nienaukowe przekonanie, iż suma pożyczona i odzyskana najzupełniej sobie odpowiadają, jest bardzo przejrzyste: to stara fikcja prawna o identyczności możliwych do zastąpienia dóbr tej samej ilości i gatunku. Jeśli się w myśl tej fikcji tak ujmuje pożyczkę, jak gdyby te same 100 fl., które wierzyciel wręczył dłużnikowi, po upływie terminu pożyczki zostały przez dłużnika zwrócone, to oczywiście należy zwrot takiej sumy uważać za najzupełniej równoznaczny i usprawiedliwiony. To właśnie, że kanoniści i ich przeciwnicy wpadli w pułapkę pierwszej części tej fikcji prawnej, stanowi ich błąd wspólny, jedyny u kanonistów, pierwszy u *Salmasiusa*. Dalszy ciąg tak się przedstawia:

Kanoniści nie mieli słuszności, ale to był ich jedyny błąd. Popelnili go, i po czasie jeli bawić się w przenikliwość i odkryli, iż rzekomy samodzielny użytek dóbr pożyczonych jest fikcją. Upadło przez to owo podłoże, na którym zysk prawidłowo mógł się oprzeć, i musieli go — fałszywie, lecz konsekwentnie — uznać za niesprawiedliwy. *Salmasius* zaś poprawia swój pierwszy błąd — przyjęcie fikcji o identyczności kapitału wypłaconego i zwróconego, zapomocą drugiego, biorąc za dobrą monetę i dalszy ciąg fikcji i przyjmując, iż dłużnik posiada »użytkowanie« pożyczonych dóbr przez cały czas trwania pożyczki.

Prawda znajduje się poza obydwoma teorjami. Pożyczka jest prawdziwą wymianą dóbr istniejących na przyszłe. Ponieważ dobra istniejące z zasady posiadają większą wartość, niż przyszłe tego samego gatunku i ilości, co szczegółowiej wyłożę w drugiej części tej pracy, określona suma dóbr istniejących z zasady może być kupiona za większą sumę dóbr przyszłych. Istniejące dobra wymagają pewnej nadwyżki, pewnego agio w dobrach przyszłych. To właśnie agio stanowi zysk. Nie jest on wcale odrębnym odpowiednikiem jakiegoś nie-możliwego odrębnego, trwałego użytkowania dóbr pożyczonych, ale, ze względów praktycznych wydzielonym, części-

wym odpowiednikiem sumy pożyczonej, której pełny odpowiednik stanowi obok zysku »zwrot kapitału«¹⁾.

Dotychczasowe moje wywody miały za zadanie udowodnić, że samodzielna usługa dóbr, w tej postaci, w jakiej ją widzi teoria usług kierunku Say'a-Hermanna, a za nią prawie wszyscy ekonomiści świata, nie istnieje wcale. Pozostaje nam jeszcze udowodnić, że usługa nie może też osiągnąć samodzielnego istnienia w tej zupełnie innej postaci, którą usiłował jej nadać Menger.

b) Krytyka mengerowskiego pojęcia usługi

Gdy kierunek Say'a-Hermanna wyobraża sobie »czystą usługę«, jako obiektywny pierwiastek użyteczności, wyodrębniający się z łatwością od samego dobra, Menger ujmując ją, jako rozporządzanie, mianowicie »rozporządzanie pewnymi ilościami dóbr ekonomicznych w określonych przeciągach czasu«²⁾. O ile to rozporządzanie staje się dla podmiotów gospodarujących środkiem lepszego i bardziej całkowitego zaspokajania potrzeb, uzyskuje, zdaniem Mengera, charakter samodzielnego dobra, które zazwyczaj, na skutek swej względnej rzadkości, jest jednocześnie dobrem gospodarczym³⁾.

Uważać za dobro samodzielne rozporządzanie dobrem, a więc stosunek do niego, jest to, zdaniem mojem, rozumowanie dosyć śmiałe. Na innym miejscu⁴⁾ wyłożyłem obszernie przyczyny, dla których trudno mi się zgodzić na uważanie stosunków za dobra w sensie nauki gospodarczej.

Do tego, co tam powiedziałem, dodam już tylko parę uwag.

Możnaby zwrócić, i zwracano nieraz przeciwko memu ujęciu takie rozumowanie: stosunki pewnego rodzaju np. okoliczności, związane z przemysłem, klientela i t. p. nie

¹⁾ Zarodki tego poglądu, który uważam za jedynie słuszny, znajdujemy już u Galianiego i Turgota (patrz wyżej, strona 49 i 66), następnie u Bentham'a i Johna Rae (patrz niżej, rozdz. XI), a w najnowszych czasach u Knies'a, który zresztą później cofnął je, jako błędne.

²⁾ Grundsätze, str. 132 i nast.

³⁾ Str. 132.

⁴⁾ Patrz moje »Rechte und Verhältnisse« passim; szczególnie str. 124 i nast.

są tylko »widmami«; codzień widzimy ich rzeczywistość, gdyż codzień się je sprzedaje, codzień płaci się za nie pewną cenę. Zdaje mi się, że argument ten niesłusznie pretenduje do godności istotnego postrzeżenia, któreby w każdym razie mogło czegoś dowieść, gdy jest tylko prostą interpretacją, która w zagadnieniu naszym niczego nie dowodzi.

Przedewszystkiem zilustruję naturę tego błędu paru pokrewnymi przykładami, w których łatwiej będzie go odkryć. Łód na morzu Północnem jest bezwartościowy, łód w New-Yorku posiada wartość: czyż nie »widzimy«, że oplacana tu jest »obecność«, »miejsce« łodu? Nieprzetopiona ruda nie nadaje się do użytku; czysty metal jest użyteczny. Czyż nie »widzimy«, że właśnie za »czystość« metalu płacimy właścicielom hut żelaznych? Czyż nie płacimy podobnież rzeźbiarzowi, który z bezwartościowego kawałka drzewa wyrzeźbił posążek, najwyraźniej za »formę« drzewa, a farbiarzowi, który farbuje perkal na błękitno, za »barwę« perkalu? A jeżeli »widzimy«, że się płaci za »miejsce«, »czystość«, »formę«, »barwę«, to nie jestże to namacalnym dowodem, iż wszystkie te kategorie nie są tylko »widmami«, lecz istotnymi, rzeczywistymi dobrami i samodzielnymi obiektami gospodarczymi?

Łatwo dostrzec, dokąd prowadzi ten sposób wnioskowania i że prowadzi za daleko. Nie trudno też odkryć jego punkt błędny. Istotnie widzimy w wypadkach, które nam służyły za przykłady, tylko to, że za coś płaci się jakąś rzeczywistą cenę; wcale natomiast nie widać, by tem czemś miały być abstrakcyjne kategorie miejsca, formy, barwy, czystości i t. d., a nie konkretne dobra: łód, metal, posążek, perkal; jest to zupełnie subiektywne tłumaczenie przypuszczonego wypadku, i to tłumaczenie zapomocą mniej lub więcej obrazowych wyrażen. Podobnie w naszym wypadku klienteli i t. p. nie można dostrzec nic więcej, jak tylko fakt, iż pewną cenę płacimy za coś, w danym wypadku nawet trudne do określenia. Ale nie »widać« tu wcale, by to coś sprzedane dosłownie i dokładnie miało być »stosunkiem«, a nie np. analogicznie do kupna praw, poprostu sumą dóbr, którą się spodziewa zyskać na klienteli; tak się tylko postrzeżone zdarzenie tłumaczy. Ale, czy ten kierunek jest prawidłowy i prawdopodobny, czy ma za sobą prawdę naturalną, czy też stanowi tylko obrazowe wyrażenie, to jest

właśnie pytanie, na które z ogólnych gospodarczych względów odpowiedzieć trzeba, a którego się nie rozwiązuje, lecz przecina, powołując się na rzekome spostrzeżenie.

Jeśli się jednak zapuścimy do najgłębszego rdzenia rzeczy, to natrafimy na pytanie o prawie metafizycznym charakterze, które jednak pomimo to pozwala szczęśliwie na zupełnie stanowczą odpowiedź, przynajmniej w kierunku nas obchodzącym. Istnieją czynniki, wywołujące zjawiska. O ich istotnem przyrodzeniu nie wiemy nic. Usiłujemy je z różnych stron objąć naszymi pojęciami i mową. Nazywamy je to samemi rzeczami (surowiec, materja, ciało, substancja), to ich siłami, to ich właściwościami, to wreszcie, co blisko się z tem spokrewnia, ich stosunkami. Rzecz, siła, właściwość nie oznaczają bynajmniej istotnego realizmu w bycie, tylko trzy różne sposoby pojmowania tego samego bytu. Kwestję, który z tych trzech sposobów pojmowania jest prawidłowy (i czy wogóle którykolwiek z nich jest prawidłowy) musimy pozostawić na stronie. Ani fizyka, ani metafizyka nie dają na to pewnej odpowiedzi. Ale jedna rzecz jest pewna i jasna: istnienie różnych przedmiotowych sposobów pojmowania i wyrażania nie uprawnia do wyciągania zeń dowodu przedmiotowego istnienia licznych odmian bytu. Niewyraźność naszego ujmowania nie może być traktowana jako dowód istotnej wielokrotności przedmiotów. Można wątpić, czy surowce, lub siły, lub właściwości i stosunki są istotną użytecznością tego, co nazywamy dobrami; ale wyprowadzać z tej niepewności pewność, że surowce, oraz siły, oraz właściwości i stosunki istnieją, jako odrębne rzeczywistości, — to sposób rozumowania zupełnie niedopuszczalny¹⁾.

Gdyby chodziło tylko o to, że przy inwentaryzacji podstaw naszego dobrobytu, czyli dóbr, posługujemy się chwiejnem słownictwem dla określenia tej samej rzeczy, byłoby to złem niewielkiem, łatwem do zniesienia i może nawet nieuniknionem. Byłby to brak konsekwencji w słownictwie, ale nie nauka materialnie szkodliwa dla prawdy. Sądzę, iż nauka często znajduje się w takim położeniu, że musi znosić, a nawet dopuszczać się takich małych terminologicznych niekon-

¹⁾ Porównaj już moje »Rechte und Verhältnisse«, str. 34, uwaga 23.

sekwencyj, chociażby dlatego, że nie może i nie chce stwarzać sobie z gruntu nowego, doskonale dokładnego języka, a przyjmując język potoczny, chcąc nie chcąc, przejąc też musi przyrodzone mu nieścisłości i niekonsekwencje. Nauka nie może i nie powinna zawsze usuwać tych, że tak powiem, terminologicznych plam na słońcu, i spełnia wobec nich najzupełnie swój obowiązek, jeśli uświadamia sobie każdą nieścisłość jako taką, i wystrzega się pilnie popełnienia jej w wypadku poważnym, t. j. wtedy, gdy chodzi już nie tylko o wygodne, słowne nazwanie przedmiotu, ale o wyciągnięcie rzeczowych konsekwencyj z jego istotnej natury. W tym też sensie zakończyłem w swoim czasie badania moje nad rzekomą naturą dóbr, praw i stosunków takim ustępem: nie tylko praktyka, ale i teoria może w dalszym ciągu spokojnie trzymać się w życiu powszedniem zakorzenionych, choć nieścisłych nawyków mowy potocznej, podnoszącej te kategorie do poziomu dóbr, pod warunkiem, że uświadomi sobie ścisłą prawdę i odwoła się do niej, ilekroć zajdzie potrzeba większej subtelności¹⁾.

Właściwie terminologiczna niekonsekwencja polega już na tem, że (jak i ja to zresztą czynię) wymienia się i rozważa obok siebie obie kategorie dóbr rzeczowych i wyników użytkowych rzeczy. Konsekwentniej, a może też i prawidłowiej byłoby w wykazie dóbr umieszczać zamiast wyrażenia »dobra rzeczowe«, wyrażenie »sumy wyników użytkowych«; albo odwrotnie, jeśli chodzi o utrzymanie kategorii dóbr rzeczowych, przeciwstawiać im wyniki użytkowe, jako »części dóbr rzeczowych«. Oba te sposoby jednak rozbijają się o liczne braki. Z jednej strony pojmowanie nasze i język buntują się przeciw odbieraniu cechy rzeczywistości prawdziwym ciałom, któremi są dobra rzeczowe, zresztą dawno i mocno wypróbowany termin »dobra« odnosi się w pierwszym rzędzie do rzeczy, czyli substancyj; z drugiej zaś strony wyniki użytkowe dóbr rzeczowych, wcale nie odpowiadają odrębnym określonym częściom materialnego dobra; są to jednostki gospodarcze, mniejsze od »dobra rzeczowego«, ale nie dosłowne części materialnego dobra. W tych warunkach najmniej niewygodnem jest, zdaje mi się,

¹⁾ Rechte und Verhältnisse, str. 148 i nast.

zastosować zmienne słownictwo i nazwę całości zaczerpnąć z innej kategorii wyobrażeń, niż nazwy części, a jednocześnie zapomocą gruntownego wyjaśnienia ustalić prawdziwy, rzeczowy stosunek obu tych kategorii, a mianowicie, że dobra rzeczowe i wyniki użytkowe nie są dwoma różnemi, stojącemi i działającemi obok siebie rodzajami podstaw naszego dobrobytu, ale jednym i tym samym rodzajem, tylko że rozważamy go kolejno, zależnie od ilości, z którą mamy do czynienia, bądź to jako całość, bądź jako część, albo innemi słowy, bądź jako sumę, bądź jako poszczególną jednostkę. Jeżeli w zachowanie tej ostrożności, tak dobra rzeczowe, jak »wyniki użytkowe« nazywamy »dobrami«, to popelniamy wprowadzenie niekonsekwencji, ale nie gorszą i nie szkodliwszą od tej, którą popelnia kupiec, układając bilans swego majątku, gdy przy segregacji aktywów, zalicza część posiadanych banknotów, powiedzmy, drobne odcinki, służące do codziennego obiegu, do kategorii »gotówki«, inną zaś część, powiedzmy bilet bankowy na 10.000 Ł, do kategorii »wierzytelności«. Można mu oczywiście zarzucić, że podział taki nie jest konsekwentny, lecz nie znaczy to, by bilans jego był fałszywy.

Rzeczyby się miała zupełnie inaczej, gdyby kupiec nasz, na podstawie zmiennej, podwójnej niejako natury banknotów, które z jednego punktu widzenia uważane być mogą za »gotówkę«, a z innego — za »wierzytelność«, dał się pociągnąć do umieszczenia jednego i tego samego banknotu i w rubryce gotówki, i w rubryce wierzytelności, a więc dwa razy, w bilansie swego majątku; nie byłaby to już niewinna niekonsekwencja terminologiczna, ale istotnie fałszywy bilans. O taką zaś istotną bilansową kwestję chodzi, gdy dla celów teorii usług przypuszcza się istnienie samodzielnego dobra-stosunku »rozporządzania«. Dowodzenie bowiem wychodzi tu z tego punktu widzenia, że dobro rzeczowe i rozporządzanie niem są to dwa odrębne, obok siebie zaofiarowywane dobra, a wobec tego muszą też być umieszczone obok siebie w bilansie kosztów produkcji, jako dwie odrębne pozycje. Zdaje mi się przytem, że natura dobra przypisywaną jest stosunkowi rozporządzania w tym możliwie najpoważniejszym i najdalej sięgającym sensie, przeciw któremu najwyraźniej się zwracają wyrażone wyżej zasadnicze uwagi.

Aby zrównoważyć tak poważne wewnętrzne wątpliwości musiałaby hipoteza Menger'a posiadać też bardzo poważne pozytywne punkty oparcia. Nie sądzę, aby to w wystarczającym stopniu miało miejsce. Wobec szczególnego charakteru tezy nie może być mowy o bezpośrednim dowodzie, jak np. uzmysłowienie tego, iż rozporządzanie istotnie jest dobrem. Może więc tylko chodzić o to, czy hipoteza ta da się stwierdzić przez koincydencję dosyć licznych i poważnych pośrednich punktów oparcia. Co do tego również mam duże wątpliwości.

Zdaje mi się mianowicie, że istnieje właściwie tylko jeden jedyny pośredni punkt oparcia dla tej hipotezy; jest nim istnienie niewyjaśnionej zresztą nadwartości. Jak astronomowie z pewnych, niewyjaśnionych zresztą przeszkód na drogach znanych planet wnioskuje o istnieniu nieznanych jeszcze ciał planetarnych powodujących te zakłócenia, tak i Menger stawia jako postulat istnienie pewnego podłoża niewyjaśnionej zresztą nadwartości. A ponieważ wydaje mu się, iż rozporządzanie pewnymi ilościami dóbr w określonym czasie znajduje się w prawidłowym związku z wystąpieniem i rozmiarami nadwartości, nie waha się postawić hipotezy, iż rozporządzenie jest właśnie poszukiwanym czynnikiem, a jako takie, samodzielnem dobrem o samodzielnej istocie. Gdyby ten wybitny uczony wyobrażał sobie możliwość innego wyjaśnienia, to, przekonany jestem, wyrzekłby się z łatwością stawienia tej hipotezy.

A teraz: czy ten jedyny pośredni dowód istnienia cech samodzielnego dobra u »rozporządzania« jest tak bardzo przekonujący?

Mam dwa powody, aby odpowiedzieć przecząco. Z jednej strony mam nadzieję wykazać w następnym tomie, że zjawisko nadwartości doskonale daje się wyjaśnić i bez tej hipotezy — i to na drodze, którą sam Menger wskazał w swojej klasycznej teorii wartości; — a z drugiej strony przedstawię zaraz czytelnikowi kilka uwag, które, mojem zdaniem, stanowią przekonujący dowód przeciwko temu, aby owo niewyjaśnione »rozporządzanie« mogło mieć charakter samodzielnego dobra.

Teorja Menger'a rozpatruje pożyczkę, jako przekazanie rozporządzania dobrem. Ilość przekazanego »rozporzą-

dzania« dobrem jest, naturalnie, tem większą, im dłuższy jest termin pożyczki. Pożyczka na dwa lata zawiera więcej rozporządzania, niż pożyczka na rok, pożyczka na trzy lata więcej, niż pożyczka na dwa lata i t. d., a pożyczka na sto lat zawiera rozporządzenie prawie nieograniczone. Gdyby wreszcie zwrot kapitału nie tylko został odsunięty bardzo daleko, ale zupełnie zniesiony, to na dłużnika przeszłaby przytem zupełnie nieograniczona suma rozporządzania. Może to mieć miejsce w takim wypadku np., gdy pewna suma dóbr nie jest pożyczoną, lecz darowaną.

Powstaje tedy pytanie, jaką sumę wartości otrzymuje w takim wypadku obdarowany? — Nie ulega wątpliwości, że otrzymuje tyle, ile wartości posiada podarowany przedmiot, jako kapitał. — A wartość darowanego równocześnie wieczystego rozporządzania? — Zawiera się poprostu w wartości danego przedmiotu, jako kapitału. Z tego wnoszę — i sędzę, że nie jest to wcale wniosek sofistyczny: — jeśli wielkość większa, t. j. wartość wieczystego rozporządzania, zawiera się w wartości kapitału przedstawianego przez dobro, to i zawarta w pierwszej wielkość mniejsza, czasowe rozporządzenie dobrem, musi się zawierać w wartości samego dobra; czasowe rozporządzenie nie może więc być, jak to przyjmuje Menger, samodzielnym czynnikiem wartości obok wartości dobra samego w sobie¹⁾.

¹⁾ Jeszcze dosadniej uwidocznąć można, iż wartość rozporządzania dobrem zawiera się w wartości dobra, jeśli się nieco zmieni wypadek, wzięty za przykład. Przypuśćmy, że A pożycza B pewien przedmiot narazie bezprocentowo na 20 lat, a więc darowuje mu dobro »rozporządzanie w ciągu 20 lat«; a następnie, w parę dni po upływie terminu umowy, darowuje mu sam przedmiot. Darowuje więc tu w dwóch aktach dwudziestoletnie rozporządzenie i sam przedmiot. Gdyby rozporządzanie było przedmiotem o samodzielnej wartości obok samego darowanego przedmiotu, to całkowita wartość daru musiałaby oczywiście przekraczać wartość samego przedmiotu: tak zaś stanowczo nie jest. — Jeśli zaś będziemy sobie tak rzecz tłumaczyć, że darowany później przedmiot, od którego oddzielono już dwudziestoletnie rozporządzenie, nie posiada już swej pierwotnej całkowitej wartości rzeczowej, a tylko wartość zmniejszoną o wartość oddzielnego już rozporządzania, to stwierdzimy najdokładniej, że rozporządzenie i jego wartość nie znajdują się, jak chce teoria Menger'a, poza przedmiotem i jego własną wartością, ale właśnie w nich się zawierają.

II. Teza.

Nawet jeśli przypuścimy, że hipoteza o istnieniu samodzielnej czystej usługi jest prawidłową, teoria usług nie może doprowadzić do zadowalającego wyjaśnienia zysku z kapitału.

Sądzę, iż dowiodłem, że ta usługa, której samodzielne istnienie teoria usług uważa za fakt, w rzeczywistości nie istnieje wcale. Gdyby jednak nawet istniała, to i z jej pomocą nie możnaby zadowalająco wytłumaczyć faktycznych zjawisk zysku. Mam nadzieję, iż w niewielu słowach uda mi się dowieść tej tezy.

Specyficzny bieg wyjaśnienia teorii usług prowadzi ją do rozróżniania wartości, posiadanej przez dobra same w sobie i wartości, posiadanej przez usługi dóbr. Teoria ta wychodzi tu naogół z tego milcząco przyjętego założenia, że zwykła wartość szacunkowa, czyli wartość kupna, którą uzyskuje dobro, jako kapitał, przedstawia wartość dobra samego w sobie, z wyłączeniem wartości jego usługi: wyjaśnienie bowiem nadwartości na tem się właśnie opiera, że wartość usługi dołącza się do wartości substancji kapitału, jako nowy pierwiastek, i dopiero to połączenie daje wartość produktu.

Przypuszczenie to jednak stoi w sprzeczności z faktycznymi zjawiskami świata gospodarczego.

Wiadomo, że każda obligacja wtedy tylko osiągnąć może cenę kupna, odpowiadającą całkowicie kursowi, jeśli zaopatrzona jest we wszystkie przynależne kupony; innemi słowy — mówiąc językiem zwolenników teorii usług — gdy kupującemu przekazuje się jednocześnie rozporządzanie wszystkimi jej przyszłymi »usługami«. Jeśli brak jednego lub paru kuponów, to kupujący odpowiednio obniży cenę, płaconą za całą obligację. Podobne doświadczenie można też zrobić ze wszystkimi innymi dobrami. Jeśli przy sprzedaży majątku wartości 100.000 fl., zatrzymam dla siebie jego usługi na rok jeszcze lub na lat kilka, albo jeśli sprzedaję taki majątek, używalność owoców którego zastrzeżona jest legaltem komuś trzeciemu, to nie ulega wątpliwości, że cena, osiągnięta za ten majątek, niższą będzie od sumy 100.000 fl. o sumę, odpowiadającą zatrzymanym, czy należącym do trzeciej osoby »usługom«.

Fakty te — które możnaby mnożyć z wielką łatwo-

ścią — dopuszczają, mojem zdaniem, jedno tylko wytłumaczenie, że mianowicie zwykła cena szacunkowa, czy cena kupna dóbr zawiera nietylko wartość »dóbr samych w sobie«, ale też i wartość przyszłych ich »usług« — jeśli takie istnieją¹⁾.

W tych warunkach jednak usługa nie spełnia tej funk-

¹⁾ Margolin, Kapital und Kapitalzins, Berlin, 1904, strona 104, sądzi, iż w dowodzeniu tem »w zadziwiający sposób« nie zwrócić uwagi na to, iż przy kupnie powstaje obustronna wymiana dóbr, że oba wymieniane dobra pozwalają na dalsze korzystanie z siebie, jako z dobra-kapitału, i że wskutek tego w wypadku kupna żaden z kontrahentów nie potrzebuje specjalnie opłacać możliwości korzystania z wymienionego dobra, jako z dobra-kapitału. Mogę odpowiedzieć, że brałem już pod uwagę ten argument przy opracowywaniu pierwszego wydania tego dzieła, ale nie uważałem za potrzebne specjalnie go zbijać, gdyż zdawało mi się zupełnie nieprawdopodobnem, by ktoś poważnie mógł go podnieść. Z jednej strony nie usuwa on żadnej z wyżej wymienionych wątpliwości teorii usług, z drugiej zaś prowadzi do najbardziej sztuclnych, żeby nie powiedzieć bezsensownych konstrukcyj wznoszonych na tle najprostszyszy faktów i stosunków. Jedną wskazówką zamiast wielu. Przedewszystkiem, w sensie twierdzeń Margolina, każde kupno należałoby uważać za podwójny interes, częściowo polegający na wymianie dóbr na dobra, częściowo zaś na wymianie wieczystej usługi na wieczystą usługę, przyczem tylko w razie, gdyby z jednej strony, np. z powodu braku jakiegoś kuponu, czy czasowo zatrzymanej usługi, wieczysta usługa jest niepełna, obowiązuje kompensata w postaci dodatkowej opłaty. Ale nie dosyć tego: ponieważ zdarza się, że usługi wymieniane bywają na dobra, albo opłacane zapomocą dóbr, zabrakłoby odpowiednika dla przywiązanych do tych ostatnich dóbr usług wieczystych, gdyby Margolin nie twierdził dalej nieustraszenie, że i z drugiej strony do opłacanych przez dobra usług przywiązany jest również taki łańcuch usług wieczystych, który właśnie stanowi ten odpowiednik; ale oczywiście musiałby on znów zależeć od usług tych usług, i tak dalej bez końca, t. j. należałoby przyjąć, że od każdego poszczególnego ognia tego nieskończonego szeregu usług przywiązany jest taki sam nieskończony szereg, a do każdego jego ognia znowu inny, i tak zupełnie bez końca; doszlibyśmy wreszcie do tego, że najprostszyszy akt wymienny musielibyśmy sobie przedstawiać i tłumaczyć, jako przekazywanie nieskończonych, zawierających się w sobie nawzajem światów wieczystych usług — i to wobec wszystkich niezmiennyszych wątpliwości, logicznych i faktycznych, przemawiających wogóle przeciwko rzeczywistości tych »usług«! Szczególnie mię też zadziwia, że w naszych czasach taki autor, jak Oswalt, mógł kombinacjom Margolina przyklasnąć i jeszcze uważać, że teoria, na takich wyobrażeniach zbudowana, jest »prostą« i »naturalną«, a »scholastyki« szukać należy w przeciwnym obozie!

cji wyjaśniającej, której spodziewa się po niej teoria usług. Teoria ta chce wyjaśnić fakt, iż wartość kapitału 100 fl. wzrasta w produkcie jego do 105 fl., w ten sposób, że dołączył się do niej nowy samodzielny pierwiastek w postaci wartości 5 fl. Wyjaśnienie to przestaje istnieć z chwilą, gdy teoria usług musi przyznać, że wartość kapitału 100 fl. bierze już pod uwagę i zawiera samą przyszłą usługę. Jeśli się nawet przyjmie istnienie takich usług, nie rozwiąże to też bynajmniej zagadki nadwartości, zmienia tylko nieco formę zapytania. Pytanie będzie brzmiało wówczas: jak się to dzieje, że wartość pierwiastków danego produktu kapitału, substancji kapitału i usług kapitału, które poprzednio były warte razem 100 fl., podczas okresu produkcji wzrosły do 105 fl.? — Tak więc ilość zagadek wzrosła teraz nawet; bo do pierwszej zagadki, którą natura zjawisk zadaje każdej teorii zysku i która brzmi: dlaczego wartość pierwiastków wzrasta o nadwartość? teoria usług dodaje jeszcze drugą, przez siebie stworzoną: w jaki sposób przyszłe usługi dobra w połączeniu z wartością »dobra samego w sobie« tworzą wspólnie obecną wartość dobra, jako kapitału?; — a najeżonego trudnościami rozwiązanie tej zagadki żaden zwolennik teorii usług nawet nie próbował.

Tak więc teoria usług kończy się wobec większej ilości zagadek, niż ta, którą zastała.

Ale chociaż nie udało się teorii usług całkowicie osiągnąć swego celu, to jednak więcej, niż inne teorie zysku, sprostowała ona drogi, do celu tego wiodące. Gdy wiele innych teoryj bląkało się po zupełnie jałowych manowcach, teoria usług potrafiła zdobyć niejedno ważne odkrycie. Chętnie porównywałbym ją z pewnemi najstarszemi teorjami przyrodniczemi: z tą starożytną teorją spalania, operującą mistycznym pierwiastkiem »flogistonem«, z tą starą teorją ciepła, opierającą się na »fluidzie ciepła«. Flogiston i fluid okazały się bajecznymi tworam, podobnie, jak i »czysta usługa«. Ale symbol, którym kiedyś zapełniano szkodliwą lukę, zawierającą coś jeszcze nieznanego, jak x wprowadzane do równań, pomógł wykryć mnóstwo wartościowych praw i stosunków, obracających się dokoła tego czegoś nieznanego. Nie oznaczał jeszcze prawdy, ale pomagał ją znaleźć.

ROZDZIAŁ IX.

Teoria wstrzemięźliwości.

Ojcem niejako teorii wstrzemięźliwości jest N. W. Senior. Wyłożył ją z początku w wykładach swych w uniwersytecie oxfordzkim, a następnie w pracy p. t. »*Outlines of the Science of Political Economy*«¹⁾.

Aby prawidłowo ocenić teorię wstrzemięźliwości Seniora, musimy na chwilę uprzytomnić sobie stan, w którym, w początkach lat trzydziestych, znajdowała się w Anglii doktryna zysku z kapitału.

Wodzowie współczesnego kierunku w ekonomii politycznej, Smith i Ricardo, uznali, pierwszy mniej, drugi bardziej wyraźnie, pracę za jedyne źródło wartości dóbr. Konsekwentne przeprowadzenie tej myśli nie pozostawiłoby wcale miejsca na zjawisko zysku z kapitału. Pomimo to, zysk istniał, jako fakt, i wywierał wpływ niezaprzeczony na stosunkową wartość wymienną dóbr. Smith i Ricardo notują ten wyjątek od »zasady pracy«, nie robiąc poważnych usiłowań ani w kierunku pogodzenia zawiadającego wyjątku z samą teorią, ani w kierunku zrobienia zeń samodzielnej zasady. Tak więc zysk z kapitału stanowi u Smitha i Ricarda sprzeczny z zasadą, niewyjaśniony wyjątek.

Następne pokolenie ekonomistów zaczęło odczuwać i podjęło wysiłek w celu przywrócenia harmonii pomiędzy teorią i rzeczywistością. A to na dwa różne sposoby. Część starała się dostosować rzeczywistość do teorii; zachowała więc bez zmiany zasadę, iż jedynie praca tworzy wartość, i usiłowała przedstawić też zysk z kapitału, jako wynik i zapłatę pracy, co oczywiście nie bardzo się udawało. Najpoważniejszymi obrońcami tej teorii są James Mill i McCulloch²⁾. Druga część — prawidłowiej — starała się dostosować teorię do rzeczywistości. I to się również robiło w rozmaity sposób. Lauderdale oświadczył, iż kapitał jest produkcyjny, ale nie zyskał poklasku u swoich ziomków, gdyż w tych — już od czasów Locke'a — zbyt głęboko

zakorzeniła się myśl, iż sam kapitał wynika z pracy, by skłonni być do uznania kapitału za samodzielną siłę produkcyjną. Inni znów, z Malthusem na czele, znaleźli taką drogę wyjścia, że uznali dochód z kapitału obok pracy za część składową kosztów produkcji. W ten sposób przynajmniej formalnie zjawisko zysku uzgodnione zostało z panującą teorią wartości: koszty, mówiono, regulują wartość; zysk z kapitału należy też do kosztów; a więc produkty winny posiadać tak wysoką wartość, by oprócz wynagrodzenia pracy pozostawiały jeszcze pewien dochód z kapitału. Materjalnie jednak wyjaśnienie to pozostawia wszystko do życzenia, gdyż aż nadto jasnym było, że dochód z kapitału jest nadwyżką kosztów, a nie ich częścią składową, wynikiem, a nie ofiarą.

Żadne więc ze stanowisk naukowych, które zajmowano wówczas w kwestji zysku, nie było zadowalającym; każde z nich miało swoich zwolenników, ale miało też liczniejszych jeszcze wrogów, którym dotkliwie braki wypowiedzianych teorii ułatwiały ich zwalczanie; zwalczano je też na wielką skalę. Z unicestwiającą logiką wykazywano jednemu stronnictwu, iż nadmiar nie jest wydatkiem, wysmiewano przypuszczenie drugiego, iż przyrost wartości, który uzyskuje beczka wina, przechowywana w piwnicy, sprowadzić się daje do pracy. I gdy tak dwa stronnictwa spierały się o prawidłowe uzasadnienie zysku z kapitału, zaczęło, narazie ze zwicha, zabierać głos trzecie, twierdzące, że zysk z kapitału na niczem nie jest oparty i stanowi tylko krzywdę robotników¹⁾.

W to niespokojne i jałowe ścieranie się przekonań wkroczył Senior z nauką, ogłaszającą nową zasadę zysku z kapitału: według niego zysk miał być wynagrodzeniem za wstrzemięźliwość kapitalisty (*reward for abstinence*).

Pojedyncze cząstki tej myśli wypowiedziano już i przed Seniosem. Dalekie ślady jej dostrzec możemy w często wracających uwagach Smitha i Ricarda, że kapitalista musi otrzymywać pewien zysk, bo inaczej nie miałby żadnej racji do gromadzenia i utrzymywania kapitału; jak

¹⁾ Odbitka z *Encyclopaedia Metropolitana*, London, 1836. Cytuje według 5-go wydania, London, 1863.

²⁾ Patrz wyżej, str. 100 i nast., i niżej rozdział X.

¹⁾ Od chwili wystąpienia Godwina, Thompsona i innych; patrz niżej w rozdz. XII.

również w zręcznym przeciwstawieniu »przyszłego zysku« i »teraźniejszego spożycia«, które się znajduje na innym miejscu w dziele Smitha¹⁾. Wyraźniejsze echa spotykamy u Niemca Nebeniusa i Anglika Scrope'a.

Nebenius opiera wyjaśnienie wartości zamiennej usług kapitału między innymi na tem, że »kapitały gromadzą się tylko dzięki mniej lub więcej bolesnym wysiłkom lub wyrzeczeniom się, którym można się poddawać jedynie mając na widoku odpowiednią korzyść«. Nie rozwija jednak tej myśli, i w całości swojej teorii jest zwolennikiem teorii usług, bardzo zbliżonej do teorii produktywności²⁾.

Jeszcze wyraźniej zbliża się do tej myśli Scrope³⁾. Z początku wywodzi on, iż kapitalista oprócz zwrotu samego kapitału zużytego w produkcji musi otrzymywać jeszcze coś ponadto (some surplus), gdyż nie opłacałoby się zastosowywać kapitału produkcyjnie, nie mając z tego żadnego zysku, a następnie oświadcza wyraźnie (str. 146): »Dochód, który uzyskuje z produkcyjnego zatrudnienia kapitału jego właściciel, należy rozpatrywać jako zapłatę za to, że w ciągu pewnego czasu powstrzymał się od osobistego spożycia tej części swojej własności«. Wprawdzie w dalszym ciągu tak tę myśl odwraca, jak gdyby to właśnie »czas« był przedmiotem ofiary kapitalisty, polemizuje namiętnie z Mc. Culloch'em i James'em Millem, którzy czas uważali za słowo, za pusty dźwięk, który nic uczynić nie może i niczem nie jest, i nie zatrzymuje się nawet przed uznaniem czasu za część składową kosztów produkcji: »Koszta produkcji danego artykułu składają się przedewszystkiem z pracy, kapitału i czasu (!), potrzebnego na jego wytworzenie i dostarczenie na rynek«⁴⁾.

Senior zrobił z tej myśli, którą wymienieni jego poprzednicy dorywczo tylko poruszali, punkt wyjścia starannie wykończonych teorii zysku. O prawidłowości wniosków jej myśleć można, co się komu podoba, ale nie można odmówić jej uznania, iż wśród ówczesnego chaosu teorety-

¹⁾ Patrz wyżej, rozdział V.

²⁾ Patrz wyżej, str. 203 i nast.

³⁾ Principles of Political Economy. London, 1833.

⁴⁾ Str. 188.

cznego wyróżnia się systematycznym wykończeniem, imponującą konsekwencją i głębokiem ujęciem materiału. Wyciąg z niej potwierdzi to moje zdanie.

Senior rozróżnia dwa »elementarne« narzędzia produkcji: pracę i siły przyrody. Nie wystarczają one jednak dla otrzymania całkowitych wyników, jeśli nie są podtrzymane przez trzeci pierwiastek. Za ten trzeci pierwiastek uważa Senior wstrzemięźliwość (abstinence), rozumiejąc pod tem słowem »zachowanie się osoby, która albo powstrzymuje się od nieprodukcyjnego użytkowania posiadanych środków, albo świadomie przenosi uzyskanie odleglejszych wyników produkcji nad wyniki bezpośrednie« (str. 58).

Subtelnie i inteligentnie tłumaczy Senior, dlaczego nie uważa kapitału za trzeci pierwiastek produkcji, choć zdanie to jest tak rozpowszechnione. Kapitał mianowicie nie jest prostym, pierwotnym narzędziem; najczęściej jest już sam rezultatem współdziałania pracy, sił przyrody i wstrzemięźliwości. Jeśli się więc chce wymienić pierwiastek właściwy, różny od sił produkcyjnych pracy i przyrody, działający w kapitale i stojący w takim stosunku do dochodu z kapitału, jak praca do płacy roboczej, to wymienić można tylko wstrzemięźliwość (str. 59).

Sposób, w jaki pierwiastek »abstinence« bierze udział w tworzeniu kapitału, a przez to pośrednio w wynikach produkcji, ilustruje Senior licznymi i szczegółowymi przykładami. Jeden z nich, dosyć krótki, przytoczę dosłownie: »Wobec stałego postępu, któremu podlega społeczeństwo ludzkie, najprostszymi sprzętami jest wynikiem pracy ubiegłych lat, może nawet ubiegłych stuleci. Warsztat stolarza jest jednym z najprostszych, jakie spotykamy. Ale jaką ofiarę z natychmiastowej korzyści musiał ponieść kapitalista, rozpoczynający roboty w kopalni, których wytworem są młotki i gwoździe stolarza! Ile pracy, obliczonej na odległe skutki, wydatkować musieli ci, co wyrabiali niezbędne do kopalni narzędzia! Istotnie..., moglibyśmy z tego wyciągnąć wniosek, że niema ani jednego gwoździa..., któryby do pewnego stopnia nie był wynikiem pracy, obliczonej na odległe skutki, albo, według naszego wyrażenia, pewnej wstrzemięźliwości, którą ktoś uprawiał za czasów Wilhelma Zdobywcy, czy zgola Siedmiu państw anglo-saskich«. »Ofierze«, polegającej na wyrzeczeniu się, lub odsunięciu spożycia, należy się od-

szkodowanie. Znajduje się ono w dochodzie z kapitału. Ale — zapyta czytelnik — w jaki sposób może kapitalista przenieść do świata gospodarczego swoje moralne prawo do odszkodowania, które w każdym razie posiada? — Odpowiedź na to ważne pytanie daje Senior w swojej teorii cen.

Wartość zamienna dóbr zależy, jego zdaniem, częściowo od użyteczności dóbr, częściowo zaś od ograniczoności podaży (limitation of supply). Dla większości dóbr (oprócz tych, przy których w grę wchodzi jakiś monopol naturalny), ograniczenie podaży sprowadza się do trudności znalezienia osób, gotowych ponieść koszt, potrzebne do ich wytworzenia. Ponieważ koszty produkcji określają rozmiary podaży, regulują też zarazem wartość zamienną dóbr, a to w ten sposób, że koszt produkcji nabywcy, t. j. ofiara, którąby musiał nabywca ponieść, by sam sobie mógł dane dobro wytworzyć, czy zdobyć, stanowią górną granicę wartości zamiennej, a koszt produkcji sprzedawcy — dolną. Granice te łączą się prawie w większości dóbr, które podlegają współzawodnictwu. W tych wypadkach koszt produkcji stanowią prostą wielkość, służącą do określania wartości.

Koszty produkcji składają się z sumy pracy i wstrzemięźliwości, potrzebnej do wytwarzania dóbr. Zdanie to ustala teoretyczną współzależność nauki o zysku i nauki o cenie. Skoro ofiara »wstrzemięźliwość« jest częścią składową kosztów produkcji, które znów regulują wartość dóbr, to wartość ta musi być w każdym razie dosyć wielką, by pozostawić jakąś sumę, jako wynagrodzenie za wstrzemięźliwość; formalnie wyjaśnia to nadwartość produktów kapitału, a zarazem pierwotny zysk z kapitału.

Z temi rozważaniami łączy Senior krytykę teorii zysku niektórych swoich poprzedników; zasługuje ona na nazwę wzorowej. Między innemi z uderzającą jasnością odkrywa w niej błąd, który popełnia Malthus, zaliczając dochód z kapitału do kosztów produkcji. Nie zatrzymuje się przytem na prostej naganie, ale wyjaśnia też bardzo zręcznie sposób, w jaki Malthus do błędu tego doszedł. Malthus przyjął zupełnie prawidłowo, że oprócz pracy jest jeszcze inna ofiara, którą trzeba ponieść dla produkcji; ponieważ jednak nie miał odpowiedniego słowa na jej określenie, nazwał ją imieniem jej wynagrodzenia, tak, jak inni uważają za część składową kosztów produkcji nie pracę, a płacę ro-

boczą, która jest wynagrodzeniem ofiary z pracy. Torrens zaś, który również wytknął już ten błąd Malthusowi, sam popełnił również przeoczenie. Słusznie wyłączył »profit« z kosztów produkcji, ale nie potrafił luki tej niczem zapłacić.

Ponieważ pierwsze sformułowanie teorii wstrzemięźliwości przez Seniora pozostało też najlepszym¹⁾, najlepiej ukształtujemy pogląd na cały kierunek według teorii Seniora. Zanim wyłożę własny mój pogląd na nią, zdaje mi się, że wskazaniem będzie wspomnieć w paru słowach innych krytyków, których zdanie szeroko się rozeszło w nauce naszej, a w stosunku do teorii Seniora jest, podług mnie, stanowczo za surowe.

Tak Pierstorff, że zaczniemy od najbliższych nam w czasie sądów, w swem pełnem zasług dziele »Lehre vom Unternehmengewinn«²⁾ wyraża się o teorii Seniora w słowach nadzwyczaj nieprzychylnych. Dochodzi do oświadczenia, że sposób rozumowania Seniora jest upadkiem w stosunku do jego poprzedników, widzi w nim zaprzeczenie prawdziwie naukowych metod badania i zarzuca Seniorowi, że zastąpił »gospodarcze podstawy zjawisk przez teorię gospodarczo-społeczną, naciągniętą do potrzeb i wniosków autora«.

Muszę przyznać, że nie rozumiem tego zdania, szczególnie w ustach historyka doktryny, któryby powinien był umieć oceniać nawet tylko względne zalety. Senior zaś, przeciwnie, przewyższa nieskończenie swych poprzedników w nauce o zysku głębią, systematycznością i poważnem, naukowem traktowaniem sprawy. Można nazwać zaprzeczeniem poważnych naukowych metod badania zagadnienia zysku i sposób rozumowania Ricarda czy Malthusa, McCullocha i Jamesa Milla. Ci albo wcale nie stawiają problemu, albo też rozwiązują go poprostu zapomocą petitio principii, lub z dziwną banalnością; i nawet Lauderdale, którego Pierstorff niestety wcale nie wspominał,

¹⁾ Dopiero w najostatniejszych czasach Marshall wprowadził pewne odcienie, które możnaby uważać za ulepszenie sformułowania, ale nie dotyczą one właściwie samego jądra teorii zysku, a raczej teorii cen, w której się teoria zysku mieści. Szczegóły patrz niżej, w dodatku do tomu niniejszego, dotyczącym najnowszej literatury o zysku.

²⁾ Berlin, 1875, str. 47 i nast.

pomimo poważnych przyczynków, nie doszedł właściwie do samego zagadnienia, psując zupełnie przez grube nieporozumienie wyjaśnienie zjawiska zysku z teorii wartości. Senior, przeciwnie, spojrzawszy głębiej i dostrzegł nie tylko istnienie zagadnienia, ale też, jak trzeba je rozwiązać i gdzie leży trudność tego rozwiązania. Odsuwając wszystkie pozorne rozwiązania, idzie wprost do jądra sprawy, do podstawy nadwartości, którą daje produkt kapitału ponad wydatkowany kapitał, a jeśli nie odkrył całej prawdy, to z pewnością nie z braku poważnej naukowości. Same subtelne i głęboko przemyślane uwagi krytyczne, tak często u Seniora spotykane, powinny były go zasłonić przed tak ostre zarzutami.

Również znane słowa, którymi w swoim czasie Lassalle wyśmiał teorię Seniora na swój sposób znakomicie przekonujący, ale też i deklamatorsko przesadny, sięgają, moim zdaniem, o wiele za daleko. »Zysk kapitału jest »wynagrodzeniem wstrzemięźliwości«! Szczęśliwe, nieocenione słowa! Europejscy milionerzy, to asceci, pokutnicy hinduscy, święci, stojący na jednej nodze na kolumnie, z wyciągniętym przed siebie ramieniem i górną połową ciała, z wybladłą twarzą podający ludowi talerz, by zgarnąć nań zapłatę za swoją wstrzemięźliwość! A pośrodku, wysoko ponad głowami współpokutników, jako główni pokutnicy i wstrzemięźliwi — rodzina Rotschildów! To jest stan społeczeństwa! Jakże mogłem go do tego stopnia zapoznawać!¹⁾

Sądzę, że pomimo tej świetnej napaści, ziarenko prawdy tkwi jednak w teorii Seniora. Nie da się zaprzeczyć, że tak zgromadzenie, jak przechowanie każdego kapitału istotnie wymaga powstrzymania się od natychmiastowego spożycia, odsunięcia spożycia, a zdaje mi się, że również nie ulega wątpliwości, iż wzgląd na to odsunięcie spożycia podnosi cenę produktów, które, przy kapitalistycznym procesie produkcji, nie mogą być otrzymywane bez niego. Jeśli np. dla wytworzenia dwóch dóbr potrzeba takiej samej pracy, 100 dni na przykład, ale jedno nadaje się do spożycia natychmiast po wykonaniu tej pracy, a drugie (niech to będzie chociażby młode wino) jeszcze w ciągu roku musi leżeć spokojnie, to doświadczenie wykazuje, iż dobro, później nada-

jące się do spożycia, droższe jest mniej więcej o sumę zysku z kapitału od dobra natychmiast do spożycia gotowego. Nie wątpię, że przyczyna tej wyższej ceny leży właśnie w tem, że koniecznem jest odłożenie korzystania z wyłożonej pracy. Gdyby bowiem dobra, natychmiast nadające się do spożycia, i takie, które później dopiero do niego dojrzewają, posiadały równą wartość, to wszyscy staraliby się skierować swoje 100 dni pracy w taką stronę, gdzie się ona natychmiast opłaca. Tendencja ta wywołałaby wzmózoną podaż dóbr, natychmiast nadających się do spożycia, a co za tem idzie, obniżenie ich ceny w porównaniu do ceny dóbr, później dojrzewających. Przez to wreszcie wytwarzający takie dobra uzyskaliby pewną nadwyżkę ponad normalne wynagrodzenie pracy — gdyż praca we wszystkich gałęziach produkcji dąży do ustalenia się na tym samym poziomie — inni zaś słowy mieliby zapewniony zysk z kapitału.

Równie pewnem jest wprawdzie — i temu przypisać należy wielkie wrażenie, które Lassalle wywarł swą polemiczną napaścią — że istnienie i wysokość tego zysku wcale nie zawsze odpowiada istnieniu i wielkości »wyrzeczenia się«. Ciągnąć można zyski i w takich wypadkach, gdzie właśnie wyjątkowo niema wcale osobistej ofiary, czy wyrzeczenia; otrzymuje się często wysokie zyski tam, gdzie ofiara jest bardzo nieznaczna (patrz milionerów Lassalle'a), a często otrzymuje się niewielki zysk tam, gdzie ofiara, wyrzeczenie się, jest bardzo wielka: z trudem zaoszczędzony gulden, złożony przez posłańca w kasie oszczędności, przynosi stosunkowo i bezwzględnie niższe zyski, niż łatwo zgromadzone setki tysięcy, procentujące w »kosztach interesu« do którego wkłada je gieldziarz-milioner. Fakty te, stwierdzone przez doświadczenie, nie bardzo nadają się do podtrzymania teorii, głoszącej, iż zysk jest prosto »opłatą za wstrzemięźliwość«, i w ręku człowieka, tak obeznanego z retoryką polemiczną, jak Lassalle, musiały zmienić się w ostre narzędzie walki z tą teorią.

Jednakże słaba jej strona polega, zdaniem mojem, nie na tym braku zupełnej harmonji pomiędzy wielkością istniejącej ofiary i wysokością jej wynagrodzenia. Naogół, tam, gdzie koszt, albo wysokość ofiary określają cenę dóbr, w razie jeśli różne części żądanej ilości dostarczane są na rynek przy nierównych kosztach produkcji, to decydują

¹⁾ Kapital und Arbeit, Berlin, 1864, str. 110.

o całkowitej, jednolitej cenie rynkowej zwykle najwyższe koszty, które jeszcze ponieść trzeba dla zaopatrzenia rynku. Tam zaś, gdzie nierówne koszty opłaca jednolita cena, zasadniczo niemożliwe jest, by zwrot w każdym poszczególnym wypadku harmonijnie odpowiadał wielkości poniesionej ofiary, przeciwnie, ci producenci, którzy zażądany towar dostarczają na rynek kosztem mniejszej, niż miarodajna dla ceny najwyższa ofiara, otrzymują za nią stosunkowo hojniejszą zapłatę, niż ich gorzej sytuowani współzawodnicy. Chociaż więc stopień nieproporcjonalności pomiędzy zyskami milionerów, a ich śmiesznie małym »wyrzeczeniem się« może być zupełnie rażący, fakt sam nie może być dla teoretyków bardziej dziwnym, niż fakt, znany im doskonale, że wysoką cenę, wywołaną przez wysokie koszty produkcji przy uprawie nieurodzajnych gruntów, płaci się też właścicielom gruntów urodzajnych, dostarczających tych samych produktów rolnych przy kosztach niższych, albo też zupełnie bez kosztów¹⁾.

Rzeczywiste, wyraźne braki teorii Seniora dają się po dojrzałym namyśle sprowadzić do dwóch następujących punktów:

Po pierwsze: mojem zdaniem Senior myśli zasadniczo prawidłową zbyt powierzchownie uogólnił i zbyt szablonowo zastosował. Nie podlega dla mnie żadnej wątpliwości, iż moment odsunięcia spożycia, który Senior wyśnuwa na plan pierwszy, istotnie wywiera pewien wpływ na powstawanie zysku; ale wpływ ten nie jest ani tak prosty, ani tak bezpośredni, ani tak wyłączny, by można było zysk z kapitału nazwać prosto »wynagrodzeniem wstrzemięźliwości«. Ścisłejsze dowiedzenie tego jest na tem miejscu

¹⁾ Myśl, która jest podstawą tego kontrargumentu, znajduje się już w głównych zarysach u Lorii (La Rendita fondiaria, Medjolan, 1880, str. 610—624); Marshall ujął ją systematycznie, użytkował i zbudował na niej ciekawe pojęcia »producers surplus« i »savers surplus« (patrz niżej w dodatku, dotyczącym najnowszej literatury o zysku); ostatnio w formie wyraźnego kontrargumentu wypowiedział ją Macfarlane (Value and distribution, Philadelphia, 1899, str. 175—177). W pierwszym wydaniu niniejszego dzieła przyznałem w części słuszność zarzutom Lassel'a, chociaż własne swoje zarzuty, stawiane teorii wstrzemięźliwości, opierałem na zupełnie innych rozważaniach. W tym punkcie jednak uważam za wskazane przychylić się do poglądów wyżej wymienionych autorów.

zbyt utrudnione, i musimy je odłożyć do drugiej części tej pracy.

Po drugie: materialnie prawidłowe części swojej teorii zaopatrzył Senior w formę, która w każdym razie podlega dyskusji. Uważam mianowicie za błąd logiczny stawianie wyrzeczenia się spożycia, odsunięcia spożycia, czy wstrzemięźliwości, jako drugą samodzielną ofiarę obok zaofiarowanej dla celów produkcji pracy.

Sądzę, że najlepiej będzie, jeśli tę wcale niełatwą rzecz najpierw rozwinę zapomocą konkretnego przykładu, a następnie postaram się ująć ją zasadniczo.

Wyobraźmy sobie wieśniaka, który się zastanawia, w jaki sposób ma zużytkować dzisiejszy dzień roboczy. Przedstawia mu się ze sto różnych możliwości. Mógłby łowić ryby, polować, zbierać owoce — że wymienimy tylko najprostsze. Trzy te zajęcia to mają ze sobą wspólnego, że osiąga się z nich korzyść natychmiastową, widoczną już wieczorem tegoż dnia pracy. Dajmy na to, że wieśniak nasz zdecydował się na rybołówstwo i wieczorem przyniósł trzy ryby do domu. Jakaż ofiarę poniósł dla ich zdobycia?

Jeśli wyłączymy minimalne zużycie narzędzi rybacczych, to jedyną ofiarą pozostanie jeden dzień pracy i nic więcej. — Możliwe jest zaś, że nasz wieśniak zapatruje się też na tę ofiarę z innego punktu widzenia. Możliwe, że ocenia ją według miary przyjemności, którąby mógł mieć przy innem wykorzystaniu dnia roboczego, a której w tych warunkach musi się wyrzec. Może on rozumować w taki sposób: gdybym dziś polował, zamiast łapać ryby, tobym najprawdopodobniej zastrzelił trzy zające. Faktycznie więc koszt ryb wynosi trzy zające, których spożycia muszę się teraz wyrzec.

Sądzę, że ten sposób obliczania ofiar również nie jest nieprawidłowy. Uważa się przytem prosto pracę za zwykły środek, prowadzący do pewnego określonego celu, i pomijając środek, bezpośrednio poświęcony, bierze się pod uwagę odrazu cel, poświęcony za pośrednictwem środka. W życiu gospodarczem często używamy tej metody rozumowania. Jeśli np. ktoś stanowczo przeznaczył sumę 300 fl. na jakiś nadprogramowy wydatek, ale waha się pomiędzy dwoma wydatkami i nareszcie decyduje się na jeden z nich, np. podróż dla przyjemności, zamiast kupna perskiego dywanu, to

zapewne ostateczna ofiara, którą go kosztowała podróż, przedstawiać mu się będzie w postaci poświęconego dywanu.

W każdym razie jasne jest, że przy obliczaniu ofiary, którą się poniosło dla jakiegoś gospodarczego celu, nie należy brać jednocześnie w rachubę i ofiary bezpośredniej z poświęconych istotnie środków i ofiary pośredniej z dalszych korzyści, któreby się mogło osiągnąć zapomocą poświęconych środków; można je brać w rachubę tylko alternatywnie. Za ofiarę, poniesioną na rzecz podróży, mogę uważać 300 fl., które ona kosztowała bezpośrednio, albo perski dywan, który pośrednio pokrył jej koszt, ale nigdy 300 fl., oraz perski dywan. Podobnie i nasz wieśniak może uważać, iż zdobycie trzech ryb kosztowało go dzień pracy, bezpośrednio na to zużyty, albo pośrednio ofiarowane trzy zajęce, względnie ich spożycie, ale nie dzień pracy oraz spożycie zajęcy. — Sądzę, że to jasne.

Wieśniak ten miał jeszcze do wyboru oprócz tych zajęcy, które mu wynagradzały natychmiast zużyty dzień pracy, jeszcze dużo innych, które dopiero później dają rezultat w postaci spożycia. Mógł np. siać pszenicę, której owoce mógłby zbierać za rok, albo sadzić drzewa owocowe, których owoce zbierałby dopiero za lat dziesięć. Przypuśćmy, że wybrał to ostatnie: jeśli znów odrzucimy ziemię i minimalne zużycie narzędzi, to co poświęca on dla otrzymania drzew owocowych?

Odpowiedź wydaje mi się niewątpliwą. Znowu jeden dzień pracy i nic więcej. Albo, jeśli znów użyjemy powyższej metody, można zamiast dnia pracy obliczać spożycie, któreby nasz wieśniak mógł zdobyć przy innem użytkowaniu swego czasu: natychmiastowe spożycie trzech ryb, albo trzech zajęcy, albo kosza owoców. W każdym razie sądę, iż znów jest jasne, że jeśli się uważa za ofiarę spożycie, któreby się mogło uzyskać zapomocą pracy, to nie można już do tego doliczać ani jednego atomu tej pracy; a jeśli się uważa pracę za ofiarę, to nie można do tego doliczać ani jednego atomu innego przypuszczalnego spożycia. Gdybyśmy to zrobili, to otrzymalibyśmy podwójny rachunek, równie fałszywy, jak w naszym poprzednim przykładzie w razie obliczenia kosztów podróży na sumę trzystu florenów, które podróż istotnie kosztowała, i dywanu perskiego, który mógł być za te 300 fl. kupiony.

Taki podwójny, niedopuszczalny rachunek zrobił właśnie Senior. Nie popełnił wprawdzie tak grubego błędu, by porachować całą inną korzyść, którą możnaby wyciągnąć z pracy obok samej pracy; ale przekroczył dozwolone granice, rachując samodzielnie, odrębnie od pracy odsunięcie spożycia, powstrzymanie się od niego¹⁾. Zupełnie jasne, że w ofierze z pracy mieści się również ofiara z całej korzyści, którąby można było uzyskać przez inne zastosowanie pracy, z całej korzyści, obejmującej przywiązane do niej drugorzędne lub częściowe odcienia korzyści. Człowiek, który ofiarowuje 300 fl. na podróż, nie obok tych 300 fl., ale w nich właśnie ofiarowuje też perski dywan, któryby mógł nabyć za te pieniądze, a także przyjemność, którąby znalazł w jego posiadaniu, a między innymi i korzyść szczególną, polegającą na długotrwałości posiadania dywanu i cieszenia się nim. I tak samo wieśniak, który w 1914-ym r. ofiarowuje dzień pracy na sadzenie drzewek owocowych, które dopiero w r. 1924-ym będą owocowały, w tym dniu pracy, a nie obok niego ofiarowuje też trzy ryby, któreby w ciągu tego dnia mógł złapać, szczególną przyjemność, którą mu sprawia smak ryb, a także i korzyść, wynikającą stąd, iż spożycie ryb odbyłoby się w 1914-ym roku. Osobne doliczanie odsunięcia spożycia stanowi więc podwójny rachunek.

Mam nadzieję, iż na rozumowanie to zgodzi się większość moich czytelników. Mimo to jednak nie mogę sprawy uważać za załatwoną. Pogląd Seniora zawiera niewątpliwie coś niezwykle pociągającego, i jeśli przedstawimy sobie wykorzystany w naszym przykładzie wypadek w pewnym szczególnem, najkorzystniejszym dla Seniora, świetle, to zdaje się on zmieniać w zabójczy argument przeciwko mnie, a na korzyść Seniora. Z argumentem tym muszę się jeszcze liczyć.

Przeprowadźmy równoległą w taki sposób. Jeśli dzisiejszy dzień pracy zużyję na połów ryb, to będą mię one

¹⁾ Nie rozumiem, jak wobec tego ustępu, dosłownie umieszczonego już w pierwszym wydaniu mojej książki, Landry, *L'intérêt du capital*, 1904, str. 181 i str. 189 (w odsyłaczu) mógł mi zarzucić, że wskutek »nieścisłej«, zbyt »ciasnej i literalnej« interpretacji, przypisałem Seniorowi błąd wzięcia w rachubę obok wydatkowanej pracy jeszcze całego straconego innego spożycia (*peine dépensée + jouissances perdues*).

kosztowały jeden dzień pracy. To jasne. Jeśli zaś dzisiejszy dzień pracy zużyję na sadzenie drzew owocowych, które dopiero po upływie dziesięciu lat zaczną dawać owoce, to nie tylko muszę się trudzić przez cały dzień, ale też dziesięć lat czekać na możliwość skorzystania z tej pracy, co może kosztuje mnie bardzo dużo przemagania się i cierpienia. A więc — zdawałoby się — ponoszę istotnie ofiarę, przekraczającą ofiarę z jednego dnia pracy: a mianowicie ofiarę z dnia pracy z dodatkiem ciężaru dziesięcioletniego odsunięcia spożycia.

Rozumowanie to wydaje się wprawdzie prawdopodobne, ale opiera się na fałszywej podstawie. Najpierw, wyciągając parę dalszych konsekwencji, wykazę istnienie tego błędu, następnie zaś odkryję jego źródło. Wyjaśnienie to da mi zarazem sposobność ujęcia rzeczy z zasadniczego punktu widzenia.

Wyobraźmy sobie taki wypadek. W ciągu jednego dnia pracuję nad sadzeniem drzew owocowych, licząc, że dadzą mi one owoce po upływie dziesięciu lat. Następnej nocy przychodzi burza i całkowicie niszczy moją młodą plantację. Jakąż jest ofiara, którą nadaremnie poniosłem? — Sądzę, że każdy odpowie: stracony dzień pracy i nic więcej. A teraz pytam, czy ofiara moja większą będzie przez to, że burzy nie było i że drzewka, bez żadnego dalszego działania z mojej strony, po upływie dziesięciu lat przyniosą owoce? Czy ofiarowuję więcej, wkładając w coś dzień pracy i czekając dziesięć lat na jej owoce, niż wkładając w coś dzień pracy i z powodu burzy czekając na jej owoce przez całą wieczność? Niepodobna odpowiedzieć na to twierdząco. A jednak Senior to robi: gdy w drugim wypadku ofiara wynosi jeden dzień pracy, w pierwszym, według niego, wynosi jeden dzień pracy + dziesięcioletnie wstrzymanie się od spożycia, a więc jest większą!

Jakże dziwnieby według Seniora wyglądał wzrost wielkości ofiary przy coraz dalszym odsunięciu korzystania! Gdy praca wynagrodzona zostaje natychmiast, ofiara równa się tylko wydatkowanej pracy. Jeśli wynagrodzenie następuje po upływie jednego roku, to ofiara = pracy + rok wstrzemięźliwości. Jeśli wynagrodzenie następuje po dwóch latach, to ofiara równa się pracy + dwa lata wstrzemięźliwości. Jeśli wynagrodzenie następuje po dwudziestu latach, to ofiara wzrasta do pracy + dwadzieścia lat wstrze-

mięźliwości. A jeśli praca nie zostaje wcale wynagrodzona? Czy ofiara z wstrzemięźliwości ma wtedy wznieść się na możliwie najwyższy szczyt, do wielkości »nieskończonej« i uwieńczyć tak koniec postępu? — O, nie! Ofiara z wstrzemięźliwości spada tu do zera, pracę jedynie do ofiar się zalicza, i całkowita ofiara jest najmniejszą, nie największą z całego szeregu!

Sądzę, że te rezultaty dobitnie wykazują, że we wszystkich wypadkach jedyna rzeczywista ofiara polega na włożonej pracy, i że wszelkie wyszukiwanie innej ofiary w postaci odsunięcia spożycia jest wynikiem takiego, czy innego błędnego wyobrażenia.

Cóż prowadzi nas do tego — przyznaję — niezmiernie łatwo nasuwającego się złudzenia?

Źródło jego leży poprostu w tem, że moment czasu faktycznie nie jest tu zupełnie obojętny, tylko działanie jego przejawia się inaczej, niż przypuszcza Senior i większość laików. Nie stanowi on mianowicie materiału dla drugiej samodzielnej ofiary, lecz odegrywa wielką rolę przy określeniu rozmiarów jednej, istotnie poniesionej, ofiary. Aby to zupełnie jasno wyłożyć, muszę sięgnąć nieco głębiej.

Wszystkie ponoszone przez nas gospodarcze ofiary są właściwie uszczerbkiem naszego dobrobytu, i wielkość ich mierzyć się daje wielkością uszczerbku dobrobytu, który nas spotyka. Uszczerbek taki może być dwojakiego rodzaju: *pozytywny*, gdy przyjmujemy na siebie pozytywne cierpienia, bóle, lub trudy, albo też *negatywny*, gdy tracimy jakąś przyjemność, czy zaspokojenie potrzeby, którebyśmy w innych warunkach mogli zdobyć. W większości ofiar gospodarczych, które ponosimy w pewnym określonym użytecznym celu, w grę wchodzi tylko jeden z dwóch gatunków uszczerbku, i wtedy obrachowanie poniesionej ofiary jest bardzo proste. Jeśli np. w pewnym użytecznym celu wydaje pieniądze, powiedzmy 300 fl., to ofiara moja daje się obrachować poprostu według przyjemności, którebyśmy mogli w innych warunkach mieć za te 300 fl., a których się teraz muszę wyrzec.

Inaczej rzecz się ma z ofiarą »pracy«. Praca przedstawia się rozważaniu gospodarczemu z dwóch stron. Z jednej (według odczuwania większości ludzi) jest to wysiłek, związany z pozytywnym cierpieniem, a z drugiej — środek do

osiągnięcia rozlicznych, przyjemnych celów. Jeśli więc ktoś używa pracy w jakimś określonym użytecznym celu, to ponosi z jednej strony pozytywną ofiarę z trudu, a z drugiej negatywną ofiarę z innych przyjemności, któreby mógł zapomocą tej samej pracy uzyskać. Powstaje pytanie, jak należy prawidłowo obliczać ofiarę, poniesioną w określonym użytecznym celu?

Musimy zbadać, jakby się rzecz miała z przyjemnością i cierpieniem, gdybyśmy nie użyli pracy w tym konkretnym użytecznym celu, a rozporządzili się nią w inny racjonalny sposób. Różnica uwidoczniła wyraźnie uszczerbek dobrobytu, który nas kosztuje nasz cel użyteczny. Jeśli zastosujemy tę metodę różnic, to wkrótce się przekonamy, iż ofiara poniesiona przez wydatek pracy daje się mierzyć to pozytywnym trudem, to negatywną utratą przyjemności, ale nigdy obydwoma jednocześnie.

Chodzi o to, czy zapomocą wydatkowanego dnia pracy moglibyśmy sobie w inny sposób zdobyć przyjemność, większą od cierpienia, które wywołuje jednodniowa praca — czy też nie. Przypuśćmy, że odczuwamy trud jednego dnia pracy jako cierpienie, którego wielkość określa względna liczba 10; faktycznie używamy tego dnia pracy na złowienie trzech ryb, które nam dają przyjemność, odpowiadającą względnej liczbie 15; pytamy o wielkość ofiary, jaką nas kosztuje zdobycie tych trzech ryb: musimy więc rozpoznać, czy, gdybyśmy się nie zajęli połowem ryb, mielibyśmy możliwość zdobycia sobie zapomocą tego dnia pracy innego zadowolenia, przekraczającego stosunkową liczbę 10, czy też nie. Gdybyśmy takiej możliwości nie mieli, to nie pozostawałoby nam nic innego, jak uspokoić się zupełnie. Trzy ryby kosztują nas w tym wypadku przykrość pracy o wielkości 10, którejbyśmy się inaczej nie podjęli. Strata innych przyjemności nie wchodzi tu wcale w grę, gdyż i w innych warunkach nie moglibyśmy ich zdobyć. — Gdybyśmy, przeciwnie, mieli poza połowem ryb możliwość zdobycia zapomocą dnia pracy przyjemności, przekraczającej względna liczbę 10, gdybyśmy np. w jednodniowym polowaniu mogli zdobyć trzy zajęcia o wartości 12, to oczywiście nie pozostalibyśmy w żadnym razie bez zajęcia i moglibyśmy, zamiast łowić ryby, zająć się polowaniem. W tym wypadku trzy ryby

kosztują nas faktycznie nie pozytywną przykrość pracy o wielkości 10 — gdyż tę w każdym razie ponieśliśmy musieli — ale negatywną stratę możliwości spożycia dobra o wielkości 12, którebyśmy w innych warunkach mogli zdobyć. — Oczywiście nie możemy jednocześnie liczyć stratę przyjemności i przykrość pracy, gdyż tak, jak nie oszczędzilibyśmy sobie przykrości pracy przy zdobyciu zwierzyny, gdybyśmy nie zajęli się rybołówstwem, tak też nie stracilibyśmy przez rybołówstwo obu korzyści, gdybyśmy je wybrali.

Wszystko, co powiedziałem, dostarcza materiału do ogólnej zasady, którą w życiu praktycznym można łatwo i pewnie stosować, a którą ująć można w następujące słowa: Jeśli wydajemy pracę w pewnym użytecznym celu, to poniesioną przytem ofiarę obliczać należy według tego z dwóch w grę wchodzących uszczerbków dobrobytu, który przeważa, jako wielkość; według przykrości pracy, jeśli niema na widoku innego przeważającego tą przykrość zadowolenia, bądź według tego ostatniego, jeśli istnieje możliwość zdobycia go, ale nigdy według obu naraz. Ponieważ w dzisiejszym życiu gospodarczym istnieje dla większości ludzi nie tylko możliwość, ale konieczność używania we wszelkich warunkach swej pracy w celu zdobycia tej czy innej rzeczy, pierwszy z wymienionych wypadków zdarza się rzadko i w drodze wyjątku: to też obecnie oceniamy ofiarę z pracy najczęściej nie według przykrości pracy, a według utraconej korzyści¹⁾.

Nareszcie dotarłem tu do punktu, w którym dowieść się daje istotny wpływ momentu czasu na wielkość ofiary. Faktem jest mianowicie, — nie tu miejsce wykazywać, na czym się fakt ten opiera — że, przy podobnych zresztą warunkach, przekładamy natychmiastową przyjemność nad przyszłą. Jeśli więc mamy do wyboru zastosowanie pewnego środka zaspokajania potrzeb, np. pracy, w celu zaspokojenia

¹⁾ Porównaj na ten temat mój artykuł o »ostatecznym mierniku wartości dóbr« w Zeitschrift für Volkswirtschaft, Socialpolitik und Verwaltung, t. III, str. 185 i nast., szczególnie 201 i nast.; następnie zaś rozdział »Wartość« i specjalnie w nim poddział VIII w drugiej części tego dzieła.

potrzeby terażniejszej albo potrzeby przyszłej, to pociągające cechy natychmiastowej przyjemności utrudnia powzięcie decyzji na korzyść przyszłej użyteczności. Jeśli się jednak na to zdecydujemy, to, przy mierzeniu wielkości poniesionej ofiary wielkością utraconej korzyści, związana z nią ponęta natychmiastowości obciąża szalę i ofiara wydaje się nam trudniejszą, niżby się wydawała w innych warunkach. Nie znaczy to, byśmy przez to ponosili drugą ofiarę. Niezależnie od tego, czy mamy wybierać pomiędzy dwiema korzyściami natychmiastowymi, dwiema przyszłymi, czy między jedną terażniejszą, a jedną przyszłą, ponosimy zawsze jedną tylko ofiarę z pracy. Ale ponieważ, jak wykazałem wyżej, mierzymy z zasady wielkość tej ofiary wielkością utraconej korzyści, ocena ta pociąga za sobą względ na ponętę, jaką przedstawia wcześniejsze zaspokojenie, i przyczynia się do podniesienia oceny tej jednej ofiary wyżej, niżby to się stało w innych warunkach. Taki jest prawdziwy stan rzeczy, który Senior w teorii swej błędnie przedstawił¹⁾.

¹⁾ Nawet w tych nielicznych wypadkach, w których ofiara z pracy mierzy się przykrością, którą ta praca sprawia, moment odsunięcia spożycia w czasie nie może tworzyć podstawy dla drugiej samodzielnej ofiary. Ocena bowiem, oparta na przykrości, którą sprawia praca, występuje, jak przekonał się, tylko wtedy, gdy przykrość ta przewyższa wszelką inną korzyść, możliwą do osiągnięcia zapomocą pracy — z całą ewentualną ponętą natychmiastowości włącznie, — i gdy wobec tego rozsądny wybór wahać się może tylko między konkretnym, przyszłym użytecznym celem, do którego rzeczywiście skierowana ma być praca, a zupełną beczynnością. Ponieważ więc wcale tu w grę nie wchodzi inna, wcześniejsza przyjemność, dostarczona przez jakiegobądź dobro, nie może się ona stać pierwiastkiem oceny wartości. — Przeciwnie zdanie Macfarlane'a (value and distribution, str. 179), który uważa za potrzebne i konieczne wliczanie do ofiary najpierw cierpienia, związanego z pracą, a oprócz tego jeszcze »an additional allowance« na odsunięcie spożycia, uważam za niemożliwe do uzasadnienia; patrz też jeszcze omówienie teorii zysku Marschalla w dodatku do tego tomu. — W pierwszym wydaniu niniejszego dzieła wreszcie wyprowadzałem jeszcze dalsze zarzuty przeciw teorii wstrzemięźliwości Seniora z tego, że teoria wstrzemięźliwości Seniora włączona jest do teorii wartości opartej na kosztach, która notorycznie może mieć znaczenie tylko dla pewnej części dóbr, a mianowicie dla dóbr, które mogą być dowolnie odtwarzane, a więc sama

Przepraszam życzliwego czytelnika, że tak długo zatrzymałem go przy tych abstrakcyjnych wywodach. Zawierają one najważniejszy moment teoretyczny przy zbijaniu nauki, którą należy brać bardzo poważnie, która było wielokrotnie odrzucana, ale nigdy, zdaniem mojem, nie zbита, a ja, o ile o mnie chodzi, uważam za mniejszy błąd zbyt długie badanie przed orzeczeniem, niż orzeczenie bez badania.

Teoria wstrzemięźliwości Seniora zdobyła sobie wielką popularność wśród przychylnych zyskowi ekonomistów; zdaje się zresztą, że nie tyle dla swych względnych zalet teoretycznych, ile dlatego, że odpowiadała potrzebom czasu, dostarczając punktu oparcia ostro napastowanemu zyskowi z kapitału. Przypuszczenie to wysnuwam z tej szczególnej okoliczności, iż znaczna większość późniejszych jej zwolenników nie skłaniała się do niej wyłącznie, a tylko eklektycznie włączała pierwiastki teorii wstrzemięźliwości do innych, przychylnych zyskowi, teoryj. Postępowanie to z jednej strony wskazuje na pewne niedocenianie ściśle teoretycznego momentu, którego nie kępowano się zachwiać nie-subtelnie przez latanie ze sprzecznych wyjaśnień, a z drugiej strony na przewagę praktyczno-politycznego stanowiska, któremu dogadzało przytoczenie jak największej ilości argumentów na korzyść zysku, choćby kosztem teoretycznej jednolitości i konsekwencji.

Wskutek tego większość zwolenników teorii wstrzemięźliwości Seniora spotkamy później wśród eklektyków. Wymienię tymczasem wśród Anglików Johna Stuarta Mill'a i przenieśliwego Jevonsa, wśród piszących we francuskim języku wybijają się na czoło Rossi, Molinari

w najlepszym wypadku może być nie ogólną, a tylko szczegółową teorią zysku. Wobec tego jednak, że właśnie te galezie przedsiębiorstw, gdzie przejawia się tendencja do niwelacji, stanowią pole, na którym ustala się normalna stopa zysku — sędzę — idąc tu za zdaniem Macfarlane'a (l. c., str. 181) — iż ten zarzut nie da się nadal utrzymywać. Zarzut ten nie grał zresztą w mojej ocenie, jak w oczach Macfarlane'a, roli »of the most serious objection«; uważałem go zawsze za dosyć drugorzędny, gdyż zasadniczym argumentem przeciw teorii wstrzemięźliwości był dla mnie wtedy, jak i teraz, rzeczowo i logicznie niedopuszczalny podwójny rachunek z czynnikiem wziętym już pod uwagę i zawartym w innym pierwiastku kosztów: błąd to tej samej budowy logicznej, co w teorii usług odrębne rachowanie usług dóbr, zawierającej się już w ich wartości!

i Józef Garnier, wśród Niemców przede wszystkim Roscher z licznymi swymi zwolennikami, następnie Schütz i Max Wirth.

Pomiędzy pisarzami, którzy w czystości zachowali teorię wstrzemięźliwości, można wskazać Anglika Cairnesa, który w swej głębokiej rozprawie o kosztach produkcji¹⁾ w głównych zarysach stoi na stanowisku Seniora; Szwajcara Cherbulieza²⁾, który, pomimo, iż uważa zysk za wynagrodzenie »wysiłku wstrzemięźliwości« (les efforts de l'abstinence) stoi na granicy teorii wstrzemięźliwości i pewnej szczególnej odmiany teorii pracy, którą poznamy bliżej w następnym rozdziale; Włocha Wollemborga, który za przykładem Seniora i Cairnesa z dużą subtelnością badał istotę kosztów produkcji³⁾; a z Niemców Karola Dietzela, który, co prawda, tylko przypadkowo i po-bieżnie zajmuje się naszym zagadnieniem⁴⁾.

Ponieważ żaden z wymienionych tu pisarzy nie wzbogacił teorii wstrzemięźliwości Seniora jakimś nowym, istotnym rysem, nie widzę potrzeby bliższego rozpatrywania ich teoryj. Zajmiemy się natomiast w tym jeszcze rozdziale szczegółowiej innym pisarzem, którego teoria w swoim czasie osiągnęła duże znaczenie i po dziś dzień⁵⁾ jeszcze wywiera wpływ poważny. Pisarzem tym jest Fryderyk Bastiat.

Teoria zysku Bastiata, o którą się bardzo spierano, da się scharakteryzować, jako wprowadzona do teorii wartości Bastiata i bardzo przy tej sposobności zepsuta kopja teorii wstrzemięźliwości Seniora. Zasadnicza idea jest w obu identyczna: zwłoka w spożyciu — Senior mówi

¹⁾ Some leading Principles of Political Economy, 1874 (nowszy przedruk, Londyn, 1883), rozdz. III.

²⁾ Précis de la Science Economique, Paris, 1862; szczególniej tom I, str. 161 i 902 i nast.

³⁾ Intorno al costo relativo di produzione etc. Bologna, 1882.

⁴⁾ System der Staatsanleihen, Heidelberg, 1855, str. 48. »Pożyczający kapitał opiera swoje wymaganie wynagrodzenia za przekazane korzystanie z niego z jednej strony na tem, że wyrzeka się przez to wykorzystania własnej siły roboczej zapomocą danego przedmiotu (kapitału), a z drugiej na tem, że wyrzeka się natychmiastowego spożycia przedmiotu albo jego wartości. Na tem opiera się zysk z kapitału, który nas jednak tutaj bliżej nie interesuje«.

⁵⁾ Pisane w roku 1884!

»abstinence«, Bastiat — »delai«, albo »privation« — jest ofiarą, wymagającą wynagrodzenia. W dalszem rozwinięciu myśli już się nieco rozchodzą.

Senior, który wyprowadza wartość dóbr z kosztów produkcji, stwierdza poprostu, iż ofiara ta jest częścią składową kosztów produkcji, i w ten sposób znajduje się już u celu. Bastiat, który jako podstawę wartości dóbr uznaje wyłącznie wymienione »usługi«, podnosi też pojęcie odłożenia spożycia do rzędu usług: »Odłożenie spożycia samo w sobie jest szczególnym rodzajem usługi, ponieważ wymaga ofiary od tego, kto ją oddaje, a przynosi korzyść temu, kto jej pragnie?«¹⁾. »Usługa« ta, według wielkiego prawa społecznego, które brzmi »usługa za usługę«, musi być osobno opłaconą. Jeśli kapitalista pożyczał innemu swój kapitał, to zapłata uiszcza się zapomocą procentu (intérêt). Ale i poza wypadkiem pożyczki usługa ta musi być opłaconą; wogóle bowiem, każdy, kto uzyskuje jakieś zadowolenie, musi też podjąć wszystkie ciężary, których wymagało ewentualne wytworzenie tego zadowolenia ze zwłoką w stosunku do innych zadowoleń włącznie. Zwłoka ta uważana jest za »okoliczność obciążającą« i stanowi naogół jeden z pierwiastków oceny usług, a w związku z tem i kształtowania się wartości dóbr²⁾. — Tak wygląda, treściwie ujęte, jądro tego, co Bastiat mówi o naszym przedmiocie z retoryczną rozwlekłością i licznymi powtórzeniami.

Nazwałem teorię jego bardzo zepsutą kopją teorii Seniora. Jeśli pominiemy braki, które wywołuje nie tyle teoria zysku Bastiata sama przez się, ile włączenie jej do — bardzo mojem zdaniem niewystarczającej — jego teorii wartości, to zepsucie to sprowadza się właściwie do dwu punktów.

Po pierwsze, Bastiat prawie całkowicie ogranicza uwagę swoją i tok rozumowania do rzeczy drugorzędnej, do wyjaśnienia umownego zysku z kapitału, i wskutek tego zaniedbuje rzecz zasadniczą, wyjaśnienie pierwotnego zysku z kapitału. Tak w swoich »Harmonies Economiques«, jak i w specjalnie poświęconej zyskowi z kapitału monografii

¹⁾ Harmonies Economiques (tom VI oeuvres complètes) III wyd., Paryż, 1855, str. 210. Porówn. też bezpośrednio przedtem idące str. 207—209, i wogóle cały rozdział VII.

²⁾ VII, 213.

»Capital et rente«¹⁾, nieznuzenie rozwodzi się całemi stronami nad wyjaśnieniem i usprawiedliwieniem procentu. Natomiast do wyjaśnienia pierwotnego zysku z kapitału zwraca teorię swoją tylko jeden jedyny raz i to bardzo pobieżnie: w cytowanym powyżej ustępie (Harmonies, wyd. 3-e, str. 213), który pod względem przejrzystości i gruntowności wiele pozostawia do życzenia.

Następstwa tego zaniedbania w tem się mianowicie dają odczuć, że główny motyw wyjaśnienia zysku, ofiara odłożenia spożycia, w istocie swej przez długi czas nie jest u Bastiat tak jasno postawioną, jak u Seniora. Bastiat, przeciwstawiając właściciela kapitału pożyczającemu dłużnikowi, wskazuje zwykle, jako na ofiarę pierwszego, utratę produkcyjnej korzyści, którąby można w danym czasie uzyskać z pożyczonego kapitału²⁾. Jest to zupełnie rozsądne, jeśli nie mamy na widoku nic ponad to, co miał niegdyś Salmasius, przeciwstawiając się kanoni-
stom, a mianowicie wyjaśnienie, że skoro się może zapomocą kapitału uzyskać pewien zysk pierwotny, to zupełnie zrozumiałem i słusznem jest też żądanie zysku od pożyczonych kapitałów. Przeciwnie, względ na tę ofiarę wcale nie jest wystarczający dla ostatecznego wyjaśnienia pierwotnego zysku z kapitału, a z nim wogóle całego zjawiska zysku; zgóry bowiem się przytem przypuszcza, iż istnienie pierwotnego zysku jest faktem stwierdzonym.

Dla głębszego wyjaśnienia zysku z kapitału o wiele większe ma znaczenie ta druga ofiara, na którą się Senior

¹⁾ Ukazała się w r. 1849. Oeuvres complètes, wyd. 4-e, t. V, str. 22 i nast.

²⁾ Si l'on pénètre le fond des choses, on trouve qu'en ce cas le cédant se prive en faveur du cessionnaire ou d'une satisfaction immédiate qu'il recule de plusieurs années, ou d'un instrument de travail qui aurait augmenté ses forces, fait concourir les agents naturels, et augmenté, à son profit, le rapport des satisfactions aux efforts. (VII, 209). Il ajourne la possibilité d'une production... »Je l'emploierai pendant dix ans sous une forme productive« (XV, 445 i nast.). Podobnie w pracy »Capital et rente«, np. str. 44: Jakób, który wytworzył hebel i pożyczył go na przeciąg roku sąsiadowi swemu, Wilhelmowi, w ten sposób uzasadnia swoje wymaganie zysku: J'en attendais un avantage, un travail plus achevé et mieux rétribué, une amélioration dans mon sort. Je ne puis te ceder tout cela gratuitement«.

powołuje, a która polega na zwłoce w zaspokojeniu potrzeb. Bastiat mówi wprawdzie też o tej ofierze, ale wprowadzenie pierwszej zaciemnia jego teorię, i to, zdaje mi się, nietylko dla jego czytelników, ale i dla niego samego. W każdym razie w pismach jego, chociażby w artykule o kapitale i rencie, znajdują się nierzadko ustępy, w których znacznie się zbliża do stanowiska zwolenników naiwnych teorii produkcyjności, zapominając o swej teorii wstrzemięźliwości. Zamiast wyjaśniać nadwartość kapitalistycznie wytworzonego produktu koniecznością wynagrodzenia przez kupującego pewien produkt nietylko tkwiącej w nim pracy, ale i »obciążającej okoliczności«, jaką jest zwłoka w zadowoleniu — do czego drogę wskazał w parokrotnie cytowanym ustępie »Harmonies« — często traktuje, jako rzecz, zrozumiałą samą przez się, to, iż kapitał, wskutek zawartej w nim siły produkcyjnej, pomaga swemu właścicielowi do uzyskania »korzyści«, »zysku«, podniesionych cen na produkta i poprawienia swego bytu, jednym słowem do uzyskania zysku z kapitału¹⁾. Jak już wiemy, nie jest to wcale wyjaśnienie zysku z kapitału, tylko przyjęcie na wiarę jego istnienia.

I istotnie, nieraz już stawiano Bastiatowi zarzut, że zupełnie zeszedł z drogi, wiodącej do głównego celu, wyjaśnienia pierwotnego zysku z kapitału: zarzut wprawdzie niezupełnie sprawiedliwy, ale, jak widać z powyższego, bardzo łatwy do wytłumaczenia²⁾.

To jest pierwsze zepsucie teorii Seniora. Drugie polega na zadziwiającym dodatku. Obok wyżej przedstawionego wyjaśnienia zysku daje jeszcze Bastiat drugie, tak

¹⁾ Tak np. przypuszcza Bastiat w »Capital et rente«, str. 40, że pożyczony worek zboża siewnego pozwala dłużnikowi wytworzyć »une valeur supérieure«. Na str. 43-ej w dobitnych słowach zwraca uwagę czytelników, że »podstawą rozwiązania« zagadnienia zysku jest zawarta w narzędziu zdolność wzmoczenia produkcyjności pracy. Dalej, na str. 46-ej, mówi: »nous pouvons conclure qu'il est dans la nature du capital de produire un intérêt«; na str. 54-ej: »l'outil met l'emprunteur à même de faire des profits«. Ze wstępu do broszury »Capital et rente« też wynika, iż zadaniem jej jest obrona »produkcyjności kapitału« przed napaściami socjalistów.

²⁾ Porówn. np. Rodbertusa, Zur Beleuchtung der sozialen Frage, I, 116 i nast.; Pierstorffa op. cit., str. 202 i nast.

niejednolite i tak przytem mylne, że zupełnie nie mogę sobie wytłumaczyć, jak sobie Bastiat wyobrażał stosunek tego drugiego wyjaśnienia do pierwszego, głównego.

Każda produkcja, oświadcza Bastiat, jest pewną sumą wysiłków. Pomiędzy temi wysiłkami zachodzą znaczne różnice. Jedna ich kategoria skierowana jest do wytworzenia jednorazowego produktu, wykonania jednorazowej usługi; druga skierowana jest do wytworzenia nieokreślonej ilości produktów, czy usług. Do pierwszej kategorii należą, na przykład, codzienne wysiłki woziwody, skierowane wprost do dostarczania wody; albo, w zakresie gospodarki rolnej, prace takie, jak siew, orka, bronowanie, żniwo, młócka, które odnoszą się wszystkie do doprowadzenia do skutku jednorocznego zbioru. Do drugiej zaś należy praca, którą woziwoda zużywa na wytworzenie swego wozu i beczki, a rolnik na gromadzenie, nawożenie, odprowadzanie wody, wznoszenie budynków, wogóle na wszelkie ułatwienia; wszystkie te prace, skierowane, według wyrażenia ekonomistów, do wytworzenia stałego kapitału, służą całemu szeregowi klientów, względnie zbiorów¹⁾.

Bastiat rzuca tedy pytanie, jak, według wielkiego prawa »usługa za usługę«, mają być szacowane i wynagradzane te dwie kategorie trudów? Co się tyczy pierwszej kategorii, to uważa to za bardzo proste: należące do niej usługi winny być w całości opłacane przez tych, czyjej korzyści służą. Nie odnosi się to jednak do drugiej kategorii, prowadzącej do wytworzenia »stałego kapitału«; szereg bowiem tych, którym należące do niej trudy służą, jest zupełnie nieokreślony. Gdyby wytwórca kazał sobie za nie płacić pierwszemu klientowi, byłoby to zupełnie niesprawiedliwe; primo bowiem w takim wypadku pierwsi niesłusznie płaciliby za ostatnich, a secundo musiałby istnieć pewien moment, w którym wytwórca posiadałby jednocześnie nieużyty jeszcze włożony przez siebie do przedsiębiorstwa kapitał i zwrot jego wartości, co znów zawiera w sobie niesprawiedliwość²⁾. A więc — wnioskuje Bastiat w potężnym salto mortale logicznem — nie można inaczej dokonać tego podziału pomiędzy nieograniczoną liczbę klientów, jak tylko nie dzielić

¹⁾ VII, 214 i nast.

²⁾ VII, 216.

wcale kapitału, a obciążyć klientów odsetkami od niego. Wyjście to uważa Bastiat za jedyne możliwe rozwiązanie zagadnienia¹⁾, które, podane nam wprost przez pełen geniuszu naturalny mechanizm społeczny, uwalnia nas od potrzeby zastąpienia go innym sztucznym mechanizmem²⁾.

Tak więc przedstawia Bastiat zysk, jako formę, w której zaliczka na kapitał rozdzielona zostaje pomiędzy całkowitą sumę produktów: »C'est là, c'est dans cette répartition d'une avance sur la totalité des produits, qu'est le principe et la raison d'être de l'Intérêt« (VII, 205).

Zapewne czytelnik zauważył już, czytając te wiersze, że Bastiat w wywodach tych wpada w niesłychanie grube błędy. Przedewszystkiem grubym błędem jest twierdzenie, iż nikt nie jest w stanie podzielić kapitału włożonego w przedsiębiorstwo pomiędzy klientów. Każdy handlowiec i przemysłowiec wie, że to można zrobić, i wie też, w jaki sposób należy to praktycznie skutecznie. Oblicza się poprostu ewentualny czas trwania kapitału, i, stosownie do wyników tego obliczenia, obciąża się każdy poszczególny okres eksploatacji, albo każdy poszczególny produkt odpowiednią częścią zużycia lub amortyzacji. Gdy zaś klienci w cenie kupna gotowego towaru opłacają też i część amortyzacji stałego kapitału, to »sam kapitał« jest już pomiędzy nich podzielony. Może nie zupełnie »sprawiedliwie«, gdyż mogą być błędy w obliczeniu ewentualnego czasu trwania włożonego kapitału i w oparciu na niem obliczeniu części zużycia; ale, biorąc przeciętnie, kolejne usługi klientów będą naogół odpowiadały amortyzowanemu kapitałowi.

Drugim wielkim błędem jest przypuszczenie, iż wytwórca otrzymują zysk z kapitału z a m i a s t niemożliwego do podzielenia samego kapitału: otrzymują oni raczej, jak wszystkim wiadomo, z jednej strony kapitał swój z powrotem dzięki części dochodu, idącej na amortyzację, a z drugiej, obok tego, jeśli pozostaje jeszcze jakaś część tego dochodu, zysk, oparty przytem na zupełnie innej podstawie, niż amortyzacja kapitału. Doprawdy trudno pojąć, jak Ba-

¹⁾ »...et je défie qu'on puisse imaginer une telle répartition en dehors du mécanisme de l'intérêt«. VII, 217.

²⁾ »Reconnaissons donc que le mécanisme social naturel est assez ingénieux pour que nous puissions nous dispenser de lui substituer un mécanisme artificiel (w końcu str. 216-ej).

stiat mógł się pomylić w rzeczach tak prostych i wszystkim dobrze znanych.

Przelotnie tylko zwróć wkońcu uwagę, że Bastiat zapożycza od Careya swoje praktyczne prawo zysku, głoszące, że ze wzrostem kapitału zwiększa się też bezwzględny udział kapitalisty w całości produktu, a zmniejsza się udział względny¹⁾ i w teoretycznie zupełnie bezwartościowej próbie dowiedzenia tego »prawa«, płacze ze sobą bez żadnej różnicy, również jak Carey, pojęcia »stopy procentowej od całości produktu« i »stopy procentowej od kapitału« (= stopie zysku).

Naogół, zdaje mi się, że wartość teorii zysku Bastiat'a zupełnie nie odpowiada rozgłosowi, osiągniętemu przez nią, w pewnych kołach przynajmniej.

ROZDZIAŁ X.

Teorie pracy.

Pod tą nazwą grupuje szereg teorii, które uważają zysk z kapitału za wynagrodzenie pewnej pracy, wykonanej przez kapitalistów.

Co do natury tej »pracy«, która ma uzasadnić roszczenia kapitalistów do pewnej opłaty, poglądy różnią się dosyć znacznie pomiędzy sobą. Muszę tedy podzielić teorie pracy na trzy kategorie, które określe, jako grupy: angielską, francuską i niemiecką, gdyż koła ich zwolenników wypadkowo odpowiadają bardzo dokładnie tym narodowościom.

a) Grupa angielska.

Pierwsza grupa sprowadza swe wyjaśnienie zysku do tej pracy, dzięki której powstały dobra, stanowiące kapitał. Reprezentują ją głównie James Mill i Mc. Culloch.

James Mill²⁾ natyka się na zagadnienie zysku w nauce o cenach dóbr. Twierdzi on, że koszt produkcji regulują wartość wymienną dóbr (str. 93). Częściami składo-

¹⁾ Op. cit., str. 223.

²⁾ Elements of Political Economy. Cytuję według przedruku z 3-go wydania r. 1826, który się ukazał w r. 1844. Nie rozporządzałem, niestety, dwoma pierwszymi wydaniem (1821 i 24).

wemi kosztów produkcji zdają się, na pierwszy rzut oka, kapitał i praca. Ponieważ jednak, jak Mill dokładniej wywodzi, sam kapitał powstaje dzięki pracy, to wszystkie koszty produkcji sprowadzić można do jednej tylko pracy: praca więc jest też jedynym regulatorem wartości dóbr (str. 97).

Nie zgadza się jednak z tem twierdzeniem znany fakt, przez Ricarda już stwierdzony, że i odsunięcie chwili korzystania wywiera pewien wpływ na ceny dóbr. Jeśli np. w tym samym okresie czasu i zapomocą tej samej sumy pracy wyprodukowano beczkę wina i 20 worków mąki, to w końcu okresu oba te produkty będą miały tę samą wartość wymienną. Ale jeśli właściciel wina położy je w piwnicy i zachowa przez lat parę, to po ich upływie beczka wina będzie miała większą wartość, niż 20 worków mąki, i to większą o sumę zysku z kapitału, przypadającego za te dwa lata.

James Mill w ten sposób załatwia się z tą przeszkodą w uzasadnieniu swego prawa, że uważa również i zysk z kapitału za płacę roboczą, a właściwie za wynagrodzenie pracy pośredniej. »Dlaczego muszą być płacone zyski z kapitałów?« zapytuje. »Na to jest tylko jedna odpowiedź, że są one wynagrodzeniem pracy; pracy nie zużytej bezpośrednio na wytworzenie danego dobra, ale zużytej na to za pośrednictwem innych dóbr, które są przecież owocem pracy«. Myśl tę wyjaśnia szczegółowiej następujące rozumowanie:

»Pewien człowiek posiada maszynę, wytwór stu dni pracy. Używając swej maszyny, używa ten człowiek bezwątpienia pracy, — chociaż tylko w pochodnym znaczeniu (secondary sense) — ponieważ używa czegoś, co dało się uzyskać tylko zapomocą pracy. Przypuśćmy, że czas trwania maszyny oblicza się dokładnie na 10 lat. W takim razie co roku wydaje się dziesiątą część owoców 100-dniowej pracy, albo 10 dni pracy, co, odnośnie do kosztów i wartości, na jedno wychodzi. Właściciel, za 100 dni pracy, które go kosztowała maszyna, musi być opłacony według przyjętej normy taką to i taką sumą rocznie, t. j. dziesięć lat trwającym rocznem wynagrodzeniem, które wartością swą winno odpowiadać pierwotnej wartości maszyny¹⁾. Z tego wyni-

¹⁾ Jak wynika z równoległego ustępu na str. 100-ej, autor myśli o rocznych wynagrodzeniach, któreby w ciągu 10-u lat pokryły pierwotną wartość maszyny, a jednocześnie dostarczyły zysku według wynikającej ze stanu rynku stopy.

ka (!), że zysk jest poprostu wynagrodzeniem pracy. Nie zadając gwałtu językowi (?), ani używając przenośni, możemy go nazwać płacą: płacą takiej pracy, którą wykonywa nie ręka bezpośrednio, lecz pośrednio narzędzie, ręką w swoim czasie wytworzone. Skoro się zaś sumą płacy mierzy sumę bezpośredniej pracy, to sumę tej innej pochodnej pracy można mierzyć sumą tego, co otrzymuje kapitalista.

James Mill sądzi, iż w ten sposób wystarczająco wyjaśnił zysk z kapitału, i utrzymał nietknięte swoje prawo, iż jedynie praca określa wartość dóbr. Tymczasem jasne, jak na dłoni, że ani jedno, ani drugie mu się nie udało.

Można się zgodzić na to, że nazywa kapitał nagromadzoną pracą, a zastosowanie kapitału — zastosowaniem pośredniej pochodnej pracy, i że uważa zużywanie maszyny za częściowe wydawanie nagromadzonej pracy: ale dlaczego każda część nagromadzonej pracy ma być opłacana rocznem wynagrodzeniem, zawierającym więcej, niż pierwotną wartość tejże pracy, bo tę pierwotną wartość z dodatkiem przyjętej stopy zysku? Przypuśćmy, że wynagrodzenie kapitału jest wynagrodzeniem pośredniej pracy: dlaczego pośrednia praca ma być wyżej opłacana, niż bezpośrednia, gdyż jedna otrzymuje zwykłą stopę płacy, a druga wynagrodzenie, przewyższające tę stopę o cały zysk? Mill nie rozwiązuje tego pytania, korzysta tylko jak z niewzruszonego oparcia z faktu, iż kapitał, zależnie od stanu współzawodnictwa na rynku, różni się w wartości szeregowi wynagrodzeń rocznych, o b e j m u j ą c y c h j u ż z y s k, jak gdyby nie podjął dopiero wyjaśniania zysku wogóle, a więc i tego zysku, który zawarty jest w rocznem wynagrodzeniu.

Mówi wprawdzie w tonie wyjaśnienia: zysk jest płacą roboczą. Myli się jednak bardzo co do zdolności wyjaśniającej tego zdania. Mogłoby ono zapewne wystarczyć, gdyby Mill mógł wykazać istnienie pracy, która nie otrzymała jeszcze swej normalnej zapłaty i może ją uzyskać tylko za pomocą zysku; ale nie wystarcza zupełnie dla wyjaśnienia zwyczki zapłaty za pracę, która już jest normalnie wynagrodzoną przez zawarte w rocznych wynagrodzeniach sumy amortyzacyjne. Pozostaje wciąż pytanie, dlaczego praca pośrednia ma być wyżej opłacana, niż bezpośrednia? — pytanie, którego rozwiązania Mill w najmniejszym stopniu nie ułatwił.

W dodatku ta sztuczna konstrukcja nie daje mu nawet tej korzyści, że zgadza się z jego teorią wartości: prawo bowiem, iż suma pracy ma określać cenę wszystkich dóbr, mocno jest drażnięte, skoro część ceny uzasadnioną jest nie przez ilość wykonanej pracy, ale przez wyższą stopę uzyskanej przez tę pracę zapłaty. Tak więc teoria Mill'a pod każdym względem pozostaje znacznie niżej od zakreślonych celów.

Mc. Culloch zbudował bardzo pokrewną teorię w pierwszym wydaniu swoich *Principles of Economy* (1825), ale w późniejszych wydaniach ją opuścił. Wyłożyłem ją już przy innej sposobności, więc nie będę jej tutaj powtarzał¹⁾. — Pobieźnie podejmują te same myśli Anglik Read i Niemiec Gerstner, których później wspomnę, mówiąc o eklektykach.

b) Grupa francuska.

Inna grupa zwolenników teorii pracy uważa zysk z kapitału za wynagrodzenie tej pracy, która leży w oszczędzaniu kapitału (*travail d'épargne*). Teorię tę najściślej przeprowadził Courcelle-Seneuil²⁾.

Według Courcelle-Seneuila istnieją dwa rodzaje pracy: »praca mięśniowa« i »praca oszczędzania« (str. 85). To drugie pojęcie wyjaśnia w następujący sposób: Aby otrzymać wytworzony niegdyś kapitał, trzeba stałych wysiłków przeczności i oszczędności, gdyż z jednej strony myśli się o przyszłych potrzebach, a z drugiej, aby móc je zaspokoić zapomocą zaoszczędzonych kapitałów, powstrzymuje się od natychmiastowego korzystania z nich. »Praca« ta zawiera akt inteligencji, tak zwane przez Courcelle-Se-

¹⁾ Patrz wyżej, rozdział VI. O stosunku pierwszeństwa pomiędzy Jamesem Millem a Mc. Cullochem przytaczam następujące informacje z wydanej w międzyczasie (1894) »History of the theories of production and distribution« Edwina Cannana, str. 206—212. Pierwsze ślady podstawowej idei wspólnej ich teorjom znajdujemy u Mc. Cullocha w artykule »Political Economy«, w wydanym w 1823 r. dodatku do *Encyclopaedia Britannica*. James Mill bierze tę samą myśl w szerszem rozwinięciu w 1824, w drugim wydaniu swoich *Elements*; cytowany w tekście układ, zmieniony znacznie w porównaniu z drugim wydaniem, należy do trzeciego (1826).

²⁾ *Traité théorique et pratique d'Economie Politique I*, Paris, 1858.

ne uila »prévoir« i akt woli, oszczędzanie, »powstrzymanie się od spożycia w ciągu określonego czasu«.

Bądź co bądź na pierwszy rzut oka dziwnem się zdaje nazwanie oszczędności *praca*. Wrażenie to, zdaniem autora, pochodzi stąd tylko, że zapatrujemy się na wszystko z nadzbyt materialnego punktu widzenia. Jeśli się przez chwilę swobodnie zastanowimy, to przyznamy, że równie ciężko (pénible) jest człowiekowi powstrzymać się od spożycia stworzonego już dobra, jak pracować mięśniami i umysłem nad zdobyciem upragnionego dobra, i że istotnie trzeba szczególnego, sztucznego wysiłku umysłu i woli, samowolnego aktu, któryby zwalczył naturalną skłonność do lenistwa i chęci używania, jeśli ma być osiągnięte utrzymanie kapitału. — Następnie autor usiłuje wzmocnić ten bieg myśli powołaniem się na zwyczaje dzikich ludów i wreszcie kończy formalnem oświadczeniem: »A więc słusznie i nie w przenośni uważamy oszczędność za jedną z postaci pracy wytwórczej, a co za tem idzie, za siłę produkcyjną. Wymaga ona wysiłku, zwykle, coprawda, czysto moralnego, ale zawsze uciążliwego, a więc z tą samą słusnością, co wysiłek mięśniowy, nosi charakter pracy«.

»Praca oszczędzania« wykazuje więc te same wymagania wynagrodzenia, co i »praca mięśniowa«. Ostatnią wynagradza »salaire«, pierwsza znajduje swoją zapłatę w »intérêt«, zysku z kapitału (318). Że tak jest, a szczególnie, że wynagrodzenie pracy oszczędzania musi być wiecznotrwale, wyjaśnia Courcelle w ten sposób:

Zyczenie, pokusa spożycia, jest siłą stale działającą: działalność jej zahamować można tylko, zwalczając ją za pomocą innej siły, również wiecznotrwalej. Jasne, że każdy spożywałby możliwie najwięcej, gdyby nie miał korzyści (s'il n'avait pas intérêt) w powstrzymaniu się od spożycia. Każdy przestałby się powstrzymywać z chwilą, w której przestałby mieć w tem interes, więc musi on trwać bezustannie, aby kapitały zawsze były utrzymywane: »dlatego mówimy, że zysk (l'intérêt«; należy zwrócić uwagę na grę słów!) jest zapłatą za pracę oszczędzania i wstrzemięźliwości, bez której kapitały nie mogłyby trwać, który zatem jest niezbędnym warunkiem życia przemysłowego (str. 322).

Wysokość tej płacy reguluje »wielkie prawo podaży i popytu«: zależy ona z jednej strony od pragnienia i zdol-

ności reprodukcyjnego zastosowania pewnego kapitału, a z drugiej od pragnienia i zdolności zaoszczędzenia tej sumy.

Sądzę, że wszystkie trudy, które sobie zadal autor dla przedstawienia pracy oszczędzania, jako prawdziwej pracy, nie są w stanie zatrzeć znaku sztuczności z czoła tej teorii. Niespożycie pewnego bogactwa pracą, uzyskanie bez pracy zysku z kapitału stosowną płacą roboczą! Co za pole do popisu dla krytyka, któryby chciał za przykładem Lassalle'a odwołać się do wrażeń i nastrojów czytelnika! Ja, zamiast nauczać, że Courcelle błądzi, wołę na rozumowych podstawach wyłożyć, dlaczego on błądzi.

Przedewszystkiem jasne, że teoria Courcelle'a jest tylko nieco odmiennym warjantem teorii wstrzemięźliwości Seniora. Wszędzie, gdzie Senior mówi »wstrzemięźliwość«, albo »ofiara wstrzemięźliwości«, Courcelle powiada »praca wstrzemięźliwości«; w rzeczy samej zaś obaj w identyczny sposób przewartościowują tę samą zasadniczą ideę. To też teoria pracy Courcelle'a podlega znacznej części zarzutów, które się podnoszą przeciw teorii wstrzemięźliwości Seniora i ze względu na które uznaliśmy ją za niewystarczającą.

Oprócz tego nowe opracowanie Courcelle'a podlega jeszcze specjalnym zastrzeżeniom.

Słuszne jest wprawdzie, że zapobiegliwość i oszczędność kosztują pewien moralny trud: ale to że pewna praca jest potrzebną dla uzyskania pewnego dochodu, nie uprawnia bynajmniej do nazwania tego dochodu płacą roboczą. Aby móc to uczynić, należałoby być w stanie dowieść, że dochód uzyskuje się istotnie za pracę i tylko dzięki pracy. To znowu najłatwiej się widzi stąd, że dochód występuje tam, gdzie wykonywana jest praca, brak go tam, gdzie pracy nie ma, wysoki jest tam, gdzie wykonywa się dużo pracy pewnego rodzaju, niski tam, gdzie jest jej mało. Takiej zaś harmonii pomiędzy domniemaną przyczyną zysku z kapitału, a jego istotnem występowaniem, nie ma ani śladu: ktoś, co bezzwłocznie obcina kupony od milionowego majątku, albo każe je obcinać swemu sekretarzowi, pobiera »płacę roboczą« wysokości dziesiątków i setek tysięcy guldenów, a inny, który dzięki prawdziwej męce przewidywania i wstrzemięźliwości zebrał i złożył w kasie oszczędności 50 guldenów — zaledwie parę guldenów, a jeszcze inny, co z równą męką

zebrał 50 guldenów, ale wobec ewentualności pilnej potrzeby nie może ich z ręki wypuścić, nie otrzymuje żadnej »płacy roboczej«.

Dlaczego to wszystko? Dlaczego płaca wypada tak niejednolicie? Niejednolicie dla różnych klas robotników oszczędzających i niejednolicie w stosunku do wynagrodzenia pracy mięśniowej? Dlaczego »rok pracy« przynosi właścicielowi 20-u milionów milion dochodu, robotnikowi, który trzusi się i nie oszczędza, 500 guldenów, a rzemieślnikowi, który trzusi się i oszczędził przytem 50 guldenów, za pracę mięśniową i oszczędzania razem 502 guldeny? Teorja, nazywająca zysk płacą roboczą, powinna była wyjaśnić to nieco szczegółowiej. Zamiast tego załatwia się Courcelle z zasadniczym pytaniem o wysokości zysku poprostu ogólnikowo, powołując się na »wielkie prawo« podaży i popytu.

Doprawdy, bez ironji możnaby powiedzieć, że Courcelle z tą samą mniej więcej teoretyczną prawidłowością mógłby uznać za podstawę do pobierania zysku z kapitału fizyczną pracę, polegającą na obcinaniu kuponów albo zgarnianiu zysku: jest to również praca, którą kapitalista wykonywa i, choć dziwnem może się wydawać, iż według prawa podaży i popytu ten rodzaj pracy tak niezwykle wysoko jest wynagradzany, to nie jest to wcale dziwniejsze, niż fakt, iż trud umysłowy, ponoszony przy odziedziczeniu milionowego majątku, wynagradzany jest corocznie tylu to i tylu setkami tysięcy guldenów. Jak o tej pracy można powiedzieć, że wyjątkowo niewielu ludzi posiada »chęć i możność« utrzymywania milionowych kapitałów, i że przy istniejącym popycie na kapitały wynagrodzenie to musi być bardzo wysokie, tak też można mówić, że równie mało ludzi ma »chęć i możność« zgarniania zysków wysokości setek tysięcy. »Chęci« w obu wypadkach nikomu wprawdzie nie brakuje, a co się tyczy »możności«, to ta w obu wypadkach polega głównie na tem, iż ma się szczęście posiadać milionowy kapitał.

Jeśli by po tych wywodach potrzebne było jeszcze bezpośrednio obalenie teorji pracy Courcelle'a, to wystarczy wyobrazić sobie taki wypadek. Kapitalista A pożycza fabrykantowi B jeden milion guldenów na 5% na przeciąg jednego roku. Fabrykant zastosowuje ów milion produkcyjnie i uzyskuje przytem całkowity dochód 60.000 fl., z których 50.000 fl. oddaje, jako procent od długu kapitaliście, a sobie zachowuje

10.000 fl., jako zysk przedsiębiorcy. Zdaniem Courcelle'a, 50.000 fl., które A otrzymuje, są wynagrodzeniem za to, że przewidział przyszłe potrzeby, i zapomocą aktu woli, skierowanego do powstrzymania się od zadowolenia, pracował nad zwalczaniem usiłowań natychmiastowego spożycia miliona. Ale czyż B nie wykonał takiej samej, a nawet znacznie większej pracy? Czy B, gdy miał w ręku pożyczony milion, nie miał również możności spożyć go natychmiast? Czy nie mógł go np. przejechać, a następnie ogłosić bankructwo? Czy nie przeciwstawił również tej pokusie aktu woli wstrzemięźliwości? Czyż nie okazał o wiele więcej przeczności i troski o przyszłe potrzeby, niż A, myśląc o nich nie tylko ogólnie, jako o przyszłych potrzebach, ale w ten sposób zastosowując produkcyjnie posiadaną sumę dóbr, że została przetworzoną w produkty, które istotnie mogą zaspokajać przyszłe potrzeby? A jednak A otrzymuje za pracę utrzymania swego miliona 50.000 fl., a B za tę samą umysłową i moralną pracę nic nie otrzymuje, gdyż 10.000 fl., które dostał, jako zysk przedsiębiorcy, stanowią wynagrodzenie za inny rodzaj działalności.

Nie można tu zarzucać, iż B nie miał prawa spożywać miliona, gdyż ten nie był jego własnością; więc w oszczędności jego niema żadnej zasługi, godnej wynagrodzenia. W tej teorji wogóle niema mowy o żadnej zasłudze. Wynagrodzenie oszczędności jest znaczne, jeśli tylko zaszczędzona i utrzymana suma jest wielką, bez najmniejszego względu na to, czy utrzymanie jej wymagało wielkiego, czy małego moralnego wysiłku. Wszelako zupełnie nie da się zaprzeczyć, iż dłużnik B istotnie utrzymał milion i przemógł dążności do spożycia go. Dlaczego więc on nie otrzymuje żadnego wynagrodzenia za oszczędność? — Sądzę, iż wykład tego faktu nie może być uważany za wątpliwy; brzmieć on będzie w sposób następujący: otrzymuje się zysk z kapitału wcale nie dlatego, że się wykonywa jakaś pracę, a poprostu dlatego, że się jest właścicielem kapitału; zysk z kapitału nie jest dochodem, płynącym z pracy, lecz dochodem, płynącym z posiadania.

Nieśmiałego nieco zwolennika znalazła później teorja Courcelle-Seneuila w Cauvèsie¹⁾.

¹⁾ Précis du Cours d'Economie Politique, wyd. drugie, Paryż, 1881 i 1882.

Autor ten powtarza ją wprawdzie, ale nie jako jedyną teorię zysku i nie bez pewnych zastrzeżeń i zwrotów, które zdradzają wyraźnie, iż nie może przyjąć zupełnie bez wahania pojęcia pracy oszczędzania. »Ponieważ zachowanie kapitału przypuszcza pewien wysiłek woli, a w wielu wypadkach przemysłowe czy finansowe kombinacje, można uważać za pewien rodzaj prawdziwej pracy, który już, nie bez słuszności nazwano *travail d'épargne*« (I, str. 183). W innym wypadku, w sprawie wątpliwości, czy kapitaliści należy się zysk wobec tego, że pożyczanie nie wymaga żadnej pracy, uzasadniającej wymaganie zysku, wyraża się *Cauvès* w ten sposób: »Pożyczanie nie zawiera żadnej pracy, to prawda; ale zawiera ją stała wola utrzymania kapitału, długotrwałe powstrzymanie się od aktu spożycia, uzyskania zadowolenia za pomocą wartości, którą przedstawia kapitał. Jest to, jeśli wyrażenie moje nie wyda się zbyt dziwaczne, praca oszczędzania, i ją to zysk wynagradza«¹⁾. Obok tego wyklada też *Cauvès* inne uzasadnienie zysku z kapitału, mianowicie teorię produktywności kapitału, to też spotkamy go jeszcze wśród eklektyków.

Lekkie pokrewieństwo z teorią pracy *Courcelle'a* spotykamy jeszcze u paru francuskich pisarzy; u *Cherbulieza* na przykład, który uważa zysk z kapitału za wynagrodzenie za »*efforts d'abstinence*«; u *Józefa Garniera*, który w swem bardzo niejednolitem wyjaśnieniu zjawiska zysku używa też hasła »pracy oszczędzania«²⁾. Ale nikt z nich nie ujmuje tych myśli głębiej.

c) Grupa niemiecka.

Ten sam motyw, który we Francji stał się kanwą wymęczonej, rozwiniętej szczegółowo teorii zysku, zużytkowała też, choć w luźniejszych zarysach, wybitna grupa niemieckich ekonomistów, grupa »socjalistów z katedry« jak ich nazywam, posługując się utartym wyrażeniem. Teoria pracy niemieckich socjalistów z katedry związana jest z od-

¹⁾ II, str. 189; porówn. też I, str. 236.

²⁾ *Cherbuliez*, patrz wyżej, str. 295. *Garnier*, *Traité d'Economie Politique*, wyd. 8-e, Paris, 1880, str. 522: *le loyer »rénumère et provoque les efforts ou le travail d'épargne et de conservation«*.

mianą francuską bardzo luźnie, tylko dzięki wspólności idei zasadniczej. Powstała ona niezależnie i w sposobie wykorzystania tej idei idzie własnymi drogami.

Za przodownika niemieckiej teorii pracy można uważać *Rodbertusa-Jagetzowa*, który w przygodnych uwagach zbliża się do jej podstawowych idei. *Rodbertus* mówi raz o możliwości takiego stanu społeczeństwa, w którym wprawdzie istniałaby naogół własność prywatna, ale nie własność prywatna rentująca się w jakikolwiek sposób, a wszelkie istniejące dochody były dochodami z pracy pod postacią wynagrodzeń i płac roboczych. Podobny stan rzeczy mógłby w takim razie istnieć, gdyby z jednej strony środki produkcji, ziemia i kapitał, znajdowały się we wspólnym posiadaniu całego społeczeństwa, a z drugiej strony gdyby przyznawano prawo własności prywatnej do dóbr, stanowiących dochód w miarę wykonywanej pracy. Do tego ustępu dodaje *Rodbertus* w odsyłaczu, iż z gospodarczego punktu widzenia wogóle należy oceniać własność środków produkcji, niż własność dóbr, stanowiących dochód. »Własności dochodu czyni się zadość gospodarczo przez to już, iż spożywa się go gospodarczo w domu. Posiadanie zaś ziemi i kapitału jest zarazem pewnego rodzaju urzędem, pociągającym za sobą funkcje ekonomiczne, funkcje, polegające właśnie na kierowaniu ekonomiczną pracą i ekonomicznymi środkami narodu, stosownie do jego potrzeb; a więc na wykonywaniu tych czynności, które w przyjętym przez nas stanie własności wspólnej byłyby wykonywane przez urzędników państwowych. Najlepszą więc stroną, którą z tego punktu widzenia można znaleźć w rencie — tak rencie gruntowej, jak w zysku z kapitału — jest to, iż zastępuje ona wynagrodzenie takich urzędników, iż przedstawia taką formę wynagrodzenia, przy której urzędnik jest również i finansowo poważnie zainteresowany w prawidłowym wykonywaniu swoich czynności«¹⁾.

Podobnie wyraża się *Rodbertus* gdzie indziej²⁾, mówiąc, że nietylko umiejętności, ale też moralna siła i chęć do czynu są potrzebne do skutecznego kierowania podziałem zajęć tłumu robotników. Sami produkcyjnie pracujący ro-

¹⁾ Zur Erklärung und Abhilfe der heutigen Kreditnot des Grundbesitzes. Wyd. drugie, 1876, t. II, str. 273 i nast.

²⁾ Soziale Frage, str. 146.

botnicy nie mogą oddawać tego rodzaju usług, które jednak są absolutnie niezbędne w produkcji narodowej. Skoro zaś te użyteczne i niezbędne usługi oddawane są przez kapitalistów, właścicieli ziemskich i przedsiębiorców, to nie ulega wątpliwości, że mogą oni za nie »równie dobrze wymagać wynagrodzenia, jak za każdą inną użyteczną usługę. W każdym razie mają do tego takie same prawo, jak np. minister handlu i robót publicznych, jeśli przyjmujemy, że spełnia swoje obowiązki«.

Rodbertus nie miał jednak wcale zamiaru opierać na tej myśli jakiejś teorii zysku z kapitału, t. j. wyjaśnienia tej postaci dochodu kapitalisty, którą widzimy w życiu faktycznym. Przeciwnie, najwyraźniej myśl tę odsuwa, powtarzając kilkakrotnie, iż dzisiejszy zysk z kapitału właśnie nie posiada charakteru takiego wynagrodzenia za oddane usługi, płacy, otrzymanej w drodze »pochodnego podziału dóbr«, a ma raczej pozór udziału bezpośredniego, przy »pierwotnym podziale dóbr« zrealizowanego w produkcji narodowej; przyczynę zaś tego udziału widzi Rodbertus w innych zupełnie stosunkach, mianowicie w wyzysku robotnika, dokonywanym na mocy własności ziemi i kapitału¹⁾.

Idea ta, przelotnie poruszona, lecz nie zużytkowana dla teorii zysku przez Rodbertusa, występuje później u paru wybitnych »socjalistów z katedry«, by tym razem, szerzej rozwinięta, mogła służyć dla problemu zysku.

Przedewszystkiem u Schöfflego. Już w trzecim wydaniu najstarszego swego dzieła (*Gesellschaftliches System der menschlichen Wirtschaft*, 1873), włącza do swego formalnego określenia zysku myśl, iż zysk z kapitału jest wynagrodzeniem usług, oddawanych przez kapitalistę. »Dochód« pisze »rozpatrywać należy, jako wynagrodzenie, którego przedsiębiorca ma prawo wymagać za czynność gospodarczą samodzielnego gospodarczego łączenia sił produkcyjnych za pośrednictwem obliczonego na zysk kapitału«²⁾. Ujęcie to powraca w licznych ustępach dzieła, i to zazwyczaj w takich, w których zysk z kapitału rozpatrywany jest z szerszego punktu widzenia. Raz jeden broni Schöffle tego ujęcia, jako jedynie prawidłowego, wobec

¹⁾ Soziale Frage, str. 75 i 146; patrz też niżej, rozdział XII.

²⁾ II, str. 458.

innych teorii zysku, które potępia wszystkie³⁾. Szczególnie jest jednak, że bliższe szczegóły nauki o zysku, np. kwestię wysokości stopy zysku etc., przeprowadza Schöffle nie na podstawie jej zasady, lecz zapomocą technicznego aparatu teorii usług, zbliżonej wprawdzie do tego ujęcia dzięki subiektywnemu zabarwieniu pojęcia usługi kapitału⁴⁾.

W późniejszym jego dziele, w »Bau und Leben des sozialen Körpers«, pojęcie zysku, jako wynagrodzenie »funkcyjnej czynności« kapitalisty, występuje jeszcze wyraźniej. Zapewnia ono Schöfflemu możność usprawiedliwienia zysku z kapitału przynajmniej na chwilę obecną i do czasu zastąpienia kosztownych usług prywatnych kapitalistów przez jakąś bardziej celową organizację⁵⁾. Ale i w tym wypadku szczegóły zjawiska zysku nie są wyjaśnione zapomocą tego ujęcia, i teraz jeszcze pozostają na miejscu resztki teorii usług, której pojęcie usługi stało się w dodatku obiektywnem⁶⁾. Tak więc Schöffle również uderzył w ton zasadniczy teorii pracy, ale też tylko w ton zasadniczy: nie doszedł do szczegółowej budowy, jak Courcelle-Seneuil na przykład.

Nieco dalej, ale bardzo niewiele dalej, poszedł Wagner. I dla niego kapitaliści są »funkcjonariuszami społeczności dla tworzenia i zatrudniania narodowego zasobu środków produkcji«⁷⁾, a dochód z kapitału — dochodem, otrzymywanym przez nich za te funkcje, a przynajmniej

¹⁾ II, str. 459 i nast.

²⁾ Patrz wyżej, str. 218 i nast.

³⁾ »Jednak w żadnym razie nie mogę się zgodzić na bezwzględne potępienie kapitału i zysku z kapitału, jako »przywłaszczenia czystej — nadwartości«; kapitał prywatny spełnia obecnie funkcje pierwszorzędnej znaczenia, zajmując się, wszystko jedno z jakich pobudek »Obiegiem pozostawionym samemu sobie« (Rodbertus) (2 wyd., III, str. 386). »Historycznie można kapitalizmowi oddać w zupełności sprawiedliwość, a zysk z kapitału uznać za słuszny. Niema sensu znosić go, zanim się nie wyjdzie lepszej organizacji produkcji«. »To też wtedy dopiero można praktycznie potępić zysk z kapitału, jako przywłaszczenie »nadwartości«, jeśli się może zastąpić gospodarcze usługi kapitału prywatnego przez organizację pozytywnie uzasadnioną, doskonalszą i nie »pochłaniającą nadwartości«. (III, str. 422 i nast.)

⁴⁾ Patrz wyżej, str. 219.

⁵⁾ Allgemeine oder theoretische Volkswirtschaftslehre, I. Teil, Grundlegung, 2. Ausgabe, Leipzig und Heidelberg, 1879, str. 40, 594.

jako przez pełniących te funkcje (str. 594). Charakteryzuje jednak czynności, wykonywane przez kapitalistów, polegające na »gromadzeniu i zatrudnianiu kapitałów prywatnych«, na czynnościach oszczędzania i rozporządzania w sposób bardziej stanowczy, niż Sch äffle, jako właściwe »prace« (str. 111, 592, 630), tworzące część całości kosztów produkcji dóbr, a co za tem idzie »pierwiastek składowy wartości« (str. 630). O tem, w jaki sposób przyczynia się ten pierwiastek do kształtowania wartości dóbr, jak można z jego działania wyprowadzić proporcjonalność zysku do sum, stanowiących kapitał, wysokość stopy zysku i t. p., o tem mówi W a g n e r równie mało, jak Sch äffle: i on więc, choć nieco wyraźniej, uderzył jedynie w ton zasadniczy teorii pracy.

Wobec tego stanu rzeczy nie śmiem stanowczo twierdzić, czy »socjaliści z katedry« wogóle mieli zamiar zapomocą tego szeregu myśli dać jakieś teoretyczne wyjaśnienie, czy też chodziło im tylko o społeczno-polityczne uzasadnienie zysku z kapitału. Za pierwszym ujęciem przemawia przyjęcie motywu pracy w formalnem określeniu zysku z kapitału; dalej, okoliczność, iż przynajmniej W a g n e r odsuwa wszystkie inne teorie zysku, tak, że gdyby nie podzielał teorii pracy, pozostawiałby zysk teoretycznie zupełnie niewyjaśnionym; wreszcie W a g n e r najwyraźniej nazywa »pracę« kapitalistów częścią składową kosztów produkcji i »pierwiastkiem składowym wartości«, co trudno rozumieć inaczej, jak uznanie wymagającej wynagrodzenia pracy kapitalisty za teoretyczną przyczynę zjawiska nadwartości.

Za drugim ujęciem, według którego »socjaliści z katedry« wskazywaliby na »pracę« kapitalistów tylko dla usprawiedliwienia istniejącego zysku z kapitału, nie mając wcale zamiaru tłumaczyć jego istnienia, przemawia brak wszelkiego teoretycznego odrobienia szczegółów, okoliczność, iż Sch äffle na przykład, dla wyjaśnienia szczegółów, jeśli się nimi wogóle zajmuje, posługuje się innemi teorjami zysku, wreszcie przewaga politycznego pierwiastku nad teoretycznym, jaką wogóle spotykamy w pismach tej grupy¹⁾.

¹⁾ Od czasu, jak napisałem te słowa (r. 1884), jeden z wymienionych autorów rozwił przez wyraźne wypowiedzenie się wyrażone w nich wątpliwości, o ile jego dotyczyły. A. W a g n e r w 3-em wydaniu swojej »Grundlegung« (II. Teil, 1894, str. 289

Wobec tego wszystkiego uważam za wskazane ubrać moje uwagi krytyczne w formę hipotezy.

W wypadku społeczno-politycznego usprawiedliwienia istnienia zysku z kapitału zapomocą wskazywania na »prace wykonywane« przez kapitalistów, wywody »socjalistów z katedry« są najzupełniej godne uwagi. Głębsze jednak zajęcie się tą stroną zagadnienia przekracza ramy tego, co uważam w tej części dzieła za swoje zadanie.

Ale gdy chodzi o teoretyczne wyjaśnienie istnienia zysku z kapitału zapomocą tych samych środków, muszę rozciągnąć i na niemiecką gałąź teorii pracy to, co mówiłem o jej francuskiej odmianie: że jest najzupełniej niewystarczającą. — W ciągu rozwoju doktryny tak często się zdarzało, iż mieszano społeczno-polityczne usprawiedliwienie z teoretycznem wyjaśnieniem zysku, że napewno opłaca się raz nareszcie dokładnie oświecić różnicę, która pomiędzy temi dwiema rzeczami zachodzi. W tym celu przeprowadzę równoległą, która jednocześnie pozwoli mi wykazać niewystarczalność teorii pracy.

Z pierwszym uzyskaniem gruntów uprawnych związany jest z zasady pewien trud, pewna praca zdobywającego; albo musi on te ziemię przygotować do uprawy, albo samo objęcie

i nast., § 134) oświadczył, iż w omawianych roztrząsaniach miał na celu nie teoretyczne »wyjaśnienie« zysku z kapitału, a właśnie »uzasadnienie« go w myśl »społeczno-politycznego usprawiedliwienia«. Co się dotyczy teoretycznego zagadnienia, to W a g n e r uważa, iż »zupełnie udane« jest moje wyjaśnienie zysku dane w międzyczasie »przez wpływ momentu czasu na szacunek wartości dóbr przez ludzi; dodaje jednak, iż to moje teoretyczne wyjaśnienie nie zawiera jeszcze żadnego bezpośredniego »usprawiedliwienia i uzasadnienia kapitału prywatnego, jako instytutu porządku prawnego«, tak, że do mojego »wyjaśnienia« dodać jeszcze należy jego ujęcie, a wtedy uzyskamy dla gospodarki społecznej uzasadnienie w powyższem znaczeniu. W najnowszych swych wynurzeniach w tej sprawie (Theoretische Sozialökonomik, I. Abt., 1907, str. 322 i nast.), zmienił W a g n e r znowu nieco zdanie i to w tym kierunku, że »jeszcze nieco więcej, niż uprzednio, podtrzymuje potrzebę uzupełnienia« mojej teorii, a »ze strony społeczno-ekonomicznej zagadnienia trzyma się stanowczo teorii pracy«. Dostarcza ona niezbędnych uzupełnień nie tylko dla usprawiedliwienia, ale i dla »wyjaśnienia i uzasadnienia zysku, jako czysto ekonomicznej kategorii«. — W zupełnie niedwuznaczny sposób stanął też na gruncie teorii pracy S t o l z m a n (Die soziale Kategorie, Berlin, 1896, str. 421 i nast.); patrz niżej w Dodatku.

jej w posiadanie wymaga pewnego trudu, który w pewnych warunkach, np. jeśli trzeba długo szukać miejsca odpowiedniego dla osiedlenia się, może być bardzo znaczny. Kawał ziemi przynosi swemu zdobywcy rentę gruntową. Czy można wyjaśnić istnienie renty gruntowej zapomocą faktu pierwotnego wydatku pracy? Oprócz Carey'a i nielicznych zwolenników jego niewyraźnych pomysłów, nikt nie odważył się tego przypuścić. Nikt nie może tego przypuścić, jeśli nie jest ślepym na wzajemną zależność zjawisk. Jasne, jak słońce, że urodzajna dolina nie dlatego przynosi rentę, że zajęcie jej kosztowało kiedyś wiele pracy, a skaliste zbocze nie dlatego nie przynosi jej wcale, że zdobycie jego nie kosztowało żadnego trudu. Dalej, nie można zaprzeczyć, że dwa równie urodzajne i równie dobrze położone kawałki ziemi przynoszą taką samą rentę, choć jeden, urodzajny z natury, zajęty został poprostu prawie bez trudu, a drugi użyźniony został z wielkim nakładem pracy; dalej, jasne, że 200 morgów nie dlatego dają dwa razy większą rentę, niż 100 morgów, że kiedyś objęcie ich w posiadanie było dwa razy trudniejsze; jasne wreszcie, że jeśli renta gruntowa wzrasta z przyrostem ludności, to nie ma to nic a nic wspólnego z pierwotnym nakładem pracy: jednym słowem, zjawisko renty gruntowej i rozmiary jej tak zupełnie nie harmonizują z pojawieniem się i wielkością wydatku pracy, obróconego niegdyś na objęcie w posiadanie gruntów, że nie może on być żadną miarą uważany za zasadę, wyjaśniającą zjawisko renty gruntowej.

Zupełnie inaczej rzecz się ma z pytaniem, czy nie można usprawiedliwić renty gruntowej zapomocą tego wydatku pracy. Z tego punktu widzenia można doskonale bronić stanowiska, iż człowiek, który pewien kawałek ziemi przygotował do uprawy, albo też pierwszy zajął, jako pionier kultury, położyl w ten sposób zasługi, warte wynagrodzenia równie trwałego, jak korzyści, które z czynu tego wynikły dla rodzaju ludzkiego; że zupełnie sprawiedliwym i słusznym jest, by ten, kto po wszystkie czasy przekazał kulturze kawałek ziemi, również po wszystkie czasy otrzymywał w postaci renty gruntowej część owoców tej ziemi. Nie chcę wcale twierdzić, że względ ten musi być w każdych warunkach decydującym dla instytutu prywatnej własności ziemskiej i opartem na niej pobieraniu renty gruntowej przez

prywatne osoby, ale w pewnych okolicznościach może to być decydujące. Zupełnie możliwe jest na przykład, że jakiś rząd kolonialny mądrze postępuje, gdy, w celu przyspieszenia zasiedlenia jakiegoś obszaru, obiecuje własność ziem uprawionych, a z tem i prawo wieczystego pobierania renty gruntowej, jako nagrodę za prace użyźnienia i pierwszego zajęcia pewnego terenu. — Tak więc względ na wydatek pracy pierwszego właściciela-zdobycy może być zupełnie wystarczającą racją dla usprawiedliwienia renty gruntowej i wybitnym społeczno-politycznym motywem jej wprowadzenia i utrzymania, nie będąc zarazem najmniejszą racją dla jej wyjaśnienia.

Zupełnie podobnie rzecz się ma ze stosunkiem »czynności« kapitalistów »oszczędzania i rozporządzania« do zysku z kapitału. O ile się z jednej strony widzi w czynnościach tych najskuteczniejszy środek dla gromadzenia i celowego stosowania wystarczającego narodowego kapitału, a z drugiej strony nie oczekuje, że osoby prywatne dostarczą go w dostatecznej ilości, jeśli nie będą miały na widoku trwałych korzyści, może względ na te czynności kapitalistów stanowić dostatecznie zadowalającą rację dla usprawiedliwienia zysku z kapitału i być wystarczającym motywem prawnym dla wprowadzenia go i utrzymania. Ale czy istnienie zysku z kapitału można teoretycznie wyjaśnić przez względ na tę »pracę«? — to zupełnie inne pytanie. Gdyby tak było w istocie, to musiałby też istnieć jakiś prawidłowy stosunek pomiędzy danym skutkiem — zyskiem z kapitału, i przypuszczalną przyczyną — wydatkiem pracy ze strony kapitalistów. Stosunku zaś takiego w świecie rzeczywistym darmo byśmy szukali. Miljon przynosi 50.000 fl. zysku niezależnie od tego, czy zaoszczędzenie i zastosowanie tego miliona kosztowało jego właściciela dużo, czy mało trudu, czy też nie kosztowało go wcale; miljon przynosi zyski dziesięć tysięcy razy większe, niż suma 100 fl., chociażby zaoszczędzenie 100 fl. miało kosztować nieskończenie więcej troski i trudu, niż zaoszczędzenie miliona; dłużnik, utrzymujący i stosujący cudzy kapitał, pomimo tego »wydatku pracy« nie otrzymuje żadnego zysku; właściciel otrzymuje zysk, nawet, jeśli jego »praca« sprowadza się do zera. Sam Schäffle musi raz przyznać: »Podziału, dostosowanego do zakresu i użyteczności wykonywanej czynności nie spotykamy ani pomiędzy ka-

pitalistami, ani pomiędzy robotnikami w stosunku do kapitału. Nie jest on ani zasadą, ani przypadkowym następstwem¹⁾.

Ale jeśli, zgodnie z doświadczeniem, zysk z kapitału nie stoi w żadnym stosunku do wykonywanej przez kapitalistów pracy, to w jaki rozsądny sposób można znaleźć w tej pracy wyjaśniającą go zasadę? Sądzę, iż prawda zbyt jasno wyraża się w faktach, by ją trzeba było długo w szczegółach udowadniać: o ile zysk z kapitału nie ma nic wspólnego z wydatkiem pracy kapitalisty, o tyle ściśle jest związany z faktem posiadania i wielkości kapitału posiadanego; powtarzam raz jeszcze swoje słowa, zysk z kapitału nie jest dochodem, płynącym z pracy, lecz z posiadania.

Tak więc teoria pracy we wszystkich swych odmianach nie jest w stanie dać wystarczającego teoretycznego wyjaśnienia zysku z kapitału. Nikt bezstronny nie mógł zresztą innych wyników oczekiwać. Dla każdego, kto nie ma szczególnego zamiłowania do sztucznych wywodów, ani chwili nie mogło ulegać wątpliwości, że gospodarcza potęga kapitału posiada przecież inną podstawę, niż »zasób pracy« kapitalisty, że zysk z kapitału nie tylko nazwą, ale i istotą swą różni się od płacy roboczej.

Fakt, iż jednak wpadano niejednokrotnie na wszelkie rodzaje teorii pracy, daje się wytłumaczyć tylko wprowadzoną przez Smitha i Ricarda modą sprowadzania wszystkich wartości do pracy. Nie cofnięto się więc przed temi sztucznymi kombinacjami, aby wtłoczyć i zysk z kapitału w ramki tej teorii i móc go wyprowadzić z jedynie uprawnionego, jak przypuszczano, źródła²⁾.

¹⁾ Bau und Leben, III, str. 451.

²⁾ W dodatku do tego rozdziału chciałbym wspomnieć jeszcze w paru słowach J. G. Hoffmanna. I on również traktuje zysk z kapitału, jako wynagrodzenie za pewną pracę. »I te renty również« powiada myśląc o rentach, wpływających na kapitału, »są tylko wynagrodzeniem za pracę, i to społecznie bardzo pożyteczne; z pobieraniem ich bowiem związane jest istotnie i przede wszystkim zobowiązanie do swobodnej pracy dla dobrobytu powszechnego, dla nauki i sztuki, dla wszystkiego, co życie ludzkie ułatwia, uszlachetnia i upiększa« (Über die wahre Natur und Bestimmung der Renten aus Boden- und Kapitaleigentum w zbiorze drobnych pism z dziedziny nauk społecznych. Berlin, 1843, str. 566). — W stosunku do Hoffmanna jeszcze silniej, niż w stosunku do »socjalistów z katedry« upraw-

ROZDZIAŁ XI.

John Rae.

John Rae¹⁾ należy do tych niezbyt licznych wybitnych ekonomistów, na których współcześni zupełnie nie zwrócili uwagi, a których znaczenie uznały dopiero następne pokolenia, gdy ich zapomniane odkrycia zostały przez innych drugi raz wykonane i w szczęśliwym czasie i okolicznościach poddane powszechnemu badaniu i dyskusji.

Rae miał szczególnie w zakresie teorii kapitału znaczną ilość niezwykle oryginalnych i godnych uwagi poglądów, z których część przedstawia niezaprzeczone podobieństwo z poglądami, które w pół wieku bliżko później rozwinęli Jevons i piszący te słowa. Współcześni mu przeszli obojętnie właśnie obok najoryginalniejszej części jego teorii. Przyszła wprawdzie Rae'owi na pomoc okoliczność, która, zdawałoby się, winnaby była teorii jego zapewnić największe i najszybsze rozpowszechnienie: książkę jego często i obficie cytował najświetniejszy i najpoczytniejszy ekonomista swego czasu, J. St. Mill. Ale, rzecz szczególna, do licznych swych cytat nie wziął Mill nic z tego, co stanowi oryginalne jądro poglądów Rae'a; cytuje on raczej ornamentacyjne dodatki, i to takie, które z równym powodzeniem nadają się do ilustrowania rozpowszechnionych wówczas i przez samego Mill'a powtarzanych teoryj²⁾. Ponieważ zaś książkę Rae'a w oryginale czytało tylko bardzo niewiele ludzi³⁾, właśnie najciekawsza jej część pozostała nie-

niona jest wątpliwość, czy powyższe słowa były przezeń uważane za wyjaśnienie zysku z kapitału. Jeśli tak, to teoria jego jest bez kwestji jeszcze bardziej niewystarczająca, niż wszystkie inne teorie pracy; jeśli nie, to sprawdzenie, czy są słuszne pod innym względem wychodzi poza zakres mojego zadania.

¹⁾ Statement of some new principles on the subject of Political Economy, exposing the fallacies of the system of free trade, and of some other doctrines maintained in the »Wealth of Nations«, Boston, 1834.

²⁾ Patrz wymieniony poniżej artykuł Mixtera, str. 165.

³⁾ Tem się tłumaczy wielka rzadkość tej książki. Daremnie się starałem wynaleźć egzemplarz jej do nabycia, i dopiero na krótko przed wypuszczeniem w świat drugiego wydania niniejszego dzieła udało mi się ją dostać dzięki uprzejmości profesora K. Mengera, który zdobył ją dla swego znanego z bogactwa księgozbioru. Później prof. Mixter w r. 1905, wydał przedruk

znana jego współczesnym, a tem bardziej późniejszym pokoleniom, których cytaty, podane przez Milla nie mogły przekonać o ważności tej pracy i skłonić do badań i poszukiwań szybko zaginionej książki. Tem się tłumaczy fakt, iż taki gruntowny znawca literatury, mieszkający w tej samej Anglii, jak Jevons, nie widział bodaj wcale tej książki; przynajmniej w dziełach jego nie znalazłem ani śladu tej znajomości, któraby inaczej musiała wystąpić wobec bliskiego pokrewieństwa wielu poglądów obu autorów i wielkiej erudycji Jevonsa. I ja również nie znałem tej książki, gdy ukazywało się pierwsze wydanie mojej pracy o »Kapitał i zysku z kapitału«. Znałem jedynie ustępy, cytowane przez Milla, i na ich podstawie nie przypisywałem jej większego znaczenia¹⁾. Dopiero niedawno wydobył go z zapomnienia ziomek jego C. W. Mixter, który w szczegółowej rozprawie²⁾ oddał zasadniczą zawartość jego dzieła i wypowiedział zdanie, iż najistotniejsze punkty współczesnej teorii kapitału, którą później rozwinął autor pracy niniejszej, znajdują się już u Rae'a, i to w doskonalszej i wol-

niejszej od zarzutów formie³⁾.

Chętnie korzystam ze sposobności, której mi dostarcza nowe wydanie »Historji i krytyki »Teorji zysku od kapitału«⁴⁾, by dać szczegółowy wykład nauki Rae'a, której brak bezwątpienia silnie się daje odczuwać w pierwszym wydaniu mojej książki. W każdym razie jednak uważałbym swoje zadanie za niecałkowicie wypełnione, gdybym w stosunku do Rae'a nie zastosował po wykładzie jego poglądów krytycznej ich oceny, jak to czyniłem w stosunku do innych, omawianych w tem dziele autorów. Ocena ta nie będzie we wszystkim zgodną z oceną Mixtera.

a) Wykład.

Rae, szkot, przesiedlony do Kanady, napisał swą teoretyczną pracę dla uzasadnienia wniosków praktycznych. W kwestji wolnego handlu, która w stosunku Kanady do Anglii grała szczególnie ważną rolę, jest on zdecydowanym przeciwnikiem Adama Smitha. Aby dosyć mocno swoje odrębne zdanie uzasadnić, uciekł się do głębokich badań teoretycznych, w których rozwodził się szczególnie nad »naturą kapitału (stock) i praw, rządzących jego zwiększaniem się i zmniejszaniem«. Temu tematowi poświęcona jest szczególnie nas interesująca, najdłuższa, druga księga (str. 78—357) jego dzieła, gdy o wiele krótsza pierwsza księga (str. 7—77) zajmuje się dowodzeniem, iż »interesy indywidualne i narodowe nie są identyczne«, a równie krótka trzecia (str. 358—386) pod tytułem »the operations of the legislator on National stock) zawiera zastosowanie teorii do praktyki⁵⁾.

¹⁾ Op. cit., str. 190 »...he anticipated Böhm-Bawerks theory of interest, in the substance of its leading features and in many of its details, and even to a great extent in the exact form of its expression. He did more; he expanded that theory on some sides in which it was lacking, he avoided its greatest errors«.

²⁾ Pisane w r. 1900 z racji ukazania się drugiego wydania mojej książki.

³⁾ Cytuję według wydania oryginalnego z r. 1834. Posiadacz przedruku Mixtera na str. 484 znajduje »Readers Guide«, który pozwala sprawdzić, jakie liczby stron oryginalu i (przedstawiającego porządek rozdziałów!) przedruku sobie odpowiadają.

Z pierwszej księgi dla celu naszego wystarczy przytoczyć kilka uwag. Rae przedewszystkiem ustala, iż środki i drogi, prowadzące do zdobycia i pomnożenia bogactwa indywidualnego, wcale nie pokrywają się z temi środkami i drogami, które wzbogacić mogą dany naród, jako całość. Jednostki wzbogacają się przez proste gromadzenie istniejących już dóbr, ludy — tylko przez wytwarzanie dóbr, które dotychczas nie istniały. »Dwa te procesy tem się różnią pomiędzy sobą, że pierwszy jest nabywaniem (aquisition), drugi zaś tworzeniem (creation)« (str. 12). Już we wstępnych uwagach podnosi Rae ogromne znaczenie duchowego postępu, wynalazków i ulepszeń dla dobrobytu ludów. W nieco retorycznym zwrocie oświadcza, iż jedyną siłą na ziemi, której przypisać można prawdziwą twórczość, jest wynalazczość (invention), a co za tem idzie, dobrobyt narodowy, w przeciwieństwie do bogactwa jednostek, nie może być zwiększony bez pomocy »zdolności wynalazczej« (inventive faculty) (15).

Przyczyny, warunkujące powstawanie, zmniejszanie się i zwiększanie narodowego bogactwa, śledzi Rae w drugiej księdze zapomocą ścisłych, systematycznych badań, z głębokim rozmysłem rozwijając punkt po punkcie.

Zaczyna od pierwiastków produkcji dóbr. Człowiek posiada zdolność pojmowania »biegu wypadków i ich wzajemnego związku«. Ta zdolność, odróżniająca go od innych zwierząt, z jednej strony pozwala mu przewidzieć przyszłe jego potrzeby, a z drugiej dbać o ich przyszłe zaspokojenie i przez własny współudział zapewnić powstawanie odpowiednich środków dla ich zaspakajania. Wykazuje przytem Rae zupełnie jasny pogląd na naturę produkcji dóbr równie dobrze, jak i na naturę ich oddziaływania. Zupełnie prawidłowo określa dobra, jako »postacie materji«, »arrangements of matter« (81), zwracając uwagę, iż zmieniać możemy nie »naturę rzeczy«, tylko ich formy, i że na tej drodze tak możemy wejść w »bieg wypływających z nich lub dochodzących do nich oddziaływań«, że ostatecznie albo z nich samych robimy użyteczne środki zaspakajania przyszłych potrzeb, albo z ich pomocą tworzymy takie środki, lub zdobywamy je do swego rozporządzenia (81—82).

Jako oryginalne wyrażenie techniczne wprowadza on nazwę »narzędzie«, którem — w sensie znacznie szerszym, niż powszechnie przyjęty — obejmuje wszelkie produkty,

szłych potrzeb; więc nietylko dobra produkcyjne, ale też i dobra, nadające się do spożycia, o ile tylko służyć mają dopiero w przyszłości; więc nawet zużywające się przedmioty spożycia, jak chleb, aż do chwili istotnego spożycia (str. 88), i trwałe, jak kapelusz (str. 93), albo konie wierzchowe (105), nawet wzięte już do użytku, byle nie były jeszcze całkowicie zużyte¹⁾. Przecistawiają się narzędziom czyste dary na-

¹⁾ Porówn. też str. 171, gdzie Rae dzieli całkowity »stock«, obejmujący wszystkie narzędzia, na »stock for immediate consumption« i »capital«, i wylicza należące do pierwszego »narzędzia«, naprzykład odzież, domy mieszkalne, meble, ogrody, place do zabaw i t. p. Jego określenie kapitału, jak również i podział kapitału na stały i obiegowy, utrzymują się całkowicie w rozpoznałym wówczas stylu, i są równie szczególne, jak mało oryginalne: ponieważ według ówczesnego zwyczaju główny nacisk kładzie się na to, by dobra, stanowiące kapitał, lub z pomocą jego wytworzone, musiały być przeznaczone do wymiany (the instruments, to which this term [capital] applies, supply the future wants of the individuals owning them, indirectly, either from being themselves commodities that may be exchanged for articles directly suited to their needs, or by their capacity of producing commodities which may be so exchanged« (str. 171) to według tego brzmienia dobra produkcyjne są powstałe z pracy ludzkiej, które służą do zaspokojenia przyrodzielnego wytwórcy, jak np. plug, zaprząg i młocarnia rolnika, który wytwór swej pracy zużywa we własnej gospodarce, wychodząc poza pojęcie kapitału! Ale, jak słusznie zauważa Mixter (op. cit., str. 169 i nast.), Rae w dalszym ciągu swej pracy do tego stopnia żadnego prawie użytku nie robi z tego węższego pojęcia »kapitału« a korzysta stale z szerszego, obejmującego wszystkie narzędzia, pojęcia »stock«, że to słabe określenie kapitału nie pociąga za sobą żadnych szkodliwych skutków. — Nie mogę zato zupełnie zrozumieć, w jaki sposób Mixter (op. cit., str. 169 i nast.), może identyfikować to szersze pojęcie »stock«, czy »narzędzia« z mojem pojęciem »Zwischenprodukte«. To, że Rae, zalicza do swego pojęcia, tak jak ja do swego t. zw. »warehouse-goods«, nie stanowi jeszcze o identyczności tych pojęć, ponieważ moje pojęcie »Zwischenprodukte« zasadniczo wyklucza dobra, dojrzałe do spożycia (warehouse-goods w mojem ujęciu nie są jeszcze zupełnie do spożycia dojrzałe), Rae zaś w swoim pojęciu narzędzi równie zasadniczo je obejmuje, nawet jeśli należą już do spożywcy, tylko nie są przezeń całkowicie spożyte. Środki utrzymania według określenia i wyjaśnienia Rae'a również zawierają się bezsprzecznie w jego pojęciu »narzędzia«, co znów nie zgadza się z wypowiedzianym przez Mixtera poglądem. Pojęcie to, którego cechą wybitną jest przeznaczenie dla przyszłej potrzeby, zbliża się raczej do pojęcia kapitału Turgota lub Knies'a. — Od chwili 2-go wyd. Mixter sam stwierdził niepo-

tury, które obchodzą pracę ludzką, jako »materjały« (92, 93, 99).

Pewne właściwości wspólne są, oczywiście, wszystkim narzędziom. Wszystkie narzędzia pośrednio, lub bezpośrednio, powstały z »pracy« (str. 91). Wszystkie dają wyniki (events, Leistungen), albo współdziałają przy dawaniu wyników, które zaspakajają potrzeby ludzkie, i wreszcie zostają »wyczerpane« (exhausted). Zdolność ich do dawania takich wyników, albo ich sumę (amount), nazywa R a e »capacity« (92)¹⁾. Wreszcie wspólną cechą wszystkich narzędzi jest fakt, iż pomiędzy ich wytworzeniem i wyczerpaniem upływa pewien przeciąg czasu. »Musi tak być koniecznie, ponieważ wszelkie stawanie się (all events), odbywa się w czasie« (93). Przeciąg tego czasu może być krótki, czy długi, może obejmować lata, miesiące, czy jeszcze krótsze okresy, ale istnieć musi zawsze²⁾.

rozumienia, których ofiarą był kilkakrotnie; patrz jego późniejszą pracę »Böhm-Bawerk on Rae«, cytowaną w końcu tego rozdziału.

¹⁾ Wyrażenie to najlepiej tłumaczyć na niemiecki, jako »Leistungsvermögen«. Zgadza się z Mixterem, (np. cit., str. 168), że R a e'a pojęcie i ujęcie użytecznych »events« pokrywa się z moimi rzeczowemi »wynikami użytkowemi« (patrz wyżej, str. 231 i nast.).

²⁾ Tu wypływa po raz pierwszy u R a e'a pierwiastek czasu. Znowu nie mogę sobie jasno wytłumaczyć, w jaki sposób Mixter zidentyfikował ten wysunięty przez R a e'a przeciąg czasu, upływający pomiędzy wytworzeniem, a wyczerpaniem narzędzia, z tym przeciągiem czasu, na którym oparte jest moje pojęcie kapitalistycznych okólnych procesów produkcji. R a e mówi: »Between the formation and the exhaustion of instruments a space of time intervenes«; i Mixter powiada, że to »the same thing as saying that capitalistic process is a roundabout process« (op. cit., str. 169). To wyraźne nieporozumienie. Ja mam na myśli ten przeciąg czasu, który w produkcji kapitalistycznej dzieli początek stosowania pierwotnych sił produkcyjnych od wytworzenia gotowego produktu; więc, by mówić językiem R a e'a, ten przeciąg czasu, który doprowadza do »formation« narzędzia. R a e zaś powołuje się na zupełnie inny przeciąg czasu, który dzieli »formation« i »exhaustion« narzędzia. Gdy Robinson w ciągu kilku godzin buduje z płaskich kamieni ławkę, to ławka ta może trwać dwadzieścia i sto lat a zawsze przedstawiać będzie bardzo pokąźny »period between formation and exhaustion« w sensie R a e'a i zupełnie krótki okres produkcji w moim znaczeniu! Patrz o tem także koniec odsyłacza ze str. 323.

Zachodzi tedy potrzeba, powiada R a e, posiadania miernika do porównywania zdolności do dawania wyników (capacity), lub produktu (returns) narzędzi z pośrednią i bezpośrednią pracą, użytą na ich wytworzenie. R a e przyjmuje za miernik taką pracę; w ten sposób »dane przez narzędzia wyniki (the events brought to pass by any instrument) ocenić się dają przez sumę pracy, której wartości, zdaniem właściciela narzędzi, odpowiadają (are esteemed equivalent)« (92). R a e jest tu zdania, niezbyt prawidłowego, jak zobaczymy, że ten sposób ujmowania posiada czysto terminologiczne znaczenie (has no other effect than that of giving distinctness to our nomenclature). Dla usprawiedliwienia go wskazuje jeszcze, że w licznych wypadkach produkt narzędzi istotnie porównywany bywa z pracą, ponieważ bezpośrednio zaoszczędza pracę. Rury wodociągowe, na przykład, oszczędzają pracę noszenia wody, »i dlatego o narzędziu, jakim są rury, można równie dobrze powiedzieć (may be said indifferently), że dostarcza pewnej ilości wody, i że oszczędza pewną ilość pracy« (92). R a e i później często używa obu tych sposobów wyrażania się (na przykład str. 171).

Przy innej sposobności (str. 98) dodaje wreszcie, że przy tem używaniu pracy, jako miernika dla obliczenia zdolności dóbr dawania wyników, nie należy właściwie brać pod uwagę fizycznego, czy umysłowego wysiłku robotnika, lecz otrzymywaną przez niego płacę robotczą. Płacę tę uważa R a e w zakresie swych teoretycznych badań za daną, niezmienną wielkość (str. 97), pomijając dobrze mu znane jej wahania.

Oprócz trzech wyżej wzmiankowanych okoliczności, wspólnych wszystkim narzędziom (powstawanie dzięki pracy, zdolność do użytecznych wyników, przeciąg czasu pomiędzy wytworzeniem a wyczerpaniem), uważa R a e za konieczne dla postępu swych badań przyjąć jeszcze, jako wspólną, czwartą okoliczność, aczkolwiek nie jest ona powszechną. Kiedy porównujemy pomiędzy sobą zdolność do dawania wyników różnych narzędzi, służących do zaspokajania tego samego rodzaju potrzeb, to często mierzymy je w stosunku do technicznego efektu (by the relative physical effects), który wywołują narzędzia. Jeśli np. miara drzewa opałowego pewnego gatunku może wytworzyć dokładnie dwa razy więcej ciepła, niż miara drzewa opałowego innego gatunku,

to »capacity« pierwszego drzewa jest dwa razy większa, niż »capacity« drugiego, i jeśli pierwszą miarę porównać można do czterech dni pracy, to wartość drugiej przedstawiać będzie dokładnie dwa dni pracy (if the one be equivalent to four, the other will be equivalent to exactly two days labour). Jest jednak mnóstwo wyjątków, w których ta »relative capacity« narzędzi tego samego rodzaju zależy od innych przyczyn, niż ich czysto fizyczne własności¹⁾. Pomimo to, wobec trudności traktowania przedmiotu bez tego przypuszczenia, uważa R a e za konieczne dołączyć do dalszego teoretycznego rozwinięcia swojej myśli hipotetyczne przypuszczenie, iż capacity określa się zawsze stosownie do fizycznych właściwości narzędzi; tak, jak dla naukowego badania zagadnień mechaniki należy i trzeba hipotetycznie przyjąć istnienie czysto matematycznych linii i. nieobecność tarcia (94).

Istnieje jeszcze dalsza ciekawa kombinacja wielkości, dająca się ubrać w liczby, gdy do porównania pomiędzy capacity narzędzia i zużytej na jego wytworzenie pracy, albo kosztów jego wytworzenia (str. 100) wprowadza się jeszcze, jako trzeci pierwiastek, czas, który upływa pomiędzy wytworzeniem i wyczerpaniem narzędzia. Wszystkie trzy pierwiastki dają się wyrazić w liczbach; a według zmiennego stosunku, który zachodzi pomiędzy różnymi narzędziami, daje się ustalić pewna serja stopniowań, podług których można uszeregować wszystkie istniejące narzędzia. R a e wyjaśnia budowę tej serji, która nie ma innego celu, jak uszeregowanie dóbr według procentu dochodu, jaki przynosi ich wytworzenie, lub posiadanie, w sposób równie oryginalny, jak abstrakcyjny. Zaczyna od uwagi, iż »jako skutek zasady, którą później się wyjaśni«, świadomie tworzy się tylko takie narzędzia, których capacity jest większa, niż suma kosztów ich

¹⁾ Wyjątki, o których R a e wspomina tutaj i jeszcze raz na str. 259, rozwinięte są w rozdz. XI o zbytku i polegają na tem, że ludzie zwykle przez próżność o wiele wyżej szacują kosztowne dobra, które wcale nie lepiej, albo mało co lepiej służą ich potrzebom, niż dobra tanie, któreby im tak samo, lub prawie tak samo służyły. Gdyby próżność mniej lub więcej nie kierowała wydatkami ludzkimi — twierdzi R a e — przekonalibyśmy się, że wszystkie przedmioty cenione są tylko stosownie do swych fizycznych właściwości (283; porównaj też streszczenie rozdziału »Zbytek« na str. XV).

wytworzenia. Dalej, dla ułatwienia, przyjmuje narazie, iż zarówno wytworzenie, jak wyczerpanie każdego narzędzia sprowadza się do jednej jedynej chwili. »Jeśli to wszystko przypuścimy, to każde narzędzie musi znaleźć swoje miejsce w tym czy innym punkcie szeregu, którego szczeble (orders) określają się według długości okresu czasu, w ciągu którego umieszczone w nim narzędzia przekształcają się w wyniki o wartości, dwukrotnie przewyższającej wartość pracy ich wytwarzania (issue in events equivalent to double the labor expended in forming them), lub przekształcałyby się, gdyby nie zostały już uprzednio wyczerpane (or would issue, if not before exhausted). Członki te, czy szczeble, można przedstawić zapomocą liter A, B, C... Z, a, b, c i t. d. Na szczeblu A stoją te narzędzia, które już w ciągu roku zmieniają się w usługi o wartości dwukrotnie przewyższającej wartość pracy ich wytwarzania, lub zmieniałyby się, gdyby nie zostały już uprzednio wyczerpane; w klasie B te, które w ciągu dwóch lat oddają usługi o wartości, dwa razy większej od wartości pracy ich wytwarzania, poczem zostają wyczerpane; w klasie C czas uzyskania zdwojonych kosztów wytwarzania wynosi 3 lata; w klasie D — 4 lata, w klasie Z — 26 lat i t. d. Zazwyczaj R a e nazywa klasy o mniejszym okresie zdwajania, a więc klasę A i inne, do niej zbliżone, »the more quickly returning orders«, a klasy dalsze, bliższe Z: »the more slowly returning orders«¹⁾.

W praktyce rzecz idzie bardzo rzadko zgodnie z glądkiem, okrągłymi cyframi tego abstrakcyjnego schematu: częściowo dlatego, że okresy, po upływie których narzędzia się wyczerpują, odpowiadają zwykle częściom roku raczej, niż całym latom; częściowo dlatego, że całkowita capacity narzędzi często nie odpowiada dokładnie zdwojonym kosztom, lecz bywa od nich większą lub mniejszą. Pomimo to schemat ten zastosować można; potrzebne są tylko pewne poprawki, na które R a e w taki sposób wskazuje. Jeżeli capacity odpowiada dokładnie podwójnej sumie kosztów, ale okres czasu nie odpowiada całym latom, to dane narzędzie należy do klasy pośredniej, którą należy umieścić w schemacie na odpowiednim miejscu. Jeśli np. pewne narzędzie

¹⁾ Wyrażeń tych nie można zdaje się prawidłowo przetłumaczyć inaczej, niż »krótki i długi okres zdwajania«. Porówn. Mixtera op. cit., str. 177.

trwa $7\frac{1}{2}$ lat, to należy do klasy pośredniej, którą należy umieścić pomiędzy klasami G i H. Następnie, jeżeli zasób usług pewnego narzędzia się wyczerpie, zanim osiągnięta została podwójna suma kosztów wytwarzania, to należy sobie wyobrazić, iż trwanie narzędzia się przedłuża i zbadać, po upływie jakiego czasu usługi jego wzrosną do podwójnej sumy kosztów, jeśli nadwyżka nad kosztami produkcji rosnąć będzie dalej w dotychczasowym stosunku. Przypuśćmy na przykład, że ktoś zrobił jakieś narzędzie, ponosząc przytem kosztu wartości dwóch dni pracy, i że narzędzie to wyczerpuje się po upływie sześciu miesięcy, dostarczysz do tej chwili dochodu wartości 2.828 dni pracy: gdyby nadwyżka capacity nad kosztami rosła dalej w tym samym stosunku, to capacity po upływie dwunastego miesiąca wzrosłaby do czterech, »gdyż 2.828 jest stosunkowym (geometrycznym) środkiem pomiędzy 2 a 4«. Narzędzie będzie więc należało do klasy A, która w ciągu roku osiąga zdwojenie kosztów (102, 103). Podobnie w stosunku do narzędzi, których całkowita suma usług osiąga więcej, niż zdwojoną sumę kapitału, należy śledzić od początku postępy ich capacity i zbadać, po upływie jakiego czasu, przy tym samym postępie, osiągnęłaby dokładnie zdwojoną sumę kosztów. Ten przeciąg czasu decyduje o wprowadzeniu do klas schematu (103).

Wreszcie komplikacja z tego jeszcze może wyniknąć, że wytworzenie, lub wyczerpanie narzędzia, albo zgoła obie te rzeczy, nie dokonywują się, jak przyjęto narazie, w jednym jedynym momencie, ale, jak to istotnie najczęściej się zdarza, rozciągają się na dłuższy przeciąg czasu. Ale te okresy mają zawsze jak gdyby pewien punkt ciężkości¹⁾ w czasie, koło którego odnośne wysiłki lub wyniki tak się grupują, że zbyt wcześnie w stosunku do niego wypadające wynagradzają część spóźnioną. Punkty te ustalają więc »prawdziwy okres« wytworzenia²⁾, względnie wyczerpania (104, 105).

¹⁾ Tego słowa niema u R a e'a.

²⁾ Odrazu widocznem jest, że ten dłuższy okres czasu, na który rozkładają się usługi i prace, poświęcone wytworzeniu danego narzędzia, jest identyczny z »okresem produkcji« mojej teorii kapitału; ostatni zlewa się więc z tem, co R a e nazywa »period of formation«. Ale R a e nie zajmuje się więcej tem pojęciem, tylko przeciągiem czasu pomiędzy »period of formation«

R a e streszcza wreszcie wszystkie wpływy, mające znaczenie dla uszeregowania narzędzi w schemacie wyników w ten sposób, że narzędzie zalicza się do tem wyższej klasy, im większą jest jego zdolność dawania wyników, mniejsze kosztu i krótszy okres czasu pomiędzy wytworzeniem a wyczerpaniem (108).

Uważny czytelnik z łatwością zauważy, że całą tę budowę z podziałem na klasy można wznieść zapomocą o wiele prostszych i przystępniejszych wyrażeń i wyobrażeń. Sam R a e używa takiego sposobu, choć dopiero znacznie później (195). Do klasy należą więc poprostu te dobra, gdzie nadwyżka wyniku pracy nad kosztami wytworzenia sprawdzona do rocznego okresu stanowi 100% tych kosztów, i w ten sposób w ciągu roku podwaja wartość początkową; narzędzia z klasy B przynoszą 41% rocznie, narzędzia z klasy C — 26%, z klasy G — 10%, z klasy N — 5% i t. d.¹⁾. System R a e'a przedstawia więc poprostu uszeregowanie dóbr według wysokości procentu dochodu, który przynoszą.

Rozwinąwszy w tych przygotowawczych rozważaniach podstawową naukę o narzędziach, zwraca się R a e do kwestji, która, stosownie do celu jego dzieła, budzić musi największe zainteresowanie. Zapytuje mianowicie, od jakich przyczyn zależy suma narzędzi, które dany naród wytwarza i posiada, suma, w której odbija się wielkość bogactwa narodowego.

R a e ustala cztery takie przyczyny:

- 1) Ilość i jakość »materiałów«, które dany naród posiada, a więc pozostających w jego rozporządzeniu skarbów przyrody.
- 2) Siła popędu do gromadzenia czyli oszczędzania (the strength of the effective desire of accumulation).
- 3) Wysokość płacy roboczej.
- 4) Postęp zdolności wynalazczej (inventive faculty; str. 109).

i »period of exhaustion«, używając przytem w tych wyrażeniach słowa »period« często (np. na str. 104) nie dla oznaczenia istotnego przeciągu czasu, tylko dla oznaczenia chwili. Patrz wyżej, str. 324, odsył. 2.

¹⁾ Przy wyliczaniu okresu zdwajania z tej stopy zysku, bierze R a e naturalnie pod uwagę postęp geometryczny, a więc procenty złożone.

O pierwszej i trzeciej przyczynie niema Rae wiele do powiedzenia¹⁾. Tem szczegółowsze i oryginalniejsze są jego rozważania nad instynktem gromadzenia. Poprzedza je również bardzo ciekawem teoretycznym stwierdzeniem pewnego, doświadczalnego prawa, które przypomina częściową teorię Thünnena, częściowo zaś współczesne teorie kapitału.

Jeśli przypuścimy, że ludzka znajomość sił i właściwości materiałów pozostaje niezmienną, to capacity, którą uzyskują materiały, przetworzone w narzędzia, nie może nieokreślenie wzrastać bez posuwania wytwarzanych narzędzi wciąż niżej w serji A, B, C, i t. d., a więc do klas o coraz dłuższym okresie zdawiania, albo, jak możemy przystępniej powiedzieć, o wciąż mniejszych procentowych wynikach (the capacity... cannot be indefinitely increased without moving the instruments formed continually onwards in the series A, B, C, etc.); przeciwnie, nawet przy tym niezmiennym stanie wiadomości, o ile tylko dosięgły one znacznych rozmiarów, może capacity, którą uzyskują materiały, wzrastać bez dających się określić granic, nie wypychając narzędzi całkowicie poza serję A, B, C, etc., innymi słowy, nie niszczyć całkowicie nadwyżki capacity nad kosztami, względnie procentowego czystego dochodu (but there is no assignable limit to the extent of the capacity which a people having attained considerable knowledge of the qualities and powers of the materials they possess, can communicate to them without carrying them out of the series A, B, C, etc., even if that knowledge remain stationary. Str. 109).

Pierwszą część tego prawa uzasadnia Rae w sposób

¹⁾ Gatunek i sumę materiałów uważa Rae za fakt ważny, ale najdalszy (important but ultimate fact), który nie może stanowić przedmiotu jego badania (130); to samo ze stanem płacy roboczej, o którym mówi wprawdzie, że należy go przyjąć, jako an existing circumstance, ale też oświadcza krótko, że niski stan płacy roboczej wpływa tak samo, jak polepszenie jakości obrabianych materiałów, albo postęp w technicznych wynalazkach. Wszystkie te okoliczności bowiem umożliwiają w tym samym stopniu otrzymywanie tego samego produktu z mniejszym nakładem. Rae nie zapomina jednak zwrócić uwagę, że pod innym względem skutki wymienionych momentów są najzupełniej różne (130, 131).

następujący. Capacity narzędzi rosnać może albo przez powiększenie ich trwałości, albo przez powiększenie ich skuteczności (efficiency), albo przez przedłużenie czasu oddawania przez nie użytecznych usług, albo przez zwiększenie sumy tych usług w ciągu tego samego czasu.

Trwałość narzędzi wzrosnąć może z zasady tylko przez zwiększenie nakładu pracy przy ich wytwarzaniu. Jeśli np. dzięki zwiększonej pracy wytwórczej, trwałość domu mieszkalnego, któryby bez tego trwał 30 lat, podnosi się do 60-u lat, to fakt ten należy tak traktować, jak gdyby zapomocą tej dodatkowej pracy zbudowano drugi dom o trzydziestoletniej trwałości, którego się używa po zniszczeniu pierwszego. Ponieważ jednak dodatkową pracę dać trzeba natychmiast, to wyniki jej bardzo są odległe od chwili poniesienia tych kosztów, i, nawet jeśli koszty przekroczą, doprowadzają po bardzo długim okresie do ich zdwojenia. Wypadek ten zbliża się więc do wytwarzania narzędzia, należącego do jakiegoś »order of slower return«. Nie miałoby to miejsca tylko w razie, gdyby dodatek pracy, prowadzący do określonego przedłużenia trwania narzędzia, dawał się stale zmniejszać w geometrycznym postępie; ale, jak Rae słusznie zwraca uwagę, à la longue doprowadziłoby to do absurdu¹⁾.

Natomiast wzrost skuteczności, nadawanej materiałom przez staranniejszą obróbkę, natrafia à la longue na liczne trudności, które przemóc się dają tylko wielkim nakładem pracy. Ludzie zabierają się przedewszystkiem do obróbki tych materiałów, których siły ukryte najłatwiej w ruch puścić się dają, i które najszybciej i najobficiej przynoszą pożądane wyniki. Ponieważ jednak zapas materiałów, posiadany przez pewną społeczność, jest ograniczony, to członkowie jej, gdy chcą zwiększyć ilość narzędzi, które z materiałów tych wytwarzają, a umiejętność ich się nie zwiększa, muszą z biegiem czasu wziąć się do takich materiałów, które

¹⁾ If, therefore, continual additions be made to the durability of an instrument it cannot be preserved at an order of equally quick return unless the several augmentations be communicated to it by an expenditure diminishing in a geometrical ratio; that is in a ratio becoming indefinitely less, as it is continued. This, however, cannot happen, for, it would imply an absurdity« (str. 112).

albo bardzo trudne są do obrobienia, albo też dają pożądane wyniki nieprędko i skąpo. We wszystkich tych wypadkach skuteczność narzędzi osiąga się większym kosztem, co oznacza, że muszą one przejść do »orders of slower return« (112, 113).

Przejście to będzie bardzo szybkie, dopóki technika pozostaje nierozwinięta, a ludzie znają tylko nieliczne sposoby stosowania materiałów, więc szybko dochodzą do kresu znanych im sposobów korzystnego użycia; przeciwnie, w stanie rozkwitu umiejętności, kiedy ludzie znają liczne drogi i kombinacje, za pomocą których osiągnąć można cel zamierzony, to wprawdzie zawsze jedne drogi będą korzystniejsze od innych, ale stopniowanie bardzo łagodne, tak, że wywołane przez wyczerpanie najkorzystniejszych przejście do mniej korzystnych kombinacji doprowadzi do wytwarzania narzędzi, niezbyt oddalonych od siebie w schemacie rentowności (113).

Wreszcie, jeśli znane są bardzo liczne siły i właściwości bardzo licznych materiałów, to liczba kombinacji, w których można układać te siły i materiały do wzajemnego oddziaływania, będzie praktycznie nieskończona — tak, jak wciąż rosnąca ilość pierwiastków liczbowych pozwala na wciąż zwiększającą się, a ostatecznie nieskończenie wielką ilość kombinacji. Rozważanie to wyjaśnia drugą połowę powyższego prawa, a mianowicie, że u narodów o poważnie rozwiniętej technice niema właściwie granic stałego zwiększania się zapasu narzędzi, z tem jednym zastrzeżeniem, że, jak mówi pierwsza część prawa, przybywające narzędzia przechodzić muszą kolejno do coraz mniej korzystnych klas schematu (115). R a e uważa, że to abstrakcyjne rozważanie jest również i dowiadczalnie stwierdzone przez rzut oka na stosunki Wielkiej Brytanji, która w przeróbce na narzędzia materiałów swego ograniczonego terytorjum poszła już napewno tak daleko, jak żadne inne państwo świata; a jednak otwarte jest jeszcze przed nią olbrzymie, nieosiągalne do wyczerpania, pole dla dalszych przeróbek (116).

W jakim stopniu wyzyskanem być może to pole praktycznie, o tem przy nierozwijającej się technice decyduje stan tego czynnika, który R a e nazywa »siłą popędu do gromadzenia«. Badania nad nim wypełniają jeden z najciekawszych rozdziałów w książce R a e'a (118 i nast.).

Wytworzenie każdego narzędzia wymaga wydatku pewnej sumy pracy, albo jej odpowiedników, i przynosi zato inną, większą sumę pracy, albo jej odpowiedników. Wytworzenie każdego narzędzia wymaga więc ofiary z mniejszego terazniejszego dobra na to, by uzyskać większe, późniejsze dobro. Jeśli się uważa, że wytworzenie tego przyszłego większego dobra warte jest ofiary z terazniejszego mniejszego, to narzędzie zostaje wytworzone, w przeciwnym razie — nie. W tych warunkach każde społeczeństwo będzie tem dalej posuwało pomnażanie narzędzi, związane z umieszczaniem ich w klasach o coraz to dłuższym okresie zdawiania, im dłuższym jest okres, w ciągu którego poszczególni ludzie są skłonni poświęcić istniejące dobra dla uzyskania po upływie tego okresu dobra dwa razy większego. Jeśli skłonność ta przeciąga się do roku, dwóch, trzech, dwudziestu lat i t. d., to wytwarzanie narzędzi trwać będzie do klas A, B, C, T, i t. d., a w punkcie, w którym ustaje gotowość do ofiar, musi się też zatrzymać wytwarzanie narzędzi. »Zdecydowanie (determination) do poświęcenia pewnej sumy dóbr istniejących dla uzyskania innej, większej sumy w przyszłym okresie«, nazywa R a e »effective desire of accumulation« (119).

Następnie bada R a e przyczyny, jakie decydują o zachowaniu ludzi w tej kwestji, a więc siłę ich popędu do gromadzenia. W niepewności i krótkości życia, również jak w występującem z wiekiem zmniejszeniu się zdolności do odczuwania przyjemności widzi przedewszystkiem okoliczności, wskutek których »większość ludzi ceni terazniejszość o wiele wyżej, niż przyszłość«. Dlaczego mamy się troszczyć o dobra, z których będziemy mogli korzystać dopiero w czasach, w których może, albo, jeśli są bardzo dalekie, napewno, nie będziemy żyli, albo w których zmniejszy się nasza zdolność odczuwania przyjemności? (119, 120). Z tego wynika, że względ na natychmiastową przyjemność o wiele silniej podnieć może naszą uwagę, naszą zdolność wyobrażenia i nasze pragnienia, niż względ na zadowolenie przyszłe. »Niema może nikogo, komu by dobro, dziś podane do spożycia, nie wydawałoby się o wiele bardziej ważnem i przyjemnem, niż dobro zupełnie takie samo, ale mogące być spożyte dopiero po dwunastu latach, nawet jeśliby oba zadowolenia były równie pewne« (120). Gdyby więc, powiada R a e, ludzie brali w rachubę tylko własny osobisty interes, to siła ich działa-

jącego instynktu gromadzenia byłaby bardzo nieznaczna, i wytwarzano by tylko narzędzia o krótkim okresie zdawania (121). »Ale radości ludzkie nie są całkowicie osobistej natury« (not altogether selfish). Ludzie myślą nietylko o swojej osobistej korzyści, ale też o korzyści swej rodziny, przyjaciół, kraju, plemienia. Dzięki temu przyszłe dobra, które można zdobyć zapomocą ofiary z zadowolenia natychmiastowego, tracą »większą część swej niepewności i bezwartościowości« (uncertainty and worthlessness). Względ na pozostających, albo, ogólniej biorąc, »instynktu społeczne i miłości bliźniego« (social and benevolent affections) wykazują tendencję do znacznego wzmocnienia popędu do gromadzenia (122).

Drugim, silnie w tym kierunku wpływającym momentem jest siła naszych zdolności umysłowych, o ile w przeciwstawieniu do namietności chwilowych, stawiają nam przed oczy »w należytej potędze« przyszłe potrzeby zarówno nasze, jak cudze, i w ten sposób podtrzymują odpowiednią troskę o nie (122).

Następnie wszystkie wogóle okoliczności, podnoszące prawdopodobieństwo, że pewna troska o przyszłość opłaca się istotnie nam, czy komu innemu, sprzyjają sile popędu do gromadzenia. Taką okolicznością jest na przykład zdrowy klimat, zdrowy, pewny zawód. Przeciwnie, marynarze, żołnierze, mieszkańcy niezdrowych okolic są zwykle rozrzutni. Podobnie działa pewność i niepewność stanu społecznego, opieki prawa i t. p. (123).

Takie są główne okoliczności, które określają stosunek szacunku teraźniejszości i przyszłości u ludzi, którzy wogóle kierują się świadomymi motywami, w czasie, gdy kształtują swoje nawyki życia. Z chwilą, gdy się ukształtują, one to regulują przyszłe postępowanie i rządzą swymi danymi panami. Znaczna większość ludzi wogóle kształtuje te nawyki nie na podstawie własnego wyboru i zamiłowania, a poprostu za przykładem otoczenia i ogólnego kierunku, w którym idzie sposób myślenia i postępowania całego społeczeństwa (123). Pomiedzy rozmaitemi narodami zachodzą w tym względzie znaczne różnice, które pociągają za sobą równie znaczne różnice w stopniu, do którego dochodzi u nich wytwarzanie i gromadzenie narzędzi. R a e wyjaśnia to i wykłada w szeregu przykładów historycznych.

Do rozważania w m i a n y dóbr, jej praw i narzędzia-pieniądza, przechodzi R a e drogą bardzo dziwnego powiązania tematów. Nawiązuje do tego, że każdy usiłuje możliwie najszybciej wyczerpać zdolność swoich narzędzi do dawania wyników; ponieważ przytem szybciej się otrzymuje ich produkt. Dopóki to się udaje, narzędzia przechodzą do klas o krótszym okresie zdawania, i to wywołuje silniejszy popęd do gromadzenia i mnożenia narzędzi. To jest punkt widzenia, z którego rozważać trzeba użyteczność podziału pracy. Jeśli ktoś się ogranicza do pewnej określonej gałęzi produkcji, a więc i do wytwarzania takich narzędzi, które są dla niej potrzebne, to narzędzia nigdy nie są bezczynne, wskutek tego okres czasu pomiędzy ich wytworzeniem, a wyczerpaniem jest krótszy, przechodzą do »orders of quicker return«, a w tem się zawiera możliwość wzmoczonego gromadzenia i silniejszej troski o przyszłe potrzeby całego społeczeństwa (164, 165). To ujęcie korzyści, płynących z podziału pracy, według naszych dzisiejszych pojęć doprawdy bardzo jednostronne, wydaje się R a e'owi tak ważne, że poświęca jego obronie cały osobny dodatek (str. 352 i nast.), gdzie polemizuje przeciw A d a m o w i S m i t h o w i, który, jak wiadomo, zupełnie inaczej te korzyści tłumaczył.

Ale podziału pracy niema, jeśli niema wymiany; musi więc i ona być uwzględnioną w badaniach. Tutaj rozwija R a e krótką, ale zasługującą na uwagę teorię cen. Jest to bardzo przeornie i dobrze sformułowana teoria kosztów odtwarzania. Gdyby wytwarzanie przedmiotów kosztowało tylko pewną ilość pracy, to przedmioty, kosztujące jednakową ilość pracy, mogłyby być wymieniane jedne na drugie. Ale nie poprostu dlatego, że kosztowały jednakową ilość pracy, ale dlatego, że są narzędziami do zaspakajania przyszłych potrzeb, i tylko o tyle, o ile nie mogą być wytworzone kosztem mniejszej ilości pracy. Jeśli brak tego ostatniego warunku, np. jeśli wytwórca tylko przez niezręczność lub głupotę wydał tyle pracy, to kupiec nie zapłaci ceny, odpowiadającej faktycznemu wydatkowi pracy. R a e formuluje więc ściślej swoje prawo cen w ten sposób, że, jeśli w grę wchodzi tylko praca, to dany przedmiot sprzedaje się za inny nie w stosunku do pracy, wydanej na każdy z nich, lecz w stosunku do pracy, która musi być wydana (which is necessary to bestow) na wytworzenie

takich, nadających się do wymiany, środków zaspokajania potrzeb. Rae podnosi też bardzo słusznie, że, przy postępie techniki wytwórczej, przedmioty sprzedają się już nie za taką ilość pracy, jaką faktycznie kosztowały, lecz za tę mniejszą sumę pracy, potrzebnej teraz dla wytworzenia takiej samej rzeczy (166—169).

Ale oprócz pracy stanowi też czas pierwiastek, wchodzący w rachubę (one of the items to be taken into account). Oprócz pracy zużywają się, czy też wykorzystują narzędzia, surowce, warsztaty i t. p. Wynagrodzenie tego wszystkiego musi być przez cenę dóbr objęte i to według stopy, opierającej się nie tylko na pracy, niezbędnej do ich wytworzenia, lecz i na czasie, po upływie którego praca ta zostaje wynagrodzoną, a także według każdorazowej siły tego »effective desire of accumulation«. Jeśli np. warsztat tkacki, zużywany przez tkacza po upływie 7-u lat, kosztował 100 dni pracy, popęd do gromadzenia jest u danego osobnika wystarczająco silny, by przy wytwarzaniu narzędzia umieścić je w klasie G o siedmioletnim okresie zdwajania (»strength sufficient to carry him to the order G«), to współdziałanie warsztatu wymaga wynagrodzenia, które równa się 200 dniom pracy w końcu siedmioletniego okresu, albo, w razie wcześniejszego wykonania, sumie mniejszej, stosownie do czasu, lecz zawsze przekraczającej 100 dni pracy. Gdyby tkacz »nie miał moralnej pewności, że tyle uzyska, toby narzędzia tego nie wytworzył, a gdyby dochód ten się nie utrzymał, toby narzędzia nie odnawiał« (169, 170).

Ale nawet w tych wypadkach, gdzie pozornie tylko praca jest opłacana, w kształtowaniu się cen zauważyć można pierwiastek czasu. Jeśli np. robotnik podjął się rąbania drzew w lesie i wykonanie tej pracy trwa trzy miesiące, to wynagrodzenie jego wypadnie rozmaicie, zależnie od tego, czy zostanie wypłacone w początku, czy w końcu tych trzech miesięcy; »a różnica pomiędzy temi sumami, jak w innych wypadkach, zależy od tego, do jakich klas doszło wogóle, w danych warunkach, wytwarzanie narzędzi« (by the particular orders to which instruments, in that particular situation, are generally wrought up; str. 170).

Myśl tę w bardzo ciekawy sposób wyjaśnia uwaga, którą Rae zrobił wkrótce potem, choć w związku z czem innem. Wszystkie narzędzia posiadają zdolność zaspokaja-

nia potrzeb lub oszczędzania pracy¹⁾. Ale wyniki te mają nastąpić dopiero w przyszłości. Nie możemy tedy równie wysoko szacować tę samą sumę zaspokojonych potrzeb, czy zaoszczędzonej pracy, jeśli uzyskamy ją jutro, a jeśli uzyskamy ją dopiero za pięć, czy pięćdziesiąt lat. Inaczej musieliśmy uważać 100 rozrosłych drzew, które jutro mogą nam dać 100 miar drzewa opałowego, za równie wartościowe jak 100 młodych drzewek, które dopiero za 50 lat dostarczą nam tej ilości drzewa. Naturalny miernik dla porównywania między sobą takich dóbr, i dla sprowadzania ich do ilości obecnej pracy, daje stosunkowy szacunek, który dane osobniki wytwarzają sobie same odnośnie do teraźniejszości i przyszłości, to jest siła popędu do gromadzenia, panującego w danym społeczeństwie. Jeśli popęd do gromadzenia jest dość silny, by doprowadzić wytwarzanie narzędzi aż do klasy E z pięcioletnim okresem zdwajania, to narzędzie, które po upływie pięciu lat przynosi dochód wartości dwóch dni pracy, ocenione będzie jednakowo z jednym dniem obecnej pracy (171, 172).

Dalej wreszcie (str. 300) raz jeszcze krótko i zwięźle streszcza teorię cen w ten sposób: towary się wymieniają »na odpowiednie ilości pracy, obliczonej według czasu jej zastosowania i faktycznie osiągniętej klasy narzędzi« (for equal quantities of labor, reckoned according to the time when applied, and the actual orders of instruments).

Bardzo uważnemu czytelnikowi nie uszło zapewne uwagi, że Rae w tych różnych wypowiedzeniach się formułuje kwestję wpływu czasu na kształtowanie się ceny w dwóch nieco odmiennych warjantach, podkreślonych przez mnie rozstawionym drukiem. W paru ustępach stawia zasadę, iż moment czasu musi być wynagradzany zależnie od siły popędu do gromadzenia u danej jednostki lub w danym społeczeństwie, a więc zależnie od czynnika psychologicznego; według innych ustępów miernik wynagrodzenia brać należy z tej klasy dochodu, do której istotnie doszło wytwarzanie narzędzi w danym społeczeństwie. Sam Rae wiedział doskonale, że te dwie rzeczy wcale nie są identyczne. Siła po-

¹⁾ Patrz wyżej, str. 325.

Kapitał.

pędu do gromadzenia wyższą jest zazwyczaj od faktycznego nagromadzenia, które jest dopiero jej skutkiem: istotne nagromadzenie tylko wtedy może całkowicie odpowiadać popędowi do gromadzenia, jeśli ten »miał dosyć czasu na oddziaływanie«¹⁾; ale pewne okoliczności, pomiędzy którymi grają u R a e'a szczególnie ważną rolę nowe wynalazki, wprowadzają wciąż pewną przestrzeń pomiędzy istotnie uzyskanym, a dozwolonym przez stan psychologicznego czynnika, stanem nagromadzenia. Narazie zaznaczam tylko tę dwoistość w formułowaniu teorii cen i zastrzegam sobie powrót do niej przy krytycznej ocenie teorii R a e'a.

Wprowadzenie rachunku pieniężnego ujęło w prostą i jednakową formułę wszystkie operacje rachunkowe, które mają do czynienia z produktem narzędzi w stosunku do czasu, po upływie którego rozporządza się nim. Rachuje się według procentów rocznych²⁾. Produkt narzędzi, które się pożyczają na kredyt, nazywa się procentem (interest), wynik pracy narzędzi, które się samemu posiada i których się używa, nazywa się dochodem z kapitału (profit of stock). To ostatnie wyrażenie obejmuje zazwyczaj jeszcze wynagrodzenie fizycznego i umysłowego trudu przedsiębiorcy i wynagrodzenie za jego ryzyko. Jeśli się te pierwiastki wydzielą, to możemy zwykłą stopę zysku (rate of interest) przyjąć za odpowiedni miernik dla istotnej przeciętnej wysokości zysku z kapitału w danym kraju, a co za tem idzie, dla klasy rentowności, do której doszło wytwarzanie narzędzi (»at which instruments are there arrived«; 195, 196).

Pomimo, iż popęd do gromadzenia różnych jednostek pewnego narodu jest bardzo różny, można zauważyć, iż w tem samym społeczeństwie wszystkie istniejące narzędzia należą do tej samej, lub prawie do tej samej klasy rentowności (przystępniej mówiąc, że wszystkie kapitały przynoszą mniej więcej te same zyski). R a e tłumaczy to w następujący sposób. Ludzie rozrzutni i wogóle osoby, których »de-

¹⁾ R a e odróżnia wyraźnie, np. na str. 172, wypadki »where the effective desire of accumulation of a community has had opportunity to work up the materials possessed by it into instruments of an order correspondent to its own strength«, od wypadków, »where the accumulative principle has not yet had time fully to operate«; podobnie na str. 194 i 264.

²⁾ Patrz wyżej, str. 329

sire of accumulation« jest słabszy, niż przeciętny »desire« społeczeństwa, mogą więcej otrzymywać przy wymianie za narzędzia, znajdujące się w ich posiadaniu, niż narzędzia te są warte według ich własnej oceny teraźniejszości i przyszłości, i dlatego sprzedają je; osoby takie stopniowo uboższą. Przeciwnie, osoby o instynkcie gromadzenia silniejszym, niż przeciętny, są skłonne do wytwarzania narzędzi o niższej klasie rentowności, niż to jest przyjęte; ale to się okazuje zbyteczne, gdyż mogą kupować normalnie rentujące się narzędzia odrzucone przez rozrzutnych. »Są to naturalni nabywcy pochodzących z rąk rozrzutników części bogactw; nadmiar ich przezorności równoważy brak jej u tamtych i utrzymuje całość narzędzi w społeczeństwie mniej więcej w tej samej klasie« (198, 199). Ta jednolitość stopy dochodu narzędzi prowadzi do tego, że jednostki przyjmują ją za sprawdzian przy ocenie swoich interesów; interes, który zaspowiada przeciętną stopę zysku, uważany jest za zyskowny, i przystępuje się do niego, interes, który tego nie obiecuje, zostaje porzucany i uważany za niewygodny i narażający na straty; wyrażenia te, jak R a e słusznie wskazuje, nie są całkiem prawidłowe i w najlepszym razie mogą mieć słuszość względną, ograniczoną do określonego kraju i określonego czasu (205, 206).

Obok popędu do gromadzenia działa druga wielka siła: postęp zdolności wynalazczej. R a e czynnikowi temu poświęca bardzo ciekawe ogólne i historyczne rozważania. Dla nas najważniejszy jest sposób, jak wpływa techniczny postęp na wielkość bogactwa narodowego z jednej, i na wysokość stopy zysku z drugiej strony.

Istota wynalazków technicznych polega najczęściej na tem, że odkrywa się nowe lub podatniejsze materiały, lub też nowe ich użyteczne właściwości, czy sposoby oddziaływania, przyczem, szczególnie w tym drugim względzie, ogromną rolę grają postępy wiedzy (224 i nast.). Najbliższym skutkiem takiego postępu jest zawsze większa wydajność pracy, gdyż albo zapomocą tej samej pracy uzyskuje się większy wynik, albo też ten sam wynik zapomocą mniejszego nakładu pracy. Dalszym znowu skutkiem tego — o ile słusznem jest, przyjęte przez R a e'a jako konieczne, teoretyczne przypuszczenie, iż narzędzia są oceniane w stosunku do

ich fizycznych wyników ¹⁾ — że narzędzia, wskutek polepszenia się stosunku pomiędzy ich capacity a kosztami, przechodzą do »more speedily returning orders« (258, 259). Skutek ten, pomimo, iż narazie obejmuje tylko te specjalne narzędzia, do których się odkrycie bezpośrednio odnosi, bardzo szybko rozszerza się na wszystkie narzędzia, posiadane przez dane społeczeństwo. Jeśli np. zrobiono postępy w wypiekaniu chleba, które umożliwiają wyrabianie równie dobrego chleba kosztem o połowę mniejszej pracy i wydatku ognia, to dobrodziejstwo tego wynalazku wyjdzie na korzyść nie tylko piekarzom, ale i całemu społeczeństwu. »Piekarze uzyskują małą podwyżkę swego zysku, a całe społeczeństwo będzie miało chleb kosztem nieco mniejszej pracy, a każdy spożywca chleba, a więc każdy członek społeczeństwa, przy tym samym wydatku otrzyma nieco więcej. Cały szereg narzędzi, posiadanych przez społeczeństwo, będzie nieco produktywniejszy i przejdzie do klas szybszego wyniku pracy« (would be somewhat more productive, would be carried to an order of quicker return; 259).

W ten sposób każdy wynalazek, popychając całość narzędzi w pewnym społeczeństwie do »more productive orders«, zwiększa tę wielkość, którą R a e nazywa jego »absolutnym kapitałem i bogactwem« (absolute capital and stock) t. j. kapitał narodowy, mierzony tym idealnym miernikiem, który R a e nieco wcześniej (str. 172, patrz wyżej str. 337) ustalił dla oceny wszystkich narzędzi, służących przyszłości.

Jeśli się mianowicie szacuje narzędzia według ich przyszłych wyników, przerachowanych na natychmiastową pracę według panującego w danym społeczeństwie stosunku oceny teraźniejszości i przyszłości, to wywołane przez postęp zdwojenie wyniku przy niezmiennym »desire of accumulation« musi prowadzić do dwa razy wyższego szacunku narzędzi, lub do zdwojenia przedstawionego przez narzędzia absolutnego kapitału. Zazwyczaj jednak szacują ludzie swe narzędzia według innego miernika, a mianowicie według stosunku wymiennego jednych na drugie, przyczem przyjmują pewne określone dobro (pieniądz) za miernik, do którego przyrównuje się wszystkie inne narzędzia. Szacowanie dóbr według tego miernika, a więc według wartości zamiennej w sto-

¹⁾ Porówn. wyżej, str. 325—6.

sunku do innego rodzaju narzędzi, prowadzi do pojęcia »względego kapitału lub bogactwa« (172). Ten względny kapitał nie zwiększa się bezpośrednio na skutek wynalazków. Bezpośrednio bowiem na skutek ulepszeń zwiększa się nie suma, lecz capacity istniejących narzędzi. Jeśli zwiększenie to jest jednakowe dla różnych narzędzi, to niema żadnej racji wymieniania ich w innym stosunku, niż poprzednio; jeśli zaś zwiększenie to jest niejednakowe, to wprowadzie przy wymianie będzie się wzamian za pewne narzędzia wymagało większej ilości narzędzi innego gatunku, niż poprzednio, ale naturalnie wartość zamienna tych ostatnich narzędzi zmniejsza się wówczas w tym samym stosunku, i całość »względnej, czyli zamiennej wartości« (relative or exchangeable value) bogactwa narodowego pozostaje niezmienną (260).

Ze jednak wzrost bezwzględnego stanu bogactwa posiada istotnie realne znaczenie, o tem świadczą następujące trzy okoliczności:

- 1) członkowie społeczeństwa cieszą się obfitszem zabezpieczeniem swych przyszłych potrzeb,
- 2) dane narodowe gospodarstwo staje się potężniejszem w porównaniu do innych, i
- 3) pośrednio wywołuje to przyrost sumy narzędzi czyli narodowego bogactwa.

Techniczny postęp umożliwia wciągnięcie do gospodarki mniej nadających się do obróbki lub oporniejszych materiałów, dotychczas nie wziętych pod uwagę; zwiększa się w ten sposób zasób nadających się do obróbki materiałów, a w dalszym ciągu i suma narzędzi, wytwarzanych z materiałów, które dany kraj posiada. W ślad za tem rośnie wreszcie suma wartości zamiennej, którą przedstawia zwiększona masa istniejących narzędzi, czyli »względny kapitał« narodu. Rozmiary tego przyrostu zależą całkowicie od jakości i ilości materiałów, znajdujących się w »następnej niższej« warstwie, wciągniętej w zakres obróbki na skutek ulepszeń (quantity of materials of the next lower grades). Czasami, przy pewnym stanie popędu do gromadzenia, już małe ulepszenie wprowadza w zakres tego gromadzenia wielką ilość materiałów, czasami przeciwnie nawet poważny postęp wywołuje tylko nieznaczne zwiększenie ilości narzędzi, (262, 263).

Wprowadzenie ulepszeń pociąga zazwyczaj za sobą z wyżej wyluszczonych powodów wysoką stopę zysku, o ile, naturalnie, w grę nie wchodzi przeciwdziałające czynniki. Wynikająca z przyczyn tych wysoka stopa zysku jest wskaźnikiem (indicative) tego, że zaszło bezpośrednio zwiększenie absolutnego kapitału gospodarki narodowej, i, jak wyżej wskazałem, prowadzi do odpowiedniego zwiększenia kapitału względnego. Wysoka stopa zysku musi jednak mieć miejsce i w tych krajach, gdzie popęd do gromadzenia jest słaby. W takim razie jednak zupełnie inaczej sądzić ją należy. Nie jest ona wtedy ani wskaźnikiem powiększania dochodów poszczególnych członków danego narodu, ani wskaźnikiem przyszłego powiększania ich względnego kapitału (263).

Wkońcu zajmuje się jeszcze R a e tendencjami, wrogiemi zwiększaniu się bogactwa narodu, a wśród nich głównie zbytkiem i niszczytelstwem (waste) wynikającym z działalności poszczególnych jednostek i państw (wojna!). Teoretycznie interesującym jest tu podział dóbr na »luxuries« i »utilities«. Utilities — są to dobra, szacowane według swych fizycznych właściwości, które czynią je zdatnymi do zaspokojenia naszych istotnych potrzeb; luxuries — dobra, szacowane według swej zdolności zaspokajania próżności (vanity) (Spis rzeczy, str. XV). Dobrami zbytkownymi są te, które nie podporządkowują się postawionej przez R a e'a w początku (str. 94, patrz wyżej str. 325—6) teoretycznej hipotezie, iż dobra porównywane są między sobą i szacowane na podstawie swych fizycznych właściwości; podstawą szacunku jest w nich kosztowność, a nie zdolność istotnego zaspokojenia potrzeb (305 i gdzie indziej).

Rozważanie współdziałania wszystkich okoliczności, dotyczących natury i wytwarzania dóbr, prowadzi wreszcie R a e'a raz jeszcze do związłego przeciwstawienia sobie sposobu działania obu sił zasadniczych: »inventive principle« i »accumulative principle«. Pierwszy rozszerza potęgę człowieka i zwiększa bogactwo narodowe w ten sposób, że przenosi zawarte w niem narzędzia do klas of quicker return. »Accumulative principle« prowadzi człowieka do wciągania w zakres swego działania coraz to nowych kręgów zjawisk i zwiększa bogactwo, podnosząc capacity zna-

nych już narzędzi i obrabiając nowe materiały; przytem, w zupełnem przeciwieństwie do »inventive principle«, przenosi narzędzia do klas of slower return (321, 322).

b) Krytyka.

Aby bezstronnie ocenić zasługi R a e'a na naszym polu, musimy pamiętać, iż zainteresowania jego i poglądy kierowały się do zupełnie innego celu, niż wyjaśnienie zysku z kapitału. R a e'a obchodzi zwiększanie się narodowego bogactwa. Głębokie swe badania prowadzi wszędzie dopóty, dopóki jest to użyteczne dla tego głównego tematu. Wychodząc z tego punktu widzenia natyka się na kwestje, związane z zyskiem kapitału, a te naprowadzają go między innemi na jego schemat narzędzi o różnych klasach rentowności. Osiągnięta każdocześnie klasa rentowności jest wskaźnikiem stopy zysku; lecz ważniejszym dla niego od wpływu na stopę zysku jest to, że przesuwanie się i cofanie granicy rentowności wpływa na sumę narzędzi, które mogą być wytworzone, a przez to na wysokość bogactwa narodowego. R a e zajmuje się zagadnieniem zysku, ale tylko dlatego, że znajduje się ono na drodze do jego zasadniczego celu, i o tyle, o ile nie każe mu z tej drogi zbacząć. Skutkiem tego jest szczególna niejednorodność ujęcia. Przesłanki do teorii zysku, które są jednocześnie przesłankami do jego poglądów na zwiększenie się bogactwa narodowego, opracowane są bardzo gruntownie i szczegółowo, np. przyczyny, określające effective desire of accumulation. Natomiast te przesłanki, które mogą służyć tylko właściwemu zagadnieniu zysku, jako zagadnieniu podziału, traktowane są bardzo skąpo; tak np. cała teoria kształtowania się wartości zamiennej i ceny ściśnięta jest na czterech stronicach (166—170), albo, co bardzo charakterystyczne, wysokość płacy roboczej, która powinna być koniecznie poruszona przy zagadnieniu podziału, ponieważ niewątpliwie znajduje się w stosunku wzajemnej zależności do wysokości zysku z kapitału, nie jest poddana żadnemu badaniu, a przyjmuje się ją po prostu, jako daną niezmienną wielkość (str. 97, 130 i nast.). W związku z tem znajduje się i ten dalszy skutek, iż w owych przypadkowych uwagach, w których R a e porusza i załatwia zagadnienie zysku z kapitału, jako zagadnie-

nie podziału dóbr, nie spotykamy owej fenomenalnej gruntowności i skończoności, z którymi zazwyczaj szereguje swoje myśli, gdy idzie swą główną drogą.

Z rozważań R a e'a nad zagadnieniem zysku wydzielić można dwa szeregi myśli. Jeden szereg myśli wyjaśnia zysk, powołując się na wpływ czasu na szacunek potrzeb i dóbr. Pomimo, iż R a e nie rozwinął go w sposób ciągły, lecz przedłożył czytelnikowi częściowo przy rozmaitych sposobnościach, zawartość jego stanowi zamkniętą w sobie całość. Streścić ją można w następujących zdaniach. Wobec przyczyn, leżących we własnej naszej osobowości, a mianowicie wobec krótkości i niepewności życia, wobec przewidywanego zmniejszania się naszej zdolności do odczuwania przyjemności, wreszcie wobec namiennej skłonności naszej do życia chwilą, szacujemy uciechę i potrzeby terażniejsze, a co za tem idzie, i środki zaspokojenia potrzeb terażniejszych, wyżej, niż przyszłe uciechy, potrzeby i środki ich zaspokojenia. Wskutek tego wyższego szacowania terażniejszości, nie uważamy się za dostatecznie wynagrodzonych za natychmiastową ofiarę z dóbr i pracy, jeśli w przyszłości, w drodze produkcji, mamy otrzymać zapomocą produkcji tylko tyle, ileśmy w terażniejszości ofiarowali; za rozsądną uważać będziemy natychmiastową ofiarę tylko w takim razie, jeśli przyszły wynik produkcji przynajmniej o tyle przewyższy natychmiastową, dla tej produkcji poniesioną, ofiarę, o ile wyżej szacujemy terażniejszość, niż przyszłość. Jeśli cena produktu nie zawiera wystarczającego z tego punktu widzenia wynagrodzenia, to nikt się nie zajmie produkcją danego artykułu, a ci, co to robili, porzucą ją, i w ten sposób z biegiem czasu wymuszona zostanie taka cena, która, oprócz zwrotu wydatków, pozostawi jeszcze przedsiębiorcy pewien nadmiar, odpowiadający społecznej ocenie stosunku terażniejszości i przyszłości, oraz długości okresu, po upływie którego wydatki te zostają zwrócone. Ten nadmiar przedstawia dochód z kapitału¹⁾.

¹⁾ Ten bieg myśli wynika szczególnie z wzajemnego związku rozważań R a e'a na str. 118 i nast., 17 i 169 i nast. Największy wyraz znajduje w licznych ustępach, w których R a e ustala związek pomiędzy momentem czysto psychologicznym, »strength of the effective desire of accumulation« a kształtowaniem ceny i zysku. Przeciwnie, wprowadzenie »actual order of instruments«

Ten szereg myśli zawiera wielki i oryginalny krok naprzód w stosunku do różnych przyczynków, które się znajdują w starej literaturze. Jak wiemy, Galiani i Turgot w dorywczych, ogólnikowych wypowiedzeniach się konstatawali związek zysku z nierówną oceną dóbr obecnych i przyszłych, lecz myśli tych planowo nie rozwinęli, a nawet zgola nie pozostali im wierni¹⁾. Nieco później głośny utilitarysta Bentham — dla którego może tutaj najodpowiedniejsze znajdzie się miejsce — wypowiedział myśl tę najzupełniej wyraźnie, ale również nie rozwinął jej w szczegółową teorię zysku. W jednej ze swych prac filozoficznych formułuje mianowicie zupełnie kategorycznie psychologiczną przesłankę, iż na »wartość« uczuć zadowolenia wpływa, między innymi, obniżając tę wartość, oddalenie chwili pojawienia się tego uczucia²⁾; i przy innej sposobności wiąże on ten fakt psychologiczny ze zjawiskiem zysku zapomocą uwagi, że różną jest również wartość dwóch sum pieniężnych tej samej wielkości, z których jedna może być wypłaconą niezwłocznie, a druga dopiero po upływie dziesięciu lat od danej chwili, i że np. przy stopie zysku 5% wartość drugiej sumy wynosi tylko połowę wartości pierwszej³⁾. W jednym zaś z pism jego ekonomicznych znajduje się zupełnie temu odpowiadające lapidarne zdanie, że pożyczanie pieniędzy na procent nie jest niczem innym, jak tylko wymianą pieniędzy terażniejszych na przyszłe⁴⁾. Ponieważ jednak brak zupełnie dalszego rozwinięcia wyjaśniających ogniw, któreby prowadziły od tej przesłanki psychologicznej do zjawiska zysku, szczególnie do pierwotnego zysku z kapitału — przeciw niewyjaśnionem jest prawie, czy Bentham wprowadza zysk z tej psychologicznej przesłanki, czy też prze-

zamiast »strength of desire«, jako regulatora ceny i zysku, należy, jak zobaczymy, do innego szeregu myśli.

¹⁾ Patrz wyżej, rozdział III.

²⁾ Principles of Moral and Legislation, R. IV.

³⁾ Works IV, str. 540 (Codification Proposal; cytowany według Cuhel'a, Lehre von den Bedürfnissen, § 404. Pokrewny, tylko trochę bardziej ogólnie traktowany, jest ustęp w końcu cytowanego R. IV w Principles: »Wartość pewnego dobra wzrasta i obniża się, jak się na ogół przyjmuje... zależnie od bliskości lub oddalenia chwili, w której ... ma się ono znaleźć w naszym posiadaniu«.

⁴⁾ Defence of Usury, Letter II.

ciwnie, ja wywodzi z ustalonego już istnienia zysku¹⁾ — więc i Bentham nie wiele więcej uczynił dla rozwoju teorii zysku od Galianiego i Turgota. Dodać jeszcze należy, że skutek przypadkowego zbiegu okoliczności, ciekawe wzmianki Benthama nie wywarły prawie żadnego wpływu na późniejszy rozwój literatury ekonomicznej. O ile poważnie oddziałal Bentham na kierunek myśli angielskiej szkoły ekonomicznej swego czasu przez swą hedonistyczną filozofję, o tyle ten szczególny rys jego nauki psychologicznej nie został zauważony. Ja przynajmniej nie mogłem znaleźć pewnego śladu jego wpływu w literaturze wcześniej, niż u Jevonsa; czy zaś Rae wogóle znalazł te wywody Benthama i czy znajdował się w jakimś stopniu pod jego wpływem — musimy zupełnie pominąć wobec braku określonych punktów oparcia²⁾.

W każdym razie Rae pierwszy rozwinął całkowicie, dobrze uzasadniając, te zarodki myśli. Robiąc to, wykończył on jednocześnie w innym kierunku schemat, którego szkic narzucili Smith, Ricardo i Malthus w niewystarczających, ogólnikowych wypowiedzeniach, wskazując na to, iż kapitaliści muszą być zainteresowani w tworzeniu kapitałów i produkcyjnem ich zastosowaniu, i że, gdyby ceny dóbr nie zawierały oprócz zwrotu kosztów żadnego dochodu kapitału, tworzenie się kapitałów musiałoby zatrzymać się i całkowicie ustać³⁾. Wszystkie te ogólniki znajdują u Rae'a treść, składającą się na prawdziwą teorię.

Żeby od razu określić też stanowisko Rae'a wobec późniejszego rozwoju literatury, powiemy, że, gdyby ten szereg myśli pozostał u Rae'a jedynie, to wyprzedziłby to, co w 37 lat później Jevons wogóle mówił na temat terazniej-

¹⁾ Patrz Dodatek XI do 3-go wyd. mojej »Positiven Theorie«, str. 308 i nast.

²⁾ Ponieważ w znanej mi podówczas literaturze ekonomicznej nie znalazłem ani śladu jakiejś teorii zysku Benthama (i u Jevonsa zetknąłem się z Benthamem cytowanym tylko, jako filozoficzny odpowiednik dla ogólnej psychologicznej tezy, nie jako autor teorii zysku!), w obu pierwszych wydaniach niniejszego dzieła wspominałem Benthama bardzo pobieżnie, jako przeciwnika kanonicznego zakazu pobierania zysku. Dopiero wydana w 1901 r. rozprawa Oskara Krausa »Zur Theorie des Wertes. Eine Bentham-Studie«, zwróciła mi uwagę na ciekawe przyczynki Benthama do teorii zysku.

³⁾ Patrz wyżej, rozdziały V i VI i str. 153.

szości i przyszłości; wyprzedziłby dokładnie to, co znów w 15 lat później mówili Launhardt i Sax, specjalnie o zysku z kapitału, zastosowując dosyć mechanicznie myśli Jevonsa; wyprzedziłby wreszcie to, co sam myślałem w pewnem wcześniejszem stadium badań nad przyczynami zysku z kapitału, a czem się nie zaspokoilem, uważając to za wyjaśnienie, niewystarczające dla całkowitego rozwiązania zagadnienia.

Uważam mianowicie za zupełnie prawidłową myśl, iż zysk wynika ostatecznie z różnej oceny dóbr obecnych i przyszłych; uważam dalej za zupełnie słuszne, iż różna owa ocena wpływa pomiędzy innemi z tych czysto psychologicznych przyczyn, które Rae przytacza; ale równie niewątpliwe mi się wydaje, że przyczyny te nie mogą stanowić jedyne go wyjaśnienia zjawiska zysku. Rae, również jak i Jevons, wiedzieli o tem. Fakty, znane nam z doświadczenia, nie zostawiają żadnej wątpliwości co do tego, iż na bieg i stan stopy zysku wpływają nietylko czysto psychologiczne względy na krótkotrwałość i niepewność naszego życia i naszej zdolności odczuwania przyjemności, oraz na większe ponęty chwili obecnej, ale też i fakty, związane z techniką produkcji: te same fakty i doświadczenia, które nas już poprowadziły w znanym teoretycznym kierunku idei samodzielnej »produkcyjności kapitału«. Trudność — i to, sędzę, największa i najciekawsza trudność całego zagadnienia zysku — polega tylko na wykazaniu, w jaki sposób i poprzez jakie ogniwa pośrednie te różnorakie przyczyny częściowe, w części obiektywne techniczne, w części wysoce subiektywne, psychologiczne, wpływają wzajemnie na siebie i na swój ostateczny wynik, znany nam z doświadczenia jednolity zysk z kapitału. Sędzę, iż nie mogę lepiej dopomóc do zrozumienia stanowiska Rae'a w tej kwestji, jak, w dalszym ciągu wyprzedzając wykład, od razu zcharakteryzować w paru ogólnikowych zdaniach punkt widzenia tych pisarzy, którzy się po Rae'a tą sprawą zajmowali. Odwracając chronologję, zajmę się najpierw własną moją teorią.

Ja usiłuję dowieść, iż zjawiska z dziedziny techniki produkcji, które rozpatruję z punktu widzenia większej wydajności technicznej okólnych procesów produkcji zabierających więcej czasu, stanowią częściową przyczynę tego, iż wyżej od przyszłych dóbr szacujemy terazniejsze, których

posiadanie umożliwi nam stosowanie tych wydajnych, więcej czasu zabierających, okólnych procesów produkcji. Według tego ujęcia, fakty psychologiczne i techniczno-producyjne działają już odrazu wspólnie, jednocząc działanie swoje przedewszystkiem w kierunku tego ogólnego wyniku, że dobra terażniejsze szacowane są wyżej, niż przyszłe: wynik ten staje, jako jedyne wyjaśniające ogniwo, pomiędzy częściowymi przyczynami, które mu dają początek, a zyskiem z kapitału, który z niego znów wypływa w charakterze dalszego skutku ¹⁾).

Jevons natomiast nie widział, czy też nie znalazł możliwości wprowadzenia faktów czysto psychologicznych i faktów z dziedziny techniki produkcji na drogę wspólnego wyjaśnienia. Daje więc tylko eklektyczne dwojakie wyjaśnienie, przyczem żadna z tych dwu części nie wychodzi poza zakres mniemań dawnej szkoły. Fakty z dziedziny techniki produkcji występują tak jak w starej teorii produkcyjności, z tą tylko różnicą, że Jevons słusznie przypisuje przyczynowy wpływ na wielkość technicznego wyniku długości czasu, który upływa pomiędzy rozpoczęciem a zakończeniem procesu produkcji; momenty psychologiczne zużytkowane są dla wyjaśnienia zysku jedynie pod dawnym hasłem »wstrzemięźliwości«, świetne zaś i oryginalne badania nad psychologicznymi przyczynami niższego szacowania dóbr przyszłych właściwie wcale nie są wyzyskane ²⁾).

Launhardt i Sax również, jak się zdaje, nie odczuli potrzeby wprowadzenia faktów techniki produkcji do wyjaśnienia znanego nam z doświadczenia zjawiska zysku. Wbrew poglądom tego, który był im wzorem zadowolają się tem, że przygotowane, lecz nie zastosowane przez Jevonsa, materiały do częściowego wyjaśnienia biorą za jedyną podstawę do rzekomego całkowitego wyjaśnienia zysku z kapitału ³⁾).

Rae wreszcie zupełnie słusznie uznał, iż oprócz psychologicznych rozważań i względów człowieka muszą też wywierać wpływ jakiś na zysk z kapitału pewne obiektywne

¹⁾ Po szczegóły odesłać muszę czytelnika do drugiego tomu mej pracy, zawierającego pozytywną moją teorię (w pierwszym wydaniu, str. 248 i nast. i 273 i nast., w trzecim 426 i nast. i 453 i nast.

²⁾ Szczegóły patrz niżej, w rozdz. XIII.

³⁾ Szczegóły patrz niżej, w dodatku do tego tomu.

fakty z zakresu techniki produkcji; wie np. i wyraźnie podkreśla, iż przy zupełnie niezmiennym stanie psychologicznych momentów wynalazek lepszych technicznie metod produkcji może podnieść stopę zysku; i dlatego do pierwszego, czysto psychologicznego, szeregu myśli dołącza drugi, dotyczący się techniki produkcji. Zdaje mi się jednak — i tu rozchodzę się z P. Mixtersem ¹⁾ — że to właśnie stanowi słabą stronę jego nauki. Rae nie opanował piętrzących się tu trudności zagadnienia. Jak wielu przed nim i jak sam Jevons jeszcze po nim, zbyt łatwo i lekkomyślnie przyjął techniczne zwiększenie wyniku produkcji za zwiększoną nadwyżkę wartości ponad kosztą produkcji, i dlatego wyjaśnienia, które były w stanie uzasadnić pewne zwiększenie ilości produktów, potraktował przedwcześnie jako wystarczające wyjaśnienia zjawisk nadwyżki wartości i zysku. W tej części wywodów Rae'a najlepiej daje się wyczuć to, na co wyżej już zwracałem uwagę, a mianowicie, że wytłumaczenie zysku z kapitału nie było głównym celem jego badań. Pewne badania, niezbędne tylko dla zagadnienia podziału, nie dla zagadnienia produkcji, traktuje Rae lekko i ani sobie, ani czytelnikom nie przedstawia ich w formie ciągłego, logicznie zakończonego rozumowania. To też skoki logiczne, brak związku pomiędzy tem, do czego Rae wcześniej doszedł, a tem, do czego przy innej, dalszej okoliczności chce nawiązać, wreszcie sprzeczności o wiele łatwiej mogły pozostać niedostrzeżone, niż w razie gdyby Rae wziął zagadnienie zysku za główne teoretyczne zadanie i krok za krokiem zbadał i powiązał ze sobą ogniwa łańcucha myśli, prowadzących od empirycznych podstawowych faktów do wyjaśnienia zysku z kapitału.

Rae w swem psychologicznem wyjaśnieniu zysku wprowadza dwukrotnie moment techniki produkcji. Po pierwsze z punktu widzenia techniki produkcji usiłuje wyjaśnić, dlaczego przy wzrastającym bogactwie, a zastoju wynalazków ludzie muszą się zadowalać coraz to mniejszą nadwyżką wartości. Tłumaczy to ograniczonym, skąpym zasobem materiałów najlepszego gatunku i koniecznością stopniowego używania coraz to gorszych materiałów przy wyrabianiu narzędzi, które też osiągnąć mogą ten sam wynik

¹⁾ Patrz wyżej, str. 320.

produkcyjny tylko zapomocą większego nakładu pracy lub większych kosztów i dlatego zostawiają mniejszą nadwyżkę capacity ponad koszt¹⁾.

P o d r u g i e; prawidło odpowiadające psychologicznemu biegowi myśli, że stopa zysku musi odpowiadać psychologicznej sile społecznego popędu do gromadzenia, przetwarzania, opierając się na rozumowaniach zaczerpniętych z dzieziny techniki produkcji, w prawidło odmienne, że stopa zysku kieruje się według tego poziomu wyników produkcji, który odpowiada faktycznej, przez faktyczne nagromadzenie określonej, ilości gotowych narzędzi. Tutaj wprowadza R a e wynalazki, »inventive principle«. Ponieważ skutek wynalazków w tem się przejawia, że narzędziom przy tym samym wydatku pracy nadaje się większą capacity, zwiększa się też nadwyżka capacity ponad koszt, a wskutek tego narzędzia przenoszą się do klas o krótszym okresie zdawiania, lub wyższym procentowo wyniku. Dopóki jednak można wytwarzać narzędzia o wyższej rentowności, to naturalnie ludzie, którym »strength of the effective desire of accumulation« pozwala przejść do wytwarzania narzędzi o niższej rentowności, nie będą tego czynili; dopóty też nie stan psychologicznego »desire of accumulation«, ale wyższy istotny wynik pracy tych klas narzędzi, które się osiągnęło przy stopniowym zużytkowywaniu najlepszych warunków produkcji, odegrywa główną rolę we wszystkich handlowych obliczeniach, przy kształtowaniu się ceny, a wreszcie przy ustalaniu zwykłej stopy zysku. To też w przeważnej ilości odnośnych ustępów swego dzieła zastępuje R a e »strength of the effective desire of accumulation«, jako przyczynę określającą zysk, przez »actual order«, »at which instruments are arrived«, lub »to which instruments are generally wrought np.«¹⁾.

¹⁾ Patrz wyżej, str. 331. Dodatkowe dowodzenie, iż trwałość dóbr nie może bezgranicznie wzrastać, nie prowadząc do obniżenia procentu zysku (patrz wyżej, str. 331) jest rzeczowo prawidłowe, lecz nie przenika zjawiska do głębi.

²⁾ Np. str. 170, 196, 300 i inne. Powyższy bieg myśli utworzony jest z rozszaniych uwag R a e'a. Najważniejsze ustępy znajdują się na str. 258 i nast. (Wynalazki), 170 (Kształtowanie się ceny), 205 i nast. (zwykła stopa procentowa); dalej na str. 194 i 172, gdzie znajdują się uwagi nad tem, czy »desire of accumulation« miał już czas okazać swoje działanie.

Latwo spostrzec, że R a e wyprowadza tu fakty techniki produkcji na pierwszy plan wyjaśnienia, i to, jak odrazu można zauważyć, w sposób niezmiernie zbliżony do odpowiednich wywodów Th ü n e n a. Nietylko, że u obu pisarzy powraca niemal w dosłownem brzmieniu ta sama z techniki produkcji wyprowadzona przyczyna stopniowego obniżania się stopy zysku, polegająca na tem, że po wyczerpaniu najbardziej wydajnych warunków produkcji »dalsze wytwarzanie kapitału zwracać się musi do mniej skutecznych narzędzi«, ale też wzór Th ü n e n a, iż panująca stopa zysku zależy od wydajności »ostatniej zastosowanej części kapitału« jest poprostu tylko innym sposobem wypowiedzenia myśli R a e'a, iż rentowność tej klasy narzędzi, która została właśnie osiągnięta przy stopniowym zużywaniu korzystniejszych warunków produkcji, stanowi wytyczną przy ustalaniu zwykłej stopy zysku¹⁾. Musimy tylko w obu wypadkach spytać, czy przesłanki, wzięte z zakresu techniki produkcji, są tak zużytkowane, iż można z nich wyprowadzić istotne i zupełnie wystarczające wytłumaczenie tego, co miały wytłumaczyć? W stosunku do Th ü n e n a musieliśmy na pytanie to odpowiedzieć przecząco, i w stosunku do R a e'a odpowiedź ta nie wypadnie inaczej.

Stara to piosenka, znana nam od czasu teorii produkcyjności: miesza się tu zawsze ze sobą fizyczną i wartościową produkcyjność. To *Quid pro quo* przewija się przez całą myślową budowę R a e'a, i, co szczególne, napół świadomie, a napół nieświadomie. Sprawcą pomieszania jest pojęcie »capacity« i często jednoznacznie z niem używane pojęcie »return«. W oficjalnej definicji »capacity« określone jest najpierw, jako pojęcie czysto techniczne. Wszystkie narzędzia« czytamy na str. 92, »dają pewne wyniki (events), albo też przyczyniają się do ich powstania; wyniki te zaspokajają potrzeby ludzkie. Zdolność dawania takich wyników, albo też sumę (the ammount of them) oddanych usług nazywamy ich capacity«. Capacity więc jest wielka lub mała,

¹⁾ Patrz wyżej, str. 168. Uważam za niewątpliwie, iż obaj pisarze zupełnie niezależnie od siebie doszli do analogicznych wyników. Badania ich, aczkolwiek nie wydawane prace, były mniej więcej jednoczesne, a obaj byli nie tyle zapalonymi czytelnikami, ile samotnymi myślicielami, których doktryny noszą piętno najzupełniej samodzielnej pracy myśli.

zależnie od tego, czy zaspokaja dużo, czy też mało potrzeb, względnie, jeśli narzędzie jest dobrym produkcyjnym, nie służącym wyłącznie zadowoleniu człowieka, od tego, czy dużo, czy też mało produktów wytwarza się z jego pomocą. W tym samym technicznym sensie ilustruje też autor często pojęcie capacity przykładami. Drzewo owocowe przynosi owoce, pole — zboże, strumień — wodę (str. 92). Podobnie i sposób zwiększania się capacity dóbr przedstawiony jest na str. 109 i nast. na zupełnie przyrodniczo-technicznej podstawie. Albo można przedłużyć okres czasu, podczas którego narzędzia oddają usługi, albo też można zwiększyć ilość usług, które narzędzie może oddać w pewnym przeciągu czasu. Większa capacity dróg bitych w tem się wyraża, że mogą wytrzymać przejazd 200.000 wozów. Dalej, na str. 259, wyjaśnia R a e zdanie, iż ulepszenia i wynalazki przynoszą »greater return« przy tym samym wydatku, na przykładzie, że zapomocą ulepszanego plugu może człowiek przy tym samym nakładzie pracy i sprzężaju zaorać większy kawał ziemi. Krótko mówiąc, capacity jest wielkością techniczną, którą się mierzy aktami zaspokojenia potrzeb lub produktami, których wytworzenie ona umożliwia.

Obok tego jednak w biegu rozumowania, przygodnie, przenosi R a e pojęcie capacity i na sumę wartości, którą przedstawiają wytworzone przez narzędzie produkty i usługi. To podwójne tłumaczenie zaopatrzone jest w uwagę, iż koniecznem jest posiadanie miernika dla porównywania capacity, czyli returns, narzędzi z wydaną na ich wytworzenie pracą. Ponieważ za miernik ten przyjmuje autor pracę, i to pracę mierzoną według jej wartości zamiennej, czyli wynagrodzenia, capacity danego narzędzia wydaje mu się wielką, albo małą, zależnie od tego, czy usługi jego równoznaczne są z wielu lub niewielu płacami roboczymi, a więc czy przedstawiają większą, czy mniejszą sumę wartości. Narazie autor zdaje się nie wiedzieć, że buduje w ten sposób drugie, w treści swej zupełnie różne pojęcie capacity, gdyż to drugie tłumaczenie zaopatruje w uwagę, iż zawiera ono właściwie tylko uprząstaczenie słownictwa (92). Dalej jednak robi uwagę, którą można rozumieć, jako świadome usprawiedliwianie identyfikacji technicznej i wartościowej produkcyjności narzędzi, i zapewne w myśli R a e'a tak też ją tłumaczyć należy: oświadcza mianowicie, iż za podstawie

swoich teoretycznych roztrząsań wziąć musi hipotezę, iż ludzie oceniają narzędzia według ich zalet fizycznych, a więc według technicznej zdolności oddawania usług; hipoteza ta odpowiada też rzeczywistości, — z wyjątkiem jedynie dóbr zbytkownych, służących jedynie zadowoleniu próżności¹⁾.

Obok tego wprowadza R a e jednocześnie do swego systemu zupełnie sprzeciwiające się temu prawidło wartości: twierdzi mianowicie, iż wartość dóbr określa się zapomocą kosztów odtwarzania¹⁾. Jak mógł R a e wyobrażać sobie stosunek pomiędzy temi sprzecznymi prawidłami wartości? Jest to jeden z wielu punktów, dla których w lakonicznych i poszarpanych wywodach R a e'a nie możemy znaleźć pewnej odpowiedzi. Uważam za najprawdopodobniejsze, iż R a e, jak zwykle wówczas, wahał się pomiędzy dwoma pojęciami wartości; jednym mogło być pojęcie, zbliżone do wartości użytkowej (wyrażenia »wartość użytkowa« co-prawda nigdzie w książce jego nie znalazłem) do którego odnosiłoby się prawidło oceny według zalet fizycznych; — drugim — i to już wymienione jest przez R a e'a — »wartość zamienna«, której odpowiada prawo o kosztach odtwarzania. Tak, czy inaczej, zjawisko nadwyżki niewątpliwie wynika z różnicy pomiędzy wartością zamienną produktu, a kosztami, i również niewątpliwie wartość zamienna produktu przy zmienionych warunkach produkcji porusza się po zupełnie innej linii, niż jego techniczna wielkość i zdolność do użytku. Nie zważając na to, R a e, zwiedziony dwuznacznością, a właściwie nawet trójznacznością

¹⁾ Str. 93 i nast., 259, 283, Contens, XV. Należy zwrócić uwagę, iż wzmianka, dołączona do pierwszego sformułowania tego prawa (str. 94), iż capacity narzędzi »służących do zaspokojenia tego samego gatunku potrzeb«, mogą być porównywane tylko według ich physical effects, nie oznacza wcale ograniczenia zakresu działania tego prawa, a wyraża po prostu samo przez się zrozumiałą myśl, iż porównywać między sobą można tylko rzeczy jednorodne. Przy dalszem wzmiankowaniu tego prawa zastrzeżenie to nie powtarza się już tak wyraźnie, i z dosłownego brzmienia również jak z przyległego tekstu wynika, że ocena według physical effects jest ogólną zasadą oceny dla wszystkich »utilities«, gdy zasadą ocenę dla »luxuries« stanowi kosztowność, trudność zdobycia (patrz str. 259, 283, 305 i nast. i XV w spisie rzeczy).

²⁾ Patrz wyżej, str. 335 i nast.

swojej capacity (techniczna capacity, suma wartości użytkowej, suma wartości zamiennej), nawiązuje do przesłanek, które mogą czegoś dowodzić tylko w stosunku do technicznej capacity, niezależnie od wyników w stosunku do sum wartości i nadwyżki wartości zamiennej. Tłumaczy wzrost lub spadek techniczny capacity zapomocą przesłanek z zakresu czystej techniki produkcji, jak np. jakość obrabianych surowców, powiększenie naszej wiedzy o właściwościach surowców i procesów naturalnych i t. p. i odrazu przenosi to tłumaczenie na odpowiedni wzrost, lub spadek sum wartości, na wzrost, lub spadek nadwyżki tych sum wartości zamiennej ponad kosztu i na stosowne przesuwanie się odnośnych narzędzi w jego »series of orders«, które są poprostu uszeregowaniem dóbr według procentowej nadwyżki wartości ponad własną wartość narzędzi, przynoszonej przez te narzędzia właścicielom.

Naturalnie jest to zupełnie fałszywe, i możemy to łatwo i dostępnie wykazać dla każdego szczegółu z obu wyżej wymienionych biegów myśli, zapomocą których Rae wprowadza pierwiastek techniki produkcji do teorii zysku.

Rae pragnie wytłumaczyć obniżanie się stopy zysku przy zwiększaniu się ilości nagromadzonych kapitałów koniecznością przechodzenia do surowców coraz to mniej podatnych i trudniejszych do obrobienia, przyczem narzędzia o tej samej »efficiency« wytworzone być mogą tylko przy większych kosztach. »Znaczy to, — powiada Rae, — że muszą przejść do klas o mniejszym wyniku« (of slower reutrn).

W istocie »znaczy to« zupełnie co innego. Jeśli ludzie wytwarzają narzędzia z mniej podatnego surowca, jeśli na przykład na mniej urodzajnej ziemi paszą bydło, sadzą jarzyny lub sieją zboże, to — przy niezmiennym stanie wiadomości technicznych — oczywiście wytworzenie tej samej ilości »narzędzi«, czyli produktów, np. centnaru wełny lub centnaru zboża będzie kosztowało więcej bezpośrednio i pośrednio pracy, niż dotychczas; ale też zato ten centnar wełny, czy zboża, jeśli nawet jego fizyczna efficiency czy capacity pozostała ta sama, według sformułowanego przez Rae'a prawa o kosztach odtworzenia uzyskuje większą wartość. Jeśli więc — znów według własnych twierdzeń Rae'a — sz-

cuje się capacity według sumy prac, lub płac roboczych, którym się ją przeciwstawia¹⁾, zwiększonym kosztem przeciwstawia się też zwiększona, przez capacity narzędzi reprezentowana suma wartości, a żaden rys doktryny Rae'a nie dowodzi, a nawet nie czyni możliwym, by wartość produktu miała wzrastać w słabszym stosunku, niż kosztu: raczej przeciwnie, prawo kosztów odtworzenia Rae'a pozwala przypuszczać, iż wartość produktu musi wzrastać w tym samym stosunku, w jakim wzrastały koszty produkcji, a w takim razie naturalnie trudno sobie wyobrazić, dlaczegoby nadwyżka wartości produktu ponad kosztu miała być mniejszą, a poziom wyniku pracy odnośnych narzędzi winien był się obniżyć. A Rae nie podejmuje takiego ściślejszego dowodzenia, dlaczego wartość produktu ma wzrastać w stosunku słabszym, niż kosztu, gdyż wskutek pomieszczenia technicznej capacity z wartością uważa, iż osiągnął swój cel z chwilą, gdy wykazał, że tej samej ilości produktów przeciwstawiają się obecnie większe koszty.

Ricardo spojrział był dalej w tej sprawie. Nie trudno w biegu myśli Rae'a rozpoznać powołanie się na to samo »law of diminishing returns«, zapomocą którego Ricardo chce wytłumaczyć tendencję zniżkową stopy zysku. Tylko Rae nadał temu prawu nieco ogólniejsze, bardziej abstrakcyjne ujęcie, mówiąc wogóle o konieczności przechodzenia do niewdzięcznych »surowców«, gdy Ricardo, ujmując je konkretniej, wskazuje tylko na najważniejszy wypadek, to jest na konieczność przechodzenia do coraz to niewdzięczniejszych gruntów. Ale Ricardo zupełnie słusznie pamięta, iż zwiększenie się sumy pracy, niezbędnej dla wytworzenia tej samej ilości produktów, wcale nie zmniejsza bezpośrednio zysku z kapitału; przeciwnie, musi wzrosnąć wartość tej ilości produktów i to w tym samym stosunku, w jakim wzrosła niezbędna dla jej wytworzenia suma pracy; tylko dlatego, że przy danych warunkach zwiększa się oprócz tego jeszcze i płaca robocza, zmniejsza się nadwyżka — słabiej rosnącej — wartości produktu nad — szybciej rosnącymi — kosztami produkcji, a wraz z nią i stopa zysku²⁾. Myśl ta również, zresztą jakeśmy widzieli, nie pro-

¹⁾ Patrz wyżej, str. 325 i 353 i nast.

²⁾ Patrz wyżej, rozdział VI.

wadząca do celu, pozostała obcą *Rae* o w i, który wyraźnie i dobitnie podkreśla, iż w wywodach swoich przyjmuje placę roboczą, jako wielkość daną i niezmienną¹⁾.

Nie lepiej ma się rzecz z wartością wyjaśniającą tego, co *Rae* mówi o związku nowych wynalazków z podniesieniem się stopy zysku. Skoro wspaniale odkrycie umożliwi wytworzenie dziesięćkroć większego technicznie produktu tym samym wysiłkiem, to — wyjąwszy wypadek monopolu, którego też *Rae* nigdzie nie bierze pod uwagę — nie może być mowy o tem, by produkt ten miał też przedstawiać dziesięćkroć większą sumę wartości i zostawiać dziesięciokrotną nadwyżkę ponad właściwą wartość odnośnego narzędzia, oraz popchnąć je o tyleż naprzód w skali wyników. Raczej, znów konsekwentnie wobec zdania wyraźnie wypowiedzianego w nauce o cenie *Rae*'a (str. 168), wartość produktu spadnie do poziomu, odpowiadającego zmniejszonym kosztom pracy, i znów zupełnie nie widać, dlaczego przy takim jednakowym zmniejszeniu się wartości i kosztów, różnica pomiędzy niemi, stanowiąca zysk z kapitału, miałaby być większą, niż poprzednio.

W wypadku wynalazków zmniejszenie się wartości zainteresowanego w wynalazku towaru jest zjawiskiem tak stałym i rzucającem się w oczy, że *Rae* nie mógł nie zwrócić na nie uwagi. Odnośny ustęp — w całości zawierający 16 wierszy — tem bardziej jest godnym uwagi, że jest jedynym, w którym *Rae* dotyka, choć nadzwyczaj lakonicznie, właściwego krytycznego punktu zagadnienia zysku. Robi mianowicie uwagę, iż ze skutków ulepszeń korzystają wprawdzie »bezpośrednio i najpierw« tylko ulepszone narzędzia, »ale bardzo szybko rozciągają się one na całą masę wszystkich narzędzi, będących własnością społeczeństwa«. Następnie idzie przytoczony przez nas wyżej (str. 340) przykład technicznego postępu w wypieku chleba, który piekarzom przynosi tylko »niewielkie powiększenie ich zysku«, ale wszystkim członkom społeczeństwa zapewnia tańszy chleb, a więc przy tym samym wydatku nieco większy wynik, a przez to wprowadza wszystkie posiadane przez społeczeństwo narzędzia do klasy o wyższej rentowności.

Rae miał tu najwyraźniej na myśli ten faktyczny wy-

¹⁾ Patrz wyżej, str. 343.

padek, iż, stosownie do rozwiniętego prawa wartości zamiennej, wartość chleba, wskutek zmniejszonych kosztów wytwarzania, układa się również niżej. W tej samej mierze, w której się to dokonywa, rozdzielają się oczywiście obie, nie rozróżnione przez *Rae*'a, »capacities«. Techniczna capacity chleba, jego zdolność zaspokajania potrzeb ludzkich, pozostaje niezmienną — jego wartościowa capacity się zmniejsza; — nie od rzeczy będzie zwrócić tu uwagę, iż stanowi to namacalny dowód, iż wprowadzenie momentu wartości do pojęcia capacity oznacza jednak coś więcej, niż proste terminologiczne wyjaśnienie. W tej samej mierze, w jakiej się daje przeprowadzić prawo wartości zamiennej, giną też naturalnie te wpływy, zapomocą których *Rae* chciał wytłumaczyć wzrost stopy zysku. Skoro bowiem wartość zamienna chleba obniża się stosunkowo do zmniejszonych kosztów jego wypieku, to wynik też oczywiście nie pozostawia większej, niż poprzednio, nadwyżki ponad koszt, narzędzia, służące do wypieku chleba nie przechodzą do klasy o wyższej rentowności, i stopa zysku się nie wznosi.

Rae dodaje do tego jeszcze dwie uwagi, które jego zdaniem miały zapewne stanowić wyjście z tego fatalnego dla jego teorii dylematu, w istocie jednak drogi takiej nie wskazują. Z jednej strony zwiększające zysk skutki wynalazku, które, z powodu obniżenia ceny chleba, do niego się nie odnoszą, dają się zato odczuć odnośnie do wszystkich narzędzi, posiadanych przez społeczeństwo. Przypuszczenie, iż korzyść, wynikająca dla publiczności z niższej ceny chleba, przekształca się w wyższy zysk z posiadanego kapitału, jest jawnie nieprawidłowe. Przedewszystkiem korzystają tutaj nietylko klasy posiadające, ale też i robotnicy, którzy wskutek zniżki ceny jednego z artykułów spożywczych uzyskują istotne podniesienie się płacy roboczej. Powtóre zaś, jeśli nawet istotnie korzyść tę wywołuje wymiana posiadanych dóbr, to w biegu myśli *Rae*'a niema nic takiego, co by mogło tłumaczyć zwiększenie się dochodu tych dóbr ponad ich wartość istotną. *Rae* padł tu znawu ofiarą pomieszania pojęć technicznej zdolności do oddawania usług i zdolności do wytwarzania wartości. Skoro każdy może przy wymianie uzyskać więcej chleba wzamian za swój towar, to zapewne,

w pewnem znaczeniu można przyjąć, iż techniczna capacity wszystkich towarów zwiększyła się, gdyż wzamian za nie zaspokoić można większą ilość potrzeb.

Można też jeszcze przypuścić, że istotna wartość zamienna tych towarów wzniosła się o tyle, o ile stosunek zamienny każdego poszczególnego towaru poprawił się odnośnie do jednego gatunku towaru (chleba), a odnośnie do innych pozostał bez zmiany, a więc naogół biorąc odrobinę się polepszył. Ale nie stanowi to dostatecznego punktu oparcia dla twierdzenia, że polepszył się miarodajny dla przesunięcia do »order of more quicky return« stosunek wyniku produkcji do właściwej wartości, czyli wartości kosztów narzędzi. To leciutkie polepszenie istotnej wartości zamiennej, które uzyskuje każdy gatunek produktu poza chlebem, uzyskują też dobra, stanowiące koszty wytwarzania tych produktów, do najogólniejszego z nich — pracy — właściwie, więc w tym samym stopniu i w ten sam sposób występuje to wahanie się wartości dla obu stron bilansu, dla kosztów z jednej, i dla »wyniku« z drugiej strony, i zupełnie nie możemy sobie wyobrazić, jakby taki stan rzeczy mógł dać powód do zwiększenia się nadwyżki wyniku w stosunku do kosztów.

Ale Rae robi jeszcze drugą uwagę. Mówi mianowicie, że piekarze otrzymają w nowych warunkach niewielką podwyżkę swego zysku (a small additional profit). W tych trzech słowach dotyka Rae, i to, jak sądzę, jedyny raz w całej swej pracy i w tonie prostego przypuszczenia, tego punktu, który w świadomej celu swej teorii zysku stanowiłby musiał ośrodek wszystkich usiłowań wyjaśnienia problemu. Jeśli istnieje niwelujące prawo kosztów, to dlaczego niwelująca konkurencja ma się zatrzymywać w punkcie, znajdującym się jeszcze powyżej kosztów? Oto pytanie, które w najrozmaitszych formach, dostosowanych do indywidualnych cech poszczególnych teorii, postawić musimy z kolei wszystkim zwolennikom teorii produkcyjności kapitału, poczynawszy od Lauderdale'a i jego oszczędzających pracę warsztatów, a skończywszy na Strasburerze i jego wynagrodzeniu współdziałających sił przyrody; postawić je też musimy teraz Rae'owi: dlaczego piekarze

pomimo niwelującej konkurencji stale ¹⁾ zatrzymują »małe« zwiększenie swego zysku?

Rae przypuszczał zapewne, że te jego dwie uwagi wspierają się wzajemnie. Gdyby było prawdą, że fakt tańszego kupowania chleba oznacza dla wszystkich gałęzi przemysłu bezpośrednie podniesienie ich dochodu z kapitału, to istotnie możnaby było spostrzec, że przemysł piekarski w takim wypadku nie potrzebowałby poprzestawać na stopie zysku niższej, niż ta, którą uzyskują wszystkie inne gałęzie przemysłu, i że dalszy dopływ kapitału, zapomocą którego dokonywa się niwelujące działanie prawa kosztów, zatrzymywałby się już w punkcie, zapewniającym przemysłowi piekarskiemu stopę zysku wyższą, niż dotychczas i zupełnie taką samą, jak ta, którą, dzięki możliwości kupowania tańszego chleba, spotykamy we wszystkich innych gałęziach przemysłu. Ale ponieważ, jak widzieliśmy, druga uwaga nie wytrzymuje krytyki, nie może też podtrzymać pierwszej.

Ta zaś o własnej sile też się utrzymać nie może. Oparcie istnieje wprawdzie — i to korzystnie odróżnia całość teorii Rae'a od czystych teorii produkcyjności — w tem, iż konkurencja nie jest w stanie zniwelować cen chleba aż do sumy własnych kosztów, aż do nagiego zwrotu sum, wyłożonych na płace robocze i t. p.: w całokształcie teorii Rae'a nie dopuszczają do tego czysto psychologiczne motywy i siły, należące do »pierwszego szeregu myśli«¹⁾. Ale brak tego oparcia w teorii Rae'a dla utrzymania cen ponad poziomem, niezbędnym wobec stanu tych psychologicznych sił, więc dla tego, co Rae w rozważanym przykładzie nazywa »małym zwiększeniem zysku«, a co w ogólnej jego teorii wyraża się przez postawienie pewnego »actual order of instruments«, wskazującego na rzeczywisty wyższy poziom wyniku, na miejsce czysto psychologicznego »strength of effective desire of accumulation«²⁾. To dalsze wyśrubowanie cen wywołują i wyjaśniają wpływy z za-

¹⁾ T. zn. i po upływie procesu niwelacji, wywołanego przez początkowe nienormalne zyski cechu piekarskiego. Zniknięcie podniesienia dochodu bierze Rae pod uwagę dopiero dla znacznie późniejszej i wogóle niepewnej chwili, w której nagromadzenie kapitałów całkowicie zaspokoii »desire of accumulation«.

²⁾ Patrz wyżej, str. 344 i nast.

³⁾ Patrz wyżej, str. 337 i nast., 349 i nast.

kresu techniki produkcji; ale bieg myśli R a e'a, który idzie wyłącznie drogą, wydeptaną przez zwolenników teorii produktywności, nie jest w stanie wytłumaczyć stałego tych cen trwania¹⁾. Trzeba bowiem raz na zawsze się zgodzić, iż fizyczne zwiększenie ilości produktów, służące R a e'owi za punkt wyjścia, nie jest wcale zwiększeniem nadwyżki wartości, z której R a e wysuwa dalsze swe myśli; razi to bardzo wszędzie, gdzie R a e przenosi do orders of more quicky return ulepszone narzędzia, stosownie do ich zwiększonej technicznej zdolności do oddawania usług, mniej zaś jest rażące, ale niemniej charakterystyczne dla uważnego badacza w tym godnym uwagi ustępie, gdzie wprowadza do swych rozważań niwelujący wpływ konkurencji. Zamiast jednego gatunku narzędzi, który został ulepszony, przesuwa on je wszystkie do orders of more quicky return, a zarazem przetwarza zwiększoną ilość produktów bezpośrednio w jakąś domniemaną nadwyżkę wartości, która wskutek niwelującej konkurencji powinna nie zginąć, ani się zmniejszyć, tylko podzielić się sprawiedliwie pomiędzy wszystkie posiadane przez społeczeństwo narzędzia!

Al e we własnej teorii R a e'a znajduje się zdanie, które przy prawidłowem myśleniu powinno go być powstrzymać od błędnego traktowania większej czy mniejszej ilości produktów, otrzymywanych przy pomocy pewnego narzędzia, jako większej czy mniejszej nadwyżki wyniku produkcji. Daje on bowiem raz wyraźną wskazówkę, iż wartość narzędzi szacować należy według ich przyszłych wyników z odpowiedniem uwzględnieniem ich oddalenia w czasie; ma to być ich »naturalny« miernik, którego też R a e obiecuje się trzymać w dalszych swoich badaniach²⁾. A przy zastosowaniu tego miernika trzeba brać pod uwagę, że jeśli pewne narzędzie dzięki szczęśliwemu wynalazkowi dwa razy lepiej pracuje, to i własna jego wartość winna być szacowana dwa razy wyżej i zdwojonemu produktowi narzędzia przeciwstawia się jego zdwojona wartość własna, ginąca wskutek zużycia w ciągu procesu produkcji, jako zdwojone koszty, tak, że wzrost różnicy pomiędzy wynikiem a kosztami staje się zupełnie niewytłumaczony!

¹⁾ Patrz wyżej, str. 359, odsyłacz 1.

²⁾ Op. cit., str. 172; patrz też wyżej, str. 336.

Prowadzi mię to do ostatniego punktu, z którego — i to może najjaśniej i najprościej — spostrzec się daje błąd R a e'a. Wszystkie korzystne i niekorzystne zmiany, zachodzące w technice produkcji, które R a e wyprowadza z jednej strony ze szczęśliwych wynalazków, a z drugiej, gdy tych braknie, z konieczności przejścia do obróbki mniej podatnych materiałów, sprowadzają się ostatecznie do zmian w produktywności pracy: ta sama ilość pracy może w pierwszym wypadku mieć większy, a w drugim mniejszy wynik techniczny, więc jest w pierwszym wypadku produktywniejsza, a w drugim mniej produktywna, niż dotychczas¹⁾. R a e zaś pozwala ponosić zmiany wartości, czy to użytkowej, czy wymiennej, wszystkim narzędziom, do których się odnoszą te zmiany w wydajności, oprócz jednej tylko pracy: czy dzięki szczęśliwym wynalazkom zaspokaja dwa razy więcej potrzeb ludzkich, niż poprzednio, czy dzięki wyczerpaniu podatniejszych narzędzi dwa razy mniej, nie wywołuje to według niego żadnej zmiany w jej wartości. Wartość i wynagrodzenie pracy ujmuje R a e w wyraźnie wypowiedzianej raz na cały zakres jego teoretycznych badań hipotezie, jako wielkość daną i niezmienną (str. 97, 131; patrz wyżej str. 325, 330). Było to dopuszczalne, dopóki teoretycznym celem jego nie było wyjaśnienie kształtowania się wartości, znajdujących się w stosunku wzajemnego oddziaływania do wartości pracy; ale skoro przedmiot wyjaśnienia stanowić miało kształtowanie się różnicy pomiędzy wartością dóbr, a wartością pracy — a to jest właśnie istotą zysku z kapitału, — twierdzenie to stało się ciężkim grzechem jego systemu. Zwiększona wydajność pracy musiałaby oczywiście *caeteris paribus* wpływać na jej wartość — czy to użytkową, czy zamienną — w ten sam sposób i z tego samego powodu, jak wpływa na wartość wytworzonego za pomocą tej pracy produktu; również oczywiście jest więc błędność teorii, która tworzenie się różnicy pomiędzy dwiema w tym samym kierunku poruszającemi się wielkościami tłumaczy poprostu w ten sposób, że na podstawie przez siebie wymyślonej i na niczem nie opartej hipotezy przyj-

¹⁾ R a e sam tak się o tem wyraża, że *inventive faculty must render the labour of the members of the society more effective* (str. 258).

muje, iż ruch jednej niczem nie jest zahamowany, taki sam zaś ruch drugiej podlega zatrzymaniu.

Rae nie rozumiał więc prawidłowo przyczyn i rozmiarów wpływów, które z dziedziny techniki produkcji przechodzą do dziedziny zysku z kapitału — i właściwie nawet nie mógł ich prawidłowo zrozumieć, ponieważ nie miał do rozporządzenia takiego narzędzia wykończonyj teorii wartości, któreby, jak współczesna teoria użyteczności krańcowej, dozwoliło mu szczegółowo zbadać wzajemne oddziaływanie zmieniających mas produktów na wartość użytkową i zamienną zarówno samych produktów, jak i środków produkcji. Wielką i oryginalną zasługą Rae'a jest przedstawienie naogół prawidłowe — pomijam tu braki w szczegółach — szeregu myśli, zawierających psychologiczne przyczyny różnej oceny teraźniejszości i przyszłości i przewyższające Jevonsa zastosowanie ich przy wyjaśnianiu zysku z kapitału. Drugi szereg myśli, dotyczący się zagadnień z zakresu techniki produkcji, wypadł nieszczęśliwie.

Mixter przypisuje mu i tutaj całkowite i trafne poglądy¹⁾, ale zapewne daje się tu uwieść pewnym cechom zewnętrznym, które przy pobieżnym badaniu istotnie mogą w błąd wprowadzić. Mixter miał mianowicie przed oczami pewne szczegółowo opracowane teorie zysku, będące wynikiem późniejszych badań, między innymi także i prace piszącego te słowa. Szczególnym zbiegiem okoliczności zewnętrzny aparat, zapomocą którego Rae pracuje, zawiera cały szereg części, uderzająco podobnych do wyrażań, prawideł i pomocy metodycznych, któremi się posługują późniejsze teorie zysku; ten sam zaś zbieg okoliczności chce, iż zewnętrznie podobne części teorii zawierają zupełnie inną treść i myśl.

Tak na przykład moja teoria operuje »szematem zmniejszających się nadwyżek produkcji«²⁾, Rae zaś ma »series of orders« o zniżającej się stopie procentowej produktu. Wewnętrznie nie mają wprawdzie dwa te »szeregi« nic wspólnego: zgrupowane są w nich różne przedmioty, — u mnie produkt brutto jednostek pracy, u Rae'a produkt netto dóbr stanowiących kapitał; brane są z różnych punktów widze-

¹⁾ Patrz wyżej, str. 320.

²⁾ Positive Theorie, 1 wyd., str. 402, 413 i nast.; 3 wyd. str. 591, 604 i nast.

nia — przeciagu czasu, potrzebnego dla dokonania się procesu produkcji i przeciagu czasu, w którym nastąpi zdwojenie się początkowej wartości przedmiotów, stanowiących kapitał — i naturalnie zakończone różnemi wnioskami. Następnie, moja teoria zna prawo »zmniejszającej się nadwyżki produkcji«, teoria Rae'a prawo »of diminishing returns«¹⁾ — o treści wręcz odmiennej. Rae ze skąpego obdzielenia nas przez przyrodę materiałami o lepszej i najlepszej jakości wyprowadza prawo, iż przy niezmiennym stanie wynalazczości musi nastąpić istotna zniżka produktu pracy, tak, że jednostka pracy wytworzyć może mniejszą sumę produktów. Moja teoria z przyczyn, które ze skąpstwem przyrody nie wspólnego nie mają, wyprowadza prawo, według którego przez przedłużenie okresu produkcji jednostka pracy jest w stanie wytwarzać coraz to większe sumy produktów, tylko postęp, w którym suma produktów wzrasta, jest niezwykle powolny²⁾.

Moja teoria stwarza wyrażenie »półfabrykat«, teoria Rae'a termin »narzędzie«; wyżej już wykazałem, że obejmuje on inny zakres dóbr i Mixter błędnie uważa go za identyczny z moim »półfabrykatem«³⁾.

W obu wreszcie teoriach wybitną rolę odegrywa moment czasu. Dopóki w grę wchodzi wpływ czasu na ocenę teraźniejszych lub przyszłych potrzeb, więc dopóki chodzi o często wspomniany »pierwszy szereg myśli«, znajdujemy istotnie zupełną równoległość obu poglądów. Ale w zakresie techniki produkcji powtarza się ta sama gra przypadku z nawpół podobnemi pojęciami i podobnemi, lub zgoła identycznymi nazwami, zawierającymi zupełnie inne znaczenie. Moja teoria zajmuje się »okresem produkcji«, obejmującym cały czas, który upływa od początku produkcji do chwili wykończenia produktu. U Rae'a spotykamy przypadkowo prawie identyczne w słowach wyrażenie »period of formation«; Rae jednak przywiązuje wagę nie do tej samej długości czasu, lecz przeciwnie do długości innego okresu, który

¹⁾ Sam Rae tego wyrażenia nie używa; Mixter stosuje je przy przeciwstawieniu obu teoryj.

²⁾ Mixter również dobitnie podnosi wielką różnicę, zachodzącą pomiędzy temi porównywanymi ustępami obu teoryj. Op. cit., str. 188 i nast.

³⁾ Patrz wyżej, str. 323, odsyłacz.

upływa pomiędzy wykończeniem produktu a jego wyczerpaniem; a więc chodzi mu nie tyle o długość stawania się dóbr, ile o długość ich trwania. Zgodnie z tem w pomysłu R a e'a okresowi czasu przypada rola tylko w podziale dóbr, gdyż on decyduje, czy całość czystego dochodu, który daje narzędzie w ciągu swego trwania, a który istnieje dzięki myśli wynalazczej¹⁾, ma być obliczana, jako dochód z dłuższego, czy krótszego czasu, więc czy przedstawia duże czy małe odsetki roczne; natomiast ważną myśl, iż długość procesu stawania się dobra wywiera wpływ przyczynowy na wielkość techniczną produktu, którą spotykamy już u J e v o n s a, a którą ja później używam do powiązania wpływów czysto psychologicznych z wpływami z zakresu techniki produkcji, obcą jest biegowi myśli R a e'a. Okoliczność tę podnosi i M i x t e r przynajmniej pośrednio, ale skłania się raczej do poczytania jej R a e'owi za zasługę¹⁾.

W każdym bądź razie te rzeczowe różnice, czy zgoda przeciwności, dostrzec się dają tylko przy bliższem rozpatrzeniu; a jeśli zważymy, że nie tylko odnośnie do całego psychologicznego »pierwszego szeregu myśli«, ale i odnośnie do pewnych elementarnych podstaw nauki o produkcji, szczególnie co do elementarnego charakteru produkcji i oddziaływania dóbr, istotnie panuje zupełna harmonja pomiędzy teorią R a e'a a mojami poglądami²⁾, i że R a e najważniejsze części rozumowania odnoszące się wyłącznie do zagadnienia zysku, jako takiego, formułował naogół krótko, a często mgliście, to, subiektywnie rzecz biorąc, łatwo zrozumieć, iż M i x t e r dał się pociągnąć zbyt nieco pośpiesznemu wnioskowi, że i w pozostałej części teorii poza używaniem podobnych wyrażeń i powoływań się kryć się muszą też podobne myśli, i że pod część teorii R a e'a, tyczącej

¹⁾ Patrz wyżej, str. 322 i nast.

²⁾ Zwraca mianowicie raz uwagę, iż R a e nie posługuje się wpływem czasu na wytworzenie większego produktu jako argumentem uzasadniającym większą wartość dóbr obecnych, w stosunku do przyszłych (op. cit., str. 173), w innem zaś miejscu wypowiada zdanie, iż R a e »mógł się zgodzić« (»R a e might agree« etc., str. 188) — a więc w każdym razie nie zgodził się wyraźnie — na moje zdanie, iż zgodnie z doświadczeniem metody produkcji, wymagające dłuższego okresu czasu, są wydajniejsze; jednocześnie zaś chwali go, że — w przeciwstawieniu do mnie — dał wynalazkowi należne miejsce w zagadnieniu.

³⁾ Patrz wyżej, str. 322, 324, ods. 1.

się techniki produkcji, podstawił myśli, które mu faktycznie były obce¹⁾.

Obawiam się, iż wielu czytelników będzie miało wrażenie, że w rozdziale tym mówiłem zbyt dużo i przedwcześnie nie tylko o Johnie R a e, ale i o mojej własnej teorii. Nie zrobiłbym tego z pewnością, gdyby szczególny stan rzeczy nie czynił tego już nie tylko koniecznością, ale wręcz obowiązkiem. Gdybym był w stanie całkowicie przyklasnąć sądowi M i x t e r a, to przyznałbym pierwszeństwo R a e'a w części techniczno-produkcyjnej zagadnienia zysku równie chętnie i łatwo, jak to wyraźnie czynię, gdy chodzi o część psychologiczną. Ale — *amicus Plato, sed magis amica veritas!* Skoro, jako krytyk i historyk doktryny, doszedłem do innych wniosków, niż M i x t e r, to uważałem za swój obowiązek jak najszczegółowiej i jak najskrupulatniej stan rzeczy przedstawić, tem bardziej, że dzieło R a e'a stało się nadzwyczaj rzadkiem i jest większość czytelników niedostępne, materiał więc do oceny winien był być im tu całkowicie podany.

Koniec końców uważam, że mogę o J o h n i e R a e powiedzieć: W połowie swej teorii wystąpił zupełnie oryginalnie, jako przodownik; w drugiej połowie, pomimo szczegółów oryginalnych, znajduje się w zależności od teorii produkcyjności, podobnie, jak współczesny mu T h ü n e n, z którym wogóle wiąże go ogromne podobieństwo w teorii, w kierunku myśli i w niezmaconej przez wpływy lektury niezależności umysłu.

¹⁾ Po ukazaniu się drugiego wydania pracy niniejszej, prof. M i x t e r z godną uznania otwartością i powołując się specjalnie na powyższe ustępy z mego tekstu przyznał, iż w dawniejszej swej pracy istotnie do pewnego stopnia »wyczytał Böhme-Bawerka u R a e'a« i znalazł większe podobieństwo pomiędzy naszymi teorjami, niż to w rzeczy samej istnieje; patrz jego pracę »Böhme-Bawerk on R a e« w Quarterly Journal of Economics, Vol. XVI, Nr. 3 (Maj, 1902), str. 385 w odsyłaczu. M i x t e r uważał wobec tego za swój obowiązek powtórzyć porównawczą krytykę obu teorii, opierając ją na nowych podstawach, nie dochodząc jednak do poważniejszych zmian w rezultatach. To też i teraz, gdy część przypuszczeń M i x t e r a musiała być uznana za błędną, nie mogę uważać jego ujęcia za lepiej umotywowane, niż poprzednio, i sądzę, że powinienem zatrzymać bez zmiany podaną w tekście i starannie opracowaną krytykę R a e'a, niezależnie od nowego wykładu M i x t e r a.